

A stylized botanical illustration in a painterly style. The background is a deep, vibrant blue. In the center, a large, round orange with textured brushstrokes in shades of orange and red is the focal point. Surrounding it are various green elements: several olives on thin branches with small green leaves, some olives in dark green, rounded pods, and other green foliage. The overall composition is dense and layered, with visible brushwork throughout.

Kazimiera Alberti

Sekrety Apulii



UNIWERSYTET ŚLĄSKI
WYDAWNICTWO

SEKRETY APULII

[illegible]

Dla mojego tłumacza
Alfo Cocoli

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

KAZIMIERA ALBERTI

SEKRETY APULII

Przekład

SANDRA STRUGAŁA, MAŁGORZATA ŚLARZYŃSKA

Tłumaczenie przejrzał

MARCIN WYREMBELSKI

Wstęp, przypisy, indeksy osobowe oraz indeksy nazw geograficznych
JANINA JANAS, MARIUSZ JOCHEMCZYK, MIŁOSZ PIOTROWIAK

Recenzja
ADAM REGIEWICZ

Publikacja dofinansowana ze środków budżetu państwa w ramach programu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego pod nazwą „Narodowy Program Rozwoju Humanistyki” nr projektu NPRH/U22/SP/OO25/2023/12; kwota dofinansowania 25 159,21 zł; całkowita wartość projektu: 598 423,00 zł



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

SPIS TREŚCI

WSTĘP

- 11 · Sekretny notatnik Kazimiery Alberti. Gdy życie potrzebuje literatury...
- 31 · Nota Tłumaczy
- 33 · Nota Redaktorów
- 35 · [*Jako temat drugiego tomu...*]
- 37 · Apulijski kot
- 45 · *Ave, Filia Solis*

TARAS APULIJSKI

(przekł. Sandra Strugała)

- 53 · Odpoczynek na tarasie
- 54 · Pąki w rozkwicie na zboczach Gargano
- 58 · Antena – dzwonnica na górze Gargano
- 61 · Pod skrzydłami Archanioła
- 63 · Architektoniczna zagadka
- 70 · Dwa posiłki na Monte Sant'Angelo
- 75 · Cuda Barletty
- 79 · Pozdrawiam Cię, o Trani
- 83 · Pierwsze filozoficzne pytanie
- 90 · Od jaskini do... ultranowoczesnego schronienia
- 93 · Album z Bisceglie
- 99 · Flirt z Barionem
- 112 · Dwa oblicza św. Mikołaja
- 114 · „Koh-i-noor” apulijskiego stylu romańskiego
- 118 · Wazon w mieście św. Mikołaja
- 122 · Płomień bożego pokoju biegnie przez Bari
- 131 · Totila przemierza świat

- 134 • Między rogami jelenia
- 140 • Otranto, strażnik wschodniego wybrzeża Italii
- 147 • Zastygła lawa w Otranto
- 151 • Lekcja geologii w Grocie Romanelli
- 156 • Nieznany świadek słynnego spotkania
- 158 • Ryba na majolikowym talerzu
- 164 • Przyjacielska wizyta w Tarencie
- 168 • Przez dzieje Tarentu na grzbiecie delfina
- 174 • Ostatnia wycieczka apulijska

WNĘTRZE KOTŁA

(przekł. Małgorzata Ślarzyńska)

- 185 • Z okien pociągów Kolei Południowo-Wschodniej
- 192 • Bóg w Modugno
- 199 • Mistyczny trójkąt Modugno
- 201 • Orzeł z jednym skrzydłem
- 205 • Gwiazdka z Drogi Mlecznej
- 209 • „Wielkie dni” Andrii
- 216 • Poemat niesiony wiatrem wieków
- 221 • Canosa od przodu i z profilu
- 227 • Telewizja pod łukiem triumfalnym
- 233 • Podążamy śladami Hannibala
- 236 • W półmroku altamurańskiej pielgrzymki
- 242 • Osobliwy wędrowny sprzedawca z Graviny
- 246 • „Husserlowska fenomenologia” i realizm w Conversano
- 256 • W podziemnym apulijskim zamku
- 259 • Tam, gdzie prehistoria wciąż jeszcze żyje
- 262 • Kilka dni w epoce pełnego baroku
- 270 • Z lampą oliwną w dłoniach...
- 275 • „Miasto silne” czy „miasto dobrej wróżby”?
- 277 • Poczтівка z megalitycznego ogrodu
- 280 • Tajemnica o tysiącu twarzy
- 283 • Pamiątki po Fryderyku II Hohenstaufie w Foggii
- 290 • Wianek trojański
- 295 • Metamorfozy Troi
- 300 • „Patetyczna”
- 307 • Fotomontaż z Lucery

311	•	Afrykańskie noce w Lucerze
314	•	Miasto w fioletowej poświacie
318	•	Starożytna inskrypcja w Lucerze
322	•	Meteoryt w Castel Fiorentino
327	•	Pożegnalny toast w Brindisi
347	•	Indeks nazw geograficznych
357	•	Indeks osobowy
369	•	Summary
371	•	Riassunto

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

WSTĘP

.....

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

SEKRETNY NOTATNIK KAZIMIERY ALBERTI GDY ŻYCIE POTRZEBUJE LITERATURY...

Napisać historię człowieka współczesnego, ule-
czonego z rozdarć samą tylko długą kontempla-
cją pejzażu.

Albert Camus: *Notatki*¹

KTO ZAZNAJE PRZYJEMNOŚCI?

Pytanie o przyjemność pisania to interpelacja w sprawie, kto zaznaje większej rozkoszy – ten, kto zatracą się w nim, czy ten, kto delektuje się lekturą? Kazimiera Alberti próbuje zaskarbić sobie czytelniczą wdzięczność, uzurpować odbiorczą satysfakcję. Forma pół-przewodnikowa w sposób pełny jej to umożliwia². Czytelnik może pójść w jej ślady, jeśli już po nich nie stąpa z książką w rękę. Literackość dopełnia się z realnością, a tak rozszerzona rzeczywistość – staje się punktem pożądania. I szukającego wrażeń piechura-lektora, i pisarki-przewodniczki. Wtopiona w spłot tekstu albertiańska egzaltacja ustawia odbiór zwiedzanego zakątka świata. Jeśli dzisiaj sztuczna inteligencja potrafi nam zastąpić naturalnego opowiadacza, to jeszcze długo nie dorówna ona poziomowi emocjonalnego nasycenia, wręcz pewnej przewrotnej manipulacji, by doprowadzić stan czytelnika do poziomu euforycznego zatracenia, zjednania z monologistką. Źródło czytelniczej przyjemności bije w tym subtelny kierowaniu uwagi czytelnika i podbijaniu jego emocjonalnego zaangażowania – „inwestowania” w odwiedzany światoo obraz. Rezygnacja z poznawczej wolności na rzecz taktownego „głosu z książkowego offu”, lub po prostu przekroczenie własnej ignorancji dzięki erudycyjnej suflerce, może tylko wynieść piękno Apulii na jeszcze wyższy poziom, a założone partnerstwo między pisarką a czytelnikiem stanie się ukrytym

1 A. Camus: *Notatniki 1935–1959*. Tłum. J. Guze. Wydawnictwo Krąg, Warszawa 1994, s. 164.

2 Metaforę „pół/przewodnika” zaproponowaliśmy w pierwszym tomie serii. Por. K. Alberti: *Dusza Kalabrii*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2025, s. 9–36.

mechanizmem „napędzającym” te wrażenia i superatą przyjemności dla obu stron. Takowa szarlataneria „podkręca” świadomość literackiej sztuczności, przyjemność „widzę i opisuję” nie może się obyć zatem bez odrobiny goryczy.

Wiele współczesnych reportaży podróżniczych stanowi zapis doświadczeń zmysłowych, bardzo konkretnych przygód przemieszczającego się ciała. Opisy spazmów żołądka po zakosztowaniu nowej diety, zaburzeń błędnika po wycieczce lokalnym środkiem lokomocji to sensualne doznania przyjemności i ekstazy, stanowiące stały katalog doświadczeń w seryjnie produkowanej już literaturze podróżniczej. Na tym tle Alberti jawi nam się jako dusza dawnego autoramentu, niby swawolna i odważna w międzyludzkich relacjach, a tak naprawdę pełna dystansu, skowana etykietą i konwenansem. To „mniej” w tym przypadku znaczy o wiele „więcej” niż tekstowe produkcje zunifikowanych turystów sięgających po pióro, wypisujących „z siebie” całe passusy, wysnuwających opowieści zaprogramowane na poklask i clickbajt. Spowita woalem tajemnicy Kazimiera Alberti to dama muzy podróźnej, Mata Hari dyskursu reportażowego, w którego zakamarkach przemycą cenną intymistykę³. Tym sposobem każdy w trakcie lektury odnajdzie coś odpowiedniego dla siebie – miłośniczka kobiecej wrażliwości odda się urokliwym opisom fleczka włoskiego buta, zapalony tropiciel historycznych sensacji doceni wnikliwy riserch Autorki, a przeszkolony na filologicznym poligonie znawca antycznego skryptorium zdemaskuje kontrwywiadowczą grę na wielu intertekstualnych bębenkach. Dlatego pomimo starych koronek i wysmakowanych dialogów, nie unosi się tu woń narracyjnej nafталiny. Po doświadczeniu współczesnej nadprodukcji literatury *non fiction* proza Alberti wydaje się w dwójnasób atrakcyjna.

3 Przywołanie postaci Margarethy Geertruidy MacLeod jako „silnego” i działającego na wyobraźnię członu „szpiegowskiego porównania” jest tyleż frywolnym żartem, co poważną tezą wyjściową możliwych (przyszłych) rozważań potencjalnych biografów Kazimierzy Alberti. Nawet pobieżny ogląd albumów fotograficznych pozostawionych przez pisarkę (aktualnie: w depozycie prof. Janiny Janas, za zgodą spadkobiercy Alfa Cocoli – adwokata i krewnego, Domenica Cocoli) pokazuje ogromną skalę swobodnych wojaży Alberti i podróży „przepływów” obserwowanych w latach 30. XX wieku: od Włoch, Dalmacji, Bośni, Albanii – po Grecję, Egipt, Liban, Bliski Wschód, a także Szwajcarię, Austrię czy Wyspy Kanaryjskie. Na wszystkich zdjęciach uderza elegancja, szyk i *glamour* prezentowanych kreacji, atrakcyjność odwiedzanych miejsc i hoteli. To skala przekraczająca – jak się wydaje – możliwości nawet dobrze sytuowanej przedstawicielki ówczesnej klasy średniej. Zwracają uwagę także późniejsze, powojenne perypetie związane z udzieleniem Alberti „listu żelaznego” przez bielski Komitet Żydowski i pomoc tej organizacji w skutecznym opuszczeniu Polski – z przystankiem w czeskiej Pradze. Dodajmy do tego tajemnicze okoliczności ucieczki z Czech (*via* Bratysława, gdzie pomaga jej siatka dawnych, przedwojennych poetów-komunistów), helwecki azyl i finalne, bezpieczne lądowanie w Italii. Zbyt wiele tu „sprzyjających okoliczności” i serii „fortunnych zdarzeń”, by nie dostrzec scenariusza dla opowieści o polskiej Maty Hari...

Wysiłki Autorki zaowocowały tekstem nad wyraz przyjemnym w lekturze. Nagłące poszukiwanie takiej formuły pisarstwa, w której harmonijnie ułożyły się w malarsko wyprofilowane opisy krajobrazowe, erudycyjne noty dopełniające sfery naoczności i niemego podziwu ze zmaganiem z samą sobą, z demonami przeszłości, dyskomfortem teraźniejszości i niepewnością przyszłości. Czy warto zatem dezorientować czytelników i wytrącać ich z gładkiej, potocznej lektury, zaznaczając, że pozory mogą być mylące, a pod powierzchnią reporterskiego zeznania kryje się skłębione morze myślowych wirów i afektów?

Proponujemy, by zachować w pamięci Kazimierę Alberti idącą wraz z Alfonso Cocolą nieśpiesznym krokiem po białych klifach Apulii, ironicznie rozigranych, w dobrych nastrojach wywołanych dostojnością krajobrazu i twórczym zapałem. Właściwie taki obrazek duetu autorskiego przezierny przez cały tekst. Kazimiera i Alfo, którzy romansowali ze sobą jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej, pozostawiając fragmenty tego dyskursu miłosnego w licznie zdeponowanej w Muzeum Literatury w Warszawie epistolografii, kontynuowali również w stanie małżeńskim swe rozmówki polsko-włoskie, zapośredniczone w znanej doskonale obojgu francuszczyźnie. Właściwie podróże mogłyby odbywać się dokądkolwiek, powtarzane w niekończącej się rozmaitości przebrań, na tle możliwie najbardziej niebieskiego nieba (jak mawiają o swoim firmamencie Włosi), czy to z morskim brzegiem, górską przełęczą, czy etruskimi ruinami w oddali, to zawsze owa ukryta dialogiczność tekstu zamigoce jak zniewalający i uporczywy miraż.

Drugi tom opowieści spod znaku *Italia celebre e sconosciuta* odśłania przed nami ustronia apulijskie, bliskie miejscu zamieszkania Alfa Cocoli i jego licznej rodziny. To jednak nie przesądziło o wyborze tej prowincji i wskazaniu jej jako pola kolejnej reporterskiej eksploracji. Alberti nie wspomina o byciu „u siebie”, zamieszkiwaniu „pod swoim adresem”, udomowieniu tej przestrzeni i uzgodnieniu czasu wędrówki z lokalnym chronometrem. Dowiadujemy się tego z korespondencji, którą prowadziła ze swą warszawską przyjaciółką – Marią Grabowiecką. Bez wglądu w tę przyjacielską wymianę myśli nie bylibyśmy świadomi szczególnego znaczenia Apulii w życiu pisarki. Alberti jednak celowo zaciera za sobą ślady, gra swoją własną rolę, a raczej bierze udział w maskaradzie, którą pieczołowicie reżyseruje. Nic nie może zburzyć tego pysznego spektaklu. Monologistka z suflerem przechadzają się przez „Włochy słynne a nieznanne”, przebiegle manipulując nieświadomym widzem (czytelnikiem). Większość nie dopatry się w tej melodramatycznej konwencji znamion teatralnej ułudy. Wtajemniczony czytelnik – zrywając wierzchnie warstwy i zasłony – zauważy w pisarskich decyzjach duetu celowe mijanie się z obiektywną

prawdą, problemy z odniesieniami do rzeczywistych sytuacji, w których trwali. Czy Apulia, jak i pozostałe krainy opisane w książkach należących do tetralogii podróżniczej, były tylko mistyfikacją, serią zaaranżowanych w słowie spektakli teatralnych opartych na racjonalnej kalkulacji? Czy można traktować narracyjne próby Alberti jako zwrot retoryczny w odpowiedzi na rosnące egzystencjalne bóle? Za wdziękiem tej literackiej formy skrywa się bowiem nerwowa niestabilność. Alberti przekształca uchodźcze cierpienie w piękne przeżycie, wiedzona instynktem przetrwania i coraz bardziej – głodem niespełnionych ambicji literackich. Na faktyczną wymowę jej pism składają się również „elementy utajone”, detale skrzętnie chowane pod podszewkę tekstu, prawdy niewygodne. Być może Alfonso Cocola dlatego zrezygnował ze współautorstwa wszystkich książek i całą swą pracę anonimowo poświęcił dla dobra ukochanej żony? Na autorskim cokole nie było miejsca dla dwóch nazwisk, dominowała Alberti, zaznaczając swą pozycję częstym używaniem liczby pojedynczej. Cocola został zepchnięty do roli postaci z offu, co najwyżej suflera, inspicjenta lub aktora melodramatycznych scen, z którym monologistka chadza pod rękę. W najlepszym wypadku – obsadzony zostaje w „roli technicznej”, służebnej: tłumacza. A przecież to on jest gospodarzem miejsca, świetnie rozeznany w lokalnych historiach, on jest prawodawcą języka, którym znakomicie operuje jako wykształcony dziennikarz oraz prawnik. I co najważniejsze: on jest kimś, kto obdarzył niekłamany uczuciem kobietę, uciekinierkę, imigrantkę – poświęcając dla niej wszelkie swoje aktywności i dobra. Nie możemy nijak waloryzować czyichś wyborów, a tym bardziej porywów serca, czy też demonizować Kazimierza Alberti w ten czy inny sposób, warto jednak wskazać na pomijanego bohatera drugiego planu, dzięki któremu możemy w ogóle cieszyć się prezentowanymi książkami. Warto „rozmontować” monument jednoautorstwa przedstawianego projektu tylko z racji filologicznej uczciwości. I choć to pozostawienie w cieniu Alfonso Cocoli mieści się w strategiach dyskursu miłosnego, jako swoiste *kenosis* podmiotu zakochanego, to wymazanie go jako (co najmniej) współautora książek podróżniczych można rozpatrywać jako tekstowe wykroczenie. Choć całe szczęście nie istnieje paragraf, który pozwoliłby ścigać takie nieodnotowane zapisy, i nikt nie chce kontrolować niekontrolowanego, warto gest Cocoli skierowany wobec Alberti rozpatrywać w kategoriach miłosnej donacji, traktować wedle ekonomii daru.

ZAWÓD-TURYST(K)A

W jaki sposób Alberti prezentuje apulijskie miejsca, miasta, *topoi*? Nadaje opisom złudzenie trójwymiarowości, przekracza linearną siatkę liter, gra światłocieniem, niuanssem. Alberti wtapia się w opisywane topograficzne lokacje, ztraca się w nich, pragnie koincydencji własnej osoby i podejmowanego tematu. Powstają w ten sposób autoportrety wielokrotne, w których Autorka niczym instalatorka lub akcjonistka testuje granice tożsamości. Tak prezentuje się alegoria tułactwa, sztuka performatywna, w której podmiotowość próbuje zjednać się z przedmiotem opisu, ze zdolnością kameleona stanąć w tle i – jednocześnie – stać się nim. Ciągła chęć przepoczwarzania, trud metamorfozowania – to uporczywie podejmowana próba zatracenia się w nowej rzeczywistości, obrysowania jej, dotknięcia, przeniknięcia. Pragnienie osobistej implozji. Dramy te przedzielone zostają (niczym teatralnym antraktem) tzw. ekranem kontrolnym – pobielonym „murem”, oświetlanym mocą apulijskiego słońca.

Nie jest to podróż zdobywcza, kolonizacyjna, lecz eskapada samopoznawcza, fantazmatyczna. Alberti doskwiera emigrancki *spleen*, a jeszcze na dodatek nakłada sobie obowiązki wędrowca. Jest w tym jednak sprytny zamysł. Tułacz, który staje się turystą..., przestaje być tułaczem. Alberti profesjonalizuje swoje piarstwo⁴. Żyjemy w dobie reprodukcji technicznej, utrwalamy zobaczone miejsca, multiplikujemy te same obrazy. Autorka *Ust Italii*, pomimo dzielonej z mężem pasji fotografowania (zdeponowała w prywatnych albumach kilkaset zdjęć, wykonanych osobiście lub przez osoby trzecie), nie włączyła do tetralogii osobnego, bogatego materiału fotograficznego z czterech wypraw dokumentowanych w reportażowej serii. Prócz kilkunastu prywatnych fotografii prezentowanych w tomie, reszta to odbitki muzealne lub obrazy wydobyte z archiwów poznanych w drodze ludzi. Zastanawia brak tego, co – wydawałoby się – kongenialnie dopełniłoby słowo pisane – cyklu wyselekcjonowanych, „dedykowanych” serii zdjęciowych, złożonych (i założonych!) jako plon konsekwentnie realizowanych autorskich sesji fotograficznych.

Podróżowanie daje Alberti możliwość powrotu do elity, dzięki czemu odzyskuje utracony status społeczny, jaki z rozkoszą pielęgnowała (jako żona starosty

4 W tym sensie, można powiedzieć, iż Autorka *Buntu lawin* mniej realizuje w swym piarstwie utrwalony tradycją historyczny wzorzec „podróży po Italii” – bardziej „totalny”, holistyczny tryb: „ekspedycji badawczej” (bogatej w różnorakie strategie autorskie i sposoby organizacji materiału kulturowo-biograficznego). Por. O. Płaszczewska: *Imagologia i podróż włoska*. W: Eadem: *Przestrzenie komparatystki – italianizm*. Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2010, s. 484–486.

powiatu) w przedwojennej Białej Krakowskiej. Egzystencja nastrojona w rytmie *on the road*, pozwala jej znowu należeć do „klasy próżniaczej”, bo kogóż – jak nie przedstawicieli *leisure class* – było wtedy stać na wielomiesięczne ekskursje? Nikt jednak nie musi wiedzieć, że to ekskluzywne kolekcjonowanie widoków miało być w zamierzeniu intratnym przedsięwzięciem pisarskim, przynoszącym zysk netto i rozkosz podróżowania. Plan zrealizowany został tylko w połowie – prócz przyjemności wojażera pozostało jeszcze pokaźne manko. W długim trwaniu widać, jak, pomimo wydawniczych strat, literatura jest synonimem wciąż zyskujących papierów wartościowych. *Non omnis moriar* gwarantuje nie tylko wieczną sławę, lecz i odrodzenie (po latach) książkowego artefaktu, który tu w nowej odsłonie językowej prezentujemy.

Bliższy niż Don Kichot jest jej współczesnym, wtedy jak i dziś, jego racjonalny na swoją miarę giermek. Alberti to widzi i chce jeszcze raz żyć na miarę literatury. Wyjście z grzęzawiska codzienności w stronę śmiałych projektów wyobraźniowych zajmowało pisarkę bardziej niż układanie sobie na nowo spokojnego mieszczańskiego życia. Bezruch i stagnacja odbierały jej wolę życia, a to, co napędzało ją do twórczego działania, można określić mianem: „pisarskiego wyzwania w terenie”. Eskapady prowadzone w stylu ekstrawaganckim, z odrobiną snobizmu, stały się sensem jej emigranckiego życia – przybrały postać peregrynacji połączonej z adorowaniem artefaktów sztuki. Alberti poszukiwała pięknych rzeczy, unikalnych pejzaży, rzadkich stanów ducha – „ulepionych” w myśl klasycznego kanonu. Nie ceniła zbyt amorficznych, odważnych form sztuki awangardowej. Doznanie estetyczne miało dla niej moc wręcz uzdrawiającą czy scalającą splekaną osobowość. Tradycyjne miary piękna pozostawały gwarantem utrzymania w ryzach „ciemnej mocy” Kalibana, by nie mógł się uwolnić spod władzy Prospera. Kiedy pisarka dywaguje o moralności ludzi pierwotnych, zaczyna spadać w studnię bez dna, w myślenie, które nie zna czasu czy przestrzeni, w rozumowanie noetyczne. Wmyślenie się w intencje ludzi pierwotnych to właśnie przykład uskoku wyobraźniowego, który przydarza się czasem Alberti w tych peregrynacjach.

Demaskatorska pasja Alberti ujawnia się również w drugiej (apulijskiej) części włoskiego notatnika z podróży. Mamy jeszcze w pamięci kalabryjskie dywagacje Autorki, która w iście ekwilibrystyczny sposób odpowiadała na odwieczne pytanie *unde malum*, kładąc na jednej szali pisma Tommasa Campanelli i powojenny rozwój broni nuklearnej. W części apulijskiej dywagacje te są kontynuowane – zło, które lęgnie się już w zbrodniach ludzi pierwotnych, tym razem stanowi *mysterium iniquitatis*. Wycieczka na półwysep Gargano jawi się jako podróż mistyczna, której poświęca bez mała dwadzieścia stron. I nie tyle

interesuje ją Sanktuarium św. Ojca Pio w San Giovanni Rotondo, lecz mniej popularny, choć o wiele silniejszy czakram mocy – wczesnochrześcijańskie miejsce kultu św. Michała Archanioła w Monte Sant'Angelo. Alberti przedstawia się nam jako osoba poszukująca równowagi w tym nadal rozdartym wojną (tym razem duchową) świecie. Opowieści z półwyspu Gargano są dla podróżniczki wspornikiem sensu, wzmocnieniem dla wyjąłowanej z humanistycznych wartości gleby. Przekracza ona poziom wiedzy dyskursywnej i kieruje się w stronę duchowych intuicji. Aksjologiczna identyfikacja Autorki, bo taką strategię retoryczną obiera Alberti, przybiera postać kaznodziejską. Nie można pozbyć się wrażenia, że Autorka strofuje nas wzburzonym głosem prorokini, byśmy porzucili złe nawyki i opamiętali się. Ogarnięta formotwórczą energią eseistka daje się ponieść moralizatorskim uniesieniom, zatracając dziennikarski chłód i reporterską podejrzliwość wobec jakichkolwiek podszeptów płynących z eksplorowanego miejsca; czy byłoby to chrześcijańskie stanięcie w prawdzie życia, czy schemat greckiego fatum. Alberti, znajdując się w polu metafizycznych radiacji, stała się medium tego miejsca, a nie jego obiektywną sprawozdawczynią. Niemniej jednak architektura całego wywodu wypełnia prymarnie naszkicowaną konstrukcję. Ukazuje, że miejsca święte są nie tylko zarezerwowane dla centrum – na przykład: rzymskiej stolicy, do której prowadzą wszystkie z dróg, lecz również na głębokim Południu, w serpentynie krętych, górskich traktów czeka na nas sanktuarium „nie ludzką ręką uczynione”. Lekcja Alberti przywołuje zatem stare prawdy duchowe, w zgodzie z którymi – to, co wielkie, doskonalili się na uboczu i wyrasta częstokroć z niepozornego zasiewu, w „zwykłe dnie”, gdy „cały splendor wygasa”⁵. Przykładów znajdziemy tu aż nadto: od przywołanych w poprzedniej edycji świętych (Franciszka z Paoli i Eliasza z Enny) – po pokorne kobiety współczesności: Teresę z Lisieux i Faustynę Kowalską. Mocnym, metafizycznym akordem rozpoczyna się zatem wędrówka po tej, niby jałowej, ziemi⁶.

W ciągłej grze pozornych utożsamień i chwilowych upodobań Autorka zaznacza dystans wobec podejmowanych tematów. Zbliżenia reporterskiej

5 G. Piovene: *Podróż po Włoszech*. Wybór i przekład Z. Ernstowa. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1977, s. 300.

6 Zauważmy, iż zupełnie inaczej eksploruje sanktuarium Michała Archanioła i na swój sposób doświadcza garganowego *sacrum* współczesny podróżny: przybywa w zgiełku święta (29 września), zanurza się w ekstazie procesji – próbuje zrozumieć fenomen miejsca zaopatrzonej w bezpieczne erudycyjne frazy: Gregoroviusa, Rilkego, Miłosza, van der Leeuwa, Läßle'a i innych. Por. D. Czaja: *Góra Świętego Anioła*. W: Idem: *Gdzieś dalej, gdzie indziej*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2010, s. 17–39.

kamery i wielkie panoramiczne obrysy odcinają autorskie „ja” od prezentowanych doktryn, wierzeń czy przekonań. Dodatkowym orężem w batalii o niepodległość głosu jest ironiczność, która wyzwała z wszelkich uścisków, a stosowana oszczędnie, nie powoduje skutków ubocznych – nie narusza narracyjnej „powagi autorytetu”, stosującej ją monologistki.

BARI TO WIEZIENIE

Czemu z miasta słońca pisze Alberti listy pełne irytacji i niechęci, zaopatrzone w przerysowane opisy, passusy pogardliwe wobec Włochów? Jakkolwiek niechętni wobec danego miejsca pozostają często cudzoziemcy, nierozumiejący jego odrębności i specyfiki, tak największa krytyka Apulii spływała spod piór pisarzy pochodzących z samego Półwyspu Apenińskiego. Trajektorie krytyki jakby się zbiegają, wszyscy narzekają na zaściankowość głębokiego Południa. Linia podziału spowita zadawnioną nieufnością przebiega gdzieś poniżej Rzymu, w połowie drogi do Neapolu. Dla imigrantki utrudzonej wojną i tułaczką – miasto schronienia (Bari) powinno jawić się jako, jeśli nie wysniona stacja docelowa, to przynajmniej jako dobrze urządzone miejsce postoj. Alberti była kimś pogrążającym się w żalosnym *diminuendo*, raczej lekceważonym niż szanowanym człowiekiem w stolicy Apulii. Stąd, być może, wychodzące spod jej pióra takie denuncjacje:

Ja Bari nie cierpię. Ten klimat mnie zabija – wilgotny, paznokcie mi się kruszą, serce cierpi bardzo. Ale co robić?

Bari, 5 października 1957

W ogóle życie w Italii strasznie mi się nie podoba – kochanie. Tu się wszystko opiera na dzieciach. Wszystko dla dzieci. A te dzieci są nieznosne. To nie tak, jak myśmy kochały nasze „mameczki” [...], tutaj dorosłe panny w straszliwej walce z rodzicami. Syn zazdrości, gdy ojciec zapali jednego papierosa więcej niż on, a córka nie śpi całą noc z zazdrości, bo matka pozwoliła sobie „na lody”. Egoizm potworny. Moja mentalność zawsze się tym gorszy i przez 10 lat nie mogę się przyzwyczaić do tych zmienionych obyczajów. Alfo mówi, że chcę „naprawiać świat” i cały świat jest jednakowy. Ja się na to oburzam.

Bari, 30 czerwca 1957

Marzę o kraju, gdzie nie ma aut, motocykli i krzyku. Jesteśmy przemęczeni techniką, rumorem, współczesną cywilizacją. Życie w Italii w lecie jest niemożliwe! Wszystko na ulicy. Wszyscy wrzeszczą do 2, 3-ciej w nocy, a dzieciśka najbardziej. [...] Mój reumatyzm szaleje, paznokcie mi schodzą i ciągle narastają nowe, odczuwam straszne bóle. Niestety wszystko muszę płukać w zimnej wodzie, jarzyny, ryby, owoce. A nawet tu się pierze w zimnej wodzie, więc możesz sobie wyobrazić. [...] Mieliśmy w Bari wizytę prymasa Wyszyńskiego, powiedział, że w Bari jest więcej aut aniżeli w całej Polsce i ja Polsce... bardzo zazdrościłam... i że chciałby kiedyś zobaczyć taki dobrobyt u nas – jaki tu panuje... ale to jest fałszywy dobrobyt. Każda kobieta siedzi po uszy w długach, nabierze w sklepach rzeczy luksusowych, a potem nie płaci, weksle idą do protestu, nikt sobie z tego nic nie robi. Ja tak nie umiem żyć. Na starość człowiek się nie może zmienić. W ogóle życie w Italii strasznie mi się nie podoba – Kochana.

Bari, 30 kwietnia 1957

Nie spotkałam w 10 latach ani jednej rodziny szczęśliwej. Strasznie się kłócą, przede wszystkim o pieniądze, o spadki. Każdy chce żyć na własne konto, a nie razem, bracia i siostry się nienawidzą. Zawiść i zazdrość okropna. Przyjaźń nie istnieje (co według mego zdania świadczy o strasznej brzydocie charakteru!). Ja nie wiem, może już i w Polsce wyszła przyjaźń z mody. Tutaj jeśli ktoś słyszy ode mnie, że prowadzę korespondencję z kimś, kogo nie widziałam... 13 lat, to się śmieje, taki objaw uważa za... nienormalny. Przy tym kobieta jest tu „impura” nieczysta (jak u św. Augustyna!). Sama przez ulicę nie może przejść, bo ją traktują jak prostytutkę, śmieją się i rzucają ordynarne, wulgarne dowcipy, a jak jest ubrana elegancko, to ją obrzucają śliwkami i pomarańczami, jak teraz w sezonie, albo gotowanymi kartoflami. Na mnie raz rzucili starą lampę elektryczną, która się roztrzaskała i zraniła mi nogę. Ja ulicy nienawidzę.

[brak oznaczenia miejsca], styczeń 1958⁷

Zdania, które niepokoją nad wyraz. Szczególnie ich osobliwa paralelność, kompatybilność dokumentująca „więzienny syndrom” – znak klaustrofobicznej kompresji, dojmującego osaczenia: bliskością człowieka, natręctwem dźwięku, powtarzalnością niosących dyskomfort czynności. Uderza jawny zapis poczucia izolacji, wyłączenia, niedostosowania; porusza litanie osamotnienia lub

7 Wszystkie cztery przywołane fragmenty pochodzą z prywatnej korespondencji pomiędzy Kazimierą Alberti a Marią Grabowiecką – materiał przechowywany jest w Muzeum Literatury w Warszawie. Por. *Listy Kazimierzy Alberti do Marii Grabowieckiej*. Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie, nr inwentarzowy 5637.

udręczenia napierającym tłumem. Przestrzeń najbliższa objawia się jako zło-wróźbny matecznik traumy. Wiemy, że „Dania jest więzieniem”, dowiadujemy się teraz, że jest nim również Bari.

Albo jeszcze inny ślad głębokiego nieoswojenia. Zauważmy, iż dezintegracja osobowości, zagadnienie udręczonej pamięci mieszczą się w prozie Alberti na jeszcze wyższym, uogólnionym poziomie. Wpisuje się ono w problematykę kulturowo-cywilizacyjną. Czy ktokolwiek jest u siebie, czy wszyscy jesteśmy tu tylko przejazdem? Alberti nie zadaje wprost tych prowokacyjnych w swej dosadności pytań. Jednak, czy dotykając historii sprzed bez mała 30 000 lat, traktującej o etnosach pierwotnych zamieszkujących te tereny i pozostawiających nam naskalne znaki, nie miała tego na myśli? Czy wielkie wędrówki ludów, ich nomadyczna natura, która świetnie obywatela się bez paszportyzacji i narodowych mitów, nie przypomina alegorii wolności, nie tylko w sensie samodzielnego pokonywania przestrzeni, lecz także wolności od traum przynależności, obywatelskości, państwowości. Często powracające wątki pierwotnych mieszkańców Apulii z pewnością kumulują sekrecje imigrantki, która dzisiaj już tylko w geście wandalizmu kreśli na skale swe inicjały. Jakże nieostra wydaje się granica oddzielająca w książce Alberti dosłowność od przenośni. Wiele razy nieświadomie przekraczamy ją niczym przemysłowcy sensu, mimowolni hermeneuci. I albo roz-pływamy się w metaforze, albo stajemy się mentorsko dosłowni. Alberti, spoglądając do wnętrza jaskiń, wie, jak kruche może być istnienie. I gdzie teraz są potomkowie owych pierwotnych „ludzi stąd” – zdaje się pytać?

W ostatnich miesiącach pokoju w 1939 roku Joseph Roth tak opisywał kobiety na krańcach nie swojego świata:

Czasem widuję kobiety – emigrantki, imigrantki – na ulicach, gdzie wytworne i luksusowe sklepy wykładają na wystawie wyborowy, ba – wyrafinowany smak. Wprawdzie tutejsze panie również tu przystają, ale emigrantki zatrzymują się przed oknami wystawowymi na dłużej albo mijają je ze źle udawaną obojętnością. [...] Och, w oczystych stronach też często przystawało się przed oknami wystawowymi, z tęsknotą w sercu i pożądliwością w oczach. Ale tam bieda była tylko pewnym stanem, a tu jest nieuchronnym przeznaczeniem. Tak się przynajmniej wydaje. Tam marzenia raczej się nie spełniały, ale jednak były składnikiem nadziei. Tu są wyłącznie składnikiem beznadziejności⁸.

8 J. Roth: *Proza podróżna*. Tłum. M. Łukasiewicz. Wydawnictwo Austeria, Kraków–Buda-peszt–Syrakuzy 2018, s. 175–176.

Kazimiera Alberti wiodła właśnie takie życie utajone, nie do końca swoje własne, pełne zahamowań i tymczasowych wyborów. Nawykała do ciszy, bezruchu, które przygnębiają człowieka przyzwyczajonego do wartkiego życia. Stąd może denerwował ją hałas włoskiej ulicy, pełnej życia i teatralnych póz. Sandor Marai, który powojenne życie wiódł na emigracji, o Włochach tak się wypowiadał:

Są ludy, które doceniamy bądź respektujemy... Włochów trzeba kochać. Bo są biedni. Bo są życzliwi. Bo są Włochami.

To chyba jedyny europejski kraj, gdzie nie nienawidzi się obcych. Włosi nie są ksenofobami, każdego cudzoziemca szanują [...] ⁹.

Kazimiera Alberti, poprzez małżeństwo z Alfonso Cocolą, stała się pełnoprawną Włoszką, która nie zachowała kompletnych przywilejów imigrantki. Na włoskiej scenie życia musiała odgrywać trudną rolę kobiety rywalizującej z innymi przedstawicielkami swojej płci, w tym z teściową. Zadie Smith, formułując kilka uwag o *Bellissime* Viscontiego, zdobywa się na takie socjologiczne uogólnienie:

[...] sojusze z kobietami okazują się trudne. We Włoszech teściowa (*suocera*, co za odrażające słowo) to twoja nemezis, inne matki to rywalki, a plotkujące sąsiadki na klatce schodowej – codzienne dręczycielki ¹⁰.

Życie pozostaje mediatyzowane przez słowa, które sprawiają, że byt nie jest autonomiczny, lecz relacyjny. Alberti cały swój życiowy potencjał, swą energię, emocjonalność i intelektualną swadę artykułowała poprzez język. We włoskiej rzeczywistości musiała zdławić pragnienie komunikowania się, praktykować milczącą powściągliwość. Jakaż to była udręka dla kogoś, kto tylko w języku potrafi pracować, cieszyć się, wyrażać i kochać. Nawet zachwycające pejzaże Włoch nie były w stanie ukoić tego bólu. Brzemień piękna potrafi być nieznosnie ciężkie – wbrew samotności, bólowi i popędowi człowiek musi zdobywać terytorium spokoju. Alberti to osoba w stanie dezintegracji – wrzucona w piękno świata. Dlatego warto wsłuchać się w przepis na przekroczenie uchodźczej niedoli. Sandor Marai wypracował minimalistyczne wymagania życia na emigracji, które zawarł w ledwie kilku zdaniach:

9 S. Marai: *Porwanie Europy*. Przekł., przypisy i postowie I. Makarewicz. Wydawnictwo „Czytelnik”, Warszawa 2022, s. 58.

10 Z. Smith: *Jak zmieniałam zdanie*. Tłum. A. Pokojska. Wydawnictwo Znak, Kraków 2010, s. 222.

Niewiele akcesoriów potrzeba do życia. Potrzebna jest rodzina. Potrzebnych jest czterech, pięciu przyjaciół. Trzysta książek. Jedna, dwie osoby ukochane. Od czasu do czasu jakaś podróż. Wszystko inne tylko przeszkadza¹¹.

ANATOMIA OBCOŚCI

[...] anatomiczna rzeczywistość wymaga tego, co Ruth Ritchardson nazywa „klinicznym oddzieleniem”: emocje, jakie wywołuje konkretna, zmysłowa prawda o materii ciała muszą zostać powściągnięte [...]. Przedmiot poznania dzieli się na części, tym samym unicestwiając go. Wraz z fizyczną dekonstrukcją przedmiotu poznania, dokonuje się konstrukcja wiedzy na jego temat¹².

Alberti metodycznie i skrycie przeprowadza taką anatomiczną wiwisekcję własnego stanu. Bycie uchodźcą, imigrantem w kraju dostatku i krasoty to teza, z którą przystępuje do badań terenowych na apulijskiej ziemi. Zyskując wgląd w obraz świata, ujawnia jeszcze wartościowsze prawdy – o swej nomadyczności, wykozerzeniu, tęsknocie. W zwałach materii opisu kryje się wiele miejsc zagadkowych, zdań niby niedorzecznych, pytań może zbyt patetycznych, wniosków z pozoru chybionych. Być może tytułarne *Sekrety Apulii* warto byłoby zmienić na *Sekrety Alberti*. I o dziwo, także autonarracja prowadzona jest dwutorowo. W listach do przyjaciółki mamy barokowe obrazy kaźni, samotniczy *horror vacui*, doprowadzanie się do obłądu i progu szaleństwa. Natomiast w *Sekretach Apulii* wszystko jest teatralnie usystematyzowane, z profesjonalnym uśmiechem tekstowa przewodniczka objaśni nam zawiłości historii, co chwilę okraszy dyskurs zabawną anegdotą. To prawdopodobnie największy sekret tej książki.

Zastanawiająca jest dysproporcja między horyzontem oczekiwań a przestrzenią doświadczenia. Uprawianie historii – rekuitywacja gleby przykrytej warstwą współczesności, wywracanie tej znaczeniorodnej skiby na wierzch narracyjnej opowieści przynosi Alberti niezmierne korzyści. I nie tylko jako pisarce, a przede wszystkim jako człowiekowi zagubionemu „w nie swojej” przestrzeni. Historia jako niechybne roszczenie, skryte pragnienie reparacji prawdy, albo siła integrująca wspólnotowe opowieści – dominuje nad egotyczną wolą zerwania wszelkich więzi, z którą zмага się Autorka. Odległa przeszłość włoskiej krainy

11 S. Marai: *Porwanie Europy...*, s. 81.

12 A. Wiczorekiewicz: *Apetyt turysty. O doświadczaniu świata w podróży*. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, Kraków 2008, s. 348–349.

skrzy się feerią barw, siecią relacji między zdarzeniami, witalnością i zakumulowanym bogactwem doświadczeń, które okazują się zbawienne dla stłamszonej monologistki. Sekret apulijskich historii to rodzaj opowieści z tysiąca i jednej nocy, w której Alberti uwodzona własnym głosem odracza trud osobistych decyzji. Bycie opowiadającym historykiem wyzwala potrzebę subtelnej psychoanalizy – już to, jakie zdarzenia wybieramy z nieskończonego bogatego rezerwuaru, z czym je zestawiamy, w jaki sposób wprowadzamy je na scenę naszej narracji. Wszystko to świadczy o nas i w jakiś sposób nas zmienia. Historycy poprzez snucie niekończących się opowieści nieustannie tkwią poniekąd w procesie autoterapii. Alberti wykorzystuje tę zawodową superatę, by polepszyć swój byt. Taki tryb lektury budzi jedynie obawę, ujmując rzecz bez ogródek, o bycie „podwójnym agentem”. Jakkolwiek, w tym wstępie, roztajemniczylibyśmy wszelkie sekrety i tajemnice dyskursu tej nibyprozy podróźnej, pokazując, że w istocie jest to dziennik intymny i tajny brewiarz codziennych utrapień – to i tak nie zmieni to wygłosu tej książki. To, co skrzy się na powierzchni, niech będzie podziwiane, a wszelkie sączące się rzeki podziemne mogą tylko pogłębić lekturę świadomego czytelnika. Funkcjonalne rozwiązanie zagadki może wydawać się zabiegiem czysto technicznym, filologicznym zamachem na czyjeś bycie, czyjaś rozpacz ukrytą między słowami. Bez tego rozpoznania tajemnica ta pozostałaby zwykłą aporią. Być może postawiliśmy stopę na niewłaściwym śladzie, lecz takie domniemanie podwójności narracyjnej stanowi ważną poszlakę lekturową.

Podążamy tu tropem Magdaleny Horodeckiej, która wyróżnia model reporterski obecny w twórczości Piotra Ibrahima Kalwasa. Spędził on w Polsce dzieciństwo i młodość, a w pewnym momencie życia przeszedł na islam i przeniósł się do Egiptu.

Antropologiczna perspektywa realizuje się w pisarstwie Kalwasa dzięki dużej erudycyjności jego reportażu oraz długotrwałej, co nietypowe dla dziennikarstwa, obserwacji uczestniczącej. Długoterminowość i powtarzalność jego obserwacji jest porównywalna z pozycją antropologa¹³.

Podobnie możemy podsumować pisarstwo Kazimierzy Alberti. To, co teoretycy nazywają „modelem dziennikarstwa wcieleniowego”, ma miejsce w obu przypadkach. W przypadku *Sekretów Apulii* mamy do czynienia z reportażem wytwarzanym „z miejsca stałego pobytu”, z opowieściami snutymi wokół adresu

13 M. Horodecka: *Strategia wyzwania w reportażu interkulturowym*. „Teksty Drugie” 2019, nr 6, s. 283.

stałego zameldowania. Zatem byłyby to raczej „klechdy domowe” niż (wiedzione poszukiwaniem niezwykłości) reporterskie ekskursje. Lecz *casus* Alberti każe nam wątpić zarówno w stan domowego uspokojenia, jak i dziennikarskiego wywoływania aury sensacji i nowości. Niewyjawione sekrecje albertiańskiego notatnika wiążą się również z gatunkowością zapisu. Przedstawiać „domowe” jako „obce”, muzealnie zimne, a w tym samym południowym krańcu Italii odnaleźć się, jako genialna przewodniczka przybyła z odległego północnego kraju – oto zagadka przenikająca tę książkę. Rozwiązać tajemnicę być może ułatwi nam górnolotne wezwanie Ryszarda Nycza:

Weźmy wreszcie literaturę za przewodnika, a nie tylko za przedmiot naszych badań¹⁴.

Służebność metody doświadczenia przynosi wymierne efekty w literaturze. Zebrane z autopsji dane przychodzą w sukurs w rozwiązywaniu znaczeniowych pętli. Jeśli spoglądać na *casus* Alberti jako na pójście z literackim przewodnikiem po śladach własnej egzystencji, to pisarstwo „ułoży” nam się w spójny i logiczny projekt. Doświadczanie świata, siebie, własnego ciała poprzez znaki, nowy język – to prawdziwa przeprowadzka, zamieszkiwanie pod nowym adresem. Dlatego trzeba obejść punkty graniczne (w tym wypadku cztery), niejako obrysować swój fragment mapy, by prawdziwie go udomowić. Ten „przewrót albertiański” w języku to sposób na realne oswojenie przestrzeni. Trudny i wymagający, ale niezbędny, by być u siebie, żyć na swoich warunkach, i być postrzeganą przez Innych jako Tutejsza. Dlatego seria „Włochy słynne a nieznane” dla większości będzie uchodziła za cykl reporterski, dla Autorki okazała się tekstowym „rytuałem przejścia”, dla nas badaczy – będą to pisane prozą „pieśni doświadczenia”. Reporterską krzątanie obmapowującą przestrzeń, a w istocie stanowiącą formę poszukiwania siebie samego – znakomicie skonstruował Jorge Luis Borges:

Człowiek postanawia odmalować świat. Przez lata będzie zaludniał przestrzeń obrazami prowincji, królestw, gór, zatok, okrętów, wysp, ryb, pokoi, instrumentów, gwiazd, koni i ludzi. Na chwilę przed śmiercią odkryje, że ów cierpliwy labirynt linii jest podobizną jego własnej twarzy¹⁵.

14 R. Nycz: *Od teorii nowoczesnej do poetyki doświadczenia*. W: *Kulturowa teoria literatury 2. Poetyki, problematyki, interpretacje*. Red. T. Walas, R. Nycz. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, Kraków 2012, s. 58.

15 J.L. Borges: *Epilog*. Przeł. Z. Chądzyńska. W: J.L. Borges: *Twórca*. Przeł. Z. Chądzyńska, K. Rodowska. Prószyński i S-ka, Warszawa 1998, s. 116.

Doświadczanie siebie w nowej rzeczywistości wymaga empirycznej kontroli, ciągłych sprawdzeń zgodności faktów wobec miejsca. Miarą panowania nad irracjonalnym jest skrupulatne porządkowanie tego, co racjonalne. Jednak historia zarówno powszechna, jak i jednostkowa, osobnicza, pełna jest turbulencji i nagłych zaskoczeń. Nawet najspokojniejsza rzeka pełna jest niebezpiecznych wirów. Alberti przepatruje karty historii powszechnej, chcąc odebrać dobrą lekcję dla siebie. W tym wypadku nauczycielka życia urządza ją w nowym miejscu zamieszkania, pomaga jej zrozumieć tutejszą ludzką gromadę, tygiel norm i zwyczajów wypełniany przez stulecia, językową tkankę narosłą przez wieki.

W pewnym sensie Alberti cieszy nie sam apulijski krajobraz, lecz możliwość własnej ekspresji. Landszaft staje się w tym wypadku jedynie pretekstem, bodźcem powodującym emanację egotycznych fluidów. Ogląda Materę, Otranto, Trani... A tak naprawdę przegląda się w lustrze własnej duszy.

Funkcjonalność zasobu wizualnych środków wyrazu przesądza o znaczeniowym zawężeniu natury do roli tła, drugiego planu wobec prymarnej obsady podmiotu mówiącego, jako głównej bohaterki tego pisarstwa. Operowanie pierwszoosobowym punktem widzenia, w oparciu o zaufanie do prawdziwości własnych sądów, implikuje określone formy obrazowania. Portretowanie natury, oparte na uderzającej obfitości szczegółów, w istocie stanowi układanie własnego konterfektu z elementów przedstawianego pejzażu. Właściwie każda historyczna anegdota, antropologiczna refleksja czy żartobliwy wtřęt odnoszą się do życiowych perypetii samej Autorki. Nie ma w tej ekskursji miejsca na wykluwanie się doznania, na impresjonistyczne poddanie się natchnieniu, podszeptom chwili. Alberti działa metodycznie, realizuje z mozołem plan naprawczy swojego życia. Oczywiście, nie robi tego ostentacyjnie i jawnie, a wręcz odwrotnie – z lekkością i polotem prześlizguje się wzrokiem po napotkanych obrazach Apulii. Można zatem, jakby od niechcienia, osiąść daną krainę, stać się suwerenem pomimo pokojowych zamiarów, anektować pejzaże jako swoiste *exempla* autobiograficzne, wbrew deklarowanej postawie zadziwionego światem pielgrzyma. Pozorowana radosna beztroska i niewinność są syndromem kuracyjnego charakteru ekskursji. Poszczególne strony *Sekretów Apulii* można nazwać wysyłanymi z sanatorium kartkami pocztowymi, choć słowo „karta” ma jeszcze inne w tym przypadku znaczenie. Homonimicznie rozumiana jest jako zruszczone słowo „mapa”. Choć ciekawszy wydaje się kuracyjno-sanatoryjny trop maladyczny, odsyłający do „karty choroby”. Wszak z przypadłościami nieznannej etiologii, owym pessoąńskim „nic, które boli”, zmagają się nadwątlone minionymi wydarzeniami – dusza i ciało monologistki. Alberti kolekcjonuje obrazki ze świata jak wątle przeźrocza, które pomagają jej przetrwać złe

chwile¹⁶. I inaczej snuje swą opowieść o apulijskiej krainie w ramach przewodnikowego szablonu, a inaczej w korespondencji z zaufaną przyjaciółką. Ta sama droga, to samo miejsce, zdarzenie mogą być odmiennie opowiedziane w zależności od interlokutora, który jest adresatem tych fraz. Alberti podróżuje zatem wielokrotnie, w różnych wymiarach, w bytowym rozproszeniu. Sedymencja pisarska tych egzystencjalnych przygód podlega regule autokreacji. Dla jednych oczu będzie pisarka ujawniać swe pozorowane przyjaźnie, świetne obycie we włoskiej obyczajowości, rytualnych *small talk* i wydobywaniu potrzebnych informacji od ludzi, których ujęła swą osobowością. Inne oczy wysłedzą w jej listach wyznania o nieprzenikalności tłumy, złośliwym traktowaniu imigrantki, rodzinnych niesnaskach i infantylnym sposobie bycia południowców. Listy do Marii Grabowieckiej to rewers *Sekretów Apulii*. Wytwarzane w tym samym czasie dwa rodzaje dyskursów dowodzą złożoności doświadczenia Kazimierzy Alberti. W trawelogu słyszymy pewny głos przewodniczki mocno osadzonej w rzeczywistości, rozumiejącej ją na tyle, że staje się jej egzegetką. W zdeponowanych w muzealnych archiwach listach ujawnia się szereg skarg, które powierzone przyjaciółce w intymnej rozmowie stanowią czyste wyznanie bezsilności. Która Alberti jest prawdziwa? Krzepka, ironiczna, erudycyjnie wzmocniona monologistka czy złamana, bezradna i pozostawiona sobie samej imigrantka? Źródło udręki zasila oba literackie nurty. Reportażowe bystrze szkli się od figur retorycznych, wysublimowanej stylistyki, wielogłosu instancji mowy, zaś epistolarne starorzecze grzęźnie w pułapkach pamięci, miazmatach i wyziewach stłamszonej osobowości. Jak to możliwe, by akwaticzny żywioł dzielił się na dwie, tak odmiennie, frakcje – krystaliczną czystość i zabagnione, mętne wody? Dwoiste miejsce pisma, miejsce triumfu i kaźni, dwie przechadzki, autokreacyjne wyniesienie i egzystencjalne zejście do piekieł. Byt ujawnia

16 Przywołany autor *Lizbony* także uruchamia metaforę „karty”, gdy prowadzi z czytelnikiem grę literackich pozorów. W ramach tej wyrafinowanej rozgrywki wielkiego samotnika, uwięzione w regułach estetycznej szarady – personalna „karta” i jej wyemitowany „obraz”, a także „podmiot” i „świat” – pozostają we wzajemnej, ciągłej „wymianie ciosów” i bolesnym napięciu: „Jestem niczym karta do gry, z od dawna nieużywanego rodzaju, która jako jedyna pozostała z zagubionej talii. Nie mam sensu, nie wiem, co jestem wart, nie mam z kim się porównać, aby się odnaleźć, nie służę niczemu, aby się poznać. I tak w następujących po sobie obrazach, w jakich się przedstawiam – nie nieprawdziwie, ale też i z kłamstwami – bardziej pozostaję w obrazach niż w sobie samym, opowiadając sobie aż do nieistnienia, używając jako atramentu duszy, niepotrzebnej do niczego, tylko do pisanie”. U Alberti podejmowana wędrówka jest warunkiem prywatnego ocalenia, pismo – gwarantem przetrwania. Nie inaczej u Pessoa: „Poruszać się to żyć, wypowiadać się to przeżyć”. Por. F. Pessoa: *Księga niepokoju napisana przez Bernardo Soaresa*. Wybór, przekład i posłowie J.Z. Klawe. Czytelnik, Warszawa 2004, s. 103, 210.

się tu, a – kontynuując akwaticzną metaforę opisu – wynurza, z sekrecji swego trwania. Bądź to, jak w przypadku *Sekretów Apulii* w momentach granicznych, w pęknięciach kreowanego wizerunku, pamięciowych natręctwach, bądź, jak w listach, w permanentnym ujawnianiu własnego nieszczęścia. Poszukiwać pewności siebie poza sobą – oto dewiza Alberti, która próbuje zapanować nad własnym losem. Wielokształtna tożsamość Autorki *Ust Italii* nie mieści się w jednej aktywności twórczej. Dlatego równocześnie skrywa i wylewa żale, oddaje się dziennikarskiej pasji i pochłaniają ją smutki bycia na uboczu, aktywizuje się w wędrownce z intelektualnym zacięciem oraz poddaje się w pasywnej rozgrywce rozterek i straconych szans. Chimeryczna natura Alberti, która doprowadziła do tak hybrydalnych form literackiego wyrazu, dzięki swej złożoności, dynamice i wzajemności pozwala zrozumieć istnienie sprzeczności współistniejących w jednej osobie. W końcu te odległe, wręcz przeciwstawne dyskursy łączą się ze sobą, wszystko się przenika, miesza, niby dwie rzeki w estuarium życia. Psychologowie pewnie określiliby osobowość Kazimieri Alberti jako dyspersyjną – szczególną *personality*, w której współistnieją w tym samym czasie i przestrzeni dwie splecione egzystencje: radosna małżonka spełniająca się w roli reporterki i ofiara wojny z ciężkim bagażem doświadczeń. Zwielokrotnienie, osobowościowa ekspansja wiążą się z racjonalną architekturą, rozpisaną na dyskursywne partytury, a to pozwala wybrzmieć, pomimo zgrzytów i atonalności, zorkiestrowanemu głosowi. Nic bardziej ludzkiego od wypracowania takiej równowagi. Dezintegracja osobowości, wbrew pozorom, stanowi przykład jej odradzającej się vitalności¹⁷. Alberti, układając słowny pejzaż Apulii, Kalabрії, Ligurii czy Kampanii, ukazuje nam bezpośredni związek między nim a nią, wręcz genetyczne pokrewieństwo między widzialnym a odczuwalnym. Ontologiczna struktura jej języka spontanicznie odpowiada wewnętrznemu układowi jej bytu. Części mowy stają się częściami ciała. Opanować i obmapować świat orężem czasowników, przymiotników i rzeczowników to wyruszyć na ekspansję świata rozstrzygającą o własnym życiu. Tylko wyćwiczona w poetyckich frazach pisarka mogła postawić sobie tak karkołomne zadanie. Dla nas, przygotowujących polską edycję jej podróżniczej tetralogii, stanowi to wyzwanie nie mniejszej wagi.

17 Alberti jawi się tu jako wzorcowy – ukryty za tekstową tkaniną – przykład wyjęty z klinicznych obserwacji Kazimierza Dąbrowskiego – zapomnianego dziś, genialnego psychiatry. Odсыłamy tu do jego *opus magnum* – K. Dąbrowski: *Dezintegracja pozytywna*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1979.

ALBERTI – KAFKA – PASOLINI

W tym autorskim trójkącie, tyleż nieoczywistym co intrygującym, mieści się duży depozyt autentyczności doznań, literackich zeznań, które nie liczą się z niczym, żadnym autorytetem, tradycją czy *decorum*. Są tylko bezkompromisową rozmową z samym sobą. Oczywiście, zestawienie Kazimierza Alberti z Franzem Kafką czy Pierem Paolem Pasolinim może budzić niepokój i oburzenie krytyków. Wszak ta skromna pisarka nie może się równać ze światowymi luminarzami pióra. Czasem nie tylko to, co napisane, liczy się w literackich kryteriach sławy. Alberti w sposób arcydzielny wyzyskała wehikuł bedekerowego przewodnika, by wypowiadać ogólniki, czasem komunały, a jednocześnie w tym geście skryptoralnym wyartykułować niewypowiadalne, „podłączyć” do dość prostego dyskursu subtelną retorykę poetycką. Tym sposobem puszy się przed nami cała trauma piękna, odwrócenie tego, co zachwycające, w przerażające, pół-przewodnikowa wskazówka, jak Italia może odstręczać, jak stereotypowe *dolce vita* może stać się ogrodem katuszy ziemskich. Sytuacja kafkowska zdarza się również na włoskiej riwierze. Bo o właśnie takiej scenie pisze Pier Paolo Pasolini, przebywając w Bari w tym samym czasie i drukując swe felietony w pismach: „Il Quotidiano” i „Il Popolo di Roma” – w 1951 roku.

Kafka, potrzeba tu Kafki. Wysiąść z ekspresu, nie móc wejść do miasta ani ruszyć się choćby o krok poza aleję dworcową – to może przydarzyć się tylko postaci z kafkowskiej opowieści. Nie mogłem zdobyć się na to, by się stamtąd oddalić. Wszyscy ludzie, którzy wysiedli razem ze mną, rozproszyli się jeden po drugim; dorożki, archaiczne jak małe wieże, przejeżdżały jedna po drugiej przed chodnikiem (jeden koń nawet uderzył pyskiem w głowę pierwszego barczystego Barese – chichoczącego, groźnego, ciemnego i giętkiego młodzieńca), a chłopcy od walizek rozplynęli się gdzieś na końcu tego znajomego placu¹⁸.

Pier Paolo Pasolini nakreślił sytuacyjny szkic tego, co w literaturze nosi miano praskiego patrona. Zwyczajne, codzienne zajście staje się zarzewiem niepewności, otwiera przepaści rozpacz i obłędu. To spotkało w Bari zarówno Pasoliniego, jak i Alberti. W tekstach włoskiego pisarza przybiera ona postać burleskowej

18 P.P. Pasolini: *Romanzi e Racconti 1946–1961*. Mondadori, Roma 2010 (tłumaczenie własne). Tajemnicze pozostają te nieoczywiste „włoskie tropy” Kafki. Przywołajmy choć jeden ślad z epoki – dziwny pomysł Orsona Wellesa (*nomen omen* przyjaciela Pasoliniego!), by kilka lat później (1962) osadzić akcję kręconego przez siebie *Procesu* w... rzymskim Palazzo di Giustizia. Por. P. Kępiński: *Szczury z via Veneto*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021, s. 128–130.

omyłki, chaplinowskiego zakręcenia. Natomiast w prozie Alberti sytuacja kafkowska, wyzuta z gatunkowości, zbliża się do studium przypadku kobiety samotnej w rozgwarze miejskiego tłumu. Przyjmuje ona pozę osobności wobec wielkiego stada, w którym reguły wtedy jeszcze arcypatriarchalne często wymusza się wulgarnym gestem, ostentacyjną pozą czy niepowstrzymaną i nieznoszącą sprzeciwu logoreą. Alberti na balkonie baryjskiej kamienicy spoglądająca na tumult życia, rozbijający się o rafę miasta, ujawnia swe stany emocjonalne. Nie chce się poddać regułom włoskiego mieszczaństwa, jego dominacji i sile. Autorka *Sekretów Apulii* pewnie mogłaby się dostosować do włoskich oczekiwań społecznych, gdyby miała za sobą „życie nieprzeżyte”, gdyby to było jej pierwsze dojrzałe doświadczenie, bo i warunki wejścia w nowy świat nie były specjalnie wysokie, i obietnica spokoju oraz dostatku odpowiednio kusząca. Lecz włoska prowincja, nawet w wielkomiejskim wygładzie, była dla Alberti ugrzęźnięciem na życiowej mieliźnie. Ktoś, kto w czasach zgoła nieturystycznych zdołał zobaczyć pół świata, ktoś, kto mówił biegle w sześciu czy siedmiu językach, ktoś, kto ocierał się o świat władzy i wpływów – nie mógł zakotwiczyć się w baryjskim porcie. I nawet kochający mąż, który organizował wiele życiowych „ulepszeń” – między innymi czterotomową serię podróźniczą, nie był w stanie naprawić jej relacji z głębokim Południem. A może tylko miłość nie odwiodła Alberti od odwrotu lub nawet powrotu, w czasach gdy otworzyła się taka możliwość. Fata-morgana szczęścia na tym rozgrzanym fleczku italskiego buta, w końcu uwiodła lub zmusiła do poddania się tę doświadczoną życiem imigrantkę.

Stać się w pełni człowiekiem, przepracować swoją przeszłość. *Ego* Alberti nie mieściło się w tym mieszczańskim pojmowaniu świata – obcy jest jej atawizm roju, oddanie się masowej przynależności, bycie w racjonalności zbiorowej. Dlaczego artystka pogrąża się w samoudręczeniu? Świeca, która rzuca blask na rzeczy, owijając je ciepłym snopem jasności, sama również się spala. Odnaleźć siebie znaczy zatracić się, oddać, stopić w jedności z Innym. Alberti jednak zbyt wiele widziała, by przyjąć bezkrytycznie taką filozofię jedności, mechanikę roju. W pszczelej metaforze mieści się jednak *ratio* pojedynczości. Być pożytecznym to iść na wskroś, odnaleźć nowe żyzne miododajne pola. Pisarka pielęgnuje w ten sposób swe osobne *ego* w tym mieszczańskim roju – rolę robotnic i matek pozostawia baryjskim Innym. Ktoś, kto z łatwością brał najtrudniejsze życiowe wiry, nie sprawdza się na postojach. Nieomal obezwładniające piękno staje się piekielnym miejscem z górującym nad tak wywołanym negatywnym czarnym słońcem.

Los, który obsadził ją w roli baryjskiej kokoty, zdaje się bawić układaniem jej życia. Kobieta, która bardzo sprawnie prowadziła salon literacko-polityczny

w Białej Krakowskiej¹⁹, w nowej rzeczywistości musiała znosić humory słabo wykształconych stryjenek i kumoszek. Grała swą rolę, nie buntowała się oficjalnie przeciwko temu, płacąc za to wysoką cenę²⁰. Coś, co zaczynało się jako niewinna farsa, przeszło w dramatyczny, pełen smutku, finał. Nie była ona typem trzpiotki łatwo wpisującej się na wszelkie listy obecności. Jej niepospolita gotycka uroda bardziej budowała dystans, niż zjednywała. Na twarzy, w każdym ujęciu, rysuje się naznaczenie nieuniknionym losem. Patrzy w ciemne zwierciadło, we własny, czernią obtoczony kontur, w swe nowe domostwo. A może był to tylko ciężki, południowy upał, który wpędza w szaleństwo i skutkuje melancholią. Autorka reporterskiej serii potrafi spojrzeć na przeszłe lata z kliniczną samowiedzą. I choć konstatacje artykułowane na przełomie lat 40. i 50. XX wieku wydają się nam dziś uroczo egzaltowane, to wiemy, że zapisała się w nich autentyczna, „światoczuła” postawa. Alberti nie była zimnokrwistą empiryczką, zbliżała się do świata czule, z odpowiednią dawką wrażliwości i zaufania. Każda księga trawelogu stanowi inny stopień doświadczenia. Alberti skalpelem oddziela kolejne warstwy bolesnej tkanki, by dostać się do zagnieżdżonej głęboko chorobotwórczej przyczyny, z chirurgiczną precyzją przełamuje kolejne złogi psychicznego dyskomfortu, przekracza tabu, odsłania rodzinne tajemnice. Dopiero tak oczyszczona rana nadaje się do dezynfekcji i zaopatrzenia. Dlatego tylko lektura całości może ukazać pełny obraz stanu i historii choroby.

•
•
•

19 Spotkania artystów, zapraszanych przez małżeństwo Albertich, odbywały się w mieszkaniu przy ul. Staszica 1. W ciągu blisko dekady (1930–1939) odwiedziło salon bardzo wielu luminarzy kultury polskiej międzywojnia (m.in. Stanisław Ignacy Witkiewicz, Adam Bunsch, Zofia Nałkowska, Maria Kasprowicz, Karol Ludwik Koniński, Ignacy Fik).

20 Znakomicie scenografię tego utajenia i ślady (pozwalającej „zniknąć” z pola widzenia ciekawskiego obserwatora) mimikry – oddaje Jarosław Iwaszkiewicz. Zaproszony przez Alfo Cocolę (już po śmierci Alberti) do prywatnych odwiedzin, notuje: „Więc też jednego popołudnia zabrał mnie do swojego mieszkania na kawę. Mieszkanko było malutkie, urządzone na sposób włoski, przyćmione w kolorach i raczej banalne”. Zob. J. Iwaszkiewicz: *Bari*. W: Idem: *Podróże do Włoch*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2008, s. 168–169.

NOTA TŁUMACZY

Oddając w ręce polskiego Czytelnika przekład niniejszej książki, pragniemy zwrócić uwagę na rozwiązania translatorskie, które przyjęliśmy w toku pracy nad tekstem i które mogą mieć istotne znaczenie dla jego odbioru.

W tłumaczeniu zastosowano hybrydową notację nazw włoskich, łączącą oryginalne brzmienie z polskimi zasadami zapisu – zgodnie z powszechną praktyką przekładu tekstów o charakterze kulturowym. Nazwy geograficzne, historyczne i lokalne pozostawiliśmy zazwyczaj w formie włoskiej, z zachowaniem ich pisowni oryginalnej, o ile w języku polskim nie funkcjonuje ustalony egzonim (np. Rzym zamiast *Roma*). W przypadkach, gdy dana nazwa pojawia się zarówno w kontekście historycznym, jak i współczesnym, przyjęto rozróżnienie znaczeniowe – np. *Barium* (dla antycznego polis) i *Bari* (dla dzisiejszego miasta).

W odniesieniu do form adresatywnych, zdecydowano się na zastosowanie wielkiej litery. Tam, gdzie Autorka zwraca się do Czytelnika w sposób bezpośredni i nacechowany emocjonalnie lub retorycznie, stosujemy formy („Ty”, „Ciebie”), podkreślając tym samym osobisty ton wypowiedzi.

•
•
•
•
•

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

NOTA REDAKTORÓW

Podstawą przygotowanej edycji naukowej jest publikacja autorska Kazimierzy Alberti: *Segreti di Puglia*. Traduzione di Alfo Cocola. Arti Grafische D. Conte, Napoli 1951.

Strona tytułowa oryginału zawiera także dwie dodatkowe informacje. W pierwszej z nich wydawca powiadamia, iż prezentowana książka to drugi tom planowanej serii publikacji, zatytułowanej: *Italia celebre e sconosciuta (Włochy słynne a nieznane)*. W drugiej poświadcza, iż została ona przygotowana pod auspicjami i przy wsparciu „regionalnej organizacji turystycznej, mającej swą siedzibę w Bari” („Sotto gli auspici dell’Ente Provinciale per il Turismo di Bari”). Rezygnujemy z przedruku obu not w prezentowanej publikacji.

Komentarza wymaga także zapis (*Traduzione di...*) informujący o translacji dzieła na język włoski, jakiej dokonał Alfo Cocola, mąż Autorki – a także towarzyszył jej kolejnych (podejmowanych w latach 40. i 50. XX wieku) ekspedycji po czterech odrębnych regionach Półwyspu Apenińskiego. Podobnie jak w przypadku tomu pierwszego tłumaczonej serii – trudno dziś ustalić, czy kolejny, apulijski, trawelog Alberti został także pierwotnie sporządzony po polsku, czy – co bardziej prawdopodobne – zapisany wstępnie w języku francuskim (znanym Autorce i Cocoli), a dopiero potem (wtórnie) przetłumaczony na język Dantego. Nie udało się nam odnaleźć ani roboczych notatek, na podstawie których powstała finalna postać książki, ani pierwotnej, „rękopiśmiennej” (maszynopisowej?) wersji dzieła.

Wydanie oryginalne *Segreti di Puglia* nie zawierało oryginalnych not ani komentarzy autorskich umieszczonych w odsyłaczach (wyjątek stanowi pięć technicznych „przypomnień” konkretnych stron *Duszy Kalabrii*, lokalizujących podobieństwa w podejmowanej tematyce obu tomów – „gesty” te w prezentowanej edycji zostają pominięte). Przypisy w niniejszym opracowaniu zostały w całości dodane. I jeśli nie zaznaczono inaczej (chodzi o noty sygnowane informacją o autorstwie Tłumaczek) – pochodzą od Redaktorów.

W premierowej edycji neapolitańskiego wydawnictwa Conte tekst reportażu uzupełniony został sześćdziesięcioma czarno-białymi fotografiami, ilustrującymi kolejne etapy „wędrownego szlaku”, na jaki ponownie wkroczył polsko-włoski duet. Zdjęcia – podobnie jak w przypadku tomu poprzedniego, tj. *Duszy Kalabrii* – mają charakter kompilacyjny: obok autorskiego zestawu wykonanego przez Alberti oraz Cocolę znajdziemy fotografie pozyskane przez podróżującą parę od przedstawicieli odwiedzanych, lokalnych instytucji samorządowych, naukowych i kulturalnych (muzeów, starostw, parków archeologicznych, instytutów naukowych – zlokalizowanych głównie w Bari, Brindisi, Foggii, Lecce i Taranto). Bardzo słaba jakość materiału graficznego skłoniła nas – Redaktorów tego opracowania – do podtrzymania wcześniej podjętej decyzji o „cyfrowej rekonstrukcji” całego zestawu fotograficznego. Przeprowadzona „wizualna rewitalizacja” zgromadzonych dokumentów, a także ich kolorystyczne przekształcenie – dało podobne (wspaniałe!) efekty finalne: ocaliło nie tylko pierwotnego „ ducha obrazu”, ale przywróciło także – jak sądzimy – wartość estetyczną (i poznawczą) fotografowanych obiektów.

Jeśli nie odnotowano inaczej, wszelkie translacje cytatów oraz fragmentów dzieł literackich i filozoficznych pochodzą od Tłumaczek niniejszej publikacji.

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

.

Jako temat drugiego tomu serii *Włochy słynne a nieznane* wybrałam Apulię.

Dwuletni pobyt w tym regionie pozwolił mi poznać go naprawdę dobrze. Na pierwszy rzut oka wydaje się on pozbawiony tajemnic: wokoło rozciągają się jedynie gaje oliwne, winnice i sady owocowe, rozsiane między miastami oraz przeludnionymi wioskami.

Jednak Apulia skrywa wiele sekretów, a kto ich nie kocha?

Odkrywałam ją powoli, bez pośpiechu. Nawet jeśli czasem wydawało mi się, że coś już zrozumiałam, zawsze wracałam w to samo miejsce i na nowo, z przyjemnością, mierzyłam się z zagadką.

W powszechnej opinii, oczywiście nie wśród środowisk naukowych czy artystycznych, wciąż pokutuje głęboko mylne przekonanie, że Apulia to głównie Święty Mikołaj z Bari, Targi w Levante, Castel del Monte, kurz, upał, oliwa z Bitonto i kwitnące migdałowce. To powierzchowne wyobrażenie mają przede wszystkim ci, którzy Apulii właściwie nie znają lub nie potrafią odróżnić dolmenów od menhirów. A przecież jest ich tam wiele. Czasem nawet urzędnicy z lokalnych biur turystycznych nie mają o nich pojęcia.

Tymczasem Apulia to tajemnice: prehistoryczne, paleolityczne, neolityczne, a także rzymskie, bizantyjskie, normańskie, fryderycjańskie i andegaweńskie. To ziemia pełna zabytków, nie tylko pięknych pejzaży. Różni się znacząco od Kalabrii, którą podziwiałam nad wyraz, lecz to Apulia skradła moje serce. Pióro stało się kluczem, który otworzył przede mną drzwi do tajemnych światów. Nie było moim celem otwieranie ich na oścież, by wszystko odsłonić i uczynić widzialnym. To zadanie człowieka nauki, nie pisarza. Często bywały one dla mnie ledwie uchylone, czasem tylko przez próg wyczuwałam tajemniczą woń, która inspirowała moje szkice, raczej impresjonistyczne wizje niż właściwe rozdziały książki podróżniczej.

Oczywiście, nie mogłam podzielić się wszystkimi sekretami naraz; ich ilość wymaga poświęcenia im co najmniej dwóch tomów (podobnie było w Kalabrii). Wiele z nich zachowałam wyłącznie dla siebie, często odwijając je z różowej bibułki wspomnień. Kraina ta zaskoczyła mnie tak bardzo, że tytuł *Sekrety Apulii* narodził się samoistnie. Każda z opowieści była emitowana przez Radio Bari. To właśnie przez to okno, przez które moje opowieści o Apulii poszybowały

ku światu, pragnę jeszcze raz podziękować Dyrektorom: inżynierowi Paolo Grillemu i inżynierowi Giuseppe Damascellemu. Wyrażam też moją wdzięczność profesorowi Gaetano Napoletano za jego cenne wsparcie moralne.

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

APULIJSKI KOCIOŁ

Wydawać by się mogło, że Apulia jest regionem najmniej rzucającym się w oczy, pozbawionym uroku Kampanii, poetyckości Toskanii, mistycyzmu Umbrii czy żywiołowości Sycylii – krainy Etny. Jednak Apulia skrywa w sobie szczególny czar, który potrzebuje czasu, skupienia i własnej drogi, by go naprawdę docenić.

Region ten, dawniej niezwykle kamienisty, do tego stopnia, że kamień nie tyle był tłem, ile istotą samego krajobrazu, skrywa ślady neolitycznych społeczności – kolebki cywilizacji. Menhiry i dolmeny wciąż strzegą tajemnic ludzi z epoki neolitu.

Rozsiane w okolicach Lecce, Leuca oraz Bari menhiry stanowią pierwszy namacalny wyraz duchowości człowieka. Z kolei dolmeny w Chianca, Paladino czy *Tumulus dolmen* w Albarosie należą do najciekawszych w Europie¹. Są one najstarszym znanym ludzkości miejscem pochówku, czczonym nie mniej niż egipskie piramidy czy perskie grobowce.

Oto Apulia – ziemia, na której mgła prehistorii wciąż skrywa tajemnice. Z początku była to pustynna kraina, przypominająca tę, na którą trafił człowiek wygnany z raju – tu wygładził kamienie, zamieszkał w jaskiniach i przystosował je do swoich potrzeb.

W długim wapiennym grzbiecie Murge zjawiska geologiczne wyrzeźbiły miejsca, które stały się dla pierwotnych ludzi bezpieczniejszym schronieniem niż dzisiejsze drapacze chmur dla współczesnych Amerykanów. W grotach

1 Początki budowli megalitycznych (por. gr. μέγας „megas” – wielki, λίθος „lithos” – kamień) na terenach Europy sięgają V tysiąclecia p.n.e. Te, które wymienia Alberti jako „najpiękniejsze” (skupione wokół miasta Bisceglie), są nieco młodsze. Próbuąc uchwycić istotę zjawiska, odwołajmy się do krótkiej charakterystyki badawczej: „Megality obejmują cały szereg budowli, których podstawę stanowią nieobrobione (lub obrobione w niewielkim stopniu) głazy. Najprostsze formy to menhiry – kamienne słupy. Menhiry mogą tworzyć zespoły w formie kromlechów, czyli kamiennych kręgów składających się z kilku, kilkunastu, rzadziej kilkudziesięciu kamieni, lub w formie alei i szeregów (*alignement*) charakterystycznych dla Bretanii, składających się z jednego lub wielu rzędów [...]. Liczne są także odmiany grobowców: dolmeny, czyli czworokątne skrzynie kamienne nakryte płytą, bardziej rozbudowane grobowce galeriowe i korytarzowe oraz tumulusy, czyli kurhany (kopce grobowe) i tolosy składające się z dużej komory zwieńczonej kopułą”. Por. A. Żemła-Siesicka: *Krajobrazy megalityczne. Próba zdefiniowania pojęcia i umiejscowienia w typologii krajobrazu*. „Prace Komisji Krajobrazu Kulturowego” 2019, nr 42, s. 149.

pierwsi chrześcijanie odprawiali obrzędy, pozostawiając po sobie prymitywne malowidła naskalne i proste symbole krzyża. Niektóre z nich służyły za mieszkanie i miejsce śmierci pustelników.

Wiele z nich przetrwało do dziś: jaskinie w Pulo di Molfetta, Romanelli, Terra d'Otranto i niedawno odkryte groty Santa Croce w Bisceglie zachowały ślady pierwotnej działalności człowieka, natomiast w grocie w Modugno możemy zwiedzić ascetyczne miejsce życia świętego Corrado di Baviera².

Jaskinie pełne korytarzy, przedsionków, schodów prowadzących na różne podziemne poziomy stanowią pasjonujące świadectwo życia prehistorycznego, źródło niezliczonych emocji, nie tylko dla paleontologa, ale także dla turysty laika. Wędrując przez Apulię, krainę słońca i skał, odkrywasz, że to właśnie w kamieniu zakłęto pierwsze ludzkie pytania. Po raz pierwszy myśl człowieka przemówiła przez głaz, gdy wzniesiono monumentalne mury miejskie w Ugento i Muro Leccese. Ludzka refleksja objawiła się również w rytmie wapiennych kolumn romańskich katedr, w złoceniach barokowych stiuków w Lecce oraz w chłodnej precyzji białego marmuru z Trani, z którego powstały współczesne budynki.

Apulia to kraina, którą przemierzali bohaterowie spod Troi, gdzie zakładano pierwsze miasta, gdzie cumowali żeglarze ze Wschodu. Jedno z jej wybrzeży obmywa Adriatyk, wyjątkowo bogaty w jod, a krańce zanurzają się w błękicie Morza Jońskiego. Najdalej na północ wysuniętym punktem jest majestatyczny masyw Gargano, który wznosi się ku niebu pod opieką Michała Archanioła, a następnie przechodzi w surowe pasmo Murge, aż po słoneczne wybrzeże Salento. Apulia jest niczym kocioł, w którym pod palącym słońcem wymieszały się rasy i religie, tworząc niepowtarzalną i fascynującą mozaikę.

Począwszy od człowieka pierwotnego, różne ludy odcisnęły na Apulii swoje piętno: przelano tu krew, zostały tu mogiły, dzieła ich rąk oraz świadectwa pasji, win i cnót, zasiano ziarno, z którego wyrosły nasiona nowych kultur.

2 Konrad z Bawarii (urodzony zapewne na zamku w Ratyzbonie, około roku 1105) jako jeden z najmłodszych dzieci Henryka IX Czarnego, księcia Bawarii i Wulfhildy, która była córką Magnusa Billunga (księcia saksońskiego). Studiował teologię w Kolonii pod opieką swojego krewnego, arcybiskupa Fryderyka I – w planach rodziny miał przejąć kiedyś stolicę biskupią. Z czasem został jednak uczniem św. Bernarda i wstąpił do zakonu cystersów, składając śluby zakonne w Clairvaux i wstępując do tamtejszej wspólnoty mnichów. Następnie udał się w drogę do Ziemi Świętej z zamiarem prowadzenia tam życia anachorety. Nigdy jednak nie opuścił Europy (lub był zmuszony do niej powrócić). Przejeżdżając przez Apulię, zatrzymał się w Modugno, niedaleko Bari. I tu zaczął prowadzić życie pustelnicze. Źródła nie są zgodne: czy w jaskini w pobliżu miasta (w grocie, o której wspomina Alberti, czyli: Santuario di Santa Maria della Grotta), czy w położonym nieopodal małym opactwie benedyktyńskim. Umiera w Modugno – wedle przekazów: albo około roku 1126, albo w roku 1154.

Pod apulijskim słońcem kryje się wiele sekretów, które być może uda Ci się odkryć.

Natrafisz na trójkątny krzemień i prymitywny młotek – broń człowieka pierwotnego. Znajdziesz też kamień, z którego, bez użycia zaprawy, budowano *specchie* i *trulli*, gdy człowiek opuścił już jaskinię i zaczął wznosić pierwsze domy³. Może trafisz na archaiczne wiosła albo resztki rozdartego żagla, którego nie oszczędziły ani bitwy, ani wiatr. A może linę cumowniczą, rzuconą na brzeg przez żeglarzy, którzy dotarli tu, gnani ciekawością świata.

Apulia pamięta czasy Japygów, Dorów, Kreteńczyków, Hetytów i Pelazgów. Pod Kannami wciąż odnajduje się szczątki rzymskich i fenickich żołnierzy, bo właśnie tutaj, jak trafnie pisał Wells, ważyły się nie tylko losy dwóch ludów, ale i los Wschodu i Zachodu⁴.

Może w którymś z jońskich portów wiatr niosący echo wieków odsłoni szczątki drewnianych wraków penter, morskich cudów ówczesnego świata, poprzedzających epokę nowoczesnych pancerników. Odtworzysz walki Fenićjan o dobrobyt, bogactwo i chwałę ich cywilizacji. A przy grobie legendarnego rzymskiego legionisty z XXV legionu w Kannach przypomnisz sobie historię narodu, który zbudował Imperium.

Baw się dobrze podczas odkrywania skarbów i nie obawiaj się zagłębić w ich historię. Wśród nich odnajdziesz skorupy najpiękniejszych naczyń świata: hydrie do noszenia wody, pitosy pełne miodu, lekyty na wonne olejki i rytony przeznaczone na wino. Być może zachowały się jeszcze stare drachmy, na których Taras ujeżdża delfina, oraz messapijskie amulety, które przyniosą Ci szczęście. Oto fragment maski, zakrywającej niegdyś twarz aktora Wielkiej Grecji, oto terakotowa figurka o zadziwiającej harmonii, drobiny misternie rzeźbionych

3 Alberti zwraca uwagę na charakterystyczne twory architektoniczne wznoszone w Apulii (np. w Alberobello, Martina Franca, w okolicach Salento). Pierwsze z nich (*specchie*) to rodzaj kamiennych stożków, usypywanych na polach, by służyły jako punkty obserwacyjne. Alternatywne interpretacje ich funkcjonalności mówią o możliwym przeznaczeniu funeralnym (niektóre znaleziska z okolic Salento poświadczają obecność grobów, z kompletnym wyposażeniem właściwym dla pochówku). Z kolei *trulli* (lp. *trullo*) to nieduży, zwykle jednokondygnacyjny (parterowy) budynek mieszkalny wzniesiony z wapienia bez użycia zaprawy murarskiej. Domostwo wieńczone było kamiennym dachem ułożonym stożkowo. Całość budowana była na planie kwadratu lub koła, ściany zewnętrzne zwykle bielono. Por. L. Panico: *Dolmen, menhir, specchie. Viaggio fra le pietre e i megaliti del Salento*. Edizioni del Grifo, Lecce 2004. O tajemniczym pochodzeniu „trulli” pisze ciekawie Tim Jepson. Por. Idem: *Włochy*. Tłum. H. Podgórska, P. Amsterdamski. Fot. M. Propert. Burda Publishing Polska, Warszawa 2018, s. 306.

4 Autorka odsyła tutaj do pracy Herberta George’a Wellsa: *Historia świata (The Outline of History)*, wydanej w roku 1920. Więcej informacji o autorze i wspomnianym dziele przynosi przypis 33 na s. 92 w niniejszej edycji.

klejnotów. Spójrz, to pierścienie i bransolety z grobowców Sykulów z epoki brązu, odnalezione nieopodal Gioia del Colle.

Apulia kryje w sobie bogactwa niespotykane nigdzie indziej. Przed wiekami tworzyli tu Herodot i Pauzaniusz⁵, Dionizjusz z Halikarnasu i Strabon, Enniusz i Horacy. Na tym brzegu Wergiliusz zakończył *Eneidę*. Znaleziony w ziemi kiel słońca, skamieniały róg jelenia, kości dzika, foki lub pingwina opowiedzą historię zaginionego świata sprzed wieków.

Na apulijskiej ziemi rozgrywały się niezwykle wydarzenia, od geologicznych cudów, przez przełomowe momenty historii, po religijne i militarne zwroty akcji. Stąd wyruszały wyprawy krzyżowe, tu dotarł duch Allaha, niesiony zieloną flagą wiary, by zostawić po sobie zwycięskie wersety *Koranu*. Może to Ty odnajdziesz tureckie szable i strzepy sztandaru Mahometa. To właśnie w Apulii kształtowały się dzieła świętych Piotra i Pawła, Oroncjusza⁶

5 Pauzaniusz (stgr. Πανσανίας, łac. *Pausanias*, zwany Periegeta, ur. między 100 a 110 n.e., zm. po 180 n.e.) – grecki geograf, autor dzieła *Periegesis tes Hellados* (*Wędrówki po Helladzie*) w 10 księgach, czyli przewodnika po Helladzie, w którym zawarł relację ze swoich licznych podróży, opisując poszczególne krainy Grecji: zabytki, lokalne kultury. Styl Pauzaniausza jest bardzo bogaty, rozwija on poszczególne opisy, uzupełniając je głównie o informacje historyczne, mitologiczne. Dzieło Pauzaniausza jest cennym źródłem historycznym. Korzystają z niego geografowie i archeolodzy, lokalizując antyczne miejscowości, historycy sztuki, rekonstruując wygląd starożytnych świątyń i innych budowli. Z jego dzieła korzystają też historycy religii starożytnych, ze względu na informacje o mało znanych lub nieznanych skądinąd lokalnych kultach. Pierwsza księga traktatu opisuje Attykę i Megarę, druga – Korynt, Sykion, Argolidę, trzecia Lakonię, czwarta Mesenię, piąta i szósta Elidę, siódma Achaję, ósma Arkadię, dziewiąta Beocję, a dziesiąta Fokidę. Po polsku traktat Pauzaniausza ukazał się w trzech tomach, w przekładzie Janiny Niemirskiej-Pliszczyńskiej, zakończonym z powodu śmierci tłumaczki przez Henryka Podbielskiego. Zob. *W świątyni i w mieście. Z Pauzaniausza „Wędrówki po Helladzie” księgi I, II, III, i VII*. Przeł. wstęp, komentarz historyczno-literacki J. Niemirska-Pliszczyńska; komentarz archeologiczny B. Filarska. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1973; *Na olimpijskiej bieżni i w boju. Z Pauzaniausza „Wędrówki po Helladzie” księgi V, VI i IV*. Przeł. J. Niemirska-Pliszczyńska. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1968; *U stóp boga Apollona. Z Pauzaniausza „Wędrówki po Helladzie” księgi VIII, IX, X*. Przeł. J. Niemirska-Pliszczyńska i Henryk Podbielski, oprac. Henryk Podbielski. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1989.

6 Święty Oroncusz (Sant'Oronzo), urodzony w Rudiae w roku 22, zmarł 26 sierpnia roku 68, był, według tradycji, pierwszym biskupem Lecce i Japigii (dzisiejszego Półwyspu Salentyńskiego), wybranym przez św. Pawła. Jest patronem Lecce oraz regionu Salento i całej archidiecezji. Jest to postać legendarna. Dzięki jego wstawiennictwu miały zakończyć się epidemia dżumy w Salento (1656 r.), a także epidemia cholery w 1851 roku. Jego główne święto przypada 26 sierpnia, w dniu tradycyjnie uznawanym za dzień jego męczeństwa. Sanktuarium św. Oroncjusza za murami wzniesione zostało w miejscu, gdzie – jak się uważa – po męczeństwie pochowano świętego. Pierwsze „żywoty” Oroncjusza z Lecce pochodzą dopiero z końca XVI wieku. Chodzi w szczególności o dwa teksty, pierwszy: *Paradossica apologia* G.A. Ferrariego, napisana w 1571 roku, lecz opublikowana dopiero w 1706 roku. Rozdział XII poświęcony jest ewangelizacji Salento i to właśnie tam znajdują

i Maura⁷ oraz Świętego Mikołaja z Bari, powracających *regina viarum* z soboru nicejskiego, ze słowami: „Tu spoczną moje kości”.

W Apulii swoje ślady pozostawiło wiele kultur: możesz tu zobaczyć dolmeny i menhiry, kamienne specchie z Salento i Bari, romańskie kościoły, trulli z Alberobello, Martina Franca, Locorotondo i Fasano, a także barokowe perły Lecce.

Tutaj historia wypisana jest w kamieniu, od jaskiń paleolitu, przez skalne grotty św. Jana w Brindisi i surowe romańskie krypty Trani, Bitonto i Bari, aż po majestatyczny apulijski akwedukt, dzieło inżynierii rzymskiej, jeden z najstarszych na świecie.

Niezliczone są klejnoty apulijskiej architektury: helleńska fontanna w Gallipoli, koryncka kolumna w Brindisi, mauretańska studnia Tancrediego, a także monumentalny pomnik Marinaio d'Italia, wzniesiony na cześć żeglarzy. Region zachował wiele imponujących zamków: twierdze Normanów w Bisceglie i Gioia del Colle, Szwabów w Barletcie, Oria i Bari, Andegawenów w Gallipoli, Aragończyków w Tarenzie, aż po majestatyczny Castel del Monte. Współczesne budownictwo w niczym nie ustępuje dawnemu; gmachy wzniesione między pierwszą a drugą wojną światową w Bari i Tarenzie harmonijnie wpisują się w architektoniczną tradycję regionu.

W jednej z najstarszych jaskiń Europy zachowały się malowidła sprzed trzydziestu tysięcy lat – postacie kobiety i wołu. Po prehistorii rozkwita świat śródziemnomorskiej cywilizacji: na greckich wazach oglądasz sceny z mitów, życia codziennego i uczt, od narodzin kultury aż po jej zmierzch. A jeśli współczesny odbiorco uznasz, że grecki realizm odebrał sztuce ekspresję, znajdziesz tu dzieła, które przywracają jej emocje, symbolikę i głębię.

się pierwsze informacje biograficzne o Orontjuszu. Według R. De Simone (*S. Orontio nelle fonti letterarie*. „Studi Salentini” 1964, vol. 18, s. 279–317) Ferrari wielokrotnie cytuje rękopis, którego nie da się już odnaleźć. Uważa on również, że Ferrari czerpał z ustnej tradycji Lecce o świętym. Drugi tekst źródłowy to *Vita de' SS. Giusto et Orontio MM.*, opublikowany w 1592 roku przez Pawła Regia, biskupa Vico Equense. Według De Simone ta biografia przyczyniła się do rozpowszechnienia wiadomości o patronie Lecce. Uważa on, że Paweł Regio przejmuje wiele informacji z dzieła Ferrariego. Kult świętego jest nadal żywy w Lecce i w Salento, gdzie wraz ze świętymi Justusem i Fortunatem jest patronem miasta i archidiecezji. Pierwsze świadectwa kultu w Lecce pochodzą z końca XII wieku. Już w Dyplocie Tankreda Sycylijskiego z 1181 roku wspomina się o drodze „prowadzącej do św. Orontjusza”, odnosząc się do kościoła za murami miasta, prawdopodobnie dzisiejszego sanktuarium.

7 Święty Maur, urodzony w 512 roku w Rzymie, zmarł 15 stycznia 584 roku w Galii. Był synem senatora i konsula Eutychiusza. Mnich i opat, pierwszy uczeń św. Benedykta z Nursji. Około roku 529 wraz ze św. Benedyktem zamieszkał w klasztorze na Monte Cassino. Został tam wybrany przeorem, a potem opatem zakonu. Święty Maur jest patronem tragarzy, krawców, szewców i kowali.

Pewnego dnia otworzysz oczy na cuda i w jaskiniach św. Błażeja w Brindisi ujrzysz freski nieznanego mistrza Daniela. Zobaczysz też, jak z greckiej kultury wyrasta ziarno, które z czasem zakiełkuje w liturgii średniowiecza, w gestach, słowach i obrazach, które przetrwają wieki. Jeśli fascynuje Cię archaiczna forma i pierwotny przekaz, zajrzyj do katedry w Bari. Tam zobaczysz Exultet, pergaminowy zwój z XII wieku, ozdobiony dwunastoma miniaturami, które dorównują sztuką iluminacji Purpurowego Kodeksu z Rossano⁸.

W Apulii nie powstała odrębna szkoła malarska, lecz to właśnie architektura i rzeźba dekoracyjna stały się głównym kierunkiem rozwoju artystycznego regionu, który twórczo przyswajał dorobek innych tradycji: sienieńskiej, neapolitańskiej, a zwłaszcza weneckiej.

Stając kiedyś przed obrazami Giuseppe De Nittisa w Pinakotece w Barletcie, uśmiechniesz się, myśląc o tym, jak z linii naskalnego rysunku narodziło się światło impresjonizmu, tak charakterystyczne dla twórczości tego wybitnego artysty.

Znane winiarnie, takie jak Disfida w Barletcie czy Cerriglio w Bisceglie, oraz porty o międzynarodowym znaczeniu, Brindisi i Tarent, współistnieją z mniejszymi, malowniczymi przystaniami w Moli i Molfecie. Historyczne miasta, których układ urbanistyczny i architektura w dużej mierze opierają się na tradycji, łączą w sobie nowoczesne, szerokie ulice, zaciszne zaułki oraz rozległe nadmorskie promenady. W regionie znajdziesz także bogate muzea i starannie wyposażone warsztaty rzemieślnicze, reprezentacyjne pałace, wśród nich wyróżniają się Pałac Książęcy w Martina Franca oraz Pałac Cesarski we Francavilla Fontana, a także monumentalne katedry. Szczególną uwagę warto zwrócić na jaskinie o niezwyklej urodzie, zwłaszcza te w Castellana i Putignano, z ich naturalnie wyrzeźbionymi stalaktytami i stalagmitami. Nadmorskie plaże smagane słonym wiatrem i powietrze bogate w jod sprzyjają wypoczynkowi. W krajobrazie regionu wyróżniają się także wysokie wieże kościelne, na przykład ta w Palo del Colle czy gotycka wieża w Soletto, oraz nekropolie sprzed tysięcy lat w Muro Leccese i pozostałości dwóch najważniejszych starożytnych szlaków komunikacyjnych: Via Appia i Via Traiana.

W sercu tego krajobrazu rozciąga się ogromny ogród oliwny, który pracowite ręce człowieka zasadziły na kamienistej, jałowej ziemi. Święte oliwki i winne grona, migdałowce, figowce pełne słodczy, krwiste wiśnie, złociste śliwy,

8 Szczegółowe informacje na temat Purpurowego Kodeksu z Rossano znajdziemy w 1 tomie trawelogu K. Alberti, zob. Eadem: *Dusza Kalabrii*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2025, s. 224–227.

orzechy i migdały – zbieraj i kosztuj owoce tej ziemi! Człowiek ujarzmił wodę, która głęboko wsiąkała w glebę, stworzył porty i przemienił pustynię w ogród, winnicę Bachusa, oddaną pod opiekę Ceres.

Dzięki wybornym winom, które śmiało mogą konkurować z tokajem czy burgundem, winiarnie Apulii zostawią ślad w twojej pamięci, a jeszcze wyraźniejszy na podniebieniu. W knajpce w małym porcie zjesz smażoną rybę prosto z Adriatyku, a w lokalnym dialekcie odkryjesz wpływy wielu języków, nieraz zaskakujących. I nawet jeśli połamiesz obcasy w jaskini, zranisz się na ostrej apulijskiej skale albo spalisz na słońcu, szukając skarbów, nie żałuj. Apulia to ziemia, na której warto zedrzeć parę butów i choć raz porządnie się spiec.

Jestem pewna, że pobyt dostarczy ci wielu emocji – filozoficznych, artystycznych, krajobrazowych i kulturowych. Gdy przyjdzie ci odjeżdżać, pożegnaj ją słowami cesarza Fryderyka II, którego los nierozzerwalnie związał się z tym regionem:

„Bądź zdrowa, Córkco Słońca, najbardziej mi droga”.

Gdy wrócisz, trudno będzie Ci uwierzyć, że Apulia mogła kiedykolwiek ustępować innym włoskim regionom, takim jak Toskania, Kampania, Umbria czy Sycylia.

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

AVE, FILIA SOLIS

Kochasz słońce?

Przyjedź do Apulii w lipcu lub sierpniu – właśnie wtedy, gdy żaden bedeker Ci tego nie poleca. Spotkasz tam Córkę Słońca, a w środku dnia, między pierwszą a trzecią, pomyślisz, że naukowcy się mylili, twierdząc, że najbliższa gwiazda znajduje się miliony kilometrów od Ziemi. Apulia jest wtedy – jak się wydaje – niemal w jej objęciach.

W całych Włoszech może być pochmurno, ale *Filia Solis* codziennie zażywa kąpieli słonecznych.

Fryderyk II tak nazwał tę krainę, kierując się nie tylko jej gorącym klimatem, ale i niezwykłą kulturą, która pod wpływem słońca rozwijała się szybciej niż gdzie indziej i pozostawiła po sobie jedno z najwspanialszych europejskich zabytków.

Życie codzienne w Apulii wylewa się z domów na szerokie place, zaułki i dziedzińce, bo Apulijczycy odziedziczyli po swoich przodkach tradycję życia toczącego się na ulicach. Córką Słońca wyciąga do nich ramiona, kusi, by odechnąć pełną piersią, zaprasza pod cień pachnących drzew na spacer.

Córką Słońca ma kolor srebrnej zieleni nawet zimą, ponieważ sosny, oliwki, agawy, opuncje, mirt i szarańczyn nigdy nie tracą liści. Roślinność kwitnie nieustannie przez cały rok, tworząc prawdziwie teatralną scenerię.

Wiosna nadchodzi szybko i obsypuje Apulię kwieciami migdałowców, brzoskwiń i pomarańczy, tworząc spektakl barw, którego nie uchwyciłby Patou, Worth ani nawet Lenglen¹. Czeką na swojego Botticellego, który mógłby sprostać wyzwaniu i przenieść jej delikatność na płótno.

1 „Spektakl barw” budzącej się do życia natury, owo „przyrodnicze odzienie”, porównuje Alberti do kunsztu wybitnych kreatorów mody lub ekscentrycznych pomysłów propagowanych przez gwiazdy rodzącej się popkultury! Stąd przywołanie nazwisk: Jeana Patou oraz Charlesa Fredericka Wortha. Pierwszy projektował wyrafinowane, dające kobiecie wiele swobody, „emancypacyjne” kostiumy do gry w golf i tenisa, a także wykonywane z dzianiny stroje kąpielowe. Drugi – angielski popularyzator mody damskiej, działający we Francji – uznawany jest powszechnie za twórcę *haute couture*. Projektodawca marki *House of Worth*. W roku 1858 otworzył w Paryżu pierwszy dom mody. W swych działaniach biznesowo-artystycznych stawiał na szlachetność tkanin i wyrafinowaną prostotę kroju. Nieprzypadkowo pada tu także nazwisko Suzanne Lenglen, sportsmenki prowokującej estetyką tenisowego outfitu (już podczas swego debiutanckiego występu na Wimbledonie, w roku 1919, Lenglen wyszła na kort w sukience z odsłoniętymi ramionami i dołem sięgającym jedynie do połowy łydki, kiedy pozostali zawodnicy – obu płci – grali w kostiumach zasłaniających niemal cały obrys ciała).

Przyjemnie zwiedza się Apulię wiosną, podróżując ciepłym wieczorem, kiedy powietrze wypełnia zapach kwitnących drzew. Perfumy słynnych domów mody nie sprawią Ci podobnej przyjemności. Zapach wiosny jest prosty: pomarańcza, brzoskwinia, migdał. Dorównuje on nie tylko Hawajskiej Nocy czy Dziecięciu Gwiazdom Gejszy, lecz znacząco nad nimi góruje.

Latem, gdy dojrzewają owoce, pergole i winorośle tworzą falujące, cieniste sklepienia, pod którymi można odpocząć, wdychając jod znad Adriatyku lub Morza Jońskiego.

Osiółek zawodzi z nostalgią i błaganiem – domaga się prawa do odpoczynku w pełnym słońcu. To uczciwy i wierny towarzysz człowieka w codziennym trudzie, choć tak często staje się obiektem drwin. Doskonale wpisany w pejzaż Apulii i całego południa Włoch, zdaje się jego żywym symbolem. Gdy patrzysz na niego – delikatnego, powolnym krokiem przemierzającego pola winnic i gajów oliwnych – ogarnia cię żal, że żaden rzeźbiarz nie uwiecznił go w kamieniu.

Podobnie jak w innych miejscach świata podziwiałam majestatyczne białe woły o potężnych rogach na tle ciemnych lasów Słowacji; wielbłądy przemierzające czerwone piaski Maroka, Libii i Egiptu; czy też krowy o migdałowym odcieniu, pasące się na szwajcarskich łąkach berneńskiego Oberlandu; tak samo tutaj, w Apulii, zachwyca mnie osiołek o melancholijnych oczach, który z wdziękiem przechadza się między oliwkami i gajami winnymi.

Na drodze pojawił się wysoki pojazd o ogromnych kołach, których nietypowy kształt i płynny, falisty ruch przyciągały wzrok. W każdym innym miejscu wyglądałby dziwnie. Gdyby nagle przejechał ulicami Warszawy, Pragi czy Wiednia, z pewnością wzbudziłby zdumienie i zaciekawienie, ale tutaj, w sercu Apulii, stanowi naturalny element krajobrazu.

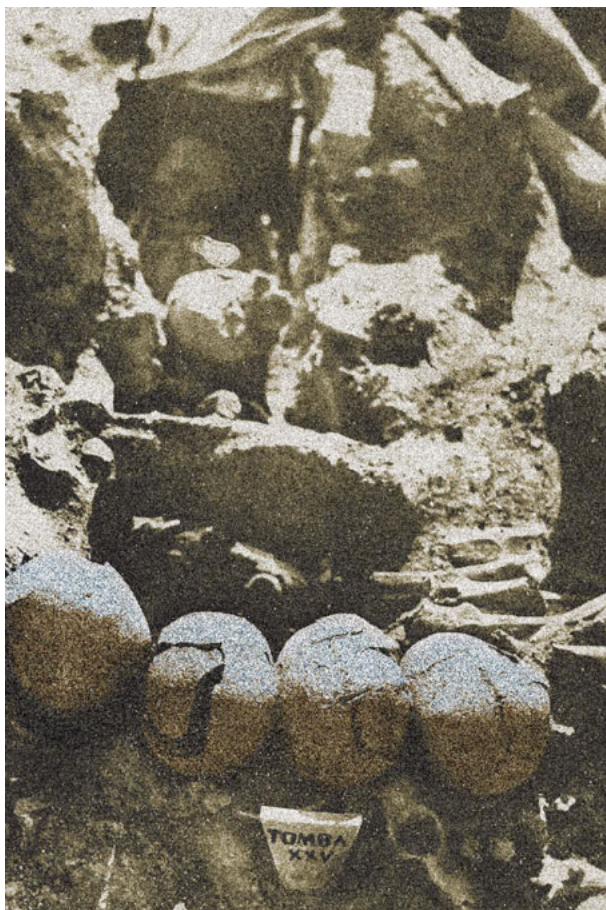
Jesienią Córka Słońca oddaje mieszkańcom bogactwo, na które pracowała przez całe lato. Dawniej ziemia ta należała do Ceres i jej czarującej córki Kory, lecz ich praca na kamienistej ziemi nigdy nie przyniosła znaczących plonów. Współczesny Apulijczyk rozpoczął walkę z kamieniem niczym z biblijnym przeciwnikiem; stopniowo odbierał mu teren i pielęgnował ziemię z taką pasją, że uczynił z Apulii wspaniały ogród, gdzie uprawa winorośli osiągnęła najwyższy poziom kunsztu. Dziś w tej pracy wspierają go maszyny. Za dwadzieścia czy trzydzieści lat, kiedy turysta przemierzy te tereny i natrafi w przewodniku na wzmiankę o „kamienistej Apulii”, szeroko otworzy oczy ze zdziwienia, widząc przed sobą jeden z najpiękniejszych ogrodów Europy.

Wieczorem Córka Słońca śpiewa. Wielkie miasta, małe miasteczka, ulice, domy, balkony i promenady tętnią muzyką. Apulijskie pieśni zachowały w sobie coś ze starożytnego lub orientального rytmu; przekazywane przez

dziesięciolecia żeglowały po falach historii, nie tracąc wiele ze swojego pierwotnego stylu.

Apulia nie jest już kamienistą pustynią ani wyschniętą ziemią, lecz wciąż pozostaje Córką Słońca i będzie nią, dopóki jakiś kosmiczny kataklizm nie unicestwi planety zwanej Ziemią.

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•



A przy grobie legendarnego rzymskiego legionisty z XXV legionu w Kannach
przypomnisz sobie historię narodu, który zbudował Imperium

•
•
•
•
•

•
•
•
•
•

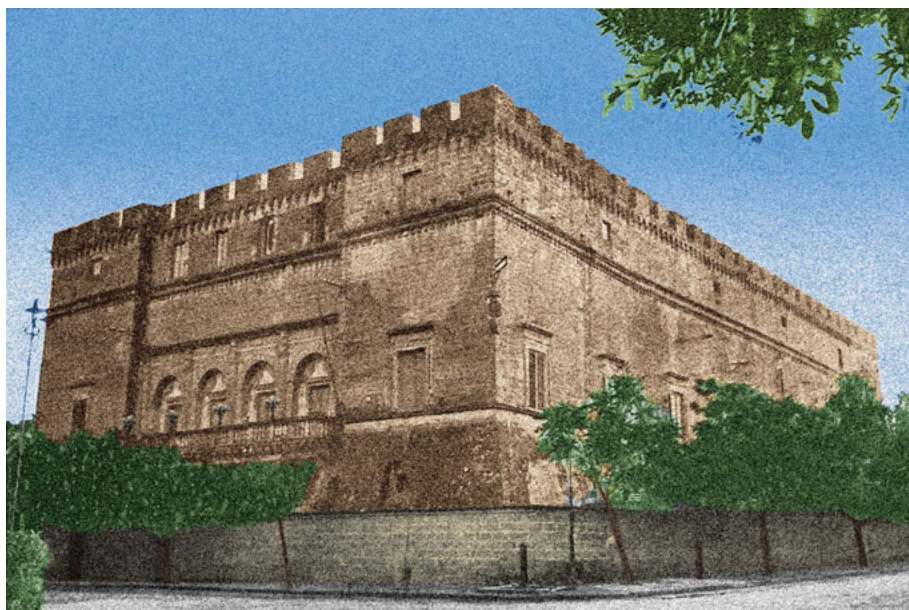


...otworzysz oczy na cuda i w jaskiniach św. Błażeja w Brindisi,
ujrzesz freski nieznanego mistrza Daniela

•
•
•
•
•
•
•



Region zachował wiele imponujących zamków:
twierdze Normanów w Bisceglie i Gioia del Colle



W regionie znajdziesz także... Pałac Cesarski we Francavilla Fontana...

TARAS APULIJSKI

.....

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

ODPOCZYNEK NA TARASIE

Włochy to długi i wąski kraj, do którego budowy natura wybrała najpiękniejszy teren. Na północy wzniosła go pod gigantycznym łukiem Alp, a dookoła opasała panoramicznym tarasem wychodzącym na cztery morza: Adriatyckie, Jońskie, Tyrreńskie i Liguryjskie.

Jedną z historycznie najstarszych galerii widokowych jest taras apulijski. Zdarzyły się tu cuda i boskie przygody, które wpłynęły na losy polityczne i kulturalne całej ludzkości. W czasach, gdy nie istniały jeszcze ani pergamin, ani pióro, ludzka pamięć przechowywała wiedzę o zdarzeniach tragicznych i wzniosłych. I to właśnie ona skrywa najdawniejsze dzieje regionu.

Apulijskie wybrzeże zamyka od północy wysoki, stromo opadający w morze przylądek Gargano. Od wschodu biegnie dalej aż do Santa Maria di Leuca, gdzie kończy się symbolicznym pocałunkiem, zapisanym w słowach *finibus terrae*. Następnie skręca ku zachodowi, żegnając się z Morzem Jońskim – morzem poetów i filozofów. W ten sposób linia brzegowa, niczym morski naszyjnik, oplata ten fragment Włoch od północy przez Salento aż po południowy obcas Półwyspu Apenińskiego. Nawet architekt nie zdołałby zaprojektować takiej linii, mierzącej bez mała pięćset kilometrów.

To natura ulokowała Apulię w samym sercu Morza Śródziemnego, rozdzielając nią Wschód i Zachód. Historia uczyniła z niej pośrednika: religijnego, politycznego, artystycznego i handlowego. Na jej wybrzeżu odbijały się echa wielu języków, pieśni i wojennych okrzyków. Tu cumowały statki z odległych krain, z wojownikami różnych narodowości, artystami i filozofami, którzy nieśli nowe idee i kształtowali kolejne cywilizacje.

Stąd na Wschód wyruszali rzymscy cesarze: Oktawian, Cezar, Antoniusz, August. Do dziś w apulijskim Brindisi stoi rzymska kolumna, niegdyś wskazująca kierunek do Rzymu – dawnego serca Imperium. Z tych samych portów wyruszali krzyżowcy do Grobu Chrystusa, a Saraceni przyплыwali na podbój chrześcijańskiego świata.

Dziś wybrzeże Apulii, po ośmiu latach mego artystycznego głodu, często boleśniejszego niż ten fizyczny z lat 1939–1945, oświetlonych jedynie reflektorami bombardowań, musi mnie zadowolić takim, jakim jest. Musi przynieść ukojenie oczom, zmęczonym brakiem sztuki i harmonii, oraz myślom, które zbyt często rzucały się z trampoliny chaosu w otchłań bezwładu.

Każdy taras jest stworzony do odpoczynku. Każdy szuka wytchnienia na swój sposób: jeden śpi, drugi siedzi, trzeci chodzi, a jeszcze inny gra w karty; pewna bułgarska poetka wyznała mi kiedyś: „najlepiej relaksuję się, obserwując... zawody lekkoatletyczne”.

Odpoczywam duchowo i fizycznie, obcując z licznymi dziełami sztuki, zanurzając się w świecie zabytków, które pozwalają mi zapomnieć o wszelkiej wulgarności życia – oczywiście pod warunkiem, że nie chodzi o sztukę, która sama w sobie jest ordynarna.

Najlepiej wypoczywam, gdy myśl oddycha i pracuje spokojnie oraz rytmicznie, nawet jeśli bez wytchnienia.

Wybrzeże Apulii zdaje się stworzone do takiego relaksu.

PĄKI W ROZKWICIE NA ZBOCZACH GARGANO

(dla Anny Greco)¹

Nie miej zbyt wielkiego zaufania do kalendarza. On też potrafi zdradzać, fałszować, oszukiwać. Opóźnia się, przyspiesza bez wyraźnego powodu.

Dziś, na przykład, każe ci wierzyć, że jest dwunastego lutego. Spójrz raczej na niebo, na morze, na Zatokę Manfredonii w kształcie sierpa. Spójrz na Gargano! Piękny wiosenny dzień skąpał wszystko w turkusowym blasku, zacierając datę w kalendarzu.

Kiedy przybywamy do Manfredonii, jest jeszcze noc, a księżyc przykryty liśią czapą, jak poetycko mówi polski naród. Niebo jest jednak czyste i daje nam do zrozumienia, że gwiazdy zarezerwowały dla nas jeden z tych dni, które z niecierpliwością wyprzedzają wiosnę. Gdy na końcu południowych wybrzeży zatoki witamy słońce, które niczym ogromny pająk zaczyna tkąć swoją złotą sieć, rozumiemy, że wiatr, pan Apulii, milknie, zawstydzony, znajdując na północy silny opór wysokiej skały.

Wiele razy patrzyliśmy na Gargano z oddali. Z Canne przypominał błękitny, płaskorzeźbiony relief na skraju nieba. Obserwowany z Castel del Monte wydawał się szaro-niebieską kurtyną, zazdrośnie skrywającą horyzont. Jednak patrząc na niego z Lucery, przybierał kształt półksiężyca z szafiru, skalnego występu, u którego stóp rozciągała się żyzna równina.

1 Nie udało się ustalić, kim była osoba, której autorka dedykowała ten rozdział. Być może chodzi o matkę (lub krewną) najwybitniejszego współczesnego archeologa, specjalizującego się w badaniach terytorium Wielkiej Grecji – Emanuele Greco (urodzonego w Taranto, w roku 1947).

Dziś widzimy charakterystyczny masyw, którego wysokość nie przekracza tysiąca stu metrów, a ściany stromo opadają niemal prosto do morza ze wszystkich stron. Masyw Gargano wyróżnia się spośród innych gór, po których wędrowałam. Zdaje się, jakby geologia – najzręczniejsza rzeźbiarka – pokryła spiętrzone ściany nierówno rzeźbionymi formami skalnymi, niczym udrapowaną w niezliczone fałdy tkaniną. W zagłębieniach kryją się naturalnie utworzone tarasy, które ludzie oczyścili ciężką pracą i obsadzili roślinnością.

Zbocza Gargano skrywają wiele tajemnic. Z daleka wydają się pokryte jedynie jałową skałą, lecz w głębi tych stoków rosną tajemnicze lasy, chłodne i zacienione, bogate w buki, dęby ostrolistne i czarne, sosny oraz kasztany. Spośród tych krajobrazów najbardziej fascynujący jest las grabowy, pełen niezwykłych, teatralnych wręcz scenerii, rodem z poetyckich legend, bajek i mitów. W innych partiach zboczy ukryty jest cenny żółty marmur, bardzo poszukiwany w budownictwie.

Głęboko wcięte fiordy wychodzą ku morzu, tworząc brzegi o niezwykłej urodzie. Małe zatoczki, osłonięte od wiatru, ze stromymi ścianami opadającymi pionowo do morza, tworzą plaże, które zapraszają do odpoczynku i słodkiego lenistwa.

Nad największą z zatok, u stóp skalnych ścian, leży Manfredonia, białe miasteczko o dość nowoczesnej zabudowie.

W porównaniu z innymi miastami regionu, jest stosunkowo młodym ośrodkiem, liczy bowiem zaledwie około siedmiuset lat. Została założona po upadku pobliskiego Siponto, które opustoszało z powodu niekorzystnych warunków terenowych i nawrotów malarii. Manfred, syn Fryderyka II, wybrał to miejsce nad zatoką nieopodal Foggii, gdzie spoczywało serce jego ojca. Po rozpoczęciu budowy zamku nadał Manfredonii prawa miejskie, przywileje oraz założył mennicę. To właśnie wtedy dawni mieszkańcy Siponto osiedlili się w nowym mieście.

Pierwszy z Andegawenów, pragnąc zatrzeć wszelki ślad po Szwabach, zakazał używania nazwy Manfredonia. Miasto przez pewien czas znane było jako „Nowe Siponto”. Lecz imię nadane przez Manfreda okazało się trwalsze niż królewskie dekrety. Andegawenowie odeszli, a Manfredonia odzyskała swoje miasto – raz na zawsze.

Patrzmy na zatokę o niemal idealnym kształcie i na najczęściej odwiedzany port w okolicach Foggii. Powietrze jest krystalicznie czyste i klarowne. Wydaje się, że niebo jest przedłużeniem morza... czy też morze przedłużeniem nieba? Nasze oczy nie są w stanie dostrzec nawet najcieńszej linii, która by je od siebie oddzielała.

Spoglądając na ogromny spokój, turkus głębin i gładką taflę żywiołu bez najmniejszej zmarszczki, trudno uwierzyć, że to właśnie tutaj woda wiele razy

spłynęła krwią. W zatoce walczyli ze sobą odwieczni rywale, dwie morskie potęgi, Genua i Wenecja, których statki, żołnierze i broń spoczęły na dnie morza.

Czterysta lat po założeniu Manfredonii miasto, po długim oblężeniu, zostało niemal doszczętnie zniszczone przez Turków, którzy wzięli mieszkańców w jasyr. Wśród nich znalazła się Giacomina Beccarini, późniejsza sułtanka Konstantynopola. Gdyby żyła dziś, byłaby sensacyjną bohaterką pierwszych stron gazet. Zostać niewolnicą, a potem panią haremu – to przecież niecodzienna kariera. A czy kariera zawsze idzie w parze ze szczęściem? Trzeba by zapytać o to ducha Giacominy. Kto wie, może w pałacu pełnym majoliki, poduszek i dywanów jej myśli uciekały ku manfredonńskiej zatoce, ku wzgórzom Gargano, ku dniom takim jak ten poranek, który dziś wita nas turkusowym blaskiem².

Szczęście można mierzyć na dwa sposoby: oczami tłumy albo drżeniem własnego serca. To jednak dwie zupełnie różne miary.

Opuszczamy brzeg i udajemy się do miasta, nie zazdrosząc Giacomie, tureckiej sułtance.

Z niszy białej kapliczki wita nas posąg Michała Archanioła, przypominając, że wkroczyliśmy na ziemię szczególnie wybraną i przepowiedzianą przez Niebiańskiego Dowódcę, na ziemię Gargano, nad którą rozpostarł skrzydła niczym nad miejscem świętym.

W regionie wiele jest podobnych kapliczek z posągami Michała Archanioła, znak wielkiego szacunku, jakim darzą go mieszkańcy.

2 Historia Giacominy (Giacometty?) Beccarini, młodej dziewczynki porwanej rzekomo przez Turków podczas złupienia Manfredonii w roku 1620, pozostała częścią zbiorowej pamięci mieszkańców miasta i regionu. Lokalna legenda łączy ją z postacią historyczną: Zafirą Hatun, słynną konkubiną sułtana osmańskiego i matką Domenica Ottomano. „Przypadek Beccarini” nie jest wymieniony w najwcześniejszych, źródłowych opisach grabieży. Późniejsze, bardziej znane wersje „jej” historii znajdują się w dziełach Cavagliero i Sarnello, opublikowanych w 1680 roku. Cavagliero twierdził, że po porwaniu Beccarini została sułtanką i urodziła syna, który później nawrócił się na chrześcijaństwo i został zakonnikiem, podczas gdy Sarnelli bardziej ubarwił swą opowieść i przekonywał, że w czasie grabieży Beccarini była 7- lub 8-letnią dziewczynką (pochodzącą ze sienieńskiej rodziny szlacheckiej, która przebywała podczas tureckiej pożogi w miejscowym klasztorze sióstr zakonnych Santa Chiara). Giacometta została rzekomo schwytana po tym, jak zakonnice ją zostawiły, a same uciekły do zamku. Wedle przekazu – po uprowadzeniu do Konstantynopola została podarowana sułtanowi i weszła do jego seraju. Dokument potwierdza wersję równoległą. Sarnelli napisał, że po tym, jak przeszła na islam i urodziła syna sułtana, statek, na którym się znajdowali, został zdobyty przez joannitów podczas bitwy morskiej w 1644 roku, a załoga zabrana na Maltę. Lokalny przekaz – przechowujący pamięć o porwanym dziecku – wciąż za nic ma twarde dowody naukowej natury. Por. np. artykuł obalający powielane przesady „w sprawie”: M. Di Sabato: *Confutata la leggenda di Giacometta Beccarini*. <https://www.manfredonianews.it/2024/03/17/confutata-la-leggenda-di-giacometta-beccarini/> [dostęp: 8.12.2025].

W drodze powrotnej wyglądamy przez okna autobusu i żegnamy spojrzeniem Manfredonię, która tonie w turkusie nieba i wody, malejąc w oczach.

Droga do Monte Sant'Angelo jest jedną z najpiękniejszych w Gargano. W tym czasie, gdy pojawiają się pierwsze oznaki wiosny, dusza rozwija skrzydła, a wraz z nią nawet autobus. Wspina się lekko przez wzgórza, najpierw łagodnie, potem coraz stromiej, pokonując serpentyny i ostre zakręty, przenosząc nas z jednej górskiej półki na drugą.

Dziesiątki naturalnych tarasów, uprawianych przez człowieka, jeszcze pół godziny temu wznosiło się dumnie ponad naszymi głowami. Teraz są już na wysokości naszych oczu, a za dziesięć minut znajdują się u naszych stóp.

Nagie drzewa, widziane z góry, układają się w zagadkowy alfabet, przypominając hebrajskie litery ułożone na stronach. W szczelinie rumowiska dostrzegamy po raz pierwszy w tym roku kwitnące drzewo, a na nim różowe pąki w kolorze jutrzenki.

Wiele obsypanych kwieciami roślin widziały w życiu nasze oczy. A jednak widok różowych pąków po zimowej zawierusze jest dla nas czymś nowym i zaskakującym.

Oto natura – w całej swojej istocie – pożerająca i pochłaniająca wszystko: życie, zwierzęta, ptaki, kamień, rośliny, robaki. Natura, w której życie i szczęście jednego opierają się na śmierci i unicestwieniu drugiego, w której sytość jednych niesie w sobie głód innych. Ta natura, najbardziej okrutna i bezlitosna, potrafi jednak stworzyć coś tak niebiańskiego jak kwitnące drzewo – symbol cudu. Z ciemnych, suchych gałęzi wyłaniają się pierwsze pąki; dziesiątki, setki, oplatając nagi szkielet bielą i różem niczym haft o najwytworniejszym wzorze. Na wyschniętych konarach odradza się życie.

Czyż nie kryje się w tej przemianie jakaś obietnica dla człowieka? Ci, którzy widzieli zbrodnie drugiej wojny światowej, teraz widzą... kwitnące drzewo.

Autobus wciąż wspina się wyżej. Dostrzegamy kolejne drzewo, i jeszcze jedno, i kolejne... Osłonięte warstwami wapiennej skały, smagane południowym wiatrem, odradzają się na skalnych tarasach po ziemi szybciej niż las w dolinie.

Oto Zwiastowanie, jakiego żaden malarz ani filozof nie stworzył. Jeśli ten widok nas nie uleczy, to co jeszcze zdoła uleczyć świat?

Zniszczeni, umęczeni przez wichury, na granicy sił, kto wie, może i my rozkwitniemy na nowo, jak te pąki drzew na zboczach Gargano.

Autobus zatrzymuje się. I w różowym cudzie – w cichej obietnicy Zwiastowania – schodzimy do królestwa Archanioła.

ANTENA – DZWONNICA NA GÓRZE GARGANO

Biblia hebrajska zapewnia nas, że siły światła i porządku ostatecznie zatryumfowały nad chaosem. Zanim Michał Archanioł zstąpił na ziemię, rozegrał swą walkę w kosmosie, pokonując bunt, a także nienawiść i stał się obrońcą porządku oraz zwiastunem pokoju. Odwieczny konflikt między światłem a ciemnością – tytaniczny dramat obecny w każdej religii i filozofii – znajduje w tym kosmicznym wydarzeniu swoje zwycięskie, pełne nadziei zakończenie.

Archanioł pokonał Szatana, uwolnił wszechświat od rewolucji i wojny oraz zjednoczył wszystkie czujące istoty pod sztandarem braterstwa i równości. Jedną z najbardziej tragicznych biblijnych kart znalazła wreszcie szczęśliwy finał.

Jednak wszystko odrodziło się na nowo wraz z pojawieniem się człowieka na ziemi. Dramatyczne starcie Abła i Kaina, opisane we wspomnianej księdze, przyniosło triumf pychy i zbrodni. Kain stał się prekursorem zaborcy, który na nieobśianej ziemi nie potrafił znieść rywalizacji ani w pracy, ani w dążeniu do sukcesu.

Biblijna walka, towarzysząca ludzkości od zarania cywilizacji i obejmująca wszystkie rasy oraz narody, trwa nadal. W świecie pełnym pasji, złej woli i gniewu każdy człowiek bierze w niej udział.

W tym kontekście symboliczny Michał Archanioł stał się bardziej niż kiedykolwiek niespodziewanym bohaterem, o którym marzy ludzkość.

Jak głosi wielowiekowa tradycja, obrońca sprawiedliwości i porządku objawiał się, by ukoić smutek i tęsknotę, wybierając zwykle sugestywne i wyjątkowo piękne miejsca, które już samą swą naturą zdają się być sceną wielkiego wydarzenia. Tradycja utrzymała opowieści o nadzwyczajnych zwiastowaniach, które miały miejsce w niezwykłych rejonach góry Gargano oraz Mont-Saint-Michel w Normandii.

Od piętnastu wieków ustna relacja, trwalsza niż pergamin, przekazuje kolejnym pokoleniom taką oto historię.

Pewnemu właścicielowi ziemskiemu z Siponto zaginął byk, zwierzę wyjątkowej urody i wartości. Szukał go przez kilka dni, aż w końcu dostrzegł samotnego na górze, klęczącego przed otworem w skale, z którego promieniowało mistyczne światło. Byk, jak zahipnotyzowany, spędził tam kilka dni w adoracji, widząc to, czego ludzkie oczy nie potrafiły dostrzec. Zirytowany włościan, nie mogąc byka sprowadzić na dół, sięgnął po łuk i strzelił do niego, lecz strzała odwróciła się i zraniła łucznika w stopę. Tajemnicza siła ocaliła zwierzę.

O tym wydarzeniu opowiedziano biskupowi z Siponto, któremu wkrótce potem we śnie ukazał się Michał Archanioł, mówiąc, że wybrał tę jaskinię na miejsce swojego zejścia na ziemię, a czyni to, by stać się wzorem dla ludzi i dać im siłę do walki ze złem.

Biskup wraz z tłumem wiernych przybył do grotty, która natychmiast rozbrzmiała boskim światłem i wypełniła się kwiatami oraz wonnościami. Zahipnotyzowany tłum ujrzał na naturalnie wykutym w skale ołtarz wizję Michała Archanioła. Tajemniczy przybysz zniknął wkrótce potem, pozostawiając na skale odcisk swojej stopy.

Gdy zastanawiano się, czy należy konsekrować groty, Archanioł ponownie ukazał się i powiedział: „Nie wy będziecie ją poświęcać, ponieważ ja sam ją wybrałem i sam ją poświęciłem”³.

W ten oto sposób na malowniczej górze Gargano we Włoszech, obmywanej przez wody Adriatyku, powstała Niebiańska Bazylika z ołtarzem niepoświęconym ludzką, lecz anielską ręką. Tyle przekazuje nam tradycja.

Za poetycką opowieścią kryje się jednak historia całkiem rzeczywista, taka, która domaga się potwierdzenia w faktach, zapisanych w rocznikach i kronikach dotyczących losów bazyliki, często bardzo szczegółowych.

Góra, znana dziś jako Monte Sant’Angelo, oraz skalna grotta stały się sanktuarium słynnym w całym chrześcijańskim świecie.

Pielgrzymowali tu królowie i święci, papieże i cesarze, kardynałowie, książęta, uczeni i artyści z Włoch, z Europy i całego świata.

Można napisać niezwykłą monografię o pielgrzymkach i orszakach, którym po drodze towarzyszyli mieszkańcy okolicznych miast i wsi, pragnąc wspólnie kontynuować modlitwę w miejscu, gdzie Pan złożył obietnicę, mówiąc:

„Tam, gdzie otwierają się skały, odpuszczane są grzechy. To jest dom wybrany przez Boga, w którym każda wina zostaje zmazana”⁴.

Otton III, który, po zabiciu Krescencjusza, senatora Rzymu, ukorzył się w swej młodości pysze i wyniosłości charakteru i udał się boso na pielgrzymkę do sanktuarium, przebywając pieszo z Rzymu sto sześćdziesiąt mil wraz z całym orszakiem ministrów i książąt. To musiała być naprawdę niezwykła podróż! Po drodze dołączali do niego duchowni oraz mieszkańcy miast i wiosek. Wśród pielgrzymów, którzy odwiedzili to miejsce, byli między innymi Henryk II Święty i Henryk III, Lotar III i Matylda z Canossy, Baldwin I i Fryderyk II, Karol Andegaweński, Alfons Aragoński, Ferdynand Katolicki oraz niemal wszyscy królowie Neapolu⁵.

3 W oryginale Alberti posługuje się łacińską wersją zapisu, którą tu przytaczamy: *Non est vobis opus dedicare, hanc quam ego dedicavi ipse enim condidit etiam dedicavit.*

4 Podobnie i tu autorka korzysta z łacińskiej formuły: *Ubi saxa panduntur, ibi peccata hominum dimittuntur. Haec est domus specialis, in qua noxialis quaeque actio diluitur.*

5 Tworzymy tylko krótkie biogramy pierwszych pięciu władców. Pozostali zaistnieli już jako bohaterowie opowieści w edycji poprzedniej (por. K. Alberti: *Dusza Kalabrii*. Wydawnictwo

Pielgrzymował tam także cały zastęp świętych: św. Tomasz z Akwinu i św. Brygida, św. Bonawentura i św. Urszula, św. Jan z Matery i św. Katarzyna ze Sieny, św. Wincenty Ferreriusz i św. Bernard⁶. Nade wszystko zaś św. Franciszek z Asyżu, który nie uznał się za godnego wejścia do seraficznej groty i pokornie uklęknął po prawej stronie, gdzie pozostawił wyryty w kamieniu grecki znak *tau*. Dziś, na pamiątkę tego wydarzenia, w tym miejscu wznosi się jego ołtarz.

Do Groty Cherubina, która przez Longobardów została uznana za narodowe sanktuarium, pielgrzymowali liczni papieże. Wizerunek Michała Archanioła zdobił wojenne sztandary, a każdy krzyżowiec zmierzający do Ziemi Świętej musiał tu uczcić swój postój.

Już z daleka widać dzwonnice, górującą nad krajobrazem niczym duchowa antena, łączącą podziemną grootę z bezkresną przestrzenią nieba. Przypomina eteryczne radio, wysyłające w świat modlitwy, westchnienia i nadzieje, w wielu językach, z wszystkich zakątków; ciche tęsknoty i najgłębsze wzruszenia ludzkich serc. Jednoczą się one u jej stóp, w cieniu murów osłaniających to miejsce przed zgiełkiem i chaosem codzienności. I może właśnie dlatego, poza swoją wartością artystyczną, wydaje się ona nie tylko piękna, ale też oryginalna.

Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2025). I tak: Henryk II Święty (973–1024) to cesarz rzymski (od roku 1014 do śmierci), święty Kościoła katolickiego, ostatni przedstawiciel dynastii Ludolfingów. Kolejny z władców to Henryk III (Młodszy), książę Karyntii i Bawarii, przedstawiciel niemieckiej dynastii Luitpoldingów. Zmarł w 989 roku. Wymieniony następnie Lotar III należał do saskiego rodu von Süpplingenburg. Był księciem Saksonii (od 1106), królem Niemiec (od 1125) i cesarzem rzymskim (od 1133). Umarł w roku 1137 nie pozostawiając męskiego potomka. Czwarta z kolei Matylda Toskańska to margrabina Canossy, władczyni Toskanii, księżna Spoleto. Żona Gotfryda IV z Lotaryngii i bliska przyjaciółka papieża Grzegorza VII. Ostatni w szeregu to Baldwin I (1058–1118) – hrabia Edessy, król jerozolimski, brat Gotfryda z Bouillon, uczestnik pierwszej wyprawy krzyżowej.

6 Uzupełnijmy biogramy dwóch mniej znanych przedstawicieli „zastępu świętych”. Pierwszy z nich to św. Jan z Matery. Wedle leksykonu: „Urodzony w Materze w 1070 roku, był eremita i około 1100 roku założył Klasztor św. Jakuba koło Ginosy (Apulia), gdzie prowadził surowe życie pustelnicze, nie zaniehbując jednak przepowiadania do ludu. Wcześniej zbliżył się do mnichów bazylianów, ale potem szukał odosobnienia. Zatrzymał się w Taranto, w Kalabrii, przebywał na Sycylii, w Bari, a następnie pielgrzymował do Ziemi Świętej. Powrócił do Apulii, gdzie podczas zwiedzania groty św. Michała ukazała mu się Matka Boża, która wskazała mu, gdzie ma wznieść opactwo. Dziś góruje ono nad Zatoką Manfredonii. Wraz z Wilhelmem z Montevergine stworzył kongregację mnichów zwanych »pulsanami« (to znaczy z opactwa w Pulsano), zgodnie z regułą św. Benedykta, rozwijającą się aż do XIV wieku. Jan zmarł w Foggi w 1139 roku”. Drugi – św. Wincenty Ferreriusz (Ferrer). Urodzony w 1350 roku, syn notariusza z Walencji. Zastąpił jako wędrowny kaznodzieja czasów schizmy awiniońskiej i rozmnożonych pontyfikatów kolejnych antypapieżów. Zwany „aniołem Apokalipsy” – wzywał do pokuty, naprawy obyczajów i reformy rozdartego sporami doktrynalnymi Kościoła. Wieszczcił zbliżający się koniec czasów. Por. *Święci na każdy dzień*. Oprac. T. Górowski. Wydawnictwo Jedność, Kielce 2011, s. 434, 246.

Trudno wyobrazić sobie bardziej czułą antenę niż dzwonnica na górze Gargano, wysyłającą w nieme uniwersum głosy modlitw i prośby o odkupienie.

POD SKRZYDŁAMI ARCHANIOŁA

Posąg Archanioła, umieszczony wysoko w niszy gotyckiego portalu, między dwoma bliźniaczymi łukami, zdaje się powtarzać słowa wyryte przy wejściu: „Straszliwy jest ten dom – tu jest dom Boga i brama niebios”⁷.

Nieważne, czy jesteś głęboko wierzący, czy jesteś zagorzałym ateistą: zejdziesz po gotyckich schodach, którymi od wieków tysiące pielgrzymów schodziło boso, z pokorą i nadzieją.

Jeśli zaś nie porusza Cię duchowa wymowa tego miejsca, może przemówią do Ciebie inne znaki: drzwi bazyliki, milczący tron biskupi i posąg Archanioła.

Apulia ma szczęście do zabytkowych drzwi. Brązowe drzwi z katedry w Troi, drzwi z grobu Boemunda w Canosie, te z katedry w Trani oraz z Bazyliki Monte Sant’Angelo należą do najciekawszych we Włoszech. Ostatnie z nich, najstarsze, wykonane w Konstantynopolu w 1076 roku, pokryte emalią i polichromią, łączą w sobie prostotę formy z odrobiną emocjonalnej subtelności nie tylko w doborze tematów, lecz także w samej technice wykonania.

Przedstawiają one żywot Archanioła, opowiedziany w dwudziestu trzech płaskorzeźbionych scenach⁸. Artysta z niezwykłą precyzją wykorzystał amalgaMAT srebra, siarki i rtęci, a także tlenki ołowiu i miedzi, by uzyskać bogatą gamę barw: niebieską, srebrną, czerwoną, zieloną i oliwkową.

Podziwiane przez historyków sztuki światowej klasy drzwi zostały wpisane do rejestru zabytków południowych Włoch jako dzieło wyjątkowe.

Niech i poeta, który w martwych rzeczach potrafi wyczuć puls życia, zabierze tutaj głos. Niech opowie coś o drzwiach, nie tylko o ich zewnętrznym pięknie, lecz także o tym wewnętrznym. Wszak nie tylko człowiek je posiada, bywa ono również darem rzeczy pozornie martwych. Drzwi były świadkiem smutków i czułości, noszą na sobie ślady zbrodni, cierpienia i bólu, wyrażają pragnienie światła i nadzieję na odkupienie. Przez to wszystko zdają się czymś więcej, mistyczną obietnicą świata zbudowanego na porządku i harmonii.

7 W oryginale inskrypcja łacińska: *Terribilis est domus iste – Hic domus Dei est et porta coeli.*

8 Ustalenie Alberti nieprecyzyjne – przedstawienie zawiera dwadzieścia cztery sceny.

Drzwi Bazyliki Monte Sant'Angelo uchodzą także za jedne z najlżejszych we Włoszech. Składają się z pięćdziesięciu sześciu segmentów przypominających skrzydła, dlatego też zwą je skrzydlatymi drzwiami.

Dwie bazyliki, ludzka i niebiańska, zlały się w idealną jedność, tworząc przestrzeń, w której połączenie nawet najmniejszych duchowych pierwiastków staje się możliwe.

Apulia miała także szczęście do tronów biskupich. Zachowało się ich kilka: jeden z nich znajduje się w katedrze w Barletcie, gdzie zajmuje miejsce dwóch filarów ambony. Drugi tron, przeznaczony dla biskupa Orsa, można podziwiać w katedrze w Canosie. Wsparty jest on na figurach słoni, które przez dziewięć wieków dźwigały jego ciężar i będą go nieść jeszcze przez kolejne stulecia. Tron z Bazyliki św. Mikołaja w Bari, należący do wielkiego opata Eliasza, jest jeszcze starszy i spoczywa tryumfalnie na dwóch zniewolonych Saracenach oraz emirze odzianym w despotyczny turban, symbolicznie wyrażając zwycięstwo nad dzikimi i niebezpiecznymi siłami. Wreszcie tron, który dziś można podziwiać w Bazylice Monte Sant'Angelo, wsparty jest na sile dwóch lwów i zdobi go wizerunek Michała Archanioła przedstawiony w płaskorzeźbie.

Spójrz w końcu na posąg Archanioła: jest doskonały w swojej bryle. Z tego względu przez długi czas jego autorstwo przypisywano Michałowi Aniołowi, z nim krytycy sztuki zgodzili się, że jest dziełem Sansovina⁹.

W półmroku grotu, zalanej srebrno-szarym światłem, w tunice i sandałach rzymskiego legionisty, z mieczem uniesionym w prawej ręce, a lewą stopą opartą na piersi pokonanego, potwornego Demona, wznosi się Archanioł.

9 Rzeczywiście „figura św. Michała Archanioła została wykonana w 1507 roku przez rzeźbiarza Andreo Contucciego, zwanego Sansovino. Ulokowano ją w srebrnej kryształowej urnie i umieszczono na bloku skalnym, pokrytym marmurowymi płytami. Figura ma wysokość 130 cm i została wykonana z białego marmuru, pochodzącego z Carrary. Ozdobiona jest skrzydłami złotego koloru, które zastąpiły oryginalne, marmurowe. Figura przedstawia księcia wojsk niebieskich w stroju legionisty rzymskiego, pod którego stopami leży pokonany szatan, ukazany pod postacią potwora z twarzą małpy, udem kozła, pazurach lwa i ogonem węża. Św. Michał przedstawiony jest na niej jako uśmiechnięty młodzieniec o kręconych włosach, w żołnierskiej zbroi, z szerokim, opadającym na ramiona płaszczem. Pomysłodawcą figury był kard. Antonio z Monte San Savino, a jej współfundatorami czterej hiszpańscy książęta, których herby rodowe umieszczono w podstawie rzeźby. Z okazji świąt figura św. Michała ozdobiana jest koroną na głowie i bransoletą z wizerunkiem orła na lewej ręce, co stanowi pamiątkę cudownej procesji św. Wawrzyńca. Miecz trzymany przez św. Michała Archanioła każdego roku 29 września niesiony jest w procesji ku jego czci”. Cyt. za: *Figura św. Michała Archanioła z grotu na Monte Gargano*. „Niedziela” 2013, nr 22, s. 2. Artykuł opracowany na podstawie: J. Bogacki: *Święty Michał na Gargano. Przewodnik po Sanktuarium*. Wydawnictwo „Michael”, Wrocław 2013.

Złote skrzydła są opuszczone jak po locie przez rozległą przestrzeń nieba. Młodzieńcza i tajemnicza twarz emanuje spokojem tego, kto wypełnił swój obowiązek. Głowa pochylona, oczy zwrócone ku pokonanemu przeciwnikowi, ale na obliczu nie znajdziesz śladu pychy. Czyn został spełniony, potwierdza to powaga postaci i spokój jej rysów, a jednak prawa dłoń wciąż unosi miecz, jakby chciała upewnić nas, że zawsze jest gotowa do walki z demonem ciemności i zła.

Jesteśmy pod skrzydłami Archanioła.

Przypomnij sobie, ile razy w życiu schodziliśmy w dół po schodach, nocą, do piwnic, gdy syrena wyła jak ryk przerażającego zwierzęcia, a nad naszymi głowami dudnił łoskot wirników samolotów. Z bochenkiem chleba pod pachą, ze zdjęciem w kieszeni, szczękając zębami z zimna, zbiegaliśmy po stopniach w głąb ziemi. Skrzydła, które miały ponieść sen człowieka ku niebu, od Ikara aż po braci Wright, zepchnęły nas niżej, głębiej pod ziemię.

I wszyscy rozumieliśmy, bogaci i biedni, bez względu na narodowość czy pozycję społeczną, po strasznych nalotach i głośnych bombardowaniach, że nasza cywilizacja potrzebuje innych skrzydeł. Jeśli ich nie stworzymy, świat nigdy nie stanie się dla nas dobrym miejscem.

W podziemnej grocie Monte Sant'Angelo marzymy o skrzydłach, które pozwolą na nowo narodzić się wartościom życia, opartym na zwycięstwie światła, i wierzymy, że antena – dzwonnica nad naszymi głowami rozniesie to pragnienie na cały świat.

ARCHITEKTONICZNA ZAGADKA

Miasto Archanioła, które już z daleka wita smukłymi dzwonicami, i gdzie w tajemnej grocie można poczuć bicie jego serca, zachęca nas do rozwiązania zagadki. Zagadki Apulii, a może i całych Włoch. Czym innym bowiem, jeśli nie tajemnicą, jest grobowiec Rotara? Trudno wyobrazić sobie dla niego bardziej odpowiednie miejsce.

Surowy, milczący, majestatyczny grobowiec jest miejscem wyjątkowym w panoramie Gargano. A jeśli góry mogą przybliżać do nieba, to chyba tylko jego: żadna inna budowla w Apulii nie zasługuje na to, by wznosić się tak wysoko.

Archeolodzy i historycy sztuki wciąż nie mają pewności, do jakiej kategorii zabytków należy ten obiekt, czym dokładnie był i jaką nosił nazwę. Nieznane pozostają także jego funkcje i przeznaczenie. Może to być baptysterium, dzwonnica, olbrzymie mauzoleum albo kościół. A może niezwykła kaplica lub, kto wie, nawet wieża.

Bernich¹⁰ nazywa go baptysterium, Fulvio¹¹ uważa za grobowiec Rotara¹², Petrucci¹³ określa mianem tajemniczego pomnika, a Bertaux¹⁴ widzi w nim dzwonnice. Wszyscy oni zgadzają się, że powstał w epoce longobardzkiej, choć są też tacy, którzy twierdzą, że znacznie później.

10 Por. E. Bernich: *L'arte in Puglia: il campanile della basilica di S. Michele sul Monte Gargano*. „Napoli Nobilissima” 1898, vol. 7, fasc. 2, s. 20–22; Idem: *Il battistero di Montesantangelo* (Ad Emilio Bertaux). „Napoli Nobilissima” 1906, vol. 15, s. 86–87.

11 Por. L. Fulvio: *La tomba di Rotari*. „Apulia” 1910, vol. 1, no 2, s. 175–192.

12 Rotar (łac. *Rothari*, wspominany także jako *Chrotharius*; urodzony w 606 r. w Brescia, zmarł w 652 r.). Był królem Longobardów i królem Italii w latach 636–652. Był arianinem. W 641 zdobył Genuę. 22 listopada 643 roku wydał Edykt Rotara (Edictum Rothari) – zbiór praw przyjęty przez zgromadzenie wojowników longobardzkich. Pamięć o Rotarze związana jest przede wszystkim ze słynnym edyktem, ogłoszonym w pałacu królewskim w Pawii 23 listopada 643 roku, którym skodyfikował prawo longobardzkie, dotąd przekazywane ustnie. Edykt wprowadził istotne nowości, takie jak zastąpienie dawnej faidy (prywatnej zemsty) przez *guidrigild* (odszkodowanie pieniężne), oraz znacznie ograniczył stosowanie kary śmierci. Rotar prowadził liczne kampanie wojenne, które doprowadziły do podporządkowania niemal całych północnych Włoch władzy longobardzkiej. W 642 roku zdobył Ligurię (w tym Genuę i Luni) oraz Oderzo. Rządził energicznie i surowo karał książąt, którzy mu się sprzeciwiali, wielu z nich skazując na śmierć. Nie pozbawiło go to jednak poparcia i przywiązania ludu, który podziwiał w nim prawodawcę, a przede wszystkim wojownika. Także księstwo Benewentu, które za jego panowania rozszerzyło swoje władztwo, zdobywając Apulię i miasto Salerno, uznało zwierzchnictwo króla. Rotar zmarł w 652 roku i według niektórych badań został pochowany w Monzy, obok Bazyliki św. Jana Chrzciciela. Inne, nowsze badania utrzymują, że król został pochowany w kościele San Giovanni Domnarum (założonym przez Gundepergę) lub w kościele San Giovanni in Borgo w Pawii. Przez wiele lat, na skutek błędnej interpretacji inskrypcji, sądzono, że Baptysterium św. Jana „in Tumba”, zwane także Grobem Rotara, wraz z kościołem Santa Maria Maggiore, które tworzy zespół zabytkowy San Pietro, jest grobem króla Rotara (do dziś nie ma żadnej pewności, że został on pochowany w Monte Sant'Angelo). Nie wiadomo bowiem, czy longobardzki król Rotar kiedykolwiek przybył do Monte Sant'Angelo, jednak przypisuje mu się testament (Paweł Diakon: *Historia rzymska. Historia Longobardów*. Tłum. i komentarz I. Lewandowski. Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa 1995, ks. IV, rozdz. 47), w którym miał wyrazić życzenie, by tam zostać pochowanym. Z tego powodu chciano rozpoznać jego mauzoleum w tej osobiwej budowli. W rzeczywistości bardziej prawdopodobne jest, że Rotar, który zmarł w Pawii, został pochowany właśnie w tym mieście. Najbardziej wiarygodna hipoteza głosi, że Baptysterium św. Jana „in Tumba” zostało założone na początku XI wieku przez pewnego Pagana, mistrza (magistra) z Siponto, syna mistrza Martina, oraz przez Rodelgrima, sędziego (*judex*). Obaj są wymienieni w dokumencie z 1087 roku „Pergamin z Barletty” nr 2, sierpień 1087, Siponto, za panowania cesarza Aleksego; Por. R. Filangieri di Candida: *Le pergamene di Barletta del R. Archivio di Napoli (1075–1379)*. Codice Diplomatico Barese. Vol. 10, Ed. Commissione provinciale di Archeologia e Storia Patria, Trani 1927.

13 Por. A. Petrucci: *Un monumento misterioso: la tomba di Rotari*. „Emporium” 1919, vol. 50, s. 243–252.

14 Por. E. Bertaux: *L'art dans l'Italie méridionale*. Albert Fontemoing, editeur, Paris 1904, s. 679–682.



...w apulijskim Brindisi stoi rzymska kolumna,
niegdyś wskazująca kierunek do Rzymu – dawnego serca Imperium

•
•
•
•
•
•



...tajemnicza twarz emanuje spokojem tego, kto wypełnił swój obowiązek

•
•
•
•
•
•



...wieża, niegdyś symbol mitologicznych Gigantów...



...legenda głosi, że dokładnie w Cantina della Disfida...

Żaden zabytek nie ma tak skomplikowanej tożsamości. Zdaje się, że jest jedyny w swoim rodzaju i tak należy go postrzegać.

Imponujące rozmiary budowli i jej niezwykła konstrukcja natychmiast przyciągają uwagę. Wszystko podporządkowane jest architektonicznej logice: od podstawy w formie graniastosłupa przechodzimy płynnie, niemal niezauważalnie, do wieloboku zwieńczonego półkolistą kopułą. Dzięki temu całość sprawia wrażenie budowli o planie centralnym, niemal okrągłej. Mistrzowska metamorfoza została osiągnięta dzięki zastosowaniu ośmiokątnej formy, która jest połączeniem kwadratu i elipsy. Iluzja jest tak przekonująca, że archeolog Lenormant nazywa grobowiec okrągłym.

Od wieków budowle na planie koła owiane są aurą tajemnicy. Wystarczy wspomnieć fascynujący Panteon. Formy centralne, okrągłe, mają znaczenie symboliczne i często pełniły rolę pomostu między światem doczesnym a wiecznym. Wybór koła jako podstawy architektonicznej wydaje się więc głęboko znaczący. Świadczą o tym Mauzoleum Augusta, Grób Cecylii Metelli czy Mauzoleum Hadriana. Ta tradycja przetrwała wieki od czasów starożytnych aż po monumentalny grób Napoleona w Paryżu.

Uczucie podniosłości ogarnia nas już w chwili przekroczenia progu. Spodziewamy się wnętrza na planie koła, a tymczasem trafiamy do pomieszczenia o równych bokach. Skąd ta paradoksalna sprzeczność? I dlaczego kwadrat, za chwilę, zgubi swą kwadraturę?

Spróbujmy rozwikłać tę zagadkę. Ściany mauzoleum zdobią potężne, gotyckie łuki, niektóre delikatnie unoszą się ku górze, łagodząc ostrość geometrycznych krawędzi. To dopiero początek.

Przyglądamy się uważnie. W każdej arkadzie kryją się pomniejsze łuki, które krzywiznami skutecznie łagodzą sztywność bryły. Jednak zdaje się, że architekt nie był do końca usatysfakcjonowany z osiągniętego efektu. Znał doskonale wyzwanie formy i za wszelką cenę chciał je przezwyciężyć.

W narożnikach dobudował więc półkolumny o miękkich, harmonijnych kształtach, na których opierają się łuki, subtelnie zasłaniające kąty kwadratu. Architekt porzucił sztywną geometrię, wyciągając bryłę ku górze, nadając formie nowy wyraz i złagodził ostrość kątów.

W drugim porządku budowli genialny twórca projektuje narożne łuki w stylu romańskim. Projekt finezyjnie przełamuje nieugiętą sztywność kwadratu, łamiąc klasyczny porządek i nadając całej konstrukcji lekkość oraz harmonię, nie naruszając przy tym ani jednego elementu fundamentu.

Kwadrat został pokonany, ale dalej nie wiemy, w jaki sposób z kwadratu może wyrastać kopuła? Architekt znalazł rozwiązanie: środkowy poziom ma

formę ośmiokątą, która pnie się aż do półkulistego zwieńczenia. Tu zadowolony ze swego dzieła zawołał: Eureka!

Wychodzimy i wchodzimy ponownie. To bezsprzecznie okrągłe mauzoleum! Uśmiechamy się. Może Lenormant się mylił? Może nie chodziło o racjonalność architektoniczną, lecz poetycką iluzję, jeśli można tak to ująć!

Zagadka mauzoleum została rozwiązana. Teraz zwróćmy uwagę na kapitale, one również kryją w sobie tajemnice, czekające na nowe odczytanie. Scena z osłem, wyryta na jednym z nich, czy ukazuje oślicę Balaama, biblijną ucieczkę do Egiptu, czy może biblijny wjazd do Jerozolimy? A inny kapitel – czy przedstawia anioła zwiastującego pasterzom narodziny Jezusa, czy może alegorię polowania? Na jeszcze innym widnieje Tobiasz ze swoim wiernym psem, czy Abraham gotowy złożyć Izaaka w ofierze? Odgadywanie może stać się przyjemną rozrywką.

Dwanaście prostokątnych okien na pierwszym poziomie od dołu obudowanych jest konsolą-parapetem, który wyraźnie obramowuje kwadratową formę. Nad ośmioma biforiami w drugim rzędzie widać zagadkowe płaskorzeźby, godne przybytku, w którym się znajdujemy.

Dziesiątki kapryśnych i dziwacznych figur o okrutnym wyrazie twarzy zdają się przypominać właścicielowi grobowca, że jego pielgrzymka do zaświatów zaczyna się od spotkania z upiorami. Motyw węża pojawia się tu wielokrotnie: raz pożera pierś nagiej kobiety, innym razem kąsa stopę postaci wychodzącej z ust mężczyzny. Upiorne zjawy, inspirowane kulturą Wschodu, alegoryczne maski, przerażające zwierzęta, potworne ludzkie twarze, zwierzęta z pasją gryzące własne ogony, motywy kwiatowe, figury geometryczne i nierealne motyle symbolizują namiętności i grzeszne popędy, które towarzyszyły człowiekowi w jego ziemskim życiu.

Pozostaje jedynie odczytać niepokojące symbole, iluzje, parabole i kamienne metafory, które i dziś, w epoce najbardziej dziwacznych i sadystycznych form, bez wątpienia zdobyłyby palmę pierwszeństwa na wystawach awangardy.

Największą zagadką pozostaje jednak budowniczy mauzoleum. To postać o silnej indywidualności, której nie da się przypisać żadnej znanej tradycji. Tak oryginalna, że bez wahania można by ją zaklasyfikować jako *unicum*. Kim był budowniczy grobowca godnego największych władców świata?

Wielu historyków zgadza się co do jednego: budowla powstała w drugiej połowie XI wieku. Nie brakuje jednak i takich, którzy doszukują się jej początków znacznie wcześniej.

Tajemnicza galeria z pierwszego rzędu okien również zdaje się coś ukrywać – nikt nie wie, dlaczego ją wybudowano. Równie zagadkowe są schody

prowadzące ku kopule, które w grobowcu wydają się zupełnie niepotrzebne. W późniejszych czasach zbudowano tam dzwonnice, w tym celu tymczasowo usunięto kolumnienkę przedzielającą biforium, gdzie zawieszono dzwon. Jeśli rzeczywiście miało to być baptysterium, zatem skąd się wzięły liczne groby odkryte podczas ostatnich prac konserwatorskich? Może budowla pełniła wiele funkcji: grobu, mauzoleum, kaplicy, wieży, a może nawet obserwatorium gwiazd?

Nazwa „grobowiec Rotara” nie odpowiada prawdzie historycznej. Rotar, król Longobardów, został przecież pochowany w Pawii, stolicy ich królestwa. Kto więc naprawdę spoczywa pod monumentalną, wciąż nie do końca zbadaną budowlą?

I dlaczego właśnie Monte Sant’Angelo? Dokumenty, kroniki i świadectwa, które mogłyby rzucić światło na tajemnicę grobowca, zaginęły bez śladu¹⁵.

Przyjedź do Monte Sant’Angelo i zmierz się z zagadką, która od wieków wymyka się jednoznacznym interpretacjom. Więcej emocji niż przy najtrudniejszym dziennikarskim śledztwie – gwarantowane.

DWA POSIĘKI NA MONTE SANT’ANGELO

Można by sądzić, że tak słynne miejsca jak Niebiańska Bazylika czy grobowiec Rotara całkowicie przyćmiły Monte Sant’Angelo. A jednak to nie do końca prawda.

Bazylika to opowieść sama w sobie, grobowiec Rotara – prawdziwa zagadka. Oba te wątki są jednak częścią większej historii, tak fascynującej, że warto poznać ją w całości.

W Apulii trudno znaleźć miasto położone tak dumnie i godnie jak Monte Sant’Angelo. Rozciągnięte na tarasach masywu Gargano, przypomina orła stawiającego czoła wszelkim wiatrom. Wierne wysoko położonemu gniazdu, z pewnością nie zniżyłoby się do życia na równinach, choćby miało ono być spokojniejsze.

Monte Sant’Angelo nie może poszczycić się antycznym rodowodem, ale nosi herb starszy niż wiele miast Japigii i Messapii. Jego patronem jest Michał Archanioł, postać dawniejsza niż większość bohaterów epoki wojny trojańskiej.

15 Przegląd hipotez badawczych na temat przeznaczenia i możliwych funkcjonalności obiektu przynosi wnikliwe studium historyczno-antropologiczne Marii Rosarii Rinaldi. Por. Eadem: *San Giovanni in Tumba a Monte Sant’Angelo*. „Arte Medievale” 2005, no 1, s. 51–70.

To właśnie mit, przywieziony przez przybyszów z odległych krain, inspirował pierwszych osadników do zakładania miast w tym regionie.

Monte Sant'Angelo ma nietypową historię. Większość ośrodków powstawała w podobny sposób: najpierw stawiano kilka domów, z czasem dołączali kolejni pionierzy, tworząc zalążek osady. Dopiero gdy zebrała się odpowiednia liczba mieszkańców, budowano kościół i siedzibę barona, a na końcu pojawiał się zajazd.

W przypadku Monte Sant'Angelo było odwrotnie. Zanim powstał pierwszy dom, istniała już Niebiańska Bazylika. Pielgrzymi przybywający w góry potrzebowali jedzenia i odpoczynku, więc z czasem zaczęto wznosić pierwsze schronienia, tak zwane *xenodochia*¹⁶. Monte Sant'Angelo zaczęło się więc od tego, co w innych miastach jest już oznaką bardziej zaawansowanego rozwoju. Istnienie bazyliki pociągnęło za sobą budowę domów mieszkalnych, a wraz z napływem ludzi powstała gospoda.

Przed rokiem 1000 małe osady żyły zwykle odcięte od świata. Kontakty z innymi miejscowościami oznaczały wtedy prawdziwą wyprawę, a spotkanie obcego – było rzadkie i zaskakujące.

Przez Monte Sant'Angelo codziennie przewijały się niezliczone pielgrzymki, pochody w egzotycznych strojach, słychać było rozmowy w obcych językach z najdalszych zakątków Włoch i świata. Królowie, książęta, damy nie robiły już na mieszkańcach większego wrażenia, którzy stawali się w ten sposób bardziej ucywilizowani. Cesarze, papieże, kardynałowie nie przybywali tu dla ceremonii reprezentacyjnych czy przemówień, ale często jako pokutnicy, boso, bez oznak chwały i bogactwa, w pokorze. Można było podejść do nich, dotknąć ich, porozmawiać. Na Monte Sant'Angelo trzeba było się wspiąć, ale sami mieszkańcy rzadko schodzili na niziny. Kontakt ze światem zewnętrznym uczynił z miasta miejsce, które z pokolenia na pokolenie wpoilo mieszkańcom otwartość i szerszą wizję życia. Kto widział króla kroczącego boso w akcie pokuty, nie dziwił się już niczemu. To znak, że nie znał ciasnoty ducha typowej dla prowincji.

16 *Xenodochium* to wczesnochrześcijańska i bizantyńska instytucja charytatywna o funkcji schronienia dla podróżnych, pielgrzymów i ubogich, powstająca od IV w. n.e. przy klasztorach, kościołach i w miastach. Uważane za poprzedzające szpitale i przytułki, *xenodochia* łączyły funkcje noclegowe, opiekuńcze i religijne. Budowano je z inicjatywy biskupów, mnichów lub świeckich fundatorów jako wyraz miłosierdzia chrześcijańskiego (*caritas*). Były jednymi z pierwszych instytucji zorganizowanej opieki społecznej w świecie późnorzymskim i wczesnobizantyńskim. Często stanowiły część większych kompleksów (wraz z leprozoriami, nosokomiami, gerontokomiami). Por. G. Ferngren: *Medicine and Health Care in Early Christianity*. The Johns Hopkins University Press, Baltimore 2009.

Jednocześnie przez wieki rozwijał się tu handel artykułami dewocyjnymi, z których najbardziej poszukiwanym produktem były figurki Archanioła. Ich wytwarzanie, aż do momentu utraty królewskiego przywileju, było zastrzeżone wyłącznie dla wybranych rzemieślników w całym królestwie. Wszystko to zaaszczepiło w ludziach pewną uprzejmość, towarzyskość oraz łagodny sposób bycia i gościnność. Mieszkaniec Apulii, który zwykle bywa dość oschły i niechętny do bratania się, w Monte Sant'Angelo staje się uprzejmy i ugrzecznony.

W widocznym miejscu na wzgórzu wybudowano pierwszy zajazd, który stał się niemal symbolem miasta.

Na górze jest także wiele punktów widokowych. Znajdują się one w miejscach, gdzie domy z tarasami wychodzą niemal za krawędź urwiska. Tam znajdziesz najpiękniejsze panoramy, a może to one znajdą Ciebie. Jest ich tak wiele, że trudno oderwać od nich wzrok.

Komin może wydawać się bardzo prozaicznym elementem konstrukcji i trudno go porównać do romantycznego balkonu, tajemniczej loggii czy wysokiego tarasu. W Monte Sant'Angelo kominy nie są banalne: przybrały egzotyczne formy i oglądane z góry nie wyglądają już tylko jak elementy funkcjonalne, lecz przypominają gościnne wieżyczki na kształt miniaturowego zamku, ozdobionego niczym kamienny wartownik. Nie spotkałam się wcześniej z tym typem budownictwa. Małe bastiony, blanki i dziesiątki stopni schodzących po zboczu nadają całemu miastu wygląd cytadeli z odległego średniowiecza, tak innej od budowli dwudziestowiecznych, i właśnie dlatego fascynujące.

Prozaiczna konieczność, podyktowana klimatem, przekształciła się w niezwykły ornament i tchnęła poezję... w kominy. A jeśli trafi się dom z wnęką i statuą Archanioła nad wejściem na czternastej kondygnacji, z łatwością może uchodzić za pałac władcy.

W Monte Sant'Angelo znajduje się także okazały zamek, należący do słynnej trójcy warowni na Gargano, obok Rocca Sant'Agata i Castel Pagano. Twierdza ta przetrwała panowanie Szwabów, Andegawenów i Aragończyków. Zarządzali nią kasztelanowie noszący tytuł *miles*, czyli rycerza, a jednym z nich był słynny architekt Pietro d'Angicourt. Zamek odegrał istotną rolę w średniowiecznym feudalnym porządku: był opiekunem i schronieniem mieszkańców w czasie oblężeń. Rezydencja możnowładców była świadkiem zarówno uniesień, jak i niewoli, słyszała modlitwy tych, którzy klękali u jej bram, i lameny tych, którzy mogli zostać ułaskawieni. Z sali honorowej do cel w Wieży Gigantów jest zaledwie kilka kroków. Zamek gościł też piękne damy: Agnieszkę z Durazzo, Margheritę Sanseverino, Andronicę Komnenę, żonę słynnego Skanderbega, Elvirę di Cordova, córkę Wielkiego Kapitana, oraz Klemencję, córkę

Rudolfa Habsburga¹⁷. Niektóre przechadzały się po komnatach w diademach i perłach, rodziły dzieci w złotych kołyskach; inne, jak Filippa z Antiochii, siostra srogięgo Konrada, żyły uwięzione w lochach wieży.

W pobliżu Wieży Gigantów odkryto liczne grobowce, co wskazuje, że teren ten pełnił niegdyś funkcję cmentarza przyzamkowego. Co mogą nam powiedzieć te kości? Jeśli nie znajdzie się przy nich żadnego napisu ani godła, nie sposób odgadnąć, czyje to szczątki, dostojnika czy sługi. Rozkład ciała po śmierci przebiega u wszystkich tak samo. Śmierć usuwa wszelkie różnice, ofiarowując nagim kościom to, czego życie nie potrafiło dać, gdy jeszcze poruszały się, mówiły i były odziane w ciało i skórę: sprawiedliwość i ideę równości. To jedna z tych prawd, potężniejsza niż wszystko, co zrodziło życie, zapisana w samej konstytucji śmierci.

Z tą myślą, bez lęku, lecz z goryczą wobec zasad wytyczonych przez życie, wspinamy się na szczyt. Widok jest rozległy: w dole morze sięga krańca nieba, w oddali przestrzeń zdaje się rozlewać bez końca, na północy przecinają ją zarysy lasów, a za plecami wznoszą się wieże miasta.

U naszych stóp rozciągają się ruiny zamku, świadectwo minionych epok, których doświadczyła Europa, podążając ku swojemu przeznaczeniu. Miasto, zaszczycone otrzymaniem przywileju Signoria Dell'Onore¹⁸, widziało zarówno

17 Agnieszka z Durazzo (1344–1383) była córką Karola z Durazzo, pochodziła z rodu Andegawenów, małżonka Cansignoria della Scala i Jacquesa des Baux, wpływowa postać w polityce południowych Włoch XIV wieku; Andronika Komnena to żona Gjergja Kastrioti Skanderbega, albańskiego wodza narodowego z XV wieku. Pochodząca z bizantyjskiego rodu Komnenów, symbolizowała sojusz między Albańczykami a Bizancjum. Por. J.V.A. Fine: *The Late Medieval Balkans*. University of Michigan Press, Ann Arbor 1987; Elvira di Cordova była córką Gonzala Fernándeza de Córdovy (1453–1515), słynnego hiszpańskiego wodza i kondotiera znanego jako Wielki Kapitan. Elvira była członkinią arystokratycznej rodziny, związanej z hiszpańską elitą wojskową i polityczną końca XV i początku XVI wieku. Jej pozycja była ważna w kontekście dynastycznych i politycznych sojuszy na Półwyspie Iberyjskim. Por. J.H. Elliott: *Imperial Spain 1469–1716*. Penguin Group (USA) Inc., New York 2002.

18 Honor Monte Sant'Angelo został ustanowiony w lutym 1177 roku przez Wilhelma II Dobrego, króla Sycylii (1166–1189), jako domena, „w której sprawuje się władzę wyższą niż feudalna” (P.F. Palumbo), w uznaniu prestiżu związanego z Sanktuarium, czyli ze świętością miejsca. Terytorium to obejmowało – oprócz stolicy Monte Sant'Angelo – także Siponto, Vieste, Lesinę, Peschici, Ritum (być może dzisiejsze Rodi Garganico), Carpino, Cagnano, Sfilzi, Candelaro, Versentino, Lanzano oraz klasztory San Giovanni in Lamis i Santa Maria di Pulsano wraz z ich posiadłościami. Honor został przekazany jako wiano Joannie, córce Henryka II, króla Anglii (1154–1189), i żonie wspomnianego króla Wilhelma. Gdy Ferdynand I Aragoński, król Neapolu (1458–1494), musiał schronić się w Barletcie, aby uniknąć ataku Andegawenów, został tam obleżony i uratowany dzięki interwencji Skanderbega. W dowód wdzięczności król w 1464 roku nadał albańskiemu księciu w lenno księstwo Monte Sant'Angelo, obejmujące także San Giovanni Rotondo, czyli dawny Honor.

blaski, jak i cienie wieków, które dla nas dziś jawią się jako świat barbarzyńców, lecz po drugiej wojnie światowej straciły wiele ze swego okrucieństwa.

Pięciokątna wieża, niegdyś symbol mitologicznych Gigantów, rozpadła się. Więzienne cele zostaną wybudowane w nowym miejscu, ponieważ kolejni Giganci dziś budują następne więzienia.

W malutkim Monte Sant'Angelo zachowało się dwanaście zabytkowych kościołów. Jeden z nich, z IX wieku pod wezwaniem św. Piotra, został rozebrany podczas prac renowacyjnych, by odsłonić widok na grobowiec Rotara. Jedyną pamiątką po nim pozostała wdzięczna absyda.

Oprócz zabytków pamiętających dawne czasy, w Monte Sant'Angelo znajduje się też płyta nagrobna z 1948 roku, gdzie spoczęły szczątki Giovanniego Tancredi. Nie jest to tradycyjny nagrobek, nie wykonano go z kamienia czy metalu, lecz ze stosów książek tworzących barwną mozaikę, w której kartki rozkładają się w różnorodnych kolorach. Jeśli można pisać o pomnikach jak o ludziach, to z pewnością można też opowiadać o człowieku jak o pomniku.

Giovanni Tancredi zapisał się pięknymi zgłoskami w kronikach Gargano. Był autorem ponad trzydziestu dzieł z zakresu pedagogiki, historii i folkloru. Dzięki swojej niezwyklej pracy, erudycji i sumienności przywrócił blask zabytkom miasta oraz całemu regionowi¹⁹.

Przybyliśmy do Monte Sant'Angelo głodni. Jednak oprócz piękna krajobrazu człowiek żyje tu przede wszystkim chlebem, lepszym niż gdzie indziej.

„Signoria dell'Onore” i „Honor Montis Sancti Angeli” odnoszą się zasadniczo do tego samego pojęcia: do szczególnego lenna związanego z Monte Sant'Angelo, obdarzonego znaczącymi przywilejami, odróżniającymi je od innych lenn, zwłaszcza dla rodziny, która je posiadała, takiej jak Andegaweni (d'Angiò), powiązanej z ochroną Sanktuarium i administracją okolicznego terytorium. Łaciński termin „Honor” (Onor) oznacza tu godność i posiadanie tego lenna. Signoria dell'Onore nie była klasycznym lennem, lecz zespołem przywilejów i praw nadanych przez Koronę, zwłaszcza od XIV wieku, które uczyniły Monte Sant'Angelo bytem niemal autonomicznym, znajdującym się pod królewską ochroną. Por. P.F. Palumbo: *Honor Montis Sancti Angeli*. „Archivio Storico Pugliese” 1953, no 6, s. 306–370.

19 Giovanni Tancredi to włoski pedagog, etnograf i muzealnik, jeden z najważniejszych badaczy kultury i tradycji regionu Gargano. Urodził się 2 września 1872 roku w Monte Sant'Angelo, gdzie zmarł 2 listopada 1948. Jego działalność: naukowa i społeczna, miała istotny wpływ na dokumentację, ochronę i promocję dziedzictwa kulturowego południowych Włoch. Założył między innymi placówkę „Ricreatorio” – miejsce wsparcia i edukacji dla dzieci, a także bibliotekę ludową. Tancredi wyróżnił się jako badacz dialektu garganickiego, twórca pierwszego słownika regionalnego *Vocabolario dialettale garganico* (1913–1915) oraz autor licznych prac dotyczących folkloru, historii i tradycji regionu. W 1925 roku założył Museo delle Arti e Tradizioni Popolari del Gargano w Monte Sant'Angelo, które stało się centrum dokumentacji i popularyzacji kultury ludowej południowych Włoch. Por. G. Piemontese: *Giovanni Tancredi. La vita, le opere, l'epoca*. Bastogi Editrice, Foggia 2013.

Usiedliśmy na prostym krześle w jednej z piwniczek, by się nim rozkoszować. Jeden kawałek, drugi, trzeci... i wtedy popłynęła poezja chleba, strofa po strofie, pierwsza, druga, trzecia... aż wreszcie czwarta i piąta. Sączymy gęste, aromatyczne wino. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek jadłam lepszy chleb. Brałam udział w wielu wystawnych ucztach na całym świecie, ale posiłek zjedzony w prostej piwniczce, gdzie chleb i wino tworzą idealną całość, ma w sobie coś niemal uroczystego, dorównuje uczcie ducha, której oddaliśmy się rano, odkrywając krajobrazy, historię i zabytki.

Po dwóch posiłkach opuszczamy Monte Sant'Angelo syci na ciele i na duszy.

CUDA BARLETTY

Barletta, dziś niewielkie miasto znane z eksportu win, skrywa w średnio-wiecznych uliczkach, katedrze, zamku i małym porcie ślady odległej przeszłości. Ten niezwykle malowniczy port mógłby stać się natchnieniem dla malarza marynisty, który szuka wyrazistych motywów. W starożytności zapewniał schronienie rzymskim legionom, a osada Bardulum była znana już w IV wieku p.n.e. W kolejnych stuleciach, podobnie jak inne porty po tej stronie Adriatyku, osada stała się świadkiem wypraw krzyżowych, rozbrzmiewającym pieśniami, którymi krzyżowcy żegnali Europę.

Wzniesiony tuż nad brzegiem przejrzystej wody zamek należy do szlachetnej rodziny warowni szwabskich i nosi wszystkie cechy charakterystyczne tej architektury: monumentalność i elegancję.

Miasto było świadkiem ważnych wydarzeń historycznych. Tutaj gromadzili się baronowie królestwa, by wysłuchać, jak Fryderyk II Hohenstauf zrzuca się tronu. Tu, w katedrze, koronowano Ferdynanda I Aragońskiego. Po ulicach Barletty, które dziś przypominają bardziej filmową scenografię niż prawdziwe życie, kroczyły niegdyś orszaki i mknęły kawalkady jeźdźców w bogatych strojach.

Być może i dziś oczyma wyobraźni dostrzeżesz procesję wychodzącą poza mury miasta, by powitać powracających bohaterów. Duchowni w uroczystych szatach niosą wizerunek Madonny, pędzla Paola Serafina z Modeny²⁰, otoczeni

20 O Paolu Serafinim niemal nic nie wiadomo, nawet data jego urodzenia jest nieznana; przypuszcza się, że urodził się około 1349 roku, czyli w roku ślubu jego ojca, bardziej znanego Serafina de Serafini z Modeny (poświadczonego w dokumentach w Modenie i Ferrarze w latach 1349–1393). Natomiast o synu Pawle do dziś nie wspomina żaden dokument. „Madonna z Dzieciątkiem i Chrystus Błogosławiący” (Barletta, katedra) to jedyna tablica autograficzna artysty, a zarazem jego najważniejsze i najlepiej przebadane dzieło. Miklos Boskovits w *Pittura fiorentina, alla vigilia del*

tłumem wiernych śpiewających psalmy. Jeśli zdołasz ożywić tamtą epokę, z pewnością ujrzysz słynnego Bajarda²¹, uosobienie rycerskości, Prospera Colonnę²² oraz trzynastu zwycięskich Włochów i tyluż pokonanych Francuzów.

Rinascimento: 1370–1400 (Edam, Firenze 1975) uznał za pewne, że malarz przebywał w tym apulijskim mieście, dokąd „musiał udać się jeszcze jako bardzo młody [...], aby wykonać obrazy zachowane w katedrze, w dość wczesnej dacie” (ibidem, s. 152). Pod postacią Maryi, na rozwiniętym zwoju, widnieje gotycka inskrypcja: *Virginis intacte cum veneris ante figuram pretereundo cave ne sileatur Ave gracia plena. Paulus filius magistri Serafini de Serafinis pictoris de Mutina pinxit*, czyli: „Gdy dojdiesz przed wizerunek Dziewicy nieskalanej, przechodząc obok, uważaj, aby nie pominąć pozdrowienia: Zdrowaś pełna łaski. Paweł, pierworodny syn malarza Serafina de Serafini z Modeny, namalował”. Inskrypcja ta bez żadnej wątpliwości identyfikuje Pawła jako autora dzieła. Madonna z Dzieciątkiem znana jest jako „Madonna della Sfida” (Madonna Wyzwania), ponieważ w 1503 roku, niesiona w uroczystej procesji, powitała powrót do miasta trzynastu Włochów zwycięskich nad Francuzami. Mówi się też, że przed walką pojedynkujący się rycerze modlili się przed tym wizerunkiem, prosząc o jej potężne wstawiennictwo. Obraz jest w Barletcie otaczany wielką czcią; w 1926 roku ozdobiono go srebrną ramą oraz dwiema srebrnymi, wysadzonymi kamieniami koronami na głowach Maryi i Dzieciątka, a niedawno umieszczono go za głównym ołtarzem katedry.

21 Pierre Terrail de Bayard (ur. 1473/1476, zm. 30 kwietnia 1524) był francuskim średnowiecznym przywódcą i rycerzem, później zitalianizowanym jako Baiardo. Wyróżnił się podczas wojen włoskich XVI wieku, dlatego też nadano mu kilka przydomków, na przykład „rycerz bez skazy i bez strachu” czy „dobry rycerz”. Uważany jest za ostatniego wielkiego przedstawiciela średnowiecznej rycerskości. Ze względu na swoją heroiczną postać oraz udział w wojnach włoskich, często bywa błędnie zaliczany do uczestników „Wyzwania Barletty”, ale źródła nie potwierdzają, że należał do trzynastu wyzwanych Francuzów. Pojedynek zakończył się zwycięstwem Włochów, a Bajard, choć nie brał w nim udziału, stał się częścią rycerskiej epopei związanej z tym wydarzeniem. Por. Victor Rivera Magos: *Alla vigilia dell'assedio. Fonti per lo studio di Barletta tra XV e inizio XVI secolo*. In: *La Disfida di Barletta Storia, fortuna, rappresentazione a cura di Fulvio Delle Donne e Victor Rivera Magos*. Viella, Roma 2017.

22 Prospero Colonna urodził się w 1452 roku w Lanuvio, zmarł 30 grudnia 1523 roku w Mediolanie. Czasami określany jako Prosper Colonna, był włoskim kondotierem (*condottiero*). Był aktywny podczas wojen włoskich i służył Francji, Hiszpanii, Świętemu Cesarstwu Rzymskiemu i różnym państwom włoskim. Prospero Colonna w dziele F. Guicciardiniego *Storia d'Italia IV* (Laterza, Bari 1929, s. 212–213) funkcjonuje jako archetyp „rozwąznego wodza” (*prudente capitano*), który reprezentuje zmagania Włochów o utrzymanie znaczenia w dobie obcych inwazji, przede wszystkim francuskich, działając jednocześnie w imię interesów swojego rodu i hiszpańskich patronów. Guicciardini charakteryzuje Colonnę jako dowódcę, który prowadził wojnę „bardziej radą niż mieczem” (*più co' consigli che con la spada*), stawiając na strategię, ostrożność i dyplomację ponad bezpośrednie starcia na polu bitwy. Warto wspomnieć, że Prospero Colonna odegrał kluczową rolę jako jeden z głównych eskortujących Bonę Sforzę podczas podróży z Manfredonii do Krakowa (3 lutego 1518 do 15 kwietnia 1518). Jego obecność podnosiła rangę orszaku i gwarantowała bezpieczeństwo w obliczu potencjalnych zagrożeń politycznych i wojskowych. Podróż Bony została uwieczniona przez Colantonio Carmignano *Viaggio della Serenissima S. Bona Regina in Polonia* (Lithos, Roma 2018). Właśnie Colonna zamówił u Carmignano relację z tej podróży i autor we wstępie składa mu ogromne wyrazy wdzięczności. Również w capitulo XII, v. 1–12 w dniu przybycia do Krakowa umieszcza Colonnę jako centralną postać tej historii.

Choć minęły stulecia, a mentalność ludzi XVI wieku różni się od naszej, tamto wydarzenie porusza problem uniwersalny i wciąż aktualny. Uogólnianie cech narodowych jest naiwne i niebezpieczne. Francuscy rycerze wyśmiewali Włochów, oskarżając ich o tchórzostwo. Pycha Francuzów została ukarana, ponieważ trzynastu Włochów pokonało obcych w walce. Choć pojedynek miał miejsce przy drodze Andria–Corato, to zniewaga, która go sprowokowała, wydarzyła się w Barletcie, a legenda głosi, że dokładnie w Cantina della Disfida. Stąd właśnie wzięła się nazwa tego wydarzenia: pojedynek z Barletty²³.

Dziś byłby on wydarzeniem sportowym, zakończonym wynikiem 13:0. A sama Madonna, tak ciekawa ujrzeć bohaterów, miała, jak głosi legenda, opuścić ołtarz katedry wraz z Dzieciątkiem, by osobiście powitać zwycięzców. To jedna z najbardziej romantycznych historii Apulii, uwieczniona w wielu obrazach, opisana w poematach i wspomniana w powieści pt. *Ettore Fieramosca* autorstwa Massima D'Azeglia²⁴. Wynik tego starcia, rozegranego w imię chwały i odwagi, przez stulecia pozostał symbolem narodowej dumy. Jeszcze trzysta lat później wywoływał tak silne emocje, że żołnierze Napoleona zniszczyli pomnik upamiętniający dowód włoskiej waleczności.

Katedra, choć nosi ślady wpływów gotyku, pozostaje jednym z symboli nurtu architektonicznego nazwanego romańsko-apulijskim. Budowla nie została wzniesiona w pełni w tym stylu, jednak wyrażnie powieli jego charakterystyczne cechy, siłę i surowość. Zamknięta w pierścieniu wąskich uliczek, zdaje się sercem miasta, przez które przepływają wszystkie jego emocje. Od strony morza katedra zyskuje więcej przestrzeni; miasto pragnie w ten sposób ukazać przybyłom swojej największą dumę.

23 „Wyzwanie z Barletty” zostało przez nas ujęte już w poprzedniej edycji. Por. K. Alberti: *Dusza Kalabrii...*, s. 302.

24 Powieść historyczna autorstwa Massima d'Azeglia, osnuta wokół autentycznego wydarzenia – pojedynku w Barletcie z 1503 roku, w którym trzynastu włoskich rycerzy pod wodzą tytułowego Ettore Fieramosca staje do walki z trzynastoma Francuzami, w obronie honoru narodu włoskiego. Dzieło, utrzymane w duchu romantyzmu i patriotyzmu, miało istotną rolę w procesie kształtowania włoskiej tożsamości narodowej. Łączy elementy fikcji literackiej z faktami historycznymi, wprowadzając postacie autentyczne i fikcyjne, m.in. Fanfullę da Lodi, Elvirę czy Ginevrę. Utwór był nie tylko ważnym głosem literackim na rzecz jedności Włoch, ale także jednym z pierwszych przykładów włoskiej powieści historycznej inspirowanej modelem walterskotowskim. Dzięki połączeniu treści patriotycznej, przygodowej i dydaktycznej książka zyskała szeroką popularność, także poza środowiskiem literackim. Była wielokrotnie wznawiana, adaptowana teatralnie i filmowo (w 1915 i 1938 roku), a tytułowy bohater stał się wzorem włoskiego rycerza i patrioty. Por. *Dizionario biografico degli Italiani*. Ed. A.M. Ghisalberti. Vol. 33. „D'Azeglio”, Istituto della Enciclopedia Italiana, Roma 1987.

Jej fundatorzy to postacie nietuzinkowe. Można wymienić wśród nich Ryszarda Lwie Serce i Roberta Guiscarda. Najciekawszą dekoracją katedry są zwierzęta wyrzeźbione na konsolach, tworzące imiona fundatorów. Gotyk, w pogoni za ekstrawagancją, wyraźnie stylizował figury zwierząt, często zniekształcając je aż po granice karykatury, przekształcał je w chimery i potwory, które miały obrazować lęki ziemskiego życia. Tymczasem romańskie przedstawienia zachowały poetycką autentyczność i kontemplacyjny charakter; zachwycają naturalnością, prostotą i spokojem formy. Zwierzęta z katedry wyróżniają się pod tym względem szczególnie: jedne urzekają żywym ruchem, inne zdumiewają niemal ludzką ekspresją. Wszystkie jednak dowodzą, że ich twórca obdarzył je uważnym spojrzeniem i szacunkiem, nawet jeśli symbolizowały grzech.

Wiele wydarzeń rozegrało się na brzegu Apulii, a pewnego dnia przyplłynął tu ze Wschodu statek Królowej Mórz, Serenissimy. Silny huragan zmusił załogę do wyrzucenia za burtę tajemniczego brązowego kolosa. Gdyby pomniki potrafiły opowiadać dzieje i pisać życiorysy, z pewnością byłyby to jedne z najciekawszych historii, a ów kolos, wyrzeźbiony przez Polifora, nosił cechy prawdziwego bohatera z IV wieku p.n.e. Gdyby ich nie posiadał, Wenecjanie z pewnością nie podjęliby trudu, by zabrać go ze sobą na morze. Ta niezwykła przygoda rozegrała się w XIII wieku, a kolos przez długi czas spoczywał na plaży, przysypany piaskiem i całkowicie zapomniany. Dopiero po wielu latach dominikanie z Manfredonii odłupali mu nogi i ręce, aby przetopić brąz na dzwony dla swojego konwentu. Gdyby jego twórca mógł zobaczyć to smutne kalectwo, zapewne zapłakałby gorzko; przecież marzył dla niego o wysokim piedestale i podziwie tłumu²⁵.

Pomniki nie potrafią mówić ani skarżyć się na krzywdy i niesprawiedliwości. Ich jedyną obroną jest piękno, nawet oszczędzone, pozbawione stóp i rąk, wciąż potrafi przemawiać. Piękno, które zamiast stawać się śmieszne czy odrażające, nabiera dumnej, tragicznej siły. A może właśnie w takiej okaleczonej formie staje się jeszcze bardziej wymowne.

25 Monumentalna późnoantyczna statua z brązu, przedstawiająca cesarza wschodniorzymskiego (prawdopodobnie Teodozjusza II, Walentyniana III lub Herakliusza), znajdująca się w Barletcie. Mierzy ok. 5,1 m wysokości, co czyni ją największym zachowanym posągami brązowym z czasów późnego antyku. Datowana na V–VI w. n.e., pierwotnie mogła być częścią zespołu monumentalnego w Konstantynopolu lub innej metropolii cesarstwa. Według miejscowej tradycji statua została wyrzucona za burtę statku w czasie sztormu i znaleziona u wybrzeży Apulii w średniowieczu. Od końca XII wieku znajduje się w Barletcie, gdzie przekształciła się w lokalny symbol. Styl rzeźby łączy elementy klasyczne i wschodniorzymskie z silną idealizacją portretu oraz typowym strojem ceremonialnym (paludamentum, diadem). Pomimo ubytków (brak oryginalnej lewej dłoni i insygniów) zachowana jest w bardzo dobrym stanie. Por. G. Ceraudo: *Il Colosso di Barletta tra mito e storia*. Edipuglia, Bari 2009.

Cierpliwy kolos spoczywał na plaży przez niemal dwieście lat, martwy, przysypyany piaskiem. Dopiero rzeźbiarz Alfonso z Neapolu ponownie wyrzeźbił mu stopy, a pomnik ustawiono przed kościołem Santo Sepolcro. Dziś stoi w słońcu i w kwietniowym wietrze; w prawej dłoni trzyma krzyż, a jego twarz pełna jest przebaczenia; wyraża spokojną filozofię człowieka, który wie, co myśleć o sprawach i losach tego świata.

Pokonał huragany, więzienie, upokorzenia, utratę ojczyzny. Przez lata i wieki, przysypyany piachem, zachował dawny blask, którego nie stał wiatr i błoto. Pozostaje symbolem siły, która, uformowana ze szlachetnego materiału, przeżywa wieki.

Przetrwają nie tylko pomniki, lecz także szlachetne dzieła i wiara w człowieka. One również, ukształtowane z tej samej miary co kolos, zniosą epoki upokorzenia i obojętności.

Dziś, spoglądając na pomnik, warto się zatrzymać, przyjrzyć tej postaci, podziwiać ukrytą w milczeniu uniwersalną prawdę. Niezależnie od tego, czy symbolizuje Teodozjusza, Herakliusza czy Walentyniana, pozostaje ponadczasową rzeźbą, wykutą ze szlachetnego brązu, nieprzypisana żadnemu imieniu. Jakby chciał powiedzieć: „Kto dziś jest poniżony, jutro zostanie wywyższony”. Dzieci, bawiąc się pod pomnikiem, są w stosunku do niego malutkie, przypominają mi gromadę gołębi. Jednak kolos nie imponuje mi pięciometrowym wzrostem, lecz burzliwą, pełną dramatów przeszłością. Gdyby bohaterowie wyrzeźbieni z marmuru czy brązu mogli opowiadać o miłości i bólu, z których zostali wykuci, o ogniu, który ich przekształcił, ich historie poruszyłyby serca wszystkich i nikt nie pozostałby obojętny.

Oto kilka cudów Barletty: zwierzęta, które zapisują ludzkie imiona; Matka Boska osobiście pozdrawiająca trzynastu zwycięskich rycerzy; oraz kolos, pozbawiony rąk i nóg, skazany na zagładę, który pewnego dnia zmartwychwstał, by na nowo zaznać chwały.

Czy istnieją miasteczka, w których wydarzyło się tyle niezwykłych cudów?

POZDRAWIAM CIĘ, O TRANI

Są kobiety, które od razu robią wrażenie, urzekają, przyciągają spojrzenia i wiążą nas ze sobą od pierwszej chwili; inne potrzebują czasu, by w pełni ukazać swój wdzięk i głębię. Z miastami jest podobnie.

Trani to miasteczko tak malownicze, czyste, niemal kokieterijne w swoim wdzięku, że zjednuje sobie sympatię od pierwszego spotkania.

Są kobiety, które ubierają się przeciętnie, inne mają niepowtarzalny styl. Trani nosi własną szatę, z białego, wypolerowanego marmuru o ciepłym, jasnoróżowym połysku. Mieszkańcy, chcąc zachować otaczające ich piękno, dbają o czystość ulic, zaułków, ogrodów i placów. W południowych Włoszech to rzadkość, dlatego tu, w Trani, budzi natychmiastowy szacunek. Coś, co powinno być oczywiste, staje się rzadkością godną podziwu.

Nie jestem pewna, czy istnieje choćby jedno włoskie miasto, zwłaszcza na Południu, przez które nie przewinęłyby się najróżniejsze osobistości. To właśnie dlatego Włochy na zawsze pozostaną niewyczerpaną kopalnią wiedzy, nie tylko dla archeologa, lecz przede wszystkim dla psychologa. Naturalne piękno, dawna mitologia, bogata historia oraz wszechstronna filozofia życia sprawiły, że znajdowali tu schronienie awanturnicy i bohaterowie, święci i filozofowie, artyści i politycy.

Możesz zaoponować, twierdząc, że każdy naród ma własne przykłady, w końcu w wielu zakątkach świata można spotkać zarówno łotra, jak i anioła. I miałbyś rację. A jednak nigdzie indziej nie przybiera to tak wyrazistej formy, nie ukazuje się z taką przesadą, zmiennością charakterów i bogactwem typów jak tutaj, gdzie życie przypomina włoską scenę teatralną, na której namiętność ściera się z radością, radość splata się z miłością, a spokój pejzażu miesza się ze słodyczą owocu.

W XII wieku do Apulii zawitał jeden z niezwykłych pielgrzymów, których żarliwość medycy uznają za obłąkanie, a lud – za świętość.

Usiądź w kwietniowym wietrze, u stóp katedry, nad brzegiem morza. Spójrz w stronę spowitego mgłą Gargano i wsłuchaj się w rytm fal. Nie rozmyślaj, pozwól, by poniosła cię wyobraźnia. Może wtedy usłyszysz *Kyrie eleison* św. Mikołaja Pielgrzyma, słowa, których żaden uczeń nie wypowiadał z taką siłą wiary jak ten, który wypłynął z Liwadii i przemierzył całą Apulię. 20 maja 1194 roku, po tym jak upadł przed Bazyliką Świętej Marii Wniebowziętej, został przeniesiony do szpitala, gdzie po dwunastu dniach zmarł. Niech przemówią psychiatrzy i ateści, psychologowie i poeci, księża oraz prosty człowiek, który w sercu wciąż nosi wiarę w zbawienie. Jedni z uśmiechem nazwą go szaleńcem, drudzy maniakiem, jeszcze inni, wybrańcem Pana. Jednak wszyscy zgodzą się co do jednego: św. Mikołajowi daleko do zwykłych zjadaczy chleba. To jedna z nietuzinkowych postaci, nad którymi warto się pochylić i głębiej zastanowić.

Cztery lata po śmierci Pielgrzym, który zapewne nigdy nie marzył o takim uznaniu, został kanonizowany. W nowej, surowej, bizantyjskiej formie został wyniesiony na ołtarze w krypcie nazwanej jego imieniem²⁶.

26 Święty Mikołaj Pielgrzym to święty Kościoła katolickiego, pielgrzym i asceta pochodzenia greckiego lub południowowłoskiego, czczony głównie w Apulii. Prowadził on życie włóczęgi,

Ja widzę go inaczej. Dla mnie to prosty wędrowiec, odziany w płaszcz rozdarty przez morskie wichry po długiej walce z samym sobą i światem, który pojął ulotność i głęboką nędzę ludzkiego słowa. Możesz ujrzyć go oczami Barisana, który uwiecznił go na drzwiach katedry. Jeśli masz odwagę, możesz zobaczyć go własnymi oczami.

Mieszkańcy Trani zdecydowali, że w miejscu jego upadku powstanie nowa katedra, która zastąpi wcześniejszy przybytek. W tym celu konieczne było zburzenie prezbiterium oraz absydy starego kościoła.

Obiekt sakralny o tak wyjątkowym położeniu zdarza się bardzo rzadko. W średniowieczu świątynie budowano w centrach miast, od których ulice rozchodziły się promieniście. Katedra w Trani jest niczym heroina wpatrzona w swoje wspaniałe odosobnienie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby miejsce jej budowy wybrał poeta lub malarz.

Zbudowana na styku lądu i morza, ziemi i wody, wystawiona na kaprysy huraganów, napór fal i ataki wrogów, przypomina żywy organizm, który z godnością przyjmuje każdy cios, zanim ten sięgnie dalej.

Mój towarzysz dodaje, że katedra jest niczym wielki okręt, który wynurzył się z morza i przybił do brzegu, a iglica dzwonnicy wskazuje jeden, jedyny kierunek – niebo.

Jej piękno i harmonia nie lękają się bezkresnego tła horyzontu, gdzie morze i niebo stapiają się. Malowniczo położona katedra należy do najpiękniejszych zabytków stylu romańskiego, który możemy podziwiać w Apulii. Łączy w sobie siłę antyku, bizantyjską surowość oraz francuską lekkość gotyku, która dotarła na te wybrzeża wraz z krzyżowcami. Ta unikalna mieszanka stylów, zawarta w jednej budowli, nadaje jej niewątpliwie miano wyjątkowej i niepowtarzalnej.

Ostatni remont szczęśliwie przywrócił jej pierwotny charakter, utracony w wyniku wieloletnich zaniedbań. Teraz, oczyszczona z tynku, stanowi wzór najczystszej architektury romańskiej. Wnętrze nie zostało zniekształcone przez przesadne zdobnictwo, tak częste w wielu kościołach Południa. Duchowni

praktykując surową ascezę. Uważany był za prostego i „szalonego dla Chrystusa (*folle en Christo*)”, co przyczyniło się do jego popularności wśród ludu. Za: G. De Biase: *San Nicola Pellegrino. Il Santo dei poveri e degli ultimi*. Edizioni Vivere In., Trani 1994, s. 23–24. Zmarł 2 czerwca 1094 roku w Trani (Alberti błędnie zatem przesuwają datę jego śmierci o 100 lat!), gdzie natychmiast po śmierci rozpoznał się jego kult. Kanonizacji dokonał papież Urban II w 1098 roku, co czyni go jednym z pierwszych świętych kanonizowanych oficjalnie przez papieża. Jego ciało spoczywa w katedrze w Trani, gdzie szybko rozwinął się kult lokalny. Wspomnienie liturgiczne przypada na 2 czerwca. Święty Mikołaj przedstawiany jest w ikonografii jako młody pielgrzym z torbą i kijem, niekiedy z symbolem muszli, typowym dla pątników epoki średniowiecza. Por. A. Uggeri: *San Nicola Pellegrino e il suo culto nella cattedrale di Trani*. „Bollettino della Società di Storia Patria per la Puglia” 2005, vol. 58, s. 233.

wykazali się tu dobrym gustem, eliminując wszelkie zbędne dekoracje i pozwalając przemówić samej architekturze. Kontemplacji nie zakłócają ani kwiaty, ani świece. Możesz podziwiać harmonię proporcji, siłę łuku, konstrukcję dachu oraz kunszt i pomysłowość budowniczych.

Kiedy zasmakujesz w Trani wrażeń płynących z tego stylu, surowego, prostego, pełnego szczerości, zrozumiesz, dlaczego nie zakwitł tu nigdy pełen przepychu renesans, tak charakterystyczny dla innych części Włoch. Pojmiesz też, dlaczego styl romański w Apulii pozostał wierny rodzimej tradycji.

Najstarszym zachowanym fragmentem budowli jest krypta, której fundamenty sięgają wielu metrów poniżej poziomu morza²⁷.

Katedra ma skromniejsze rodzeństwo w Trani, wzniesione w stylu romańskim. We wszystkich tych świątyniach odnaleźć można podobną poezję, szczególnie w katedrze z parawanową dzwonnica i trzema kopułami, z których każda ma inny kształt, przypominający architekturę trulli. Kościoły Trani tworzą razem malowniczy, niemal literacki pejzaż, tak nastrojowy, że mógłby stać się inspiracją dla sztuki: grafik, drzeworytów czy obrazów.

Malowniczy port, który wcina się głęboko w ramiona miasta, ma w sobie coś orientального. Może wciąż pamięta dawne *Taurenium*, którego brzegi upodobał sobie Tyrreńczyk, syn mitycznego Diomedesa, założyciel pierwszej osady. Kto wie, może pamięta również, że właśnie stąd pochodzi najstarszy średniowieczny kodeks prawa morskiego *Ordinamenta Maris*²⁸. Z portu w Trani wypływały bogate weneckie galery, tu przyplływali krzyżowcy po odbytej wyprawie.

27 Romańska katedra w Trani, wzniesiona w latach 1099–1186 na cześć św. Mikołaja Pielgrzyma, greckiego młodzieńca zmarłego w Trani w 1094 roku, kanonizowanego przez papieża Urbana II. Uznawana za jedno z najwybitniejszych osiągnięć romańskiej architektury apulijskiej, łączącej wpływy lombardzkie, bizantyńskie, arabskie i normañskie. Zlokalizowana bezpośrednio nad brzegiem Adriatyku, stanowiła ważny punkt orientacyjny i sakralny w średniowiecznym pejzażu portowym. Kościół zbudowano z lokalnego wapienia o jasnoróżowej tonacji (tzw. pietra di Trani). Budowla ma układ bazylikowy trójnawowy z transeptem, apsydami i potężnym prezbiterium wspartym na kryptach. Szczególne znaczenie ma dolna świątynia (San Gregorio), dostępna od strony morza, oraz krypta św. Mikołaja, gdzie przechowywane są relikwie patrona. Fasadę zachodnią zdobi romański portal z archiwoltęm wspartym na kamiennych lwach. Od południa przylega smukła, czterokondygnacyjna kampanila z XIII wieku, o funkcji zarówno dzwonnicy, jak i wieży obronnej; R. Carrino: *Il mosaico pavimentale della cattedrale di Brindis*. In: *Corso di Cultura sull'Arte ravennate e bizantina*. Unités: Corso di Cultura sull'Arte ravennate e bizantina, Brindisi 1997.

28 *Ordinamenta Maris* to najstarszy znany zbiór prawa morskiego w Europie, spisany w 1063 roku w Trani. Regulował zasady żeglugi i handlu morskiego, określając m.in. obowiązki kapitana i załogi, podział zysków oraz porządek na statkach. Dokument świadczy o rozwiniętym życiu handlowym miast włoskich już w XI wieku i zapoczątkował tradycję kodyfikacji prawa morskiego w Europie, wyprzedzając inne znane zbiory jak *Rôles d'Oléron* czy *Llibre del Consolat de Mar*.

W mieście możesz spotkać też cień artysty i to nie byle jakiego formatu. Pamiętajasz zapewne bramy katedr w Amalfi, Ravello i Monreale. Ich twórcą był Barisano da Trani. Swojemu rodzinnemu miastu również pozostawił artystyczne dziedzictwo: bramę katedry z poruszającymi scenami walk zwierząt, aniołów zstępujących na ziemię oraz świętych trwających w hieratycznym skupieniu.

Tak jak bramy Ghibertiego we Florencji są wrotami do Raju, tak dzieło Barisana można nazwać drzwiami przynoszącymi szczęście, strażnikami, którzy chronią katedrę przed czasem i złem. Wszystkie świątynie, które w historii miały szczęście zostać nimi ozdobione, przetrwały zawieruchę lat w niemal nienaruszonym stanie, jakby broniły złu wstępu za próg. Jeśli wędrując po Trani nie poczujesz ducha Barisana, znajdź jego postać na bramie, małą, skromną, klęczącą u stóp św. Mikołaja Pielgrzyma.

Zatrzymaj się na chwilę w alejce między monumentalnymi kolumnami rzymskiej Via Traiana. Spójrz na panoramę wybrzeża, miasta i morza, a potem przeczytaj wyryte w kamieniu słowa Giovanniego Bovia²⁹, niezwykłego syna tego miasta, który przez całe życie walczył o rzecz najbardziej ulotną na świecie: sprawiedliwość.

Jeśli Trani przyniosło Ci choć chwilę ukojenia i inny wymiar spojrzenia na życie, pożegnaj je słowami Bovia, wypowiedzianymi w kwietniowym wietrze: „Pozdrawiam cię, o Trani”.

PIERWSZE FILOZOFICZNE PYTANIE

Włochy domagają się od Ciebie wiedzy wszechstronnej niezależnie od tego, kim jesteś: historykiem, numizmatykiem, geografem czy archeologiem, ikonografem, filozofem, architektem, geologiem, malarzem, psychologiem,

Choć oryginał się nie zachował, *Ordinamenta Maris* przetrwała w późniejszych kopiach i pozostaje ważnym źródłem w badaniach nad historią prawa morskiego. G. Coniglio: *La società di Trani e gli 'ordinamenta'*. „Archivio Storico Pugliese” 1981, vol. 34, s. 75–88.

29 Giovanni Bovio to włoski filozof, prawnik i polityk, urodzony 6 lutego 1837 w Trani, zmarł 15 kwietnia 1903 w Neapolu. Był jednym z czołowych intelektualistów włoskiego Risorgimento, zaangażowany w działalność republikańską i liberalną. Pełnił funkcję deputowanego w parlamencie Królestwa Włoch. Działał także w strukturach masonskich – od 1863 roku należał do loży w Trani. Jego pisma obejmują filozofię prawa, etykę i teorię państwa. Do najważniejszych dzieł należą *Il verbo nuovo*, *Saggio critico sul fondamento etico del diritto penale*, *Disegno d'una storia del diritto in Italia dall'origine di Roma ai nostri tempi* oraz liczne przemówienia i rozprawy polityczne. Jego postać jest upamiętniona w Trani: istnieje Biblioteka Komunalna nazwana jego imieniem, dom rodzinny („Casa Bovio”) oraz pomnik w centrum miasta.

rzeźbiarzem czy muzykiem. A jeśli którymś z nich nie jesteś – albo zapomniałeś, że kiedykolwiek byłeś – Włochy szybko Ci o tym przypomną, udzielając żywej, surowej lekcji. Nie ma na świecie lepszego uniwersytetu, równie otwartego i bogatego w doświadczenia.

Czasami lekcja hydrauliki odbywa się w cieniu rzymskiego akweduktu, a ikonografia odsłania swoje tajemnice w półmroku katakumb lub bizantyjskiej krypty. Geologii nauczysz się w Dolomitach lub na zboczach wulkanu. Ceramika opowie Ci swoją historię w jednej z cichych sal muzeum Wielkiej Grecji. Włochy to żywa encyklopedia, nauczycielka pełna wdzięku, która zna odpowiedź na każde pytanie. Jeśli je pokochasz, odsłoni przed Tobą nieskończone tajemnice, lecz jeśli jesteś zmęczonym turystą, dowiesz się tylko, czym są *maccheroni* i poznasz *O sole mio!*

Udaj się do miasteczka Bisceglie. Pewnie spodziewasz się uroczego, adriatyckiego portu, a zamiast tego wybierzesz się na spacer wąskimi uliczkami i, ku własnemu zaskoczeniu, odbędziesz lekcję paleontologii. W jeden dzień przejdziesz drogę, którą ludzkość pokonywała przez tysiące lat: od jaskini ludzi pierwotnych aż do współczesności.

Zapomnij, że wczoraj wysłałeś telegram, który za dwadzieścia cztery godziny dotrze do Kalifornii. Zapomnij, że dziś rano włączyłeś radio, by wysłuchać głosu z Kapsztadu, Ottawy czy Tokio. Jeszcze przed wyjściem z domu rozmawiałeś przez telefon, zrobiłeś herbatę na kuchence elektrycznej i przyjechałeś tutaj autobusem, który pokonuje sto kilometrów na godzinę – zapomnij o tym. Zignoruj małe urządzenie na nadgarstku odmierzające czas co do sekundy, oraz to, że w jednej dłoni trzymasz aparat fotograficzny, rejestrujący obraz z niespodziewaną wiernością, a w drugiej przewodnik – książkę wydrukowaną przez maszynę. Zapomnij, że wszystko, co masz na sobie, buty, ubrania, bieliznę, stworzyły maszyny. Nawet delikatne fale twoich włosów zostały przez nie uformowane.

Wyobraź sobie przez chwilę życie sprzed tysięcy lat. Jesteś właśnie w miejscu, gdzie wznosi się milcząca, kamienna kołyska człowieka prehistorycznego. Zobacz oczyma wyobraźni naszego praprzodka, pierwotnego troglodytę, który nie znał jeszcze narzędzi, nie korzystał z pomocy zwierząt, bo te nie zostały udomowione. Jego jedynym zegarem było słońce, jedynym meteorologiem – niebo, a jedyną bronią – ogień: żywioł wydarty boskiej potęgze, pierwszy cud ujarzmiony przez człowieka.

Stoimy u stóp dolmenu w Bisceglie. Patrząc na niego, ogarniają nas dziwne uczucia.

Znudzony turysto! Nie próbuję przekonywać Cię, że stoisz na świętej ziemi. To nie jest zwykły zakątek świata ani miejsce łatwe do odnalezienia. Spójrz na kamienną tablicę: tutaj mój i Twój emocjonalny praprzodek wyrył swoje

duchowe tęsknoty i moralne rozterki. I co najpiękniejsze, uczynił to z prawdziwym poczuciem estetyki. Spójrz na pierwszą stronę pradawnej, kamiennej księgi, w której wykuto pierwszą literę alfabetu cywilizacji!

W dolmenie zawiera się filozoficzna myśl człowieka pierwotnego. Zanim nauczył się mierzyć i ważyć, zanim stworzył pierwsze kamienne narzędzia i pojął użyteczność krzesiwa, był już filozofem, którego dręczyły rozterki podobne do tych, które zaprzatają myśli współczesnego człowieka.

Nie zna jeszcze formy, jaką przybierze ziemia, ani tego, co na niej uczyni, ale już pragnie życia wiecznego. Już negocjuje ze śmiercią, chce się wykupić ofiarami, szuka dla niej imienia, by ujarzmić jej moc, pragnie ją przebłagać. Chce grzebać swoich wielkich przodków, powierzać ich prochy ziemi, wznosić dolmeny. Wierzy, że wraz ze śmiercią materia nie znika całkowicie, lecz istnieje tajemna siła, która pozostanie z nim także po jego odejściu. Wierzy, że człowiek jest skrycie związany ze Słońcem, Bogiem, dlatego dolmeny zwrócone są ku wschodowi, by zmarły na zawsze pozostawał w kontakcie z boskością. Przez misternie wyrzeźbiony, podłużny otwór na głowę zmarłego pada promień słońca, który jest niczym boski dotyk pieszczący delikatnie ciało po śmierci.

Często zmarły jest pochowany w pozycji embrionalnej. Przez ten sam otwór, przez który pada światło, spływała także krew zwierzęcia zabitego na znak ofiary spełnionej na ołtarzu z wapienia.

Czy naprawdę jesteśmy tak daleko od biblijnych ofiar Kaina i Izaaka, od kultu Ozyrysa czy Mitry? Czy naprawdę nie pasują tu słowa: „Oto Baranek Boży” lub „Bierzcie i jedzcie! To jest Ciało moje i Krew moja”? To, co stało się symbolem chrześcijańskiej filozofii, dla człowieka pierwotnego miało postać materialnej realizacji.

Czy ten otwór nie przypomina tych, które widziałam w setkach grobów egipskich, sięgających aż do wnętrza sarkofagu i ciała mumii, mistycznie zamkniętych płytą z symbolem oka Ozyrysa³⁰, złotego zastępcy słońca?

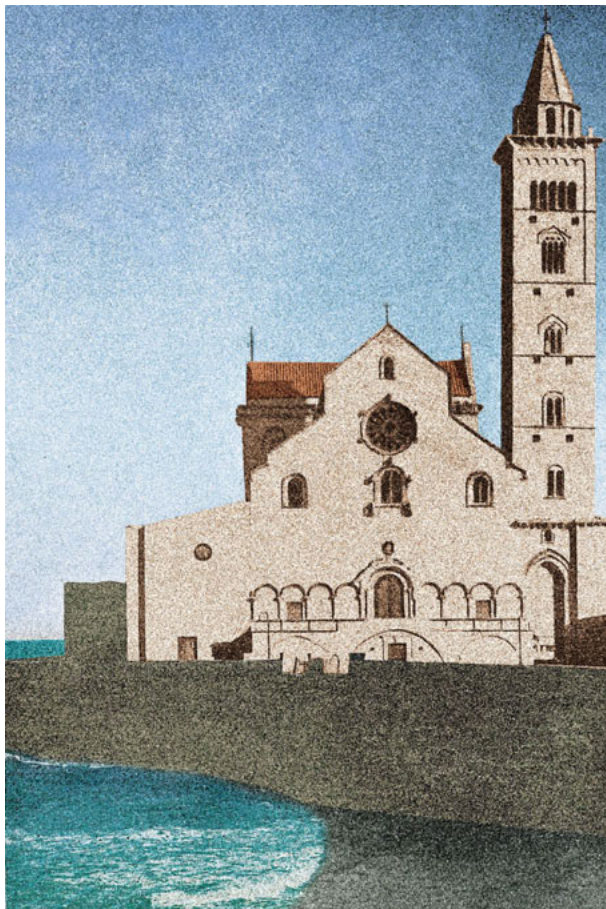
30 Alberti popełnia tu błąd. Chodzi o „oko Horusa”. To jeden z najważniejszych symboli w starożytnym Egipcie, wyrażający ochronę, zdrowie, uzdrowienie oraz boską opiekę. W kontekście grobu egipskiego symbol ten odgrywał kluczową rolę w praktykach pogrzebowych i wierzeniach związanych z życiem pozagrobowym. Pochodzenie symbolu sięga mitologii – według niej Horus utracił oko w walce ze swym wujem Setem. Oko zostało przywrócone przez Thota, stając się symbolem uzdrowienia i przywrócenia ładu kosmicznego. Z tego względu oko Horusa było amuletem funeralnym, który miał chronić zmarłego w podróży do zaświatów oraz zapewniać integralność ciała i duszy. Oko Horusa było również używane w kontekście „magicznego oka” – otworu wykonanego w ścianie wschodniej grobowca, przez który zmarły mógł symbolicznie „widzieć” świat żywych i słońce wschodzące każdego dnia. Por. R.H. Wilkinson: *The Complete Gods and Goddesses of Ancient Egypt*. Thames & Hudson, New York 2003.



Jednak kolos nie imponuje mi pięciometrowym wzrostem,
lecz burzliwą, pełną dramatów przeszłością

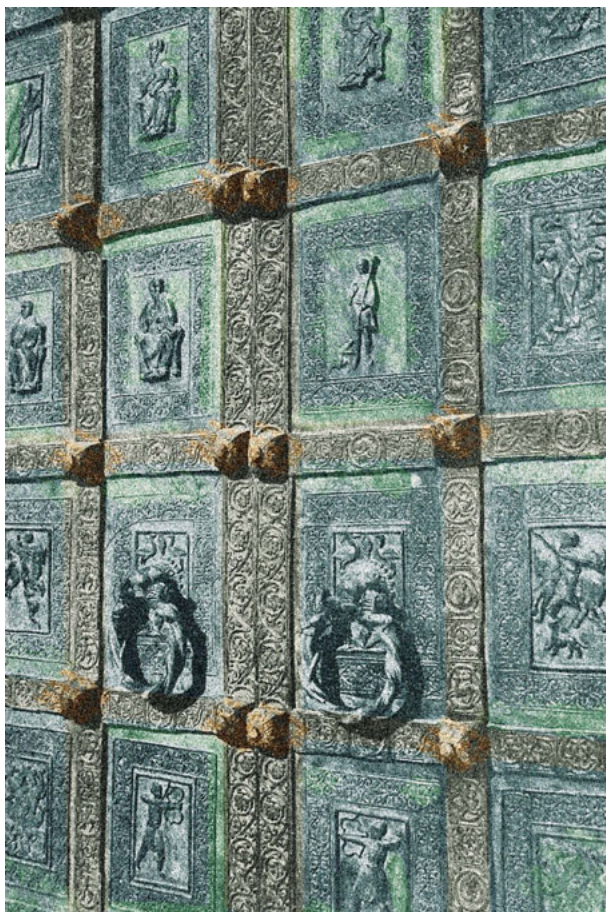


Katedry, zamki, mury, bastiony, fortece zniknęły z powierzchni ziemi,
lecz dolmen wciąż stoi



Katedra w Trani jest niczym heroina wpatrzona w swoje wspaniałe odosobnienie

•
•
•
•
•
•



...dzieło Barisana można nazwać drzwiami przynoszącymi szczęście...

•
•
•
•
•
•

Nawet potomek neandertalczyka odczuwał nostalgię za zmartwychwstaniem, wiarę w życie pozagrobowe, w niezniszczalność siły (czy nazwiesz ją duszą, czy platońską pneumą, nie ma znaczenia), która domagała się odrodzenia, choć w innej formie, i ponownego użycia, choćby w innym świecie.

Od prostego i szarego dolmenu zaczyna się droga, która zaprowadziła nas do piramid, perskich mauzoleów, katakumb i grobowców kalifów w Kairze, aż po kościoły na Camposanto w Pizie i Santa Croce we Florencji.

To właśnie tutaj położono pierwszy kamień pod fundament filozofii. Po tym szlaku przeszła długa i niezwykła procesja: babilońscy magowie i egipcyscy kapłani, hebrajscy prorocy oraz greccy filozofowie, Anaksymander, Heraklit i Sokrates, dzieci innych bogów, Budda, Mahomet oraz Spinoza, Kant i Bergson.

Nie wstydź się! Wyjdź na światło dzienne i pozdrów pierwszy pomnik ludzkiej cywilizacji, która przetrwała tysiąclecia, trzęsienia ziemi i huragany.

Katedry, zamki, mury, bastiony, fortece zniknęły z powierzchni ziemi, lecz dolmen wciąż stoi. To jeden z dziewiętnastu innych dolmenów odkrytych w Apulii, jeden z najstarszych miejsc pochówku zbudowanych bez użycia narzędzi, jedynie wysiłkiem ludzkich rąk.

Dolmen w Bisceglie, odkryty w 1909 roku, wznosi się pośród gaju oliwnego. Szkoda, że nie może opowiedzieć nam swojej historii, niczym film wyświetlany z projektora. Kto go wznosił? Komu służył za miejsce wiecznego spoczynku? Jakie zapomniane zwierzęta przychodziły tu nocą? Jakich ludów, katastrof, wydarzeń był świadkiem?³¹

Już niemal wyzwala się z kamiennej substancji. Zdaje się stworzony z tej samej materii, równie nieśmiertelnej, z której zrodziły się pierwsze tęsknoty i metafizyczne sny. Zawiera w sobie walkę człowieka z nieznanym, walkę uparcie prowadzoną, pełną pasji, trwającą od tysiącleci, od neolitu po czasy Marconiego.

31 Megalityczna struktura sepulkralna z epoki eneolitu–wczesnego brązu, zlokalizowana na południowych obrzeżach Bisceglie, znana jako *Dolmen della Chianca*. Odkryta w 1909 roku przez miejscowego badacza Luigiho Pappalonię, stanowi jedno z najlepiej zachowanych i najważniejszych świadectw architektury grobowej typu dolmenicznego na Półwyspie Apenińskim. Składa się z komory grobowej z trzech pionowych płyt i jednej stropowej (dł. 2,6 m, wys. 1,8 m) oraz długiego korytarza wejściowego (ponad 7 m). Dolmen z Bisceglie pełnił funkcję grobu zbiorowego i był użytkowany przez lokalne wspólnoty pastersko-rolnicze. Znalezione w nim artefakty, m.in. fragmenty ceramiki i narzędzia kamienne, wskazują datowanie konstrukcji na okres między XXV a XVIII w. p.n.e. Struktura została zorientowana zgodnie z lokalnym układem topograficznym i być może zjawiskami astronomicznymi. Obiekt był przedmiotem licznych badań archeologicznych i konserwatorskich, a obecnie stanowi pomnik dziedzictwa kulturowego, objęty ochroną. Jest udostępniony do zwiedzania i pełni funkcję dydaktyczną jako część szlaku megalitycznego Apulii. Por. S. Cassano: *Megalitismo e società dell'età del Bronzo in Puglia*. Congedo Editore, Galatina 1992.

To z niej wyłoniły się religie i filozofie świata, biologia i medycyna, astronomia i okultyzm. I nawet jeśli wciąż nie potrafimy połączyć naszego materialnego „ja” z nicią tego istniejącego, lecz nieuchwytnego świata energii przenikającej kosmos, nie zapominajmy, że to właśnie tutaj człowiek po raz pierwszy odważył się sięgnąć poza granicę widzialnego.

Takie oto myśli nawiedziły mnie u stóp dolmenu w Bisceglie.

Jego ogrom, masa, ciężar i obwód, cyklopowe proporcje, sposób budowy, wszystko to opisują encyklopedie. Właśnie tu człowiek bez narzędzi po raz pierwszy stawiał czoła bezwładowi materii. Tutaj zakwitły pierwsze myśli, które z czasem przekształciły dolmen w grobowce Sansovina i Jacopa della Quercia. Tutaj zrodziła się technika.

Tak jak od kolumny na Forum Romanum zaczęło się Imperium Rzymskie, tak od dolmenu rozpoczyna się cywilizacja; to w nim mają swoje źródło filozofia, religia, architektura, technika, okultyzm.

To pierwsze pytanie, które człowiek zadał kosmosowi. Pierwszy list – wysłany, lecz wciąż bez odpowiedzi. Skrzydła *Via Aurea* wciąż są zbyt kruche, by przybliżyć się do odpowiedzi.

OD JASKINI DO... ULTRANOWOCZESNEGO SCHRONIENIA

Dla Saveria Majellary³²

Do Corato zostało jeszcze kilka kilometrów.

Przed naszymi oczami rozpościera się dolinka, na dnie której niegdyś płynął potok. Dzięki pracy człowieka niemal udało się ją wyrównać, wykorzystując czerwony grunt pod uprawę oliwek, wiśni i migdałowców. To miejsce ukazuje zaciętą, niemal biblijną walkę człowieka z kamienistą ziemią Apulii.

Tam, gdzie stoją dolmeny, musiała kiedyś istnieć jakaś osada. Ziemia odsłania swoje sekrety jedynie tym, którzy są ciekawi i wyjątkowo cierpliwi. Odkryła je tutaj pewnemu pasjonatowi, Saverio Majellaro, który dziś jest

32 Francesco Saverio Majellaro (ur. 26 listopada 1947, zm. 6 marca 2022) – włoski archeolog, historyk amator, badacz dziedzictwa kulturowego regionu Apulii, inicjator i współtwórca Muzeum Archeologicznego w Bisceglie, które do dzisiaj nosi jego imię. Działał głównie w Bisceglie, gdzie przez wiele lat dokumentował i gromadził znaleziska archeologiczne z terenów lokalnych, w tym z groty Santa Croce i innych stanowisk prehistorycznych. Jako kustosz i pasjonat popularyzował wiedzę archeologiczną, organizował wystawy, oprowadzenia oraz współtworzył lokalną bibliotekę i archiwum historyczne przy muzeum. Uważany za jedną z kluczowych postaci zachowania dziedzictwa kulturowego Bisceglie w XX wieku.

naszym towarzyszem i przewodnikiem po jaskiniach, łącznikiem między przemysłowym XX wiekiem a epoką paleontologiczną. Oczywiście to tylko symbol: chcąc wejść do którejkolwiek z tych jaskiń, trzeba przyjąć sposób poruszania się człowieka neolitu i używać rąk do podpierania. Ta metoda jest doskonale znana dzieciom. W ten właśnie sposób zaczyna się nasze dążenie do równowagi – taniec na ziemi, w którym widać, jak tysiące lat atawizmu wciąż żyje w naszej świadomości.

Bawisz się, poruszając się na czworakach. Drapią cię ostre kamienie i szorstkie zioła, parzą pokrzywy. Zauważasz, że twoje czerwone buty z XX wieku, na dziesięciocentymetrowym obcasie, które jeszcze przed chwilą sprawdzały się podczas spokojnego spaceru po ulicach Bisceglie, tutaj okazują się bezużyteczne, mniej trwałe niż skórzane obuwie naszych praprzodków, którzy zostawili tu swoje ślady.

Pierwszy dom został zbudowany przez naturę. Kamień był jednocześnie ojcem i matką, schronieniem, kołyską i stołem. Człowiek musiał dostosować się do jego wnętrza. Widzimy tu ślady rąk pierwszego architekta i dekoratora. Widzimy, jak pozostawił kamień, a tam gdzie trzeba, wyrównał go, by stał się dla niego najlepszym gwarantem pomyślności. Wygładził ostre krawędzie, ukształtował pierwsze łóżko małżeńskie, przygotował bezpieczne przejścia do kolejnych pomieszczeń.

Jeśli chcesz kogoś obrazić, z pogardą nazywasz go troglodytą. Przyjedź tutaj i zobacz, ile cierpliwości i wytrwałości miał ten troglodyta, jaką siłę ducha i determinację w walce z nieprzychylną naturą. Biblijne wygnanie z Raju odbyło się z wielką pompą, przy dźwięku trąb i pod mieczem Archanioła. Na pustyni, na którą został strącony, człowiek próbował stworzyć nowy raj. Wybaczmy mu jego pierwszy błąd – kradzież ognia bogom. Edison nie był przecież pierwszym złodziejem, gdy z końcem XIX wieku rozświetlił świat; wszystko zaczęło się od człowieka pierwotnego.

Przez ogromny otwór wyrzeźbiony wysoko w skale spływa światło, przemieniając grotę w nowoczesną pracownię malarską. W pierwotnej willi dostrzegamy dziś dwa okrągłe okna. Wejście do groty, przypominające monumentalny romański łuk, nie było jednak zbyt wygodne dla ówczesnych mieszkańców z powodu obecności dzikich zwierząt. Wizyta tygrysa czy bawoła, nawet jeśli nie były agresywne, z pewnością nie należała do przyjemnych. Dlatego rodzina zabudowała wejście łukiem za pomocą kamiennych narzędzi, kości zwierząt, kawałków drewna i resztek jedzenia.

Odnalezione kamienne narzędzia wykazują już znaczną precyzję. Odłamki naczyń są tak trwałe, że dziś specjaliści interesują się mieszkanką, z której je

wytworzono, zawiera ona nie tylko glinę, ale i węgiel. Nasz przewodnik Saverio, pasjonat i badacz tej epoki, pokazując nam swoje znaleziska, wyjaśniając, że duża liczba krzemieni, które zidentyfikował, pozwala przypuszczać, iż mamy tu do czynienia z jedną z pierwszych neolitycznych manufaktur. Pracowały w nich także kobiety, pomalowane czerwonym barwnikiem pozyskiwanym z mięczaków. Makijaż był im równie znany jak ich eleganckim współczesnym odpowiedniczkom znad Tybru, Sekwany czy Tamizy. I także Wells, autor *Historii świata*, to potwierdza³³.

Jaskinie były zamieszkane również później, choć już nie na stałe; bez wątpienia w czasach Cesarstwa Rzymskiego służyły jako schronienie przed prześladowaniami, często zamieniając się w naturalne kaplice. I to tu odnajdziemy jeden z pierwszych kościołów w Bisceglie. W jaskiniach zachowały się fragmenty fresków, prymitywne krzyżyki narysowane pod sklepieniem.

Stąd wywodzą się katakumby, podziemna Bazylika św. Klemensa w Rzymie oraz pozostałe krypty Apulii. Po wiekach jaskinia ponownie otworzyła się przed człowiekiem, ukazując w swoim wnętrzu metafizyczne smutki ludzkiego istnienia. Wiele jaskiń z neolitycznego obszaru Santa Croce wciąż zachowuje dziewicze korytarze, nietknięte ludzką stopą od zarania cywilizacji. Pozostaje mieć nadzieję, że państwo potraktuje je z należytą powagą i zintensyfikuje prace wykopaliskowe, które z pewnością ujawnią wiele cennych odkryć³⁴.

33 Herbert George Wells (1866–1946) – to angielski pisarz, eseista, historyk idei i publicysta, uznawany za jednego z ojców literatury *science fiction*. Studiował biologię u T.H. Huxleya, co wywarło trwały wpływ na jego światopogląd ewolucjonistyczny i racjonalistyczny. Największą sławę zdobył jako autor powieści fantastycznonaukowych, w których łączył naukowe spekulacje z krytyką społeczną. Jako popularyzator dziejopisarstwa zasłynął monumentalnym dziełem *Historia świata* (1920), będącym świecką, syntetyczną narracją dziejów ludzkości od epoki kamienia po wiek XX. Dzieło to, napisane przystępnym językiem, opierało się na ówczesnym stanie wiedzy naukowej, promując wizję historii jako procesu racjonalnego postępu. Mimo krytyki ze strony niektórych środowisk akademickich, *Historia świata* odegrała istotną rolę w popularyzacji wiedzy historycznej wśród szerokiej publiczności. Por. M. Sherborne: *H. G. Wells: Another Kind of Life*. Peter Owen, London 2010.

34 Kompleks jaskiń położony na południowych obrzeżach miejscowości Bisceglie, stanowiący jedno z najważniejszych stanowisk archeologicznych regionu związanych z osadnictwem i rytuałami neolitycznymi. Najpełniej przebadana Grotta di Santa Croce (Grotta Świętego Krzyża) dostarczyła stratygraficznie czytelnych i datowanych znalezisk, pozwalających na rekonstrukcję osadnictwa z okresu neolitu wczesnego i środkowego (ok. 6000–4000 p.n.e.). Wśród odkryć dominują: narzędzia kamienne wykonane z lokalnego krzemienia, ceramika zdobiona odciskami muszli i narzędzi (tzw. *cardium*), szczątki fauny domowej i dzikiej (świadczące o przejściu ku gospodarce produkcyjnej), kości ludzkie, często deponowane intencjonalnie, co sugeruje funkcje sepulkralne groty. Por. F. Radina: *Preistoria e protostoria della Puglia*. Laterza, Roma–Bari 1984.

Wychodzimy z chłodu jaskiń na pełne słońce. Zrywamy z drzew wielkie, czerwone czereśnie i rozkoszujemy się ich smakiem. Te drzewa są symbolem spełnienia pragnień, które towarzyszyły neolitycznemu przodkowi. Do Europy zostały sprowadzone wiele wieków później przez wyrafinowanego potomka pierwotnych mieszkańców, Lukullusa, w czasach, gdy sztuka uprawy roli była już dobrze znana. Są zatem niczym pomost łączący prehistoryczną jaskinię z ultranowoczesnym schronieniem.

Człowiek, w głębi duszy, kocha jaskinię i niechętnie się z nią rozstaje. Osiedlił się w tym świecie, lecz wciąż potrzebuje jej obecności. Przeszedł przez style asyryjski i babiloński, grecki i rzymski, przez smukły gotyk, przez wieże i amerykańskie drapacze chmur, a w połowie XX wieku, ogarnięty na nowo lękiem, mógłby znów zejść pod ziemię... do jaskini.

Wszystko po to, by ocalić się przed najgroźniejszym zwierzęciem świata – drugim człowiekiem. I chociaż sen Ikara się spełnił, a człowiek sięgnął stratosfery, dziś ludzkość tworzy sytuacje, które mogą wymusić powrót do jaskini. Buduje podziemne miasta i fabryki. Jaskinia staje się wzorem najnowocześniejszej architektury.

Bisceglie odsłania przed nami jaskiniowy sekret, zadając pytanie: *Quo vadis, Humanitas?* Na progu jaskiń cienie neolitycznych mieszkańców z ciekawością pytają: „Czy wasze schronienia są bardziej wytrzymałe niż nasze?”

ALBUM Z BISCEGLIE

Południowo-wschodnie Włochy to region nieco odsunięty od utartych szlaków turystycznych, kraina wciąż mało znana, a jednak potrafiąca zaskoczyć podróżnego. Zdaje się, że miasta Południa zawarły porozumienie i powołały do życia ligę, którą można by określić hasłem: „Nie tak łatwo. Nie tak prędko.”

Kpi ona sobie z turysty skłonnego potraktować któregoś z jej członków powierzchownie. Każdy z nich posiada bowiem własną genealogię, herb i przywileje zapisane na pergaminie, a Ty uważaj, bo nie godzi się urazić choćby jednego z możnowładców rodem z „Almanachu Gotajskiego”³⁵. A jeśli pomylisz się i po-

35 Chodzi o publikację kolportowaną pierwotnie przez wydawnictwo Justus Perthes, mające swą siedzibę w niemieckim mieście Gotha. Przywołajmy syntetyczną notę badaczki archiwów i historii rodzinnych: „*Almanach Gotajski*, rocznik genealogiczny wydawany w językach niemieckim i francuskim w latach 1763–1944, a od 1956 roku ukazujący się pod nazwą *Genealogisches Handbuch des Adels*. To wielotomowa publikacja, opisująca genealogię rodów, których szlachectwo zostało dawniej uznane bądź nadane przez panujących w państwach języka niemieckiego”.

wiesz, że niedźwiedź z herbu trzyma laskę zamiast dwóch, kto wie, czy wystarczy Ci odwagi, by kiedykolwiek wrócić do własnego domu.

Mam przed oczami starą mapę topograficzną Bisceglie. Oto ona: idealny prostokąt, oprawiony pięknie i starannie tak jak trwałe były średniowieczne mury. Na rogach dostrzegam węzły utworzone z bastionów. Mam nadzieję odnaleźć tu opisy dawnych zwyczajów.

W świąteczny majowy dzień, w oślepiającym słońcu, wyobrażam sobie, że Bisceglie jest niczym stary pergaminowy album, na którego grzbiecie wyprawiono drzewo, i to nie byle jakie, a szlachetny dąb. Zaczynam go przeglądać o szóstej rano i szybko odkrywam, że w miarę przerzucania kolejnych kartek staje się coraz ciekawszy.

Istnieją albumy, z których można wyciąć nieciekawy fragment, który nie pasuje do całości, i wkleić na jego miejsce nowy materiał. Są jednak i takie, których spójność i harmonia formy sprawiają, że nie sposób z nich nic usunąć ani niczym zastąpić. Każda kolejna strona dopełnia poprzednią, tworząc kunsztowną całość. Przewracasz kilka stron, wracasz do trzeciej, piątej, siódmej. Album Bisceglie należy właśnie do tego drugiego rodzaju. Dawna osada, z racji swego położenia, nie mogła być dalej rozbudowywana, dlatego też rozwijała się poza murami. Księga została przewiązana niebiesko-różową wstążką morza i zamknięta z drugiej strony twardym, dumnym grzbietem nowego miasta. Introliigator wykazał się tu doskonałym smakiem.

Na stronie tytułowej, w honorowym miejscu, widnieją trzech święci: św. Mauro, biskup, oraz św. Pantaleon i św. Sergiusz. Mauro został posłany przez św. Piotra, by siać w tej okolicy pierwsze apostołskie ziarno. Skazano go jednak na śmierć – dwóch rzymskich żołnierzy otrzymało rozkaz, by go pojmać i wykonać wyrok. Jednak dzięki przemowie Świętego, natchnionej Bożym słowem, obaj poganie nawrócili się i w męczeńskiej chwale osobiście odprowadzili biskupa do królestwa niebieskiego³⁶.

Spadkobiercą „Alamanachu Gotajskiego” oraz „Genealogisches Handbuch des Adels” jest wydawany od roku 2015 przez Deutsches Adelsarchiv Almanach pod nazwą „Gothaisches Genealogisches Handbuch”. Por. M. Adamska: *Stan badań nad historią rodziny Stolberg-Wernigerode z Dönhoffstädt oraz dotyczące jej archiwalia w zasobie Archiwum Państwowego w Olsztynie*. „Archiwa – Kancelarie – Zbiory” 2012, nr 3, s. 194. Warto dodać, iż w 1998 roku spadkobiercy prawni wydawnictwa Justus Perthes reaktywowali publikację serii pod zmienionym szyldem („Almanach de Gotha”), wznawiając numerację pierwotnego wydawnictwa, przerwana w 1944 roku. Nowa seria prezentowana jest w Wielkiej Brytanii, w języku angielskim.

36 Ten akapit pozostaje dość tajemniczy. Wymienieni w tekście (Sergiusz i Pantaleon) to rzymscy urzędnicy, którzy nie mieli za zadanie zabić Maura, lecz jedynie z nim rozmawiali. Nawrócili się podobno, pozostając pod wrażeniem mocy jego nauczania, a później wszyscy zginęli

Nadeszły czasy, gdy posiadanie ciała męczennika stanowiło dla każdego miasta najwyższy zaszczyt. Wierzono, że relikwia chroni przed wszelkim złem: ogniem, zarazą, głodem i obłąkami wroga.

Trzej święci ponieśli okrutną, męczeńską śmierć w Sagrinie. Z czasem jednak wybuchły spory o to, komu przysługuje prawo do ich szczątków. Decyzję postanowiono powierzyć losowi. Ciała męczenników złożono na wozie zaprzężonym w woły, które puszczono wolno, by same obrały drogę. Po przemierzeniu wielu mil zwierzęta, znużone wędrówką, zatrzymały się w Bisceglie i ten wybór został uszanowany.

Tak oto dziś widzimy ich w chwale na pierwszej stronie albumu, nad wspartym portalem katedry, w szatach, w których dopełnili świętego posłannictwa. Biskup w tiarze zajmuje środkowe miejsce, mając po bokach dwóch konnych żołnierzy w pełnym rzymskim rynsztunku.

Na kolejnych stronicach poznajemy szczegóły katedry: kryptę, dwie wieże, portal fasady i renesansowy chór z rzeźbionego drewna.

Jedna z najstarszych kart albumu przedstawia kościółek św. Małgorzaty, klejnot architektury romańskiej, bliźniaczo podobny do Kościoła św. Franciszka w Trani. Przed świątynią znajdują się trzy grobowce, które są uczczone dla oczu, zwłaszcza ten należący do Riccarda Falconego³⁷. Wnętrze wykonano w stylu romańsko-apulijskim, pełnym prostoty i harmonii, której nie zakłóca najmniejszy zbędny detal.

Kościół św. Adoena warto oglądać tylko z zewnątrz – tak, aby zachować w pamięci nieskażone pierwsze wrażenie romańskiego piękna.

męczeńską śmiercią. Alberti niestety tu nic więcej nie wyjaśnia, pozostaje nad wyraz enigmatyczna – podobnie jak źródła.

37 Należał do rodziny Falcone, która jest historyczną rodziną szlachecką pochodzenia lombardzkiego, z głębokimi korzeniami w południowych Włoszech. Potomek tej rodziny, sędzia cesarski Falco, ufundował Kościół św. Małgorzaty w Bisceglie w 1197 roku, na dziedzińcu którego znajdują się trzy pomniki nagrobne rodziny Falcone z herbem szlacheckim: sokołem zwieńczonym gwiazdą. Pierwszy grobowiec, niekompletny, z leżącą postacią wojownika, jest poświęcony Basilio i Mauro Falconim. Drugi, dedykowany Riccardowi Falconiemu i wykonany przez Facitola z Bari, posiada bogato zdobiony i ażurowy baldachim; datowany jest na rok 1220. Trzeci, w którym spoczywają dzieci z rodu Falconich został wykonany przez Anserama z Trani w 1246 roku i charakteryzuje się baldachimem w formie trójkątnego łuku, wspartego na dwóch kolumnach. Jak podaje D. Salazaro w *Puglia medievale* (Capone Editore, Lecce 1998, s. 72): „Groby rodziny Falcone mają osobliwy charakter pod względem artystycznym. Wykonane są z kamienia tufowego, z wielką elegancją formy i rzeźbienia; zarówno ze względu na materiał, jak i na kształt, nie znamy w południowych Włoszech innych do nich podobnych, a porównane do nich mogą być jedynie dwa wieki starsze, marmurowe sarkofagi w kościele San Lorenzo w Neapolu”.

Jednak urok albumu nie kończy się na kartach poświęconych świątyniom, choć twórca wyniósł je wysoko, jakby każda z nich była godna chwały.

Bisceglie należy do nielicznych miast południowych Włoch, w których wciąż żywa jest tradycja, nie tylko w architekturze, lecz także w codziennym życiu, płynącym między murami niezmiennym od wieków rytmem. Długie, wąskie ulice zachowały swój dawny charakter, jakby czas zatrzymał się tu na odpoczynek. Wspaniałe pałace starych rodów, bogate domy kupców i skromne siedziby ludzi przywykłych do ciężkiej pracy tworzą razem układ, w którym historia łączy się z poezją.

Wczesny ranek, najprzyjemniejsza pora na spacer, zastaje mieszkańców dopiero budzących się ze snu, a zza rogu wyłaniają się wtedy niespodziewane zakątki, malownicze placyki i ukryte przejścia pod arkadami. Nigdy nie wiesz, co Cię zaskoczy na końcu wąskiej uliczki. Obok jednego z domów wyrasta ogromna palma, znak, że właśnie tutaj można napić się wina. Długie sznury czosnku i cebuli, rozwieszone w oknach i na balkonach, tworzą osobliwą ozdobę. A nad głowami powiewa rozwieszone pranie, które rządzi się prawami starszymi niż niejeden pergamin z herbem. Dzbanek na oliwę zachował ten sam kształt, jaki miały już naczynia w czasach Wielkiej Grecji, i od wieków przechodzi próbę... ognia.

Balkony toną w doniczkach pełnych kwiatów, a niekiedy oplatają je całe pnącza winorośli. Od czasu do czasu pojawia się smukła kolumna, mała loggia, taras lub balkon, czasem brama, nad którą czuwa przebiegła chimera. Tu i ówdzie trafisz na niewielki dziedziniec, schody prowadzące na tyły domu czy starą studnię, niczym kolejne karty albumu, które aż proszą się o powielenie w tysiącach egzemplarzy. A jednak nie znajdziesz ich w księgarni, bo drobne cuda architektury, urocze detale i romantycznie ułożone fragmenty są dla mieszkańców codzienną sceną, tak zwyczajną, że niemal nudną.

Przewracając stronicę, odwiedzasz via Tupputi z pałacem o tej samej nazwie, romantyczną via Pastore, majestatycznie rzeźbione balkony przy via dell'Olio i urocze okna przy via Sciarra. Karty albumu odsłaniają kolejno tajemniczy zakątek przy largo Tre Archi, skąd drogi rozchodzą się w różne strony, czyniąc wybór dalszej wędrówki jeszcze trudniejszym. Kolejno prowadzą ku ulicom Bardaro i Balestrieri, które zdają się czekać na własnego Piranesiego, a następnie ku arco Malignano, arco Madonna delle Grazie, via Perrotta i via Frisari. W gęstwinie zaułków, pod arkadami i balkonami, przechadzała się niegdyś młodziutka Lucrezia Borgia w czasach swojej pierwszej miłości. Jej mąż, Alfons Aragoński, książę Bisceglie, miał towarzyszyć jej w tych chwilach, jak głoszą podania. Jeśli zechcesz uwierzyć, posłuchaj ich świadectwa; jeśli uznasz je za

mało prawdopodobne, z pewnością odnajdziesz radość w wędrówce uliczkami Bisceglie nawet bez cienia uroku tak znanej bohaterki³⁸.

Najważniejsze jest to, że rytm życia w Bisceglie pozostał niezmienny od czasów aragońskich. Tu najlepiej widać, że prawdziwe życie Południa toczy się pod gołym niebem: dom, chłodny i lekko wilgotny przez stale zamknięte okiennice, służy jedynie za schronienie przed słońcem i muchami, zmuszając mieszkańców, by większą część dnia spędzali poza jego murami. Cywilizacja basenu Morza Śródziemnego wykształciła w różnych krajach schematyczny styl życia: w Hiszpanii wszelkie wydarzenia skupiają się wokół placów, natomiast w Grecji, na Sycylii i w południowych Włoszech – na ulicy.

Ulica jest domem, sklepem i warsztatem, promenadą i sądem, w którym rozstrzyga się spory; kościołem, przez który przechodzi procesja; salą zgromadzeń i wieców, salą ćwiczeń, gdzie chłopcy próbują swoich sił, i ołtarzem, na którym młodszy i starsi składają pocałunki.

To pryzmat, w którym zbiegają się blaski i cienie włoskiego życia codziennego; arena, której dachem jest włoskie niebo w najpiękniejszym błękitcie, na którą wpęłza ledwie roczne dziecko, uczące się praw równowagi z pomocą kociaka lub pieska, pierwszych nauczycieli sprawności. W wieku czterech czy pięciu lat zna już wszystkie sekrety kamiennej ulicy: wie, gdzie najlepiej grać w piłkę, który stragan pozwoli podkraść słodką figę lub mandarynkę. Istnieją zaułki, które

38 Sprawa nie przedstawia się tak „lukrowo”, jak „głoszą podania” i sugeruje imię głównej bohaterki... Ślub między Lukrecją Borgia a Alfonsem Aragońskim, księciem Bisceglie i Salerno – odbył się 21 lipca 1498 roku. Jednym z warunków cichego porozumienia pomiędzy papieżem Aleksandrem VI i królem Fryderykiem IV było to, że młodzi małżonkowie pozostaną w Rzymie przynajmniej przez rok i nie będą zobligowani do mieszkania na stałe w królestwie Neapolu (a więc także w Bisceglie!) do śmierci papieża. Sytuacja polityczna (sojusz Aleksandra VI z królem Francji) sprawiła, iż Alfons zbiegł 2 sierpnia 1499 roku z Rzymu bez młodej żony, która spodziewała się dziecka. Jego ucieczka rozwścieczyła papieża, który wysłał w pościg za nim oddział zbrojny. W tym samym czasie Lukrecja została nagrodzona przez papieża gubernatorstwem miast Spoleto i Foligno, co było swego rodzaju rekompensatą za rozłąkę i (jak przewidywał Aleksander VI) niechybne wdowieństwo. Alfons, pozostając na wygnaniu, próbuje nawiązać kontakt z Lukrecją (wymiana listów). Przechwycenie korespondencji skłania stronników papieskich do rozkazania Lukrecji, by odszukała męża i powróciła z nim do Rzymu. Stało się to we wrześniu 1499 roku. Ale już w połowie lipca roku następnego Alfons zostaje napadnięty na schodach Bazyliki św. Piotra przez wynajętych opryszków. Gdy mimo odniesionych ran – prawie uchodzi z życiem, zostaje ponownie zaatakowany i uduszony w pałacu Santa Maria in Portico (w nocy z 18 na 19 sierpnia 1500 roku). A zatem w okresie ledwie dwóch lat znajomości nie było okazji, by zakochani mogli swobodnie przechadzać się „pod balkonami i arkadami” Bisceglie. Por. M. Beltonci: *Lukrecja Borgia. Jej życie i czasy*. Tłum. B. Sieroszewska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988.

chronią przed szkołą, gdy nie ma się ochoty iść na lekcje, i takie, które stają się na kilka godzin bezpieczną przystanią.

Pod wiekowe arkady zagląda najbardziej wyrozumiała ze stróżów – księżyc. On nigdy nie zdradza tajemnic skradających pocałunki zakochanych. Gdy dziecko dorośnie i stanie się młodzieńcem, wraca późną nocą do ciemnego domu, a ulice rozbrzmiewają jego sennym krokiem. Zaułki to jego scena, na której ćwiczy głos w pradawnej pieśni miłości. Gdy zaś wzywa ukochaną, place rozbrzmiewają echem cichego wołania.

Mijają lata i dawny chłopiec z ulicy staje się poważnym mężem. Idzie teraz w procesji, w uroczystej ciszy, niczym dumny statysta świadomy swojej roli, niosąc figurkę Madonny, Chrystusa albo Świętego. Tu stoczy zażarte spory, podwinie rękawy i z impetem wymierzy rywalowi karę, którą sam wyznaczył. Na ulicy także pracuje: stawia stołeczek pod drzwiami i naprawia buty, czasem piecyk, żelazko, prasuje kapelusze, a jako zegarmistrz otwiera swoją tajemniczą szufladkę. Ileż to zawodów można wykonywać na progu domu!

Nie w sklepie, lecz właśnie na ulicy woli sprzedawać i kupować. Zwyczaj ten trwa w nim od wieków, jakby przekazany w dziedzictwie krwi, sięgając czasów starożytnych. Po bruku toczy się wózek z rybami, warzywami, a nawet z naczyniami kuchennymi. A on sam wystawia na zewnątrz stoliki i krzesła, i tam pije, pali, gra w karty, komentując przechodniów i całe życie toczące się wokół.

Scena po scenie album życia odślania swoje karty. Ulica staje się dla kobiety pralnią, pokojem pracy, kuchnią i ogniskiem domowym. To tutaj przynosi staroświecki trójnóg wypełniony węglem i, wśród dymu, niczym kulinarna westalka, odczytuje przyszłość potraw ukrytych pod przykrywką. Zalotny wachlarz, niegdyś używany wyłącznie podczas wielkich gal, stał się przedmiotem codziennego użytku. Utkany ze słomy służy do rozdmuchiwania ognia, by płomień nie ośmielił się zgasnąć.

Na ulicy kobieta się uśmiecha i bawi z dzieckiem, naprawia pończochy, odbywa sjęstę, plotkuje z sąsiadkami...

A oto i oni, starzeją się razem. On przynosi krzesło przed dom i odpoczywa, w okularach na nosie, z gazetą w ręku. Ona obiera fasolę, groch albo kasztany. Nie są już aktorami, stali się widzami podwórek i zaułków. To syn ustawia teraz stołek pod drzwiami, a wieczornym gwizdem wzywa ukochaną. To wnuk potyka się o kamienie i biegnie dalej wąskim traktem. Scena niewiele się zmienia, jednak zmieniają się aktorzy, głosy, pokolenia. Przemija scenografia dziejów, polityka, moda, lecz nie codzienne życie. Tak toczy się historia miasta i jego mieszkańców.

W Bisceglie możesz zgłębiać ten pradawny fenomen ulicy, bo stare miasto, choć podlega przemianom, nigdy naprawdę nie odchodzi.

A może właśnie dlatego ulice Bisceglie – i każdego innego miasteczka południowych Włoch – nie są pozbawione duszy. Niosą w sobie smutek i rozczarowania, ale też pracę i marzenia mieszkańców, od dziecka po starca. To, co w Hiszpanii zamyka się w patio, a po drugiej stronie Morza Śródziemnego, w świecie arabskim, skrywa się za murami dziedzińca, tutaj, w południowych Włoszech, jest niczym teatralna scena. Jeśli chcesz poznać obraz życia codziennego, studiuj ulicę, nie dom. Dom zdradzi ci sekrety Holandii, Danii czy Niemiec, ale nigdy nie odsłoni tajemnic tego regionu. Tylko tutaj zobaczysz, jak smaży się ryby albo wyrabia makaron. To na ulicy Włoch modli się, śpiewa, kocha, całuje, sprzedaje i kupuje, pracuje i kłóci się, spaceruje i odpoczywa, przyjmuje gości. Anglik kocha swoje *home* i boisko sportowe, Francuz – kawiarnię, Niemiec – kuchnię; Włoch najbardziej kocha ulicę.

Album Bisceglie otwiera przed nami niepowtarzalne obrazy, nasycone atmosferą miejsca. Sceny rozgrywają się w malowniczym porcie, w cieniu dawnych murów i pod majestatycznymi normańskimi wieżami; na targu u stóp starego zamku, na urokliwych placach, przed wejściami do pałaców i barokowych kościołów, pod balkonami wspartymi na grzbietach zwierząt i aniołów. I tak bez końca, strona po stronie, karta za kartą.

Kiedy wyjeżdżamy, wiatr zamyka ostatnią z nich z ryciną średniowiecznej winnicy Cerriglio. Z odwróconej butelki sączy się wino i zalewa wspaniałą ilustrację. Przy tej karcie zatrzymujemy się na moment, z nutą przyjemnej nostalgii.

Żegnając się po raz ostatni, widzimy, jak wiatr przewiązuje szeroką, jasną wstęgą koloru morza album z Bisceglie, w oczekiwaniu na to, by otworzył się przed kolejnym ciekawym wrażeniem podróżnikiem.

FLIRT Z BARIONEM

Wczoraj otrzymałam zagadkowy bilecik w eleganckiej kopercie, dopracowanej w każdym szczególe. Duża litera „B”, wykaligrafowana szafirowym kolorem, od razu wzbudziła moją ciekawość.

Pośpiesznie rozdarłam papier. „Czy miałaby Pani ochotę na miłą pogawędkę? Będę czekał jutro rano, o dziewiątej, przed dworcem. Barion.”

Kim jest Barion? Obcy mężczyzna chce ze mną flirtować? Gdzie mógł mnie widzieć? Skąd zna moje imię i jak zdobył mój adres? To dopiero zagadka.

Może to właściciel baru? A może aktor ukrywający się pod pseudonimem? Nic to nie zmienia, znajdźcie mi kobietę, choćby jedną na całym świecie, która

nie uśmiechnęłaby się na myśl o małym flircie. Tylko pora nie wydawała mi się szczególnie romantyczna. Dziewiąta rano!

Cały dzień chodziłam przyjemnie podekscytowana, jak każda kobieta przed spotkaniem-zagadką. Obudziłam się nawet w nocy. „Barion!” – to imię czy nazwisko tajemniczego adoratora?

Dziś rano, punktualnie o dziewiątej, stanęłam przed dworcem. Przywitał mnie typowy poranny gwar południa Włoch: wysokie dorożki, jakby wyjęte prosto z muzeum, powoli kierowały się na postój; tragarze krzatali się w pośpiechu; uliczni chłopcy ciągnęli mnie za rękaw, domagając się uwagi.

I wtedy, nie wiem jak, już z daleka rozpoznałam Bariona.

Zbliżył się do mnie elegancki brunet w najnowszym modelu Borsalino. Jego nienaganny, sportowy styl spodobał mi się. Uchylił kapelusza i uśmiechnął się:

– Barion. Dziękuję za Pani odpowiedź.

– Jaką odpowiedź? Przecież żadnej nie dałam.

– Wręcz przeciwnie! Dała mi Pani najpiękniejszą odpowiedź, jaką może dać kobieta: przyjęła Pani moje zaproszenie.

– Jak mnie Pan rozpoznał?

– Czy to Panią dziwi? Każdy mężczyzna od razu pozna kobietę, która lubi flirtować.

– Kiedy Pan przybył? Skąd?

– Przybywam prosto z legendy.

– A ten kapelusz to tylko niezbędny dodatek? A tak poważnie: jak się Pan właściwie nazywa? Barion to imię czy nazwisko?

– Może być jednym i drugim. Jak Pani woli.

– No dobrze, kim Pan właściwie jest? Czym się Pan zajmuje?

– Jestem założycielem miasta. To zawód, który niestety wyszedł już z użycia.

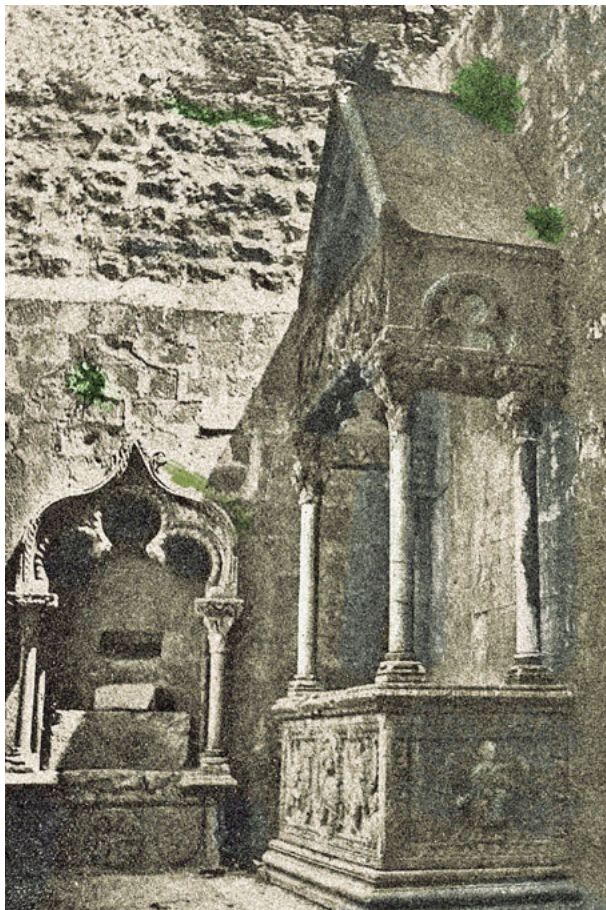
– Ach! Teraz rozumiem, jakie zaszczyty mnie spotkały. Flirtować z założycielem miasta! Z człowiekiem z legendy! Podczas moich podróży flirtowałam z wieloma mężczyznami, poczynawszy od poważnych ministrów, na żeglarzach o poetyckich duszach kończąc. Nigdy jednak z bohaterem! Zdradzi mi Pan swój wiek?

– My, mężczyźni, chętnie to robimy. Proszę bardzo, oto mój dowód tożsamości. Czytam z zaciekawieniem: „Barion. Kondotier. Założyciel miasta Bari. Wiek...”

– Widzę, że to tajemnica. Czyżby był Pan nieśmiertelny?

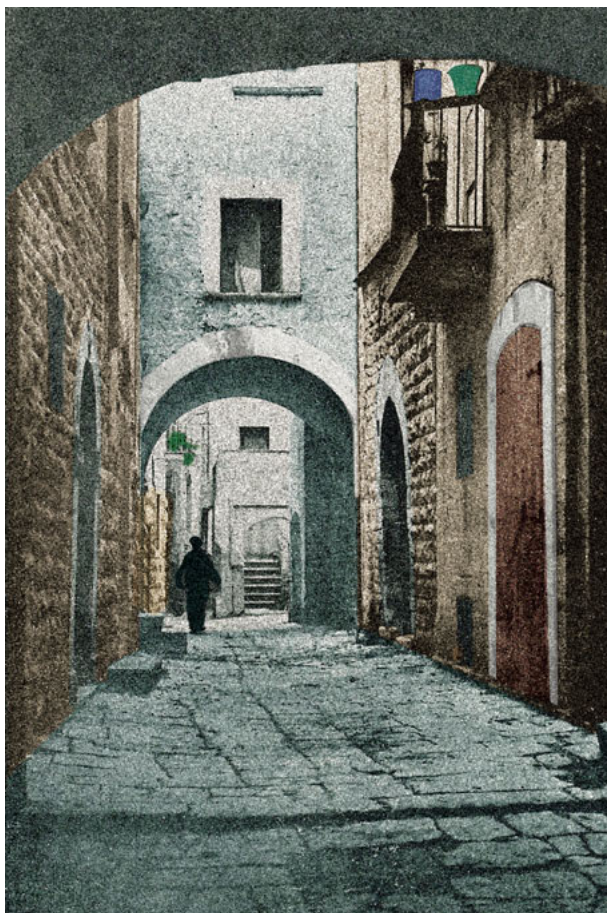
– Mogę Pani podać ramię?

Zachwycona, skinęłam głową. Podał mi je z taką galanterią i wdziękiem, że mogłaby mi pozazdrościć niejedna dwudziestoparoletnia dziewczyna.



...trzy grobowce, które są uczą dla oczu, zwłaszcza ten należący do Riccarda Falconego

•
•
•
•
•
•



Nigdy nie wiesz, co Cię zaskoczy na końcu wąskiej uliczki

•
•
•
•
•
•

– Z pewnością ciekawi Panią, po co tu jestem. My, założyciele miast, cierpiemy na nieuleczalny romantyzm. Dawniej byliśmy apulijskimi ogrodnikami, którzy w jałowej glebie zasadzili delikatną sadzonkę, marząc, że wyrośnie z niej potężne drzewo, dające cień i owoce...

Jego spojrzenie zasnuła lekka mgła. Nowoczesny dżentelmen nagle przeobraził się w marzyciela z innego świata.

– Wielu z nas widziało jednak, jak ich dzieło obraca się w ruinę: deptane przez wojny, wyludnione przez epidemie, niszczone przez katastrofy natury. Moje ręce miały jednak szczęście.

– To Pan zasadził cudowne ziarno, karmione morską solą i balsamicznym jodem, które wyrosło na prawdziwy cud.

– Młodym pędem często groziło śmiertelne niebezpieczeństwo! W decydujących chwilach udawało mi się je ocalić nadludzkim wysiłkiem woli. Odpędzałem kataklizmy, walczyłem z ludzką nienawiścią, z zarazami, huraganami, z kamienną pustynią i suszą. To ja w 1002 roku poprowadziłem flotę św. Marka: rozpędziłem wiatr i rozgoniłem fale, trzymając za rękę Pietra Orseolo, krzyczałem: „Pośpieszcie się, Panie! Niech nie okaże się daremny heroiczny trud ostatnich miesięcy, nie dajmy zwyciężyć Saracenom!”. Dotarliśmy niemal w ostatniej chwili! W gardle, w nadgarstkach, w całym moim ciele czułem napięcie. Ocaliłem miasto!³⁹

Patrzę na niego z podziwem. Czy znacie kobietę, której nie podobałby się taki mężczyzna?

– Nie zawsze jednak moja siła wystarczała. Może Pani sobie wyobrazić, co czułem, gdy Wilhelm Zły obrócił wniwecz całe moje dzieło?⁴⁰ Siedziałem

39 Piotr II Orseolo – urodził się w Wenecji w 961 roku, jako jedyny syn przyszłego doży Piotra I i Felicyty Malipiero (lub Badoera). Zastąpił z tego, że przywrócił utraconą władzę swojej rodzinie. Jego ojciec (Piotr I), mianowany dożą w 976 roku, nagle zrezygnował z urzędu dwa lata później, aby osiedlić się w klasztorze w Cuxa w Pirenejach, gdzie spędził ostatnie lata życia, oddając się praktykom religijnym, za co został ogłoszony świętym w 1731 roku przez papieża Klemensa XI. Pierwszą wzmianką o Orseolo (synu) jest jego obecność wśród świadków aktu darowizny wyspy San Giorgio Maggiore benedyktynom z 20 grudnia 982 roku. Niedługo potem, w 991 roku, został wybrany dożą w wieku zaledwie trzydziestu lat, po wymuszonej abdykacji trybuna Menio, uwikłanego w zaciętą walkę miejscowych frakcji. Po zwycięskiej wyprawie do Dalmacji (1000) przeciwko piratom słowiańskim, przyjął tytuł księcia Dalmacji i Chorwacji. Wyzwolił (1002) Bari, oblegane pół roku przez Sycylijczyka Safigo. Więcej o dokonaniach Wenecjanina raportuje publikacja: C. Rendina: *I dogi, storia e segreti*. Newton & Compton Editori, Roma 1984, s. 80–81.

40 Wilhelm I Zły – król Sycylii z normańskiej dynastii Hauteville’ów (panował w latach 1154–1166). Był synem Rogera II i Elwiry, córki Alfonsa VI. Po śmierci ojca (1154) musiał zmierzyć się z niezadowolonymi baronami, niechętnymi centralnej władzy króla. Gwałtowne bunt wybuchł na Sycylii i na południu Półwyspu Apenińskiego (m.in. w Palermo, Bari, Trani, Tarencie, Brindisi).

pośród ruin, bezbronny jak dziecko. Gorycz łez płynęła potokiem, a w dłoniach, pośród jeszcze ciepłego popiołu, wciąż tliły się iskry. Zrozumieją to tylko ci, którzy widzieli własne stworzenie unicestwione.

Z bohatera, zwycięzcy fal, stał się nagle zwykłym cierpiącym człowiekiem, pokonanym przez los i ludzką złośliwość. W tej chwili był mi bardzo bliski.

– Łzy są oznaką słabości. I nigdy niczego nie stworzyły. Uniosłem mój stary wiatr znad morza i osuszyłem je. Na moją twarz wrócił uśmiech, gdy powiedziałem: „Zacznijmy od nowa. W końcu mamy już doświadczenie!”. I podjęliśmy trud odbudowy, w tym samym miejscu, u podstaw zrujnowanej katedry, u stóp cudownie ocalonego św. Mikołaja. Kosztowało mnie to dziesięć lat czasu i troski.

– Często Pan wracał?

– Mój duch nieustannie czuwał! Osobiście wracałem zawsze, gdy los zagrażał miastu, gdy huragan próbował wyrwać korzenie drzewa lub by ochronić je przed zimnym wiatrem i gradem w porze kwitnienia.

– A teraz? Dlaczego Pan wrócił?

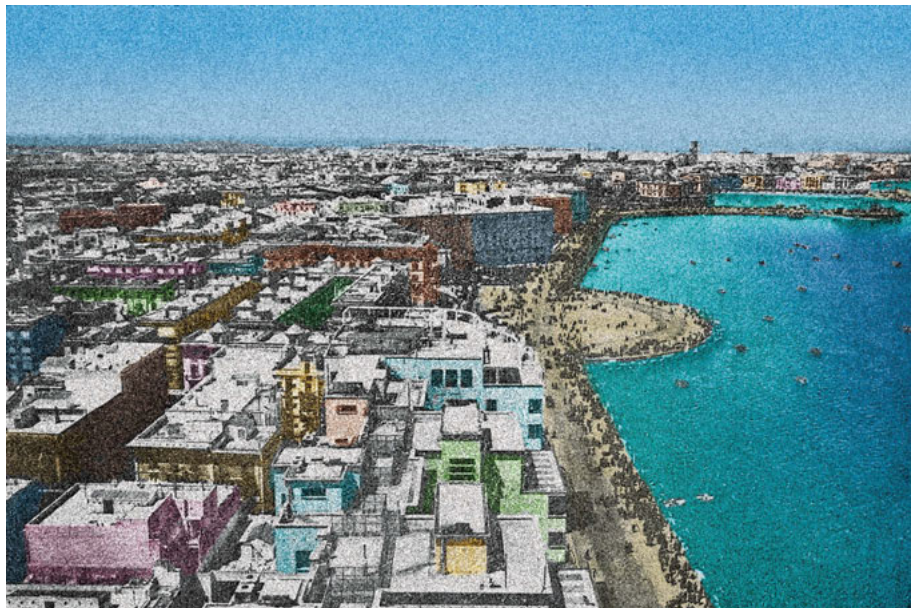
– Tęsknota ogrodnika! Chciałem ujrzyć owoce.

– Kiedy był Pan tu ostatni raz?

– Pamiętam tamten dzień doskonale. Po gorącym sirocco spadł nagle krótki deszcz, a zaraz potem wiatr osuszył ulice. Kalendarz wskazywał szczególną datę: 25 maja 1813 roku. Tego dnia, ręką Gioacchina Murata, położono pierwszy kamień pod nowe Bari⁴¹.

Tumult niezadowolonych możnowładców wsparł papież Hadrian IV, a także cesarz niemiecki Fryderyk I Barbarossa i cesarz bizantyński Manuel I Kamnen. Pokonawszy pierwotne niepowodzenia, Wilhelm zawarł sojusz z republikami północy (Genuą i Wenecją), czym odstraszył Barbarossę, który wycofał wojska. Gdy zaś w roku 1056, w bitwie pod Brindisi, pokonał flotę Bizantyńczyków – przeszedł do kontrataku: opanował i spacyfikował zbuntowane miasta, a najbardziej zaciekle w oporze Bari – prawie zrównał z ziemią (w tym samym roku). Por. *Historia powszechna*. T. 8: *Od imperium Karola Wielkiego do kryzysu XIV wieku*. Red. M. Olkuśnik, W. Adamski. Mediaset Group, Kraków 2007, s. 219–221.

41 Nota popularnego przewodnika turystycznego potwierdza wagę daty podanej przez Alberti: „Na południe od starego miasta, aż do głównego dworca kolejowego, rozciąga się dzielnica Murat. Charakteryzuje się ona równo wytyczonymi ulicami i rezydencjami/pałacami wznoszonymi w XIX i na początku XX wieku, kiedy Bari przeżywało rozkwit ekonomiczny. Najpiękniejsze gmachy zobaczymy przy Corso Vittorio Emanuele II, która stanowi granicę ze starym miastem – warto zwrócić uwagę zwłaszcza na Teatro Piccinni, najstarszy z miejskich teatrów (u góry jego fasady zobaczycie koronę, przypominającą, że od początku był to obiekt publiczny)”. To właśnie w maju 1813 roku (Joachim Murat władał Królestwem Neapolu w latach 1808–1815) rozpoczął się proces geodezyjnego tyczenia zębów nowej dzielnicy: znanej później jako Bari Murattiano. Por. <https://www.podrozepoeuropie.pl/bari/> [dostęp: 10.12.2025].



Przechodząc jedną z bocznych uliczek, na końcu której
otwiera się okno szafirowego nieba, wychodzimy na nadmorski deptak



Targ... łączy ludzi i przedmioty w międzynarodowym świecie zakupów i sprzedaży,
rezerwacji, kontraktów i czeków

Mówił głosem drżącym ze wzruszenia, niczym człowiek, który przywołuje najpiękniejsze chwile swojego życia. – Dziś wróciłem, by zobaczyć miasto odrodzone. Proszę, bądź moją przewodniczką.

– Ja? Ależ jestem cudzoziemką, nie wiedział Pan?

– Wiem doskonale. I właśnie dlatego zwracam się do Pani. To, co codzienne dla mieszkańca, osoba z zewnątrz ocenia świeżym spojrzeniem. To, co oglądamy po raz pierwszy, wydaje się czymś innym niż ten sam obraz widziany przez lata, dzień po dniu. Przyzwyczajone oczy zbyt łatwo uznają rzeczy niezwykle za zwyczajne, powtarzalne, może wręcz nudne. Spojrzenie przybysza pozostaje czyste: potrafi uchwycić szczegóły umykające uwadze, dostrzec blask w miejscach, gdzie inni widzą cięć.

– To bardzo odpowiedzialne zadanie – pokazać założycielowi miasta jego dzieło po tylu latach. A mnie mogą się podobać właśnie te rzeczy, które dla Pana wydają się nieistotne.

– Zapominasz, że dobry ogrodnik interesuje się każdą rośliną w ogrodzie! Od razu ocenia, czy trzeba ją wyrwać, czy podeprzeć patyczkiem.

– W takim razie zaszczyca mnie Pańskie zaufanie. Zaczniemy, choć nie jestem pewna od czego. Proszę spojrzeć na ten pomnik! Bardzo mi się podoba. Dzisiejsze pomniki bywają najczęściej banalne. W każdym mieście, dużym czy małym, niezależnie od kraju, prześladową nas wojskowe posągi: koń, bohater w paradnym mundurze; czasem poeta czy muzyk, choć bez wielkiej pompy. Bari natomiast miało myśl niezwykłą i odważną: uhonorować wodę.

– Wodę? Przecież tu zawsze jej brakowało!

– Właśnie dlatego! Apulijczycy przez wieki poszukiwali wody i nikt lepiej od nich nie potrafi docenić piękna tego żywiołu. Pamięta Pan słowa Talesa z Miletu?

Barion skłonił się z ironicznym uśmiechem: – Oczywiście! Jest ona źródłem życia, początkiem świata.

– Początkiem życia Apulii z pewnością nie jest, ale bez wątpienia jest twórczynią życia na ziemi. Zobacz Pan, Barionie, to pomnik doniosły w całej swej prostocie.

Prowincje, które przez wieki cierpiały z powodu pragnienia, zgromadziły się tu, by wyrazić swą wdzięczność. Ich herby zostały wyrzeźbione w kamieniu fontanny: Foggia ze świętym Michałem Archaniołem, Lecce z radosnym delfinem, Brindisi z potężną głową jelenia, Bari z wizerunkiem mądrego pasterza, a Taranto z tarantellą. Można je podziwiać na brzegu fontanny o delikatnym, różowo-beżowym odcieniu. Niech Pan spojrzy! Po tysiącletnich pragnienia i suszy woda nawadnia wiele gmin, prowincji, wiele akrów ziemi, stając się fundamentem nowego życia!

– Tak. Widzę z dumą, że określenie wyschniętej Apulii przeszło do historii.

– Proszę spojrzeć na fontanny, jak zgodnie pracują, jak okazują swoją potęgę, wypuszczając z szerokiej gardzieli szemrzący strumień wody. Biała piana lśni w słońcu, spływając do dolnego basenu, niesie pieśń o tym, że rozum i praca człowieka zwyciężyły nad chciwością i wrogością natury. Czyż nie wydaje się to Panu wspaniałym osiągnięciem pracowitych mieszkańców Apulii?

– Ma Pani rację. Gdyby ludzkość skierowała całą swoją energię ku bohaterstwu, nauce i trudowi, zamiast trwonić ją na podsycanie nienawiści i prowadzenie wojen, ziemia stałaby się dziś znacznie przyjaźniejszym domem dla człowieka.

Okraczamy fontannę, a w oczach Bariona dostrzegam ogromną radość, a może także wzruszenie:

– Piękna idea, po tylu wiekach pragnienia!

Potem długo włóczymy się po ulicach.

– Proszę zobaczyć, jak bardzo rozrosło się miasto od czasu Pańskiej ostatniej wizyty. Posiada teraz nowoczesny plan urbanistyczny, ktoś mógłby rzec wręcz, że to Ameryka w miniaturze: długie, biegnące równolegle do siebie ulice, przecinające się pod kątem prostym z innymi.

– Całkiem inaczej niż w starym Bari! – odpowiada.

– A tutaj jest uniwersytet.

Na balustradzie fontanny siedzą w słońcu grupy studentów.

– To jeden z najszczęśliwszych zakątków miasta. Nie ma tu nerwobólów ani reumatyzmu, a trawienie przebiega bez przeszkód. Wiedzę klasyczną i medyczną przyswajają się tu równie lekko jak gotowane ślimaki.

– A jakże! Młodzi wolą siedzieć przed uniwersytetem niż wewnątrz sal wykładowych...

– Włosi mają naprawdę wyjątkowy talent. Podczas gdy cały świat akademicki zdobywa wiedzę w czterech ścianach, tutaj nauka odbywa się zawsze pod gołym niebem. A dyplom wpada im w ręce tak naturalnie jak piękna dziewczyna.

Przed uniwersytetem ogrodnik podlewa zielen gumowym węzem, kierując strumień wody od dołu ku liściom drzew i palm – ku radości Bariona. Okazuje się więc, że istnieje także inny deszcz: nie zwyczajny, lecz stworzony ręką człowieka.

– Ile tu wody! – zachwyca się.

– Podlewamy każdego dnia – wyjaśniam mojemu gościowi i ciągnę dalej. – W Bari istniała od dawna znakomita kolekcja artefaktów, świadectwo rozmaitych epok. Dotąd jednak nie miała przestrzeni, by w pełni ukazać swą wartość, pozostawała rozproszona w korytarzach niczym skarb ukryty w cieniu. Dziś

czeka na nową oprawę w murach zamku, którego remont dobiega końca. Tam wreszcie bezcenne dzieła sztuki znajdą godną siedzibę. Teraz pokażę Panu moje ulubione miejsce.

Przechodząc jedną z bocznych uliczek, na końcu której otwiera się okno szafirowego nieba, wychodzimy na nadmorski deptak. Perspektywa, raz zamknięta ścianą wysokich, monumentalnych budynków, raz otwarta na niespokojne fale morza, emanuje potęgą. Żaden z gmachów nie dominuje nad pozostałymi: jeden dopełnia drugi. Każdy, mimo różnic w formach i proporcjach, wpisuje się w ten sam nurt architektoniczny, który połączył lata międzywojenne z tradycją monumentalizmu tak typową dla Włoch. Można się spierać, na ile zabudowa nadmorska jest echem jednego czy drugiego stylu, lecz ostatecznie wybrzmiewa tu zarówno potęga, jak i harmonia. Wieże i kolumny, bogactwo płaskorzeźb, dziedzińce i wejścia pełne fontann i mozaik, postacie symboliczne niosące idee, marmury i kamienie, barwy stare i nowe, współczesne i antyczne, delikatność połączona z topornością fortyfikacji z daleka przykuwają wzrok, z bliska zaś sprawiają, że deptak jest jednym z najpiękniejszych we Włoszech.

Mój gość był oczarowany.

– Podoba się Panu *Lungomare*?

Barion tylko się uśmiechnął. Ogarnął mnie niepokój – czy to, co w Bari kochocham najbardziej, współbrzmi z jego artystyczną wrażliwością? Ponawiam pytanie. Ścisnął moją dłoń z prostą szczerością. I właśnie w tym geście zawarł się najpiękniejszy komplement, jakiego mogłam oczekiwać.

– Chciałby Pan zobaczyć Pinakotekę?

– Z przyjemnością.

Wchodzimy do Palazzo della Provincia. Od razu dostrzegam, jak wielkie wrażenie muzeum wywarło na Barionie. Przepych, który gdzie indziej łatwo mógłby zamienić się w przesadę i bezguście, tutaj wpisał się doskonale w sztukę w najlepszym tego słowa znaczeniu, nowoczesną i subtelną. Biel marmuru, ożywiana delikatną grą światła, monumentalne atrium i oryginalna klatka schodowa łączą się w harmonijną całość, która czyni z tego miejsca jedno z najbardziej imponujących osiągnięć współczesnej architektury, nie tylko w Bari, lecz także w całych Włoszech.

Pinakoteka na najwyższym piętrze jest już przestrzenią nowoczesną. Wyrażenie różni się stylem od architektury poprzedniego wieku, z jego lęklwym nagromadzeniem detali, które często już w pierwszej sali potrafią odebrać chęć do zwiedzania kolejnych.

– Jak tu uroczo! – mówi po prostu Barion. – Tyle światła, powietrza, przestrzeni! Podobają mi się zwłaszcza dekoracje u dołu ścian.

Zwiedzając kolejne sale, podziwiamy blask tryptyków Vivariniego, bogate kompozycje szkoły weneckiej, Parisa Bordone, Palmy Młodszego, Veronesego, Giovanniego Belliniego, osobliwe czerwienie Giuseppe Bonito i zielone przezroczystości Corota, aż po żywe i ekspresyjne barwy Irolliego.

– Oto dzieło Mattii Pretiego⁴², który raz jeszcze powrócił do swojego ulubionego tematu. Posługując się sceną ewangeliczną, ukazał dramat nieufności w całym jej uniwersalnym wymiarze. Spójrz Barionie na ten artystyczny wyraz: to pełna skala ludzkiej przebiegłości, ideał uosobiony w materializacji, konkretności, autentyczności i ciężarze osobistego doświadczenia. Genialnym gestem malarz usunął każdy element, który mógłby zawierać choćby cień duchowości. A jednak, gdy dłoń dotknie, dusza uwierzy. Rozgrywający się dramat jest pełen niepokoju, ale też subtelnej ironii.

– Dostrzegam rozdarcie nie tylko w postaci Tomasza, lecz także w spojrzeniu pełnym spokoju i powagi tego, kto pozwala się dotknąć. To uniwersalny gest mistrza, który z łagodnym pobłażaniem pozwala uczniowi doświadczyć jego idei nie tylko w wymiarze duchowym, ale też w jej ucieleśnieniu. Proszę spojrzeć tylko na tych, którzy przyglądają się z boku! Cała ciekawska radość ludzkiej menażerii skupia się tutaj w jednym punkcie.

I tak przechodzimy od jednego płótna do drugiego, przez wieki i szkoły, style, techniki i tematy⁴³. Miałam inteligentnego towarzysza w osobie Bariona.

42 Mattia Preti, zw. Il Cavaliere Calabrese (ur. 24 lutego 1613 w Tavernie, zm. 3 stycznia 1699 w Valletcie) był włoskim malarzem i freskantem okresu baroku, caravaggionistą. Młodość spędził w Neapolu, a w 1630 roku wyjechał do Rzymu, gdzie współpracował ze swoim bratem Gregoriem. W 1642 roku otrzymał tytuł kawalera zakonu maltańskiego. Mattia Preti odwoływał się do różnorodnych inspiracji i wpływów: do szkoły neapolitańskiej Caracciola i Sellitta, do dekoracyjnej faktury Guercina, do „neoweneckich” tendencji u Poussina, Testy, Moli, Sacchiego i Castiglione, do naturalistycznych horyzontów zainicjowanych przez Annibale Carracciego, do świetlistych i nerwowych refleksów Caravaggia, do rubensowskiego koloru zespolonego z weneckim luminiżmem. Odbił podróże do głównych włoskich miast sztuki, do Francji, do katolickich Niderlandów (gdzie malarstwo skłaniało się ku gustowi dworskiemu i wystawnemu) i być może także do Hiszpanii, zanim dotarł na Maltę w 1661 roku, gdzie mieszkał do końca życia. Poznał osobiście Rubensa oraz D. Theotokopoulusa, zwanego El Greco i z ich twórczości czerpał bodźce, by odzwierciedlić czasy naznaczone gwałtownością i skrajnościami, ale też wizjami o niezwyklej sile kontemplacyjnej i wielkich perspektywach scenograficznych w sztuce. Słynne pozostają jego dzieła o inspiracji biblijnej, pełne głębokiego napięcia moralnego i świeżości wizualnej, które nie oferują niczego niewiarygodnego, ponieważ stronią od czarów wielu fałszywych blasków baroku. Por. V. Napolillo: *Mattia Preti: Artefice del Seicento*. Edizioni Orizzonti Meridionali, Cosenza 2013.

43 Pinacoteca Metropolitana di Bari (zwana także: Pinacoteca Corrado Giaquinto) to jedno z najważniejszych muzeów sztuki, prezentujących w 22 pomieszczeniach dziedzictwo artystyczne południowych Włoch. Mieści się na czwartym piętrze okazałego Palazzo della Provincia w Bari (od 1936 roku). W syntetycznym ujęciu – dotknijmy skali przedsięwzięcia: „Zobaczyć tu można

Istnieje bowiem pewien typ kobiet, które z większą przyjemnością oddają się rozmowie z mężczyzną niż podziwianiu sztuki.

Z Pinakoteki kierujemy się prosto ku pawilonom targowym, Fiera del Levante⁴⁴. Nietrudno zauważyć, że targi są tu równie popularne jak zawody sportowe. Mój towarzysz, oczywiście, nie pragnie się ujawniać; z wdziękiem prawdziwego dżentelmena zachowuje anonimowość. A jednak przez chwilę wyobrażam sobie, jak nagle wchodzi do biura i oznajmia: – Jestem Barion. Chciałbym zwiedzić pawilony.

Rośnie we mnie duma, że Barion poświęcił jeden dzień ze swojego życia kobiecie.

Mój gość na targach wyraźnie poweselał. Tłum jest jego żywiołem, pobudzony, gwarliwy, pełen śmiechu i barwnego zamieszania. Może odnajduje w nim echo orientального ducha, którego sam przez wieki zaszczycał temu miejscu. Z radością chłonał kalejdoskop reklam, światła i plakatów, z ciekawością przyglądał się każdej maszynie. Wędrujemy od stoiska do stoiska: próbujemy piwa, lemoniady i torrone. Zajadamy cukierki, czekoladki i owoce. Najbardziej zachwycają go winogrona Regina, migdały z Andrii i figi z Mandurii.

Na koniec, widząc jak niebezpiecznie opróżnia się jego portfel, pytam z troską:

– A za co wróci Pan potem do Ilirii?

Uspokaja mnie, mówiąc:

– Niech się Pani nie martwi! Wszyscy tutaj za mnie poręczą!

Zaczyna się taniec neonów i światła. Jedne krążą powoli, miękko, jak w tan-gu; inne pulsują w szalonym rytmie zza oceanu. Pawilony, wielkie niczym pałace

bogată kolekcję dzieł sztuki autorów związanych z Bari i z Apulią. Oprócz tego znajdują się tutaj dzieła średniowieczne, malarstwo weneckie, dziewiętnastowieczne dzieła neapolitańskie i południowowłoskie. Pinakoteka nazwana została na cześć malarza Corrado Giaquinto, którego obra-zy również można tutaj podziwiać. Oprócz Giaquinta, kolekcja obejmuje dzieła Tintoretta, Giorgia Morandiego, Giovanniego Belliniego, a także prace – co pokazuje bogactwo zbiorów – kolejnych artystów niewymienionych przez Alberti: Giuseppe De Nittisa, Francesca Nettię, Domenica Morrellego, Giovanniego Boldiniego, Teofila Patiniego i innych. Por. <https://muzeaswiata.pl/bari-muzea-i-atrakcje/#4-pinacoteca> [dostęp: 10.12.2025].

44 Fiera del Levante to ogromne centrum wystawienniczo-konferencyjne o powierzchni blisko 300 000 metrów kwadratowych, położone w zachodniej części centrum Bari. Słynie z największych targów organizowanych w regionie Adriatyku, oferujących wielotematyczne wystawy z różnych sektorów i branż. Główne wydarzenie, odbywające się corocznie we wrześniu, przyciąga wystawców nie tylko z Włoch, ale także z wielu krajów basenu Morza Śródziemnego i innych zakątków świata. Targi zainaugurowały swoją działalność w 1929 roku i od tego momentu odbywają się nieprzerwanie (z wyjątkiem okresu między 1940 a 1946 rokiem, ze względu na zniszczenia wojenne). Logo instytucji, przedstawiające statek z rozwiniętymi żaglami, zostało zaprojektowane przez futurystycznego malarza Enzo Montanarię („Araca”).

i małe niczym domki z bajki; kwiaty i napisy układane z kwiatów na rabatach; flagi wszystkich narodów, podświetlane i szemrzące fontanny, jest tu wszystko, czego dusza zapagnie. Czeskie kryształły, polski węgiel, szwajcarskie zegarki, kanadyjskie lisy; tureckie *rachatlukum* i daktyle z Trypolisu; mediolańskie samochody i oliwki z Bitonto. Tysiące smaków, aromatów, nagich form i eleganckich opakowań. Wszystko to spaja muzyka: łączy pawilony i ustroje polityczne, narody i ich specjalności. To ona zaprasza do kupowania najdziwniejszych i najbardziej egzotycznych rzeczy. To ona łączy ludzi i przedmioty w międzynarodowym święcie zakupów i sprzedaży, rezerwacji, kontraktów i czeków.

– Proszę spojrzeć! Cała żywotność mieszkańców Bari, ich zmysł organizacyjny, aktywność i niespożyta energia, połączyły się tutaj. To powód do dumy dla Pańskiego miasta: prawdziwy kwiat Lewantu.

Wychodzimy na taras wielkiego pawilonu. Barion, obładowany stertą ulotek, z głową pachnącą od perfum (był tak ujmujący, że hostessy z perfumerii podbiegały do niego, by spryskać go najnowszymi zapachami), uśmiecha się szeroko. Widać, że jest szczęśliwy.

Wita nas magia światła. Sprytnie reklamy przesuwają się po zielonych ekranach i wiją niczym gumowe węże. Pawilony otacza czarne jak atrament morze, a zawodzenia wiatru towarzyszą dobiegającej aż tu muzyce.

– Kwiat Lewantu! – powtarza zamyślony Barion.

Gra muzyka, a Adriatyk przysyła nam swoje fale niczym sprzymierzeńców. Mam wrażenie, że naprawdę siedzimy na najwyższym pokładzie transatlantyku, który płynie przez morze snów. Przysięgłabym, że wszystko się kołysze... choć może to tylko moja głowa po kilku kieliszkach wina?

Jak w każdej pięknej chwili życia i tutaj nie brakuje poetyckiego włoskiego księżycy. Płyniemy w czystym romantyzmie.

– Dziękuję Pani za piękny dzień życia.

– Mnie? W takim razie, jak mogę się odwdziaczyć?

Czuję, jak wino rozlewa swój rubinowy blask na fale i gwiazdy, które odbijają się w tafli morza.

Barion oddała się, by po chwili wrócić z naręczem długich czerwonych goździków.

– Za fatygę...

Zanurzam twarz w zapachu kwiatów. Nagle miejsce przede mną robi się puste. Barion zniknął, jakby był tylko wizją, mgłą, falą...

Patrząc na morze. Daleko zdaje mi się, że widzę bardzo starą łódź, o kształcie dziś już zapomnianym, tę samą, którą kiedyś ujrzałam na starym herbie Bari. Nie jawi mi się jako byt fizyczny, lecz raczej jak mistyczna fala, powoli

odpływająca w dal. Pośród tajemniczych sylwetek wysokich hełmów z pióropusami dostrzegam chyba cień Bariona na pradawnej łodzi.

Dokąd zmierza? Do Ilirii? Do legendy?

DWA OBLICZA ŚW. MIKOŁAJA

Zanim poznałam Bari, moje wyobrażenie o św. Mikołaju wyglądało zupełnie inaczej. Dla każdego polskiego dziecka to on, podobnie jak włoska Befana, przygotowywał prezenty, na które czekało się przez cały rok.

Przychodził nocą, z 5 na 6 grudnia, wśród srebrzystych lodowych kwiatów. Z długą brodą rozwiewaną przez wiatr pojawiał się w blasku pastorału i mitry, nigdy sam, lecz w towarzystwie anioła i diabła. Silny i wytrwały anioł dźwigał wielki kosz pełen подарunków.

Ile skarbów się tam mieściło! Książki z obrazkami i pierniczki, ciepłe skarpetki i cukierki, wełniane rękawiczki i czekolada, klocki, szachy, statki, samochodziki, pociągi długie jak tasieńce, samoloty, lalki i pajacyki. Wystarczyło nacisnąć sprężynę, a samolot wzbijał się w powietrze, pajacyk zaczynał tańczyć, długi pociąg mknął przez pokój nawet bez torów, lalka zaś otwierała i zamykała oczy. Cały świat dziecięcej fantazji mieścił się w koszu Mikołaja!

Święty spełniał każde marzenie i odpowiadał na wszystkie listy pisane z wyiekami na twarzy i łakomym błyskiem w oczach. A jeśli któregoś roku, w ramach kary, nie przychodził, był to prawdziwy dzień tragedii w całym kalendarzu dzieciństwa.

Wtedy to pojawiał się diabeł w czarnej pelerynie, z błyszczącymi rogami i w czerwonej koszuli, niosąc kosz pełen różg.

To przedstawienie odbywało się w każdej szkole. Oczywiście, św. Mikołaj nie był multimilionerem ani właścicielem kopalń złota, by obdarować wszystkie dzieci w Polsce. Rodzice wiedzieli o tym i dzielnie wspierali Świętego, bo dzieci było tysiące w każdym mieście, a Mikołaj nie mógł dotrzeć wszędzie. To ręka matki wsuwała prezent pod poduszkę, wciąż ciepłą od snów i oczekiwania.

Mikołaj w Polsce nie był tylko świętym dzieciństwa, bywał także świętym zakochanych. Ozdabiał złożone różgi żywymi różami (a róże w grudniu wcale nie są tanie) i wiązał je szerokimi, czerwonymi wstążkami, dopisując na nich miłosne groźby. Jeśli wybranka nie zmieni swojego zachowania, w następnym roku dostanie większą różgę! Ileż zakochanych marzeń skrywały kwietne różgi!

Mikołaj nie zapominał także o biedniejszych dzieciach. Pomagały mu wytrwale najróżniejsze komitety i stowarzyszenia charytatywne. W zimowy poranek

6 grudnia trudno było wyobrazić sobie polskie dziecko, które, pod swoją poduszką, nie znalazłoby przynajmniej paczuszki z ciepłym wełnianym szalikiem i cukierkami.

Nie brakowało też prezentów dla narzeczonych, Mikołaj przynosił nawet pierścionki z brylantami.

Przybyłam do Bari, mając w głowie gotowe wyobrażenie Świętego, rodzinnego starca, który odwiedzał wszystkie domy. I nagle, co za zaskoczenie! Starzec z długą, białą brodą staje się mędrce, wielkim doradcą w Nicei. Tutaj w Bari jest czczony przez marynarzy i strzeże ich przed morskimi katastrofami. W każdym domu Apulii, w każdym sklepie można znaleźć jego wizerunek. Na przedstawieniach przypomina raczej filozofa, z wielką aureolą i oczami wzniesionymi ku niebu. W Apulii nikt nie zna rodzinnego, dobrotliwego wyobrażenia, ponieważ rolę starca roznoszącego prezenty przejęła Befana.

Polska poufałość i serdeczność wobec Świętego, ta, dzięki której każdy wujek (byłe być wysoki) mógł narzucić białe prześcieradło, przykleić brodę i włożyć papierową mitrę, tutaj ustępuje miejsca pełnemu powagą dystansowi. Święty Mikołaj nie chodzi pieszo. Tylko raz do roku opuszcza swoją wspaniałą bazylikę. Na morzu czekają na niego łodzie, przypominając wszystkim, że właśnie 9 maja 1087 roku jego doczesne szczątki, w orszaku czterdziestu dwóch marynarzy, przybyły, by spocząć w Bari.

W tym corocznym wydarzeniu od wieków uczestniczy cała ludność Apulii, wspólnie z przyjezdnymi. Dawniej nawet car Rosji wysyłał swojego przedstawiciela, by złożyć hołd Świętemu na pokładzie statku, na którym wznoszono specjalny ołtarz i ustawiano jego figurę. To jedno z najbardziej charakterystycznych i malowniczych świąt w całej Apulii. 9 maja powietrze przesycą już zapach wiosny, a tłumy cisną się na łodzie, by w końcu dostać się na statek Świętego.

Wieczorem, gdy gwiazdy kreślą tysiące liter w najrozmaitszych, nieznanych alfabetach, a od Adriatyku wieje wiatr, z miejsca, gdzie przybiła łódź z figurą Świętego, wyrusza procesja. Z powagą i godnością płynie on wśród radosnego tłumu, niesiony na ramionach wiernych, otoczony wonią aromatycznych kwiatów, blaskiem świateł, muzyką, sztandarami i czcią. Na czele kroczą władze, ubrane uroczyście w czarne szaty i białe rękawiczki. Tym razem jednak Święty niczego nie rozdaje, to lud zbiera dla niego i przypina mu do płaszcza banknoty oraz wkłada do kosza ofiary.

Ten obraz wydał mi się tak obcy, że potrzebowałam chwili, by się z nim oswoić.

Po kilku dniach procesji przechodzących przez ulice miasta i po wielu wizytach w kościołach, św. Mikołaj powraca wreszcie do bazyliki. Wracając

z pochodu, pytam samą siebie: dlaczego w Polsce ukształtował się wizerunek świętego-darczyńcy, który niczego nie zatrzymuje, a wręcz oddaje wszystko, co posiada? Czy to tylko gra naszej wyobraźni?

Następnego dnia sięgam do życiorysu Mikołaja i znajduję odpowiedź. Jego życie było całkowicie zwyczajne, a zarazem pełne cudów. Wśród nich szczególnie wzruszająca jest scena z młodości: Mikołaj pochodził z bogatej, arystokratycznej rodziny, a tuż obok mieszkaly trzy piękne, lecz ubogie dziewczęta – bez posagu i nadziei na małżeństwo. W tajemnicy, pod nieobecność domowników, młody Mikołaj zostawiał im złote dary. Ich pochodzenie pozostawało nieznanne, więc uważano je za cud. Dzięki temu pierwsza z dziewcząt mogła wyjść za mąż. Potem druga. Wreszcie trzecia. Za każdym razem ten sam gest: dyskretnie, na stole pojawiała się sakiewka, jakby spadła prosto z nieba. Aż w końcu, przez przypadek, odkryto, kto był dobroczyńcą. Od tej chwili Mikołaj wzrastał w blasku cudów, otoczony czcią całego miasta.

Być może właśnie ten epizod z życia św. Mikołaja stał się źródłem poetyckiej legendy, przekazywanej z pokolenia na pokolenie nie tylko w Polsce, lecz także w całej Europie Środkowej: Święty Mikołaj, Svatý Mikuláš, Heiliger Klaus, wspominany jako najhojniejszy z darczyńców.

„KOH-I-NOOR” APULIJSKIEGO STYLU ROMAŃSKIEGO

Dla Tommasa Esposito⁴⁵

Zabytki, podobnie jak ludzie, posiadają od urodzenia charakterystyczne oblicze. Niektóre pozostają wiecznie młode, zachowując ten sam dziecięcy uśmiech aż po starość. Inne starzeją się szybko: w młodości olśniewają urodą, lecz z czasem wędną. Są też takie, które rodzą się radosne, i takie, które od początku noszą w sobie powagę i zamyślenie jakby obdarzone filozoficznym usposobieniem.

Bazylika św. Mikołaja w Bari należy do tej ostatniej kategorii. Wydaje się jakby od zawsze była powołana do tego, by stać się odpowiedzialnym przedstawicielem wszystkich cnót, jakie uosabiał apulijski romanizm. Już na pierwszy rzut

45 Biblioteca Nazionale di Bari notuje w swym katalogu dwie odręcznie sporządzone „fiszki”, odsyłające do kilkunastostronicowych broszur, których autorem pozostaje Tommaso Esposito. Obie opublikowane w Bari (w roku 1946), obie dotyczą promocji tamtejszych obiektów turystycznych. Można zatem z dużą dozą prawdopodobieństwa przyjąć, iż adresatem dedykacji był wspomniany autor. Być może reprezentował apulijską Izbę Turystyczną (z którą Alberti i Cocola współpracowali) lub należał do grona miejscowych regionalistów. Alberti w swych włoskich podróżach często kontaktowała się z lokalnymi pasjonatami i miłośnikami poszczególnych prowincji.

oka widać, że jest najwyższa, największa, najbardziej wyróżniająca się. Zapada w pamięć i nie sposób jej przeoczyć nawet wśród wielu podobnych.

Każdy diadem ma wprawiony jeden, centralny kamień. Diamentem, prawdziwym koh-i-noor⁴⁶, w koronie apulijskiego romanizmu jest właśnie Bazylika św. Mikołaja.

Wiele włoskich zabytków ma swoje fantastyczne dzieje, lecz te, które splatają się z postacią Świętego i bazyliką, można by nazwać prawdziwą powieścią. Porywanie pięknych kobiet to rzecz dobrze wszystkim znana, lecz porwanie świętego? To już historia niezwykła. A jednak tak się stało: święty został uprowadzony, nie zaznając spokoju nawet po śmierci.

Około czterdziestu śmiałków (legendy podają różne liczby: czterdziestu siedmiu, czterdziestu dwóch albo sześćdziesięciu) postanowiło, że arcybiskup Miry powinien spocząć w Bari. Tutaj bowiem miał znaleźć siedzibę bardziej godną i być czczony z większą pobożnością. Każdy z nas wie z doświadczenia, że uczciwe przedsięwzięcia napotykają zwykle wszystkie możliwe przeszkody, podczas gdy szalone plany idą jak z płatką. Ten był na tyle odważny, że powiódł się wyśmienicie.

Jak jednak można było zdobyć święte relikwie? Wrodzony spryt mieszkańców Bari okazał się tutaj bardzo pomocny. W tym celu zorganizowano wyprawę, która z pozoru nosiła znamiona zwyczajnej ekspedycji handlowej, jakich wówczas wiele przemierzało Adriatyk. Na statki załadowano zboże i flotyllą trzech okrętów ruszono ku Myrze, która właśnie w tamtym czasie znalazła się w rękach Saracenów.

Szczątki Świętego zostały pochowane w jednej z tamtejszych świątyń. Baryjczycy zabrali się do dzieła wyjątkowo sprytnie i dzięki temu udało się dokonać rzeczy niezwykłej: po siedmiuset sześćdziesięciu jeden latach spoczynku, w białą kwietniową noc, relikwie znalazły się na pokładzie statku, gotowe rozpocząć drugi rozdział słynnej historii. Sprzyjające wiatry otworzyły nową kartę opowieści, niosąc żeglarzy ku Bari, i tak, 9 maja roku 1087, okręt, który oficjalnie zwano handlowym, przybił do portu.

Skrupulatny prawnik mógłby uznać to wydarzenie za czyn zabroniony; poeta nazwałby tę kartę historii powieścią; mieszkańcy Bari – cudem. Historyk

46 Koh-i-noor („góra światła”) jest jednym z najsłynniejszych kamieni szlachetnych świata. Ten pochodzący z Indii diament waży aż 105 karatów (21,6 g). Obecnie stanowi część zdobienia korony brytyjskiej – umieszczony na przedzie krzyża, ulokowanego nad obręczą tego insygnium. Przechowywany jest w Tower of London. Szczegółowe informacje na temat bezcennego „obiekту jubilerskiego”, jego historii i pogmatwanych losów – przynosi ciekawy artykuł indyjskiej badaczki Satwinder Kaur. Por. Eadem: *Koh-I-Noor “Mountain of Light”*. „International Journal of Science and Research” 2014, vol. 3, s. 729–732.

natomiast zanotowałyby, że był to czyn typowy dla tamtej epoki, i przytoczyłyby liczne przykłady: przeniesienie relikwii św. Mateusza Ewangelisty do Salerno w roku 954 przez księcia longobardzkiego Gisulfa I; sprowadzenie relikwii apostoła Andrzeja do Amalfi w 1208 roku przez kardynała i patrycjusza Pietra Capuana; słynne relikwie św. Marka, przywiezione do Wenecji w 828 roku po udanej wyprawie.

Jak w każdej powieści, także i tutaj pojawiły się problemy. Arcybiskup Bari, Ursone, uważał, że katedra będzie miejscem najgodniejszym dla tak cennych relikwii. Nikt jednak nie przypuszczał, że właśnie marynarze sprzeciwią się jego woli.

Czy św. Mikołaj nie powinien mieć własnego domu, w którym mógłby zamieszkać? Czy miałby być skazany na kąt w katedrze innego świętego, zredukowany do roli lokatora? Czy po to właśnie marynarze zaryzykowali życie, by sprowadzić cudowne relikwie, aby uczynić go gościem w cudzym domu? Nie! Nie mogli pozwolić, by cała wyprawa zakończyła się wbrew ich woli. To oni byli prawdziwymi właścicielami skarbu. Żadnych półśrodków! Święty przybył, aby mieć godny siebie przybytek, w którym mógłby objawiać wiernym cnoty cudotwórcy.

Marynarze odnieśli zwycięstwo, a mieszkańcy miasta im wtórowali. Pomogła im także gwiazda normandzkiej polityki, która rozbłysła na horyzoncie w chwili, gdy gaśł sztandar Bizancjum, niesiony dotąd ręką arcybiskupa Ursone.

Marynarze rozpoczęli dzieło budowy Bazyliki św. Mikołaja na dziedzińcu Palazzo del Catapano, która miała stać się symbolem i pomnikiem całej Apulii.

Początkowo relikwie złożono w kaplicy Benedyktynów, gdzie sami marynarze pełnili straż. Prace nad budową rozpoczęto z wielką wiarą i zapałem, a już po dwóch latach pojawił się pierwszy owoc tego wysiłku. W roku 1089 do Bari przybył papież Urban II, aby poświęcić nową kryptę. Tam, w uroczystym obrzędzie, złożono relikwie świętego i tam pozostają one do dziś.

Wśród benedyktynów nie brakowało ludzi kultury, ale to opat Eliaszy należy do tych, którymi do dziś może poszczycić się Apulia. Człowiek nauki, obdarzony wyjątkowym zmysłem sztuki, elegancki polityk, który potrafił związać się z normandzkim rządem w chwili, gdy ten właśnie zaczynał się rozwijać; niestrudzony i mądry administrator wznoszonej bazyliki, doradca artystów, skromny i światły, którego ambicje były stonowane (nie chciał być postacią pierwszoplanową, do czego w tamtych czasach wielu aspirowało). Był niewidzialnym płomieniem, który oświecał wszystko wokół siebie. Oto mądry benedyktyn, późniejszy arcybiskup, który stał się jedną z najpotężniejszych postaci w dziejach Bari, nierozzerwalnie związany z początkami romańskiej bazyliki. Gdy jego światło zgasło,

szczątki złożono przy wejściu do krypty. Tam spoczywa jak we własnym domu, zasłużwszy życiem swym na to miejsce i napis:

Wzniósł tę świątynię i jaśniał niczym lampion ze szczerego złota⁴⁷.

Bazylikę ukończono w dwadzieścia jeden lat, na jej konsekrację trzeba było jednak czekać aż do roku 1197.

W każdym przewodniku znajdziesz szczegółowe informacje na jej temat: w jakim stylu architektonicznym została wybudowana, jak wyglądała dawniej, jakich przebudów dokonano. Mnie jednak nie interesuje już zewnętrzna fizjonomia, proporcje i... ciało. Dziś ciekawi mnie myśl, duch i psychologia. W jej towarzystwie czuję się tak jak w obecności człowieka wyjątkowego, który wie, gdzie zwyczajny żywot: je, pije, mówi, śpi, ubiera się, jest użyteczny, a jednak w każdym jego geście, w każdym słowie i w każdym uśmiechu tkwi coś odrębnego. To właśnie psychika wyróżnia go spośród tysięcy ludzi. To samo dzieje się z zabytkami. Bazylika św. Mikołaja, prototyp słynnych apulijskich katedr, choć wzniesiona z tego samego kamienia, w tym samym czasie i w tym samym stylu, wyróżnia się czymś, co przekracza materię: duchowością, która sprawia, że przemawia do każdego, kto przekracza jej próg.

Ileć wchodzi do jej wnętrza, mam wrażenie, że wnika w tajemniczą głębię. To uczucie odwrotne od tego, które ogarnia mnie zawsze w katedrach francuskich. Tam bowiem już od progu budowla przypina zwiedzającemu skrzydła, przemienia każdego prozaika w poetę i zdaje się wołać: „Wzleć w górę!”.

Tutaj uczucie jest innego rodzaju. Głębia bryły, która dobrowolnie wyrzekła się wszelkiej lekkości i efektu, domaga się od nas pracy myśli; każe spojrzeć w nasze wnętrza, w głębię. Wymaga filozoficznej medytacji.

Bazylika niczego nie zapowiada ani nie ogłasza. Nie jest prekursorem, lecz dojrzałym, doskonałym kwiatem swego czasu. Zawiera w sobie powagę i surową istotę epoki, całe jej filozoficzne dziedzictwo. Nie została przytłoczona ozdobami, przeciwnie, na tle przepychu następnych stuleci wydaje się niemal uboga. Posiada niewiele ornamentów, lecz każdy z nich ma znaczenie: symbolizuje cnoty i namiętności, niebezpieczeństwa i pociechy życia ziemskiego.

Jesteśmy jeszcze stulecie przed *Kwiatkami świętego Franciszka*. Wszystko jest jedynie marnością nad marnościami. Ziemia nie jawi się jako planeta żyjąca własnym życiem, lecz jako coś nieruchomego, korytarz mroczny i ciasny,

47 Oryginał łacińskiej inskrypcji w brzmieniu: *Hoc templum struxit, quasi lampas exaurea luxit.*

którym przechodzi się tylko po to, by trafić na łąki raju albo wpaść do ogromnego piekielnego kotła.

Estetyka gotyku i renesansu spoczywa wciąż w ciemności nieznanych wieków, a ciało istnieje jedynie jako naczynie dla duszy. Egoizm troski o nią, spleciony z dążeniem do nagromadzenia jak największej liczby dobrych uczynków, osiąga swój szczyt, podczas gdy opatrność i walka o wieczne dobro zostają tutaj jasno zdefiniowane. Dostrzegam tu mądrość zupełnie odmienną od starożytnej: tamta, próbując ponownie związać ciało i duszę, stała się już tylko przeżytkiem. Istotą nowej filozofii jest surowa dyscyplina, spleciona z czystymi uczuciami serca i ciała.

Takie przemyślenia wywołuje we mnie Bazylika św. Mikołaja. Czasami przytłacza mnie uczucie marności nad marnościami, surowa powaga, głęboka filozoficzna refleksja. Nieraz myślałam, jak bardzo św. Mikołaj musiał wydawać się niemodny w epoce renesansu i baroku, a jak dziś, przy nowych kanonach architektonicznych, przynajmniej w swojej zewnętrznej formie, staje mi się bliższy.

Wewnątrz bazylika wydaje się nieosiągalna, jakby wymagała duchowego skupienia. A jednak ta filozofia nie była wcale przytłaczająca. Przeciwnie, kryje się w niej wewnętrzny optymizm: w postaci św. Mikołaja obecna jest wiara, że człowiek może się wznieść wysoko, jeśli nie wszyscy, to przynajmniej jednostka w swoich najszlachetniejszych przejawach.

Szarość kamienia jest symbolem szarości ziemi, która, oświetlona słońcem, zaczyna przybierać kolor nadziei.

Tak oto pierwsze wrażenie wielkości i niedostępności, jakie budzi w nas bazylika, stopniowo łagodnieje i zaczynamy przyzwyczajać się do lekcji, którą nam daje. Niekiedy – mój Boże! – wychodzimy stąd niemal pocieszeni, ulegając skromnemu złudzeniu, że nasz znużony, zubożnięty umysł wciąż zdolny jest coś osiągnąć, a nasze idee, przypiekane w najrozmaitszych piecach filozofii, mogą uciec od nadmiernego sceptycyzmu.

To ogromna zasługa tego dzieła.

Światło koh-i-nooru, prawdziwe, niesfałszowane, jedyne w swoim rodzaju, wydaje się niemal chłodne, choć zwykło się mówić, że igra z ogniem.

WAZON W MIEŚCIE ŚW. MIKOŁAJA

Każde miasto ma swoje osobliwości, a Bari ma swój niezwykle wazon. Zapytasz pewnie: A cóż to za forma? Muzeum? Skądże! To raczej ogromna, surowa budowla, która przez całe wieki trwała pod gołym niebem. Nazywa się Bari Vecchia.

Wystarczy spojrzeć na plan miasta, na którym widać ulice ułożone w geometrycznym porządku. Od razu rzuca się w oczy dzielnica, która ucieka owej geometrii i poetycko wyrwa się naprzód. Wazon wspiera się ściętą podstawą na Corso Vittorio Emanuele i ma dwa uchwyty, zupełnie oryginalne i różne w formie: lewym uchem jest Zamek Szwabski, prawym – długie i wąskie Moło Sant'Antonio. Od uchwytów naczynie zwęża się ku górze, a jeśli przyjmiemy, że jego lewym bokiem jest Corso Trieste, łatwo dostrzec, jak doskonale proporcjonalna jest jego szyja.

Wazon jest niczym wyspa, obmywana z jednej strony falami nowoczesnego życia, a z trzech pozostałych kolorową pianą niespokojnego Adriatyku.

Mieszkańcy zmieniali się z biegiem czasu, zmieniały się także mody i narzędzia pracy, lecz układ uliczek i piękno zabytków pozostały niezmiennie od stuleci. Na wyspę o wspomnianym kształcie wazonu można wejść z każdej strony, ale znacznie trudniej znaleźć z niej wyjście. Architektura jest tu tak przebiegła, że zwodzi na każdym kroku. Myślisz: „Tymi zaułkami szybciej przejdę do nowszej dzielnicy”. I ruszasz naprzód: jeden zaułek, potem drugi, trzeci, kolejny zakręt..., lecz zamiast zbliżać się do wyjścia, coraz bardziej zagłębiasz się w labirynt. Nagle uświadamiasz sobie, że wszystkie zakręty zostały tak misternie pomyślane, iż tworzą teraz całkiem nowy układ topograficzny. I tak oto, wszedłszy od strony Casa del Portuale, przekonany, że dotarłeś już do Piazza Santa Barbara, po godzinie marszu znajdujesz się dokładnie naprzeciwko urzędu celnego, pięćdziesiąt metrów od punktu wyjścia. To swoista gościnność wyspy, która nie chce wypuścić Cię ze swych ramion, jakby mówiła: „Po co się spieszysz? Zostań jeszcze, spójrz, jestem taka ciekawa!”.

To rzeczywiście miejsce niezwykle, nie tylko dzięki niememu pięknu architektonicznemu, kryjącemu liczne zabytkowe arkady, i to nie wyłącznie w oczach oficjalnej krytyki. Małe kościółki, z prostymi romańskimi frontonami, przypominają o odległej epoce, w której się narodziły. Wieczny cień spowijający niektóre zaułki nadaje przestrzeni aurę nieustającej tajemnicy, a mieszkańcy wyglądają niczym bohaterowie filmu: poruszają się, biegną, gestykulują z tak żywiołową ekspresją, że mogłaby jej pozazdrościć niejedna postać z londyńskiego City czy nowojorskiej Piątej Alei.

Masz wrażenie, jakbyś trafił na giełdę: ze wszystkich stron dobiegają okrzyki, jakby w ciągu pół godziny miały zapisać decyzje o losach całego miasta. A jednak to nie giełda i nie zgromadzenie debatujące nad sprawami najwyższej wagi. To po prostu codzienne życie, które od rana do wieczora tętni rytmem odziedziczonym jeszcze z epoki pogańskiej, gdy wszystkie najważniejsze wydarzenia rozgrywały się na ulicach. I tak Bari Vecchia zachowała aurę

nieustannej aktywności, kto wie, może to spadek po awanturnicznym wodzu, Barionie⁴⁸.

To świat drobnych rzemieślników pracujących na progach domów, tysiąca figurek świętych zdobionych koronkami i małych ołtarzyków przytwierdzonych do ścian, pełnych świec i kwiatów. To także tłum dzieci biegających po zaułkach, z ciemnymi, kręconymi włosami, często niezbyt czystymi. To kobiety, które niezmordowanie przesuwają czółenka krosien, setki sklepików sprzedających wszystko i nic, tysiące balkonów, na których schną na słońcu pomidory i czosnek, melony i cebule, przypominając kadry filmu w technicolorze. Dla cudzoziemca, zwłaszcza z północy, przyzwyczajonego do systematycznego porządku i estetycznej dyscypliny, Bari Vecchia jawi się jako teatr o tysiącu obliczy. Teatr, który istnieje nie tylko w przestrzeni, lecz przede wszystkim w czasie, teatr, na którego scenie występuje najwspanialszy i najpotężniejszy aktor, jaki kiedykolwiek istniał i istnieć będzie: życie.

A jeśli przypadkiem reżyser z Hollywood przeszedłby tymi zaułkami z kamerą w rękę, byłby zakłopotany, nie wiedząc, od czego zacząć kręcić film tak oryginalny.

Na rogu stoi stara kobieta z rozwichrzonymi włosami, z klatką, w której trzyma papugę. Za dziesięć lirów ptak wyciąga dziobem karteczkę z pudełeczka i elegancko przepowiada przyszłość. Dziwna para, związana na życie i śmierć, która przywołuje wizje innych światów i dawnych epok, Minerwy i sowy, czarownicy i węża.

Oto artysta z gitarą, który śpiewa neapolitańskie pieśni. Z okien i balkonów wychylają się dziesiątki głów, słuchając go niczym z łoży prawdziwego teatru. On zaś, pełen wdzięku, średniowieczny wędrowny grajek, próbuje zarobić na talerz makaronu. I idzie mu doskonale, bo tutaj, w Bari Vecchia, publiczność potrafi być bardziej wymagająca niż w niejednym zagranicznym teatrze.

Siwowłósy starzec z fioletowym bukietem astrów podchodzi do małego ołtarzyka z napisem: „Wierni z roku 1947” i składa swój dar – może kupiony za ostatnie oszczędności. Kościół bywa już dla niego czymś zbyt wielkim i odległym, a ten święty stoi tu, na rogu domu, jak dobry sąsiad i przyjaciel ulicy: można go minąć, skinąć mu przyjaźnie głową, powiedzieć dzień dobry i ofiarować skromny bukiet kwiatów.

Reżyser musi się spieszyć, bo obrazy następują po sobie coraz szybciej. Uroczy osiołek ciągnie na wąskim wózekczku drewno do pobliskiej piekarni,

48 Przegląd opowieści i legend na temat najdalszej, „bajecznej” historii miasta Bari przynosi ciekawy artykuł Moniki Tarricone. Znajdziemy tu także wersję opowieści o Barionie („kapitanie szlachetnych i walecznych młodzieńców z Dalmacji”), którego imię wielokrotnie przywołuje Alberti, czyniąc go swoistym „duchem miejsca”. Por. M. Tarricone: *Il mito della fondazione e l'origine del nome Bari*. <https://www.maestrale magazine.it/origine-nome-bari/> [dostęp: 10.12.2025].

a ładunek jest pięciokrotnie większy od niego samego. Tam z kolei kot, z niewypowiedzianą elegancją, zwinął z talerza przed sklepikiem rybę wystawioną na sprzedaż, ku radości i burzliwym oklaskom dzieci, entuzjastycznych i zazdrosnych świadków tej pouczającej sceny. Kilka gołębi grucha obok przechodniów spokojnie i dostojnie, jakby przyniosły nowe, dobre słowo z odległego świata. Choć, niestety, dobrze wiemy, jak trudno dziś o dobrą nowinę.

Oto jeszcze jedno widowisko: targ w miniaturze. Przy murze stoją dwa krzesła; na jednym leży kawałek materiału, na drugim sprzedawca, stojący niczym kapłan na ambonie, donośnym głosem zachęca do zakupu. Musi być dobrym mówcą, skoro potrafi zainteresować przechodniów, którzy w końcu zaczynają pytać o cenę. Od wieków odbywa się tu ten sam targ. Nie liczy się tak bardzo jakość towaru ani nawet jego cena, wygrywa jedynie talent oratorski sprzedawcy. I od razu widać, że w zamierzczłych czasach cywilizacji musieli tędy przechodzić Grecy. Kobieta słuca, karmiąc piersią dziecko; inna obiera na talerzu pomidory na sałatkę; jeszcze inna w dłoni wciąż trzyma miotłę... Dzieciaki otaczają sprzedawcę, zawsze znajdzie się ich co najmniej tuzin – i tak zaczyna się dzień handlowy.

Oczywiście nic nie dzieje się samo z siebie, w sprawę włączają się także najważniejsi święci z kalendarza. Sprzedawca odwołuje się do św. Antoniego, a kobieta robiąca zakupy powierza się opiece Madonny z Pompejów. Słucham z zaciekawieniem. Handlarz zarzeka się, że nie może zejść poniżej czterystu lirów za metr i wzywa na świadka swego patrona. Kobieta odpowiada, że zapewni mu wieczystą ochronę Madonny, jeśli tylko sprzeda jej materiał za trzysta lirów. Kto zwycięży? Antoni czy Madonna? Naturalnie chciałabym wierzyć, że silniejsza okaże się Ona, lecz obawiam się, że jednak przewagę ma On.

Licytacja staje się coraz bardziej pasjonująca. Na koniec notuję ze smutkiem, że żadne z nich nie wygrało: ani św. Antoni, ani Madonna – materiał kupiła inna kobieta, i to za zaledwie dwieście pięćdziesiąt lirów!

Setki podobnych scenek, wartych tego, by wyłowić je i zebrać okiem uważnego obserwatora, obdarzonego czasem i cierpliwością, splatają się w zawrotnym tempie w tej średniowiecznej scenerii; jedynie stroje aktorów przypominają, że żyjemy w połowie XX wieku.

Wazy tworzone w starożytnej Peucezji⁴⁹, której stolicą było Bari, przedstawiały malowane sceny z codziennego życia. Dziś samo życie rysuje podobne obrazki na wazonie, który nazywa się Bari Vecchia.

49 Region historyczny na północno-zachodnim wybrzeżu Morza Adriatyckiego, obejmujący obszar Apulii z miastem Bari jako ośrodkiem administracyjnym i politycznym. Peucezja, funkcjonująca jako jednostka terytorialno-administracyjna od okresu grecko-rzymskiego, stanowiła ważny punkt kontaktów między kulturami italską, grecką i rzymską, odgrywając kluczową rolę w handlu

PŁOMIEŃ BOŻEGO POKOJU BIEGNIE PRZEZ BARI

Twój szwajcarski zegarek – Tissot, Omega czy Cyma – ten sam, który nieustannie gnał w zawrotnym rytmie polityki, strajków, wojen i śmierci, wreszcie się zatrzymał. Nie dotykaj go..., niech odpocznie.

Dziś zatrzymamy czas i na słonecznym zegarze odczytamy jego dawny, antyczny bieg. Cofamy się do roku 776 przed Chrystusem, który jeszcze nie zstąpił na ziemię. Nad światem wciąż panuje Zeus, syn Kronosa i Rei. W Olimpii, małej wiosce w Elidzie, odbywają się pierwsze igrzyska. Tak mówi historia. Jednak dawna legenda każe wierzyć, że igrzyska olimpijskie rozgrywano tu na długo przed tym, nim historia nauczyła się pisać. Według tradycji były one jedną z czterech najdawniejszych i najważniejszych uroczystości Grecji, a ich fundatorami mogli być Pelops, Oksylos albo Herakles⁵⁰ – pierwszy sportowiec starożytności.

Nie spieszymy się jeszcze do tej uroczystości, bo w tamtej epoce na stadionie można było oglądać jedynie biegi pieszce, a sędziów było zaledwie dwóch. Było to święto jednej tylko greckiej krainy, Elidy.

Tymczasem wskazówka słonecznego zegara przesuwana się dalej. Rozkwita kultura, rośnie chwała i sława Greków. Jesteśmy już w połowie IV wieku. Nadszedł moment, by ujrzeć widowisko w pełnej okazałości. Igrzyska urosły do rangi święta całego Peloponezu, a udział w nich biorą już wszystkie kolonie greckie z basenu Morza Śródziemnego.

W ciągu dwóch godzin docieramy samolotem do Olimpii i oglądamy spektakl, który na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

Jeśli chcesz powitać siedzibę dawnych bogów, poproś pilota, by obniżył lot nad Olimpem, tym samym, który przez wieki, ukryty w chmurach, strzegł

i wymianie kulturowej na pograniczu Morza Adriatyckiego. Bari, jako stolica Peucezji, była centrum zarządzania regionem, a jej rozwój urbanistyczny i funkcje administracyjne świadczą o znaczeniu politycznym i gospodarczym Peucezji w okresie antycznym. Za: C. Zaccaria: *Peucezia: organizzazione territoriale e politica nel mondo antico*. École Française de Rome, Roma 2004, s. 58–64.

50 Pelops to mitologiczny bohater i król w mitologii greckiej, syn Tantala, uważany za założyciela dynastii w regionie Peloponezu, od którego pochodzi nazwa półwyspu. Jego legenda obejmuje motywy rywalizacji, małżeństwa z Hippodamią oraz święta igrzysk w Olimpii, co stanowiło podstawę dla wielu tradycji religijnych i kulturowych w starożytnej Grecji. Oksylos to postać mitologiczna i eponimiczny bohater, utożsamiany z założycielem rodów i miast w starożytnej Grecji, często łączony z kultami lokalnymi oraz inicjacjami heroiczno-religijnymi. Jego imię pojawia się w kontekstach związanych z symboliką odnowy i rytuałów przejścia, co odzwierciedla znaczenie heroicznego archetypu w greckiej tradycji. Za: R. Buxton: *The Complete World of Greek Mythology*. Thames & Hudson, London 2004, s. 112–115.

boskiej tajemnicy, a którego szczyt ludzka stopa dotknęła dopiero w XIX wieku. To właśnie wtedy dwaj szwajcarscy alpiniści, po raz pierwszy w dziejach, stanęli twarzą w twarz z cieniami nieśmiertelnych⁵¹.

Lądujemy w Olimpii. Już z daleka widać ogromny tłum mieniący się barwami. Od tygodni, a może i miesięcy, Grecy są w drodze. Jak wezbrany potok spływają z gór i zalewają doliny, nadciągając z Koryntu i Teb, z Aten i Sparty, z Arkadii, Tesalii, Beocji. Przyplływają też z odległych kolonii: z wysp Morza Egejskiego, z Azji Mniejszej, z Cyreny, z Wielkiej Grecji. Wszyscy, chronieni cudownym prawem świętego pokoju, docierają tu bezpiecznie i w równie wielkim spokoju powracają. Nikomu nie spadnie włos z głowy, bo święty rozejm pozostaje nienaruszalną gwarancją bezpieczeństwa.

Jesteśmy w połowie miesiąca Apolloniosa, naszego sierpnia, gdy rośliny nad brzegami strumienia Alfejos roztaczają odurzające wonie, a Diana każe księżycowi lśnić pełnią najczystszej blasku.

W tłumie dostrzegasz ludzi najrozmaitszego pochodzenia: Dorów, Jonów i Eolów. Widzisz też wiele młodych dziewcząt, bo od trzech stuleci – od trzydziestej siódmej olimpiady w roku 732 – również one, w wieku od osiemnastu do dwudziestu lat, mogą uczestniczyć w igrzyskach.

Spójrz! Słońce wschodzi, a ożywiony tłum, już od wczesnych godzin, zajmuje miejsca na stadionie. Na specjalnych trybunach zasiadają oficjalni delegaci, heroldowie różnych miast i kolonii. Wśród tłumu dostrzeżesz najśłynniejszych poetów, którzy idąc śladami Homera i Pindara, czerpią z święta młodości tematy i natchnienie dla swoich pieśni; opisując Olimpiadę, pragną zdobyć chwałę na miarę Symonidesa i Bakchylidesa. Spotkasz też rzeźbiarzy, poszukujących modeli dla swych atletów, dyskoboli i biegaczy. A sędziów jest już nie dwóch, lecz dziesięciu, i pracują z największą surowością, ale i z największą uczciwością.

Z lokalnego święta niewielkiej Elidy, odnotowanego przez Homera, rozkwitło widowisko, które, powtarzane co cztery lata, stało się nie tylko świętem sportu i triumfem piękna ciała, jego elastyczności i siły, lecz także manifestacją polityczną i narodową Greków. Małe państewko Peloponezu, które nigdy wcześniej

51 Tu drobna korekta. Dopiero w XX wieku szwajcarska ekspedycja alpinistyczna dokonała pierwszego w historii potwierdzonego wejścia na szczyt góry Olimp (w roku 1913), będącej najwyższym masywem Grecji oraz kluczowym miejscem w mitologii helleńskiej. To pionierskie osiągnięcie stanowiło istotny moment w historii alpinizmu, łącząc szwajcarskie tradycje wysokogórskie z badaniami geograficznymi i kulturowymi regionu. Zdobycie Olimpu przez Szwajcarów przyczyniło się do rozwoju naukowego poznania tego obszaru oraz wpłynęło na wzrost znaczenia turystyki górskiej w kontekście dziedzictwa kulturowego i naturalnego Grecji. Za: H. Keller: *Swiss Mountaineers and the Conquest of Olympus*. Swiss Foundation for Alpine Research, Zürich 1955, s. 34–39.

nie czuły więzi między sobą – każde z własnym rządem i własną dumą – tutaj tworzą wymarzoną Pan-Grecję. W Olimpii, nad brzegami Alfejosu i Kladeosu, u stóp wzgórza Kronosa, na kwadratowym placu Altis, w cieniu świątyń Hery i Zeusa, serca odkładają na bok nienawiść, zemstę, zazdrość i wrogość, bijąc w jednym rytmie, w tej samej dumie i uroczystej przyjaźni.

Czy to surowy Spartanin, czy wytworny i filozoficzny Ateńczyk, syn pasterza z Arkadii, czy góral z Beocji, nikt już nie nazywa się Tesalem ani Koryntianinem, Tebaninem czy Milezyjczykiem. Dziś każdy jest po prostu Grekiem: twórcą i uczestnikiem tej samej kultury, przyjacielem wczorajszego wroga.

Na zegarze słońce odmierzyło cztery lata. Miesiące Partenios i Apollonios rozпалиły żarliwą pochodnię słońca w zenicie; i oto stadion w Olimpii znów радуje nasze oczy, ukazując młodzież piękną i zdrową, wolną od chorób, wychowaną w kulcie ciała i w dyscyplinie moralnej.

Igrzyska nie trwają już jednego dnia, jak w VIII wieku, lecz pięć. Do biegu i pierwszych zawodów gimnastycznych dołączono teraz wyścigi konne, zapasy, boks, pankration⁵², wyścigi rydwanów i kwadryg, biegi zbrojnych, rzuty i inne konkurencje. Pierwszy dzień poświęcony jest wyłącznie obrzędowi religijnym. Wśród chórów i podniosłych hymnów składa się Zeusowi ofiarę z byka. Igrzyska otwierają dziewczęta, bo w Grecji to kobieta miała zawsze pierwszeństwo. Atena dzierży sowę i to ona, nie mężczyzna, uosabia mądrość. Artemida rozświecła noc blaskiem księżyca i zapewnia strawę. Demeter obdarza plonami, a Kora przywraca światu wiosnę. Safona pisze wiersze, Aspazja wywiera wpływ na politykę. Kobieta cieszy się jeszcze wolnością, którą utraci dopiero po wielu stuleciach.

Na stadionie znów ją ujrzysz, dziewczynę wolną i piękną, o doskonale klasycznych proporcjach, tę samą, która mogła pozować twórcom Wenus z Milo, Wenus z Knidos czy samemu Anaksymenesowi. Ujrzysz również atletów, w których postawie pobrzmiewa genetyczna spuścizna Heraklesa, pozostawiająca im część boskości. Są tu już od wielu tygodni, wytrwale przygotowując się do igrzysk.

Wkraczą teraz na stadion, pośród entuzjazmu tłumu, prezentują się publiczności, pozdrawiając ją z głowami skropionymi świętym olejem. Wstępują wspaniali, nadzy, zgodnie ze zwyczajem tamtych czasów.

52 Pankration to starożytna grecka dyscyplina sportowa łącząca elementy zapasów i boks, będąca integralną częścią igrzysk olimpijskich od 648 r. p.n.e. Charakteryzowała się niemal całkowitą swobodą technik walki, z ograniczeniem jedynie gryzienia i wyrywania oczu, co czyniło ją jedną z najbrutalniejszych konkurencji antyku. Pankration pełnił funkcję nie tylko sportową, ale i wojskową, kształtując sprawność fizyczną oraz dyscyplinę wojowników w kulturze hellenistycznej. Za: J. Miller: *Pankration: Combat and Society in Ancient Greece*. „Classical Quarterly” 2010, no. 60, s. 45–52.

•
•
•
•
•



...flota, jak niegdyś flota tareńska, rzymska, bizantyjska i normańska.
Gdy znalazł się śmiałek, który przypuszczał atak, nie wychodził z tego bez szwanku

•
•
•
•
•
•
•



To jedno z najbardziej charakterystycznych i malowniczych świąt w całej Apulii

•
•
•
•
•
•

Być może wśród nich rozpoznasz postacie, które mogłyby uchodzić za żywe wzory Fidiasza i Praksytelesa, Myrona i Lizypa, dziś znane nam jako marmurowe posągi w Luwrze, Watykanie, na Kapitolu czy w British Museum.

W ciągu czterech dni zawodów ujrzymy najrozmaitsze zmagania. Zjednoczona Grecja nie ma nic wspólnego z podzielonymi miastami-państwami. Teraz z dumą ukazuje zdrową i silną wspólnotę, wspaniałą młodzież, obywateli wychowanych w dyscyplinie fizycznej i rygorze moralnym, gotowych w przyszłości objąć rządy i urzędy oraz nieść grecką kulturę świata. Rywalizacja jest szlachetna, a każdy wysiłek i osiągnięcie oceniane są z największą dokładnością przez uczciwych sędziów.

W świetle pełni księżyca atleci i konie, rydwany i zaprzęgi, dziewczęta oraz widzowie, starzy i młodzi, zdają się spowici aurą wzniosłości. To widowisko niemal mistyczne.

Wreszcie zostaje ogłoszony zwycięzca. Na jego głowie spoczywa korona z dzikiego drzewa oliwnego, świętego dla Ateny, którego srebrzyste liście opiewali już Homer i Herodot. Wieniec został ścięty złotym sierpem przez najpiękniejszą dziewczynę z rodu o znakomitym pochodzeniu. Entuzjazm łączy wszystkich: urzędników i heroldów, poważnego obywatela Beocji, wytwornego Ateńczyka, mieszkańca odległych kolonii, poetę, rzeźbiarza, prostego skrybę. Oto święto demokracji, w którym łączą się narody i wspólnoty, sfery społeczne, przekonania polityczne i różne pokolenia.

Zwycięzca na białym koniu ma teraz prawo powrócić w chwałę do swojego miasta. To triumf równy temu, który w przyszłych wiekach przypadnie rzymskiemu cesarzowi, a może nawet bardziej zasłużony, bo będący owocem siły indywidualnej, niezłomnej woli, energii i wewnętrznej dyscypliny.

Spójrzmy znów na zegar. Jest rok 393 naszej ery: chrześcijaństwo zabroniło igrzysk olimpijskich. Trzydzieści lat później Teodozjusz II zniszczy Olimpię.

Altis pogrążone jest w ciszy; trawa zarasta świątynie i stadion, a idea świętego pokoju, płomień olimpijski, który niegdyś symbolizował wspólne bicie serc w przyjaźni, na długie stulecia pozostanie pogrzebany. Nikt już nie przemierza stadionu, pokonując dwadzieścia cztery razy jego sto dziewięćdziesiąt dwa metry. Tylko w wersach Pindara pędzą cienie czterdziestu jeden kwadryg, a liczni marmurowi herosi, którzy niegdyś zdobili portyki, spoczywają dziś pod ziemią.

Olimpia pogrążona była w śnie przez ponad czternaście stuleci, dłużej o całe trzy wieki, niż trwało jej życie pełne świąt i triumfów. Pierwsze wykopaliska w 1829 roku przypomniały światu o cudzie minionych wieków i olimpijskim ideale. Kolejne, w 1852 roku, wydobyły Olimpię na światło dzienne, a czterdzieści

lat później, w murach Sorbony, Pierre de Coubertin tchnął w świat ideę wskrzeszenia starożytnych igrzysk.

I oto po piętnastu stuleciach olimpijski płomień znów rozbłysnął. W kalendarzu jest rok 1896, a pierwsze nowożytne igrzyska w Atenach na nowo rozpały święty ogień. Dawna, niewielka prowincja Peloponezu stała się już znaczącą częścią Europy, a siła ciała zaczyna ustępować miejsca potędze maszyn. Pierwszą olimpiadę można nazwać kolebką współczesnego sportu, choć zdaje się, że gdyby Pindar lub rzeźbiarz Bryaksis mogli ją ujrzeć, poczuliby zawód. Druga olimpiada odbyła się w Paryżu, a kolejne, zgodnie z tradycją, co cztery lata: w Saint Louis, Londynie i Sztokholmie.

W roku 1916 płomień wojny przyćmił blask świętego pokoju. W dawnej Grecji na czas igrzysk odkładano broń, lecz wtedy Europa, rozdarta brutalną nienawiścią, nie miała już sił na pokój i igrzyska olimpijskie w Berlinie nie doszły do skutku. Potem jednak płomień znów wyruszył w swoją wędrówkę: w 1920 dotarł do Antwerpii, w 1924 do Paryża, w 1928 do Amsterdamu, w 1932 do odległego Los Angeles, a w 1936 do Berlina. W 1940 roku zamiast gościć święty ogień, Tokio szykowało się na bombardowania, a w 1944 roku Rzym pogrążony był w ciemnościach.

Z kalendarza współczesności wymazano trzy olimpiady. Nie znaleźliśmy w sobie siły, jak dawni Grecy, by się zjednoczyć; zabrakło nam odwagi, by wyrzec się ciasnych ram narodowości, francuskiej, niemieckiej, angielskiej, włoskiej, i stać się Europejczykami, a może nawet obywatelami jednego, wspólnego świata. A przecież w starożytności mieszkaniem Tesalii czy Miletu, wysp Morza Egejskiego czy dalekich kolonii miał odwagę powiedzieć: „dziś wszyscy jesteśmy Grekami, a przyjazne skrzydła świętego pokoju chronią nas”.

Spójrz na kalendarz: mamy rok 1948. Od pierwszych igrzysk olimpijskich upłynęły już 2724 lata. A jednak płomień olimpijski znów obiega świat. Dniem i nocą, nie zważając na burze ani skwar, bez chwili wytchnienia biegnie przez kraje, podawany z rąk do rąk, przez ludzi różnych narodów, mówiących różnymi językami, należącymi do rozmaitych warstw społecznych. Niesie wraz ze sobą ideę, której nie rozumieją ludzie widzący w Olimpiadzie jedynie uhonorowanie wysiłku fizycznego.

Jest coś głęboko poruszającego, niemal mistycznego, w biciu serca, które niesie znicz olimpijski, w oddechu przyspieszonym wysiłkiem. Płomień przemierza tysiące kilometrów, przez mgły i słońce, wiatr i gwiazdy, w nieustannym biegu przez góry i równiny, od wiosek po stolice.

Teraz potrzebny ci będzie zegarek, by nie uronić ani chwili. Nastaw Omegę, Tissota czy Cymę, bo już za moment ujrzysz to, na co czeka cały świat – płomień świętego pokoju.



Każdy diadem ma wprawiony jeden, centralny kamień. Diamentem, prawdziwym koh-i-noor, w koronie apulijskiego romanizmu jest właśnie Bazylika św. Mikołaja



To rzeczywiście miejsce niezwykle, nie tylko dzięki niemu pięknemu architektonicznemu, kryjącemu liczne zabytkowe arkady...

Na zegarze prefektury w Bari wybija południe. Starożytne miasto, dawna metropolia wspominana przez Pliniusza i Strabona, było niegdyś miejscem, skąd wyrusжали heroldowie na igrzyska. Dziś natomiast Bari wita olimpijski ogień, który po długiej podróży angielskim statkiem schodzi na brzeg i po raz pierwszy w historii dotyka włoskiej ziemi⁵³.

Na głównej ulicy, przed Palazzo del Governo, którego architektura odznacza się prostotą i powagą, stoją w zwartym szyku szeregi żołnierzy, oddając hołd, a obok nich przedstawiciele organizacji sportowych. Po obu stronach tłum tworzy szpaler. Trójnog na ogień jest już przygotowany.

Jest godzina dwunasta trzydzieści na zegarze prefektury, gdy słysząc okrzyki, zwiastujące przybycie delegacji. Z alei, nad którą faluje podekscytowany tłum, wyłania się sztafeta. Brytyjski biegacz, niosąc w dłoni olimpijski ogień, witany entuzjastycznie, biegnie w otoczeniu sześciu włoskich kolegów i dociera na plac. Jego pierś faluje urywanym oddechem, a już po drugiej stronie trójnogu czeka włoski atleta, spokojny, opanowany, niczym marmurowy posąg, gotów przejąć pochodnię.

Spójrz! Jest dokładnie pierwsza. Olimpijski ogień musi ruszyć dalej w drogę, bo w ciągu czterech dni ma do pokonania tysiąc siedemdziesiąt cztery kilometry, niesiony kolejno przez ośmiuset pięćdziesięciu włoskich atletów aż do granicy ze Szwajcarią. Oto nadszedł niezwykle moment: dwie dłonie, angielska i włoska, ściskają się serdecznie w przyjacielskim geście, pod opieką olimpijskiego płomienia. A przecież te same dłonie, zaledwie kilka lat temu, były sobie wrogie i ciskały ogień bomb na cudze miasta.

Chwila ta jest tak symbolicznie wzniosła, że w oczach wielu widzów pojawiają się łzy. A Bari, które w swej długiej historii oglądało już niejedno widowisko, dziś jako pierwsze spośród włoskich miast dostępuje zaszczytu przyjęcia płomienia pokoju. Wierzę, że ta chwila zapisze się w jego annałach ognistymi literami.

Znicz dniem i nocą przemierza włoskie równiny, szwajcarskie przełęcz i pola Flandrii. W naszych sercach wyprzedzamy tę chwilę, gdy ogień świętego pokoju obejmie cały świat.

53 20 lipca 1948 roku olimpijski ogień, zapalony tradycyjnie w starożytnej Olimpii, po morskiej podróży angielskim statkiem dotarł do portu w Bari, stając się pierwszym w historii miejscem na włoskiej ziemi, gdzie ogień ten został oficjalnie przyjęty podczas XXX Letnich Igrzysk Olimpijskich w Londynie. Ceremonia ta symbolizowała powojenne odrodzenie sportu i współpracy międzynarodowej, a Bari zyskało status strategicznego punktu łączącego tradycję antyczną z nowoczesnością w ramach odbudowy europejskiej tożsamości olimpijskiej. Wydarzenie wpisywało się także w polityczno-kulturowy kontekst powojennych Włoch, podkreślając rolę miasta jako pomostu między Morzem Śródziemnym a resztą Europy. Za: A. Noto: *Pierre de Coubertin. Il progetto politico dell'olimpismo*. Università degli Studi di Teramo, Teramo 2013.

Pauzaniasz wspomina, że w Olimpii widział dysk, na którym Ifitos ogłaszał święty pokój⁵⁴. Kiedy jednak pojawi się współczesny Ifitos, który choćby na zwykłej kartce papieru odważy się ogłosić pokój dla całej ludzkości?

TOTILA PRZEMIERZA ŚWIAT

Uwertura była romantyczna. Trzynastu rycerzy wraz z trzynastoma dziewczynami, pod przewodnictwem Bariona, opuściło Ilirję, aby po drugiej stronie morza odnaleźć życie pełne przygód. Była to epoka, gdy ziemi nie mierzono hektarami. Rozciągała się ona w cztery strony świata, a jedynym jej właścicielem był wiatr. Trzynastu towarzyszy odebrało wiatrowi we władanie ziemię Apulii i założyło na niej trzynaście miast. Tak powstało romantyczne miasto Egnazja, któremu pisany był mimo wszystko smutny koniec.

Zanim jednak nad miastem zawisła tragedia, osada założona przez poszukiwacza przygód przeżyła swój czas blasku i chwały. Z tej świetności przetrwały do naszych dni cenne świadectwa sztuki. W muzeum w Neapolu można podziwiać złote diademy, które przez wieki spoczywały w ziemi, uśpione w oczekiwaniu, aż ręka archeologów wydobydzie je na światło nowego życia. W British Museum natomiast zachwyca niezwykle terakota, na której Zeus ukazany jest jako woźnica kwadrygi – dzieło wyróżniające się niepowtarzalnym stylem, należące do szczególnego rodzaju ceramiki znanej jako ceramika z Egnazji, słynącej z bogatych zdobień w motywy kwiatowe i roślinne⁵⁵.

54 W swoich *Opisach Hellady* Pauzaniasz relacjonuje, że w świątyni w Olimpii widział dysk, na którym legendarny król Ifitos ustanawiał święty pokój (*ekecheiria*), gwarantujący bezpieczeństwo uczestnikom igrzysk olimpijskich. Tekst ten podkreśla kulturową i religijną rolę świętego pokoju jako fundamentu pokojowego współzawodnictwa w okresie igrzysk. Por. P.J. Rhodes: *A History of the Classical Greek World, 478–323 BC*. Blackwell Publishing, Oxford 2006.

55 Marmurowa statua Zeusa, datowana na II–III w. n.e., odkryta na terenie antycznego miasta Egnazja w Apulii, stanowi kluczowy przykład późnorzymskiej rzeźby sakralnej o wyraźnych wpływach klasycznych kanonów ikonograficznych, z lokalnymi adaptacjami artystycznymi charakterystycznymi dla regionu południowych Włoch. Analizy stylistyczne i konserwatorskie potwierdzają, że figura pełniła funkcję kultową, będąc materializacją centralnej roli Zeusa w panteonie religijnym Egnazji oraz świadectwem synkretyzmu religijnego w Cesarstwie Rzymskim. Obiekt, przechowywany i eksponowany w British Museum, stanowi ważny artefakt dokumentujący wymianę kulturową oraz ciągłość tradycji ikonograficznych między Grecją, Italią a światem rzymskim. Jego obecność w kolekcji muzealnej umożliwia interdyscyplinarne badania dotyczące recepcji bóstw antycznych w późnoantycznym środowisku Apulii. Za: J. Boardman: *Roman Sculpture in the British Museum*. Thames & Hudson, London 1995, s. 142–148.

Egnazja rozkwitała jeszcze przed nadejściem epoki rzymskiej, o czym świadczą znaleziska odkryte pod mozaiką bazyliki, sięgające znacznie dawniejszych czasów. Jednak prawdziwa chwała miasta przypada na okres, gdy Rzym, jednoząc wrogie sobie i nieustannie skłócone osady tego terytorium, wyniósł Egnazję do rangi *municipium*.

Musiało to być miasto sławne i bogate, skoro jego imieniem nazwano drogę biegnącą po drugiej stronie Adriatyku, wiodącą przez Macedonię i Monastyr, od Dyrrachium po Saloniki, Adrianopol i Konstantynopol. Droga ta stanowiła bałkańskie przedłużenie Via Appia i Via Traiana i była jednym z najważniejszych traktów starożytności, niczym żywa arteria, którą płynęły bogactwa handlu, łącząc Wschód z Zachodem.

Na podstawie niepełnych, lecz wciąż czytelnych inskrypcji odkrytych podczas wykopalisk nasza wyobraźnia odtwarza obraz miasta, które Horacy określił mianem *lympis iratis extructa*⁵⁶. W tej wizji ponad wszystkim wznoszą się potężne mury, niegdyś otaczające całą osadę, bazylikę z jej trzema nawami, forum i świątynie. Horacy, w słynnej *Satyrze*, wspomina ciekawostkę z podróży z Rzymu do Brindisi: opowiada, że przed jedną z tych świątyń widział kamień, który sam z siebie rozpałał drewno świętego ognia, gdy tylko został do niego przyłożony. W tamtych czasach wciąż żywy był szacunek, jakim w dawnych epokach otaczano święte kamienie, czczone jako symbole o niemal boskiej naturze⁵⁷.

Egnazja była typowym miastem regionu, podobnym do wielu innych, jakie istniały w Apulii.

Wykopaliska na terenie nekropolii odsłoniły obraz ośrodka nie tylko handlowego, lecz także tętniącego życiem artystycznym. Wydobyte podczas wyko-

56 Horacy, opisując nieproporcjonalne i przesadne budowle jako świadectwo pychy ludzkiej wobec natury i bogów, użył wyrażenia *lympis iratis extructa* („wzniesione ku gniewnym Olimpom”), podkreślając ich hybris i dysharmonię z ładem boskim (zob. Horacy: *Wybór poezji*. Oprac. J. Krókowski. Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław 1971, BN II, 25, *Pieśń II*, 15).

57 Horacy, w *Satyrze* (I, 5) opisując swoją podróż do Brundyzjum, wspomina o cudownym kamieniu znajdującym się przed jedną ze świątyń, który – bez udziału ludzkiej ręki – rozniecał ogień, gdy tylko przyłożono doń drewno. Epizod ten, osadzony w kontekście realistycznej topografii Drogi Appińskiej (Via Appia), stanowi przykład literackiego wykorzystania motywu *mirabilia* w rzymskiej satyrze podróżnej, gdzie cudowność zyskuje funkcję retoryczną i kulturową, wskazując na trwanie lokalnych tradycji sakralnych oraz ich postrzeganie przez obywatela Rzymu jako osobliwości godnej ironicznego komentarza. Zob. Quintus Horatius Flaccus (Horacy): *Satyry*. Tłum. J. Sękowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1972, Biblioteka Poetów.

palisk skarby, w dużej mierze trafiły do najsłynniejszych muzeów świata, które dziś chlubią się nimi w swoich kolekcjach.

Nie zajmuje nas dziś historia tego miasta, położonego przy głównej drodze z Barium do Brundisium, ani owoce wykopalisk. Naszą uwagę przyciąga przede wszystkim jego śmierć.

Była to śmierć tak niezwykła, że nie mogło już być mowy o odbudowie. I właśnie to czyni sprawę jeszcze bardziej intrygującą: badając bowiem dzieje innych miast Apulii, widzimy, że ich wspólną cechą była niezwykła odporność – potrafiły podnosić się po każdym ciosie i odradzać po każdym pożarze. Dziesiątki apulijskich ośrodków udowodniło swoją siłę i żywotność. Egnazja zaś, mimo swego znakomitego nadmorskiego położenia, upadła raz na zawsze. Nie zdziwiłoby nas, gdyby zginęła z powodu niezdrowego klimatu, jak Siponto, którego mieszkańców malaria zmusiła do przenosin do Manfredonii. Ani gdyby została pochłonięta przez potężne żywioły natury – trzęsienia ziemi, cyklony, wybuchy wulkanów, powodzie czy fale morskie. Jednak nie one zadały Egnazji ostateczny cios. Zrobiła to siła potężniejsza i bardziej bezlitosna niż wszystkie żywioły razem wzięte: człowiek.

Człowiek niszcząc, czyni to z tak wielką siłą i gwałtownością, że nie znajduje sobie rywali ani wśród dzikich bestii, ani wśród rozszałych żywiołów. Od zarażenia cywilizacji, by udoskonalić swoje dzieło zagłady, posiłkował się przebiegłością, wynajdując najdziwniejsze i najbardziej niezwykłe sposoby niszczenia. Człowiek współczesny zaś nie porzucił tej przebiegłości, wzmocnił ją jedynie mocą nauki i techniki.

Tak więc Egnazja została zniszczona przez ludzi. W 545 roku Totila, bezlitosny wódz Gotów, podczas wyprawy w celu podboju Italii, rzucił hordy wojowników przeciw miastu⁵⁸. Zniszczenie było tak straszliwe i całkowite, że zrozpaczeni mieszkańcy rozpieczęli się po okolicy, nie znajdując w sobie siły, by powrócić do ruin i podjąć się trudu odbudowy.

58 Podczas drugiej fazy wojny gockiej, w roku 545 n.e., Totila, król Ostrogotów, przeprowadził zbrojną kampanię przeciw Egnazji (łac. *Egnatia*), ważnemu ośrodkowi miejskiemu Apulii położonemu przy Via Traiana. Źródła późnoantyczne, zwłaszcza Prokopiusz z Cezarei, opisują działania Gotów jako bezwzględne i systematycznie wymierzone w miasta lojalne wobec Cesarstwa Wschodniorzymskiego. Zniszczenie Egnazji należy interpretować nie tylko jako akt militarny, lecz również jako świadome uderzenie w bizantyjską infrastrukturę administracyjną i komunikacyjną regionu. Upadek miasta wpisuje się w szerszy kontekst dezintegracji życia miejskiego w południowej Italii w wyniku długotrwałego konfliktu. Za: R.N. Salzman: *The Falls of Rome Crises, Resilience, and Resurgence in Late Antiquity*. Cambridge University Press, Cambridge 2021, s. 176–177.

Skoro jednak ludzie, tak uparci i wytrwali, tyle razy odbudowywali Canosę i Altamurę, Brindisi i Tarent, Gallipoli i Lucerę, a tu dali za wygraną, to znak, że żelazo i ogień gockich hord dokonały dzieła całkowitej zagłady.

Siedzimy wśród ruin, które przywodzą na myśl ponure wizje ostatniej światowej katastrofy. Wciąż odczuwamy ją głęboko, każdą komórką ciała.

Od morza wieje silny wiatr, a olbrzymie fale obmywają brzeg, tak jak w czasach Horacego. Nadchodzi wieczór, a lodowate gwiazdy, ze swym zagadkowym pismem, nie potrafią wyryć dla nas choćby jednego słowa pocieszenia.

Być może nie będzie rzeczą daremną, jeśli podczas naszej wędrówki po Apulii, zatrzymując się przy kamieniach Egnazji, dokonamy gorzkiego rachunku sumienia. Człowiek – Totila przeszedł bowiem przez świat. Pędził najdziwniejszymi środkami lokomocji, przez piaski pustyń i śniegi stepów. Unosił się w powietrzu na stalowych skrzydłach, żeglował po oceanach w złowróżbnych łodziach, zanurzał się pod fale odziany w niemal demoniczne stroje, schodził w głąb ziemi otoczony ładunkami dynamitu i... niszczył. Niszczył z powietrza i z ziemi, z wody i z morskiego dna.

Zmieniały się bronie, wyposażenie, język rozkazów i rytm, który wyznaczał krok marszu, lecz człowiek – Totila, bezlitosny rywal samych żywiołów, pozostał ten sam. Naprawdę nie ma bowiem znaczenia, czy nazywa się Egnazja, Warszawa, Hamburg czy Rotterdam, Kolonia, Belgrad, Cassino, Nagasaki czy Stalingrad. W roku 545 czy w 1945... Totila wciąż maszeruje przez świat, a każdy naród chętnie wstępuje w jego szeregi.

Dziś mamy jeszcze siłę, by wracać na ruiny z cegłami, wapnem i wiarą, że nasz trud nie będzie daremny. A jutro? Jeśli w różnych zakątkach świata miałyby powtórzyć się kolejne Nagasaki, czy i my sami – podobnie jak mieszkańcy Egnazji – znajdziemy w sobie wolę, by powrócić i budować wszystko od nowa?

MIĘDZY ROGAMI JELENIA

Włochy to raj dla automobilistów.

W Apulii zachowało się wiele rzymskich dróg, najlepszych, jakie znała starożytność. Dzisiejsze włoskie trakty zachwycają nie tylko urodą krajobrazu, lecz także doskonałością techniczną. Podziwiać je musi zarówno inżynier, jak i zwykły podróżny. A o tym, z jaką precyzją zostały niegdyś zbudowane, świadczy fakt, że mimo tylu lat intensywnego ruchu i przemarszu potężnych armii wciąż pozostają w znakomitym stanie.

Droga adriatycka, dawna *Via Traiana*⁵⁹, to prawdziwa przyjemność dla podróżnych. Przemierzamy ją na odcinku Bari–Brindisi. Trasa wiedzie przez wspaniały park, którego brzegi porastają równo przycięte tuje. Co jakiś czas ustępują one miejsca małym, malowniczym skwerkom, gdzie spomiędzy liści spoglądają z ciekawością czerwone oczy oleandrów. W innych zakątkach tuje zastępują cyprysy, te zaś znikają pod naporem młodych pinii, które z kolei oddają palmę pierwszeństwa cienistym akacjom.

Nasza podróż wzdłuż apulijskiego wybrzeża skąpanego w błękicie panoramy Adriatyku jest pełna uroku, a liczy sobie około stu piętnastu kilometrów. Maszyna, której dwanaście konskich sił bije niczym serce, sunie lekko i szybko po wstędze asfaltu.

Co kilka kilometrów wyrastają bliźniacze domki o willowym charakterze, z tarasami i kolumnadami tonącymi w palmach i kwiatkach. To siedziby drogowców, którym powierzono troskę o utrzymanie traktu. I choć włoskie miasteczka nierzadko bywają zaniedbane, na tej drodze nie znajdziesz ani skrawka porzucanego papierka, ani śladu śmiecia. Gładki asfalt lśni tak, że można się w nim przejrzeć jak w lustrze. Gdyby czystość kraju oceniać po jego drogach, Włochy zajęłyby pierwsze miejsce. Niestety, tak nie jest.

Po obu stronach, na dziesiątkach kilometrów, ciągną się bezkresne gaje oliwne. Oliwka to święte drzewo, wychwalane od zarania cywilizacji, które podarowało światu gałązkę pokoju. Stęskniony za jej widokiem Noe wypuścił gołębicę, by mu ją przyniosła, a ta powróciła, niosąc upragniony symbol. Jak potężna siła pulsuje w drzewie, skoro potrafiło przetrwać tak straszliwe kataklizmy! To właśnie pod drzewem oliwnym Chrystus modlił się w noc pojmiania. Grecy młodzieńcy wieńczyli gałązkami drzewa oliwnego skronie podczas świąt, a atleci nacierali ciała jego sokiem, by dodać im mocy i blasku. A samo drzewo karmi nas swym owocem i syci złocistym olejem.

To święte drzewo Morza Śródziemnego, które odnalazło tu ziemię doskonałą dla swego życia, gdzie pije słońce i soki – pradawne, antyczne i średniowieczne.

Spójrz tylko na jej pnie: czy ludzkie dłonie zdołały kiedykolwiek wyrzeźbić w drewnie kształty równie niezwykle? Formizm i surrealizm są tylko szkolnymi próbami w porównaniu z fantazyjnymi dziełami, jakie potrafi stworzyć pień oliwki.

59 *Via Traiana* to nazwa rzymskiej drogi w południowo-wschodnich Włoszech, zbudowanej przez cesarza Trajana jako komunikacyjna alternatywa dla drogi *Via Appia*, łączącej Beneventum z Brindisi. Arteria przecinała m.in. Kanusium (Canosa), Butuntum (Bitonto) i Barium (Bari). Por. A. Rosset: *Starożytne drogi i mosty*. Wydawnictwo Komunikacji i Łączności, Warszawa 1970; J. Wielowiejski: *Na drogach i szlakach Rzymian*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1984.

Tysiące kształtów dziwnych, monstualnych, fantastycznych, niemal baśniowych, jakby przeniesionych z innej planety albo ocalałych z pradawnej puszczy. Pnie spletają się w uścisku, tworzą całe rodziny, czasem bliźniacze pary. Niektóre przypominają ołtarze barokowe, spiralne kolumny czekają już na swoje przeznaczenie. W ich liniach oko rozpoznaje skamieniałe zwierzęta: potężne torsy, ogromne głowy, olbrzymie stopy. Ten niezwykły las, ciągnący się przez dziesiątki kilometrów, to świat pełen form, kapryśnych, dziwacznych, czasem groźnych. Okrywa go zieleń o odcieniu tak charakterystycznym, że żadne inne drzewo nie może się z nim mierzyć. A gdy powieje wiatr, liście połyskują srebrnymi i stalowymi tonami, rozsypując tysiące drobnych iskier. Każdy listek zdaje się przemieniać w delikatną srebrną jaszczurkę, migoczącą w słońcu.

Zerwijmy gałązkę, tę najsrebrzystszą! Może nad naszymi głowami przeleci gołębica. Błagalibyśmy ją, by ją chwyciła i poniosła nad światem, bo ja, ty, my wszyscy – cały świat po wojennym potopie tak bardzo potrzebuje pokoju.

I tak, przemierzając gaj oliwny, marząc o ciszy i spokoju, nagle wjeżdżamy między rogi jelenia.

Bycie wystawionym na końce jelenich rogów nie wydaje się z pozoru czymś bezpiecznym. A jednak geografia Włoch od dawna przekonuje, że to jeden z najcichszych zakątków świata. To tu, jeszcze w epoce kreteńskiej, powstało miasto Brentesion. Nazwa ta wywodzi się od messapijskiego *brunda*, ‘jelen’; która została mu nadana ze względu na kształt zatoki przypominającej głowę jelenia. W zoologii jego rogi są symbolem niepokoju i walki; na mapie natomiast oznaczają miejsce najbezpieczniejsze i najspokojniejsze.

Dotąd prowadziła z Rzymu królowa dróg, *Via Appia*, lecz tutaj, w obliczu swej wielkiej rywalki, błękitnej drogi morskiej, musiała ustąpić, oddając w ostatnim tchnieniu swego ziemskiego biegu berło szlakowi morza. Rzymianie uczynili ją jednak długą i wspaniałą, niemal pięćsetkilometrową, aż po port, którego nazwa Brindisi oznacza zarazem toast, i dopiero tu ich kielich został uniesiony ku falom.

To właśnie stąd rozpoczynała się droga ku Wschodowi, pełna chwały, triumfalnych marszów i pieśni zwycięstwa.

Geograficzny „jelen” okazał się sprytny: od początku historii bawił się w zbieranie autografów i zostawił nam w spadku jedyną w swoim rodzaju księgę, w której widnieją najsłynniejsze nazwiska świata. Oto Publiusz Sulpicjusz i Terencjusz Kwintus, bohaterowie wojny przeciw Filipowi, królowi Macedonii. Oto konsulowie Maniusz Acyliusz i Korneliusz Scypion, którzy złożyli podpis, wyruszając na wojnę z Antiochosem. Oto charakter pisma Pawła Emiliusza i pretora

Gnejusza, gdy szykowali się do drugiej wojny macedońskiej, a także podpis Krasusa, wodza wyprawy przeciw Partom.

Dalej widać wpis, w którym przenikliwy grafolog mógłby odczytać los syna Marsa. To autograf jedyny w swoim rodzaju, wyryty ogromnymi drewnianymi palami, którymi zatarasowano port, by zatrzymać okręty Pompejusza, i który pozostawił po sobie autor dzieła *O wojnie domowej*. A obok, w ślad za okrętami, które zdołały wyrwać się z pułapki i płynęły ku swemu przeznaczeniu pod Farsalos, widnieje podpis jego nieprzejednanego rywala – Pompejusza⁶⁰.

Nieco dalej widnieją autografy bohaterów pokoju z Brindisi, Oktawiana i Antoniusza. Z charakteru pisma tego drugiego łatwo wyczytać, że uściski miłosne uczyniły jego dłoń bardziej skłoną do pieszczot niż do oręża.

Z ciekawością odczytujemy kaligrafię cesarza, a raczej filozofa, Marka Aureliusza, a następnie także pisma Septymiusza Sewera i Trajana.

To nie tylko autografy, lecz całe karty zapisane boskim pismem: oto Wergiliusz, który między rogami jelenia, swymi rękami ucałowanymi przez Muzy, kreśli ostatnie pieśni *Eneidy*.

Tutaj odnajdziesz imiona Horacego i Cycerona, Totili i Witaliana, Fryderyka II i Rogera z Laurii, Ludwika Węgierskiego i Ferdynanda Aragońskiego; a obok nich tysiące imion krzyżowców i żeglarzy wszystkich narodów oraz wyznań, którzy stąd wyruszali w drogę lub tu przybijali ze Wschodu. Bo, jak powiada Strabon, „ci, którzy zmierzają do Rzymu, lądują właśnie tutaj”.

Czy można znaleźć zbiór autografów sławniejszy niż ten, który przechowuje Brindisi? Każde z tych imion przywołuje niezwykle życie, chwalebny rozdział dziejów, wielki krok na drodze cywilizacji. A wszystko to rozegrało się tutaj, pomiędzy rogami jelenia.

60 Bitwa pod Farsalos (9 sierpnia 48 r. p.n.e.) to decydujące starcie rzymskiej wojny domowej toczonej między Juliuszem Cezarem a Gneuszem Pompejuszem Wielkim, które zakończyło się klęską Pompejusza i jego ucieczką do Egiptu, gdzie został zamordowany na polecenie czternastoletniego Ptolemeusza XIII, brata Kleopatry. Wzmiankowane starcie przypieczętowało zwycięstwo Cezara i otworzyło mu drogę do władzy w Rzymie. W bitwie na równinie w greckiej Tesalii, Cezar, mimo liczebnej przewagi wojsk Pompejusza, zastosował sprytny manewr, wykorzystując rezerwy oddział piechoty do rozbicia jazdy Pompejusza, co doprowadziło do załamania jego linii i wybuchu paniki w oddziałach. Wspomniane przez Alberti dzieło (oryg. *Commentarii rerum gestarum belli civilis*) to nieukończona monografia historyczna, a właściwie pamiętniki Juliusza Cezara, poświęcone tematycznie czasom wojny toczonej przez niego przeciwko Pompejuszowi i senatowi. Obejmują wydarzenia z ledwie dwóch lat – od wkroczenia Cezara do Italii (przekroczenie Rubikonu) do bitwy pod Farsalos. Por. Cezar: *O wojnie domowej*. Tłum. J. Parandowski. Prószyński i S-ka, Warszawa 2001.

Spójrzmy na zatokę w kształcie jeleniej głowy: jej prawe wybrzeże ma sześćset metrów długości, a lewe mierzy około czterystu pięćdziesięciu metrów. Wody o głębokim odcieniu pruskiego błękitu tworzą port wewnętrzny, który zachwyca nie tylko niezwykłą formą, lecz uważany jest także za jeden z najbezpieczniejszych we Włoszech i na całym świecie.

W samym sercu zatoki, obok bogato zdobionego kapitelu kolumny kończącej Via Appia, od dwudziestu stuleci odbijają się w głębokich wodach Jowisz i Neptun, Pallada i Mars. Niebo i morze, wiedza i męstwo czuwają tu nieprzerwanie nad najważniejszą arterią Cesarstwa Rzymskiego.

Drugą kolumnę spotkało inne przeznaczenie; dziś tylko podstawa i jeden cokolwiek przypominają o jej dawnej potędze⁶¹. U stóp rozpościera się żółtawy brzeg, który zamyka błękitne zwierciadła portowych wód. Wąski kanał Pigonatego, przedłużenie Via Appia poprowadzone wśród fal, łączy port wewnętrzny z trójkątnym portem środkowym. Dalej, za falochronem, otwiera się trzeci i największy port zewnętrzny, a w oddali majaczą wysepki i latarnie morskie. Głęboki błękit wód, złoto wybrzeża, ciemna zieleń gajów, biel domów i brunatne bryły fabryk rozsiane na krańcach tworzą razem widok barwny, pełen życia i niezapomniany. Nad wszystkim czuwa ogromny kamienny ster, otoczony zielenią – pomnik marynarza.

Potężna, złocista statua, wzniesiona na styku trzech żywiołów – nieba, ziemi i morza – nie jest zwykłym hołdem złożonym włoskim marynarzom, lecz staje się symbolem ofiary żeglarzy, którzy w różnych epokach, na wielu morzach i oceanach oddawali życie w imię rozwoju cywilizacji.

Po horyzont ciągną się nabrzeża i schody. Jaka ogromna flota mogłaby znaleźć schronienie na tych szerokich wodach! W wyobraźni widzimy niezliczone szlaki wiodące ku Azji, Afryce, Europie Wschodniej, które z portu wysuniętego na południe i wschód rozchodzą się ku najodleglejszym krainom.

61 Dwie bliźniacze rzymskie kolumny w Brindisi to obiekt ulokowany pierwotnie na nabrzeżu portowym, u szczytu imponujących schodów (zwanych *Scalinata Vergiliana*). Kolumny wzniesiono z marmuru na wysokość blisko 19 metrów – każdą zwieńczono korynckim kapitelem ozdobionym liśćmi akantu i wyobrażeniem dwunastu postaci mitologicznych (m.in. Jowisza, Neptuna, Minerwy, Marsa i ośmiu trytonów). Po zawaleniu się jednej z dwóch kolumn w 1528 roku – konstrukcja uległa dekompozycji. Pozostałości zniszczonej kolumny przeniesiono do Lecce. Ocalałą (drugą) kolumnę rozebrano podczas drugiej wojny światowej, aby zapobiec jej anihilacji lub uszkodzeniu w wyniku intensywnych bombardowań miasta. W latach 1996–2002 kolumnę ponownie rozebrano na części i tym razem poddano pełnej renowacji, a na otaczającym ją placu przeprowadzono badania archeologiczne. Po ponownym złożeniu, oryginalny kapitel jest obecnie eksponowany w sali Palazzo Granafei-Nervegna, a na jego miejscu zainstalowano replikę. Kolumny wyznaczały przez całe wieki koniec słynnej Via Appia i pełniły rolę punktu orientacyjnego (przede wszystkim dla żeglarzy).

Dziś port jest na poły opustoszały, a szlaki żeglugi zmieniły się, lecz podziw dla tego arcydzieła ludzi i natury oraz spojrzenie na mapę świata powtarzają nam, wciąż aktualne, słowa Strabona: „Najkrótsza droga dla żeglarzy z Grecji i z krańców Azji prowadzi przez Brindisi”⁶².

Wzdłuż drogi rozciąga się przestronny gaj oliwny, który przywodzi na myśl gołębicę niosącą gałązkę oliwną. Podziwiając dziś port, pytamy sami siebie: czyż w bezkresnym oceanie ludzkości nie pojawiła się nowa arka Noego, choćby pod postacią nowoczesnego transatlantyku, która po kataklizmie zniszczenia i cierpienia powstała już w świat nową gołębicę, w poszukiwaniu oliwnego drzewa pokoju?

Z tą serdeczną myślą opuszczamy Brindisi, a tuż za murami miasta zatrzymujemy się, by orzeźwić się przy fontannie o poetyckim imieniu Tancredi⁶³.

Któż nie zna tego imienia? Obok Orlanda i Cyda należy ono do najślawniejszych. Oktawy Tassa wyniosły je do rangi bohatera.

Może tutaj odpoczywał i gasił pragnienie Tancredi, opuszczając Italię?

Fontanna jest czymś niezwykle ważnym w każdej podróży, a coś dopiero w życiu, gdy nadchodzą dni spiekoty. Poezja muzułmańska poświęciła jej wiele ze swych najbardziej wymownych wierszy. Koń, kobieta, fontanna – oto trzy tematy tych pieśni.

Siedzieliśmy i odpoczywaliśmy przy wielu fontannach. Bułgarska *czarsma* była miejscem otoczonym niezwykle szacunkiem, a z tureckich fontann, zdobionych artystycznymi majolikami, zwłaszcza tych stojących przed meczetami, nie tylko czerpano wodę, ale także obmywano się z codziennego pyłu.

Fontanna pod Brindisi nie jest jedynie miejscem o pięknym imieniu, ale także klejnotem mauretańskiej architektury.

Skrapiamy jej wodą naszą gałązkę oliwną i nasze serdeczne myśli, aby nie zgasyły w upale, lecz trwały i żyły długo.

62 Po włosku: *La via più breve per i naviganti dalla Grecia e dall'estrema Asia è attraverso Brindisi*.

63 Fontanna Tancredi, na Via Appia, zbudowana lub odbudowana przez Tankreda Sycylijskiego (Tankreda z Lecce), ostatniego króla Normanów w 1192 roku, z okazji ślubu jego syna Rogera i Ireny Angeliny (córkę cesarza bizantyńskiego Izaaka II Angelosa). Fontanna pierwotnie posiadała stożkowe zadaszenia zastąpione z czasem przez dwie mauretańskie kopuły. Wyposażona została w kamienne zbiorniki na wodę oraz dekoracyjne herby na fasadzie. Więcej informacji o obiekcie zawiera artykuł: G. Membola: *I segreti della Fontana Tancredi: tra storia e leggenda*. <https://www.senzacolonnenews.it/citta/item/i-segreti-della-fontana-tancredi-tra-storia-e-leggenda.html> [dostęp: 11.12.2025].

OTRANTO, STRAŻNIK WSCHODNIEGO WYBRZEŻA ITALII

Istnieje tysiące miast, przez które historia przechodzi obojętnie, zatrzymuje się w nich tylko na chwilę, nie pozostawiając śladu, jakby spieszyła dalej ku innym celom. Ich życie przypomina życie roślin: jedzą, piją, śpią, pracują. Są też miasta, które, dzięki swojemu położeniu lub dzięki ambitnemu i pełnemu twórczej energii ludowi, stają się miejscami, gdzie historia przystaje, by pozostawić ślad, odczytywany potem przez pokolenia.

Od zarania dziejów obcas włoskiego buta był zakątkiem ziemi, ku któremu z tęsknotą wyciągały dłonie różne ludy i cywilizacje, wyznawcy rozmaitych religii. Wysoki i wąski, wspaniale położony, tworzy długi pomost między głębokimi falami dwóch akwenów: Adriatyku i Morza Jońskiego. Od najdawniejszych wieków pobudzał wyobraźnię i pragnienia wędrowców gnanych pierwotną potrzebą i ciekawością poznania świata. Przybijali do jego szafirowych brzegów, by rozpocząć nowe życie na nowej ziemi.

Do najstarszych ośrodków kolonizacji należy dziś niewielkie Otranto, miasto, w którego dziejach nieraz rozegrał się dramat, czyniąc je raz dumnym bohaterem, raz tragicznym aktorem, zawsze pełnym wzniosłości i odwagi.

Zanim zapoznamy się z historią, przyjrzyjmy się legendom, mitom i baśniom.

Zamknij oczy w kwietniowym słońcu i pozwól, by wiatr znad Adriatyku opowiedział Ci legendarne dzieje tej ziemi. Ujrzysz ludy, które przyłynęły z Ilirii, Tracji i Azji Mniejszej, z Cypru, Wysp Egejskich, Beocji, Tesalii, Peloponezu i Krety. Zobaczysz prastare narody, o których wspominali Herodot i Pausaniasz, Strabon i Dionizjusz z Halikarnasu. Może wiatr przyniesie Ci też echo wersetów Wergiliusza, w których odnajdziesz Eneasza – bohatera tułacza, który po zagładzie Troi szukał tu nowych przygód, uczuć i szczęścia. Cieśniną Otranto przepływali Hetyci i Pelazgowie, Fenicjanie i Kreteńczycy, Messapiowie i Hellenowie.

Cieśnina położona w samym sercu Morza Śródziemnego, osłonięta od wiatrów dwoma półwyspami, odgrywała rolę morskiego łącznika, przez który z Orientu przenikały na Półwysep Apeniński liczne kulty, religie i formy cywilizacji. Różne języki, sztuki wojenne, prymitywne architektury i melodie zapuściły tu korzenie.

Wszystko to spletało się w tak nierozzerwalny węzeł, że nie sposób go dziś rozsypać. Jedna warstwa kultury przenikała drugą, czerpiąc z niej życiodajny sok, i tak narodziła się wspólna kultura śródziemnomorska, która w dziejach wszystkich cywilizacji posiada najstarszy akt urodzenia. Cieśnina, od najdawniejszych czasów będąca matką chrestną tej cywilizacji, stanowiła wysuniętą ku wschodowi strażnicę, gdzie przez wieki spotykały się i dojrzewały kultury,

od najbardziej prymitywnych po bizantyjską i normańską. Gdy Otranto zwano jeszcze Hydruntem, od małej rzeki Hydra, tętnił tu życiem Wschód. Tu zatrzymały się po raz ostatni orły Rzymu, zanim uniosły się ku Orientowi niczym wichry niesione przez wiatr.

Spójrz... dziś potężne fale cieśniny Otranto zdają się zmieniać kierunek. Przez całe stulecia cywilizacja płynęła tędy ze Wschodu na Zachód. Teraz jednak szafirowy pas morza wyznacza drogę odwrotną. Kultura, pogłębiona przez ducha i prawo Rzymu, zwraca się znów ku Wschodowi. Brindisi stało się portem wojennym, Otranto portem handlowym. To, co niegdyś było przyjmowaniem cywilizacji, po wiekach stało się jej dumnym przekazywaniem dalej. Zachód oddaje Wschodowi kulturę w formie dojrzszej, bogatszej, pełniejszej.

Otranto bije własną monetę. Jego wybrzeży strzegą chwalebne legiony Kuriusza Dentatusa. Fale i wiatry Adriatyku niosą echo pieśni ku chwale Attyliusza Regulusa. Rzym czuwa nad tymi brzegami. To najkrótsza droga na Wschód, Kanał Sueski starożytności.

Mijają wieki. I nagle, przed naszymi oczami staje prosty zmęczony pielgrzym w szacie poszarpanej przez wiatry. Rybak schodzi na brzeg, trzymając w dłoniach legendarne klucze, niosąc na ustach słowa miłości, równości i braterstwa. Nigdy dotąd te wybrzeża nie słyszały podobnych słów. Stąd wyruszały cywilizacje ludzi silnych, a teraz przybywa człowiek łagodny, bez wsparcia orłów i mieczy.

Strażnicy legionów czuwają nad Adriatykiem, nie wiedząc, że przypłynął tu rybak ze Wschodu, Piotr. W imperium, które sięga mglistych Wysp Brytyjskich na północy, a na południu obejmuje piramidy i posąg Ramzesa, ogłasza on nadejście nowego, niezwykłego królestwa, nie z tego świata. Straż czuwająca nad cieśniną Otranto nie przeczuwa, że ubogi rybak zaczyna głosić słowo w miejscu, gdzie dziś znajduje się mały grecki kościół. Według legendy to tu apostoł przemówił po raz pierwszy, zapowiadając nową dynastię ducha, która położy kres staremu światu i stworzy nową epokę cywilizacji. Jeśli masz w sobie choć odrobinę wyobraźni, przywołaj jego wizerunek. Jeśli zaś nie potrafisz, przypomnij sobie jego postać z tysięcy fresków i płaskorzeźb. Nie dziw się więc, że po tylu wiekach to właśnie Otranto, miasto, które po raz pierwszy usłyszało słowa apostoła, ocaliło chrześcijańską wiarę przed panowaniem półksiężycą.

W mieście, na jednej z kamienic, można dziś przeczytać inskrypcję poświęconą cesarzowi Markowi Aureliuszowi i jego bratu Lucjuszowi Werusowi; nieopodal zaś widnieje napis via San Pietro. Oto ewolucja, o której opowiada kwietniowy wiatr: od kultu boga-byka i świętego kamienia po wiarę w Boga-Człowieka. Jowisz i orły Rzymu ustępują miejsca św. Piotrowi i kluczom, które przyniósł ze

Wschodu. Historia, jak zawsze, wybiera sceny, a ludzi, których postawi na jej tle, obsadza w rolach, jakie sama im wyznacza.

W epoce bizantyjskiej, gdy imperium było podzielone na Wschód i Zachód, Otranto wciąż pozostawało węzłem, w którym krzyżowały się kulturowe i cywilizacyjne szlaki. W pierwszym okresie dziejów kultura podążała ze Wschodu na Zachód, w drugim zaś przeciwnie – z Zachodu na Wschód. Dziś ten szlak jest jeszcze bogatszy – przez cieśninę, będącą bramą między światami, nieustannie krąży dobro, wartość i całe dziedzictwo ludzkości.

Był jednak czas, gdy ten szlak przyniósł do Otranto nieszczęście, które historia zapamiętała jako dramat godny i chwalebny. Na Wschodzie rosła nowa potęga, Turcja. Bizancjum upadło, a Mehmed II⁶⁴ marzył o dawnej Messapii i Japygii, o Wielkiej Grecji i Rzymie.

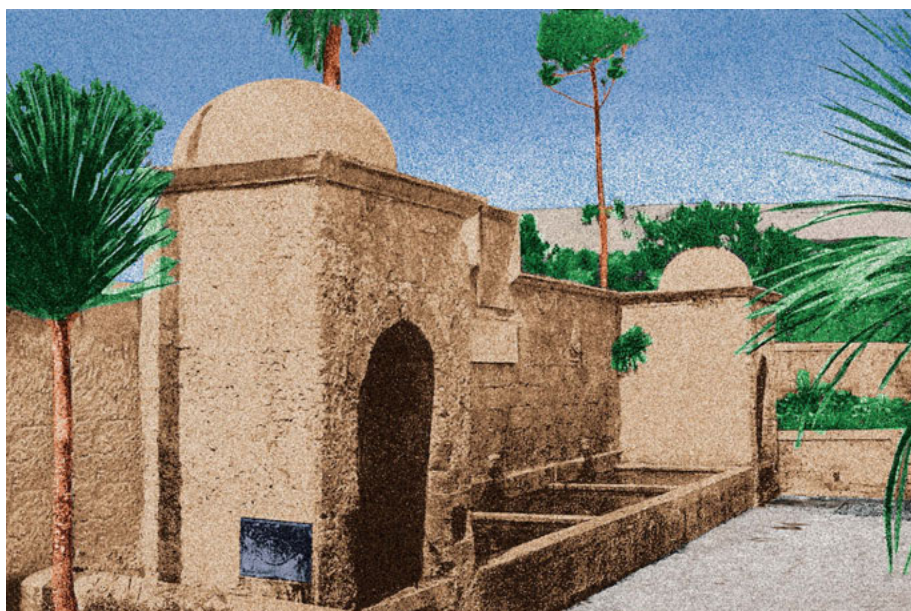
I znów najkrótszy szlak prowadził przez historyczną cieśninę. Fale raz jeszcze odwróciły swój bieg, płynęły ze Wschodu ku Zachodowi, niosąc już nie kult Asztarte, nie obrzędy Cerery i Dionizosa, nie Piotrowy klucz, ale półmrok i wersety *Koranu*. Włochy znalazły się w niebezpieczeństwie jak nigdy dotąd, lecz południe spełniło swoją powinność. Gdy chcemy zdjąć but, zaczynamy zawsze od obcasa, a jeśli ten się oprze, nie sposób go zsunąć. Właśnie tam, gdzie osmańska flota złożona ze stu czterdziestu pięciu okrętów dotknęła brzegu, ziemia stawiała opór i stwardniała jak skała. Region i cywilizacja chrześcijańska, na które ostrzył sobie apetyt Mehmed II, zostały ocalone przez małe Otranto.

Wejdz niczym skruszony pielgrzym po pięćdziesięciu stopniach wzgórza Minerwy. Zamknij jeszcze raz oczy, które widziały czołgi, bomby i samoloty, a może ujrzysz tragiczny rok 1480.

64 Mehmed II, zwany Zdobywcą, sułtan osmański, syn Murada II (ur. w Edirne w 1432 r., zm. w 1481 r.). Uważany za właściwego twórcę imperium osmańskiego, wstąpił na tron w 1451 roku, mając niespełna dwadzieścia lat, po tym jak już wcześniej brał udział w zwycięskim oblężeniu pod Warną (1444) przeciw krzyżowcom. Jego pierwszą, długo przygotowywaną kampanią było zdobycie Konstantynopola (1453), który natychmiast uczynił swoją stolicą. Zwycięstwo to przyniosło Mehmedowi nieporównywalny prestiż: w świecie muzułmańskim uchodził za ghaziego, czyli najsłynniejszego zdobywcę, a wobec świata chrześcijańskiego występował jako nowy Cezar, dążąc do podboju Rzymu. Po zjednoczeniu Anatolii i ostatecznym pokonaniu Karamanidów, Mehmed ruszył w kierunku Europy Środkowej, zdobywając Albanie (1468) i Mołdawię (1476), a następnie próbował rozszerzyć ekspansję na Italię (krótkotrwałe zajęcie Otranto) i planował wyprawę na Egipt. Ottomanie zajęli Otranto latem 1480 roku, zdobywając je 11 sierpnia 1480 i utrzymywali okupację do września 1481 roku – w sumie przez około 13 miesięcy, zanim miasto zostało odbite przez siły chrześcijańskie papieża Sykstusa IV. Zmarł w 1481 roku w obozie wojskowym pod Gebze na początku nowej wyprawy mającej na celu podbój państwa mameluków i został pochowany w Stambule w meczecie Fatih. Por. F. Babinger: *Maometto il Conquistatore e il suo tempo*. Einaudi, Torino 1957.



...lympis iratis extructa...



Może tutaj odpoczywał i gasił pragnienie Tancredi...

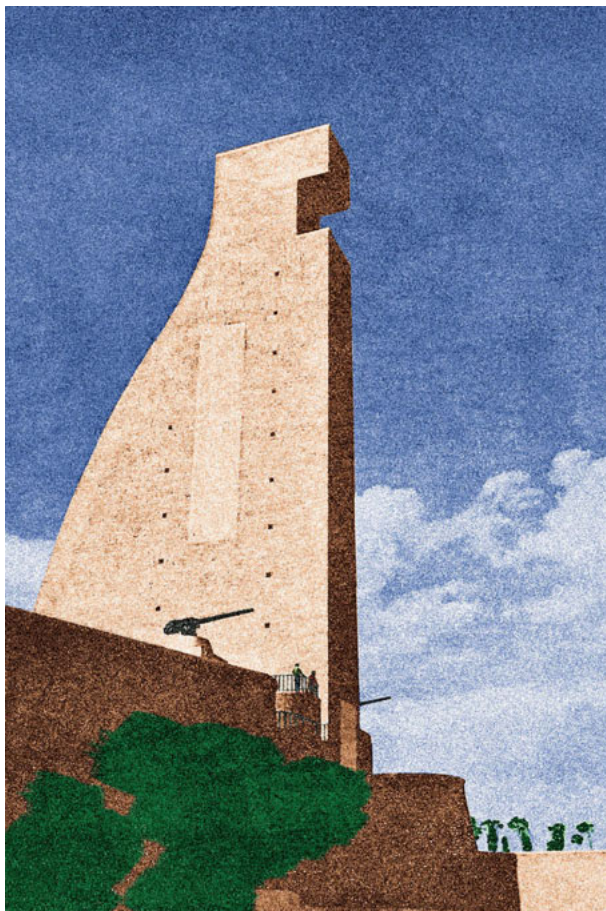
Cieśnina przywoła echo wersetów *Koranu* i donośnego krzyku: Allah! Pod Otranto stanęły naprzeciw siebie dwie kultury, Wschodu i Zachodu, dwie religie, z których jedna nakazuje nie zabijać, druga zaś, za śmierć wroga, obiecuje wojownikowi miejsce w raju. Po jednej stronie stoi okrutny dowódca, Ahmed Pasza, i najnowocześniejsze wojska tamtej epoki; po drugiej stoi tylko serce i odwaga mieszkańców Otranto, uzbrojonych jedynie w ideały. Otranto było pierwszym miejscem, przez które chrześcijaństwo wniknęło do Europy, a teraz miało się stać pierwszym przyczółkiem islamu. Jednak rybak Piotr przez wszystkie wieki dawał przykład, jak nie wypuszczać z rąk kluczy, które strzegą wiary, idei i cywilizacji. A może Ty, człowieku XX wieku, zmęczony nadmiarem wszystkich *-izmów*, poczujesz wzruszenie, gdy zobaczysz, jak Ladislao de Marco, po zgromadzeniu, na którym mieszkańcy Otranto przysięgli walczyć do końca, rzuca w morze klucze miasta. Woda, która niegdyś niosła symbole wiary, zamknęła w swych głębinach również ostatnie świadectwa odwagi i ofiary. Niedługo potem historia dopisała tragiczny epilog, krwawą rzeź Ahmeda Paszy. Otranto straciło dwanaście tysięcy istnień.

A teraz spójrz na kolejną scenę. Na wzgórzu Minerwy, gdzie niegdyś czczono boginię mądrości, a dziś stoi mała kaplica męczenników, ujrzysz wspaniały tron z baldachimem i zielony sztandar Proroka. Przedstawiciel półksiężycy trzyma *Koran* na kolanach i żąda, by miasto wyrzekło się swojej wiary i przyjęło nową.

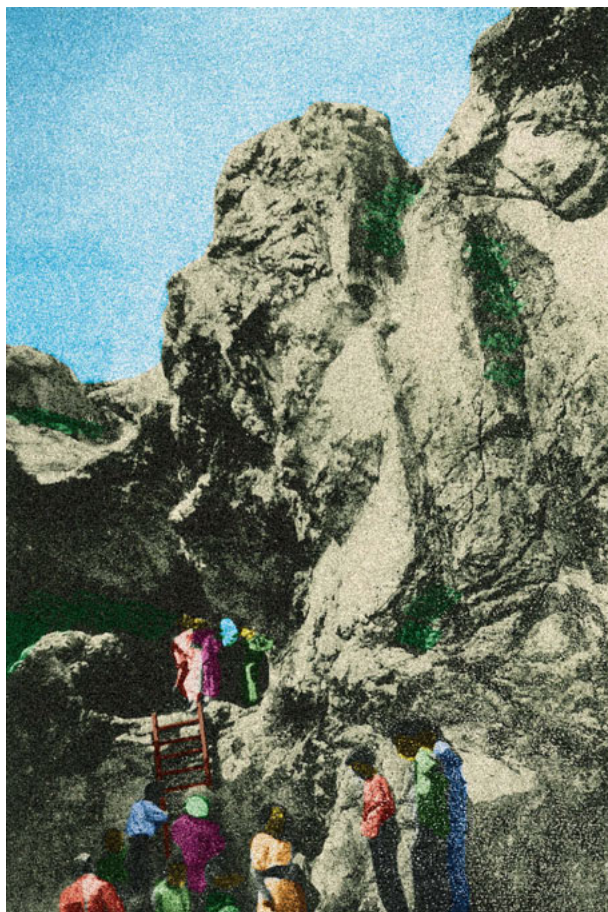
Współcześni uczeni sądzą, że powietrze jest jak ogromna przestrzeń, która zachowuje w sobie wszystkie głosy, jakie pochłonęła od początku świata. Wystarczyłoby zbudować urządzenie, które potrafiłoby odnaleźć te głosy po setkach lat. Być może tamtego dnia słowa Piotra powróciły, niosąc w sobie dawną treść i dając mieszkańcom Otranto odwagę, by umrzeć za nie, tak jak tylu innych w rzymskim Koloseum. Osiemset osób poniosło męczeńską śmierć przez ścięcie. Bił od nich tragiczny blask, heroiczny patos. Gdy turecki kat Barlaabei ujrzał ich wiarę, przerwał egzekucję, stając po stronie mieszkańców Otranto, po czym sam dołączył do grona męczenników.

I tak historia zatrzymała się. W katedrze wciąż można zobaczyć kamień, na którym ścięto bohaterów Otranto. Niech nauka i historia rozstrzygną, czy ich ofiara naprawdę ocaliła Włochy przed potęgą Osmanów. Jeśli jesteś sceptykiem, może pomyślisz, że to nieprawda. Jedno jednak pozostaje pewne: ich opór ostudził żar najeźdźców spod znaku półksiężycy, z jakim wtargnął na Zachód. Muzułmanie zrozumieli wówczas, że gdyby każde włoskie miasto broniło się jak Otranto, armia sułtana nigdy nie wróciłaby do Bizancjum.

W katedrze, w kaplicy męczenników, wciąż spoczywają relikwie bohaterów, którzy oddali życie w obronie wiary.



Nad wszystkim czuwa ogromny kamienny ster, otoczony zielenią – pomnik marynarza



Z morza Grotta Romanelli jest niewidoczna.
Jej wejście znajduje się wysoko, siedem metrów nad poziomem wody...

•
•
•
•
•
•

Spójrz raz jeszcze na cieśninę. Zobacysz tam tureckie galery, które kierują żagle ku Wschodowi, po gorzkiej lekcji odebranej u tych brzegów. Dziś miasto spowite jest ciszą. Wypełniło już swój bohaterski los, którego echo odnajdziesz w kamiennym pomniku kobiety, tulącej do piersi krzyż i sztandar.

A jednak cieśnina Otranto, choć spokojna w kwietniowym słońcu, pozostała taka sama. Wciąż dzieli Wschód od Zachodu na zaledwie dziewięćdziesięciu kilometrach morza.

ZASTYGŁA LAWY W OTRANTO

Po przekroczeniu potrójnej średniowiecznej bramy wkraczamy w atmosferę ciszy i skupienia, typową dla tak dobrze zachowanego miasta, jakim, zdaniem Paula Bourgeta⁶⁵, Otranto jest bardziej niż Volterra czy Montepulciano.

Istotnie, nie jest to zwykły spokój unoszący się nad ulicami miasta. Przypomina raczej ten, który bije ze stwardniałej lawy – furia i zniszczenie dokonały już swego dzieła, a po nich pozostała jedynie niewzruszona cisza kamienia.

Na każdym kroku odczuwa się tu jeszcze echo tragicznych dni 1480 roku – gwałtownej erupcji historii, która rozżarzyła to miejsce strumieniem ognia. Przed bramą prosty, lecz poruszający pomnik Bortonego⁶⁶ przywołuje pamięć tamtych chwalebnych wydarzeń. Wciąż zdaje się unosić nad miastem ta sama aura jak dawniej, gdy armia Aragończyków przywróciła je Włochom.

W historię miasta wpisane są wspinające się pomniki, które opowiadają o jego dawnej chwale. Dziś wydają się zbyt okazałe, nieproporcjonalne do obecnego znaczenia. Tu i ówdzie widać pałace magnackie, pozostałości dawnej architektury: z jednej strony portal, dalej rzymska tablica, jeszcze dalej misternie rzeźbiony balkon. Stary dom De Marco, w którym szalała furia Ahmeda Paszy⁶⁷;

65 Alberti odnosi się tu zapewne do notatek oraz impresji podróżnych, zawartych w pracy Paula Bourgeta – *Sensations d'Italie*. Książka wpływowego francuskiego pisarza i krytyka przełomu wieków przynosi literacki, eseistyczny plon z jego wyprawy do Włoch w roku 1891.

66 Chodzi o odsłonięty 3 grudnia 1922 roku pomnik (wykonany z brązu i granitu) upamiętniający męczenników z Otranto (odesłanie do wydarzeń z 1480 roku, kiedy to miasto broniło się przed najazdem osmańskim), który jest późnym dziełem Antonia Bortone (1844–1938), rzeźbiarza z Apulii, który kształcił się w Akademii Neapolitańskiej.

67 Pasza Gedik Ahmed (Despotat Serbii, ... – Edirne, 18 listopada 1482) był osmańskim politykiem i dowódcą wojsk lądowych i morskich za panowania sułtanów Mehmeda II, zwanego Zdobycą, oraz Bajazyda II. Por. F. Babinger: *Maometto...* 28 lipca 1480 roku Turcy pod dowództwem Ahmeda Paszy zaatakowali Otranto od strony morza. Miasto zostało oblężone i wezwane do kapitulacji. Zgromadzenie ludowe w katedrze postanowiło się nie poddawać i dziewięćdziesięcioletni

pałac Carrozzinich z siedemnastowiecznym balkonem; mury, na których wciąż widoczne są ślady oblężenia i gdzie nadal ogląda się miejsce, przez które Turcy wtargnęli do miasta. W samym sercu, na niewielkim wzgórzu, wznosi się katedra, najwspanialszy z pomników, godny największych metropolii.

Spokojny plac, który przywodzi mi na myśl Plaza del Cristo de los Faroles w Granadzie⁶⁸, otaczają z jednej strony pałac arcybiskupi z artystycznym portalem, a z drugiej, dostojna fasada kościoła, która, choć zeszpecona, już w swojej rozecie zapowiada piękno zachowane w jego wnętrzu.

Widziałam w Apulii wiele wspaniałych katedr, więc ta w Otranto nie powinna właściwie robić na mnie większego wrażenia. Widziałam też portale znacznie piękniejsze, a jej rozeta nie może się równać z tymi w Troi czy w Bitonto. A jednak to właśnie skromny artysta Pantaleone sprawił, że budowla ta wyróżnia się spośród wszystkich innych⁶⁹.

Mozaikowa posadzka katedry w Otranto to prawdziwa uczta artystyczna; nawet podczas najliczniejszych podróży rzadko zdarzało mi się obejrzeć podobne dzieło.

Ladislao De Marco demonstracyjnie pokazał wrogowi klucze do miasta, po czym wrzucił je do morza. Na rozkaz Ahmeda rozpoczął się ostrzał artyleryjski. Otranto odpowiadało ogniem z niewielkich dział. Mieszkańcy – około sześciu tysięcy osób – bronili się desperacko. Po dwóch dniach bombardowania zginęło już trzystu obrońców. Po piętnastu dniach Turcy skoncentrowali ogień na najsłabszym odcinku murów i 11 sierpnia wybili wyłom. Wdarli się do miasta, wymordowali obrońców i wtargnęli do katedry podczas mszy. Arcybiskup stanął przed nimi z krucyfiksem, wzywając do nawrócenia, lecz został ścięty szablą. Nie oszczędzono nikogo, nawet dzieci; zabito też kanoników i mnichów udzielających sakramentów. Ahmed osiadł w pałacu Ladislao De Marco. Trzy dni później rozkazał zaprowadzić wszystkich jeńców – z wyjątkiem kobiet i dzieci – na wzgórze Minerwy, gdzie osiemset osób zostało ściętych. Ferdynand wysłał na pomoc armię pod dowództwem syna Alfonsa, księcia Kalabrii. Ten jednak, mimo przybycia z posiłkami i znanymi postaciami epoki, nie zdołał przełamać sytuacji. Dopiero gdy zebrała się wielka flota chrześcijańska, Ahmed Pasza zgodził się na kapitulację i odpłynął do Stambułu. Por. G. Gianfreda: *Otranto. Castello e fortificazioni. Da luoghi di difesa a spazi di accoglienza*. Edizioni del Grifo, Lecce 2008.

68 Wskazanie Alberti błędne. Wymieniony w tekście Plaza del Cristo de los Faroles znajduje się w Kordobie.

69 Tajemnicza postać mnicha Pantaleone i jego misterne *opus*, stanowiące przykład ponadczasowego arcydzieła, przybliżył wpis: „Mozaika podłogowa katedry jest znaczących rozmiarów, rozciąga się na całej długości nawy głównej i składa się z około 600 000 polichromowanych tessera z lokalnego wapienia. Przedstawia ona Drzewo Życia i została zamówiona przez biskupa Gionata w 1163 roku, a wykonana przez mnicha Pantaleone z opactwa S. Nicola di Casale w Otranto, który ukończył dzieło w 1165 roku. Pierwszą osobliwością mozaiki jest fakt, że ma ona wyryte imię jej autora, w korespondencji z głównym wejściem, co jest faktem co najmniej niezwykłym jak na tamte czasy i prawdopodobnie wynika z przywileju uznania dla artysty, jako podziękowania za wspaniały sukces dzieła”. Por. <https://sworld.co.uk/mozaika-z-otrant> [dostęp: 11.12.2025].

Zatrzymuję się oszołomiona. Ileż fantazji w księdzu Pantaleonie! Jakie wizje musiały rozpalać jego niespokojną wyobraźnię, jakie sceny śnił po nocach, zanim zdołał je utrwalić w materii tak twardej i nieustępliwej! Jakie rozważania filozoficzne, jaki olbrzymi zamysł musiał prowadzić tego niezwykłego artystę przed tyloma wiekami! Czuje się tu żar twórczej gorączki, nienasyconą potrzebę tworzenia, wizje i widma, które nabierają kształtu w kamieniu.

Potok lawy wstrząsnął wyobraźnią skromnego kapłana i rozlał się po posadzce, by stwardnieć na wieki w chłodnej formie mozaiki.

Ileż to razy już pisałam, że artysta, tworząc, nie może przewidzieć losu, jaki spotka jego dzieło. Człowiek-szakał nie ma litości: pali, niszczy, rabuje... Tureccy najeźdźcy również stratowali mozaikową posadzkę księdza Pantaleona, gdy katedrę zamieniono w stajnię. W kolejnych latach starano się naprawić zniszczenia, lecz struktura dzieła była już częściowo utracona.

W głębi katedry, po obu stronach głównego ołtarza, wciąż można podziwiać elementy nietknięte przez czas, jakby dopiero co wyszły spod rąk artysty.

Nawet dziś ksiądz Pantaleon dzieli się z nami wizjami, nie troszcząc się o nasz osąd – ani krytyczny, ani pełen podziwu. Wydaje się artystą, który tworzy nie dla powszechnego celu, lecz przede wszystkim po to, by uwolnić samego siebie od ognia, jaki w nim płonie, który z pewnością nie dawał mu spokoju. Dopiero po ogromnym wysiłku, po dziele wyzwolenia z gorączki twórczej, mógł zaznać wytchnienia w ciszy klasztorного krużganka. Rzeczywiście, to sztuka średniowieczna, ale dziwna w swej całości, bo nawet współczesny wyszukany i wyrafinowany gust może się nią nasycić.

Oto Drzewo Życia – drzewo dobra i zła – po którym co dnia wspina się każdy z nas, podtrzymywane przez dwa słonie. Wspinajmy się wyżej, jeszcze raz, ponad tłum, po jego konarach, a ujrzymy najdziwniejsze cuda! Świat historii i religii, mitologię i astronomię, koszmary i codzienne życie. A nade wszystko, najdziwniejsze wytwory fantazji.

Aleksander Wielki siedzący na dwóch hipogryfach, król Artur otoczony rycerzami, Kain i Abel, miesiące roku, wypędzenie z raju, prorocy, piekło, Atlas podtrzymujący świat, olbrzymy... dziesiątki postaci o różnej wielkości, wszystkie podporządkowane dłoni Boga, która nakazuje Noemu budowę arki.

Nadal pozostajemy w kręgu przedstawień, lecz sceny giną pośród najbardziej niezwykłych wizji, jakie ludzka wyobraźnia potrafi zrodzić podczas nocy pełnej koszmarów.

W jednym miejscu zwierzę o czterech głowach stoi obok czterech stworzeń, które z kolei dzielą między sobą jedną jedyną głowę. Nieco dalej, między gałęziami, wygląda bestia z dwiema ludzkimi twarzami. Dziwaczne postacie wspinają

się wśród liści, podczas gdy w zawieszonym w przestrzeni morzu kilka z nich dosiada ryb lub zostają przez nie pożarci. (To wciąż ta sama wizja – podobna do tej, którą można zobaczyć na fryzach na Monte Sant'Angelo!). Osobliwa bestia unosi niemal ludzką dłoń do ust, inna zaś podnosi nogę w doskonałym geście akrobaty. Strusie, jelenie, i inne przedziwne stworzenia, niektóre uderzająco podobne do czterech medalionów z Bazyliki św. Adriana w San Demetrio Corone, wszystkie utrwalone w charakterystycznym geście, w niezwyklej niemal ludzkiej postawie, groteskowej, poruszającej i niepokojącej zarazem.

Wszystko to odzwierciedla duch średniowiecznej filozofii, która, być może słusznie, postrzegała człowieka jako istotę uwięzioną w koszmarach grzechu i oplataną przez namiętności, zmuszoną do nieustannej walki z nimi. Trudno byłoby artyście pełniej oddać świat własnych, dręczących wizji. A jednak nie sama treść porusza tu najmocniej: by nadać swym wizjom kształt, brat Pantaleon wybrał surowy w swej prostocie, a zarazem głęboko ludzki, sposób wyrazu.

Pomieszał wszelkie proporcje ludzi i zwierząt, skrócił perspektywy, uprościł ornamenty, a kompozycji dodał niespodziewanej gwałtowności, która z pewnością pulsowała w jego twórczej krwi.

Na tej niezwyklej posadzce kościelnej raz jeszcze dane nam jest dostrzec dowód na to, że tam, gdzie dwie rzeczy współbrzmiały w harmonii, gdzie artysta potrafił znaleźć właściwą formę dla swej treści, rodzi się dzieło prawdziwie wielkie. I znów przekonujemy się o prostej, choć powszechnie znanej prawdzie: nie styl tworzy arcydzieło, lecz treść i forma, a przede wszystkim proporcja między nimi. (Już widzę, jak wyznawcy tak zwanej czystej formy potępiają mnie za te słowa!).

To bez wątpienia jedno z najoryginalniejszych dzieł mozaikowych we Włoszech. W Apulii nie znajdzie się nic, co mogłoby mu dorównać, co najwyżej można by przywołać mozaikę w absydzie Kościoła św. Mikołaja w Bari, z jej osobliwym motywem arabskich znaków układających się w imię Allaha.

W Otranto, podobnie jak w nielicznych innych miastach Apulii, wznoszą się w katedrze pogańskie kolumny pochodzące ze świątyni Minerwy. Tak jak w Gerace filary dawnych świątyń z Locri przypominają o świetności sztuki greckiej, tak i tutaj stanowią one świadectwo dawnego *Hydruntum*. Pod oryginalną posadzką rozciąga się jedna z najpiękniejszych w całej Apulii krypt, w której czterdzieści dwie starożytne podpory, również odziedziczone po minionych epokach, tworzą milczące wspomnienie przeszłości.

Jak każde miasto w Apulii, także Otranto ma swój sekret, a jego mieszkańcy przez długi czas strzegli go z niezwyklej troską.

Była sobie kiedyś latarnia...

Poza miastem, na szczycie wzgórza górującego nad cieśniną, skąd roztacza się widok aż po Albanię i greckie wyspy, wznosi się zrujnowana wieża. To resztki dawnej rzymskiej budowli. Tradycja głosi, że na jej szczycie znajdował się trójnóg, który napełniany oliwą i rozpalany nocą wskazywał żeglarzom drogę do portu.

Pewnego dnia strażnicy zauważyli, że wieczorem poziom oliwy w trójnogu spada w sposób zupełnie niezwykły. A oliwa, jak wiadomo, od zawsze była droga! Tajemnicy długo nie udało się wyjaśnić, mimo wszelkich prób schwytania tajemniczego złodzieja. Aż pewnej nocy zagadka się rozwiązała: okazało się, że z morza wynurzał się olbrzymi wąż, który oplatał wieżę niczym żdźbło trzciny i wysysał oliwę z lampy, po czym, nasycony, wracał w głębiny. To jeden z najstarszych stworów morskich, ulubiony temat dziennikarzy łaknących sensacyjnych historii. Można go zresztą wciąż zobaczyć, utrwalonego w kamieniu, w herbie miasta.

Gdy stąpamy po ziemi wulkanicznej, od razu czujemy jej charakter, nawet jeśli na zastygłej lawie zdążyły już wyrosnąć krzewy winorośli i sosnowe zagajniki, jak na potoku lawy dell'Arso na Ischii.

Podobnie jest w Otranto. Choć warstwy artystycznej i historycznej lawy z czasem porośla zieleni kolejnych epok, wystarczy przekroczyć mury miasta, by poczuć atmosferę dawno wygasłego wulkanu. I dziś jeszcze łatwo można rozpoznać duchowe podłoże, na którym dawno temu rozniecono bunt przeciw wygodnej stagnacji.

W miastach, które niegdyś kipiały od gwałtownych erupcji, zawsze odnajdziemy drogocenny tuf, tak twardy, że nie jest w stanie naruszyć go ani czas, ani żadne narzędzie. To miasta naznaczone ogniem, a ciepło, które wciąż się w nich tli, odróżnia je od wielkich, zimnych metropolii.

LEKCJA GEOLOGII W GRODZIE ROMANELLI

Ileż to razy, czytając naukowy opis wydarzeń i epok przedstawiony z wielką pewnością, sięgający aż do świtu ludzkości, a nawet czasów sprzed wydania przez nią pierwszego słowa, ogarnia nas podziw i jednocześnie niedowierzanie wobec uczonego zdolnego do takich rekonstrukcji. To piękne! – wołamy, ale w końcu to tylko teorie! Dobrze skonstruowane, ale zawsze teorie!

Wybrzeże Apulii, które już od lśniących jezior Lesina i Varano stara się nas uczyć i zachwycać, także tutaj pragnie udzielić nam praktycznej lekcji geologii. Czyni to w sposób tak jasny i zajmujący, że gdy lekcja dobiega końca, nie tylko podziwiamy nową próbę mądrości, lecz stajemy się wręcz gorliwymi wyznawcami

objawionej prawdy. Czujemy, jak znika w nas nawet najłżejszy cień wątpliwości, gdy przewracamy karty księgi sprzed dziesiątek tysięcy lat (od samego rachunku może zakręcić się w głowie!), pieczołowicie zachowanej ku radości nie tylko geologów, lecz także tych, dla których nauka nie jest jedynie źródłem nudy.

Oto jesteśmy na skraju cieśniny Otranto, tak różnym od pozostałej części apulijskiej linii brzegowej, o atmosferze zupełnie wyjątkowej, jakiej nie doświadczyłam na włoskim wybrzeżu. Między surowymi, a przecież rozświetlonymi skałami Santa Cesarea a legendarnym sanktuarium Santa Maria De Finibus Terrae rozciąga się malowniczy port Castro. To miejsce zaprasza do nowej formy podróży, której w Apulii dotąd nie mieliśmy okazji zaznać – do wyprawy łodzią.

Już sam widok cieśniny Otranto, zapowiedź albańskich wybrzeży i Wysp Jońskich, z ich niezwykłą grą barw, byłby wystarczającym powodem, by wybrać się w rejs. A jednak to miejsce obiecuje nam znacznie więcej.

Z morza Grotta Romanelli jest niewidoczna. Jej wejście znajduje się wysoko, siedem metrów nad poziomem wody, i zasłonięte jest warstwą osobliwego materiału, tak zwaną brekcją kostną⁷⁰, w której nawet my, laicy, z łatwością rozpoznajemy szczątki ciosów *elephas antiquus*. Rozpoczyna się lekcja geologii.

Na początku wieku, gdy pierwsi pasjonaci zaczęli badać grootę, była ona niemal całkowicie zasypana ziemią. Kilkumetrowy osad przykrywał jej dno. Do dziś, ku radości przyszłych badaczy, w miejscach, gdzie teren się obniża, wciąż spoczywa nietknięty materiał. Cierpliwi odkrywcy, niczym cukiernicy krojący tort, przekopywali kolejne warstwy i stopniowo odsłaniali wnętrza jaskini. Z układu geologicznych pokładów potrafili odczytać znaczną część historii człowieka.

Skaliste dno groty pokrywają osobliwe żłobienia zwane marmitami, które przywodzą mi na myśl osiemnaście potężnych formacji z Jardin des Glaciers, odkrytych w samym sercu Lucerny. Wygładzone kamienie są tu i ówdzie rozrzucone, a na ścianach widać otwory po omułkach skalnych. Nauka podpowiada, że jaskinia znajdowała się niegdyś poniżej poziomu morza, co bez wahania akceptujemy. To zapewne wypiętrzenie wybrzeża sprawiło, że pewnego dnia ujrzała światło słońca.

Człowiek szybko wziął to miejsce w posiadanie. Widzę już twój protest przeciw tak kategorycznemu stwierdzeniu. Zapytasz pewnie: „A co, byłeś może na jego otwarciu?” Otóż nie. Zaraz wszystko wyjaśnię.

70 Tak w krótkiej definicji ujmuję powyższy fenomen geolog: „brekcje kostne tworzą pokruszone fragmenty kości kręgowców przenoszonych przez wody płynące w jaskiniach i osadzane w szczelinach skał. Szczególny przypadek brekcji kostnych stanowią osady zawierające kości nietoperzy nazywane *brekcjami nietoperzowymi*. Znane są również kopalne brekcje kostne, nie tworzące się w jaskiniach”. T. Bartuś: *Brekcje*. https://home.agh.edu.pl/~bartus/index.php?action=dydaktyka&subaction=geologia&item=sk_osadowe&target=brekcje#BrekcjaKostna [dostęp: 12.12.2025].

Na dnie groty, gdzie siły natury nie zdążyły jeszcze nagromadzić osadów, widoczne są ślady ognia, palenisk oraz celowo rozłupanych i zwęglonych kości. Nawet po tysiącach lat można rozpoznać, czy została spalona świeża kość, z przylegającym jeszcze mięsem, czy też stara, obie różnią się bowiem kolorem. Odnalezione kości upieczono wraz z mięsem: to resztki befsztyków zjedzonych przez pierwszych ludzkich mieszkańców. (Nie przypuszczasz chyba, że to bóg albo zwierzę przyszło tu sobie upiec kotlet!).

Pierwsi mieszkańcy nie zjadali się cielęciną z Monzy. Nie mieli wyszukanych gustów, wystarczały im daniele, króliki, szakale, nosorożce, hipopotamy i *elephas antiquus*. Kości tych zwierząt można rozpoznać nawet po tysiącach lat. A ponieważ w tamtych czasach mięso nie przyplýwało jeszcze zamrożone z Argentyny ani z Południowej Afryki, oczywiste jest, że te zwierzęta żyły w tej okolicy i tutaj były zabijane. W tamtej epoce w okolicach Otranto panował ciepły, wilgotny klimat, sprzyjający istnieniu takiej fauny. To jeden z okresów interglacialnych, jak się wkrótce przekonasz.

W grocie nagromadziły się warstwy osadów, sięgające wielu metrów, a ich grubość świadczy o upływie czasu. Między nimi, w nieregularnych odstępach, pojawiają się ślady sporadycznego pobytu człowieka i resztki jego posiłków. Te same gatunki zwierząt, ten sam klimat od wieków.

Wygląd geologicznego przekroju ulega stopniowo zmianie. Na powierzchni pojawia się warstwa stalagmitu o grubości dwudziestu centymetrów. Sprawdź w encyklopedii, ile lat potrzeba, by utworzył się choć jeden centymetr, a zrozumiesz, że ta nowa warstwa kryje w sobie całe stulecia. Klimat się zmienił, stał się bardziej wilgotny, i to znacznie, skoro sklepienie groty, dotąd suche, zaczęło sączyć wodę. Widzisz? W stalagmicie, w nieregularnych odstępach, widać ślady węgla i zwęglonych kości. Człowiek wciąż tu czasem powracał, lecz jego dieta się zmieniła: jadł teraz lisy i zające, zwierzęta przystosowane do chłodniejszego klimatu. Dawne tropikalne gatunki uciekły przed napływem zimna. To znak, że nad Europą rozpościerała się nowa epoka lodowcowa.

Na warstwę stalagmitu z czasem nałożyła się kolejna, miejscami gruba nawet na cztery metry. Być może naniósł ją wiatr, bo zawiera dużo żółtej ziemi pochodzenia afrykańskiego. Tamtejsza fauna ponownie pojawia się w tej okolicy i trafia też do żołądków mieszkańców groty. Wilgotność klimatu jednak maleje. Pojawiają się kości zwierząt stepowych: strepeta i dropia wielkiego⁷¹.

71 Strepet (*Tetrax tetrax*) to niewielki ptak z rodziny dropi (*Otididae*), wielkości kury. Zamieszkuje otwarte tereny stepowe i rolnicze Euroazji (w pasie: od Półwyspu Iberyjskiego po Chiny i Kazachstan), a także obszary północno-zachodniej Afryki. Wierzch ciała płowobrazowy z charakterystycznym rysunkiem, spód biały, boki rdzawe. W locie widoczne charakterystyczne białe

Kolejna epoka chłodu i wilgoci odkłada nową warstwę stalagmitu, cieńszą od poprzedniej.

Wkrótce okolica zaludnia się dziwnymi zwierzętami: turem z północnych lasów, jeleniem, koziorożcem, zajęcem oraz osobliwym osłem, który od tej ziemi zyska nazwę *hidruntino*⁷². Pojawia się nawet foka o białym brzuchu i północny pingwin. Kto wie, dokąd uciekły hipopotamy, nosorożce i słonie, tak przywiązane do ciepła i wilgoci. Teraz mamy tu bieguna północny, nie brak też pingwinów i fok. Tak jest! Kolejna epoka, nazwana zlodowaceniem Würm, pokryła zmarzliną całą Europę.

Cierpliwy niczym Hiob, człowiek wciąż od czasu do czasu rozpala ogień i jada w grocie. To znak, że tam mieszka, choć nie na stałe. Przyzwyczajają żołądek do nowego pożywienia. Ogień chroni go przed surowymi warunkami, jakie narzuca natura.

plamy na skrzydłach. To bliski wyginiecia gatunek chroniony, rzadko zalatujący do Polski. Żywi się roślinami, owadami i drobnymi kręgowcami, dobrze biega. Por. L. Tomiałojć, T. Stawarczyk: *Awifauna Polski. Rozmieszczenie, liczebność i zmiany*. PTPP „pro-Natura”, Wrocław 2003. Z kolei drop wielki (*Otis tarda*) to gatunek ogromnego ptaka z rodziny dropi (*Otididae*), będący jedynym przedstawicielem rodzaju *Otis*. Dorosłe samce osiągają około 1 metra długości ciała, dysponują masą w przedziale 10–15 kilogramów i mogą pochwalić się rozpiętością skrzydeł sięgającą od 210 do 230 centymetrów. Tak przedstawia się krótka genealogia tej „ptasiej familii”, sporządzona przez ornitologów: „Stara filogenetycznie rodzina *Otididae*, z 8 rodzajami, 22 gatunkami i 47 podgatunkami, obejmująca występowaniem Eurazję, Afrykę i Australię, jest jedną z najbardziej zagrożonych w swym istnieniu grup systematycznych spośród współcześnie żyjących przedstawicieli ornitofauny Starego Świata. Największy z dropi – palearktyczny gatunek nominatywny *Otis tarda tarda* [...], do ostatniego interglacjału rozprzestrzeniony był na kontynencie europejskim do 48° szerokości geograficznej, a począwszy od ostatniego zlodowacenia zajmował stopniowo całą Europę. W średniowieczu drop obejmował zwartym zasięgiem całą Eurazję od Półwyspu Iberyjskiego aż do Ałtaju, północną Afrykę i Azję Mniejszą. W ostatnich stuleciach drop przechodził powolny regres, w wyniku którego w większości krajów Europy doszło do prawie całkowitego wyginiecia gatunku. Proces ten trwa nadal, ulegając silnemu przyspieszeniu”. Cyt. za: A. Berezzyński, A. Kaczmarek: *Restytucja dropia *Otis tarda* L. 1758 w Wielkopolskim Parku Narodowym*. „Morena” 2011, z. 15, s. 263.

72 *Hidruntino* (łac. *Capra aegagrus*) to wymarły podgatunek dzikiego kozła, występujący w neolicie i epoce brązu na obszarze południowych Włoch, zwłaszcza w rejonie Otranto (łac. *Hidruntum*), od którego wzięł nazwę. Uważany za formę przejściową między dzikimi a udomowionymi kozłami, wyróżniał się specyficzną budową rogu i czaszki, co czyni go ważnym ogniwem w badaniach nad procesami wczesnego udomowienia kóz w regionie śródziemnomorskim. Znaleźiska osteologiczne, m.in. z Groty Romanelli i stanowisk w Apulii, wskazują na jego lokalne znaczenie gospodarcze oraz rytualne. Badania genetyczne i morfologiczne sugerują, że kozioł *hidruntino* był odrębną populacją, która wyginęła na skutek zmian środowiskowych i konkurencji z udomowionymi gatunkami przywiezionymi z Anatolii. Zob. A. Tagliacozzo: *Caprini preistorici dell'Italia meridionale*. „Rivista di Archeozoologia” 1997, no 3, s. 23–34.

Wśród wielu trudnych przemian człowiek doskonali swoją zdolność przystosowania, która bardziej niż jakakolwiek inna pozwala mu pokonywać przeszkody i zdobywać panowanie nad ziemią. Powoli kroczy długą drogą ku cywilizacji. Nauczył się już, biedaczysko, pracować! W ostatnich warstwach zachowały się pierwsze ślady jego wysiłków: nieobrobione krzemienie, z których tworzył narzędzia.

Potem czuje, jak budzi się w nim coś nowego. To coś zrodzi kiedyś Apellesa i Rafaela, Fidiasza i Michała Anioła. Sztukę!

Na kilku kościach i krzemieniach człowiek z upodobaniem ryje rysunki. Ziemia, w której pozostawił pierwsze artystyczne próby, odsłania je nam po tysiącach lat. W końcu kreśli na ścianach jaskini graffiti, jakby chciał na zawsze utrwalić poziom sztuki, jaki osiągnął. Niewiele, dwa, może trzy malowidła, ale właśnie takie, jakie narysowałby dzisiejszy artysta, gdyby chciał sprowadzić temat do jego istoty: wół, tur o prostych rogach – pożywienie; kobieta – miłość.

Jak Ci się podobają karty historii, które nadmorska kraina odsłoniła przed Tobą w wiosennym wietrze? Czyż nie wydają się naprawdę niezwykle? To miejsce ma niewiele sobie równych na ziemi, tylko nieliczne stanowiska paleolityczne z pogranicza hiszpańsko-francuskiego i Balzi Rossi, między Ventimiglią a Mentoną, mogą jej dorównać⁷³.

Świadectwo Groty Romanelli zmusiło oficjalną naukę do ponownego przemyślenia dotychczasowej teorii, wedle której człowiek dotarł do Europy przez Półwysep Iberyjski. Uznano, że również Włochy, a zwłaszcza prastara ziemia Apulii, miały w tym swój udział, w czasach, gdy świat wciąż przechodził gwałtowne przemiany.

Posłuchaj mojej rady i wybierz się na rejs łodzią. Błękit nieba i wód, świeży wiatr od morza staną się dla Ciebie salą najdoskonalszego z uniwersytetów. A sama natura, *ex cathedra*, wyda Ci się najciekawszą z nauczycielek.

73 Stanowiska paleolityczne z pogranicza hiszpańsko-francuskiego i Balzi Rossi to zespół kluczowych miejsc archeologicznych późnego paleolitu w Europie Zachodniej, obejmujący jaskinie i schroniska skalne położone w pobliżu Pirenejów (np. Altamira, Lascaux) oraz nad Morzem Liguryjskim, między Ventimiglią a Mentoną (Balzi Rossi). Obszary te dostarczyły jednych z najstarszych i najbogatszych zespołów artefaktów kultury graweckiej i madryckiej, w tym malowideł naskalnych, rytów, figurek Venus, narzędzi krzemiennych i szczątków ludzkich *Homo sapiens*. Stanowiska Balzi Rossi (np. Grotte dei Fanciulli, Grotta del Principe) słyną z dobrze zachowanych pochówków i znalezisk związanych z symboliką i protosztuką górnego paleolitu. Region ten stanowi kluczowe ogniwo dla badań nad migracjami, rozwojem rytuałów pogrzebowych i ewolucją ekspresji artystycznej w późnym plejstocenie. Pogranicze Pirenejów i Ligurii ukazuje spójność kulturową Europy zachodniej w paleolicie oraz różnicowanie regionalne odpowiadające adaptacjom środowiskowym. Por. J. Clottes: *World Rock Art*. Getty Publications, Los Angeles 2002, s. 73–91.

NIEZNANY ŚWIADEK SŁYNNEGO SPOTKANIA

Dawno temu garstka mężczyzn wracała do ojczyzny po długiej, bezowocnej wyprawie za morze. Byli to wojownicy z Krety, którzy dotarli aż do Syrakuz, by pomścić śmierć króla Minosa.

U wybrzeży Salento ich podróż zakończyła katastrofa. W ten sposób wojownicy – czy z własnej woli, czy z przymusu – zmuszeni byli osiąść na tym najdalejszym krańcu Włoch.

Byli synami wielkiej cywilizacji mykeńskiej. Budowniczości Lwiej Bramy i megalitycznych murów mieli we krwi sztukę wznoszenia cyklopowych konstrukcji z ogromnych, ciosanych bloków kamiennych. Preferowali plan prostokątny, nawiązujący do formy prymitywnego schronienia, ten sam, który później stanie się znakiem rozpoznawczym sztuki greckiej.

Na miejscu zastali Japygów oraz inny jeszcze lud, mieszkańców kultury megalitycznej.

Także ta cywilizacja, podążając własną drogą, osiągnęła wysoki poziom umiejętności budowlanych. Przekształcając koncepcję okrągłej chaty w formę *trullo*, zainspirowaną układem warstw miejscowej skały, stworzyła *dolmen*, pierwszy kamienny grobowiec, który można uznać za pierwowzór piramid.

W ten sposób obie cywilizacje weszły ze sobą w kontakt. Nowo przybyli połączyli się z dawnymi mieszkańcami, tworząc odrębny lud, który Grecy nazwali Messapiami, ponieważ zamieszkiwali ziemię między dwoma morzami.

Antioch z Syrakuz i Strabon opowiadają nam o tym wydarzeniu, które już za ich czasów należało do odległej przeszłości.

Przed nami namacalny ślad tamtego spotkania, owoc połączenia dwóch cywilizacji, który zachowuje najważniejsze cechy każdego z ludów, które je ukształtowały.

Wielkie, ciosane bloki murów Myken, ułożone na doskonałym planie prostokąta, świadczą o zaniechaniu budowania kopuł charakterystycznych dla kultury mykeńskiej. Zastąpiono je ogromnymi kamiennymi płytami, tworząc dolmenowe sklepienie wykonane przez miejscową ludność. Rozwiązanie to przybliżyła nas już do formy świątyni greckiej.

Budowla ma prostokątny plan charakterystyczny dla mykeńskiego *megaronu*, dwuspadowy dach oparty na dłuższych bokach, filary podtrzymujące architrawy i solidny cokół. To wciąż tylko załazek, który dopiero z czasem wzbogaci się o dziedziniec, przedsionek i tylne pomieszczenie, by ostatecznie przekształcić się we wspańnię świątynie Paestum i Agrigento.

Tam, gdzie wybrzeże nagle zmienia kierunek, a w powietrzu spotykają się wiatry znad Adriatyku i Jonii, Apulia odsłania kolejny ze swych najbardziej urzekających sekretów.

Nigdy dotąd tajemnica nie przybrała tak prostych, surowych kształtów. W Patù wznosi się osobliwy pomnik o nazwie *Centopietre*, co oznacza „sto kamieni”, zbudowany rzeczywiście ze stu ciosanych bloków. Jego wygląd jest skromny, niemal ascetyczny; chciałoby się powiedzieć, że z filozoficzną wyniosłością drwi z wszelkiego zewnętrznego przepychu.

A jednak w tej niezwyklej, kamiennej budowli kryje się kolejny ważny etap w dziejach ludzkiej cywilizacji. Spotkały się tu dwie kultury, wciąż jeszcze różne, które połączyło dążenie do najwyższego celu – oddania czci Bogu. Część budowniczych przywołała wspomnienie cyklopowych murów otaczających ich miasta, inni jeszcze nawiązali do grobowców, w których czcili swoich zmarłych. Tak powstała świątynia, w której zamieszkało Słońce, to samo, które nie mieściło się w menhirze, a którego blask nie mógł się dłużej odbijać w pniu drzewa czy w ciasnej chacie z gałęzi, zbyt ubogiej, by stać się jego siedzibą.

W późniejszych czasach Patù i jego *Centopietre* ponownie stały się miejscem spotkania, a raczej zderzenia, dwóch cywilizacji. W roku 877 wojska franko-italskie, wysłane przez Karola Łysego, cesarza Francji i króla Włoch, stoczyły tu bitwę z Saracenami, którzy, władając już Sycylią, próbowali rozszerzyć swe panowanie na Apulię⁷⁴.

Wówczas *centropietre* przyjęły rolę, do której od dawna były przeznaczone: stały się kamiennym grobowcem. Przez pewien czas spoczywało tam ciało Geminiana, szlachetnego frankońskiego herolda, zabitego przez Saracenów, później ogłoszonego świętym, aż do momentu, gdy jego relikwie przewieziono do Francji⁷⁵.

74 Starcie zbrojne stoczone w 877 roku między wojskami franko-italskimi wysłanymi przez cesarza Karola II Łysego a siłami saraceńskimi operującymi w południowej Italii. Bitwa była elementem szerszej kampanii przeciw muzułmańskim najazdom z baz w Kalabrii i Kampanii, które zagrażały stabilności chrześcijańskich państw regionu. Zakończyła się bez trwałego sukcesu Franków, ujawniając ograniczenia ich obecności militarnej na południu. Wydarzenie to wpisuje się w długotrwały konflikt łacińsko-muzułmański o kontrolę nad centralną i południową Italią. Zob. G. Noyé: *L'Italie carolingienne et les Sarrasins*. „Annales ESC” 1980, no 35, s. 987–1002.

75 Święty Geminian (zm. ok. 397) to biskup Modeny, czczony jako jej patron, należący do grona wczesnochrześcijańskich świętych epoki późnorzymskiej. Według tradycji wstąpił się obroną miasta przed najazdem Hunów oraz działalnością charytatywną i pasterską w trudnym okresie przemian polityczno-religijnych cesarstwa. Kult świętego rozwinął się już w V wieku i był silnie związany z tożsamością miejską Modeny, a jego relikwie spoczywają w romańskiej katedrze San Geminiano, zbudowanej na jego cześć. W ikonografii przedstawiany jako biskup z pastorałem

Po kilku wiekach budowla powróciła do pełnienia funkcji świątyni i stała się kaplicą bizantyjską.

Pomiędzy prehistorią a historią nauka wyróżnia trzecią epokę zwaną protohistorią – czas eposów i legend. Do tej właśnie tajemniczej fazy należy monument, który widzimy przed sobą: prosty i zaniedbany, a jednak niezwykle rzadki, może jedyny na świecie, a jeśli nie, to zaledwie z unikatowym odpowiednikiem na Eubei. Znajduje się w połowie drogi między dolmenem w Bisceglie a wspianymi świątyniami w Selinuncie i Segesście. Jest świadectwem połączenia dwóch ludów, dwóch cywilizacji, dwóch tradycji budowlanych.

Być może nie bez przyczyny to niezwykle *unicum* przetrwało właśnie tutaj, w spokojnym, nieznanym Patù. Czy mogłoby istnieć lepsze miejsce, by zachować pamięć o spotkaniu Wschodu z Zachodem niż ten skrajny zakątek Italii, gdzie krzyżują się drogi Północy i Południa, Wschodu i Zachodu?

RYBA NA MAJOLIKOWYM TALERZU

Człowieku z Północy, jeśli śnisz o Południu, o błękitnym wybrzeżu, gdzie można zaznać spokoju, niech w Twoim śnie pojawi się miasteczko leżące tuż pod obcasem włoskiego buta: Gallipoli. Już jego muzycznie brzmiąca nazwa zdradza znaczenie, jest to bowiem „piękne miasto”. Tak nazwali je jego ojcowie chrzestni, Grecy: *Kallí-polis*.

Wąski, trzykilometrowy półwysep przypomina pradawną rybę, która wynurzyła się z morza, by odpocząć, i oczarowana jego barwami, nigdy już nie wróciła w głębinę. Skamieniała, chłonąc całym swym ciałem niezwykle odcienie morskiej toni. Późniejszy kataklizm spłaszczył jej głowę, czyniąc szeroką i niekształconą. W jej rozwartym pysku powstała plaża Purità, a wąska smuga wody oddzieliła głowę od ciała. Tak narodził się kształt Gallipoli, bardziej poetycki niż geograficzny.

Kiedy wiatr cichnie, morze, na którym spoczywa olbrzymi półwysep o odciętej głowie ryby, przypomina talerz lśniącej majoliki, mieniący się wszystkimi odcieniami błękitu, od najblidszego po najgłębszy. Wiatr i słońce zostawiły na nim smugi kobaltu i chryzolit, tony wesołej akwamaryny i intensywnego błękitu pruskiego. Wobec majolikowej taflī błędnie każda paleta malarza pejzaży morskich.

i modelem miasta w dłoni, bywał również przywoływany jako opiekun przed trzęsieniami ziemi i oblężeniami. Święty Geminian pozostaje ważną postacią kultu świętych w północnej Italii i symbolem ciągłości chrześcijaństwa miejskiego od późnego antyku do średniowiecza. Zob. G. Sergi: *Chiesa e città nell'alto Medioevo*. G. Giappichelli Editore, Torino 1987, s. 89–91.

Jeśli zapomniawsz okularów przeciwsłonecznych, będziesz musiał za karę nieustannie mrużyć oczy!

Łodzie rozpraszają się po błękitnej planszy niczym ciemne ornamenty, swobodnie, bez troski o geometrię czy liniowe zasady, bo wiedzą, że każdego dnia tworzą własny, niepowtarzalny porządek.

Gdy opuszczamy nową część miasta, naszym oczom ukazuje się rozległa scena, jakby stworzona ręką poetyckiego scenografa na potrzeby wielkiego widowiska.

Zbudowana na czubku rybiej głowy, łagodnie wznosi się ku górze, tworząc naturalne tło przedstawienia.

Miedzy nami a tą niezwykłą sceną rozciąga się wąski pas ziemi, niczym *orkiestron* w antycznym teatrze.

Zatrzymujemy się oczarowani i, by w pełni rozkoszować się tym widokiem, wybieramy bardzo oryginalny punkt obserwacyjny – grecką fontannę. A trójka gościnnych właścicieli, Dirke, Salmakis i Byblis⁷⁶, upomina odźwiernego, by nie żądał biletu wstępu.

Trzy antyczne bohaterki przeszły mitologiczną metamorfozę. Jednak to nie mit, lecz sam czas dokonał w nich głębszej przemiany, znacząc ich postacie śladami przemijania. Stały się niemym świadectwem ulotności młodości i piękna. A gdy kierujemy na nie obiektyw aparatu, wydają się zarazem zasmucone i pełne zdziwienia.

Uznanie ich piękna i pragnienie jego utrwalenia przyszły zbyt późno. Gdy jeszcze błyszczały młodością, aparat fotograficzny, kruchy sprzymierzeniec pamięci, nie był jeszcze wynaleziony. Szczęście, jak to bywa i w życiu ludzi, dotarło do nich za późno. Dla Dirke, Salmakis i Byblis, podobnie jak dla współczesnej Mimi z *Cyganerii*⁷⁷, sława przyszła po czasie. Tak myśli poeta o duszy wrażliwej

76 Dirke, Salmakis i Byblis to trzy kobiece figury z mitologii greckiej, których narracje koncentrują się wokół motywów transgresji cielesnej, granic płci i społecznie zakazanych pragnień. Dirke, małżonka Likosa z Teb, ukarana została śmiercią przez rozszarpanie, stając się alegorią kobiecej przemocy wobec innej kobiety oraz archetypem „złej królowej”. Salmakis, nimfa zakochana w Hermafrodytosie, staje się symbolem nieodwracalnego zlania tożsamości płciowych, w narracji o pożądaniu, które znosi różnicę. Byblis z kolei, jako siostra zakochana w bracie, reprezentuje tabuizowaną miłość kazirodczą. Wszystkie trzy postacie funkcjonują jako mitograficzne egzemplifikacje kobiecości wyłamującej się normatywnemu porządkowi, a ich losy analizowane są w kontekście dyskursów o płci, cielesności i karze w kulturze grecko-rzymskiej. Por. N. Loraux: *The Experiences of Tiresias: The Feminine and the Greek Man*. Transl. by P. Wissing. Princeton University Press, Princeton, NJ 1995.

77 Postać fikcyjna z opery *La Bohème* Giacoma Pucciniego (1896), wzorowana na postaciach z *Scènes de la vie de bohème* Henriego Murgera. Symbolizuje romantyczny ideał kobiecej delikatności i miłości tragicznej, a jej śmierć z powodu gruźlicy stanowi kulminację narracji o ulotności młodości i sztuki w realiach biedy artystycznej bohemy paryskiej.

i melancholijnej, ale archeologia ma inne zdanie, gdyż posługuje się własnymi miarami przy ocenie losu zabytków. Trzy fontanny należały niegdyś do wpływowej rodziny; w młodości były tylko jednymi z wielu, niczym szczególnym. Dziś jednak, gdy ich ród wygasł, to one właśnie zyskały sławę i godność jego ostatnich przedstawicieli. Miały zwyczajną młodość, lecz starość obdarzyła je podziwem i szacunkiem.

Oto dwa szlaki, na których rozchodzą się sentymentalna poezja i zdroworozsądkowa archeologia. Poezja czci młodość jako najcenniejszy dar bogów, który otrzymuje się tylko raz w życiu (w całej historii ludzkości tylko Hezjod zasługiwał na to, by przeżyć ją dwukrotnie). Poezja wielbi młodość, nawet tę faustowską, kupioną za cenę duszy. Archeologia natomiast hołubi starość, czasem tak gorliwie, że gotowa jest nagiąć prawdę, fałszując daty narodzin, metryki i rodowody. Dodać kamiennej bohaterce kilka stuleci to dla niej igraszka. Gdyby wszystkie kobiety z marmuru i kamienia mogły stanąć w obronie swoich praw i wieku, wszczęty zostałby proces tak głośny, o jakim świat jeszcze nie słyszał. Wtedy archeologia zostałaby osądzona jako największa fałszerka w historii.

Aparat marki Rolleiflex przyjął do swego mrocznego wnętrza trzy stare damy, lecz nikt nie wie, co z nimi uczyni. Czy odmłodzi je w blasku piękna niczym poeta, czy raczej uczci ich wiek niczym archeolog? Każda maszyna, nawet najmniejsza, ma własną, kapryśną duszę i nigdy nie sposób przewidzieć, jak się zachowa.

Do naszego balkonu dobiega delikatna, rytmiczna melodia. Tam, gdzie powinna być orkiestra, wiatr, genialny dyrygent natury, unosi batutę i prowadzi koncert. Trudno jednak określić muzyków tak kapryśnych jak fale, wciąż zmieniających ton i tempo. Dziś usłyszysz najstarszy instrument świata: eolską harfę, cytrę wiatru. Tu, na brzegu, od wieków gromadzili się ci, którzy wiedzieli, że najpiękniejsze nuty pisze morze. Czy istnieje utwór, który potrafiłby oddać choć cień tego śpiewu?

W rytmie delikatnej melodii podziwiamy panoramę Gallipoli. To miejsce widziało wiele wydarzeń, lecz dziś, gdy jesteśmy szczęśliwi, zapatrzeni w teraźniejszość, patrzymy na historię z chłodnym dystansem. Nie chcemy wdawać się w spory, czy wielki malarz Ribera urodził się w Gallipoli, w zamku, czy może w Hiszpanii, ani czy jego matką była szlachetna dama Dorotea Indelli czy Vittoria Bricchi⁷⁸. Zostawmy takie poszukiwania notariuszom, wiecznie tropiącym

78 Biografia hiszpańskiego malarza José de Ribery (1591–1652), znanego także jako *Lo Spagnoletto*, budzi kontrowersje już na poziomie podstawowych danych personalnych. Choć powszechnie przyjmuje się, że urodził się w Játivie (Hiszpania), niektóre dziewiętnasto- i dwudziestowieczne źródła lokalne przypisują jego narodziny włoskiemu Gallipoli w Apulii, a nawet konkretnie tamtejszemu zamkowi. Równie niejasne pozostaje jego pochodzenie rodzinne: jedne przekazy wskazują

akty i dokumenty dla zysku. My wolimy być prostymi poetami, którzy nie szukają nagrody. Jesteśmy sprzymierzeńcami wesołego wiatru, towarzyszami orkiestry. A kogut-strażnik, łaciński symbol zwycięstwa, bohater herbu Gallipoli, już pieje, oznajmiając, że pora wejść do miasta.

Pomysłowy twórca przerzucił nad wodą most, który łączy widownię, czyli nowe miasto, ze starym Gallipoli. Z ciekawością spoglądamy w dół: orkiestrę przykrywa błękitny aksamit morza.

Za mostem reżyser natury, jakby dla własnej przyjemności, ułożył z kamienia zagadkę. Poplątał gęstą sieć ulic, które raz wznoszą się, raz opadają, i spiał je wstęgą różowo-beżowego kamienia. Po lewej wznosi się zamek andegaweński niczym nurek, który wychylił się z głębin, niosąc w sobie echo dawnych tajemnic. Białe domy stoją gęsto, wysoko, zwrócone ku morzu, jakby chciały oprzeć się wiatrowi, przypominają swym wyglądem afrykańskie chaty. Tu kończy się Europa. A po drugiej stronie, zaledwie kilka kilometrów dalej, zaczyna się inny świat. W tym miejscu spotykają się kamień i morze, Europa i Wschód, przeszłość i teraźniejszość. Wiatr przenosi głosy dawnych żeglarzy, a w wąskich uliczkach, choć przypominają te z południa Włoch, czuć już inne powietrze – gęstsze, pełne skupienia i tajemnicy.

Życie tutaj tętni bardziej wewnątrz domów niż na zewnątrz. Przypomina ono dobrze znany orientalny klimat, który dla nas ma zawsze urok egzotyki.

Niektórzy rodzą się pod szczęśliwą gwiazdą, która świeci nad nimi przez całe życie. Inni umierają, nigdy nie zaznawszy jej blasku. Tak samo jest z zabytkami.

Katedra w Gallipoli bez wątpienia zasługuje na gwiazdkę w przewodnikach, lecz żaden historyk sztuki nigdy jej nie przyznał. Jest całością, utrzymaną w jednym stylu. To barok, ale mniej kokieterijny niż ten z Lecce, poważniejszy, bardziej wyrazisty.

Bogato zdobiony i harmonijnie skomponowany fronton z żalem dopomina się o więcej przestrzeni i oddechu. Uwięziony w wąskiej uliczce, nie ma szans, by ukazać całe swoje piękno.

Wchodzimy i natychmiast ogarnia nas zdumienie – czy to rzeczywiście wnętrze kościoła, czy może przez pomyłkę trafiliśmy do ogromnej galerii? Wrażenie jest tak silne, że początkowo nie zwracamy uwagi na architekturę, bo

na szlachetnie urodzoną Dorotę Indelli jako matkę, inne wspominają Vitorię Bricchi, co może odzwierciedlać późniejsze próby nobilitacji artysty. Brak jednoznacznych dokumentów źródłowych utrudnia rozstrzygnięcie tych sporów, które pozostają przedmiotem badań historyków sztuki i lokalnych tradycji. Niezależnie od miejsca urodzenia, Ribera ukształtował swój styl w Neapolu, łącząc hiszpański naturalizm z włoskim *chiaroscuro*. Por. N. Spinosa: *Ribera: tra Roma, Parma e Napoli*. Electa Napoli, Milano 2003, s. 17–21.

obrazy przyciągają wzrok i przemawiają do nas. W całych południowych Włoszech, a zwłaszcza w Apulii, gdzie artyści najchętniej wyrażali się poprzez architekturę i rzeźbę ozdobną, malowidła w świątyniach należą do rzadkości, czego katedra w Gallipoli stanowi wspaniały wyjątek. Dwaj synowie tego miasta, Giovanni Coppola i Nicolò Malinconico, których nazwiska zapisała historia sztuki, poświęcili talent na chwałę Boga. Przejęli wartości szkoły neapolitańskiej: nasycenie barw, bogactwo ruchu, czasem wręcz teatralnego, i głębię emocji. W ich malowidłach tętni prawdziwa poezja⁷⁹.

Monolityczne kolumny, harmonijne proporcje i sklepienie naw, elegancki fryz górny, oryginalna kompozycja ołtarzy dobrze do siebie pasujących, a także wstęga pełna dekoracyjnej fantazji, która biegnie po sklepieniach i spleta się na ich powierzchni – wszystko to tworzy jedność architektoniczną, żywą i harmonijną.

Z katedry wychodzimy na promenadę okalającą wysepkę będącą głową naszej ryby. Wzniesiona na dawnych murach obronnych, z szerokim widokiem na Morze Jońskie i owiewana ciepłym wiatrem, tworzy czysty, okrągły taras, z którego można zejść na każdą uliczkę i każdy zaułek. To nieustanne poetyckie widowisko, ciąg zmieniających się, urzekających panoram. Zdaje się, że żegnamy nowoczesną Europę, w czasie i przestrzeni. Kogut śpiewa dziś tym samym głosem, co przed wiekami, a promenada, z jednej strony zamknięta domami o niemal orientalnym stylu, potęguje jeszcze to wrażenie.

Na rogu tarasu wznosi się Kościół św. Franciszka, w którym, mimo licznych przebudów, wciąż można dostrzec czyste, surowe trzynastowieczne linie. Nie sama jednak architektura przyciąga uwagę odwiedzających. We wnętrzu świątyni kryje się dzieło, które można nazwać arcydziełem sztuki ludowej: drewniana rzeźba autorstwa Vespasiana Genovina młodszego, przedstawiająca Chrystusa między dwoma łotrami. Realizm postaci Chrystusa jest niezwykle, jeszcze bardziej podkreślony przez zacięty wyraz twarzy łotra, Gestasa. Artysta użył zaskakującego i niezwykle rekwizytu, którym jest prawdziwa szczeka, tworząc efekt zarazem drapieżny, ironiczny i pełen ekspresji, jakby przeczuwał przyszłe eksperymenty surrealistów. W innej kaplicy zaś możemy podziwiać piękny wizerunek św. Franciszka, który krytycy przypisali Tycjanowi.

79 Giovanni Coppola i Nicolò Malinconico to włoscy malarze działający na południu Włoch w XVII wieku, reprezentujący nurt barokowy z silnym wpływem lokalnej tradycji oraz szkoły rzymskiej. Coppola znany jest z realizacji o tematyce religijnej i portretowej, zaś Malinconico wyróżnia się dramatyzmem kompozycji i ekspresyjnym użyciem światła, co wiąże się z kontynuacją stylu Caravaggia i Ribery. Zob. A. Spinosa: *Pittura napoletana del Seicento*. Electa Napoli, Napoli 1995, s. 78–82.

Nieco dalej, na plaży noszącej tę samą nazwę, wznosi się kościół Santa Maria della Purità, kolejny z typowych kościołów-muzeów. Obrazy wielkiego Luki Giordano⁸⁰ zostały tu zestawione z dziełami dwóch artystów z Salento: Giovanniego Andrei Coppoli i Liboria Riccia⁸¹. W ten sposób, obok katedralnej pinakoteki, również w tej świątyni możemy podziwiać bogaty zbiór malowideł.

Gallipoli to pogodne, wesołe miasteczko, a przecież wiadomo, że nigdzie nie grzeszy się tak dobrze jak w miejscu pełnym radości. Opuszczamy je z bogatą, wręcz skandaliczną listą przewinień na sumieniu. Obraziliśmy archeologię, nie wiedząc nawet, jakie mogą być tego konsekwencje; zlekceważyliśmy historię, okazując jej nasze chłodne, obojętne milczenie; sprzeczaaliśmy się z notariuszami, zarzucając im chciwość; powątpiewaliśmy w geniusz wszystkich muzycznych partytur świata; skrytykowaliśmy malarzy marynistów – żaden z nich nam nie wybaczy, że nazwaliśmy ich dzieła ubogimi paletami. Cień Ribery odwrócił się od nas ze smutkiem; mieszkańcy Gallipoli zapewne też się na nas gniewają, bo ośmieliliśmy się porównać plan ich miasta do ryby spoczywającej na talerzu z fajansu; a kogut z herbu miasta z pewnością pieje z oburzenia, że odkryliśmy jego muzyczne beztalencie. Obrażeni są też zapewne historycy sztuki, którym wytknęliśmy, że nie wspomnieli w przewodnikach o wspianej katedrze.

80 Luca Giordano (ur. 18 października 1634 w Neapolu, zm. 12 stycznia 1705 tamże), neapolitański malarz barokowy, był jednym z najbardziej płodnych i wszechstronnych artystów swojej epoki. Słynął z niezwyklej szybkości pracy (przydomek *Luca fa presto*) oraz zdolności łączenia stylu rzymskiego i weneckiego. W 1692 roku został malarzem nadwornym króla Hiszpanii Karola II i pracował m.in. w Eskurialu, Aranjuez, Madrycie i Toledo, dekorując pałace i kościoły monumentalnymi freskami. Po wybuchu wojny sukcesyjnej wrócił do Neapolu, gdzie zmarł w 1705 roku. Tworzył głównie dzieła religijne, ale także mitologiczne i historyczne. Wczesne prace wykazują wpływy caravaggionizmu, późniejsze cechują się dynamiczną kompozycją, jasną kolorystyką, rozległą przestrzenią i dużą liczbą postaci w ruchu. Inspirował się m.in. Ribera, Veronesem, Tycjanem, Rubensem, Cortoną i Rafaelem, a jego styl ma wyraźnie eklektyczny charakter. Por. N. Spinosa: *Pittura del Seicento a Napoli*. Vol. 1–2. Electa Napoli, Napoli 2010–2011.

81 Liborio Riccio to osiemnastowieczny malarz i duchowny z Muro Leccese, którego data urodzenia nie jest znana, znamy jedynie datę śmierci – zmarł w Muro 11 września 1785 roku. Liborio Riccio kształcił się między Gallipoli a Rzymem, co miało istotny wpływ na jego warsztat i ukształtowanie stylu malarskiego. Był silnie związany z regionem Terra d'Otranto, gdzie jego twórczość była znana i ceniona w lokalnym środowisku artystycznym. Jako malarz działający głównie na potrzeby kościołów i lokalnych fundatorów, reprezentował prowincjonalną odmianę włoskiego rokoka, pozostając jednocześnie pod wyraźnym wpływem czołowych artystów epoki. W jego obrazach widoczne są inspiracje twórczością Corrada Giaquinta, Francesca De Mury, Francesca Solimeny oraz Luca Giordano, co przejawia się w miękkim modelunku postaci, jasnej kolorystyce i dynamicznych, teatralnych kompozycjach. Z powodu braku współczesnej literatury dotyczącej malarza por. P. Marti: *Ruderi e Monumenti nella penisola salentina*. Tipografia „La Modernissima”, Lecce 1932.

A jednak odjeżdżamy szczęśliwi; w jednej podróży zdołaliśmy popełnić tyle grzechów naraz. Kto wie, może wiatr i woda nie będą na nas obrażone; takich sprzymierzeńców zawsze warto mieć w życiu, bo wiatr, gdy zechce, potrafi unieść nas aż do nieba, a morze poprowadzić na koniec świata.

PRZYJACIELSKA WIZYTA W TARENCIE⁸²

Dla Ciro Drago⁸³

„Thalatta! Thalatta!” – pokrzykiwali niegdyś Grecy. Dziś ich stare wołanie znów brzmi w naszych uszach. Z daleka, z okna pociągu, widać morze, które oddziela się od horyzontu niczym ogromne, błękitnozielone zwierciadło. Wyruszyliśmy z Bari o świcie, pod gwiazdami wiosennego nieba, a teraz słońce, złote jak dojrzały melon, zaprasza nas do Tarentu.

W Bari od razu widać, że mieszkańcy przybyli z głębi lądu i osiedlili się nad brzegiem morza; w Tarencie jest odwrotnie. To morze przybyło ku mieszkańcom i od wieków wychowało pokolenia marynarzy i rybaków.

Miasto takie jak Tarent, które greccy bogowie obdarzyli wspaniałym położeniem, miało wyjątkowe warunki do rozwoju. Przypomina żywego syna Neptuna, legendarnego Tarasa, który, gdy zobaczył morze głęboko wdzierające się w ląd, od razu zrozumiał, że to miejsce stworzone na port doskonały, bezpieczny dla każdego statku i o każdej porze roku. A dziś i my przychodzimy w odwiedziny.

Zmieniały się narody, wieki, ludy, religie i formy rządów; przeszli tędy Spartanie i Rzymianie, Bizantyjczycy i Longobardowie, Frankowie, Normanowie i Saraceni. A jednak port, który stworzyła sama natura, pozostał niezmienny. Mar Piccolo, o kształcie ósemki, wciąż jest uroczą i spokojną kołyską dla statków, które znajdują tu schronienie po burzy, po bitwie i po trudzie pracy. Most łączący stary i nowy Tarent zamyka się niczym kurtyna, za którą okręty cumują bezpiecznie.

Tarent otwiera się na południe, pijąc wraz z wiatrem gorące promienie słońca. Mieszkańcy to ludzie morza z krwi i kości, co widać na pierwszy rzut oka.

82 Dawniej miasto Tarent nazywano: Taras.

83 Postać historyczna związana z Tarentem, znana głównie jako lokalny działacz społeczny i intelektualista działający w połowie XX wieku. Jego działalność koncentrowała się na promowaniu dziedzictwa kulturowego regionu Apulii oraz wspieraniu rozwoju społeczno-gospodarczego Tarentu poprzez inicjatywy edukacyjne i kulturalne. Drago wyróżniał się również zaangażowaniem w lokalne organizacje obywatelskie, współpracując z instytucjami miejskimi oraz regionalnymi. Z kontekstu opowieści Alberti wynika, iż pełnił wówczas funkcję dyrektora miejscowego muzeum. Por. R. Conti: *Storia sociale di Taranto nel XX secolo*. Edizioni dal Sud, Bari 1998, s. 134–137.

Morze było im kołyską i domem, a nierzadko także grobem, przyniosło bogactwo, chwałę i kulturę.

To właśnie z morza, ze słońca, z ziemi czerpano natchnienie i duchową wizję. Może i Ty zdołasz tu odnaleźć, wciąż jeszcze obecne w alejach wzdłuż brzegu, cienie Horacego i Wergiliusza, którzy odpoczywali na słońcu, słuchając szmeru fal Morza Jońskiego.

Interesuje nas dzisiejsze miasto. W jego starej części, nad brzegami Mar Piccolo, witają nas stoiska pełne ostryg i małży; już z nabrzeża widać flotyllę łodzi, które zdają się gromadzić potajemnie, jakby na naradę, by ustalić, gdzie połowy będą najobfitsze. Owoce morza, artystycznie ułożone na ogromnych półmiskach, swoimi barwami kontrastują z zielenią cytryn, tworząc cudowny temat dla malarza martwych natur. Sprzedawcy zachęcają, by ich spróbować, lecz nie każdy, kto nie urodził się nad morzem, ma odwagę skosztować takich przysmaków. Ja sama należę do tej właśnie kategorii, dlatego pozostaje mi nakarmić oczy darami morza.

Całość przypomina mi malowniczy zakątek Marsylii lub Kadyksu. W powietrzu unosi się zapach ryb i małych tawern, czuć atmosferę portu pełnego słońca, krzyków, śmiechu i nawoływań – wszystkiego, co nadaje śródziemnomorskim miejscowościom ich wyjątkowy urok, tak charakterystyczny dla marin i przystani południowej Francji, Hiszpanii oraz Grecji, a tak odmienny od mglistych portów Północy. Ciepłe powietrze otula nas i budzi tęsknotę za podróżą, by stopić się z morzem, włączyć się od portu do portu, bez myśli o powrocie. To niebezpieczne uczucie. Lepiej wrócić do miasta.

Wchodząc do miejscowej katedry, odkrywamy prawdziwe oblicze włoskiej sztuki. Choć kolejne epoki odciskały na niej swoje piętno, budowla do dziś zachowuje niepowtarzalny urok i znaczenie. Szczególnie zachwyca kaplica św. Katalda, bogato zdobiona marmurowymi intarsjami, urzekająca barwami i finezją ornamentów. Posągi świętych mają w sobie typowo włoski charakter, zwłaszcza figura św. Ireny, której dramatyczny gest i mistyczny wyraz nadają jej niezwykłą charyzmę. Gdyby ta kaplica znajdowała się w kraju mniej zasobnym w dzieła sztuki niż Włochy, z pewnością otrzymałaby w przewodnikach trzy gwiazdki i stała się celem pielgrzymek artystów. Mimo niemałej konkurencji św. Katald nie ustępuje innym pięknie zachowanym przybytkom. Nic więc dziwnego, że w ciągu zaledwie pół godziny można tu zobaczyć już trzecią parę nowożeńców, którym święty udziela błogosławieństwa na nowej drodze życia⁸⁴.

84 Święty Katald (zmarły ok. 1127) to irlandzki biskup i pustelnik, który w XI wieku osiedlił się w południowych Włoszech, gdzie zyskał sławę cudotwórcy i opiekuna Bari. Jego kult

Udajemy się dalej, do Kościoła św. Dominika. Cóż za metamorfoza! Czy naprawdę jesteśmy we Włoszech, gdzie duchowieństwo zawsze odznaczało się tak wielkim wyczuciem artystycznym? Trudno uwierzyć własnym oczom.

W przeszlonych kapliczkach widzimy postacie naturalnej wielkości, naprawdę mało przyjemne dla oka. Oto Dzieciątko Jezus w błękitnym tiulu, z kręconymi włoskami, peruką, umalowaną twarzyczką, a obok korona cierniowa i krzyż. Gdyby Chrystus nie miał nic lepszego do zrobienia i pewnego dnia trafił do Kościoła św. Dominika w Tarencie, ujrzawszy wizerunek swego dzieciństwa w tiulu i makijażu, sam nie wiedziałby, czy śmiać się, czy płakać gorzko. Z pewnością, tak jak niegdyś wypędził faryzeuszy ze świątyni, dziś przepędziłby te wszystkie lalki w jedwabnych szatach i perukach oraz świętych w fiolecie. Trudno uwierzyć, że to właśnie włoskie duchowieństwo, które kiedyś dbało o piękno rzeźb Donatella, della Querci, Sansovina, Verrocchia, Pisano, della Robbia, Tina da Camaino, Berniniego, Mina da Fiesole, a także Brunelleschiego i Andreottiego, dziś instaluje podobne manekiny.

Wychodząc, podziwiamy fronton w surowym stylu romańskim, skromną, lecz pełną powagi rozetę oraz wysokie schody, które wynagradzają nam rozczarowanie, jakiego doznaliśmy wewnątrz.

Aby nasycić oczy prawdziwą sztuką, udajemy się do muzeum. Zamknięto je po wojnie i dotąd wiele eksponatów nadal spoczywa w skrzyniach. Trwa renowacja i porządkowanie zbiorów, a wstęp dla publiczności pozostaje wstrzymany. Mimo to możemy przekonać się o włoskiej gościnności i uprzejmości wobec cudzoziemców, zwłaszcza w świecie sztuki. Przyjmuje nas dyrektor Ciro Drago, który osobiście oprowadza nas po salach. Widać w nim pasję znawcy, szczególnie wobec starożytnych waz, którym poświęca najwięcej uwagi. Z jego opowieści i z samych eksponatów jasno wynika, jak wielka kultura rozwinęła się lokalnie, wiek po wieku, pełna bogactwa, wyobraźni i kunsztu rzemieślniczego. Dziś, po 2500 latach, patrząc na wazy znalezione w nekropoliach dawnego Tarentu, rozumiemy, że w tej dziedzinie człowiek nie stworzył już nic doskonalszego, ani w formie, ani w ornamentyce. Butades, który ulepił pierwszy grecki

rozwinął się szczególnie w Apulii, gdzie jest czczony jako patron miasta Bari oraz ten, który chronił przed epidemiami i niebezpieczeństwami morskimi. Legendy przypisują mu liczne cuda, m.in. uzdrowienia i interwencje w obronie mieszkańców, co odzwierciedla synkretyczne połączenie tradycji irlandzkiej ascezy z lokalnym kultem świętych. Jego relikwie spoczywają w katedrze w Bari, będącej centrum jego kultu i ważnym miejscem pielgrzymkowym. Postać św. Katalda ilustruje dynamikę migracji duchowieństwa celtyckiego do basenu Morza Śródziemnego w epoce średniowiecza. Por. N. Coppola: *San Cataldo e il suo culto*. Archeoclub d'Italia, Massa Lubrense 1988.

dzban z gliny, musiał pobłogosławić tę ziemię, która później wydała wspaniałe owoce w formie pięknie zachowanej ceramiki. Podziwiamy harmonię zdobień, bogactwo ruchu, fantazję kompozycji: wazy z różnych epok, statuetki, tabliczki pogrzebowe, maski teatralne, figurki aktorów, przedmioty codziennego użytku. Wszystko to ziemia Wielkiej Grecji przechowała, by po wiekach oddać ludziom innej cywilizacji i przemówić do nich: „Spójrzcie – oto była moja kultura, mój kształt i moje ornamenty.”

Drogi turysto, jeśli będziesz podziwiał wazony, elegancko wystawione w gablotach, nie ulegaj złudzeniu, że odkopano je w takim stanie. Nauka i cierpliwe ludzkie ręce długo pracowały, zanim z szarych odłamków odtworzono szlachetne kształty i przywrócono im dawny blask. Może dziś po wiekach spędzonych w mroku grobu skorupy same dziwią się swojemu zmartwychwstaniu.

Dyrektor prowadzi nas za kulisy tego dzieła. Widzimy aktorów bez makijażu, w ich naturalnym stanie, zanim się ubiorą, umalują i wystąpią na scenie muzealnych gablot. Oczekują tam, zanim ujrzysz ich, ożywionych po dwóch tysiącach lat! Są ręce, które niszczą kulturę; lecz są też ręce uczonych, których tłum nazywa pasjonatami, ponieważ wydobywają bogactwa z ziemi, odtwarzają ją, składają na nowo i pokazują światu. Te ręce zawsze szanowałam głęboko.

Za kulisami, w laboratorium, widzimy odłamki waz wydobyte z ziemi zaledwie trzy dni temu. Odrodziły się i czekają na swoją metamorfozę. Nic nie ginie z tego, co przechowała ziemia, oddaje ona wszystkie bogactwa i tajemnice, które przez wieki ludzie powierzyli jej opiece. I tak jak w Muzeum Egipskim w Kairze widziałam tajemnice grobowców faraonów, tak dziś spoglądam na sekrety Wielkiej Grecji. Gdy ktoś mówi, że muzeum jest nudne, niech wstydzi się swojej ignorancji. Czy życie jest od tego ciekawsze? Gdzie poznasz je lepiej, jeśli nie tu. To życie sprzed tysięcy lat. Zobaczysz nożyczki, lustreczka, eleganckie amulety, wazy, wzory pięknych strojów, fryzur, biżuterii i sandałów!

Muzeum w Tarencie jest tak bogate, że mogłoby podzielić się skarbami z wieloma uboższymi muzeami, a mimo to pozostałoby wciąż bogate.

W porcie cumuje flota, jak niegdyś flota tareńska, rzymska, bizantyjska i normańska. Gdy znalazł się śmiałek, który przypuszczał atak, nie wychodził z tego bez szwanku. Do dziś nic się nie zmieniło, port w Tarencie czeka na swój rozdział w historii.

Zanurzyliśmy się w atmosferze Wielkiej Grecji, nasz umysł zetknął się z myślą Pitagorasa, nekropolia odsłoniła przed nami tajemnice, brzegi przywołały cienie Horacego i Wergiliusza, podziwialiśmy purpurowy odcień, który niegdyś tutaj rozkwitł. A jeśli kiedyś o zmierzchu coś przyjaźnie mruczącego otarłoby się o nasze nogi, będziemy wiedzieć, że to kot, którego mieszkańcy Tarentu jako

pierwsi sprowadzili z Orientu do Europy. Nazywano go wówczas wymownie *aioluros*, czyli „zwierzę, które stawia ogon niczym pióropusz”⁸⁵.

A oto sam Taras, pan tego miasta, który z dawną gościnnością zaprasza nas, byśmy wzniesli w jego imieniu kielich miejscowego wina – tak jak czynił to od wieków z każdym, kto zawitał w te strony. Zauważamy, że puchar ma ten sam kształt, zdobienia i barwę, co kielichy podziwiane przez nas w Grottaglie. Wypijmy więc na jego cześć!

A potem Taras sam prowadzi nas na grzbiecie swego wiernego delfina w wartkiej podróży przez dzieje Tarentu.

PRZEZ DZIEJE TARENTU NA GRZBIECIE DELFINA

Nieco na uboczu, nad brzegami Morza Jońskiego, jaśniej jeszcze jedna gwiazda Wielkiej Grecji. Znajduje się w Apulii, nie za sprawą podziałów administracyjnych, lecz dlatego, że od samych początków trzymała się z dala od innych, promieniując własnym światłem, którym nieraz je przewyższała, przyćmiewając blask swych siostr, a tylko wyjątkowo pozwalając, by światło innych odbiło się na niej samej.

Jej początki również sięgają zamorskich mitów, a oryginalność wyróżniała zarówno jej założyciela, jak i jego okręt. Według legendy Taras, syn Neptuna, przyплыł tu na zaprzyjaźnionym delfinie i dał miastu swoje imię, stając się jego opiekunem. Na płaskorzeźbie, którą Tarentczycy ofiarowali Delfom po zwycięstwie nad królem Messapów, obok Falantosa, dowódcy tarenckich wojsk, widnieje również Taras dumnie dosiadający delfina, który dla tej wyjątkowej chwili opuścił głębinę morza.

Wkrótce potem w te okolice przybył Falantos wraz z Partanami.

Podczas długiej wojny z Mesenią Spartanie przez wiele lat zostawiali w domach samotne, cnotliwe żony, powierzając je opiece mężczyznom uznanym za niezdolnych lub niegodnych noszenia broni. Ci jednak nie pozostawali bezczynni. Kiedy więc dzielni wojownicy wreszcie powrócili, ze zdumieniem

85 Gatunek kota, który mieszkańcy Tarentu jako pierwsi na terenie Europy sprowadzili z Orientu w starożytności. Nazwa *aioluros* (gr. *αἰολος* + *οὐρά* = „zwierzę z ogonem jak pióropusz”) odzwierciedla charakterystyczny wygląd ogona, będący jednocześnie symbolem egzotyczności i prestiżu. Obecność kota *aioluros* w Tarenacie świadczy o intensywnych kontaktach handlowych między Apulią a wschodnim basenem Morza Śródziemnego oraz o transferze kulturowym i biologicznym w epoce archaicznej. Por. M. Rossi: *Il gatto nella cultura apula*. „Annali di Archeologia Italiana” 2015, no 4, s. 102–105.

odkryli, że liczba potomstwa znacznie się powiększyła. Wkrótce wybuchły skandale, a za nimi przyszły kary – zgodnie ze zwyczajem tamtych czasów wymierzone tym, którzy zbyt śmiało korzystali z cudzej nieobecności. Nie chcąc ich ponosić, winowajcy woleli opuścić kraj i licznie osiedlali się w okolicach Regium.

W Sparcie pozostały owoce małżeńskiej niewierności. Surowe prawo spartańskie nie dopuszczało żadnych wątpliwości co do ojcostwa, dlatego potomstwo poczęte podczas nieobecności mężów musiało zostać uznane. Nic dziwnego, że patrzono na nie nieprzychylnie i że dorastało w atmosferze podejrzeń. Tolerowano je i określano mało szacownym mianem Partan. Było ich wielu i gdy dorośli, postanowili przełamać krąg wrogości, na który – w swoim poczuciu – nie zasługiwali. Zorganizowali więc powstanie, a na jego czele stanął Falantos.

Jednak Apollo miał wobec nich inne zamiary. W chwili, gdy Falantos w teatrze zamierzał dać znak do rozpoczęcia walk, herold, cudownie natchniony przez boga, nakazał mu zaniechać podjętego planu. Następnie Apollo, zapytany za pośrednictwem wyroczni delfickiej, odesłał ich za morze, do krainy Japygów, tam, „gdzie deszcz miał spaść z bezchmurnego nieba”.

Po wylądowaniu na włoskiej ziemi Falantos od razu skierował wzrok ku Tarentowi, twierdzy najdroższej ludowi Japygów. Gdzież można by znaleźć miejsce piękniejsze i bardziej sprzyjające dla założenia miasta? Tego samego zdania byli jednak również Japygowie, którzy, nie bez racji, nie zamierzali dać się tak łatwo wypędzić. Rozpoczęło się więc oblężenie.

Konflikt przeciągał się. Sytuacja biednych Partan stawała się coraz trudniejsza. Samotni, wygnancy na obcej ziemi, rzućeni na nieznany brzeg, zmagali się z przedsięwzięciem, które wydawało się coraz bardziej beznadziejne. Zaczęło ich ogarniać zwątpienie.

Pewnego razu, gdy Falantos wypoczywał z głową na kolanach swojej żony Ajtry, ta, myśląc o ich smutnym losie i widząc męża zmęczonego i przygnębionego, rozplakała się. Wtedy kilka łez spłynęło na twarz śpiącego bohatera. Ciepłe krople miłości zbudziły wojownika. Z nieba pogodnych oczu żony spadł najżyźniejszy z deszczów, który wypływa z głębi kochającego serca. Na ten widok mężczyźni otrząsnęli się ze znużenia, głodu i zwątpienia. Ujrzeni jedynie smutek swoich kobiet, nędzę ich losu. W jednej chwili przemienili się w lwy. Miasto zostało zdobyte szturmem, a Japygowie wycofali się do Brindisi, ustępując pola nowo przybyłym.

Jak to często bywa, nie minęło wiele czasu, a ludzka niewdzięczność sprawiła, że Falantos został wypędzony przez swoich towarzyszy z miasta, które

sam zdobył i uporządkował. Schronił się w Brindisi, u dawnych wrogów, którzy przyjęły go z szacunkiem. Bliski śmierci, żyjąc na wygnaniu, nie przestał jednak troszczyć się o los Tarentu, mając nadzieję, że spełni się przepowiednia wyroczni; z tego też powodu uciekł się do podstępów.

Poradził Japygom, by spalili jego ciało i rozsypali prochy na agorze w Tarentie. Dzięki temu wybiegowi Partanie mieli zostać wypędzeni, a twierdza miała powrócić w ręce dawnych właścicieli.

Japygowie nie zwlekali z wykonaniem tej rady. W ten sposób przepowiednia wyroczni została spełniona, a prochy założyciela, mieszane z ziemią, na zawsze uświęciły panowanie nad Tarentem.

Poruszeni wielką miłością do ojczyzny, po czasie, Partanie oddali Falantowi boską cześć. Obok Tarasa i jego delfina, Falantos, jako opiekuńcze bóstwo, czuwa nad miastem.

Nie sposób, rzecz jasna, podziwiać fortelu, którym odplacono za okazaną gościnność. Prawdą jest, że podsunęła go miłość do ojczyzny, lecz w historii nie warto zbytnio przejmować się takimi drobiazgami.

Tarent rozkwitał. Wykazał się rozsądkiem, trzymając się z dala od krucjaty Krotończyków przeciw Sybaris. Rozszerzył swe panowanie na lądzie, założył Gallipoli i Otranto. Toczył liczne wojny, najpierw z Messapami i ludem Peukeotów, potem z Thurio, a następnie z Syrakuzami. Zmienił ustrój z arystokratycznego na demokratyczny, za co zyskał pochwały Arystotelesa.

Pitagoreizm dał mu światło Archytasa⁸⁶.

Był on być może jedynym filozofem w dziejach, któremu udało się z powodzeniem zastosować w praktyce własne teorie filozoficzne, pozostając im w pełni wiernym. Pokonując naturalny indywidualizm greckich miast, zdołał odnowić ligę helleńską i uczynić Tarent jej stolicą. Trzykrotnie był wybierany na stratega Federacji, a siedmiokrotnie – na przywódcę miasta.

Po jego śmierci Tarent był większy i ludniejszy niż Ateny. W całym świecie hellenistycznym, po upadku Sybaris, tylko Syrakuzy mogły mu dorównać rozmiarem i liczbą mieszkańców. Jego potęga wojskowa opierała się na czterdziestu

86 Archytas (żył w latach ok. 428–347 p.n.e.) to filozof, matematyk i polityk z Tarentu, przedstawiciel szkoły pitagorejskiej, znany z syntezy filozofii, matematyki i praktyki politycznej. Jego myśl łączyła idee harmonii liczbowej z teorią przyczynowości i etyką, akcentując rolę rozumu jako narzędzia do osiągnięcia cnoty i ładu społecznego. Archytas wniósł istotny wkład w rozwój matematyki, zwłaszcza geometrii i teorii proporcji, oraz w mechanikę, czego przykładem jest słynny model „pierdzącego gołębia”. Jego filozofia podkreślała integralność nauki i życia politycznego, kładąc fundamenty dla późniejszych nurtów filozofii praktycznej i nauk ścisłych. Zob. J. Barnes: *Early Greek Philosophy*. Routledge, London 1982, s. 240–245.

tysiącach piechurów i sześciu tysiącach jeźdźców. Ci ostatni, wyruszając na wojnę, prowadzili po dwa konie i przesiadali się z jednego na drugiego, gdy pierwszy się zmęczył. Ten system przejął później Aleksander Wielki, nazywając swoich konnych tarenckimi. Dzięki temu możliwy stał się jego niezwykły pochód przez Azję. Flota Tarentu, potężniejsza nawet niż jego armia lądowa, panowała nad Morzem Jońskim i Adriatykiem. Ankona i Adria z dumą uznawały go za opiekuna.

W tym czasie, gdy Rzym opłakiwał ciężką klęskę z rąk Galów, Tarent cieszył się uprzywilejowanymi kontaktami handlowymi.

Słynął z hodowli koni oraz z owiec o wyjątkowej wełnie, delikatnej, miękkiej i gładkiej.

W Tarencie przedzono na miejscu szczególny rodzaj nici, pozyskiwanej z muszli morskiej⁸⁷. Była delikatniejsza od zwyczajnej, lśniąca, o barwie złota i wypolerowanego żelaza. Miasto słynęło też z produkcji purpury, uzyskiwanej z dwóch gatunków muszli, jednej zawierającej płyn o barwie błękitnej, drugiej o odcieniu jasnoczerwonym. Z ich połączenia powstawały najrozmaitsze tony barw.

Było to miasto tak wyjątkowe, że sam Platon uznał za swój obowiązek je odwiedzić. Z czasem jednak stało się zbyt bogate i zbyt rozmiłowane w luksusie – właśnie wtedy, gdy na północy zaczynała wschodzić gwiazda Rzymu, który, spoglądając ku południu, podburzał Bruttów i Lukanów przeciw nadmorskim koloniom greckim. W ten sposób Tarent, zdeterminowany biegiem wydarzeń, zwrócony na wschód, został zmuszony sprowadzać do Włoch najemnych wodców.

Rozpoczął się okres Archidamosa, króla Sparty. Zakończył on swą karierę i życie pod murami Mandurii, podczas gdy jego oddziały zostały doszczętnie rozgromione. Wkrótce potem Tarent zwrócił się o pomoc do Aleksandra Molossosa, króla Epiru, wuja Aleksandra Wielkiego. Ten przybył ochotczo, pragnąc na Zachodzie dorównać czynom swego siostrzeńca na Wschodzie. Z równą szybkością, z jaką tamten przemierzał Azję jako zdobywca, przeszedł on niemal całą Italię, by zginąć w górach Sila, z rąk Bruttów. Naramienniki jego zbroi, przykład

87 W starożytnym Tarencie wytwarzano wyjątkowe nici pozyskiwane z włókien i wydzielin ślimaka mureks (*Muricidae*), wykorzystywane w tkactwie oraz produkcji barwników purpurowych. Ta technika, świadcząca o zaawansowanej znajomości surowców morskich, łączyła aspekty gospodarcze i symboliczne, wpisując się w tradycje przemysłowe i kulturowe regionu Apulii. Za: D. Marchiandi: *Il contributo della Grecia d'Occidente allo studio dell'economia dei tessili: il caso di Taranto (e di Eraclea)*. Kokalos: studi pubblicati dalla Sezione di storia antica del Dipartimento di beni culturali dell'Università di Palermo, Palermo 2023, s. 183–214.

greckiego kunsztu, wykonane z repusowanego brązu, odnaleziono w 1820 roku w obrębie świątyni w starożytnym mieście Grumentum. Znalezione są dziś pod nazwą brązów z Siri i stanowią jeden ze skarbów British Museum. Po jego śmierci Aleksander Wielki nakazał całemu dworowi nosić żałobę.

Nadeszła potem kolej na innego Spartanina – Kleonimosa, który, jak inni, pomyślał o własnych interesach. Po kilku potyczkach opanował Thurio, a stamtąd ruszył grabić Tarentczyków i Lukanów toczących między sobą wojnę. Zgodnie z osobliwymi zwyczajami epoki, po zdobyciu Metapontu, nałożył na miasto okup w wysokości sześciuset talentów i dwustu pięknych dziewcząt. Wyobrażacie sobie, gdyby taki system obowiązywał dziś? O ileż ciekawsza i bardziej urozmaicona byłaby buchalteria wojenna! I ileż pięknych kobiet byłoby wówczas potrzebnych!

W końcu i Rzym, sprawca zamętu, który ogarnął południowe regiony, zdecydował się na bezpośrednią interwencję. Zawarto piękny traktat o przyjaźni i handlu między Tarentem a Rzymem, prawdziwy *gentlemen's agreement*. Na mocy układu rzymskie okręty zobowiązały się nie przekraczać przylądka Lacinio, w pobliżu Krotonu, by pozostawić Tarentowi jego należną przestrzeń życiową.

Jak to zwykle bywa z traktatami, wkrótce potem Rzym rozmieścił u ujścia rzeki Krati flotę dziesięciu trirem, pod pretekstem udzielenia wsparcia sojuszniczemu Thurio.

Tarent zniósł to w milczeniu.

Pewnego pięknego dnia, gdy poczciwi Tarentczycy tłumnie zapełnili teatr, zajęci oglądaniem przedstawienia, ze wzgórz górujących nad zatoką ukazało się im inne widowisko – niespodziewane, lecz znacznie ciekawsze. Na ich oczach jedna za drugą płynęło dziesięć rzymskich trirem z floty stacjonującej przy ujściu Krati. Dziś nazwalibyśmy to elegancko morską demonstracją siły. Wtedy nazywano to po prostu prowokacją.

Wówczas zgromadzenie, zdecydowane raz na zawsze rozprawić się z Rzymem, wysłało wojska, by zająć Thurio, co też natychmiast uczyniono. Rzym, rzecz jasna, posłał ambasadorów z żądaniem zadośćuczynienia. W demokratycznym Tarente przywódcy oświadczyli, że jedynie zgromadzenie ludowe może odpowiedzieć na tak surowe roszczenia. I tak, wobec tłumu zebranego w teatrze, rzymscy posłowie ponownie przedstawili swoje żądania.

Być może to gniew ludu, który osiągnął już punkt kulminacyjny, albo samo teatralne otoczenie, mało stosowne do spraw poważnych, a może rzeczywiście kiepska wymowa grecka rzymskich posłów sprawiły, że wszystko wymknęło się spod kontroli. Rzymianie zorientowali się wkrótce, że ich rola odwróciła się:

z ambasadorów stali się aktorami komedii! Lud nie miał zamiaru słuchać ich pełnych oburzenia słów – bawił się ich kosztem, jakby oglądał przedstawienie *Atellany*⁸⁸. Wkrótce żarty, drwiny i szyderstwa zagłuszyły mowę, która przecież miała być wyrazem godności i powagi.

Nie pozostało im nic innego, jak tylko się wycofać, pośród jednogłośnych gwizdów tłumu. Trudno też, rzecz jasna, powiedzieć, by Tarentczycy w tym wypadku zachowali *ius gentium* i należny posłom szacunek. Jednocześnie, przyznajmy szczerze, nie był to epizod całkiem pozbawiony uroku. Kto wie, może taki sposób postępowania w niektórych sytuacjach przydałby się i dziś?

Rzym nie mógł puścić takiej zniewagi płazem. Wybuchła wojna na śmierć i życie. Tarent ponownie wezwał Pyrrusa, który przybył ze swymi słoniami, popisał się efektownymi manewrami, lecz niczego nie osiągnął i powrócił do siebie, by dać się w końcu zabić. Po bohaterskiej walce, obrońcy Tarentu, zamknięci za murami, znaleźli się pod oblężeniem, od strony lądu otoczyli ich Rzymianie, od morza blokowała flota kartagińska sprzymierzona z Rzymem, a cytadelę zajmował Milon, generał Pyrrusa. Ten jednak w końcu zdradził i wydał miasto w ręce wroga.

Rzym nie znał litości. Łupy były tak ogromne, że w samej stolicy wartość metali szlachetnych gwałtownie spadła. Tarentowi narzucono całkowite rozbrojenie floty.

Na okoliczność tak wielkiej zagłady jeden z rzymskich historyków ułożył piękne epitafium dla miasta: „Skoro Tarent został pokonany, cóż jeszcze mogło się ostać?”.

Nadszedł Hannibal. W pragnieniu odwetu Tarent pospiesznie zbuntował się przeciw Rzymowi. Po zaciętych walkach ulicznych (które, nawiasem mówiąc, nie są wynalazkiem naszych czasów) Fabiusz Maksimus zdołał ponownie zdobyć miasto. Tarent stracił dwie trzecie swoich mieszkańców. Sama tylko część łupów, która przypadła rzymskiemu skarbowi, wyniosła trzy tysiące talentów i trzydzieści tysięcy niewolników. Wszystkie wspaniałe dzieła sztuki trafiły do Rzymu.

88 Forma ludowego teatru włoskiego wywodząca się z antycznego południowowłoskiego gatunku *fabula Atellana*, charakteryzująca się improwizowanym dialogiem i maskami komicznymi. Atellana, popularyzowana od epoki republikańskiej Rzymu, łączyła elementy farsy, satyry i parodii, odzwierciedlając życie codzienne oraz obyczaje klasy niższej. Jej wpływ rozciągał się na późniejsze tradycje teatralne, zwłaszcza *commedię dell'arte*, stanowiąc kluczowy element rozwoju teatru komicznego w kulturze europejskiej. Zob. E. Wiles: *The Masks of Menander: Sign and Meaning in Greek and Roman Performance*. Cambridge University Press, Cambridge 2007, s. 112–115.

Na wzniesieniu, górując nad miastem, pozostał jedynie Zeus dłuta Lizypa – druga co do wielkości statua starożytności po kolosie rodyjskim, mierząca czterdzieści łokci wysokości. Dla towarzystwa Rzymianie zostawili mu wszystkie wizerunki złych bóstw lub tych przedstawiających bogów rozgniewanych, obawiając się ich dotknąć i sprowadzić do swojego miasta.

Powinniśmy być wdzięczni Tarasowi, który wraz z wiernym delfinem, częstując nas winem, zechciał przenieść nas w podróż przez fragment historii.

Muszę przyznać, że to najbardziej oryginalny ze środków transportu, jakim przyszło mi podróżować po Apulii.

OSTATNIA WYCIECZKA APULIJSKA

Wydawałoby się, że po tylu podróżach wzdłuż włoskiego wybrzeża powinienam je znać już całkiem dobrze, a jednak dziś, gdy przychodzi mi się z nim pożegnać i wyruszyć nowymi drogami w głąb apulijskiego kotła, ogarnia mnie nagle żal za małymi miasteczkami, które mówiły do mnie: przyjdź!, a obok których zawsze przechodziłam zbyt pośpiesznie.

I tak po raz kolejny, dziś, chcę spędzić dzień na tarasie, na którym tak często ogrzewałam się w słońcu, gdzie podziwiałam wino o barwie rubinu zachodu i gwiazdy nocy, które łagodziły niespokojne myśli i zbyt buntownicze sny.

Jeszcze raz zapach benzyny zmiesza się z morską solą, a jesienna róża przyczepiona do szyby samochodu, niczym talizman, wskaże nam drogę podczas naszej październikowej wędrówki, ostatniego rajdu wzdłuż apulijskiego wybrzeża.

Odpoczywałam nad brzegami wielu szwajcarskich jezior, a jednak Lesina i Varano, które czuwają u wejścia na apulijskie wybrzeże, lśnią tak jasno, że wydają mi się jak para źrenic rozszerzonych atropiną. To właśnie od nich zaczyna się moja wędrówka.

Wybrzeże Gargano należy do najmniej znanych w całych Włoszech, choć bez trudu mogłoby konkurować z najstojniejszymi zakątkami obu riwier.

Tutaj natura stworzyła całą gamę pejzaży, ułożyła je jedno obok drugich niczym obrazy na wystawie. Od Rodi po Vieste, od Vieste po Manfredonię; w październikowym świetle wszystkie zdają się akwarelami o miękkich, poetyckich tonach.

Kiedy zaczynam wybierać zdjęcia do albumu fotograficznego, aparat jest – jak się wydaje – w kłopotcie. Myślałam, że jeden film wystarczy, a tymczasem rozwijam już drugi i znów kręcę głową, że chyba i tego będzie za mało. Podobnie

sądzi zapewne moja różana maskotka (sądząc po jej minie) i spóźniony motyl, który z ciekawością zbliża się do aparatu, lecz nie wyczuwając żadnego przyciągającego zapachu, zaraz odlatuje.

Oba filmy poszły na marne, widzę, że nie uchwyciłam najciekawszych fragmentów pejzaży przypominających akwarele, każdy z nich wyglądał na ten stereotypowy.

Za półwyspem Gargano wybrzeże urywa się gwałtownie, jakby dotknął je potężny kataklizm. Dalej jego charakter nagle się zmienia, traci dawny urok i nabiera cech przemysłowych, jakby natura chciała zapomnieć o swoim wcześniejszym pięknie.

Czy zastanawiałeś się kiedyś, jak wielkie bogactwo kryje w sobie sól? Pamiętasz opowiadanie Jacka Londona, w którym bohaterowie, po wielu przygodach i nieustannej walce ze śmiercią, w końcu zgromadzili całe góry złota? A potem, gdy zgubili drogę i wyczerpani próbowali ratować życie, pozbywali się po kolei wszystkich worków z cennym kruszczem, by na końcu zachować tylko jedno, mały woreczek soli, jedyną prawdziwą wartość⁸⁹.

Powoli zbliżamy się do płaskiego jeziora Salpi, a raczej do tego, co dziś z niego pozostało. Już z daleka nasze oczy przyciągają oślepiające białe pola. To saliny – największe we Włoszech i jedno z najpiękniejszych w całej Europie.

Margherita di Savoia to najmłodsze miasto na całym wybrzeżu. Ma zaledwie siedemdziesiąt lat, można więc powiedzieć, że wciąż jest w wieku dziecięcym. Zamiast mleka piło sól, mimo to rozwinęło się doskonale i dziś zaleca swoje kuracje innym. Miejscowość stała się znanym uzdrowiskiem. I chociaż, prawdę mówiąc, zawsze bardziej ceniłam kurację winem, nawet najślabszym, od wszystkich kuracji wodnych, nawet tych najmocniejszych (i sądzę, że podzielisz moje zdanie), dziś musimy zrobić wyjątek, i wznosimy kieliszek za młodzieńką Margheritę, pijąc słony napój.

Na zdrowie!

Możemy być dumni, w tym sezonie zrobiliśmy wreszcie coś dla własnego zdrowia.

Cóż mogą teraz dla nas znaczyć kolejne pokonane kilometry, skoro już teraz czujemy się tak doskonale?

Jeszcze nigdy nasz samochód nie pędził tak szybko jak dziś, a wszystkiemu winna słona woda.

89 Chodzi oczywiście o powieść amerykańskiego pisarza Jacka Londona zatytułowaną *Zew krwi*.

Zeszliśmy na ląd w Molfecie, w pobliżu Katedry św. Konrada⁹⁰. Dlaczego powiedziałam: zeszliśmy na ląd, a nie po prostu: wysiedliśmy – zaraz zrozumiesz.

Podczas naszej podróży widzieliśmy wiele katedr, bogatszych i bardziej znanych, ta jest jednak inna od wszystkich. Jej styl nazwałabym rodzimym, bo z artystycznym wyczuciem wykorzystano tu dawne, piramidalne sklepienia trulli, element ludowej architektury, jak widzimy w trzech różnych kopułach w majestacie monumentalnej budowli, nadając im prawo obywatelstwa i sankcjonując je podpisem.

W cieniu miejscowej katedry wybrzeże po raz kolejny zmienia swoje oblicze. Tutaj ziemia i morze stapiają się ze sobą i nie sposób dostrzec granicy, która oddzielałaby jedno od drugiego. I właśnie dlatego zdaje się, że dobijamy do brzegu. Na plaży widać ogromne łodzie i wielu ludzi, dla których morze jest prawdziwym domem. Jeszcze przed świtem, gdy gwiazdy odbijają się w rozpiętych żaglach, statki cicho wypływają na połów, by powrócić, gdy skrzydła żagli zabarwią się głęboką czerwienią zachodu.

Ludzie, którzy tak bardzo kochają morze i znają je na wskroś, potrafią budować statki doskonałe. Cała Molfetta żyje w tym rytmie. W stocznicach widać ogromne szkielety – żebra, kręgosłupy, kości rodzących się okrętów. Wkrótce cała ta konstrukcja okryje się mięśniami i skórą, a potem, wypolerowana

90 Rozwińmy wcześniejszą notę (por. przypis 2 w niniejszym tomie na s. 38) i skupmy się teraz na ostatnich chwilach życia Świętego i jego późniejszym apulijskim kulcie. Jak pamiętamy, ostatnie miesiące życia spędził w grocie obok kaplicy w Modugno, prowadząc życie pustelnicze: modlił się, pościł i spał na nagiej skale. Wzbudził wielki podziw okolicznej ludności, która już za jego życia zwracała się do niego o wstawiennictwo. Po śmierci został pochowany w kaplicy Santa Maria ad Cryptam, a jego grób szybko stał się celem pielgrzymek. Najprawdopodobniej w 1309 roku wspólnota benedyktyńska została rozwiązana, a mieszkańcy Molfetty zabrali jego ciało i złożyli w swojej katedrze, uznając Konrada za patrona miasta. Mszał z XIV wieku potwierdza, że już wówczas 9 lutego obchodzono święto „Translatio Sancti Corradi Confessoris”. Świętemu Konradowi przypisywano liczne cuda, m.in. sprowadzanie deszczu w czasie suszy poprzez procesje z relikwią jego czaszki. W 1529 roku, podczas nocnego ataku wojsk francuskich, mieszkańcy mieli zostać obudzeni przez tajemniczego wojownika, który według przekazów okazał się św. Konradem; wraz z Matką Bożą i św. Mikołajem miał odstraszyć najeźdźców. Miasto uniknęło także epidemii, m.in. dżumy w 1657 roku. W dowód wdzięczności wykonano srebrne popiersie-relikwiarz na jego czaszkę. W 1785 roku relikwie przeniesiono do nowej katedry, a stara katedra została poświęcona jego imieniu. Od 1893 roku ciało spoczywa w srebrno-szklanej trumnie, obecnie w kaplicy św. Piotra i Pawła w katedrze w Molfecie. Częstki relikwii znajdują się także w Modugno i w różnych kościołach miasta. Informacje na temat daty narodzin i śmierci oraz przebiegu życia św. Konrada są od wieków tematem dyskusji i sporów, co doskonale zostało przedstawione w pracy L.M. De Palma: *San Corrado il Guelfo. Indagine storico-agiografica*. „Quaderni dell'Archivio Diocesano di Molfetta – Ruvo – Giovinazzo – Terlizzi” 1996, vol. 19, s. 137–138.

i gotowa, ześlizgnie się do morza, by stać się częścią wodnego królestwa gibkich łodzi rybackich.

Szum fal, śpiew ludzkich głosów i rytmiczne uderzenia narzędzi splatają się w codziennym rytmie w doskonale zestrojonym koncercie. To właśnie on nadaje miastu ten niezwykle charakter, jedyny w swoim rodzaju.

Zdaje się, że człowiek prehistoryczny, który niegdyś zamieszkiwał Pulo di Molfetta, pozostawił po sobie ślad niezwyklej zręczności w tworzeniu ceramiki – tak doskonałej, że nazwano ją ceramiką z Pulo di Molfetta. Swój kunszt przekazał kolejnym pokoleniom, które przyszły na świat na tym wybrzeżu. Mieszkańcy Molfetty do dziś słyną z biegłości w rzemiośle.

Zbliża się południe. Żołądek, pobudzony „słoną margheritą”, zaczyna zaszczościć oczom, które nasyciły się widokami, i domaga się, by wreszcie i jemu coś dać.

Zaufaj mojemu kulinarnemu instynktowi, dobry obiad czeka na nas dopiero za jakieś czterdzieści kilometrów.

Jesienna róża-maskotka prowadzi nas teraz do miasta poławiaczy pereł, które istniało na długo przed Bizetem. Każda ryba złowiona w Moli to prawdziwa perła, wrzucona do rozgrzanego oleju otwiera podniebieniu horyzonty rozkoszy.

Na nabrzeżu mijamy wielu ludzi, którzy żyją z morza, zahartowanych w walce z falami, uczniów najtrudniejszej z możliwych szkół życia.

W małej trattorii przy porcie zaczynamy rozkoszować się darami morza, które znikają szybko, a gdy obficie polewamy je winem, które jeszcze nigdy nie smakowało tak dobrze jak po naszej kuracji, przypominamy sobie, że jest przecież ktoś jeszcze, kto też chciałby się napić. Zanurzamy więc naszą różę-maskotkę w szklance wody.

Przez złociste chmury, które już lekko falują w naszych głowach, zdaje nam się, że dwóch karłów zeszło z portalu wspaniałej renesansowej katedry i teraz służy nam przy stole, jakbyśmy byli uczestnikami *Uczty Veronesego*. W oczach bastiony zamku zaczynają się podwajać (widzimy ich aż osiem) i, robiąc notatki, zapisujemy, że to wojskowy architekt Pietro d'Angicourt⁹¹,

91 Pierre d'Angicourt był architektem i inżynierem działającym w drugiej połowie XIII wieku, głównie w służbie królów z dynastii andegaweńskiej w Królestwie Neapolu. Uznawany jest za jedną z kluczowych postaci w rozwoju architektury militarnej i sakralnej na południu Włoch. Od lat 70. XIII wieku d'Angicourt pełnił funkcję *protomagister operum regionum* – głównego architekta królewskiego. Przypisuje mu się autorstwo licznych przebudów i nowych realizacji, zwłaszcza fortyfikacji miejskich i zamków, m.in. Castel Nuovo w Neapolu, zamków w Lucerze, Barletcie, Trani, Moli czy Molfecie. W jego działalności widoczna jest recepcja gotyku francuskiego, adaptowanego do

specjalista od zamków, odbudował katedrę w stylu renesansowym, a Francesco da Sebenico i Giovanni da Corfù⁹² wzniesli sami zamek⁹³.

Dumni jak nigdy z naszych notatek, opuszczamy miasteczko w doskonałych humorach i z uczuciem lekkości. W końcu, jak twierdzi polska gastronomia: „po rybie i winie człowiek jest lekki jak piórko, a po mięsie i piwie ciężki jak drewno”. Tylko nasza różana maskotka wydaje się teraz trochę cięższa od kilku kropel wody, którymi została zmoczona.

Nasze głowy aż parują od złocistych oparów po *Uczcie* Veronesego – czujemy, że pora trochę się orzeźwić.

Dojeżdżamy do Polignano, do groty Palazzese, ukochanego miejsca turystów z Bari.

Musielśmy przebyć wiele kilometrów płaskiego wybrzeża za Gargano, by zobaczyć znów fantazyjnie wyrzeźbiony brzeg, przeczący wszelkim zasadom geometrii. Skały układają się w drobne, naturalne stopnie, tarasy i kominy, a u ich stóp, w głębokich, ukrytych zatoczkach, otwierają się groty.

lokalnych tradycji i potrzeb obronnych. Jego styl cechuje się zastosowaniem sklepień krzyżowo-żebrowych, ostrołuków oraz rozwiązań funkcjonalnych o charakterze obronnym, jak machikuły i donżony. Za: J. Białostocki: *Sztuka cenniejsza niż złoto*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1982, s. 191.

92 Trzej dalmatyńscy architekci: „proio (nadzorca) budowy większego kościoła” Francesco, jego syn Giovanni z Szybenika oraz mistrz Giovanni z Korčuli, wraz ze swoimi uczniami, przebudowali elegancki kościół kolegiacki w Mola di Bari, powtarzając tam w połowie XVI wieku, w pełnym renesansie, w pewien sposób schemat romański widoczny także w ówczesnej architekturze dalmatyńskiej. Kolegiata w Mola ukazuje w swych formach architektonicznych, jak i w detalach rzeźbiarskich, najczystsą i prawdziwą symbiozę sztuki dalmatyńsko-apulijskiej, ze wszystkimi wadami i cechami, w których przejawia się ta swoboda, na jaką mistrzowie dalmatyńscy pozwalali sobie przy łączeniu w jedną całość motywów różnych stylów – co bywa niekiedy tak harmonijne jak we wnętrzu kolegiaty w Mola, która przypomina katedrę w Szybeniku, zwłaszcza w galeriach otwierających się ponad kolumnadą oraz we fryzie arkad gotyckich na bocznej ścianie, mających wyłącznie funkcję dekoracyjną. Należy stwierdzić, że właśnie w małych miastach Apulii, jak również w mniejszych miejscowościach dalmatyńskich, ci kamieniarze-mistrzowie mogli z pełną swobodą rozwijać swoje umiejętności – na co nie pozwolono by im w wielkich stolicach, gdzie kanony sztuki musiały być zawsze surowo przestrzegane. Mówiąc zaś o architektach kolegiaty w Mola, trzeba skorygować pogląd dotąd dominujący w historii sztuki. Jeden z jej architektów nie był Grekiem Giovannim z Korfu, lecz Dalmatyńczykiem: Giovannim z Korčuli, jak podaje C. Fisković. Zob. Idem: *Contatti artistici tra la Puglia e la Dalmazia nel Medio Evo*. „Quaderni dell'Archivio Storico Pugliese” 1961, quad. 3/4, s. 180–190.

93 Wydaje się, iż Alberti mylnie przydziela role, sporządzając notatki – jak sama zauważyła – na gorąco. Wszak Pierre d'Angicourt nie odbudował katedry tylko zamek. Natomiast świątynię przebudowali Francesco da Sebenico wraz z synem Giovannim i Giovannim da Corfù (w zgodzie z ustaleniami: raczej z Korčuli – por. przypis poprzedni).

Uroku temu miejscu dodaje kolor: plamy srebra i platyny w głębi skalnych załomów przechodzą w odcienie szarości i zielonkawego błękitu. Nigdzie indziej na apulijskim wybrzeżu nie spotkamy wody jak ta, którą widzimy pod naszymi stopami, w grocie Palazzese. Jej barwa nie jest jednolita, lecz zmienia się nieustannie niczym opal, od ciepłego błękitu po lodowaty turkus.

Opieramy się o balustradę sztucznego tarasu, zawieszonego wysoko nad przezroczystą wodą, i czujemy zbawienny powiew świeżego powietrza, rozwiewający dymne mgły, które spowiły nas w Mola.

Odpoczywamy. W dole uderzają fale, które zapożyczyły przezroczystość i barwy od swoich siostr z Sorrento.

Odświeżeni i już w pełni przytomni docieramy do Monopoli, gdzie wybrzeże oferuje nam jeden z tych dziwnych kontrastów, którymi tak lubi igrać jego natura.

Jedyne w swoim rodzaju Monopoli! To miasto o żywym, niemal przemysłowym charakterze, jakiego rzadko doświadcza się w apulijskiej krainie, zwykle tak skłonnej do przemawiania językiem liczb i statystyk. A jednak dwunastu aniołów zdobiących łuk tutejszej katedry opowiada historię zupełnie inną, poetycką i wzruszającą.

W XII wieku Monopoli, rywalizując z innymi miastami Apulii, włożyło całe swoje serce w budowę godnej świątyni. Kiedy dzieło było już niemal ukończone, budowniczowie natrafili na przeszkodę: zabrakło im belek o długości potrzebnej do przykrycia dachu. W tamtych czasach był to problem niemal nie do przezwyciężenia!

Biskup Romuald⁹⁴, który wspierał budowę, nie widząc innego rozwiązania, zwrócił się ku swojej wierze. I to właśnie ona sprowadziła niezwykle wydarzenie.

W nocy 16 grudnia 1117 roku jednego z mieszkańców miasta zbudziła wizja. Do portu przybyły długo wyczekiwane belki! Natychmiast pobiegł, by obudzić biskupa, i razem, w towarzystwie całego poruszonego ludu, udali się na nabrzeże. Pośrodku spokojnej tafli morza kołysała się tratwa czy może raczej zbitka belek, zdawało się, że odbyła długą drogę. Na jej szczycie został umocowany bizantyjski wizerunek Matki Boskiej, podobny do tego, który, jak mówiono, wyszedł spod pędzla św. Łukasza.

94 Romuald, biskup Monopoli (1077–1118), otrzymał od papieża Urbana II bullą z 1091 roku zgodę na niezależną katedrę biskupią. Dzięki temu oderwał od zarządu Brindisi diecezję Monopoli i uzyskał pozwolenie od soboru w Benevento na to, by owa diecezja zależała bezpośrednio od papieża. Por. M. Fanizzi: *Istoria di Monopoli del primicerio Giuseppe Indelli*. Con il commento di Cosimo Tartarella. Schena editrice, Fasano 2000; S. Carbonara: *Monopoli. Viaggio tra cronaca e storia*. AGA Editrice, Alberobello 2024.

W tak poetyczny sposób Monopoli ukończyło budowę katedry i zyskało opiekunkę – Madonnę della Madia⁹⁵.

Wejdzmy do środka. To już nie dawna katedra, ale dzisiejsza powstała w XVIII wieku, lecz wciąż można tu zobaczyć obraz Wniebowzięcia, który przypłynął, kto wie, po jak długiej żegludze, wraz z cudownym ładunkiem belek z owej niezwyklej tratwy.

Jednak nowoczesne, kupieckie otoczenie miasta stawia nas raczej pozytywnie. Wróćmy więc myślą do opowieści.

Saraceńska fala zalewała wówczas cały wschodni basen Morza Śródziemnego, cały chrześcijański świat bizantyński. I jak niegdyś podczas furii ikonoklastycznej, tak i wtedy chrześcijanie, na najróżniejsze i nieraz nieoczekiwane sposoby, starali się ocalić swoje najświętsze, czczone wizerunki.

Wiele ich powierzono ziemi. Jeszcze więcej morzu, by łaskawe wiatry poniosły je ku wybrzeżom wciąż chrześcijańskim. Z jakiej krainy wyruszyła mocna tratwa z cedrowych belek, niosąc tak wzniosłą, poetycką misję? Jak długo trwała tajemnicza żegluga? I z jakiego boskiego wyroku przybiła właśnie tam, gdzie była najbardziej oczekiwana i upragniona?

To dziwne, ale nawet te przemysłowe elementy krajobrazu, fabryki, zbiorniki, kominy, stały się częścią uroku, legendy i poetyckiego obrazu tego wybrzeża.

Po przekroczeniu Fasano docieramy do Ostuni, dostojnie wzniesionego miasta, które niegdyś należało do naszej królowej Bony.

Dalekie perspektywy, wielkie złociste plamy zabudowań, gaje oliwne, morze lśniące jak szmaragd, niebo o intensywnej barwie niezapominajki – obraz tętni bogactwem i kunsztem zarówno w treści, jak i w formie, tak że mamy wrażenie, iż katedra odmówiła posłuszeństwa pierwotnym zasadom stylu romańskiego i, buntując się przeciwko ukochanej normie, przynajmniej w swej fasadzie, zapragnęła rozkwitnąć w gotyku.

Z tego połączenia narodziło się dzieło, które łączy tradycję romańską z gotyckim buntem. Trzeba przyznać, że rebelia naprawdę się udała.

95 Ikona maryjna o charakterze cudownym, centralny obiekt kultu w Monopoli, będąca przykładem synkretyzmu religijnego na pograniczu *sacrum* i historii lokalnej społeczności. Obraz, tradycyjnie datowany na okres bizantyjski lub wczesnośredniowieczny, został – według legendy – sprowadzony z morza na tratwie zwanej *madia*, co nadaje mu wymiar symboliczny jako łącznika między sferą boską a morską przestrzenią życia mieszkańców Apulii. Madonnę cechuje specyficzna ikonografia, która łączy elementy ikonograficzne Matki Boskiej Hodegetrii z lokalnymi motywami, stanowiąc świadectwo adaptacji bizantyjskich wzorców w obrębie religijności południowo-włoskiej. Za: A.A. Andronikou: *Italy, Cyprus, and Artistic Exchange in The Medieval Mediterranean*. St Andrews Research Repository, Cambridge 2015.

Wyruszyliśmy wcześniej rano, gdy nasza październikowa róża była jeszcze w pąku. W południe, w gorącym mieście Mola, pozostawała w pełnym rozkwicie. Teraz, gdy słońce zaczyna zachodzić, już zwiędła.

Jesienią dzień jest krótszy. Dla róży i dla człowieka. Od morza nadciąga wiatr.

Jesteśmy na najbardziej na południe wysuniętym punkcie wybrzeża. Z wysokości Gargano dotarliśmy do stóp sanktuarium Santa Maria de Finibus Terrae, opiekunki żeglarzy⁹⁶.

A teraz dobrze będzie zaopatrzyć się w paszport.

Przez całe życie gromadziliśmy najrozmaitsze dokumenty, ale przepustki do raju dotąd nie wydał nam żaden urząd. Ludzie stąd wierzą, że pielgrzymka do sanktuarium Santa Maria di Leuca jest niezbędnym paszportem, by przekroczyć granicę raju. A jeśli nie odbyło się tej pielgrzymki za życia, według legendy, trzeba ją odbyć zaraz po śmierci.

Tu kończy się ziemia! *Finibus terrae!*

Wybrzeże Apulii jest pełne melancholii, przypomina nam, że wszystko ma swój kres. Życie zaczyna się rankiem na półwyspie Gargano, a kończy wieczorem u stóp sanktuarium Santa Maria di Leuca. Stąd widać już tylko rozległe wody, spowite gęstą mgłą. Nic nie rysuje się na horyzoncie!

Róża zwiędła. Rzucam ją w fale – nie wiem, dokąd popłynie.

Zawsze trudno mi było wyrzucać kwiaty jak zwykłe śmieci. Dziś fale morza, które symbolizuje wieczność, wydają mi się godnym miejscem spoczynku dla naszej małej towarzyszki-maskotki, która tak wiernie dotarła z nami do końca podróży, aż tutaj, do *finibus terrae*.

Kiedyś, gdy nadejdzie wieczór naszego życia, może i nas jakaś dłoń powierzy falom.

My zaś będziemy mieć już paszport z Santa Maria di Leuca – ten sam, który podbiła dla nas czerwona róża.

•
•

96 Przylądek Santa Maria de Finibus Terrae, położony na południowym krańcu Półwyspu Salentyńskiego, pełnił od średniowiecza funkcję symboliczną jako „koniec ziemi” w chrześcijańskiej topografii pielgrzymkowej; sanktuarium maryjne w tym miejscu stanowiło ważny punkt duchowej kontemplacji oraz integracji lokalnych tradycji religijnych z pielgrzymim ruchem ku Ziemi Świętej. Zob. R. Bianco: *Il santuario di Santa Maria di Leuca tra pericoli del mare e guarigioni miracolose*. In: *Fede, cultura e pellegrinaggi tra Atlantico e Mediterraneo. Da Finisterre a Santa Maria di Leuca „de finibus terrae”*. A cura di E.N. Barile, N. Gadaleta, M. Resta. Edipuglia, Bari 2022, s. 81–97.

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

WNĘTRZE KOTŁA

.....

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

Z OKIEN POCIĄGÓW KOLEI POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ

Morze zostało za nami. Tarasy Apulii są już daleko.

Ale jak to zawsze w życiu bywa, coś się kończy i natychmiast w tym samym miejscu zaczyna się coś innego.

Ogromny kocioł Apulii leży przed nami.

Z regionem jest tak samo jak z człowiekiem. Jeśli chcemy poznać prawdziwy charakter, nie wystarczą nam kontury, które mogą być ponętne i piękne. To wnętrze decyduje o wielkości człowieka i kraju. Bo to tutaj krzepnie cały konglomerat problemów, komplikacji, tajemnic.

Zmieniamy też środek lokomocji. Pożegnaliśmy autobus i samochód, a powitaliśmy kolej. Tak, naiwną, niedzisiejszą, romantyczną kolej!

Kiedy byliśmy dziećmi, samoloty, niczym młodzi rekruci, właśnie zaczynały uczęszczać do szkoły wojskowej. Ale w tym czteroletnim toku studiów 1914–1918 nikt jeszcze nie wiedział, co z tego wyniknie. Tak często oblewały egzaminy!

Kolej natomiast była już dojrzała, rozwinięta, doświadczona, odpowiedzialna za swoje czyny i swoje... katastrofy.

Kolej jest środkiem lokomocji mojego dzieciństwa, tak jak samolot Twojego, o Ty, który urodziłeś się dziesięć lat temu. To kolej, a nie samolot, nauczyła mnie poznawać i smakować świat. Przenosiła mnie z jednego kraju do drugiego, z jednej stolicy do drugiej. To kolej, a nie samolot, była dla mnie „latającym dywanem” złodzieja z Bagdadu.

Wiesz lepiej ode mnie, że oplatamy delikatnym wieńcem romantyzmu i podlewamy sentymentalnymi łezkami wszystko to, co wiąże się z naszymi pierwszymi podróżami po świecie. Ja jestem bezczelna i robię to otwarcie. Ktoś inny, obawiając się, że może być niemodny, robi to potajemnie.

I oto znów, na krawędzi kotła, po wielu orient-expressach, po tyłu Paris–Warszawa, Warszawa–Rzym, Warszawa–Budapeszt–Belgrad–Nisz–Skopje–Saloniki–Ateny, na stacji w Bari przeczytałam dość egzotyczny szyld: „Bari–Martina Franca”.

Wydawało mi się, że to musi być coś naiwnego, po wszystkich moich europejskich i afrykańskich ekspresach dalekobieżnych, coś do użytku domowego. Jakaś astmatyczna, dysząca, dymiąca lokomotywka, jakiś skrzypiący wagonik, ledwie większy od tych, które dzieci dostają od Befany.

Pomyślałam, że zobaczę coś z epoki Stephensona, jakąś ciekawostkę w stylu tych, które widziałam na wystawie „Sto lat życia kolei” w Brukseli. I wyobrażałam sobie jej prędkość jak w humorystycznej anegdocie (a może nie anegdocie)!

Kiedy konstruktor, w obecności najpoważniejszych uczonych i lordów, oświadczył, że ma nadzieję, iż prędkość jego pociągu w przyszłości mogłaby sięgnąć nawet 15 kilometrów na godzinę, oburzeni słuchacze zerwali się na równe nogi, protestując, że „żaden podróżny nie wytrzyma takiego tempa i że tory trzeba będzie otoczyć murami po obu stronach, by ukryć ruch krajobrazu, jako że żadne oko nie mogłoby się nigdy przyzwyczaić do takiego zawrotu głowy”.

Po stu latach i ja obawiałam się tych... 15 kilometrów na godzinę.

Tymczasem – jakie zaskoczenie.

W nocnej poświacie, zwiastującej marcowy świt, ujrzałam elegancki, nowoczesny, zmotoryzowany zespół trakcyjny. Wewnątrz: luksus, wygoda, estetyka. Piękne fotografie Apulii, artystycznie dobrane epizody architektury, doskonałe lustra. Jakby kompania kolejowa „Sud-Est”¹ dobrze wiedziała i uwzględniła, co kochają kobiety...

To było moje pierwsze spotkanie z „Sud-Est”: Bari–Alberobello. Potem nastąpiło wiele, wiele takich podróży: do Conversano, Castellany, Martina Franca, Francavilla Fontana; później coraz dalej – do Mandurii, Nardò, Lecce, Otranto, Tarentu, Gallipoli, aż po Gagliano del Capo.

I jeśli w wielkich ekspresach często przemierzałam nudne krainy, płaskie, na których widać było jedynie ziemię i niebo, tutaj zawsze kłaniał mi się krajobraz oryginalny i świeży, nasycony architekturą *trulli*, których nie spotkasz nigdzie indziej w całej Europie i – jak sądzę – na całym świecie.

Od czasu do czasu – kąpiący wiosenny deszcz i girlandy pereł na szybach pociągu, często ogromne gaje migdałowe, które niemal dotykały okna; czasami otwieraliśmy to okno wraz z pierwszym promieniem słońca, a zamykaliśmy w momencie pojawienia się pierwszej gwiazdy.

Tak zaczęłam odczuwać sympatię do tej apulijskiej „Sud-Est”, która prowadziła mnie przez tyle miast, miasteczek, wiosek, pagórków, przez tyle winnic

1 Historia kompanii transportowej, z której usług korzysta pisarka, sięga czasów przedwojennych. 6 sierpnia 1931 roku w Rzymie utworzono spółkę akcyjną ds. kolei południowo-wschodnich (Ferrovie del Sud Est), która w następnych latach włączyła w swe struktury pomniejsze spółki kolejowe regionu. Firma obsługiwała linie na południowym wschodzie półwyspu, scalając siecią połączeń takie miasta jak Bari, Lecce, Taranto, Martina Franca, Gallipoli, Otranto. Zob. P. Marra: *Rotaie a Sud Est. Ferrovie da Bari al Capo di Leuca. Da Bastogi, ai Bombrini, ai nostri giorni*. PGM, Bagnacavallo 2014. Od listopada 2016 roku spółka, ze względu na swe zadłużenie i niewypłacalność, została przejęta przez grupę Ferrovie dello Stato Italiane.

i sadów pełnych czereśni i brzoskwiń, moreli i karobów², podczas gdy kościoły zarysowane na horyzoncie jawiły się niczym wielkie twierdze, miasta położone na górujących wzgórzach, Locorotondo, Martina Franca, miały wygląd średnio-wieczny, a konduktorzy wykrzykiwali nazwy stacji w najdawniejszym języku Homera, nabrzmiałym od pradawnej muzyki.

Często na okno przedziału napierał niezwykle widok, jak Oria, widoczna z 20 kilometrów, usytuowana na wzgórzu górującym nad tak zwaną Równiną Salentyńską (Tavoliere leccese)³. Niektórzy historycy twierdzą, że Hyria albo Uria była stolicą starożytnej Messapii. Na akropolu messapijskim, który czas pogrzebał w zapomnieniu, Fryderyk II, miłośnik dalekich panoram, zbudował zamek – jeden z najlepszych przykładów architektury militarnej Hohenstaufów. Ma plan trójkąta z dwiema wieżami cylindrycznymi o pięknych nazwach Wieża Skoku (del salto) i Wieża Rycerza (del cavaliere) oraz z czworokątną przyporą. Wyraźnie odcina się na przejrzystym horyzoncie, jakby obwiedziony

2 Karob (szarańczyn strąkowy, ceratonia, *Ceratonia siliqua*) – to „popularna roślina występująca zarówno dziko, jak i w uprawie w basenie Morza Śródziemnego. Drzewo to pochodzi najprawdopodobniej z okolic Azji Mniejszej [...], a dokładnie z Omanu [...]. Szarańczyn uprawiany jest na szeroką skalę już od dawna. Obecnie służy jako roślina pastewna lub zabezpieczenie na wypadek głodu. [...] Jest też często nazywany chlebem świętojańskim, przy czym ta ostatnia nazwa określa raczej jadalne strąki tego drzewa niż całe drzewo [...]. Zimozielone drzewo karobowe dorasta do wysokości około 15–18 m, choć raczej uprawiane jest na słabych, suchych glebach, gdzie dorasta do 7 m, ma szeroką koronę i popękaną korę na pniu. Jego owocami są duże (około 20–25 cm długości i 2 cm szerokości), jadalne, skórzaste, brązowo-fioletowe strąki, zawierające twarde, niejadalne, szaro-brązowe ziarno [...] o wyrównanej masie. Dawniej wysuszone ziarna karobu z uwagi na jednakową ich masę około 0,2 g i higrofobowe właściwości używano jako odważników w aptekarstwie i jubilerstwie. Dziś kamieni szlachetnych i złota tak się już nie określa, ale jednostka masy 1 karat równa 0,2 g (z gr. *keration*, czyli karob) funkcjonuje nadal”. Cyt. za: B. Jazurek-Gutek, S. Grundas, J. Laskowski, J. Sadkiewicz: *Zapomniane walory funkcjonowania mączki ze strąków szarańczyny (Ceratonia siliqua L.) oraz nowe możliwości jej zastosowania jako prozdrowotnego dodatku do pieczywa*. „Acta Agrophysica” 2010, nr 2, s. 305–306. Por. także: G. Vaughan, C.A. Geissler: *Rośliny jadalne*. Il. B.E. Nicholson, E. Dowle, E. Rice, przeł. A. Łukaszewska, I. Olszewska-Kaczyńska. Prószyński i S-ka, Warszawa 2001, s. 120; Z. Podbielkowski: *Słownik roślin użytkowych*. Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne, Warszawa 1989. Wielu badaczy Biblii sądzi, iż stosowne fragmenty przypowieści o synu marnotrawnym, który w czasie głodu żywił się strąkami, oraz Janie Chrzcicielu (który żywił się szarańczą) – dotyczą jadalnych części drzewa karobowego. Por. Z. Włodarczyk: *Rośliny biblijne*. Leksykon. Instytut Botaniki im. W. Szafera PAN, Kraków 2011.

3 Obszar, na który wskazuje Alberti, posiada różne – oficjalne i zwyczajowo przyjęte – nazwy i geograficzne identyfikacje. Określany jest mianem: Niziny Apulijskiej (Tavoliere delle Puglie lub po prostu Tavoliere), Równiny Salentyńskiej albo Niziny Lecce (Tavoliere leccese). Bez względu na taksonomiczne rozbieżności można powiedzieć, że wzmiankowany teren to rozległa, urodzajna równina ułożona na południowo-wschodnim wycinku „obcasa” Włoch. Stanowi ważny obszar rolniczy, słynący z uprawy oliwek, winorośli i zbóż – to wypłaszczenie o charakterystycznym, wapiennym podłożu.

chińskim tuszem. Był wielokrotnie oblegany, niszczony, odnawiany, aż w końcu sam patron Oria, św. Barsanufiusz⁴, zgorszony, ukazał się osobiście hiszpańskiemu wodzowi i zagroził mu. Legenda nie mówi, czy Hiszpan został ukarany, czy też nie.

Po wiekach zamek cieszy się spokojem. Twierdze przestały być strategicznymi obiektami nowoczesnej wojny. Taktyka *up to date* zaleca uroczo i przezornie oblężenie lotnicze szpitali i siedzib robotników.

Dziś Oria nie jest już twierdzą pożądaną przez strategów i generałów, lecz zabytkiem, na który z miłością kierują swoje spojrzenia historycy i historycy sztuki. Ci pierwsi ją niszczą, ci drudzy – chronią i zachowują.

Często wizje, które roztaczały się z okien Littoriny⁵, rozkwitały tak mocno w swej oryginalności, że pozwalały zapomnieć o mechanizacji współczesnej

4 Św. Barsanufiusz – to wedle katalogu świętych: „Egipcjanin z urodzenia, pięćdziesiąt lat spędził w ścisłej rekluzji w Klasztorze św. Seridosa koło Gazy w Palestynie, w czasach Justyniana (527–565). Przebywając w najbardziej surowej samotności, komunikował się ze światem jedynie za pośrednictwem przełożonego. Niemniej, utrzymywał kontakt listowny z wieloma osobami, szczególnie z wybitnymi przedstawicielami życia zakonnego, które się do niego zwracały o poradę duchową, a także o komentarz bądź wyjaśnienie dyskutowanych wówczas kwestii religijnych. Wśród uczniów szacownego mnicha znaleźli się tacy asceci, jak św. Doroteusz z Gazy czy św. Dozyteusz Palestyński. To „duszpasterstwo” Barsanufiusza wywarło wielki wpływ na monastycyzm wschodni. Znanych jest ponad trzysta pięćdziesiąt jego listów, które zostały zebrane razem z listami Jana, zwanego Prorokiem, igumena klasztoru Merosaba, który opuścił, by być bliżej swego mistrza) przez Nikodema Hagiorytę. Barsanufiusz zmarł około 540 roku. Jego relikwie przeniesiono do Orii w prowincji Brindisi, gdzie po dziś dzień doznają czci w tamtejszej katedrze, której jest patronem”. Cyt. za: *Święci na każdy dzień*. Wydawnictwo Jedność, Kielce 2011, s. 254. Por. też *Barsanufiusz i Jan. Pytania i odpowiedzi*. Przeł. A. Bober. W: *Światła ekumeny. Antologia patrystyczna*. Oprac. A. Bober. Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, Kraków 1965, s. 295–297.

5 Littorina to nazwa zwyczajowa dla typu lekkich wagonów motorowych (napędzanych silnikiem Diesla i benzynowych) produkowanych przez koncern Fiata w latach 30. i 40. XX wieku. Wytwarzanie tych niezwykle nowoczesnych i szybkich składów bardzo usprawniło lokalny transport we Włoszech. Tak objawia się Littorina w oczach pasjonata historii, śledzącego rozwój projektu we wczesnych latach trzydziestych: „W tym czasie Fiat [...] nie miał jeszcze dopracowanego silnika wysokoprężnego. Do swojego pierwszego motorowagonu zastosował więc silnik benzynowy o mocy 120 KM. Pojazd mógł przewozić 48 osób i poruszać się na trasie z maksymalną prędkością do 115 km na godzinę. Nazwano go »Littorina« od miasta Littoria (obecnie Latina). Do połowy 1933 roku powstały kolejne dwie wersje tego pojazdu o różnych mocach silników i ilości przewożonych pasażerów. 5 grudnia 1933 roku ze stacji w Turynie Littorina wyruszyła w podróż promocyjną po Europie. Trasa miała ponad 8 tysięcy kilometrów, wiodła przez Szwajcarię, Austrię, Czechosłowację, Polskę i Węgry. W każdym kraju pojazd miał przejść 2–3-dniowe testy przydatności. W Warszawie na bocznych torach Dworca Głównego Littorina pojawiła się w sobotę 16 grudnia 1933 roku w godzinach nocnych. Pokazy i testy wagonu rozpoczęły się w poniedziałek 18 grudnia. Pierwszy przejazd, z udziałem ministra komunikacji Butkiewicza, wykonano z Warszawy do Skierniewic i z powrotem. Drogę do Skierniewic (67 km) pociąg przebył w ciągu 30 minut.

epoki. Widok Doliny Idrii⁶, usianej domkami *trulli*, jest zjawiskiem odmiennym od Alberobello, gdzie domy, ściśnięte jeden przy drugim, sprawiają wrażenie ogromnej twierdzy, wewnątrz której ludzie skrywają się przed teraźniejszością. Natomiast *trulli* rozsiane pojedynczo na otwartej przestrzeni, nieuszeregowane, każdy sam dla siebie – jeden na wzgórzu, drugi skulony głęboko u jego stóp, trzeci jak zameżna siostra tuż obok, jeszcze inny jak babka, która ze starości już zakorzeniła się w ziemi – setki tych białych *trulli* na soczystej zieleni, otoczone kwitnącymi drzewami, kwiatami, czerwonymi pergolami kiści winogron, sprawiają wrażenie czegoś wyrwanego z epoki, mikroskopijnej planety oderwanej od szalonego zgiełku, która zagubiła się, by powoli odnaleźć swój rytmiczny byt.

Dolina Itrii z jednej strony zamknięta jest wzgórzem, na którym dominuje Martina Franca, a z drugiej Locorotondo, które zajęło drugie wzgórze. Wspaniały jest widok tych dwóch miast oglądanych jednocześnie, oddzielonych panoramą tej biało-zielonej, trullowej doliny, niemal błogiej w swym prymitywizmie, niespotykanym nigdzie indziej.

A wizyta w Alberobello nie jest kompletna bez przejażdżki przez Dolinę Itrii.

Podobnych wizyt jest wiele; każda ma swoją własną siłę plastyczną. W tej części książki zajmujemy się szczególnie nimi, w ich najbardziej typowych aspektach.

W starych przewodnikach czytamy, że „Apulię trudno zwiedzać z powodu braku wygodnych środków komunikacji”.

Powrotna zajęła mu nieco więcej czasu. Drugi test był krótszy, tylko 30-kilometrowy, do Grodziska Mazowieckiego. Wziął w nim udział ambasador Włoch Giuseppe Bastianini z małżonką, dyrektor protokołu dyplomatycznego MSZ Karol hr. Romer, przedstawiciele sfer przemysłowych oraz prasa. Pociąg wyruszył z Dworca Głównego o godzinie 12.50, na dworcu w Grodzisku zatrzymał się punktualnie o godzinie 13.05. Droga powrotna z jednym postojem trwała 20 minut. W obydwu próbach pojazd uzyskał maksymalną szybkość dochodzącą do 142 kilometrów na godzinę i średnią około 120. Była to prędkość mniej więcej dwa razy większa od osiąganą przez ówczesne pociągi pośpieszne. Dwa dni później Littorina odbyła próbny przejazd na trasie Warszawa–Kraków–Zakopane, po czym opuściła Polskę. Jazda w terenie górskim również wypadła dobrze, ale uzyskane szybkości były znacznie niższe. Na silnych wzniesieniach Littorina osiągała około 60 kilometrów na godzinę, dwa razy więcej niż parowozy. Na terenie płaskim z łukami przekraczała 100 kilometrów na godzinę. 146-kilometrowa podróż z Krakowa do Zakopanego trwała 1 godzinę i 52 minuty. Pociągi pośpieszne wówczas potrzebowały do tego aż 5 godzin. [...] Pojazd ten był przez włoskie koleje regularnie eksploatowany aż do roku 1980. Obecnie można nim przejechać się przy okazji wycieczki dookoła wulkanu Etna. Dwa egzemplarze z 1937 roku stoją w muzeum w mieście Bronte”. Por. W. Klimczak: *Chyżość smukłej Littoriny*. <https://to-ci-historia.blogspot.com/2018/03/chyzosc-smukej-littoriny.html> [dostęp: 13.12.2025].

6 Chodzi o Valle d'Itria – w tekście oryginalnym Alberti pojawia się błąd zapisu (Idria). W dalszej części książki stosujemy formę poprawną.

I to równieŹ jest juŹ bajk, podobnie jak i ta o spragnionej Apulii (*siticulosa Apulia*), bo doskonała pajęczyzna usług autobusowych łączy najodleglejsze zaktki regionu, a przede wszystkim współpracuje z ni „Sud-Est”, któr mog okreœlić jako kolej turystyczn – ze względu i na krajobrazy, które przemierza, niemal niespotykane w innych częœciach Włoch, i dlatego, Źe pozwala na najdokładniejsze poznanie wnętrza tego kotła.

Ktoœ trafnie powiedział, Źe cywilizacj kraju poznaje si po œrodkach komunikacji, po liczbie wagonów kolejowych, po liczbie kilometrów dróg samochodowych i po ich jakoœci. O doskonałych drogach samochodowych Apulii wspominałam juŹ nieraz w tej ksiŹce; chcę teraz napomknc o jej kolejach.

Kolej Południowo-Wschodnia zaczęła si od małego kłębka; ale z biegiem lat ten kłębek si rozwinł, zostawiajc za sob długie Źelazne nitki ułożone w malownicze krzywizny i nieregularne elipsy.

Te nitki sięgaj od jednego morza do drugiego, opuszczaj Adriatyk, by pozdrowić Morze Jońskie, wiz dwa waŹne porty: Bari i Tarent.

S przewodnikiem, który prowadzi do miast sztuki, eksporterem bogactwa sadowniczego, winiarskiego i oliwnego Apulii. Nie jest to wic tylko kolej turystyczna i eksportowa, lecz takŹe... wychowawcza. Przewozi tysiące młodych ludzi z małych miasteczek i wiosek do wielkich oœrodków edukacji: do Bari, do Lecce, do Tarentu. Pracuje dla bogactwa Apulii, dla turystyki, dla edukacji.

Swoje narodziny zawdzięcza postaci niezwyklej, obdarzonej nie tylko tytaniczn energią, lecz takŹe zdolnoœci realizacji projektów – Giovanniemu Bombriniemu, z którego sylwetk zapoznam Cię na końcu tej ksiŹki, gdy spotkamy na naszej drodze zbiorniki wodne i ogromny łuk akweduktu⁷.

Tutaj pragnę si zatrzymać na chwilę przy jednej dziwnej rzeczy. Istniej dzieła ludzkie, w kaŹdej dziedzinie – artystycznej, naukowej, technicznej – które zdaj si „w czepku” urodzone. Maj szczęœcie, rozwijaj si szybko, Źyj długo, przynosz poŹytek ludzkoœci. MoŹe to zaleŹy od dobrej ręki tego, kto dał pocztek dziełu, a moŹe – nie wiem – od ambitnego pragnienia tego człowieka, by dzieło trwało. Pragnienia, które jest tak silne, Źe narzuca mu jaks tajemn sugesti i paraliŹuje wszelkie złe wydarzenia mogce mu zagrozić. Z pewnoœci Giovanni Bombrini miał szczęœliw rękę. NaleŹał do tych, których najœmieiej podejmowane nasadzenia zawsze si udaj, mimo wszelkiej jałowoœci gleby i przeciwnoœci wiatru.

RównieŹ Kolej Południowo-Wschodnia, tak dobrze przez niego wymyœlona, przyjęła si znakomicie. Od pierwszej linii Nardò–Maglie, oddanej do uŹytku

7 Szczegółowe informacje biograficzne znajduj si w przypisach 50 i 97 w częœci *Wnętrze kotła* niniejszej ksiŹki.

w 1911 roku, dokładnie w ciągu dwudziestu lat, własnymi budowlami lub na skutek koncesji eksploatacyjnych, powstał wielki kompleks, który dziś dysponuje siedmioma liniami (szczęśliwą liczbą babilońską) o łącznej długości 475 kilometrów.

Chcę tu tylko przypomnieć niektóre z nich, te najmocniej przeze mnie ukochane, którymi tak często podróżowałam w różnych porach roku i dnia.

Linia Bari-Tarent, która, choć zawsze wyobrażałam sobie Apulię jako region płaski, wspina się jednak na wysokość 450 metrów. Ta linia sprawiła, że – prowadzona przez przemysłowe Bari Fiera – po kilku godzinach znalazłam się nagle w objęciach Wielkiej Grecji. Albo druga, jeszcze bardziej zaskakująca, która tuż spod stóp *trulli* Martina Franca poniosła mnie w zupełnie inny świat – barok Lecce. Lub inna, która już spokojniej prowadziła z tego baroku do orientalnego Gallipoli. A jeszcze tę, która od Novoli spieszyła ku Santa Maria di Leuca, *finibus terrae*.

Każda z nich jest ważna dla turysty, ponieważ łączy najbardziej odmienne epoki historyczne i kulturowe, najbardziej kontrastujące style artystyczne.

Dziś Apulia dysponuje własnym silnym kompleksem kolejowym, spójnym organizmem obsługującym cztery z pięciu prowincji; w sumie siedemdziesiąt siedem gmin, czyli ponad dwa miliony mieszkańców.

Tak więc nikt nie może już mówić, że Apulia jest regionem trudnym do zwiedzania. Ponad dziewięćdziesiąt pociągów pasażerskich biegnie, galopuje, kłusuje przez apulijski kocioł, by pod koniec dnia zanotować piękną cyfrę: „przebyliśmy pięć tysięcy kilometrów, tak że co osiem dni robimy podróż dookoła świata”.

A pod bilansem rocznym można przeczytać: „siedem milionów pasażerów, czterysta tysięcy ton bogactwa Apulii”.

Tak jak Milano Nord pokazała mi piękno jezior lombardzkich, jak Circumvesuviana zawiodła mnie na zbocza Wezuwiusza i do martwych miast, tak „Sud-Est” pozwoliła mi poznać ten mało znany zakątek Włoch, który lubię nazywać kotłem apulijskim. Te trzy sieci kolejowe – dzięki nowoczesnemu wyposażeniu, doskonałości usług, architekturze stacji oraz znaczeniu krajobrazu fizycznego i kulturowego, przez który przebiegają – mogą być nazwane prawdziwymi kolejami turystycznymi.

Ludzie aż nazbyt przyzwyczaili się do kolei. Często podróż wydaje się wręcz nudna: „Ach! Dotarłoby się jak najszybciej do celu!”.

Człowiek współczesny nie potrafi delektować się tym wykwinnym daniem, które nazywa się „okno pociągu”.

Zawsze wspominam eleganckiego Anglika, który w szwajcarskiej Lötscherbergbahn zniknął za ogromnym, rozpostartym „Timesem” i czytał niewzruszenie, podczas gdy ja i moja przyjaciółka malarka biegałyśmy jak zahipnotyzowane – od prawej do lewej, od lewej do prawej, od jednego okna do drugiego.

– Popatrz na tego idiotę! Czytać gazetę, tutaj!

– Ale może tutaj mieszka na stałe. Może zna aż za dobrze tę trasę.

Ale nurtowało mnie pytanie: zna już tę trasę, czy przejeżdża nią po raz pierwszy?

Wysiadając w Kandersteg, pytam nagle pożeracza „Timesa”:

– *It is the first time do you travel this line?*⁸

Uśmiecha się z największą uprzejmością:

– Yes.

Był typowym przykładem człowieka, który nie potrafi rozkoszować się oknem pociągu.

Dlatego kiedy zdarzy Ci się znów wsiąść do „Sud-Est”, zrób mi osobistą przysługę. Nie naśladuj tamtego eleganckiego Anglika!

Widok z okna pociągu można smakować z takim samym apetytem jak befsztyk w burgundzie!

BÓG W MODUGNO

Dzisiaj ujrzałam Boga.

Wznosił się na skraju gaju oliwnego, tuż przy asfaltowej drodze, po której pędzi samochód, koń zużywa swe siły, a człowiek stawia swoje kroki.

Był szary, samotny i miał trzy metry siedemdziesiąt wysokości.

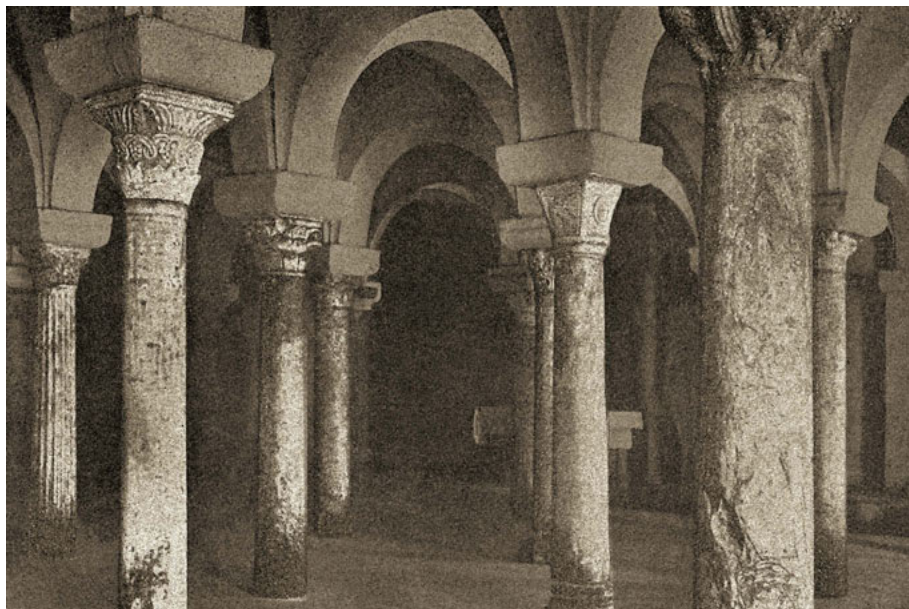
Nie był to pierwszy Bóg, którego spotkałam w swoim życiu. W Egipcie nieufnie spoglądało na mnie wieczne oko Ozyrysa, gdziekolwiek skierowałam kroki. Na wyspie File Izysa trzymała w ramionach chłopca Horusa, a Ptah, jeden z trzystu sześćdziesięciu bogów Egiptu, osobiście strzegł wejścia do swojej świątyni w Edfu.

W Watykanie Zeus z Otricoli zamykał w swoich oczach, jak w cennej księdze, całą filozofię starożytności.

Nad brzegiem Wisły ujrzałam Światowida, Boga, który widzi cały świat. Miał cztery oblicza, zwrócone ku czterem stronom świata.

W Grecji, w Dafni, podziwiałam Boga bizantyjskiego, chciwego władzy nad ziemią. Mieszkaniec kopuły trzymał w swych twardych, mocnych dłoniach wszystkie nici rządów, niczym teokrata.

8 Poprawna gramatycznie wersja zapisu winna brzmieć: „Is it the first time you travel this line?”



Kolumny... z katedry w Otranto widziały triumfujących Turków
wjeżdżających pomiędzy nie konno



Gallipoli – ryba na majolikowym talerzu

Ze sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej spoglądał na mnie stary Bóg Izraela, hipnotyczny heros z biblijnej *Księgi Rodzaju*.

Od Konstantynopola po Maroko Bóg islamu, ukryty w wersach dekoracyjnych i sakralnych ornamentach, żądał ode mnie, bym zdjęła buty w atrium, czyli na chwilę zostawiła za sobą cały świat, z którego przybywałam.

We Francji i w Hiszpanii, Holandii i Belgii Bóg chrześcijański, przedstawiany w tysiącach wspaniałych wizerunków – na osie albo z krzyżem, na wzburzonym jeziorze albo w chwale zmartwychwstania, jako niemowlę na kolanach Matki albo dojrzały mężczyzna pochylony nad stągwią wina weselnego – przebaczył mi wszystkie moje grzechy.

Ale dziś ujrzałam Boga całkiem oryginalnego. Nie przypominał żadnego z tamtych. Nie miał loków uczynionych ręką Fidiasza ani togi wyrzeźbionej przez Michała Anioła, ani egipskich promieni i skrzydeł. Nie miał żadnej twarzy ani rąk, ani stóp. Był analfabetą. Nigdy nie spisał żadnego kodeksu jak Hammurabi ani nie wydał praw czy przykazań. Nigdy nie naciskał na ludzi żadną sankcją. Nigdy nie dał choćby jednej rady, jak należy żyć.

Miał natomiast dwie cechy charakterystyczne dla boskości: nieprzeniknioną obojętność i wyniosłe milczenie.

Niemniej mimo wszystko, spotkany nagle, tak po prostu, przed zachodem słońca, wywarł na nas niezapomniane wrażenie. Ten pradziad świtu cywilizacji, który zapoczątkował wspaniałą dynastię bogów, stojąc u początku rodu, za którym kryją się tak sławni wnukowie, jak polityczny bóg Babilonii Bel-Marduk, bezkrytyczny moralista i żydowski Jahwe, astronomiczny Ozyrys nad Nilem, elektryzujący Mitra, poetycki Zeus, który na greckim Olimpie założył niezrównaną szkołę życia, gdzie jego uczniowie wyspecjalizowali się każdy w swojej dziedzinie.

Potężna dynastia, której początkiem był on – ten szary, zwyczajny *menhir* z kamienia.

Zwiastun nirwany, radykalny Siddhartha Gotama Budda, chiński realista Konfucjusz, eksperymentalny Laozi, międzynarodowy i tolerancyjny Jowisz Kapitoński, doktrynalny Zaratustra, prorok Allaha Mahomet – wszyscy potomkowie menhiru, uznani za bogów albo za najbliższych pośredników Boga. Ich ścieżki wiodą od Nilu po Ganges, od Eufratu po Tyber, od Nankinu po Olimp, od Tygrysu po jezioro Titicaca.

Pierwszym bóstwem, które najwcześniej otrzymało urzeczywistnioną formę, jest właśnie to – neolityczny menhir! W języku celtyckim *man* znaczy ‘kamień’, a *hir* ‘wysoki’. A zatem „wysoki kamień”, po włosku *pietrafitta*. Klasyczną ojczyzną menhirów jest Bretania, gdzie ich liczba sięga tysiąc pięćset; lecz

i Włochy, wieczna ziemia niespodzianek, posiadają ich około setki. Wszystkie one skupiają się w Apulii, w Salento i w Terra di Bari. W Salento jest ich około osiemdziesięciu; w prowincji Bari szesnaście, w Molfecie, Bisceglie, Sovereto i Modugno.

Ten, który dziś podziwiamy, oddziela terytoria Modugno i Bitonto, a mieszkańcy okolic od wieków przezwali go „Mnichem”. Jego brat z Locmariaquer mierzy prawie 20 metrów wysokości i waży ponad 340 ton⁹. Nasz bohater z Modugno jest o wiele skromniejszy, ale skrywa w sobie tę samą pierwotną wiarę i tę samą ludzką potrzebę podporządkowania się jakiejś wyższej sile, jakiemuś źródłu, z którego wszystko wypływa. Jako że nie jest on ani Bogiem, ani politykiem, ani moralistą, ani doktrynerem, ani nawet doradcą ludzi – a może właśnie z tego powodu w naszej dzisiejszej perspektywie jest najbardziej idealny. Wzbudzał szacunek nie jako moc, która mogłaby nagradzać lub karać, ani zło, które zakładałoby możliwość odkupienia lub otrzymania łaski. Wzbudzał szacunek jako siła słoneczna, która wszystko stwarza, jako kosmiczny dynamizm działający wszędzie, oraz jako niewyczerpalna, nieskończona energia życiowa.

I może właśnie dlatego najbliżej mu do naszej epoki elektryczności, radia i rozbicia atomu. Idol, który zamykał w sobie wyraźnie filozoficzną koncepcję i pierwsze ludzkie marzenia astronomiczne.

Siądź u jego stóp. Nie pytaj o nic, bo nic Ci nie odpowie. Nic nie zyskasz, błagając go. Żadnego grzechu Ci nie odpuści. Nie narzuci Ci pokuty. Nie da Ci żadnej nagrody!

Nie udzieli Ci żadnej rady. Nie przepowie Ci nic. Nie przeznaczy Cię do niczego. Nie zobowiąże Cię żadnym kodeksem.

9 Wskazany obiekt to Grand Menhir Brise, dosłownie „wielki złamany stojący kamień”. Grand Menhir był ogromnym monolitem ważącym około 300 ton. Ocenia się, że w roku 3880 p.n.e. potrzeba było 3000 osób, żeby ustawić go pionowo, tak żeby wznosił się na wysokość 20 metrów. Był to wygładzony sześcioboczny filar z granitu, który nie występował lokalnie. Trzeba go było przetransportować przynajmniej na odległość 4 kilometrów do miejsca, gdzie został ustawiony. Już samo to stanowiło nie lada wyczyn. Grand Menhir leży teraz pęknięty na cztery części, jakby ktoś go celowo powalił w okresie megalitycznym. Inne zabytki z tego okresu również zostały rozebrane, a w niektórych przypadkach kamieni ponownie użyto przy wznoszeniu nowych architektonicznych budowli. Niektórzy twierdzą, że kolumna upadła podczas wznoszenia, co jest również możliwe. Inni twierdzą, że powaliło ją trzęsienie ziemi. Jednak fakt, że fragmenty monументu ustawione są w różnych kierunkach, wskazuje na celowe działanie. Grand Menhir pierwotnie stał na końcu długiego kurhanu i był częścią założenia grobowego, sam grobowiec został zniszczony. Por. R. Castleden: *Wydarzenia, które zmieniły losy świata*. Tłum. B. Solecki. Bellona, Warszawa 2008, s. 32. Dodajmy, iż Locmariaquer zlokalizowane jest w Bretanii, nad Oceanem Atlantyckim, leży około 110 km na północny zachód od miasta Nantes.

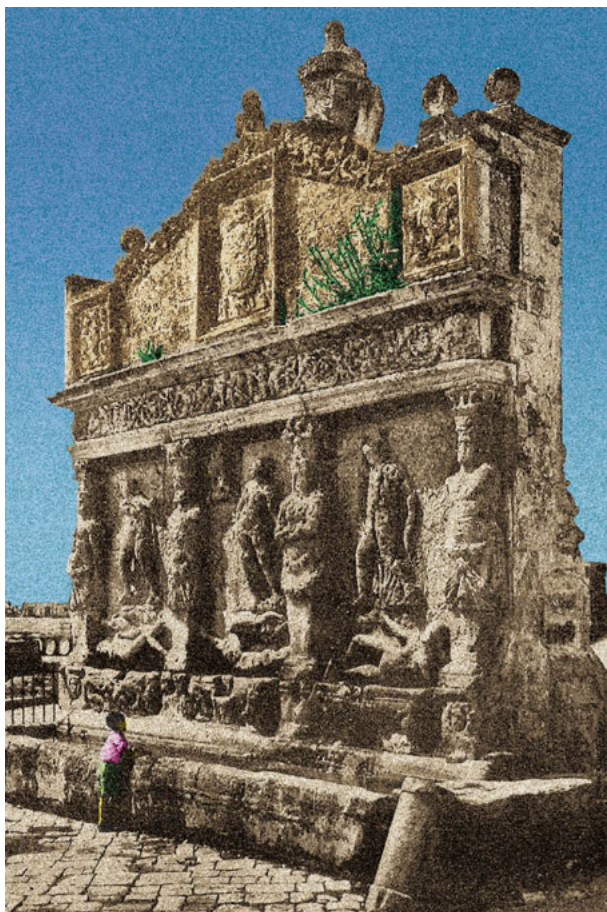
Nie zna targowania się. To człowiek dał mu życie swoją nadludzką siłą, bez pomocy maszyny. Oto pierwszy kamień religii i ludzkiej filozofii. Tablica pierwszej medytacji filozoficznej. Stąd zaczyna się droga do obelisku, który podziwiałeś w Carnac i w Rzymie, stąd biegnie ślad do Igły Kleopatry, kolumn, świątyń, bazylik, katedr. Oto pierwszy ołtarz i pierwsza świątynia.

Tutaj u jego stóp człowiek obliczył nie to, jak można by podzielić z większym zyskiem zabita zdobycz, nie to, jak można by zjeść więcej lub pewniej spać, ale jaki był świat, który go otaczał. Ów świat stawiał mu tyle pytań, że głowa niemal pękała. A on, ten prymitywny człowiek neolitu, miał ambicję, by na nie odpowiedzieć. I dziś widzimy, że nie znając ani biologii, ani chemii, ani astronomii czy fizyki, matematyki czy filozofii, odpowiedział w sposób bynajmniej nie głupi – a jego prosta odpowiedź jest nam dziś bliższa niż wywody niejednego naukowca. On, czciciel kultu solarnego, znajdował się bliżej współczesnej fizyki niż na przykład uczniowie Laozi.

Jedź do Modugno, małego miasteczka: nie masz pojęcia, co Ci ofiaruje. Nie możesz sobie wyobrazić, że właśnie tam, na zwykłej drodze, po której pędzą samochody, spotkasz Boga, który poruszy w Tobie całe atawistyczne pokłady ciekawości człowieka pierwotnego i potrzebę jej zaspokojenia. Jeśli koniecznie musisz, możesz nadać mu profil Fidiaszowego Zeusa albo oblicze stworzone przez Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej. On nie zna bowiem zazdrości wobec swoich towarzyszy – nie jest jak Jahwe, który z zawiścią zakazał oddawania wszelkiej czci innemu bogu: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”. Lecz jeśli pozostało w Tobie coś z pierwotności, co nie domaga się szlachetnych fryzur ani majestatycznych bród, groźnego czoła czy słodkiego uśmiechu, pozdrów ten szary i prosty kamień, tę ludzką tęsknotę za boskością, tę pierwszą tablicę, na której człowiek zapisał swoją odpowiedź na pytania, jakie stawiał mu ogromny świat, który go otaczał.

A potem pozdrów zachodzące słońce – to Słońce, które w ten sposób usymbolizował.

•
•
•



Trzy antyczne bohaterki przeszły mitologiczną metamorfozę

•
•
•
•
•
•



...podziwiamy fronton w surowym stylu romańskim...

•
•
•
•
•
•

MISTYCZNY TRÓJKĄT MODUGNO

Dla Vita Mangialardiego¹⁰

Rzuć długie lasso poprzez wieki i uchwyc, w okolicach Modugno, XI stulecie. Ujrzymy tam siedzibę innego Boga. Ten pierwszy, neolityczny menhir, wznosił się pośród pól, między ziemią a niebem, jakby chciał spajać ze sobą żywioły. Lecz wraz z upływem wieków, wraz z rozwojem myśli, kultury materialnej i techniki, rozwinęło się także odczuwanie boskości. I oto – już nie wystarcza przestrzeń i sklepienie niebios. Człowiek zapragnął domu dla swego Boga. I buduje ten dom w sposób najpiękniejszy i najtrwalszy, jaki zna.

Oto jedna z takich pięknych siedzib boskości: San Pietro w Balsignano. Choć kadzidło dawno się wypaliło, choć obrzędy religijne odprawia tu jedynie wiatr – kapłan bez złotych paramentów, a obłoki na niebie są jedynymi pomocnikami podczas jego mszy – i choć dziś klękają tu tylko wieczni wierni: zielone rośliny i kamienie, choć jedynym aromatem, który tu nieprzerwanie płonie, jest szeroki oddech dzikiej mięty, jeszcze i dzisiaj ta siedziba boskości napędza nas podziwem.

W lipcowym skwarze idziemy pieszo do Balsignano i już z daleka, na błękitnym tle nieba, widzimy kopułę San Pietro, która zapowiada niepospolite widowisko architektoniczne. Nie myśl, że to olbrzymi dom Boga. To raczej tajemnicza miniatura, a jej twórca, daleki od marzeń o potęgze, zdał przede wszystkim doskonale egzamin z harmonii i idealnych proporcji. Łuk romański, skupiony w swej prostocie i ciszy, szlachetnie harmonijny, raduje nasze oczy.

San Pietro należy do najstarszych kościołów romańskich w Apulii i może być uważany za typowy załazek, z którego wyrosła forma wspaniałych katedr. W Balsignano poczujesz to samo, co zwykle czujesz, patrząc na dzieło, w którym człowiekowi w pełni udało się urzeczywistnić swój zamiar architektoniczny; czy to minaret muzułmański, czy świątynia klasyczna, czy kopuła bizantyjska – odczujesz podziw dla projektu, który człowiek potrafił zrealizować bez błędu. Rozpoznasz zwyczajstwo nad oporem materii i jej wykorzystanie do wyrazu duchowego uczucia.

10 Autor introdukcji do cyfrowej, włoskiej edycji książki Kazimierza Alberti przypomina o zażytej przyjaźni łączącej – pochodzącego z Modugno Vita Mangialardiego – z rodziną Alfa Cocoli. Wedle badacza Mangialardi był przewodnikiem małżeńskiej pary podczas ich wizyty w Modugno. Por. F. Giuliani: *Dall'inverno di guerra polacco al sole del Sud*. In: K. Alberti: *Segreti di Puglia* (1951). Con un saggio introduttivo di F. Giuliani. Edizioni digitali del CISVA, s. 24. Odsyłamy tylko do treści wstępu – w związku z pracami technicznymi w repozytorium CISVA, link do całości edycji wygaś. Por. https://www.academia.edu/38863900/Introduzione_a_Kazimiera_Alberti_Segreti_di_Puglia_1951_ [dostęp: 13.12.2025].

Jeśli w danym pomniku nie zauwaŹa się zmagania człowieka z materią, natomiast od pierwszej chwili czuć w nim zwycięstwo ludzkiego ducha, wtedy można stwierdzić, że człowiek w pełni osiągnął cel swego dzieła. Do tej kategorii należy San Pietro w Balsignano. Tu człowiek wznosił swemu Bogu siedzibę równie małą i harmonijną, jaką wieki wcześniej inni ludzie budowali w Koryncie, Akragas czy Metaponto. I chociaż, oficjalnie, bóstwo już dawno opuściło ten dom i nie ujrzyś tu więcej kapłana unoszącego kielich ani ministranta dzwoniącego dzwonkiem, zawsze odczujesz w nim tchnienie boskości jak wszędzie tam, gdzie człowiek potrafił wzniesić się ponad materię, ponad ciało i kości, i zdołał przemówić językiem ducha – jedynym językiem wiecznym i międzynarodowym, poprzez który mogą rozmawiać ludy i epoki. Bo jeśli muzułmanin, wychowany w cieniu minaretu, Chińczyk, dla którego ideałem formy jest pagoda, czy Amerykanin, twórca drapacza chmur – każdy, patrząc na San Pietro w Balsignano, zgodzi się, że Apulijczyk potrafił stworzyć formę architektoniczną bez skazy, w której zawarł swój wysiłek: duchowy sen o boskości.

Rzuć znów swoje lasso – przez drogę ocienioną dębami i migdałowcami, poza olbrzymią morwę rosnącą obok San Pietro, która orzeźwi Cię krwawiącym sokiem swych owoców – aż na drugi kraniec terytorium Modugno.

Tu odnajdziesz grotę, w której żył św. Konrad¹¹. I znowu ujrzymy inny aspekt filozoficzny. Na pierwszym wierzchołku Modugno sen o boskości potrzebował szerokiej przestrzeni: Bóg rozdzielał cztery żywioły. W Balsignano człowiek zamknął swego Boga w małym domku, gdzie kopuła symbolizowała niebo. A teraz, w drugim zakątku Modugno, człowiek szukał wzniosłej komunii z boskością w grotach; a ponieważ i wiatr, i zieleń, i niebo rozpraszały go w ascetycznej medytacji, szukał idealnej kontemplacji Boga w świątyni, którą wznosił w samym sobie, w tym skalnym klasztorze. Vito Mangialardi, miłośnik literatury pięknej i namiętny wielbiciel swojej ojczyzny, który dziś w swej uprzejmości jest naszym przewodnikiem, opowiada nam starą legendę o św. Konradzie Bawarczyku, szlachetnym wędrowcu, być może cesarskiego rodu, który tu spędził długie lata życia w ascezie. I tak widzimy, że Modugno jest... mistycznym, nieregularnym trójkątem, na którego wierzchołkach wznoszą się trzy wyrazy boskości: Menhir, San Pietro w Balsignano i grotę św. Konrada.

A teraz baw się dalej swoim lassem. Rzuć je w... XVI stulecie, prosto w serce miasteczka. Tu człowiek potrzebował już zbliżyć się do swego Boga poprzez wysoką dzwonnice. Zobaczysz z daleka wieżę kościoła Annunziata w Modugno, jak w swej wysokiej i doskonale proporcjonalnej piramidzie wznosi się potężnie nad

11 O św. Konradzie z Bawarii traktuje przypis 2 niniejszej książki w rozdziale *Apulijski kocioł*.

miastem. Zaczyna kwitnąć pąkami monoforiów, by rozwinąć się u góry w bogate kwiaty biforiów i quadriforiów¹². Menhir mierzył trzy metry i siedemdziesiąt centymetrów; dzwonnica, na szczycie piramidy koronowanej głową w kształcie mitry biskupiej, sięga już sześćdziesięciu pięciu metrów.

Wejdzmy na wieżę. Ze szczytu rozciąga się widok na „apulijski ogród”. Nie-dalekie miasteczka Bitetto i Palo del Colle rysują się w letniej mgłę jak spowite złotymi welonami. Jesteśmy w samym sercu duchowego trójkąta Modugno.

W dole – miasteczko i codzienne życie. *Pasta al sugo*, *Granita di caffè con panna*, targ rybny i warzywny, domy pełne uśmiechów i trosk, kłótni i pieśni. Człowiek mówi dwoma językami: językiem ciała i językiem duszy.

W tym drugim języku człowiek z Modugno wyznaczył trzy zakresy porozumienia z boskością, a w centrum umieścił wysoką antenę: dzwonnice. Dzięki temu strzelistemu, symbolicznemu językowi może porozumieć się z każdym cudzoziemcem, który błąka się ścieżkami Modugno.

Każdy może tu odnaleźć swojego prawdziwego Boga. A teraz ciśnie mi się na usta pytanie, nieco bezradne: „Czy Bóg odnajdzie tu wielu ludzi stworzonych na swoje podobieństwo?”. Nie tylko w trójkącie Modugno, lecz w najrozmaitszych formach geometrycznych na całym ziemskim globie. Czy też liczba dwóch miliardów mieszkańców tej smutnej planety, zwanej Ziemią, zmniejszy się wówczas do minimum?

ORZEŁ Z JEDNYM SKRZYDŁEM

Wchodzisz do ogromnej pinakoteki, jaką są Włochy, i naturalnie kierujesz wzrok ku monumentalnym obrazom: majestatycznemu „Caput Mundi”, Wiecznemu Miastu – Rzymowi; pogańskiemu Neapolowi pulsującemu lawą; Królowej Morza – Wenecji, *La Serenissima*, i jej rywalce na wodach – Genui; czarującej Florencji i dynamicznemu Mediolanowi; eleganckiemu Turynowi i Bolonii „uczonej i sytej”; anielskiemu Asyżowi i bizantyjskiej Rawennie. Przede wszystkim sycisz oczy tymi obrazami.

Pamiętaj jednak, że to jeszcze nie całe Włochy. Na ścianach znajdziesz bowiem setki miniatur i małych, intymnych medalionów. W tych ramach kryje się

12 Kwiatowa metafora skrywa trzy typy rozwiązań architektonicznych. I tak: monoforia to okna pojedyncze. Biforium to arkadowe okno lub przeźrocze podzielone najczęściej kolumną lub słupkiem na dwie części. Quadriforium z kolei to okno podzielone na cztery części. Obok triforiów były to rozwiązania typowe dla budownictwa romańskiego i gotyckiego. Por. W. Szolginia: *Architektura*. Sigma NOT, Warszawa 1992, s. 25.

pierwotny urok nieznanymi miasteczek, oddalonych od uczęszczanych i wyeks-ploatowanych szlaków turystycznych: Soletto, Nardò, Martina Franca, Ostuni, Oria, Grottaglie. Cała kolekcja miniatur, które składają się na piękno i wielkość włoskiej pinakoteki.

Dziś w tej pinakotece, w wielkiej sali nazwanej „Apulia”, wpadła mi w oczy mała i cenna miniatura: Bitonto. Miniatura ma oryginalny kształt trapezu, a w jej centrum znajduje się... orzeł. Historia tego kamiennego orła sięga dawnych czasów – aż XII wieku. Na miejscu dawnego kościołka Benedyktynów, w ciągu zaledwie 25 lat – czyli w niezwykle krótkim czasie, jeśli wziąć pod uwagę narzędzia, jakimi dysponowano w tamtej epoce – powstało arcydzieło architektoniczne, które dziś zalicza się do słynnego pięciokąta stylu romańskiego Apulii, do którego wliczam św. Mikołaja i katedrę w Bari oraz katedry w Troi, Trani i Bitonto. Wyobrażam sobie ten apulijski styl romański w formie gwiazdy świecącej pięcioma promieniami. O Trani już mówiłam jako o heroinie „wspaniałego odizolowania”, a dziś katedra w Bitonto sprawia na mnie wrażenie „orła z jednym skrzydłem”. Jego lewe skrzydło zostało odcięte przez wroga.

Wróg ten przybył z Hiszpanii i natychmiast ukazał swą dwoistą naturę. Zaczął budować z ogromnym przepychem, wspaniale i bogato; lecz jednocześnie, w swej pysze, popełnił wiele zbrodni. Poprawiał, przerabiał wszystko, co wydawało mu się zbyt proste i pierwotne, za mało bogate i pozbawione ornamentu. Temu barokowi, którego nazwa pochodzi od hiszpańskiego *parrocho* – czyli ‘perła’ – za jego imponujący styl wybaczyliśmy wiele grzechów¹³. Ale w Bitonto budzi się w nas żal, gdy widzimy, jak zamurował skrzydło tego chwalebnego romańskiego orła...

Wyobrażam sobie ten pomnik w całej jego okazałości, przed rokiem 1770. I choć przewodnik próbuje nas przekonać, „że jednak w niczym nie naruszono jego jedności architektonicznej”, z uporem obchodzimy budynek, szukając tego drugiego skrzydła. Jednak nie istnieje. Dlatego dziś możemy podziwiać ten zabytek jedynie od fasady i od jednej bocznej strony.

Cała precyzja stylu romańskiego Apulii objawia się nie tylko w strukturach, lecz także w niezwyklej ornamentyce.

Jeśli mamy prawo porównywać zabytki do wspaniałych zwierząt i ptaków, to możemy porównać katedrę w Bitonto – za jej siłę, rozmach i moc wrażeń, jakie wywołuje w widzu – do orła. Żadna europejska stolica nie zawahałaby się zamknąć w swoich emblematkach tego kamiennego orła. Katedra w Bitonto,

13 Perła w języku hiszpańskim to *perla*. Skąd się bierze ta dziwna koncepcja (ignorująca portugalską etymologię słowa) – trudno orzec! *Parrocho* (*párroco*) to – ‘proboszcz’.

postawiona w Paryżu, Pradze czy Wiedniu, w niczym nie ustępowałaby gotyckiej Saint-Germain-en-Laye, słynnej romańskiej Svati Jiří (Bazylice św. Jerzego) czy barokowej Heiligen Karl, ponieważ reprezentuje styl tak intelektualny, świeży i interesujący, że mogłaby z nimi wszystkimi rywalizować¹⁴.

Fronton, podzielony na trzy części, posiada trzy portale, pilnowane przez honorowe strażę gryfów, pelikana i lwów, które przez wieki nie spały ani godziny i jako doskonali strażnicy nigdy nie zmienili ani miejsca, ani pozycji.

Na arkadzie, pośród liści akantu (ulubieńców całego stylu), ozywają sceny biblijne, kontemplacyjne i prorocze, aż po przejmujące „Zstąpienie do otchłani”. Róża w górze, tuż pod tajemnicą łuku, niczym kwiat w pełnym rozkwicie, opiera się na dwóch smukłych, dziecięcych łodyżkach kolumnienek – tak delikatnych, że bez wątpienia podtrzymują i chronią ją przed złem wyłącznie siłą swojego piękna, a nie fizyczną mocą. Architekt, tym kwiatem wspartym na dwóch łodyżkach, niewątpliwie zapisał wzruszający wiersz w tomie poezji „romańska Apulia”.

Na frontonie rządzą dwie mistrzowskie siły: geometria i poezja. Jedna i druga spełniają swoje zadanie, nie przeszkadzając sobie nawzajem. Geometria króluje ze swą logiką struktury; poezja – z bogactwem ornamentu.

Ściana po prawej stronie rozwija swoje trzy długie, poziome pasy. Dolny i środkowy leżą bezpośrednio jeden nad drugim, a trzeci, najwyższy, cofnięty w głąb, zaskakującym i energicznym skokiem unosi katedrę ku górze. Dolny pas, siłą sześciu arkad, dźwiga loggię pełną niezrównanej lekkości i poezji.

Zatrzymaj się na dłużej pośród gwaru miasteczka, które otacza cię ciekawie, dla którego ten zabytek jest rzeczą zwyczajną i obojętną. Przyjrzyj się i porównaj; po czym – nie masz wrażenia, że architekt i rzeźbiarze, tworząc te sześć heksaforiów z trzydziestoma kolumnienkami, ogłosili tu konkurs piękności? Każda kolumnienka jawi ci się jako utalentowana aktorka, każda z inną twarzą, z odmiennym trapezoidalnym kapitelem. Równe we wzroście i linii, ustawione w jednym szeregu, prezentują jury swoje niezrównane piękno. Żadna się nie niepokoi, bo nie obawia się konkurencji ani najbliższej, ani najdalszej sąsiadki.

14 O ile dwa ostatnie wymienione przez Alberti kościoły nie budzą wątpliwości (chodzi oczywiście o praską romańską bazylikę, ulokowaną na Hradczanach oraz wiedeńską świątynię pod wezwaniem św. Karola Boromeusza – jedną z najsłynniejszych barokowych budowli Europy, ufundowaną przez Karola VI w 1713 roku), o tyle pierwszy – już tak! Wymieniona przez Alberti nazwa skrywa imię miasta znanego ze wspaniałego zamku (Château de Saint-Germain-en-Laye), dawnej rezydencji królewskiej, która obecnie przechowuje zasoby Muzeum Archeologii Narodowej. Pisarce chodzi zapewne o położoną niedaleko (w linii prostej to raptem 20 kilometrów) imponującą bazylikę w Saint Denis – pierwszą budowlę wzniesioną w stylu gotyckim, miejsce pochówku królów Francji.

To raczej jury jest zakłopotane, komu przyznać palmę pierwszeństwa. Tak więc konkurs piękności pozostaje nierozstrzygnięty.

Najwyższy pas, z czterema monoforiami, ozdobiony na brzegu dekoracyjnym fryzem, cofnął się w głąb, aby nie przeszkadzać i pozostawić miejsce honorowe pięknu loggii. Zwieńczenie, złożone z dwóch arkad na dole, czterech wdzięcznych biforiów ułożonych w dwóch rzędach i z rozety u góry (z tego samego ogrodu, z którego zebrano rozety katedry i Bazyliki św. Mikołaja w Bari), zamyka prawe skrzydło kamiennego orła.

Wchodzisz do wnętrza. Natychmiast ogarnia cię wrażenie spokoju i odpoczynku, to samo, które pozwoliła ci już odczuć heroina „wspaniałego odizolowania” w Trani. Oto chorał w kamieniu, na którego wielkość doskonale składają się wszystkie elementy częściowe: struktura trzech naw, kolumny z fantastycznie rzeźbionymi kapitelami, sześć potężnych triforiów i górujące nad nimi monoforia, ambona i kazalnica.

Chorał katedry w Bitonto napędza nas szacunkiem dla artystycznej myśli człowieka i dla idei, którą potrafił zrealizować z taką siłą i sugestią. Ogarnia cię wzruszenie. Widzisz postać człowieka poprzez wieki, od kiedy wyszedł z jaskiń i z trudem wspinał się krok po kroku ku górze po stromym szlaku; widzisz jego dziwną, podwójną naturę, ulepioną z pospolitego błota i z piór orła. Czytasz historię i widzisz, z jaką obojętnością zabijał, palił, niszczył i jak nigdy nie powstydził się tego błota, z którego był w połowie ulepiony. Ale potem czytasz o historii jego sztuki, jego myśli, jego smutków. Odczytujesz zabytki jako zwycięskie znaki, które w różnych stylach, przez wieki, Tobie pozostawił. I widząc tyle siły, tyle twórczego cierpienia, tyle pasji i ambicji, by wznieść się w górę, tyle cierpliwości w realizacji tego wszystkiego, o czym marzył – stajesz się słaby i niemal przebaczasz mu tę drugą połowę jego natury.

Podziwiasz skrzydła.

Zawsze ogarniało mnie to wzruszenie, kiedy na drodze moich wędrówek, którym poświęciłam życie, spotykałam zabytki wysławiające chwałę ludzkości.

Tutaj, w małym Bitonto, w katedrze – jednym z tych świetlnych znaków w lesie ludzkich zbrodni – tutaj, wewnątrz tego kamiennego orła z jednym skrzydłem, zadaję sobie najprostsze pytanie: „Czy dualizm wpisany w ludzką naturę będzie towarzyszył człowiekowi aż do końca jego ziemskiego bytowania? Czy kiedykolwiek zwycięży jedna z tych połówek? A jeśli zwycięży, to która? Błoto? Skrzydła orła? Czy choćby nawet jedno skrzydło?”.

GWIAZDKA Z DROGI MLECZNEJ

Gdy popatrzymy na urbanistyczny włoski nieboskłon, zobaczymy wiele konstelacji słynnych i niesamowitych miast. Lecz niebo bez Drogi Mlecznej, nawet gdy iskrzą się na nim najjaśniejsze konstelacje, traci połowę swojego czaru. Ta zaś, ukształtowana z małych i maleńkich włoskich miasteczek, jest tak gęsta i szeroka, że dodaje całemu niebu niezrównanego blasku.

Dziś odnalazłam na tej Drodze Mlecznej gwiazdkę, bardzo starą w astronomii włoskiej, która niegdyś zwała się Rubi, a dziś Ruvo. Ta mała planeta już dawno została wyeksploatowana, lecz miała jedno szczęście: jeden z jej mieszkańców – szlachetny maniak – zachował dla potomnych szczątki jej wspaniałego bogactwa.

Mieszkańcy tej planety, położonej w Peucetii, w miejscu dawnej Via Traiana, byli sławnymi ceramikami i wytwarzali artystyczne naczynia, dziś poszukiwane przez muzea i kolekcjonerów z całego świata. Ta sztuka kwitła tu przez wieki i z pewnością zapewniała mieszkańcom godziwe utrzymanie. Potem stara Ruvo została zniszczona przez Gotów, a naczynia spoczęły spokojnie w łonie ziemi. Wreszcie, po wielu stuleciach, nekropolia oddała światłu te niezwykle szczątki.

Dwaj zapaleni kolekcjonerzy – dwaj Jatta, senior i junior, a zwłaszcza ten drugi, uczony specjalista i słynny archeolog – ukazali światu ostatnie relikwie tej martwej planety. Dziś możemy je oglądać w muzeum mieszczącym się w pałacu ich spadkobierców w Ruvo di Puglia.

Któż z nas nie lubi przeglądać starych ilustrowanych tygodników? Starych gazet o pożółkłych kartach. Nie czytamy już nawet pomieszczonych tam tekstów, bo styl, gramatyka, krój pisma – wszystko się zmieniło; lecz ilustracje pozostały, jako zawsze fascynujące dokumenty. Odczytujemy w nich modę, obyczaje, styl życia innych epok.

Starożytność, która nie знаła druku, zostawiła nam swoje ilustrowane czasopisma w postaci waz i fresków. Z nich możemy odczytać jej religie, jej święta, uprawę pól, zwyczaje oraz całe sceny z jej przedstawień teatralnych.

I oto, wchodząc do „Muzeum Jatta”, mam wrażenie, że przechadzam się po jakiejś sali biblioteki, gdzie setki ilustrowanych periodyków chcą mi wyznać – w ciszy tego listopadowego popołudnia i w romantycznym świetle chylącego się ku zachodowi dnia – swoje sekrety sprzed dwudziestu czterech wieków. Te stare tygodniki to wazy.

Jakaż różnorodność form! Od maleńkich ilustracji o średnicy 5 centymetrów aż po ogromne *in folio* o wysokości metra. Zaczynam kartkować te wiekowe ilustracje i uczę się więcej niż z tuzina książek uczonych profesorów. Widzę

eleganckie antyczne kobiety; cały przegląd mody sprzed dwóch tysięcy czterystu lat: ich szaty pełne harmonijnych fałd, artystyczne fryzury bogate we wstążki; klejnoty; nowoczesne sandały. Obserwuję typy, gesty, wyrazy twarzy. Defilują pewne swojej gracji i uroku Diany i Antygony, Niobidy i Amazonki, Nereidy i Muzy. Widzę środki lokomocji – rzeczywiste i wyobrażone: bigi¹⁵ i kwadrygi, konie o wyglądzie drapieżnych orłów, hipogryfy i centaury. Oto przegląd scen legendarnych i religijnych, teatralnych i obyczajowych. Ukazują filozofię życia i śmierci, sztuki i miłości. Widzę najlepszych aktorów i bohaterów, gigantów i satyrów, bogów o ludzkich ciałach i ludzi o boskich rysach: Achillesa i ojca Antygony, Kreona, Heraklesa i Dionizosa. Obserwuję ilustracje, które niewątpliwie przedstawiają sceny z zagubionych dramatów Eurypidesa.

Oto dzieła jednoaktowe – tragiczne, jak *Śmierć Niobidów*; frywolne, jak *Dionizos otoczony przez Sylenów*; wojownicze, jak *Wojna Heraklesa i Cyknosa*; artystyczne, jak *Pojedynek Apolla z Marsjaszem*; sportowe, jak *Wyścig kwadryg*. Bachantki i Syleni, instrumenty muzyczne, ozdoby, kwiaty, broń, naczynia, ptaki...

Wreszcie pojawia się numer tego czasopisma, który jest prawdziwym arcydziełem stworzonym na tej martwej planecie: *Śmierć Talosa*. Uczeni dostrzegają tu wpływ słynnego Polignota, który swoimi malowidłami dekoracyjnymi ozdobił Świątynię Dioskurów w Atenach. Podziwiam tragiczną scenę pełną akcji. Jeden z Dioskurów, zsiadłszy z konia, dusi brązowego demona, który – jako wierny strażnik – trzy razy dziennie okrążał Kretę. Postać demona, wspaniała w realizmie swojej muskulatury, z oczami zdającymi się protestować przeciw niesprawiedliwości, jaką odpłacono się mu za jego pracę, z rękami już dotkniętymi śmiercią, może symbolizować bunt każdego człowieka przeciw niesprawiedliwości.

Fragmenty życia, które niegdyś wzruszało mieszkańców basenu Morza Śródziemnego, zamknięte w tym ilustrowanym czasopiśmie, przesuwają się w obrazach pełnych znaczących gestów, wśród dynamicznych ruchów, na otwartej scenie, którą tworzą wazy. Zbudowali tę scenę różni twórcy ceramiki, w najoryginalniejszych formach. Po epoce starożytnej ludzkości nie udało się stworzyć ani jednej nowej formy w tym gatunku. Potrafiła jedynie naśladować, kopiować, syntetyzować.

Ziemia przechowała nam te ilustracje, które nie pożółkły jak te sprzed stu lat. Nie zwiędły – i czy są to czarne figury na czerwonym tle z pierwszego okresu

15 W ujęciu słownikowym: *biga* – „(łac. dosł. zaprzęg dwukonny) wóz o dwóch kołach bez kozła”. Por. *Słownik wyrazów obcych*. Red. J. Tokarski. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1971, s. 79.

„surowego”, czy czerwone i żółte na czarnym tle późniejszych epok „pięknej” i „kwitnącej” – kolory pozostały niewypłowiałe, świeże, żywe, jakby wyszły z warsztatu zaledwie miesiąc temu.

Jest już gęsty listopadowy zmierzch, gdy wychodzę z muzeum. Czy naprawdę chodziło tylko o wazy? A może raczej o świadectwa życia i sztuki, filozofii i religii sprzed dwudziestu czterech stuleci, które przesunęło przede mną wizerunki zawarte w najautentyczniejszych formach, gestach i pozach? Czy naprawdę spędziłam te krótkie chwile w XX wieku, w roku 1948?

Gdy dozorca zamyka za mną drzwi ogromnym, przedpotopowym kluczem, myślę ze wzruszeniem, że ludzkość, choć nie znała druku, zdołała przekazać nam swoje ilustracje w sposób nie tylko wyrafinowany i szlachetny, lecz także tak trwały, że nie naruszyły ich nawet długie wieki.

Pożółkną ilustracje epoki napoleońskiej, zwiędłą tygodniki czasów dwóch wojen światowych, ale ilustracje na wazach z Ruvo będą jeszcze długo zachwycać pokolenia, świadcząc o kulturze i sztuce – o tych dwóch wzniosłych obszarach, w których człowiek starożytności, bez pomocy techniki i maszyn, dzięki wyobraźni i pracy, potrafił osiągnąć tak wiele.

Również w kolekcji waz muzeum w Neapolu, gdzie miejsce najbardziej zaszczytne zajmuje Apulia, znajdują się liczne egzemplarze tych starych ilustracji, prawdziwie wyjątkowe jak ogromny krater, w którym możemy wciąż oglądać scenę „amazonomachii”, być może tak, jak wyobraził ją Polignot z Tazos w V wieku p.n.e. w swoim słynnym malowidle¹⁶.

16 Z ustaleń specjalisty wynika, iż kunszt „pierwszego malarza greckiego w Atenach w pierwszej połowie wieku V, Polignota z Tazos, wydobywał się poza ramy epoki i nie ograniczał się jedynie do przedstawiania scen mitologicznych, lecz wkraczał swą tematyką w życie współczesne”. Dowodem na te poczynania artysty, który „wraz z uczniami swymi, Mikonem i Panajnosem, siostrzeńcem Fidasza, ozdabiając wystawioną przez Kimona Stoę Poikile, nie zawahał się obok scen przedstawiających legendarne walki Ateńczyków z Amazonkami dać obraz bitwy pod Maratonem. Obrazy Polignota oraz Mikona, Panajnosa czy również współczesnego im malarza Onasjasza malowane były albo techniką al fresco, albo na tablicach drewnianych powleczonych białą gipsową zaprawą. Wielkie powierzchnie ścian pozwalały na rozplanowanie znacznej liczby postaci, które w obrazach swych Polignot i Onasjasz zaczęli rozmieszczać jedne nad drugimi, oddzielając je od siebie liniami falistymi, by zaznaczyć w ten sposób, że znajdują się na różnych poziomach. Tak musiało być na obrazie Polignota przedstawiającym zdobycie Troi, tak w Onasjasza *Wyprawie siedmiu przeciw Tebom*. Siła Polignota leżała w rysunku i we wzruszającej widza fizjonomice postaci. Używał on jedynie czterech barw: białej, czarnej, czerwonej i żółtej”. Cyt. za: K. Kumaniecki: *Historia kultury starożytnej Grecji i Rzymu*. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1964, s. 199. „Słynne malowidło”, na które powołuje się Alberti, to zapewne przygotowane we współpracy z Mikonem przedstawienie amazonomachii, zdobiące ściany Tezejonu – ateńskiej świątyni (jak przez wieki sądzono) propagującej kult Tezeusza.

Jeszcze jeden zabytek mówi o kulturze, która niegdyś otaczała gwiazdeczkę Ruvo: katedra, uważana za jedną z najwspanialszych w Apulii. Naturalnie każdy, kto spodziewa się tu spotkać „wielką katedrę”, dozna rozczarowania. Jest to bowiem katedra niemal najmniejsza ze wszystkich, jakie widziałam na apulijskiej ziemi. Usytuowana poniżej poziomu ulicy, tak że trzeba zejść po kilku stopniach, sprawia wrażenie jeszcze mniejszej. A mnie się zdaje, że renowacja, w efekcie której poszerzono fasadę, jeszcze bardziej uwypukliła to wrażenie.

Ale na szczęście nie mierzymy piękna w metrach wysokości ani w tonach kamieni użytych do budowy. Katedra, choć dziś bardzo zaniedbana, urzeka nas swoją architekturą i każdym szczegółem swego piękna, błagając wręcz o lepsze warunki życia. Naprawdę mogłaby pozazdrościć okoliczności, w jakich trwają inne katedry – w Bari, Trani, Bitonto...

I oto stajemy się świadkami niebywałego zjawiska: weszliśmy do małego kościoła, a na naszych oczach powiększa się on i wznosi ku górze. Oto sekret harmonii i proporcji, którego w moim życiu już nieraz doświadczyłam. Tę samą niespodziankę sprawił mi Tezejon w Atenach, świątynia w Karnaku w Egipcie i Świątynia Concordii w Agrigento. Katedrę w Ruvo można określić jako „małą, lecz wielką”.

Piękno detali jest zdumiewające. Smukłość i rozmach budowli dają nam już przedsmak świtu gotyku, choć forma wciąż pozostaje typowa dla prawdziwego romańskiego stylu Apulii. Dwaj kamienni strażnicy w postaci gryfów pilnują wrót. Wieki temu podjęli zobowiązanie, by bronić go dziobem i szponami – i dotrzymali swej obietnicy. Rozeta w górze zakwitła całą swoją siłą i już bardziej rozwinąć się nie mogła. Wsporniki ozdobione są maskami o starożytnym charakterze, skopiowanymi z waz.

Tak więc po wiekach jeszcze raz sięgnięto do antycznych ilustracji, które uprzejmie posłużyły jako wzór. Widzimy w ten sposób, jak po stuleciach sztuka oddaje swe oszczędzone złoto. Jeśli sztuka i kultura również dysponują bankami, to „Bank Antyku” z pewnością zapisze się w historii jako jeden z najsłynniejszych i najbogatszych.

A kto przyjdzie po wiekach do naszego banku i jaką weźmie w nim pożyczkę? Plany obozów koncentracyjnych i projekty krematoriów do masowej zagłady ludzi? Cóż znajdą przyszli badacze Jatta w ziemi epoki elektryczności? Maski przeciwigazowe czy zapalniczek, w wojskowych ossuariach?

I nagle ogarnia nas ciemność. W całym Ruvo jest awaria prądu. Widzę już tylko cienie, nie ludzi. Cała bezimienna masa przesuwa się w listopadowych ciemnościach.

Lecz unoszę wzrok ku górze, a wystawa kosmicznego jubilerza lśni tak, jakby nie był to listopad, lecz sierpień. Te światła zaczynają rozjaśniać ciemność

i moje myśli. Może jednak, mimo wszystko, coś po nas pozostanie. Może przynajmniej jakiś fragment teleskopu na Mount Wilson – jako świadectwo, że i my radziliśmy się gwiazd, że i my pragnęliśmy być im bliżsi.

I może naprawdę pozostanie po nas jakaś... gwiazdka Drogi Mlecznej.

„WIELKIE DNI” ANDRII

Epoka nowożytna ma na sumieniu – pośród wielu swoich grzechów – jeden całkiem poważny: stworzyła nudę małych miasteczek. Wszystkie wydarzenia wielkiego formatu skupiają się w stolicy: sesje parlamentarne i kongresy, festiwale muzyczne i olimpiady, pokazy mody i wystawy, premiery teatralne, zawody sportowe, wizyty sławnych ludzi. To wszystko gromadzi w swoich zazdrośnych rękach uzurpatorka – stolica. Wielkie ambasady i wielkie skandale, wielkie widowiska i wielkie plotki. Stolica jest ogromną głową, karmiącą sama siebie, na wysuszonym ciele kraju, do którego krańców krew kultury dociera w minimalnych porcjach.

Dawniej sprawy miały się zupełnie inaczej. Małe ośrodki wcale nie były nudne. To w miasteczkach pisała się historia – kulturalna, artystyczna, polityczna. W małych miastach wzrastały ogromne katedry i zamki, klasztory i pałace, uniwersytety i szkoły. W małych miastach odbywały się wielkie śluby i pogrzeby, zgromadzenia polityczne, zawierano traktaty pokojowe. Miasteczka gościły słynne poselstwa zagraniczne i orszaki heroldów, które w tamtych czasach łączyły w sobie cechy dzisiejszych pokazów mody i wystaw jubilerskich.

Dziś małe miasto oferuje jedną jedyną atrakcję – i to często z ułomnym programem: kino. Dziś artystów ogląda się tylko na ekranie. Ale dawniej oglądano ich we własnej osobie. Pod arkadami uliczek przechodzili genialni rzeźbiarze i malarze, poeci, architekci, trubadurzy.

Gdyby mury małych miasteczek mogły mówić! Ileż to gorących sporów o piękno wysłuchały, ileż bezsennych nocy spędzonych na marzeniach, planach, rachubach, ciężkiej pracy artystów! W cieniu małych balkonów i loggii pełnych tajemnic rozgrywały się romanse i miłości, pozostawiając w testamentie niewyczerpane tematy dla historii i literatury!

Apulia również kwitła w średniowieczu. Każde jej miasteczko miało wówczas – przynajmniej raz – swoje „wielkie dni”!

Przed wszystkim wyróżniła się Andria, która była ulubienicą nie jakiegoś zwykłego człowieka, lecz samego Fryderyka II – genialnego scenografa życia politycznego, nawet w najodleglejszych zakątkach jego królestwa. W Brindisi

wziął ślub, w Melfi ogłosił swoją „Konstytucję”, w Barletcie rozporządził swoim tronem, w Foggii mieszkał z żoną Izabelą, w Bari, Lucerze i gdzie indziej budował swoje słynne zamki.

Andrii powierzył swoją małżonkę, gdy wyruszał na krucjatę.

Każde miasteczko zasmakowało czegoś z cesarskiej chwały i zaspokoilo swój głód wielkich wydarzeń. A jeśli weźmiemy pod uwagę, że przyjazd władcy miary Fryderyka do małego miasta był z pewnością widowiskiem niemal teatralnym pod względem stroju, ceremoniału i liczby uczestników – bez wątpienia o wiele ciekawszym niż dzisiejsze przybycie jakiejś gwiazdy Hollywood z dwiema walizkami pełnymi nalepek na lotnisko europejskiej stolicy – możemy zrozumieć, że i małe miasto nie mogło się nudzić.

Możemy więc sobie wyobrazić radość i dumę, jaka ogarnęła Andrię, kiedy wielki cesarz powierzył jej swoją żonę Jolantę, szykując się do wyprawy krzyżowej.

Możemy wyobrazić sobie ożywienie, jakie zapanowało, gdy młoda cesarzowa wydała tam na świat następcę tronu – Konrada IV, i możemy łatwo uwierzyć, że w takiej epoce, dla takiego miasteczka jak Andria, rozgłos podobnego wydarzenia musiał być olbrzymi – skoro jeszcze dziś, w XX wieku, prasa całego świata zajmuje się tym, w ilu czepkach urodził się następcę tronu Anglii. Pragnienie sensacji, charakteryzujące ludzi wszystkich sfer i ras, jest stare jak świat, nigdy się nie zmienia i potrzebuje pokarmu – może nawet bardziej niż ciało!

Lecz po kilku dniach wielka radość Andrii zmieniła się w żalobę, gdyż królowa zmarła wskutek powikłań po porodzie i podejrzewa się, że została pochowana w krypcie katedry.

Dziś zwiedzamy tę kryptę, niedawno ponownie udostępnioną publiczności po wspaniałej renowacji, po tym jak przez wiele stuleci służyła za mroczne osuarium. Wchodzimy do obiektu, który kosztował tyle namiętnych sporów i tyle sumiennej pracy. Jest to rzeczywiście jedna z najstarszych krypt w Apulii, ponieważ wszystkie inne należą już do epoki apulijskiego romanizmu.

Podziwiamy więc pierwszą, prymitywną świątynię Andrii, zbudowaną skromnie z materiałów zebranych zapewne na miejscu z dawnej świątyni pogańskiej, przez ubogą ludność, zanim Norman Piotr I, hrabia Trani, zebrał mieszkańców rozproszonych osad w okolicy, by stworzyć dla swego drugiego syna, Ryszarda I, hrabstwo. Albowiem – mimo nazwy, którą się jej powszechnie nadaje – nie jest kryptą to, co katedra w Andrii skrywa w swych fundamentach. Podniesienie poziomu otaczającego gruntu i wykopanie fosy przy pobliskim zamku na zawsze pozbawiły światła słonecznego ten prosty kościół z początków chrześcijaństwa. Dziś miłość i cierpliwość konserwatorów uwolniły jego mury

od ziemi, która je przygniatała, i ten wciąż nienaruszony kościół zadziwia nas, ukryty w łonie ziemi. Wciąż można podziwiać zewnętrzną stronę murów, obejść go wzdłuż obwodu, dostrzec okna zwrócone ku południu, przez które niegdyś słońce oświetlało ceremonie odbywające się wewnątrz. Dziś jednak na zawsze utraciły swoją funkcję i jedynie światło elektryczne – błękitnawe, nierealne – z wielkim wyczuciem artystycznym rzuca dyskretny blask na prymitywne kolumny, na jego dwie nawy, na mały ołtarz, nad którym wznosi się błogosławiąca postać Chrystusa.

W rogu dwie proste płaskie płyty, tajemniczo oświetlone od spodu, wskazują miejsce, gdzie pochowane zostały żony Fryderyka II: Jolanta z Brienne, córka króla Jerozolimy, i Izabela Angielska, siostra Henryka III. Jedna tablica upamiętnia oba imiona, lecz niestety nie potrafi wskazać, która z mogił należy do Jolanty – pobożnej, a która do Izabeli – jasnowłosej.

Możemy więc dobrze wyobrazić sobie poruszenie, jakie ożywiło miasto przy przybyciu smutnego orszaku, który z Foggii – gdzie zmarła w taki sam sposób jak poprzedniczka – wiózł do Andrii, jako drogocenny zastaw powierzony jej wierności, trumnę trzeciej małżonki, by wolą cesarza została w tym miasteczku złączona ze szczątkami drugiej jego ukochanej.

Ale w katedrze w Andrii – w dziwnym pomieszaniu stylów i epok, opowiadających często chwalebny, czasem tragiczną historię miasta – kolejna tablica przypomina jeszcze inne wydarzenie. Dwa i pół wieku później do miasta przybyło trzynastu wybranych rycerzy, by w kaplicy św. Ryszarda błagać Boga o błogosławieństwo dla swego oręża i przysiąc przed świętymi relikwiami, że zwyciężą albo zginą. To trzynastu uczestników wyzwania Barletty! I jeszcze dziś widzimy tę scenę: jak trzynastu wybranych – z pewnością przedstawicieli kwiatu ówczesnego rycerstwa – było podziwianych przez całą ludność, nie tylko z ciekawością, lecz także z miłością i dumą, i jak życzenia całego ludu musiały towarzyszyć rycerzom na polu walki, mścicielom honoru i dobrego imienia znieważonych Włochów.

Widzimy więc, że małe miasta z pewnością nie nudziły się tak jak dziś. Przez ich uliczki przechodzili prawdziwi bohaterowie i były one świadkami wydarzeń, które miały wpływ na historię całego kraju. I z pewnością nie zabrakło mieszkańcom tematów, by opowiadać je dzieciom i wnukom.

Opuszczając Andrię, aby dopełnić uroku tych dni, przywołujemy w naszej pamięci jeszcze jeden obraz z czasów Fryderyka.

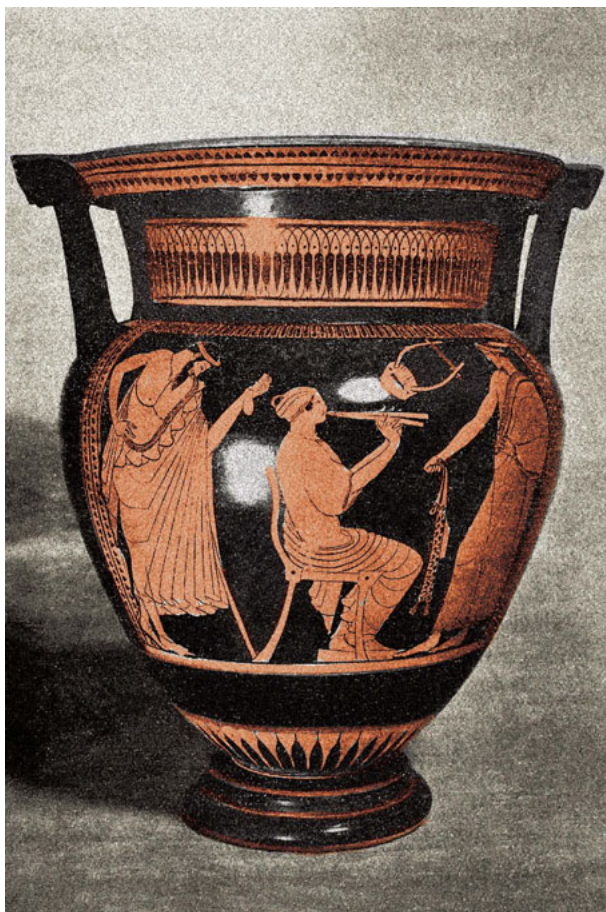
Jeszcze raz przeżywamy „wielki dzień” Andrii. Cesarz powraca z krucjaty... całe jego królestwo pogrąża się w buncie, nawet jego ulubione miasta, jak Foggia, zdradziły go.



...nad brzegami Mar Piccolo



...puchar ma ten sam kształt, zdobienia i barwę,
co kielichy podziwiane przez nas w Grottaglie



po 2500 latach, patrząc na wazy znalezione w nekropoliach dawnego Tarentu...

•
•
•
•
•



W muzeum w Ruvo *Śmierć Talosa* może symbolizować bunt każdego człowieka przeciwko niesprawiedliwości

•
•
•
•
•

Ale Andria nie opuściła swego sztandaru, wciąż woła go całą swoją wiernością. I słusznie dziś, po tylu wiekach, rozbrzmiewają – wyryte w kamieniu na dawnej Porta Sant’Andrea, najchwalebniejszy dyplom szlachectwa, jakim kiedykolwiek mógł poszczycić się człowiek czy miasto – słowa Fryderyka: *Andria fidelis, nostris affixa medullis*¹⁷.

Bo Fryderyk II, wspaniały psycholog, dobrze znał wartość tej cnoty – tak rzadkiej. A jak trudno ją napotkać, dobrze wie nie tylko cesarz, ale i każdy szef rządu, który chce stworzyć swój gabinet...

Bo Judaszów, którzy zdradzili za trzydzieści srebrników albo za coś innego, jest wielu. I oto dziwna rzecz, którą obserwujemy nie tylko w historii, lecz także w codziennym życiu: im bardziej w przeszłości byli obdarowani, tym łatwiej zdradzali. A któż z wielkich ludzi polityki w dziejach nie chciałby spotkać choć jednego „Jana”? I nie tylko wielcy ludzie – każdy z nas. My, wy, oni, tamci i jeszcze inni. Czyż nie chcielibyśmy wszyscy mieć w życiu naszej Andrii, która nas nie zdradzi?! Może ucieleśnionej w jakiejś idei, w dziele twórczym, a może po prostu w sercu innego człowieka – wiernego, który po naszej nieobecności, gdy wszyscy inni nas zdradzili, przywita nas słodko: *Noster Amatus*, a któremu dane będzie położyć na ramieniu zmęczoną dłoń i odpowiedzieć ze wzruszeniem: *Fidelis*...

„Wierność” – oto „wielki dzień” nie tylko Andrii, lecz także każdego człowieka!

I oto myśl, z którą wieczorem odjeżdżamy z tego miasta, które niegdyś przeżywało swe „wielkie dni”, a dziś, dla rozrywki, ma kilka barów i dwa kina...

•
•
•
•
•

17 W dosłownym tłumaczeniu fraza znaczy tyle, co: „Andria wierna do szpiku kości”. W literackim przekładzie – zapewne lepsza postać translacji: „Andria – wierna do końca”.

POEMAT NIESIONY WIATREM WIEKÓW

Dla Pasquale Cafaro¹⁸

Kiedy mówimy „poemat”, dla nas pojęcie to nie oznacza wyłącznie metryki wersów, skomponowanych w jamby, trocheje lub epody z ludzkich słów. To byłaby zbyt uboga definicja! Są inne poematy, napisane małymi nutami, które ożyją pod anielskim smyczkiem skrzypiec lub, rozwinięte przez najróżniejsze instrumenty, zleją się w idealną jedność symfoniczną; inne zaś płyną w śpiewie ludzkiego gardła lub zostają uwięzione w barwnych śladach na płótnie...

Poematy również pisane bywały delikatną tkaniną flamandzkich arrasów albo drobnymi szkiełkami mozaik bizantyjskich. Chińscy artyści pisali je w porcelanie, Grecy w marmurze, Francuzi w barwionym szkłe, Włosi w kamieniu i kolorach...

Dziś odczytuję na nowo poemat, który przetrwał wiatr wieków. Poemat, w którym została ucieleśniona jedna z najgenialniejszych indywidualności, jakie przewinięły się przez Włochy od czasów średniowiecza. Poemat, który przez tyle stuleci zamykał w sobie wszystkie wartości swojego niezwykłego inspiratora.

Człowieka, który żył między mgłami skandalu a światłem entuzjazmu: Fryderyka II *stupor mundi*, jednego z najbardziej oryginalnych ludzi nie tylko swojej epoki, lecz także całej historii.

Nietzsche nie waha się porównywać go pod wieloma względami z Leonardem. „Pierwszy z nowoczesnych” wstrząsa swoją epoką, wrzucając niepokojący zaczyn w uśpione europejskie ciasto. Nadaje dynamizm dworom i artystom, uczonym i sułtanom, szejkom i papieżom swoimi żywymi polemikami. Rozsiewa setki listów otwartych, które również dziś czytamy z podziwem i zainteresowaniem. Tworzy poprzez swoją korespondencję to, co można by nazwać „łańcuchem nauki”, w którym splatają się pytania i odpowiedzi filozoficzne. Od Egiptu po Anglię, od Palestyny po Tunezję i Hiszpanię, od Sycylii po Neapol i Ren.

18 W ujęciu syntetycznym: „Cafaro Pasquale, zwany Caffariello, [...] włoski kompozytor. Od 1735 był uczniem Nicoli i Lorenzo Fago oraz Leonardo Leo w Conservatorio di Santa Maria della Pietà dei Turchini w Neapolu. W 1759 został drugim kapelmistrzem tegoż konserwatorium, gdzie działał do 1785. Ponadto od 1768 związał się z dworem królewskim; był nauczycielem śpiewu i klawesynu królowej Marii Karoliny oraz pełnił funkcję maestra di capella (supernumerarius maestra) kapeli dworskiej. W 1771 został pierwszym kapelmistrzem kapeli królewskiej. W latach 1763–66 dyrygował także wykonaniem oper w Teatro San Carlo w Neapolu”. Cyt. za: *Encyklopedia muzyczna PWM*. T. 2: *Część biograficzna cd*. Red. E. Dziębowska. Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1984, s. 7. [W niniejszym przypisie rozwijamy wszelkie skrótowe notacje cytowanego oryginału, wynikię z ekonomii wydawniczej – dla lepszej czytelności i przejrzystości zapisu – Redaktorzy].

Jest „uwerturą” i prologiem – z wieloma dziesiątkami lat wyprzedzenia – tej epoki, która później zostanie oficjalnie nazwana „nową”. Mógłby żyć dziś w XX wieku i byłby wciąż nie tylko aktualny, ale i oryginalny, a może nawet nadal prekursorski.

Uniwersalizm polityczny, o którym marzył, zjednoczenie Europy – czyż nie są to idee, które z taką pasją i bólem poruszają nasze pokolenie?

Czyż nie wystarczy wspomnieć tu o wspólnym froncie intelektualistów, w którym on z godną podziwu łatwością jednoczy narody, religie, rasy; ogromnym szacunku dla nauki eksperymentalnej, która dopiero cztery stulecia później zacznie oficjalnie kiełkować; encyklopedycznych i praktycznych umiejętnościach, niewiarygodnej różnorodności jego zainteresowań: cesarz i teolog, prawnik i mówca, filozof i architekt, weterynarz i lekarz? A jeszcze tłumacz i językoznawca, dyplomata i strateg, mecenas i krytyk sztuki, dyrektor pierwszego europejskiego zoo, z którym podróżuje po Włoszech i Niemczech, wzbudzając ogromne zdumienie swoimi dromaderami, lwami, słoniami, panterami i – zaproszonym egzotycznym gościem, nigdy wcześniej w Europie nieoglądanym – żyrafą?

Ten człowiek, wierny przyjaciel uczonych, ptaków, zwierząt, z tą samą żądzą wiedzy buduje kurze gniazdo, by obserwować, jak układają się pióra wokół jajka, i dyskutuje o Arystotelesie. Ten oryginał z równym zainteresowaniem wysyła jako pierwszy nurka, aby badał dno morskie, i każe dokonywać sekcji zwłok. Może maniak, a może wybraniec, obdarzony przez naturę bogactwem talentu przeznaczonego dla tysiąca różnych ludzi.

Oto inspirator poematu, który dziś odczytuję na nowo.

Wyjeżdżamy samochodem z Andrii, w ten listopadowy dzień, który przypomina nam gorący wrzesień. Już z daleka widzę, wypisany na tle nieba, tytuł: „Castel del Monte”!

Istnieją artyści, filozofowie, uczeni, ludzie, którzy wyprzedzają swoją epokę: prekursorzy; ich dzieła reprezentują jej najbardziej syntetyczny wyraz, niemal zwierciadło, w którym cała epoka się odbija; istnieją też dekadenci, żywiący się odpadkami epoki już minionej.

Inspirator poematu i jego dzieło „Castel del Monte” należą do pierwszej kategorii.

Lecz również prekursorzy różnią się między sobą. Są wśród nich prorocy epok i sztuk, którzy jaśnieją jak meteory, a potem nagle gasną; natomiast są wśród nich także inni pionierzy, którzy potrafią przeczuwać coś wiecznego i uniwersalnego, odpowiedniego dla każdej epoki, każdej mody, każdej szerokości geograficznej.

Wśród nich – „Castel del Monte”. Można by go nazwać „pierwszą kolebką renesansu”, gdyby nie było to jeszcze zbyt ubogie określenie dla takiego architektonicznego cudu. Gdyż jest on kolebką stylu, który pozostanie oryginalny w każdej epoce. I gdy będą się mu przyglądać na przykład turyści z końca XXII wieku, nie jest wykluczone, że także im wyda się prekursorem jakiegoś nowego stylu!

Wiatr wieków wyrwał z tego kamiennego poematu słowa, frazy, może nawet całe strofy i strony. Jeszcze inne wymazał... Lecz pomimo tylu bolesnych operacji poemat ofiarowuje czytelnikowi całą gamę emocji artystycznych i filozoficznych.

Zbudowany na planie ośmiokąta, tworzy fantastyczną oktawę z kamienia, genialnie zapisaną w księdze włoskiej architektury. Godnie usytuowany, na tyle, by zasłużyć na nazwę „Belvedere” lub „Strażnik Apulii”, przeżył rozmaite dzieje.

Na początku był ulubieńcem Fryderyka II, który często przybywał tu na polowania ze swymi ukochanymi sokołami. Był siedzibą o wyrafinowanym smaku artystycznym i pełną wygod, nieosiągalnych w tamtych czasach. Później stał się więzieniem dla jego potomków, jakby los chciał się zemścić i żądał, w zamian za wywyższenie jednego człowieka, upokorzenia jego synów i wnuków. Po czterech stuleciach przemienił się w rodzaj sanatorium, w którym właściciele i mieszkańcy znajdują schronienie podczas epidemii szalejącej w Andrii. W końcu stał się kryjówką zbójców i schronieniem dla pasterzy i stad. Nie powrócił już do roli „ulubieńca”. Być może dla następnych pokoleń okazał się zbyt dziwny, zbyt oryginalny, zbyt tajemniczy.

Los ofiarowuje mu zawsze nowe przeznaczenie, a mimo wszystko zachowuje on swą godność i oryginalność, jakby czar strzegł nienaruszalności jego struktury. Jakby sam los żałował, że go poniżył, i stanowczo chciał go ocalić. Ale długa droga – od adamaszku, którym był niegdyś okryty, od marmuru, w który był przyodziany, od posadzek mozaikowych i bogatych mebli, aż po ogień zmarzniętych pasterzy, który trawił jego mury – z pewnością była gorzka! Wreszcie, po sześciuset latach życia, ten arystokratyczny starzec, który nigdy nie znalazł sobie równego, staje się pomnikiem narodowym.

Struktura zamku otwiera przed nami perspektywę na indywidualność jego twórcy. Zbiegają się w niej wszystkie jego cechy charakterystyczne. Tutaj narodziło się magnetyczne przecucie epoki, która miała przemienić Włochy w architektoniczny cud świata – renesans. Oryginalność struktury, wysoki poziom artystyczny, pewne arabskie motywy ornamentalne, jego imponujące położenie, wybrane, by jeszcze bardziej podkreślić jego wspaniałość – oto wszystkie cechy nie tylko Castel del Monte, ale i jego właściciela.

Zatrzymujemy się przed głównym wejściem. Kto zdoła opisać to zaskoczenie? Czy naprawdę jesteśmy w roku 1250? Czy to tylko przecucie? A może to

już prawdziwy portal renesansu? Bogate zdobienia nie są konieczne, aby odczuć wspaniałość; przeciwnie, zbyt obfita i gęsta dekoracja często wywołuje znużenie. Tutaj majestat emanuje z samej treści struktury.

Wchodzimy. W każdym ramieniu tego doskonałego ośmiokąta, na parterze i na pierwszym piętrze, znajduje się trapezoidalna sala. Razem więc jest ich szesnaście. Inteligentne rozplanowanie posadzki, czterech kolumn, sklepień z mocnymi żebrami sprawia, że trapezoidalne sale stają się kwadratowe, a raczej wydają się takie. Na skrzyżowaniu każdej pary sal wznosi się potężna wieża. Oto rzut budowli – tak prosty, a zarazem tak niezwykle. Arabowie pozostawili tu poetycką nutę. Najdelikatniejsza dekoracja zdobi dziedziniec, także ośmiokątny, ponieważ Arabowie upiększają bardziej wnętrze, zgodnie ze swoją osobistą koncepcją artystyczną, chętnie rezygnując z olśniewania widza na zewnątrz. Okna pierwszego piętra, które zapewne były niegdyś drzwiami prowadzącymi na dziś już zaginioną galerię biegnącą wzdłuż obwodu dziedzińca, są bogato zdobione, podobnie jak drzwi na parterze. Możemy sobie wyobrazić ten dziedziniec, gdy pośrodku wznosiła się ogromna marmurowa misa przeznaczona na fontannę. Żaden szejek nie powstydziłby się takiego widoku.

Na pierwszym piętrze sale mają poetyckie i pełne wdzięku biforia, z których rozciąga się widok na wszystkie strony Apulii. Pełnym uroku „refrenem” tego poematu w oktawach są kolumny trójdzielne z żyłkowanego marmuru cipollino¹⁹, splatające się wysoko w jednym kapitelu. Jakaż odważna nowość, jak na tamtą epokę, takie kapitale! Tu możemy już studiować pełny renesans!

Inne frazy poematu, zachowane w nienaruszonym stanie jakby sam los uznał za grzech je zniszczyć, stanowią ludzkie maski wyrzeźbione, by podtrzymywały wsporniki lub pełniły rolę zworników w sklepieniach. Jedna z nich przedstawia najdziwniejszą twarz satyra, jaką może poszczycić się rzeźba tamtych czasów. Druga wiąże kobiece oblicze o nieporównywalnym wyrazie, niczym prorokini spoglądająca w przyszłość. W innym jeszcze miejscu, w samym centrum sklepienia, splatają się cztery ptaki morskie, w najbardziej niezwyklej pozycjach,

19 Typ wapienia bogatego w krzemiany. Kamień znany od starożytności – początkowo wydobywany na greckiej wyspie Eubea, później powszechnie wykorzystywany w budownictwie starożytnego Rzymu (zwłaszcza w konstrukcji kolumn). „Marmur cipollino to wyjątkowy kamień naturalny, którego nazwa pochodzi od włoskiego słowa oznaczającego »cebulę«, ze względu na charakterystyczne warstwy i pasy, przypominające cienkie plasterki [...] [tego warzywa – przyp. Redaktorzy]. [...] Wyróżnia się eleganckim wyglądem, harmonijnym połączeniem jasno kremowych, beżowych oraz zielonkawych odcieni, co czyni go idealnym wyborem do różnorodnych zastosowań wnętrzarskich i architektonicznych”. Por. <https://luxmarmur.com/produkt/cipollino/> [dostęp: 15.12.2025].

tworząc oryginalny węzeł – jeden z najbardziej kapryśnych fragmentów architektonicznych.

Kto był ich twórcą? Może Nicola Pisano, gdy jeszcze zwał się Nicola z Apulii²⁰? Może prześladowania polityczne, dzika furia Karola Andegaweńskiego wobec wszystkiego, co pachniało Szwabią, pozbawiły go zaszczytu zapoczątkowania rzeźby nowożytnej?

Wchodzimy na taras, na samą górę jednej z wież, po schodach, które i dziś można nazwać wygodnymi. Z długich i wąskich okien wiatr rozwiewa liczne pióra. Żyją tu wciąż sokoły cętkowane na biało, potomkowie tych, które przed tyloma wiekami przywiózł z Islandii Fryderyk! Pozostały wierne, nie zdradziły. Przetrwały wszystkie próby, na jakie los wystawił zamek. Być może, jeśli również ptaki mają swoją historię, podczas długich zmierzchów, zanim zasną, wspominają, że ich przodkowie byli już bohaterami tej księgi Fryderyka, która wywołała tyle sporów²¹. I może wciąż są wdzięczne cesarzowi za to, że przyodział protoplastę rodziny sokołów z Castel del Monte w oryginalny jedwabny kaptur myśliwski – ten sam, którego użycie jako pierwszy wprowadził na wzór wschodni, zastępując w ten sposób barbarzyński zwyczaj zszywania im powiek jedwabną nicią...

Castel del Monte jest z pewnością najpiękniejszym poematem, jaki Fryderyk II napisał na ziemi Apulii. I jeszcze dziś, po wiekach, wiatr – doskonały piewca – na szczycie zamku śpiewa chwałę jego twórcy.

Jeśli nie obawiasz się, że zwieje Ci z głowy kapelusz, posłuchaj go...

•
•

20 Hasło encyklopedii podaje: „Pisano Niccolò, ur. między 1220 a 1225, zm. między 1278 a 1287, ojciec Giovanniego, włoski rzeźbiarz i architekt. Jeden z głównych przedstawicieli ducenta; nawiązywał do sztuki antycznej; działał w środkowych Włoszech (Piza, Bolonia, Siena, Pistoia i Perugia). Główne dzieła: kazalnica w bazylice w Pizie (1260) i w katedrze w Sienie (1265), grobowiec św. Dominika w kościele pod wezwaniem świętego w Bolonii (1264–67)”. Por. <https://encyklopedia.pwn.pl/haslo/Pisano-Niccolo;4011606.html> [dostęp: 13.12.2025]. Ze względu na miejsce urodzenia – zwany: Apulijczykiem.

21 Autorce chodzi oczywiście o *De arte venandi cum avibus* – traktat sokolniczy Fryderyka II Hohenstaufa. Znakomite omówienie różnorodnych kontekstów dzieła znajdziemy w artykule Bogdana Burligi. Zob. Idem: „*Subici potestati hominum*”: sokolnictwo jako kultywowanie duchowego (i społecznego) snobizmu w „*De arte venandi cum avibus*” autorstwa cesarza Fryderyka II. W: *Sokolnictwo. Wpływ na bioróżnorodność i dziedzictwo kulturowe w Polsce i w Europie*. Red. U. Szymak, P. Sianko. Muzeum Podlaskie w Białymstoku, Wasilków 2016, s. 203–226.

CANOSA OD PRZODU I Z PROFILU

Dla Nunzia Maddaleny²²

Wyruszając do Canosy, zadawałam sobie jedno z tych dziwnych pytań, na które tak trudno odpowiedzieć: „Dlaczego tyle miast, niegdyś wielkich i słynnych, siewców sztuki i indywidualnej kultury, bogactwa i agresywnej siły, na zawsze zniknęło z powierzchni ziemi, pozostawiając za sobą jedynie szkielet ruin? Niniwa, Babilon, Mykeny, Teby, Sabrata; Kartagina, Baalbek. Tuziny miast w Azji Mniejszej, antycznej Grecji, na śródziemnomorskich wyspach. Dlaczego kiedy zostały zniszczone, nie miały sił, by rozkwitnąć na nowo? Tak jakby tragiczna ręka przeznaczenia wyrwała z ziemi ich korzenie i rozsypała ich prochy na cztery strony świata?

A dlaczego inne, po wojennych katastrofach, kataklizmach, trzęsieniach ziemi, erupcji wulkanów, jak powalone drzewa znów się zazieleniły? Dziesiątki razy ręka przeznaczenia napisała na ich murach »Mane, tekel, fares«, a one zawsze odradzały się na nowo. Może teren, na jakim je posadowiono, był zaczarowany? Albo może ich korzenie zasadzono w lepszy sposób? Lub też naprawdę jakaś magiczna przyjazna siła, jak w bajkach, chroniła je i nie pozwalała im umrzeć?”.

Wiele razy zdawały się już całkiem zrównane z ziemią, a jednak odradzały się w sekretny sposób. Tak jakby historyczne i naturalne katastrofy sprawiały, że miejsca te stawały się jeszcze cenniejsze i bardziej interesujące dla nowych pokoleń, które powstając z ruin, zaczęły znów chwytać się życia. I oto wyrasta nowy pęd, drugi, trzeci... gałąź zazielenia się, a w końcu drzewo znów zaczyna kwitnąć. Nazwa miasta zmienia ostatnią sylabę, czasem dwie, trzy, lecz korzeń, ta pierwsza zawiązka, pozostaje zawsze ten sam.

Do tego odpornego bractwa należą miasta Apulii, które nie dały się pochłoniąć ani wojnie, ani kataklizmom natury. Bohaterowie wojny trojańskiej, którzy przeszli przez półwysep italski i tu założyli pierwsze miasta, mieli szczęście.

22 Archiwum Nadzoru Dziedzictwa Architektonicznego i Krajobrazu Apulii, z siedzibą w Bari (Castello Svevo), przechowuje bogatą dokumentację dotyczącą badań przeprowadzonych w rejonie Ponte della Lama (Canosa) w okresie bezpośrednio po wielkiej powodzi, która miała miejsce we wrześniu 1951 roku. Operat raportujący straty, a także opisujący odkrycia poczynione przez archeologów w pierwszej połowie lat 50. XX wieku, sporządził Nunzio Maddalena. W dokumentach określany jest mianem inspektora honorowego („ispettore onorario”) – był więc zapewne miejscowym urzędnikiem lub kimś przez lokalne urzędy wynajętym do przeprowadzenia inwentaryzacji. Por. C. Carletti, D. Nuzzo, P. De Santis: *Il complesso cimiteriale di Ponte della Lama (Canosa): nuove acquisizioni dagli scavi delle catacombe e dell'area subdiale*. „Rendiconti Pontificia Accademia Romana di Archeologia” 2007, vol. 79, s. 213.

W tych samych miejscach, w których legenda nakreśliła pierwsze dzieje, życie przeszło pod opiekę historii i choć często niszczone, zawsze w tajemniczy sposób się odradzało. Niekiedy dokładnie na tych samych ruinach, niekiedy kilometr czy dwa dalej. Życie w Apulii miało zawsze cechy odpornego kota, który – niczym spokojna gałązka oliwna – powraca zaraz po pożarze na wciąż gorące popioły i swoim mruczeniem zachęca do odbudowy. Do tego rodzaju należy Canosa. Diomedes miał szczęśliwą rękę i założone przez niego miasto żyje do dziś. Legenda głosi, że tutaj, nad brzegami Ofanto wyprawiał się on na polowania ze swoim ulubionym psem i od tego psa wywodzi się nazwa późniejszego Canusium. Jeśli wierność jest cechą piękną i rzadką, dzisiejsza Canosa może się nią pochwalić, gdyż jeszcze dzisiaj można tu przejść ulicą, która zachowała swą dawną nazwę „Strada Diomede”. I zdaje się, że to imię pozostało jako cenny dar wotywny w kulcie diomedejskim, który rozkwitł tutaj niegdyś w mroku dziejów.

Horacy widział Canosę już 450 lat przed założeniem Rzymu. To oznaczałoby, że możemy napisać w akcie urodzenia miasta: „narodziła się 3119 lat temu”.

Mieszkańcy Canosy, według legendy, mogli zobaczyć ze swoich murów osobliwy środek lokomocji: słońce Hannibala. W rzeczywistości Hannibal stracił ostatniego słońca w Toskanii, zanim zszedł do Apulii. Ale zostawmy jej tę chwałę!

Dziś przyjeżdżamy wygodnym autobusem, wyposażonym przynajmniej w siłę jednego słońca. Ten nowoczesny słoń, który ma więcej szczęścia od starożytnych, wjeżdża do miasta i wysadza nas w jego centrum, oddając nas w objęcia fal historii wymieszanej ze współczesnym życiem.

Nie wiemy, co w tym mieście jest silniejsze: historia o rzymskim profilu, która poprzepłatała tutaj szczęśliwe i tragiczne konstelacje, czy codzienne życie, które mocno odcisnęło się na tej ziemi, a potem chwalebnie przetrwało do połowy XX wieku i teraz zwraca się ku nam pełną twarzą.

Z niektórych rysów tego profilu możemy naszkicować piękno starożytnej Canosy, która już jako „respublica”, w czasach gdy Rzym liczył 150 tysięcy mieszkańców, miała ich aż 50 tysięcy, biła własną monetę i wyrabiała słynne naczynia wielkości dorosłego człowieka.

Od czasu do czasu wizja przemawia do ciebie silniej niż rzeczywistość; jeszcze dziś, od strony Ofanto, wydaje się, że wiatr niesie echo tragicznych kroków legionów rzymskich, zdziesiątkowanych w bitwie pod Kannami. W tych śladach powolnych i zmęczonych sandałów jawi się upadłe dostojęstwo Rzymu, widzisz ujarzmiony heroizm, który tutaj szukał schronienia po dramacie drugiej wojny punickiej. Być może któraś z tych ulic wciąż skrywa cień Warrona.

Szybko jednak widzenie to się rozplywa; Canosa zwraca ku tobie swoją twarz. Słyszysz kroki żyjących ludzi, wielkiego tłumu na ulicy. „Czyżby tu się nie pracowało?”. Wręcz przeciwnie, otwiera się tu codzienna giełda pracy. Jest październik i winobranie przechodzi przez wieczną ziemię Apulii. A właściciele winnic szukają rąk do pracy. Robotnicy zaś – dobrego zarobku. Giełda odbywa się na ulicy, przy stoliku w barze, na siedząco, na stojąco, podczas spacerów. Głosy i gesty, targowanie i obietnice, nadzieje i umowy.

Jak w filmie, twarz znika i znowu wyłania się rzymski profil z cienia.

L. AMNIO L. FIL. OVF
RUFO E. V. IN OMNI
ACTU VITAE SUAE
PATR. COL. HUIC POPU
APUD IUDICES EQUES
TREM POSTULASSET
CONTENTUS HONOREM
STATUAE PEDESTRES
VOLUNTATI EORUM GRA
TIAM RETULIT

„Lucjuszowi Amnuszowi Rufusowi, synowi Lucjusza, znakomitemu człowiekowi, wyróżniającemu się we wszystkich dziełach swojego życia, patronowi kolonii Canosy. Ponieważ lud domagał się u sędziów – czyli u duumwirów – aby wpisać go do stanu ekwitów, on zrzeka się tak wielkiego zaszczytu, oświadczając, że wystarczy mu statua pieszka; i dziękuje za dobre pragnienia Canoseńczyków”.

Oto skromność obywatela rzymskiego, który nie chciał być uwieczniony w marmurze w pełnej gali na koniu, lecz tylko pieszo – chwalona jeszcze po wiekach.

W centrum miasta, wmurowana w elewację domu wielka tablica. Odczytać można jeszcze napis, wyraźnie widoczny, jakby był dopiero co wykuty.

M. ANTONIO
 VITELLIANO
 V. E. PATR. COL.
 CANUS. PP. TRA
 CTUS APULIAE
 CALABRIAE LU
 CANIAE BRUTTIO
 R. OB. INSIGNEM EIUS
 ERGA PATRIAM AC
 CIVES ADFECTIONEM
 ET SINGULAREM IN
 DUSTRIAM AD QUIETEM
 REGIONIS SERVANDAM
 POSTULATU POPULI
 D. D. P.

„Markowi Antoniuszowi Witellianowi, mężowi znamienitemu, patronowi kolonii Canosy, propretorowi regionów Apulia, Lukania, Kalabria i Bruttium, za jego wielką miłość do ojczyzny i obywateli oraz za wyjątkową troskę o zachowanie spokoju w regionie, na żądanie ludu, poświęcono ten pomnik”.

I tu, na tej tablicy widzimy, że ludzie przez wieki zawsze pragnęli pokoju i zawsze darzyli miłością i szacunkiem człowieka odpowiedzialnego, który umiał go strzec.

Na innej ulicy – inna tablica, i jeszcze inna... dziesiątki tablic.

A równocześnie widzisz wózek na starych kołach, który zachował w swoim kształcie dawną formę i dźwiga współczesny pomnik; kadź wypełnioną po brzegi czerwonym bogactwem winogron. Na początku nie rozumiesz, jaką siłą fizyczną posuwa się naprzód pomnik, a po chwili odkrywasz jego... napęd mechaniczny, w postaci filigranowego osiołka; tak uroczego, że zdaje się przeznaczony wyłącznie do zabawy dla dziecka, pięciokrotnie mniejszego od... pomnika.

Canosa w każdej chwili zmienia profil w twarz i odwrotnie. Przechodzisz przez miejsca i wąskie „vici”, które wciąż zachowują rzymskie nazwy, i nagle znajdujesz się poza miastem. Nowy fragment starożytnego profilu.

Tutaj znajdowała się nekropolia. XIX wiek, słynny ze swoich wykopalisk, wiek, który plastycznie ukazał nam starożytność, pracował także w Canosie,

pokazując nam swoje sensacyjne odkrycia. Groby, starannie odrestaurowane między pierwszą a drugą wojną światową, dają nam jasny obraz rzymskiej nekropolii.

Od wieczności groby interesowały nie tylko naukę, lecz także ludzką wyobraźnię. Z nekropolii poznajemy kulturę. Śmierć zawsze była szanowana jak życie. W obliczu śmierci nie było miejsca na żadne skąpstwo. Nawet najbiedniejszy poświęcał dla wiecznego spoczynku jakiś ukochany przedmiot lub narzędzie. Bogaci zabierali ze sobą znaczną część swojego majątku – cenne klejnoty, rzeźbione figurki, flakoniki, naczynia, drobiazgi, a nawet meble. Wulgarność i okrucieństwo życia spaliły, zniszczyły, połamały..., ale szlachetność śmierci, powaga i czystość grobu – nienaruszalne dziedzictwo, według niepisanego kodeksu przekazywanego z pokolenia na pokolenie – swym pieczęciom powierzyły tajemnicę bogactwa.

Wiek XIX sprofanował groby w sensie filozoficznym, ale z innej strony ludzka ciekawość i precyzja badań ujawniły wszystkie warstwy kultury w nich zawarte.

Wchodzę z pewnego rodzaju niemym szacunkiem do tych pustych murów, które przez wieki w tajemnicy odgrywały rolę... banku i muzeum. Kiedyś kryły „drogie szczątki”, dziś są tylko „interesującą architekturą”. Każdy żyjący może tu nie tylko wejść..., ale i stąd wyjść.

Groby składają się z wejścia i cel, niegdyś hermetycznie zamurowanych. Kolumny jednego z grobowców, ustawione lekko ukośnie, przypominają mi swym rysunkiem niektóre części Doliny Królów w Tebach. Wykopaliska w Canosie ukazały wszystkie epoki, przedmioty artystyczne, naczynia, klejnoty, monety.

Oto nieskończona różnorodność ceramiki: od maleńkich *titillaria*²³, poetyckich grzechotek dziecięcych, które do dziś brzmią tym samym głosem, jakim umilały przejście w krainę cieni małym duszom, aż po ogromne naczynia, dumę zbiorów muzeum w Neapolu, jak kolosalna para amfor z przedstawieniami *Amazonomachii* i *Persów przygotowujących się do wojny przeciwko Grecji*.

Oto dziewczyna, która weszła w wieczność jak na bal, w złotym diademie pełnym drogocennych kamieni, który, wydobyty na światło dzienne po wiekach, przyciąga zdumione spojrzenia sztuką i precyzją swojego wykonania, i z nieustającym sukcesem odbywa swoje *tourné* z jednej wystawy na drugą.

23 Etymologia słowa zdaje się odsyłać do łacińskiego terminu *tīllāre*, oznaczającego sferę przyjemności wywoływanych: łaskotaniem, potrząsaniem, głaskaniem.

W wigilię zimnej wojny wychodzę z nekropolii w Canosie²⁴ niemal smutna; co znajdą przyszłe pokolenia w naszym grobie po dwóch tysiącach lat? „Materializm historyczny” „zdemokratyzował” nie tylko życie, lecz także śmierć; staliśmy się bezwstydnie skąpi wobec niej. W naszym grobie, na kościach naszych palców, nie zabłyśnie nawet skromna obrączka ślubna z datą „1948”, świadectwo naszego szczęścia lub naszej tragedii, gdyż nasze chciwe i skąpe rodziny brutalnie ją zerwą z jeszcze niezesztywniałych palców i przeznaczą na korony zębowe. Jeśli bomby atomowe zmiotą z powierzchni ziemi nasze muzea, z pewnością w naszych grobach przyszłe pokolenia niczego nie odczytają.

A gdybyśmy chcieli powierzyć grobowi choćby najskromniejsze z naszych bogactw, mogę sobie dobrze wyobrazić liczbę współczesnych ludzkich szakali...

Lecz Canosa uspokaja te nasze myśli, pokazując nam wyraz swojej twarzy. Dziś zmobilizowała wszystkie dostępne środki transportu: osły, konie, samochody. Po ulicach nie da się chodzić. Kadzie pełne winogron mijają się, przecinają drogi, pędzą. Około stu dwudziestu zakładów w Canosie tłoczy esencję Dionizosa. Wszystkie drogi prowadzące do miasta są zajęte przez procesję kadzi.

Na dziedzińcach wznoszą się, już puste, odpoczywające po pracy, dziesiątki, setki wielkich naczyń. Stare, z tradycją weteranów. Nowe, u progu swojej kariery, jak rekruci. To naprawdę sympatyczny i oryginalny obraz dla człowieka z Północy. Dziś Canosa jest lepka i gęsta od smaku i aromatu winogron.

Wchodzimy do Baptysterium św. Jana. Tu Canosa ukazuje nam równocześnie, w tej samej chwili, swoją twarz i swój profil. W epoce rzymskiej, według wyrafinowanego poligonalnego planu, uformowanego z imponujących bloków kamienia, ze śladami harmonijnych łuków, rozkwitał tu, wieki temu, kult religijny. Potem pogańska świątynia została przemieniona w baptysterium. I oto dziś ceremoniał chrztu ustąpił miejsca innemu ceremoniałowi... świeckiemu. Codzienne życie wynajęło ten monument i niczym wszechmocny mag przemieniło wodę lustralną, którą kiedyś tu wylewano, w... wino. Metamorfoza zachowuje ten sam cel. Woda obmywała tu kiedyś grzechy; dziś wino produkowane tutaj obmywa troski. W głębokiej ciszy, w każdym kącie czekają kadzie pełne

24 Alberti być może nawiązuje do dyskusji z początku lat 40. XX wieku, gdzie zagrożenie atomowe miesza się z frazeologią zimnowojenną. Zauważmy, iż termin „zimna wojna” został użyty po raz pierwszy w 1945 roku przez George’a Orwella w jego eseju *You and the Atomic Bomb*, ale spopularyzowany został dwa lata później przez Bernarda Barucha w jednym z jego przemówień, a następnie podjęty przez Waltera Lippmanna w książce pod tym samym tytułem (*The Cold War*). W 1947 roku Baruch użył terminu, aby opisać rosnące napięcia między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim po zakończeniu II wojny światowej, co jest obecnie uznawane za umowną datę publicznego „uruchomienia” zimnowojennego dyskursu.

dojrzałych i krwawiących winogron. Robotnicy, z pomocą maszyn, niczym mistrzowscy czarodzieje, spełniają swoją misję. Schodzimy pod ziemię, na trzy poziomy, do tego morowego Hadesu, który kryje już gotową ambrozję. Prosta lampa oliwna właściciela uprzejmie oświetla naszą podziemną drogę – i oto, po raz drugi w życiu, zostałam ochrzczona w baptysterium. Nic nie pamiętam z pierwszego chrztu, lecz ten drugi, w Baptysterium św. Jana, i to czerwone, słodkie wino moja głowa będzie pamiętać długo...

O cudzoziemcze, jeśli wyrządzono Ci tak wielką krzywdę, że ochrzczono Cię tylko raz w życiu, przybądź do Canosy, a Baptysterium św. Jana z pewnością Ci to wynagrodzi!

Już pośród obłoków pulsującego wina dostrzegam nowe oblicze profilu rzymskiego. Oto resztki kolumn, kapitele, tablice, fragmenty torsów w chlamiadach... oto wreszcie sfinks, który nie wiadomo kiedy, i z pewnością wbrew swej woli, wyemigrował znad Nilu i przewieziony jakąś rzymską triemą obudził się w Canosie.

Katedra i Grób Boemunda, słynnego wodza i bohatera pierwszej krucjaty, który zmarł w Antiochii i zapragnął być pochowany w Canosie²⁵, są niczym dwie cenne sprzączki w pasie Canosy, łączące starożytną epokę miasta z późniejszą jego historią. Katedra niczym matka przygarnęła cudowne rzymskie kolumny wykonane we wspianym zielonym marmurze, który pokazuje, jak przybrane dzieci potrafią czasem przynieść rodzicom większą chwałę niż rodzone.

Grób Boemunda, zamknięty jednymi z najbardziej oryginalnych drzwi z brązu, jakie posiada Apulia, stanowi w architektonicznej konstelacji tej ziemi marmurowy wyjątek, ze swoim bogatym i prawdziwie unikalnym pokryciem z płyt tego cennego materiału oraz kopułą w guście orientalnym.

I choć mży i brak tego cudownego scenografa, jakim jest słońce, Canosa – twarzą i profilem – jaśnieje dziś dla nas, pełna wewnętrznego światła.

TELEWIZJA POD ŁUKIEM TRIUMFALNYM

Wyruszyliśmy z Bari jeszcze w nocy, pod gwiazdami. Dziesiątki wozów, pełnych ludzi, toczyły się drogą w kierunku gajów oliwnych. Wierny pies biegł pod wozem, między kołami, przywiązany do sznura ludzkiego losu.

25 Boemund I de Hauteville, jeden z przywódców pierwszej krucjaty, nie umarł na Bliskim Wschodzie. Gdy uzyskał prawo do księstwa Antiochii na mocy podpisanego układu i ukorzył się przed władcą Bizancjum – powrócił do Italii. Umarł w Apulii w roku 1111.

Wielkie ogniska rzucały krwawe języki płomieni. Apulijscy robotnicy, zgodnie ze starożytną tradycją, rozpoczynają w ten sposób swoją pracę. Prażą oliwki w gorącym popiele. Fantastyczne płomienie rzucają czerwone cienie na gałęzie, drabiny, płachty już rozpostarte pod drzewami, na ludzi.

Niedawno Apulia oddała swój winny sok; dziś obdarowuje ludzi odżywczym tłuszczem.

Zwykły mieszkaniec jeszcze śpi. Lecz rolnik, oświecony blaskiem gwiazd i ognia, już pracuje – i jak to bywa zawsze na południu Włoch – śpiewa. Śpiewa, gdy przygniata go bieda, gdy nie je do syta i nie wysypia się. Śpiewa, gdy dręczą go troski albo gdy popycha go szczęście. Śpiewa w żałobie i w tańcu, podczas pracy i po obiedzie, w miłości i po utracie miłości. Tak jakby pieśń była magiczną witaminą, karmiącą ciało i duszę. W żałobie i cierpieniu jest lekarstwem, w szczęściu i miłości – skrzydłem, które unosi. Przed posiłkiem pobudza apetyt, po posiłku staje się „deserem” pełnym rozkoszy. W czasie pracy towarzyszy jak pomocnik, w tańcu – jak ostroga, która podwaja zapał i miłość. Pieśń to panaceum.

Dajcie mieszkańcowi południowych Włoch dobry obiad, wygodne miejsce do spania, ubierzcie go luksusowo, otwórzcie mu konto w banku, ale zabrońcie mu śpiewać przez całe życie. A on nie zechce dłużej żyć... umrze.

Dziś słyszymy tę pieśń podczas pracy, jak błąka się w ciemności gaju oliwnego, jak drży, niosąc w sobie ziarno przekazane ze Wschodu. Dziś jest symbolem nadziei na szczęśliwe zbiory.

Nagle, daleko na horyzoncie, między drzewami oliwnymi, rozlewa się ogromne morze ognia, jakby wszystkie ogniska umówiły się między sobą i, zjednoczone w jednym punkcie, zbuntowały się przeciw ciemności. I w tym świetle wschodzącego słońca rozpoczyna się zbiór oliwek.

Święte, prastare drzewo – bogactwo Włoch – oddaje synowi Apulii w pełni swój dług, tak jak oddało go jego ojcu i dziadkowi, i jak w przyszłości odda jego synowi i wnukowi. Jest coś wzruszającego w tej wzajemnej symbiozie człowieka i drzewa, w tym dobrowolnym, twórczym związku, w tym pośpiechu, który nie zna nawet niedzieli – jakby człowiek i drzewo obiecali sobie odpoczynek dopiero po zbiorach.

Kierujemy się ku Kannom, ale wcześniej zatrzymujemy się w Canosie, by podziwiać w jej okolicach łuk rzymski.

Pod tym słońcem, które dziś świeci mocno, jakby to był czerwiec, a nie listopad, z daleka półkole ma ciemnozłoty odcień, wyraźnie odcinający się od otaczającej zieleni. Zbliżamy się. Łuk wznosi się dumnie.



...cała ta konstrukcja... ześlizgnie się do morza, by stać się częścią wodnego królestwa
gibkich łodzi rybackich



...prowadzi nas teraz do miasta poławiaczy pereł...

Uczeni mogą dyskutować. Mogą szukać śladów, czy łuk z Canosy był artefaktem triumfalnym, czy tylko bramą na Via Traiana prowadzącą do miasta. A jeśli był triumfalny, komu był poświęcony? Terencjuszowi Warronowi czy cesarzowi Trajanowi?

W każdym razie był pokryty marmurami. Wieki zdarły ten reprezentacyjny płaszcz, rozwiały na wietrze attykę i fryz, tak że pozostał tylko szkielet – nagi, syntetyczny. Ale i dziś, w tym pierwotnym obnażeniu, które pozwala policzyć wszystkie kości i żebra, stanowi pomnik pełen siły, rysujący się szlachetnie na płaskim terenie na tle nieba.

Widziałam wiele łuków triumfalnych – niemal nietkniętych przez wieki: całą „elitę” żyjących w Rzymie, łuk w Benevento, łuk Galeriusza w Salonikach, Złotą Bramę w Splicie, łuk w Trypolisie i młodszy o wiele stuleci – Łuk Triumfalny w Paryżu²⁶. Jednak żaden z nich nie wzbudził we mnie tylu dziwnych myśli, co ten prosty, pozbawiony wszelkiego przepychu, rzymski łuk poza murami dawnej Canosy. Może właśnie dlatego, że wszystkie inne były zbyt okazałe, przyciągały wzrok swoją masą reliefów, rzeźb, kolumn, fryzów i kapiteli. Nie pozwalały myśleć o niczym poza własnym pięknem i architekturą. Każdy z nich był czystym dziełem sztuki.

Ten zaś – w to niedzielne, listopadowe przedpołudnie – staje się dla mnie obiektem... filozoficznym.

Wokół, aż po jego podnóże, rozpościera się żyzna, miękka ziemia. Ani metra nieuprawionej gleby. Ludzie strząsają oliwki i oczyszczają winorośl do zimowego spoczynku. Koń ciągnie pług, a kilka psów strzeże niezmienności krajobrazu.

Wszystkie inne łuki, które widziałam, są słynnymi pomnikami, lecz ten z Canosy dobrowolnie zrzekł się tej chwały i sam wybrał, by stać się jedynie nienaruszalną plamą krajobrazu. Wznosi się na skrzyżowaniu minionych wieków i zwykłej pracy prostego człowieka, który właśnie teraz świętuje swój codzienny triumf.

26 Łuki triumfalne stanowią kluczowy element europejskiej tradycji monumentalnej, wywodzącej się bezpośrednio z rzymskiej architektury ceremonialnej. W starożytnym Rzymie pełniły funkcję propagandową: upamiętniały zwycięstwa militarne, legitymizowały władzę cesarską i materializowały oficjalną narrację polityczną. Przez ich przeloty przechodziły procesje triumfalne niosące trofea wojenne, jeńców, posągi bóstw oraz reprezentacyjne wizerunki władców; ikonograficzne i literackie świadectwa wymieniają m.in. słonie Hannibala zdobyte podczas wojny punickiej czy łupy ze Świątyni Jerozolimskiej prezentowane w triumfie Tytusa. Reliefy i inskrypcje na łukach stanowiły wizualny program ideologiczny, łącząc motywy rzymskie z elementami kultur podbitych. Por. M. Beard: *The Roman Triumph*. Harvard University Press, Cambridge 2007.



Castello di Oria góruje nad miastem i olśniewa



Był szary, samotny i miał trzy metry siedemdziesiąt wysokości

Wszystkie inne łuki były, można by rzec... miejskie – wkomponowane w kamienne zespoły, na tle ulicznego zgiełku. Ten zaś jest... wiejski, z nogami mocno wbitymi w żyzną ziemię.

Łuki, w swoich dawnych epokach, były świadkami chwały ludzkości. Pod nimi przechodziły marmurowe posągi bogów, sunęły lektyki z cesarzami, konie z bohaterami wojen, generałowie, zakochani, konsulowie, królewscy jeńcy, przyjazne poselstwa, zakuci w kajdany wrogowie, wozy pełne trofeów. Pod łukami przeszły słonie Hannibala (tych słynnych sto zwierząt pojmanych pod Palermo w czasie pierwszej wojny punickiej), dając widowisko egzotyczne i na długie lata niezapomniane. Pod czujnym okiem Tytusa przesuwają się wozy pełne kandelabrow i złotych sprzętów zabranych ze Świątyni Jerozolimskiej. Uśmiechały się sfinksy przywiezione z Egiptu, a torsy bogów greckich ukazywały swoją słynną muskulaturę.

Pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu przemija XX wiek, na swoich czołgach, które egzotyką przewyższają nawet słonie Hannibala, podczas gdy nad nimi samoloty czuwają nad mrocznym triumfem niczym drapieżne sokoły. Pod Łukiem Triumfalnym przechodzi zmęczona i zniszczona Europa. Przechodzi XX wiek, ze spuszczoną głową, w rytmie syren alarmowych, oświetlony przerażającą komętą reflektorów, które miliony razy przepowiadały nieszczęście ludzkości.

Siedzę na kamieniu, opierając plecy o budowlę. Patrzę na stare, antyczne grobowce, które o kilkanaście kroków dalej, naprzeciwnie, walczyły z wiekami o swoje prawo do istnienia na tej ziemi.

A jeśli Łuk Triumfalny ocaleje, jaki przekaz, po wiekach, wydobędzie z niego człowiek przyszłości? Jak oceni nasze triumfy? A może nas oskarży?

Nagle słyszę pieśń dochodzącą z oddali. Taką samą jak ta przed wschodem słońca, z wozów jadących do pracy; jak ta przy ognisku, przy którym rozpoczęto zbiory. Po drugiej stronie łuku w Canosie koń ciągnie pług. Idzie człowiek i śpiewa. A pies – nie rasowy, zwykły kundel – towarzyszy jego krokom.

Być może ten prosty człowiek, z koniem, który idzie przed nim, z psem u stóp, z pieśnią, która poniesie się głośniejsze niż dźwięk syren alarmowych, oświetlony blaskiem swojego ognia, który zajaśnieje ponad apokaliptycznymi reflektorami – może właśnie ten pracowity człowiek, który zasadził i pielęgnował symbolizujące pokój drzewo oliwne, przejdzie kiedyś przez Łuk Triumfalny, pojawi się w telewizji przyszłych pokoleń i uniewinni XX wiek?

PODĄŻAMY ŚLADAMI HANNIBALA

Inżynierowi Giuseppe Damascellemu²⁷

W gorący listopadowy dzień, pozostawiony nam na pożegnanie przez babie lato św. Marcina, podążamy śladami Hannibala.

W oddali półwysep Gargano, niczym ciemny fryz zamyka linię horyzontu, a w głębi połyskuje morze, dziś jaśniejsze, gdyż utraciło swoją koronkę z piany, bo nie wieje wiatr. Mała rzeka Ofanto nie zmniejszyła się ani nie wezbrała; jest wciąż taka sama jak przed wiekami. Z pewnością to jeden z najpiękniejszych zakątków Apulii – z wieczną Canosą za plecami, lekko pofałdowany, pełen świętych drzew oliwnych.

Jesteśmy w Kannach. Idziemy, trzymając w ręku plan Hannibala. Pożyczył nam go Tytus Liwiusz.

Niemniej, w ten słoneczny dzień, bogaty w dojrzałe oliwki, nie chcemy przywoływać wizji jednej z najśłynniejszych bitew starożytności.

Jako dzieci bawiliśmy się na kolanach pierwszej wojny światowej, a druga tragicznie pocałowała nas w samo serce. Jesteśmy pokoleniem, dla którego słowo „wojna” nie znaczy „chwała”, a jedynie „dramat”.

Dziś, w Kannach, nie interesuje nas ani semicka genialna strategia (tak typowa dla charakteru tego narodu: dać przeciwnikowi złudzenie zwycięstwa, by potem go okrążyć i unicestwić), ani sprawdzian aryjskiego bohaterstwa. Dziś ani nie cierpimy z Rzymem, ani nie triumfujemy z Hannibalem!

Dziś, na tym wzgórzu pokrytym tragicznie nagromadzonymi i niechronionymi przed zniszczeniem kośćmi (gdyż druga wojna światowa przerwała prace nad uporządkowaniem nekropolii w Kannach), interesuje nas psychologia i filozofia tego miejsca.

Usiądź na kamieniu, będącym zapewne częścią grobu wojownika. To absolutnie bez różnicy, czy chronił on Numidyjczyka z Afryki, czy legionistę Rzymianina. Spójrz na pole, na którym rozegrała się tragedia Rzymu. Zostaw plan strategiczny akademiom wojskowym, gdzie uczniowie studiują go z chłodną

27 Giuseppe Damascelli urodził się w Andrii, kształcił się na Politecnico di Torino, uzyskując dyplom inżyniera elektrotechniki. Od 1927 roku związany z TELEFONI Italia Medio Oriente (TIMO), pełnił funkcje kierownicze w oddziałach Chieti, Pesaro i Ancony, zdobywając doświadczenie w zarządzaniu infrastrukturą telekomunikacyjną. Jako dyrektor powstającej stacji EIAR w Bari nadzorował jej inaugurację 6 września 1932 roku, co wyznaczyło początek systematycznej rozbudowy radia w południowych Włoszech. Jego działalność sytuuje go wśród kluczowych inżynierów współtworzących nowoczesną infrastrukturę komunikacyjną południa kraju w pierwszej połowie XX wieku. Por. *Giuseppe Damascelli*. In: *Calendario 2022*. Associazione Rai Senior, Roma [s.nlb.].

przezornością, do najdrobniejszych szczegółów. Zostaw go także dyktatorom – tym, którzy zawsze szli, idą i będą iść śladami Hannibala.

Nas dziś interesuje psychologia agresji i jej następstwa. Nigdzie nie zgłębisz jej tak dobrze, jak właśnie tu, dziś, na tym polu.

Kanny, przed tyloma wiekami, dały ludzkości lekcję. Aby zrozumieć tę lekcję, trzeba przywołać na pomoc Zamę²⁸. Gdyż to tam właśnie miały finał Kanny.

Lekcja była prosta: to zadanie z historii napisało sto dwadzieścia tysięcy ludzi – od poranka tamtego dnia do wieczora. Oczywiście napisali je czerwonym atramentem wysączonym z własnych żył.

Ta lekcja pokazała, że naród, przeciw któremu inny naród użył agresji, który został zaatakowany w swoich granicach politycznych i udręczony najazdem, czuje instynktowną potrzebę obrony – czy to przez strategię zwlekania jak pewien... Fabiusz, czy przez desperacką odwagę jak pewien... Warron. W końcu zaś zacznie szukać okazji, za wszelką cenę, by zmusić wroga do bitwy i go zniszczyć. I nawet jeśli agresja odniesie triumfalne zwycięstwo jak pod Kannami, historia uczy nas, że później zawsze przegra pod Zamą.

Agresor zatruje się sam sobą – jak Hannibal w Azji Mniejszej lub jak... (przekartkuj historię, a znajdziesz tysiące przykładów tego „jak”)... inni agresorzy.

Wydarzenia w Kannach zainspirowały – można by rzec: z siłą niemal magnetyczną – badania nad psychologią agresji we wszystkich czasach.

Prosty i genialny plan Hannibala, jak na obu flankach można ukryć, niewidoczne dla wroga, dwa silne zgrupowania; jak można pozwolić przeciwnikowi wejść w tę pozorną słabość, wciągnąć go jak najgłębiej; jak można oczarować jego furię magią zwycięstwa, by potem nagle go otoczyć, ścisnąć z zimną krwią i zniszczyć – ten plan ludzkość stosuje od stuleci. A wszystkie te narody, które zakończyły swoje Kanny wspaniałą Zamą, z czasem same zaczynają stosować manewr Hannibala przeciw innym.

Byliśmy złymi uczniami. Nie wynieśliśmy żadnej nauki z lekcji pod Kannami. Studiowaliśmy jedynie, w emocjach, jej strategię. Wieki z pasją dyskutowano o małej rzece Ofanto: po której stronie toczyła się bitwa, po prawej czy po lewej, aby bezbłędnie zrozumieć manewr Hannibala. Kanny nakreśliły dla

28 Bitwa pod Zamą, w której armia Publiusza Korneliusza Scypiona pokonała wojska Hannibala, stanowi moment decydujący w wojnie i losach Kartaginy. W historiograficznym ujęciu uchodzi za antytezę Kann: jeśli te ostatnie odsłoniły błąd rzymskiej pewności siebie, to Zama ukazała zdolność Rzymu do adaptacji taktycznej i strategicznej. Zwycięstwo to zakończyło II wojnę punicką i otworzyło drogę do hegemonii Rzymu w świecie śródziemnomorskim, będąc trwałym świadectwem, iż lekcja Kann została – zgodnie z oceną Liwiusza – „odrobiona przez doświadczenie i czas”. Por. A. Goldsworthy: *The Fall of Carthage*. Orion Publishing, London 2000, s. 111–138.

ludzkości jedynie plan bitwy, lecz nie miały w sobie żadnej siły moralnego ostrzeżenia.

Wczoraj i przedwczoraj poszliśmy tam z mapą w ręku, i może znowu pójdziemy tam jutro?...

Spójrz na te groby, odkryte po tylu stuleciach, w roku 1938. Nie sprowadzają problemu Kannów tylko do sprawy między dwoma starożytnymi ludami, tylko do bitwy, która miała przyznać cywilne i handlowe pierwszeństwo jednemu z nich.

Kanny to coś więcej. To rana, która tragicznie się powtarza i otwiera na nowo w każdym pokoleniu, na całym globie ziemskim. A jeśli ludzkość w jakiś sposób tej rany nie uleczy, z pewnością nigdy nie stworzy wyższej kultury – kultury opartej na sprawiedliwości i równości między narodami.

Kanny powinny zajmować dużo miejsca w podręcznikach szkolnych, lecz komentarz do nich i ilustracja powinny mieć zupełnie inny kształt.

Ta wycieczka dobrze Ci robi w życiu. Ta chwila zadumy, w dniu takim jak dziś, nad brzegiem Ofanto, na wzgórzach pooranych grobami sprzed dwudziestu dwóch stuleci, może wygładzi Twoje myśli i uczucia.

„Skrawek krwi” – tak nazywają chłopci te pola, bo zawsze ten zakątek ziemi miał w sobie okrutny, magnetyczny urok. W 9 r. p.n.e.: armia Rzymu, dowodzona przez pretora Koskoniusza, zniszczyła tu wojska zbuntowanych Italików pod wodzą Samnity Trebacjusza²⁹. W IX wieku: trzykrotnie Saraceni ścierają się tu z Longobardami z Salerno i Benewentu³⁰. W roku 1041: Atenulf, z Apulijczykami, Normanami i Longobardami, pokonuje tu armię katepana Michała III Dukejana³¹.

29 W przekazach późnorzymskich odnotowuje się starcie z 9 r. p.n.e., w którym pretor Koskoniusz miał rozbić oddziały zbuntowanych Italików dowodzonych przez samnickiego wodza Trebacjusza. Źródła antyczne nie przekazują bezpośredniej relacji o tym epizodzie. W historiografii interpretowany jest on jako świadectwo pamięci o długotrwałym sporze rzymsko-samnicksim. Zob. T. Cornell: *The Beginnings of Rome. Italy and Rome from the Bronze Age to the Punic Wars (c. 1000–264 BC)*. Routledge, London 1995.

30 Źródła narracyjne ukazują te starcia jako konsekwencję narastającej dezintegracji struktur longobardzkich oraz instrumentalnego wykorzystywania Saracenów przez lokalnych książąt, rywalizujących o przewagę polityczną. W ujęciu historiograficznym wydarzenia te wpisują się w proces stopniowej erozji potęgi longobardzkiej, w którym formacje saraceńskie funkcjonowały razem jako najeźdźcy i jako najemnicy w wojnach wewnątrzregionalnych. V. von Falkenhausen: *La dominazione bizantina nell'Italia meridionale dal IX all'XI secolo*. Ecumenica Editrice, Napoli 1978, s. 41–58 (analiza najazdów i konfliktów z Longobardami).

31 W 1041 roku koalicja Atenulfa, łącząca Apulijczyków, Normanów i Longobardów, pokonała armię bizantyjskiego katepana Michała III Dukejana. Erchempert zauważa, że „siła Atenulfa zjednoczyła Longobardów i Normanów w jedną pięść przeciw władzy katepana” (*The Little History of the Lombards of Benevento by Erchempert: A Critical Edition and Translation of 'Ystoriola*

W roku 1099³²: katepano Boioannes zwycięża Normanów i Longobardów pod wodzą Melo da Bari. Oto zmienne imię krwi, którą przesiąkł ten „spłachetek ziemi”.

„Skrawek krwi”! A czymże jest ta ziemia – o średnicy ośmiu tysięcy mil – jeśli nie jednym wielkim „skrawkiem krwi”? Przeszliśmy po niej z planem strategicznym Hannibala w dłoniach. A dziś... podążamy jego śladem.

Wizyta w Kannach, w tę niedzielną jesienną porę, byłaby naprawdę smutna, gdyby nie nasza wiara, że Kanny staną się dla nas nie tylko miejscem słynnej dawnej bitwy, nie tylko interesującym wykopaliskiem archeologicznym, lecz przede wszystkim ćwiczeniem moralnym i zaczynem, na którym może wzrosnąć pacyfizm przyszłości.

W PÓŁMROKU ALTAMURAŃSKIEJ PIELGRZYMKI

Jeśli naprawdę chcesz odnaleźć „kamienistą Apulię” i zobaczyć, jak wyglądał cały ten region nie więcej niż przed stuleciem, musisz odbyć kilka wycieczek po drogach Wysokiej Murgii. Spróbuj na przykład tej najkrótszej i najłatwiejszej.

Po serii miasteczek, niemal stykających się ze sobą i towarzyszących ci przez całą drogę, następuje długi odcinek – ponad 20 kilometrów – pozbawiony jakichkolwiek ludzkich siedzib. Po bokach rozciąga się kamienista Murgia, naga, sucha; tu i ówdzie samotne gospodarstwo rolne, mała stacyjka, domek dróżnika, prochownia – wszędzie tylko nagie grzbiety wzgórz, pozbawione roślinności, usiane wystającymi skałami. Znajdujesz się w jednym z tych rejonów Apulii, które wciąż czekają na zagospodarowanie. W powietrzu unosi się nastrój pustki, smutku, niemal przygnębienia... Trudno uwierzyć, że zaledwie kilka minut temu opuściłeś kwitnący ogród, do którego byłeś przyzwyczajony. To krajobraz, który – zwłaszcza o zmierzchu – potrafi niemal przestraszyć.

Pierwszy wąwóz. Poziom drogi zbliża się do swojej najwyższej wysokości. Spojrzenie za siebie zmusza cię do zatrzymania samochodu i westchnienia

Longobardum Beneventum degentium. Transl. and ed. L.A. Berto. Routledge, London 2021, s. 33), co umożliwiło osłabienie wpływów bizantyjskich w Apulii. Zwycięstwo to stanowiło kluczowy etap w ekspansji Normanów i konsolidacji lokalnej władzy longobardzkiej, pokazując skuteczność współdziałania wojsk najemnych i rodzimych sił księstw południowowłoskich. Por. Erchempert: *Historia Langobardorum Beneventanorum*. In: *Sources for the History of Southern Italy*. Ed. M. Oldoni. Libreria dello Stato, Roma 1991, s. 135–140.

32 Pozostająca w zapisie oryginalnym Kazimiery Alberti data 1099 roku jest niezgodna ze stanem historycznym. Katepano Basileios Boioannes zwyciężył Normanów i Longobardów dowodzonych przez Melo da Bari w 1018 roku, w bitwie pod Kannami.

z ulgą. U twoich stóp rozciąga się równina Bari, usiana małymi miasteczkami, nakrapiana smukłymi wieżami dzwonnicy, zieleniąca się gajami oliwnymi i winnicami. Na pierwszym planie Toritto, Grumo, Binetto i Bitetto – wyglądają, jakby tworzyły jedną miejscowość; dalej Modugno z kompleksami przemysłowymi, a w oddali biała wstęga domów Bari oddziela zieleni pól od głębokiego błękitu Adriatyku. Oddychasz. Życie, płodność – wszystko to, co z lękiem uznawałeś już za stracone – jest tam, przed tobą, rozciągając się aż po horyzont.

To jeden z tych zakątków, w których Apulia lubi zaprzeczać powszechnemu przekonaniu, że jest krainą całkowicie pozbawioną panoramy.

Jeszcze jeden wąwóz; i nagle, pośród skalistej pustyni, wynurza się na tle nieba, rozmyta z odległości, Altamura. To wrażenie pociągające, zawsze nowe, i choć tyle razy przeżywane, będące zawsze niespodzianką, nawet dla tego, kto tą drogą jechał już tysiąc razy.

Ile jest miast, które chlubią się tym, że ich początki związane są z Filoktetem, przyjacielem Herkulesa? W Kalabрії, na wybrzeżu jońskim, jest ich co najmniej pół tuzina; do tego stopnia, że Lenormant, w swojej książce *La Grande-Grèce*³³, nie znalazł lepszego sposobu, jak potraktować je wszystkie razem w jednym rozdziale zatytułowanym *Miasta Filokteta*. Otóż – również tutaj dotarł ów bohater. Jak tego dokonał, nie wiem. Jednak – jako że wydaje mi się, iż właśnie tu późniejsza historia poszła w ślady starożytnej legendy – nie chcę odbierać Altamura tego mitycznego założyciela; zostawiam to uczonym profesorom, ja natomiast daję wiarę legendzie.

Filoktet, przyjaciel Herkulesa, odziedziczył po nim, w chwili gdy bohater miał wejść na stos, by uwolnić się od męczarni spowodowanych przywdzianiem koszuli Nessosa, jego strzały, te same, którymi Herkules zabił Hydrę. Otrzymał przy tym przestrozę, by nigdy się nimi nie zranił, gdyż takie rany są nieuleczalne. Jednak podczas jednej z podróży Filoktet nieopatrznie skaleczył się w stopę jedną z owych strzał.

Żadne lekarstwo nie zdołało go uleczyć, aż pewna wróżbitka podpowiedziała rozwiązanie: lot ptaków wskaże miejsce, w którym należy założyć

33 Charles François Lenormant w pracy *La Grande-Grèce* (1860) analizuje rozwój greckich kolonii na południu Italii, akcentując ich znaczenie w kształtowaniu wczesnej cywilizacji regionu oraz wpływ na kulturę i instytucje ludów włoskich. Autor podkreśla „żywość i trwałość greckich ośrodków w obszarze południowowłoskim” (Ch.F. Lenormant: *La Grande-Grèce*. A. Lévy et Cie, Paris 1860, s. 112), wskazując, że kolonizacja hellenistyczna stanowiła fundament polityczny, gospodarczy i religijny dla późniejszych struktur Wielkiej Grecji. Jego analiza integruje źródła archeologiczne i literackie, zestawiając z przekazami starożytnych autorów, takich jak Strabon czy Timaeus, ukazując kompleksowy obraz interakcji kultur greckiej i lokalnej w południowej Italii. Zob. Ch.F. Lenormant: *La Grande-Grèce...*, s. 112–135.

miasto – tylko tam rana się zagoi. Filoktet spędzał zatem dni na obserwowaniu lotu ptaków.

Aż owe ptaki zaprowadziły go w miejsce, gdzie dziś wznosi się Altamura... Proroctwo się spełniło, rana została uleczone – i tak narodziła się Petilia.

W istocie każdy lekarz może odnaleźć w tej legendzie racjonalny rdzeń: Filoktet cierpiał na „owrzodzenie tropikalne”. Oto więc wyjaśnienie jego szybkiego ozdrowienia w chłodniejszym, górzystym klimacie Altamury. Widać, że w tamtej epoce klimat śródziemnomorski był bardziej „tropikalny” niż obecnie.

Dwie rzeczy powracają z niezwykłą konsekwencją w historii Altamury. Po pierwsze, zdrowe powietrze, które – choć nigdy nie jest szczególnie wychwalane przez lekarzy ani reklamę – zawsze w chwilach złego losu ratowało i chroniło miasto. Po drugie, niezłomny charakter jej mieszkańców, którzy w każdej sytuacji dawali dowód odwagi i hartu ducha. Już legenda nazaczyła założenie pierwszego miasta znakiem odzyskanego zdrowia. I z poetyckim natchnieniem nadaje mu nazwę Petilia – „dzika róża”.

Lecz Hannibal, po ośmiomiesięcznym oblężeniu, podczas którego mieszkańcy okazali się godni tak heroicznego założyciela, zrównał Petilię z ziemią. Na jej miejscu powstała Lupatia. Tu mieszkali kolejno Rzymianie, potem Grecy, wreszcie Ostrogoci. Aż Totila zniszczył ją w roku 545, wraz z wieloma innymi miastami Apulii³⁴.

Zdrowe powietrze po raz kolejny przyciągnęło mieszkańców na ruiny. Miasto-feniks odrodziło się z własnego popiołu. Tym razem z nazwą inspirowaną właśnie powietrzem, które wzmacniało tu ludzi i zwierzęta. Tak narodziła się Altilia, najpierw odbudowana przez Greków, a potem zajęta przez Longobardów.

Nieustępliwy duch jej mieszkańców spletał miastu nie lada figla. Był VIII wiek po Chrystusie, lecz oni wcale nie kwapili się, by przyjąć chrześcijaństwo. Uparcie trwali przy kulcie swoich pogańskich bogów – przede wszystkim Janusa – i mało ich obchodziło, że inni już dawno odstawili tychże bogów do lamusa. Aż w końcu, jak głosi legenda, ten stan rzeczy ściągnął na nich gniew

34 Petilia i Lupatia to miejscowości w południowej Italii, które w okresie późnego antyku odgrywały rolę lokalnych ośrodków administracyjnych i strategicznych. W czasie wojen Gotów przeciwko Bizancjum (535–554) oba miasta znalazły się w orbicie działań militarnych Totilii, króla Ostrogotów, który opanował wiele miast Kampanii dzięki swojej szybkości i zdecydowaniu. Totila, wykorzystując mobilność swych wojsk i poparcie ludności lokalnej, próbował konsolidować władzę ostrogocką w regionie, a losy Petilii i Lupatii ilustrują trudności w utrzymaniu kontroli bizantyjskiej w południowej Italii oraz znaczenie lokalnych ośrodków jako punktów strategicznych w konflikcie. P. Heather: *The Fall of the Roman Empire: A New History*. Oxford University Press, Oxford 2005, s. 312–315. Zob. H. Wolfram: *History of the Goths*. University of California Press, Berkeley 1988, s. 257–260.

samego Karola Wielkiego! Tenże wysłał przeciw miastu samego paladyna Rolanda³⁵. Naturalnie – zostało ono po raz trzeci zniszczone, najpewniej podczas wyprawy Franków do Apulii. Stało się to już tradycją i, prawdę mówiąc, trzeba przyznać, że jeśli chodzi o tradycję, Altamura potrafiła dokonywać wyborów.

Minęły długie stulecia. Wśród ruin, zapomniani przez wszystkich, żyli jakoś mieszkańcy miasta.

Aż pewnego dnia Fryderyk II, udając się do Ziemi Świętej na krucjatę (słynną Krucjatę Wyklętych³⁶), przejeżdżał ze swoim wojskiem w pobliżu ruin. Jak każda szanująca się armia, również i jego posiadała spory zastęp chorych, słabych, wyczerpanych – tych, których w nowoczesnych armiach nazywa się „rekonwalescentami”. Jako że nie chciał ciągnąć za sobą tego balastu, cesarz postanowił zostawić ich tam, by na niego zaczekali. Wyobraźmy sobie jego zdumienie, gdy po powrocie, zamiast zobaczyć niedołęgi, które jedną nogą były już w grobie, ujrzał wychodzących mu naprzeciw krzepkich, zdrowych żołnierzy.

Powietrze po raz kolejny uleczyło choroby tych potomków Filokteta, torując tym samym drogę do przyszłości miasta.

Fryderyk, monarcha szczodry i zarazem poeta, nie pozostał niewdzięczny. Wybrał – jak przystało na artystę – poetycką nazwę dla miasta, czwartą w jego dziejach, adekwatną do czasów nowożytnych: „Altamura”. Wyposażył je w zamki i mury, a w jego obrębie ufundował arcydzieło sztuki romańsko-apulijskiej – katedrę.

Tak oto miasto wznowiło swój chwalebny marsz. Zawsze niecierpliwe wobec tyranów i despotyzmu, wyzwoliło się z feudalnej niewoli i z całą dumą spojrzało na przywilej, jakim Karol V obdarzył je, nadając mu prawo do tytułu miasta królewskiego, pozwalając obywatelom „chwycić za oręż, by bronić tego

35 Roland to historyczny prefekt marchii bretońskiej, poległy w 778 roku pod Roncevaux. W tradycji epickiej, zwłaszcza w *La Chanson de Roland* (XI wiek), przekształcony w archetypicznego paladyna Karola Wielkiego i wzorzec heroizmu chrześcijańskiego. Badacze (m.in. G. Paris, S. Kay) podkreślają, że jego literacka figura pełni funkcję ideologiczną, ujmując w skondensowanej formie ideały lojalności lennika, męczeństwa i obrony *Christianitas*. Roland stał się jedną z najważniejszych ikon europejskiej epiki rycerskiej.

36 Fryderyk II, cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego, wyruszył w 1228 roku do Ziemi Świętej, inicjując tzw. Krucjatę Wyklętą (*Crusade of the Excommunicated*). Jak podkreśla J. Riley-Smith, „Fryderyk osiągnął cele polityczne i dyplomatyczne w Palestynie, nie angażując się w tradycyjną kampanię militarną” (zob. Idem: *The Crusades: A History*. Continuum, London 2005, s. 210). Krucjata ta charakteryzowała się negocjacjami i traktatami, w wyniku których cesarz uzyskał kontrolę nad Jerozolimą i przywrócił łacińską obecność w Świętym Mieście bez dużych starć z muzułmanami. W historiografii podkreśla się, że wyprawa Fryderyka II stanowiła przejaw nowej strategii politycznej w ramach krucjat, łączącej dyplomację, legitymację cesarską i wpływy papieskie w regionie. Zob. ibidem, s. 210–215.

tytułu nawet przeciw królowi, który chciałby go unieważnić, bez narażania się na oskarżenie o bunt”... Tak miały wieki, aż w roku 1799 historia przyniosła Republice Partenopejskiej jedną z jej najbardziej chwalebnych kart, wolności – nowy plon bohaterskich męczenników, a Altamurze – tytuł „Lwicy Apulii”.

W centrum dróg łączących Apulię i Lukanię Altamura rozpościera w słońcu swoje średniowieczne mury. Nieco niżej wciąż widać elipsę megalitycznych obwarowań dawnej Petilii. Na pomniku Arnaldo Zocchiego³⁷ miasto wznosi się dumnie, mimo złamanej szpady, bronione przez własnych synów przed hordami Ruffa³⁸.

Nad wszystkim góruje pogodna sylwetka katedry, ze swymi dwiema wieżami. Dzieło, którego pragnął i które rozpoczął Fryderyk II, stoi tam – uroczyste, w płaszczu z brunatnego kamienia. Dwa lwy, zdumione, że znalazły się teraz po stronie absydy, między wieżami, wciąż wyczuwają zapach „Lwicy”, stojąc po bokach portalu, najbogatszego, jaki rzeźba romańska stworzyła w Apulii. Na jego czystych, misternie rzeźbionych pasach anioł od wieków zwiastuje Marii nową erę i swym poetyckim gestem rozpoczyna całą serię scen *Nowego Testamentu*, pełnych świeżej naiwności. Na placu dwanaście triforiów, choć nie mogą one

37 Arnaldo Zocchi urodził się we Florencji 21 września 1862 roku jako syn rzeźbiarza Emilia i Enrichetty Ciani. Rozpoczął naukę w szkołach klasycznych, porzucił jednak zamiar podjęcia zawodu lekarza, aby poświęcić się rzeźbie u boku ojca. Rozwinął poetykę eklektyczną, wahającą się między tradycją klasyczną a romantycznym realizmem. W Rzymie w 1884 roku otrzymał nagrodę w konkursie na pomnik Garibaldiego na Gianicolo. Wyróżnienie to zachęciło go do osiedlenia się w Wiecznym Mieście. Do okresu rzymskiego należą popiersia bankiera Baseviego (1884) i Bettina Ricasolego (1888, Pałac Montecitorio), a także figurka Francesca Crispiego (1889). Jest autorem m.in. fontann dziedzińcowych i fryzów architektonicznych. W 1892 roku wykonał Fontannę Demeter w ogrodach cara Symeona, inspirowaną renesansem, подарowaną przez cesarza Franciszka Józefa księciu Ferdynandowi I Bułgarskiemu. Międzynarodową sławę przyniosło mu w 1900 roku zwycięstwo w konkursie na pomnik Cara Wyzwoliciele, Aleksandra II, w Sofii (odsłonięty w 1907 roku), dzięki któremu w Bułgarii nazwano go „wspaniałym florentczykiem”. W 1910 roku wygrał konkurs na pomnik Krzysztofa Kolumba w Buenos Aires. W Altamurze znaleźć można pomnik Męczenników rewolucji 1799 roku (1899), pomnik Poległych (1928), popiersie kompozytora Saveria Mercadante na placu przy teatrze oraz popiersie Rocco Mandolli. Zmarł w Rzymie 17 lipca 1940 roku i został pochowany w rodzinnym grobowcu. Za: A. Genovese: *Arnaldo Zocchi*. In: *Dizionario biografico degli italiani*. Vol. 100, Istituto dell'Enciclopedia Italiana, Roma 2020, s. 733–736.

38 Pomnik Arnalda Zocchiego ukazuje miasto wznoszące się dumnie, pomimo złamanej szpady, symbolizującej przeszłe klęski i wyzwania militarne. Kompozycja rzeźbiarska, według tradycji lokalnej, przedstawia także obronę miasta przez własnych synów przed najazdami hord, co interpretuje się jako alegorię niezłomności i patriotyzmu społeczności miejskiej. Zob. D. Barillari: *Una monumentale resistenza. L'opera di Gino Valle a Udine*. In: *Monumentalia. Monumenti tra Identità e Celebrazione*. Progetto e cura scientifica di Ferruccio Canali. Associazione Studi Fiorentini. Firenze 2020, s. 188.

rywalizować z sześciokolumnowymi arkadami Bari i Bitonto, nadaje całemu zespołowi rys elegancji i harmonii.

Górujące nad miastem rozeta i biforium od wieków są świadkami radosnych i smutnych, chwalebnych i pokornych godzin, które przepływają wzdłuż niekończącego się Corso Federico II.

• • • • •

Na placu, po prawej stronie katedry, stoi grupka mieszkańców. Mężczyźni. Mają w sobie coś z górali: ich czarna, wełniana peleryna, krótka i rozkloszowana, z jednym brzegiem zarzuconym do tyłu na ramię, przypomina mi trochę naszą polską „czuhę” z Zakopanego, choć pozbawiona jest rękawów. Zdaje się strojem noszonym nie ze względów praktycznych, nie po to, by chronić się przed zimnem, lecz z powodu fantazyjnej, odrobinę zuchwałej elegancji. Widzę w nim odległe pokrewieństwo i to po raz kolejny dowodzi mi, że podobny klimat rodzi podobną modę: jeśli nie identyczną w kroju, to z pewnością równą w duchu i stylu.

Zamiast szerokiej czerwonej wstęgi, która ma wiązać „czuhę” – i wygląda niczym wesoły karnawałowy detal – altamurańska peleryna jest zapinana na dwie srebrne klamry połączone łańcuszkiem.

Ta właśnie peleryna z Altamury (która jest noszona w całej Murgii, a którą nazywam tak, bo zobaczyłam ją tu po raz pierwszy) cieszy oczy, choć jest czarna. Jesienny wiatr igra z nią, chowa się w jej fałdach – i nagle człowiek, dotąd usztywniony, staje się falujący, żeglujący, elastyczny. Staje się resztką tego, czego epoka przemysłowa nie zdołała jeszcze zetrzeć.

Altamurańska peleryna to coś, co przyszłe pokolenia z pewnością zobaczą już tylko w muzeum.

Zapada wieczór. Ożywczy chłód sący się z nieba, z ziemi, zewsząd. Ciemność, pełna fałd i cieni, rzuca na całą Altamurę ogromną pelerynę, pod którą wszystko maleje, ukrywa się, rozmywa. Ulice, domy, ludzie, wieże, drzewa.

Wszystko... powoli odchodzi na palcach, znika jak tłum aktorów drugiego planu. Tylko katedra, ze swym wysokim zarysem, przecina tę ciemność – jak niezwykle aktor, który pod koniec zostaje sam na scenie, pomiędzy fałdami kurtyny, i zaczyna wygłaszać jakiś niepowtarzalny, niezwykle monolog.

Posłuchaj tego monologu: oto on, jeden z najcenniejszych głosów romańsko-apulijskiej architektury. A jeśli chłód jesiennego wieczoru da ci się we znaki, otul się fałdami peleryny, którą Altamura z pewnością ci pożyczy.

OSOBLIWY WĘDROWNY SPRZEDAWCA Z GRAVINY

Kiedy docieramy do Graviny, dokładnie przy wyjściu ze stacji kolejowej, dostrzegamy nadzwyczaj osobliwy stragan wędrownego sprzedawcy. A przecież dziś nie jest dzień targowy ani kalendarz nie wskazuje żadnego święta patrolnego.

Przyjechaliśmy tu w poszukiwaniu jakiejś tajemnicy do odkrycia. Już z daleka czuliśmy, że coś tu musi być; i oto właśnie ten stragan, z jego oryginalnym sprzedawcą, pierwszy wzbudza naszą ciekawość.

Ledwie nas dostrzega, handlarz zaczyna deklamować tonem prawdziwego *cicerone*. Zaprasza nas, byśmy się zbliżyli, i rozpoczyna swoją przemowę. Już po pierwszych słowach całkowicie panuje nad naszą uwagą. Jest tak umiętny i absorbujący, że potrafi zatrzymać nas, z szeroko otwartymi oczami i czujnymi uszami, na cały dzień.

Jak iluzjonista, wyciąga z całego stosu rzeczy starych i nowych najbardziej nieoczekiwane przedmioty. Przypomina jeden z tych wielkich domów towarowych, na których widnieje napis: „Jesteśmy w stanie zaspokoić każdy gust i każde pragnienie”. Ale jakim cudem potrafi pomieścić to wszystko w tak ciasnej przestrzeni?

Posłuchajmy zatem dziwnego sprzedawcy we własnej osobie:

– Szanowni Państwo, czy są Państwo może miłośnikami zjawisk przyrodniczych? Oto Civitas Gravinæ (Miasto Wąwozów), firma, którą mam zaszczyt reprezentować, ma honor przedstawić Państwu jeden z najciekawszych fenomenów geologicznych Apulii! Miasto jest nim otoczone, a właściwie: zbudowane na nim. Tutaj znajdziecie prawdziwy „wąwóz” (*gravina*) w całym znaczeniu tego słowa! Proszę bardzo! Podejdźcie na chwilę do tego mostu-wiaduktu! Czyż nie jesteście pod wrażeniem tego ogromu pracy wykonanej przez erozję powierzchniową wód? A teraz, proszę, przejdźcie się wokół starożytnego miasta! Spójrzcie – oto kamienne amfiteatry, ściany podziurawione tysiącem grot, samotne filary, skalne stopnie, dzikie, niemal przerażające scenerie! A może mają Państwo ochotę na dłuższy spacer? Gravina przedstawia swój „Pulicchio”, doskonały przykład „lejka krasowego w kształcie misy” – kolejny kaprys natury na krasowym terenie Murgii, o długości 1600 metrów i różnicy poziomów sięgającej 88 metrów³⁹.

39 Formacja osiąga długość 1600 m, a różnica poziomów sięga 88 m, co czyni ją jednym z najbardziej charakterystycznych obiektów krasowych regionu. „Pulicchio” ilustruje zarówno procesy erozyjne, jak i geomorfologiczną złożoność Murgii, stanowiąc modelowy przykład lejów krasowych dużych rozmiarów. Fenomen ten służy badaniom procesów krasowych i demonstrowa dynamiczne

– Proszę, proszę, szanowni Państwo! Proszę bardzo!! Widzę, że bardziej interesuje Was historia. Do waszej dyspozycji!! A więc... Od mieszkańców epoki neolitu, którzy znaleźli dla siebie idealne miejsce w jaskiniach Graviny, aż po starożytne miasto rzymskie „Silvium”, zwane też „Petromagna”, spalone przez Wandalów Genzeryka. Spójrzmy teraz na losy biednych ocalałych mieszkańców, którzy, chroniąc się w grotach, z czasem niemal zdziczeli, aż dopiero w VI wieku ośmielili się na nowo budować domy z kamienia. Zastanówmy się chwilę nad ich uporczywym oporem wobec panowania Greków, wynikającym ze sporów o obrządek religijny, i nad dwukrotnym zniszczeniem miasta dokonanym przez Saracenów, wezwanych i prowadzonych przez... chrześcijańskiego bizantyńskiego katepano! Uwaga teraz, by nie stracić głowy w skomplikowanej historii „hrabstwa”, jednego z najistotniejszych w całym królestwie. Znajdziecie w niej esencję średniowiecznych dziejów włoskich miast! I oto wreszcie dochodzimy do dni „Republiki Partenopejskiej”, do ruchów liberalnych i okresu zjednoczenia Włoch. Jak widzicie, w każdej epoce dziejów to miasto potrafiło powiedzieć swoje!

– Ale widzę, że Państwa, jak wszystkich turystów, najbardziej interesują zabytki. Proszę bardzo, oto one! W Muzeum Pomarici znajdują się pozostałości starożytnego miasta rzymskiego. Chcecie czegoś z epoki bizantyjskiej? W takim razie polecam kościoły-jaskinie Graviny!

– Jest ich wiele, proszę Państwa! Część z nich bardzo trudno odnaleźć. Ale ja wam pokażę niektóre z nich. San Michele, starożytna katedra miasta, imponuje swoimi pięcioma nawami, kwadratowymi filarami, absydami i całą architekturą wyrzeźbioną w litej skale. Natomiast San Vito Vecchio skromną formę architektoniczną wynagradza bogactwem doskonale zachowanych fresków. Spójrzcie na gigantyczną postać Zbawiciela w absydzie, siedzącego na tronie, z prawym ramieniem uniesionym w geście błogosławieństwa, w otoczeniu czterech ewangelistów. Zobaczcie Marię przy grobie, prowadzoną przez anioła w białych szatach, oraz licznych świętych naturalnej wielkości, z głęboko osadzonymi oczami w kształcie migdałów i twarzami o wyrazie surowej powagi. Tworzą one prawdopodobnie jeden z najlepiej zachowanych cykli fresków bazyliańskich, jakie dotarły do naszych czasów. W rogu – przyjrzyjcie się uważnie! – fresk przedstawiający jałmużnę św. Marcina. Święty, siedząc na białym koniu, przecina mieczem swój szeroki płaszcz, którego połę podtrzymuje biedak. Postać św. Marcina, ukazana z niezwykłą siłą i plastycznością,

zdradza już bardziej rozwinięty styl malarstwa, to prawdziwe dzieło dojrzałej sztuki XV wieku.

– Jesteście miłośnikami czystego romanizmu? W takim razie Klasztor św. Sebastiana ukaże wam swoją spokojną potęgę i różnorodność kapiteli. A katedra – ze swej strony – zachwyci was rozetą, podczas gdy herb longobardzki na portalu poświadczy jej najdawniejsze pochodzenie.

– Wolicie może renesans? Ta sama katedra oferuje wdzięk swojej fasady i urok trzech naw, a w małym Kościele św. Zofii pozwólcie, że wyjmę z etui klejnot całej kolekcji: nagrobek Angeli Castriota. To prawdziwa korona z kamienia, w której obfitość kwiatów i festonów otacza wysoki płaskorzeźbiony wizerunek Madonny z Dzieciątkiem, ujęty w ramy z aniołami. To najpiękniejsze dzieło, jakie rzeźba renesansowa pozostawiła na ziemi Apulii⁴⁰.

– Ale nie widzę jeszcze, by byli Państwo w pełni zadowoleni!

– Może to barok właśnie budzi w Was największą sympatię? W takim razie pozwólcie, że pokażę Wam prawdziwe arcydzieło tego ekstrawaganckiego stylu. I wcale nie musicie go długo szukać, już Was przywitało z pociągu, zanim jeszcze wysiedliście na stacji! Czy mogliście sobie wyobrazić, że biskupia mitra, orzeł, korona i trzy wieże, wszystkie w kolosalnych rozmiarach, mogą wystarczyć, by stworzyć fasadę kościoła? Nie? A teraz przekonacie się, że to możliwe! Prawdziwy barok potrafi to – i o wiele więcej. Oto na fasadzie Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej zaprezentował jedno ze swych najbardziej osobliwych arcydzieł. A jeśli to Wam jeszcze nie wystarczy, to niedaleki kościół zwany czyśćcowym (del Purgatorio) oferuje portal godny dopełnienia tamtej fasady.

– Trochę zamków? Z przyjemnością! Na szczycie widokowego wzgórza czekają na Was ruiny zamku myśliwskiego Fryderyka II, idealne miejsce na romantyczny spacer. Radzę Wam go odbyć!

– To właśnie Fryderyk II nazwał niegdyś Gravinę „ogrodem rozkoszy”. A Wy, którzy szukacie malowniczych pejzaży, znajdziecie ich tu pod dostatkiem. Wybierzcie się drogą Gravina–Spinazzola – zobaczycie imponujący widok na obszar Wysokiej Murgii. Albo Gravina–Matera. Tam malownicze ruiny Belmonte

40 Jak podkreśla Clara Gelao, „jest to najpiękniejsze dzieło rzeźby renesansowej, jakie pozostawiła Apulia, łączące finezję detalu z monumentalnym rozmachem kompozycji” (za: V. Cazzato: *Sulla scultura rinascimentale in Puglia: nuove acquisizioni e problemi aperti*. In: *Il Rinascimento in Puglia: architettura, scultura, pittura*. Ed. M. Fagiolo. De Luca Editori d'Arte, Roma 1994, s. 121). Nagrobek stanowi przykład mistrzowskiej syntezy ornamentyki florystycznej i ikonografii religijnej, dokumentując rozwój sztuki sepulkralnej w południowych Włoszech oraz wysoki poziom warsztatu artystów działających w regionie w XVI wieku. Zob. C. Gelao: *Scultura del Rinascimento in Puglia*. Edipuglia, Bari 2004, s. 121–125.

jawią się niczym ogromna stela nagrobna, przypominająca o krwawych walkach między gminami. Albo lasy i pastwiska na drodze ku Potenzy, które przywodzą na myśl alpejskie krajobrazy.

– Szkoda tylko, że malaria w 1623 roku zmusiła mieszkańców do osuszenia sztucznego jeziora, które rozciągało się nieopodal miasta. Inaczej mógłbym Wam pokazać jeszcze jeden towar: bociany! Do tamtego czasu Gravina była bowiem jedynym miastem we Włoszech, w którym bociany – chronione przez szlachtę i lud – gnieździły się na każdym dachu. Niestety, dziś ten towar jest już wyczerpany...

Wiatr, wyjątkowo złośliwy w tej okolicy, stara się zagłuszyć rozmownego sprzedawcę; ale ten doskonale zna swój fach i nie daje się zbić z tropu.

– Jeśli są Państwo miłośnikami lokalnego kolorytu, to być może tylko tutaj, w całej prowincji Bari, znajdziecie prawdziwy folklor. Przyjdźcie na ślub lub na święto miejskie – zobaczycie mężczyzn i kobiety w surowych, tradycyjnych strojach, które tu wciąż się nosi, nie jako muzealne relikwie, lecz żywą część codziennego życia.

I oto wskazuje nam młodą parę stojącą pośrodku placu: ona – w szerokiej spódnicy, z szalem i mantylą; on – w małym czarnym kapeluszu z podwiązanym paskiem pod brodą. Wyglądają jak para, która właśnie wyszła z hiszpańskiego płótna.

– Byli państwo doskonałymi klientami – mówi sprzedawca. – Chcę więc dać wam jeszcze ostatni prezent, gratis. Bibliotekę Pomarici i Bibliotekę Kapitułną „Finia”, najstarszą w całej Apulii, pochodzącą z 1633 roku, z jej cennymi inkunabułami, rękopisami i artystycznymi wydaniem⁴¹.

– Do zobaczenia, szanowni Państwo! Dziękuję za zaufanie... Mam nadzieję, że polecicie moją firmę swoim przyjaciółom!...

• • • • •

W pociągu linii Calabro–Lucana, który wiezie nas z powrotem do Bari, pytam mojego towarzysza:

– Spotkałeś kiedyś tak interesującego handlarza?

A on mi odpowiada:

– A ty? Widziałas kiedyś tak bogaty asortyment w tak małym sklepie?

41 Biblioteka Pomarici oraz Biblioteka Kapitułna „Finia” stanowią kluczowe ośrodki kultury i piśmiennictwa w Apulii, przy czym „Finia”, założona w 1633 roku, jest najstarszą biblioteką regionu. Zbiory obejmują cenne inkunabuły, rękopisy oraz artystycznie opracowane wydania, dokumentujące rozwój piśmiennictwa i działalności intelektualnej w południowych Włoszech. Instytucje te pełnią funkcję zarówno naukową, jak i konserwatorską, udostępniając badaczom autentyczne świadectwa intelektualnego dziedzictwa regionu. Zob. C. Gelao: *Scultura del Rinascimento in Puglia...*, s. 190.

„HUSSERLOWSKA FENOMENOLOGIA”

I REALIZM W CONVERSANO

Zawsze interesowała mnie tak zwana „fenomenologia ludzkiej egzystencji”.

Niemiecki filozof Husserl, który poświęcił jej całą książkę, przez niektórych uważany jest za „niegroźnego wariata”, przez innych za „niemal geniusza”.

Bywają ludzie tak dalecy od zrozumienia samego fenomenu istnienia jak analfabeta od sanskrytu. Są jednak i tacy, którzy zdają się wybrani właśnie przez tę fenomenologię egzystencji, by stać się żywymi przykładami jej całkowicie dziwacznych racji. Mnie jednak interesuje coś innego: fakt, że takie typy „występują seriami” i że rodzą się w określonych miejscach, jakby w punktach specjalnych świata, choć nie sposób dociec, dlaczego akurat tam. Wszystko to ma w sobie coś z bajki.

Dlaczego właśnie w jakimś szczególnym miejscu? Wydaje mi się, że to moc oddziaływania *genius loci* podnieca ludzkie namiętności – tak, że ktoś, kto już z natury został „predestynowany” jako okaz fenomenologiczny, nie stawia żadnych granic swojej skłonności do niezwykłego układania własnego życia. Bo skoro ktoś z jego rodziny lub ktoś z jego miasta już przeszedł podobną drogę, on sam tym bardziej się popisuje, w jeszcze bardziej wyrazisty sposób. To ludzie, którzy komponują swoje życie pod zniekształconym kątem – „w stylu Picassa”, można by rzec, albo, jeśli kto woli, Husserla.

Miasteczko Conversano widziało w swoich ciasnych średniowiecznych murach ludzi z pewnością wykraczających poza miarę zwyczajności. Być może to jego atmosfera, położenie na wzgórzu, a może nawet same megalityczne głazy, na których spoczywa, sprawiały, że zalety i wady, namiętności i uczucia – nawet te najbardziej powszednie – rozwijały się tam na skalę monumentalną, przybierając formy romantyczne, tragiczne, a czasem komiczne lub przewrotne. Jedno jest pewne: szybki przegląd jego dziejów przenosi nas poza granice normalności – w świat żywy, intrygujący, zmienny, który czasem budzi niedowierzanie, zawsze jednak zadziwia i fascynuje różnorodnością swoich postaci, niespodzianek i losów.

Zwłaszcza w późnym średniowieczu, gdy dzieje stają się już bardziej klarowne, zaczynają pojawiać się na scenie „bohaterowie-fenomeny”.

Niektórzy z nich byli już opiewani: jak Tankred, syn Goffreda, trzeci hrabia Conversano, bohater krucjat, który tak znaczące miejsce zajmuje w *Jerozolimie wyzwolonej*. Ale jeszcze nikt dotychczas nie pochylił się nad wdziękami, „w stylu Matisse’a” przeniesionego naturalnie na płaszczyznę psychologiczną, jego siostry Sybilli. Ona to, gdy krzyżowcy wracający z Palestyny wylądowali

w Apulii i zatrzymali się w Conversano, swoją urodą i oryginalną siłą życiowej ekspresji tak rozpałała serce Roberta Normandzkiego, najstarszego syna Wilhelma Zdobywcy, że ten pozostał przy niej, aż pojął ją za żonę. Naturalnie, z tego zwleknięcia skorzystał brat, by uzurpować sobie tron Anglii. Niełatwo znaleźć bohaterkę, dla której mężczyzna rezygnuje z korony angielskiej. Wówczas nie istniała jeszcze prasa, ale gdyby istniała – wiadomość ta stałaby się z pewnością chwalebnią przodkinią sprawy pani Simpson⁴².

Wraz z nadejściem rodu Acquaviva d'Aragona⁴³, Conversano zaczęło wydawać na świat najmocniejsze typy ze swego genetycznego rezerwuaru.

Już pierwszy hrabia z tej rodziny, Giuliantonio I, wyróżniał się wśród jemu współczesnych. Dzielny dowódca w służbie Ferdynanda I, swego generała w wojnie tokańskiej, otrzymał od niego rozkaz pomśzczenia masakry

42 Sprawa pani Simpson odnosi się do abdykacji króla Edwarda VIII w 1936 roku, który zrezygnował z tronu, aby poślubić Wallis Simpson, Amerykankę i rozwódkę, co wywołało kryzys konstytucyjny w Wielkiej Brytanii. Jak podkreśla Philip Williamson, „abdykacja Edwarda VIII była precedensem, w którym pragnienie osobistego szczęścia monarchy konfrontowało się z obowiązkiem wobec państwa” (P. Ziegler: *King Edward VIII*. Harper Collins, London 1990, s. 214). W historiografii sprawa traktowana jest jako przełomowy moment w dziejach brytyjskiej monarchii, ilustrujący rosnącą rolę mediów w kształtowaniu opinii publicznej i polityki dynastycznej. Zob. P. Ziegler: *King Edward VIII...*, s. 214–218.

43 Rodzina Acquaviva (od 1481 roku Acquaviva d'Aragona) była włoską rodziną arystokratyczną, jedną z siedmiu wielkich dynastii Królestwa Neapolu. Do ich tytułów należały dawne godności książąt Atri oraz hrabiów San Flaviano; z czasem dołączyły również tytuły hrabiów Conversano, a następnie książąt i hrabiów Nardò oraz książąt Caserty. Pierwsze nadania feudalne otrzymane przez Acquavivów, między XII a XIII wiekiem, dotyczyły części lenn na obszarze między rzekami Aso i Pescara. W 1195 roku źródła poświadczają istnienie Rinalda z Acquavivy, pochodzącego z Atri i będącego lennikiem różnych ziem w regionie Teramo. Rodzina miała wziąć swoją nazwę właśnie od miejscowości Acquaviva, będącej przysiółkiem Atri. W kolejnych dziesięcioleciach rodzina nawiązała istotne relacje z królami andegawenskimi i uzyskała od króla Neapolu Ferdynanda przywilej z 1479 roku, na mocy którego Giulio Antonio Acquaviva mógł dodać do nazwiska człon d'Aragona. Od dwóch synów Giulio Antonia, na początku XVI wieku, wywodzą się różne linie rodzinne: od Andrei Matteo powstały linie książąt Atri i hrabiów Conversano, a od Belisaria linia książąt Nardò. Gałąź hrabiów Conversano podzieliła się na dwa główne podramiona: jedno – ostatnich książąt Atri wywodzących się od Giovan Girolama II, oraz drugie – od Adriana, syna Giovanniego Antonia Acquavivy, z którego to wywodził się kapitan Giangirolamo II Acquaviva d'Aragona, XX książę Conversano. Gałąź z Conversano zamieszkiwała starożytny Zamek w Conversano, w którego pinakotece przechowywane są obrazy namalowane przez Paola Finoglia, oraz korzystała z mniejszego Castello di Marchione, położonego około 6 km od Conversano, jako rezydencji wiejskiej. Por. C. Vultaggio: *Le origini degli Acquaviva*. In: *Documenti dell'Abruzzo Teramano. Dalla Valle del Piomba alla valle del basso Pescara*. Vol. 5, I. Carsa, Pescara 2001, s. 34–39; *Le carte degli Acquaviva d'Aragona, conti di Conversano e duchi di Nardò, negli archivi spagnoli*. Ed. A. Martino, M. Lippolis, R. Colaleo. EP Editrice Parnaso, Roma 2010.

w Otranto i wygnania najeźdźców tureckich. Lecz w jednym ze starć z niewiernymi rycerzami, przytłoczony przewagą liczebną, został ścięty jednym ciosem bułatu. Jego wierny koń przyniósł z powrotem do Conversano ciało pana – bez głowy. Zarówno rodzina, jak i miasto wzbogaciły się o męczennika wiary i jego wspaniały grobowiec w kościele Santa Maria dell'Isola.

Po kilku latach jego potomek miał reprezentować kolejny egzemplarz ilustrujący naszą teorię.

Słynny Gangirolamo II⁴⁴, znany powszechnie jako „Guercio di Puglia”, był z pewnością jednym z najdziwniejszych ludzkich amalgamatów. Już w wieku siedemnastu lat zdobył sławę, rozbijając Turków, którzy napadli na Manfredonię. Wkrótce stał się jednym z najdzielniejszych dowódców epoki, ale zarazem jednym z najbardziej brutalnych i zniechęconych baronów królestwa. Pokłócił się z wicekrólem, księciem Mediny-Torres, który oskarżył go przed królem, zmuszając Gangirolama do wyjazdu do Hiszpanii w celu oczyszczenia się z zarzutów. Lecz już rok później ten sam człowiek uratował życie innemu wicekrólowi, księciu d'Arcos, z rąk rozszalałego tłumu neapolitańskiego, który zbuntował się pod wodzą Masaniella. Powierzono mu następnie misję stłumienia powstania, które rozlało się na Apulię, i w krótkim czasie odniósł sukces, odznaczając się zręcznością, odwagą i okrucieństwem. I, w charakterystycznym dla epoki podstępny styl, wymusiwszy kapitulację Nardò, feudalnego lenna, które zbuntowało się przeciw jego władzy, wziął srogi odwet na przywódcach powstania, zarzynając między innymi dwudziestu czterech kanoników katedralnych.

I nastąpiła scena, którą można by wystawić w teatrze „czystej formy”, gdzie wszystko zależy od zdarzeń całkowicie nieprawdopodobnych, takich, które w prawdziwym życiu nigdy by się nie wydarzyły.

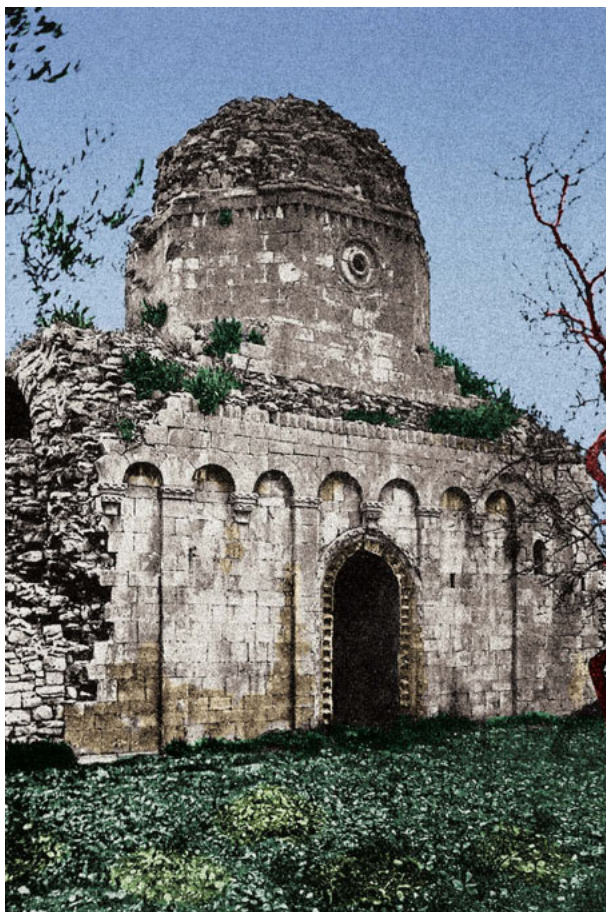
Gangirolamo II rozkazał bowiem obdrzeć dwudziestu czterech kanoników ze skóry i obić nią dwadzieścia cztery fotele w swoim zamku. Z pewnością żaden tak zwany realistyczny bohater nie byłby zdolny do stworzenia takiej idei, nie mówiąc już o jej realizacji. Ale po postaci tego rodzaju można się spodziewać naprawdę wszystkiego.

44 Gangirolamo II, powszechnie znany jako „Guercio di Puglia” pozostawił po sobie pamięć człowieka zdecydowanego, odważnego i nieustępliwego, którego działania kształtowały losy lokalnych wspólnot. Przydomek „Guercio” („Kanciarz”) podkreślał zarówno jego charakterystyczny wygląd, jak i legendarną determinację w kontaktach z rywalami politycznymi. W historiografii Gangirolamo II ujmowany jest jako przykład lokalnego wodza, którego osobowość i decyzje wpłynęły na rozwój społeczno-polityczny południowej Italii w okresie jego aktywności. Zob. P.C. Damiano: *Puglia Medievale. Politica istituzioni e territorio tra XI e XV secolo*. Congedo Editore, Manduria 1997, s. 39–41.



Z tego połączenia narodziło się dzieło,
które łączy tradycję romańską z gotyckim buntem

•
•
•
•
•



... patrząc na San Pietro w Balsignano, zgodzi się, że Apulijczyk potrafił stworzyć formę architektoniczną bez skazy, w której zawarł swój wysiłek: duchowy sen o boskości

•
•
•
•
•
•

A równocześnie Giangiolamo II był protektorem artystów – przede wszystkim Finoglia, ucznia Zurbarána, który, zbiegłszy z Hiszpanii po dokonaniu zbrodni, znalazł w Italii schronienie i został, rzecz jasna, wzięty pod opiekę hrabiego. To właśnie jemu Giangiolamo zlecił ozdobienie sal zamku w Conversano i namalowanie dziesięciu olbrzymich płócien, tworzących największy cykl ilustracyjny *Jerozolimy wyzwolonej*, który po dziś dzień stanowi dumę zamku⁴⁵.

Na rozkaz najbardziej chrześcijańskiego króla odzyskał dla korony wyspę Elbę i twierdzę Piombino, uważaną przez ówczesnych wojowników za niezdobytą; jednak nie uniknął procesu w Madrycie, który zatrzymał go tam – choć był traktowany z wszelkimi honorami – na szesnaście lat, aż wreszcie zmarł na wygnaniu, w drodze powrotnej.

To właśnie jednej z jego oryginalnych idei Apulia zawdzięcza ten jedyny w swoim rodzaju klejnot, jakim jest Alberobello, w formie, jaką podziwiamy do dziś.

Nie chcąc płacić królowi podatku od każdego zamieszkanego miejsca, jego bujna wyobraźnia podsunęła mu, by rozkazać mieszkańcom, którzy – z jego inicjatywy – zaczęli osiedlać się w *Sylva Arboris Belli*, by nie wznosili żadnych domów „stałych”, lecz jedynie *trulli* – budynki łatwe do rozebrania i przestawienia w razie królewskiej inspekcji podatkowej, która rzeczywiście raz miała miejsce. Potrzeba było ponad stu lat, zanim mieszkańcy Alberobello zdołali uzyskać zniesienie tego feudalnego nakazu.

Jego następcy – ludzie silni, porywcy, przyzwyczajeni do pojedynków, przemocy, nienawiści i miłości – należeli do tego samego rodzaju fenomenów.

Oto kolejny przykład: Giulio III, godny w każdym calu swego osobliwego przodka.

Zmusiły go do ucieczki z Wenecji okrucieństwa, których się dopuścił; na swej drodze napotkał pewnego opata – kto wie, prawdziwego czy fałszywego – wysłanego, by go zabić. Opat doskonale spełnił swoją misję – w tym sensie, że to Giulio, stosując metody naukowo już wypróbowane przez swego antenata, zabalsamował skórę zabójcy i w ten sposób powiększył makabryczną kolekcję rodzinnych trofeów. Do zbioru foteli dołączyła tym razem jedna skóra, bardzo

45 Giangiolamo II zlecił Finogliowi wykonanie dziesięciu olbrzymich płócien ilustrujących *Jerozolimę wyzwoloną*, tworzących największy znany cykl tego eposu w południowych Włoszech. Cykl manifestuje zarówno literacki charakter dzieła Tassa, jak i prestiż Giangiolama II jako mecenasa sztuki. Zachowany do dziś, pozostaje centralnym elementem zamku w Conversano i świadectwem renesansowego mecenatu, łączącego literaturę, sztukę malarską i polityczny prestiż lokalnego władcy. Por. P.C. Damiano: *Puglia Medievale. Politica istituzioni e territorio tra XI e XV secolo*. Congedo Editore, Manduria 1997, s. 41. Dodajmy, iż Alberti popełnia błąd, nazywając 8 lat młodszego Francisco de Zurbarána – mistrzem Finoglia.

efektowna, dumnie zwisająca z żyrandola w zbrojowni. Pozostała tam, aż pewna pobożna potomkini kazała spalić wszystkie te osobliwe trofea.

Spór z księciem Noja, Giovannim Carafą, o prawa lenne, zakończył się w taki sposób, że na oczach żony Giulio kazał rywalowi, który śmiał podnieść na niego rękę, wymierzyć śmiertelne razy workami z piaskiem (ówczesnym odpowiednikiem gumowej pałki), dopóki ten nie oddał ducha. A urzędnik sądowy, który ośmielił się doręczyć mu dokumenty dotyczące wytoczonego procesu, musiał je zjeść – jeden po drugim. Po tej niezwyklej kolacji zmarł.

Jego miłosne przygody również rozgrywały się na planie fantastycznym. Giulio, zakochany w młodej dziewczynie, zdobył jej serce. Rodzina ukochanej doniosła na niego do wicekróla. Zorganizowano zamach, lecz Giulio cudem uszedł z życiem. Został jednak aresztowany i osadzony w Castel Sant'Elmo. Lecz dla takiego człowieka żadne mury nie są rzeczywistą przeszkodą. Znalazł on sposób, by kontynuować romantyczne rozmowy ze swoją wybranką. Wtedy zamknięto ją w klasztorze. Lecz i to nie wystarczyło. Giulio wykupił przyległy dom, przebił mur – i tak rozpoczął się nowy akt tego romansu.

Kiedy i to wyszło na jaw, zmusił swego służącego, by poślubił jego kochankę, pod warunkiem że zachowa ją nietkniętą.

Również i to fikcyjne małżeństwo zostało odkryte. Wtedy Giulio próbował kazać poderżnąć gardło donosicielowi. Dopiero po tym nieudanym zamachu otrzymał trzyletni wyrok banicji.

Widzę te wszystkie zdarzenia, jedno po drugim, jak na scenie „teatru czystej formy”, ozdobione dekoracjami najznakomitszych „deformistów”.

Opuszczamy zamek, w którego murach ci ludzie narodzili się, żyli i komponowali swoje życie na planie fantazji, tak dalekim od zużytego realizmu.

Jednak podróżnikowi, który szuka zmienności, raz podoba się jedno, innym razem coś zupełnie przeciwnego. Z ogrodu przy zamku roztacza się i cieszy nas widok już zupełnie realistyczny – taki, który kocha szeroka publiczność, a nie wyrafinowany krytyk. Rozległa ziemia, otwarta aż po morze, gęsta od winorośli i drzew owocowych, a w oddali, na horyzoncie, w mgiełce koloru cyklamenu, zarys Bari.

Tak więc poeta w podróży potrafi korzystać z różnych kierunków sztuki. Gozdzinę temu byliśmy wyznawcami fenomenologii Husserla, przeniesionej w sferę psychologiczną; teraz natomiast, patrząc na ten pejzaż – zrozumiały dla wszystkich – jesteśmy wiernymi uczniami realizmu malarskiego.

Lecz nie tylko w zamku wirus owego „fenomenu” rozpala charaktery i namiętności. Kilka kroków dalej wznosi się katedra z pałacem biskupim, a za wąską uliczką – Klasztor św. Benedykta. I tu możemy prześledzić rozwój tego samego bakcyła.



Chorał katedry w Bitonto napętnia nas szacunkiem dla artystycznej myśli człowieka
i dla idei, którą potrafił zrealizować z taką siłą i sugestią



Castel del Monte jest z pewnością najpiękniejszym poematem...

Na miejsce benedyktynów, rozproszonych w walkach między Szwabami a Andegawenami, przybyły mniszki wygnane z Rumunii, na czele z Demetą Paleolog, córką lub siostrą Michała Paleologa, cesarza Bizancjum⁴⁶. A na miejscu opata św. Benedykta, który miał niemal biskupie uprawnienia, nosił mitrę i pasterał, i sprawował pełnię władzy nad duchowieństwem i ludem Castellany, pojawiła się ksieni, która zdołała uzyskać wszystkie dawne prerogatywy opata.

Nawet nie wspominając już o tym, że córka lub siostra cesarza bizantyjskiego zdobyła pozycję, której wiele wieków później żadna angielska sufrażystka nie ośmieliłaby się nawet wyśnić, jesteśmy teraz świadkami nowej sceny „czystej formy”.

I oto widzimy w Conversano siedzącą na tronie ksienię w mitrze, która domaga się pełnego poszanowania swych praw.

Tak oto Klasztor św. Benedykta przemienił się w *Maximum Regni Neapolitani ornamentum* – „największą ozdobę Królestwa Neapolitańskiego” lub, jak kto woli, w „Potwora Apulii”. Spory i procesy, ciągnące się przez całe stulecia, z biskupami Conversano, którzy z trudem znosili widok niemal współpracownicy w spódnicy naprzeciwko swej siedziby, oraz z duchowieństwem Castellany, które nie chciało się pogodzić z upokarzającymi formami hołdu, jakich domagała się ksieni. Jak zawsze, kobiety wyszły zwycięsko, walcząc wszystkimi dostępnymi środkami. A biskup Palermo, winny tego, że próbował bronić własnych racji, musiał uciekać przed furią ksieni i szukać schronienia w chacie chłopca, by ocalić życie. W jednej z petycji przedstawionych królowi, ksieni, z wszelkim należnym szacunkiem, oskarża biskupa o „nieprzyjazną postawę, naturalną nienawiść i zakażony korzeń” – dziś powiedzielibyśmy: „zatruty ząb” – wobec klasztoru.

Lecz przede wszystkim to stosunki z duchowieństwem Castellany stanowiły największą rozrywkę dla pocziwego ludu Conversano. Przenieśmy się teraz na uroczystą ceremonię. Co trzy lata duchowieństwo Castellany było zobowiązane złożyć hołd ksieni-biskupowi, udając się tłumnie do Conversano, by ucałować jej rękę na klęczkach.

46 Przybycie mniszek nie tylko kontynuowało życie religijne klasztoru, lecz także wprowadziło element bizantyjski do lokalnej wspólnoty monastycznej. Ich obecność ilustruje wymianę kulturową i religijną między Wschodem a Zachodem w średniowiecznej Apulii, a także rolę kobiet w zachowaniu i przekształcaniu tradycji zakonnych w warunkach politycznych zawirowań. Zob. S. Di Pea: *Santuari e monasteri d'Italia Centro sud*. San Paolo Edizioni, Roma 2018, s. 44. Demeta (Demetria?) Paleolog zbiegła do Apulii najpewniej z terenu dzisiejszej Grecji, a nie – jak twierdzi Alberti – z Rumunii.

Dobry lud Conversano, przeczuwając zabawę, gromadził się tłumnie, by oglądać to widowisko. Otwierają się drzwi klauzury. Biją dzwony. Oto wychodzi ksieni, w całej oprawie. Wystrzały z moździerzy! Dwie mniszki niosą – jedna pastorał, druga mitrę, wysoko nad głową przeoryszy. Zaiste, widok wart obejrzenia. Nadchodzi chwila, gdy ksieni zasiada na tronie, a cała kapituła Castellany, wywoływana z imienia – jeden po drugim, jak uczniowie w szkole – klęka i całuje jej dłoń, w geście hołdu. (Zdarzyło się raz, że jeden z księży, w geście protestu, zamiast ucałować rękę, złożył pocałunek na twarzy ksieni. Kronika nie podaje ani wieku tejże, ani owego niezwykle zbuntowanego duchownego, ani też – czy otrzymał za swój gest nagrodę, czy karę.)

Na nic zdały się protesty duchowieństwa Castellany, upokorzonego widowiskiem, które musiało cyklicznie odgrywać. Procesy, odwołania, petycje ciągnęły się na próżno przez pięć stuleci, aż dopiero Joachim Murat położył im kres jedynym pociągnięciem pióra, kończąc raz na zawsze z tym *Mostro della Puglia*.

Z pewnością również ksieni Demeta, która przekazała te prerogatywy swoim następczyniom, potrafiła ułożyć swe życie na poziomie czystej fantazji. Był to fenomen, który znalazł swój jedyny odpowiednik w Hiszpanii.

Rzadko która miejscowość może się poszczycić taką obfitością dziwacznych typów!

I oto znów powracamy od fenomenu do realizmu.

Otwieramy naszą teczkę podrózną i wkładamy do niej całą serię zwyczajnych, lecz nie mniej uroczych widoków. Cały cykl. Przede wszystkim zamek – imponująca rezydencja renesansowo-barokowa, wzniesiona na masywnych murach starożytnego miasta Mesapów; katedra z pięknie zakreśloną romańsko-apulijską fasadą; barokowy Klasztor św. Benedykta; romantyczny spacer do Santa Maria dell’Isola; olbrzymi pomnik Giuliantonia Acquavivy.

Tak oto, z teczką pełną wrażeń, opuszczamy Conversano, weseli, że udało nam się „zapalić naraz świeczkę i ogarek” – jak mówi polskie przysłowie – przed dwiema ideami, które nie mogą się wzajemnie znieść: przed fenomenologią Husserla i przed uczciwym, staroświeckim realizmem.

A jeśli ktoś powie, że nam się to nie udało – niewiele nas to obchodzi.

W PODZIEMNYM APULIJSKIM ZAMKU

Inżynierowi Paolo Grillemu⁴⁷

Często można się spotkać z opinią, że Europa, z turystycznego punktu widzenia, jest ziemią od dawna całkowicie wyczerpaną, że ten niewielki kontynent jest od dawna w pełni odkryty i że nie może już niczym nas zaskoczyć. Że obecnie w poszukiwaniu silnych wrażeń należy udać się na inne kontynenty. A tymczasem ta wyeksploatowana Europa od czasu do czasu dla rozrywki daruje niezwykle niespodzianki miłośnikom turystycznych przygód.

Typowym miejscem takich zaskakujących atrakcji są Włochy. Obcokrajowcowi wydaje się, po wielokrotnych odwiedzinach, że dobrze już zna ten stary but od kolana do obcasa, a jednak za każdym razem, gdy tu wraca, Italia mówi mu: „Zaczekaj, mój drogi, nie znasz mnie wcale!”. I pokazuje mu coś zupełnie nowego ze swych ukrytych wspaniałości.

Wśród tych najcudowniejszych i najnowszych turystycznych wrażeń z pewnością należy wymienić wizytę w Grotte di Castellana, odkrytych w 1938 roku i długich na 11 kilometrów⁴⁸.

Zwiedziłam wiele jaskiń w Europie. Jaskinie w Han-sur-Lesse (Rochefort) w Belgii, z ich wielkim jeziorem; Jaskinie Demianowskie, długie na 15 kilometrów; i te w Dobszynie, wykute w lodzie, na Słowacji; jaskinie „Beatus Höhlen” w Szwajcarii i wiele innych mniejszych grot, lecz bez wątpliwości jaskinie w Castellanie wyróżniają się wśród nich jako najbardziej sugestywne i niezapomniane.

Wyruszyliśmy w Littorinie⁴⁹ do Castellany pogodnego jesiennego dnia. Rozciągał się przede mną otwarty krajobraz, pełen malutkich miasteczek

47 Paolo Grillo należał do grona specjalistów odpowiedzialnych za modernizację infrastruktury transportowej regionu w pierwszej połowie XX wieku, zwłaszcza w okresie rozwoju lekkich pociągów spalinowych. Jego udział w przystosowaniu lokalnych linii do ruchu, przyczynił się do poprawy komunikacji między prowincjami Apulii oraz do integracji obszarów wiejskich z ośrodkami miejskimi. Por. P.I. Armino: *Storia dell'Italia meridionale*. Laterza, Roma 2025, s. 142.

48 Zespół grot w Castellanie jest modelowym przykładem rozwoju systemów krasowych Apulii, charakteryzującym się wyjątkową różnorodnością form naciekowych i monumentalnością przestrzeni podziemnych. Odkrycie to zapoczątkowało intensywne badania speleologiczne w regionie oraz uczyniło Castellana jednym z kluczowych punktów odniesienia dla geomorfologii krasowej w basenie Morza Śródziemnego. Por. A. Gobetti: *L'Italia in grotta. Guida alle più belle grotte d'Italia*. Gremese Editore, Milano 1991, s. 98.

49 Littorina to potoczne określenie lekkich, spalinowych wagonów motorowych (*automotrici leggere a benzina o nafta*) wprowadzonych do eksploatacji przez włoskie Ferrovie dello Stato w latach 30. XX wieku. Ich nazwa pochodzi od „Littoria”, miasta założonego podczas faszystowskiej kampanii melioracyjnej Agro Pontino. Konstrukcje te stanowiły odpowiedź na konieczność usprawnienia transportu regionalnego, szczególnie na liniach o niskim obciążeniu i trudnych

o olśniewającej bieli, winnic pielęgnowanych od pokoleń, oliwek o najrozmaitszych kształtach i migdałowców, tak drogich oczom mieszkańca Północy. Od czasu do czasu ciemne sosny i nostalgiczne cyprysy pozdrowiały mnie z oddali. Cały apulijski krajobraz – płodny, łagodny, macierzyński w swym charakterze.

Rutigliano. Tam zjadłam największe i najśłodsze winogrona w swoim życiu. Winogrona z Palestyny i Bułgarii, z Dalmacji i Słowacji, z Francji i Hiszpanii – to tylko biedne, zawstyżone kuzynki, które muszą ustąpić miejsca, gdy wśród nich pojawia się „królowa”.

Z pewnością dla ludzi z Apulii kiść winogron to rzecz zwyczajna, może nawet prozaiczna – towar do zjedzenia i sprzedania. Ale dla mnie, zmarzniętej córki Północy, to prawdziwy dar bogów, którzy przed wiekami przeszli przez tę ziemię.

O cudzoziemcze, weź w dłonie tę ogromną kiść i spójrz pod światło! Zobacz jej jasnozielony, niemal przezroczysty kolor, przez który prześwituje każda żyłka, jak jedwabna nitka. Nie znajdziesz tam ani jednego grona mniejszego od pozostałych – i pomyślisz, że czyjaś ręka, dla żartu lub reklamy, powiązała ze sobą śliwki. A gdy już nasycisz oczy barwą i szlachetnością kształtu winogron, spróbuj ich smaku. Uczynisz wielki dar swojemu podniebieniu i zrozumiesz, że Bachus, który niegdyś tędy przechodził, z pewnością nie był najgłupszym z bogów. I jeśli jakiś uczony profesor mitologii, z powagą akademika, utrzymywałby, że Bachus urodził się w Rutigliano, ja od razu bym mu uwierzyła.

Z tym smakiem na ustach dotarłam do Castellany. A teraz Ty, mój zblazowany turysto, który widziałeś już tyle krajów i sądzisz, że nic nie może Cię zdziwić – zejź pod ziemię i zobacz dzieło, które przez wieki stworzyła sama natura.

Odwiedziłeś wnętrza zamków nad Loarą, gotyckie katedry Francji, Dziedzińiec Lwów w Alhambrze, Salę Ambasadorów w Sewilli, romańskie krypty i barokowe kopuły, minarety arabskie i bizantyjskie dzwonnice, groby i areny. A teraz spójrz – i z powagą przejdź korytarzami i salami tego podziemnego zamku, zbudowanego wyłącznie przez naturę, z cierpliwością, przez tysiąclecia. Zobaczysz teatr, jakiego nigdy nie znałeś: przed Twoimi oczami otworzą się scenerie nie-spotykane – groźne i kapryśne, harmonijne i potworne, pierwotne i wyrafinowane, surowe i delikatne!

warunkach terenowych. Littoriny charakteryzowały się lekką konstrukcją stalową, wykorzystaniem silników benzynowych lub wysokoprężnych oraz uproszczonym układem trakcyjnym, co obniżało koszty eksploatacji i konserwacji. Po latach 70. większość Littorin została wycofana lub zastąpiona nowymi wagonami. Część zachowano jako składy muzealne. Zob. P.I. Armino: *Storia dell'Italia meridionale...*, s. 67.

Zejdź, o artysto, ty, który twierdzisz, że nie ma nic nowego pod słońcem; ty, który widziałeś smoki Chin i pagody Indii, groby kalifów i perskie mauzolea, greckie kolumny i rzymskie łuki; ty, który doświadczyłeś geniuszu Lisipposa i Praksytelesa, przez della Quercia i Michała Anioła, aż po Rodina, Mestrovicia i Bourdelle'a – zejdź pod ziemię i zobacz setki uwięzionych gigantów, rozbite kwadrygi, groźnych Hyperionów, Meduzy, profile przedpotopowych zwierząt, kształty pterodaktyli i olbrzymie wilczyce rzymskie, posągi Ramzesa, kariatydy, obeliski i pilastry. Zachwyci cię architektura, jakiej nigdy nie zakosztowałeś: architrawy, kapitele, arkady, krypty, kopuły – i wtedy zrozumiesz, że kamień żyje, że ten kamień, uważany za martwy i bezduszny, posiada moc tworzenia tysięcy form i wizji, z szaloną, tytaniczną wyobraźnią. Zrozumiesz, że kamień sam jest architektem i rzeźbiarzem, że z bólu i wysiłku wieków wydobywa z własnych głębin kształty, o których człowiek nawet nie śnił. I zobaczysz – na przekór twej początkowej artystycznej pysze – jak wielka jest twoja małość, jak ogromna twoja niższość wobec fantazji i siły natury.

Przewróć karty albumów sztuki całego świata: od Chin po Inków, od Egiptu po Rzym, od Bizancjum po Francję – nie znajdziesz nigdzie tak ogromnej areny, pełnej drzew i zarośli ze stalaktytów, jak ta, podziemna. Spójrz na nostalgiczny las fantastycznych krzewów, który rośnie nad twoją głową; zobaczysz na jego łodygach najdziwniejsze egzotyczne kwiaty, zobaczysz wachlarze stalaktytów, z każdej strony pozdrawiają cię kamienne zwierzęta, będziesz podziwiał alabastrowe Madonny, pełne wdzięku i szlachetności – symbole harmonii i prostoty. Twoja wyobraźnia stanie się zbędna, bo tu formy są tak wyraźne, tak konkretne, tak prawdziwe i naturalne, że nie trzeba interpretować, co natura chciała powiedzieć. Wystarczy tylko zejść i patrzeć. Resztą zajmie się już ten magiczny podziemny zamek, w którym Ty, zwiedzający, ze swym talentem, fantazją i indywidualnością, stajesz się karłem.

Widzę organy, tak ogromne, że żadna ludzka ręka na ziemi nie zdołała ich stworzyć. Ani we Fryburgu, ani w Pradze, te, na których grał Mozart. A dreszcz przechodzi mi po plecach na myśl o dźwięku, jaki zabrzmiałby w tych niezmiernych podziemnych salach, gdyby ludzka lub nadprzyrodzona ręka zdołała tchnąć życie w te kamienne instrumenty.

•
•
•

TAM, GDZIE PREHISTORIA WCIĄŻ JESZCZE ŻYJE

Inżynierowi Giovanniemu Bombriniemu⁵⁰

Kiedy śnisz o Włoszech, widzisz zawsze i przede wszystkim ich wspaniałą architekturę – od wieków opisywaną i wychwalaną w opowieściach i poematach, monografiach i prospektach, tekstach archeologicznych i przewodnikach. Śnisz o architekturze antycznej, chciałbyś – jak mówi rzymski filozof – „dotknąć oczyma” każdej kolumny Forum Romanum, Koloseum i łuków triumfalnych, akweduktów i term, teatrów i aren, Panteonu i grobowców przy Via Appia, domów w Pompejach i nekropoli. Śnisz o architekturze bizantyjskiej, o Rawennie; śnisz o kryptach romańskich, katedrach, zamkach, o włoskim gotyku – tak odmiennym od północnego – o Pałacu Dożów, o katedrach w Sienie, Orvieto, Mediolanie.

Dałbyś wiele, człowieku z Północy, który nie masz możliwości podróżowania, by zobaczyć włoski renesans: Certosa di Pavia, Bazylikę św. Piotra, kopułę Michała Anioła, Santa Maria Novella, bazyliki Rzymu, pałace Florencji i Sieny. Moglibyśmy tak liczyć dniem i nocą, a byłaby to zaledwie połowa Twoich marzeń.

Dziś zostaw to wszystko i chodź ze mną.

Zobaczysz architekturę starszą niż barok i renesans, gotyk i Bizancjum; starszą niż terminy Karakalli, Łuk Tytusa, Arena w Weronie; starszą jeszcze niż Świątynia Concordii w Agrigento i ta Neptuna w Paestum, teatry Syrakuz i Taorminy; starszą nawet niż same mury etruskie. Zapomnij dziś o całej tej cudownej konstelacji geniuszów włoskiej architektury, od Brunelleschiego do Michelozza, od Giuliana de Sangallo do Leona Battisty Albertiego, od Arnolfo di Cambio do Il Cronaca, od Benedetta da Maiano do Francesco Talentiego i Gian Lorenza Berniniego. Zobaczysz dzisiaj architekturę starszą od tej rzymskiej i od architektury Wielkiej Grecji: styl prehistoryczny. I jeśli faktycznie chcesz zrozumieć wielkość włoskiej architektury, musisz pojechać do Alberobello po pierwszą lekcję – żeby zobaczyć styl, który jest najstarszym przodkiem wszystkich innych stylów, dziełem człowieka pierwotnego. Ów człowiek nie dysponował precyzyjnymi narzędziami i sprzętami, nie wiedział, że ziemia wraz z nim krąży wokół słońca, że

50 Giovanni Bombrini, inżynier pochodzący z Apulii i działający w pierwszej połowie XX wieku, należał do grona specjalistów, którzy odegrali znaczącą rolę w modernizacji infrastruktury technicznej południowych Włoch. Bombrini działał przede wszystkim w zakresie inżynierii komunikacyjnej oraz projektów związanych z modernizacją infrastruktury transportowej i energetycznej regionu. Jego prace charakteryzowały się dążeniem do racjonalizacji sieci drogowej i kolejowej Apulii, z zastosowaniem lekkich materiałów i systemów konstrukcyjnych odpowiadających realiom południowowłoskim. Por. P.I. Armino: *Storia dell'Italia meridionale...*, s. 141.

nie potrafi zważyć ciał niebieskich ani rozbić atomu, nie zna bombowców, okrętów podwodnych ani czołgów.

Kierowany tajemnym instynktem wędrowki, jak ryby i ptaki, przybył tu z Azji, przez Grecję i Trację. W swym umyśle niósł plan „trullo” – budowli, jakiej projekt odziedziczył po swych najdawniejszych przodkach, którzy ledwie wyszli z jaskiń. Na tej ziemi ujrzał potężnego wroga, którego sama natura postawiła mu na drodze: kamień. Postanowił go pokonać i uczynić swoim sprzymierzeńcem.

Nie miał narzędzi. Pracował więc jedynie z pomocą swojej wyobraźni, swoich myśli, swoich cierpliwych rąk. Zaczął głaskać kamienie, wydobywać je z ziemi, układać jedno na drugim i znaczyć na nich symbole. Powierzył temu przyjacielowi wszystkie swoje pierwotne smutki i najprostsze marzenia; zaczął budować na sucho.

Przyjdź do Alberobello, a tutaj, w tej kolebce architektury, zrozumiesz, ile miłości i szacunku do kamienia pozostawił w testamencie ów prymitywny architekt. Jako pierwszy przemienił kamień w swojego sprzymierzeńca, by dawał mu schronienie i zapewniał bezpieczeństwo podczas huraganów i cyklonów, a także wytchnienie po pracy w palącym słońcu.

Kamienie, wszakże, nie były niczym innym jak braćmi tych świętych meteorytów, które w owych czasach częściej spadały z nieba, zachowując w swym wnętrzu znaki kosmosu, planet, gwiazd, od których się oderwały. Na tej ziemi spotykały swoich młodszych, szarych braci. I człowiek prehistoryczny otoczył kamienie szacunkiem, włączając je w swój słoneczny system wierzeń.

„Dolmeny” i „menhiry”, „kurhany” i „trulli” – to najstarsze dokumenty cywilizacji, embriony tej cudownej architektury, o której śnisz.

Język grecki znał słowo *tholos*, Bizancjum – *torulos*, Lacjum – *turris*: oto przodkowie w almanachu *trulli*.

W marcowe popołudnie, gdy cały pejzaż oddycha kwitnącymi migdałowcami, z punktu widokowego spoglądam na dzielnicę Monti, czyli dzielnicę „trulli”. Oczy oczarowane są tym sugestywnym widokiem, tak oryginalnym, że przez dłuższą chwilę nie mogę uwierzyć, iż jestem w Europie. W mych wędrowkach od Gibraltaru po Bosfor, od Przylądka Północnego po Bałkany, nigdy nie spotkałam podobnego obrazu. *Trulli* zalewają wzgórze, schodzą ku drodze w dole, rozlewają się na przeciwległe wzniesienie. Biel ścian kontrastuje z ciemnoszarymi, niemal czarnymi kopułami. Obraz jutrzeńki cywilizacji – świadectwo działania wyobraźni człowieka pierwotnego.

Spójrz na ten widok, a zrozumiesz, że prehistoria wciąż tu żyje – w dokumencie swego stylu, który przetrwał cywilizacje i kataklizmy, migracje i trzęsienia ziemi, inwazje i religie, formy rządów i mody architektoniczne.

Przejdź się tymi uliczkami, długo, cierpliwie. Są czyste, białe, oddychają wiosną. Wyda Ci się, że człowiek żyje tu znacznie prościej, mniej jest smutny i mniej nerwowy. Zobaczysz tu najczystszy prymitywizm – tę literę „A” w alfabecie architektury, która zawarła w sobie wszystkie elementy konstrukcyjne pozostałych liter. Analfabecie najtrudniej jest nauczyć się właśnie tej pierwszej litery... wszystkie inne przychodzą potem łatwiej. Spójrz – weź w Alberobello swoją pierwszą lekcję; potem łatwiej zrozumiesz każdy architektoniczny hieroglif.

Przechodząc wąskimi uliczkami, uderza mnie dziwny, głęboki, suchy rytm. Cóż to może być? Na pewno nie gramofon ani radio. I widzę przed kościołem dwie postaci górali, w pelerynach i wełnianych skarpetach, grających na dudach i flecie. Żadna inna muzyka nie mogłaby być silniej związana z architekturą Alberobello, jak te pradawne instrumenty, opiewane przez Wergiliusza w *Bukolikach* i wspominane już przez Teokryta.

W Alberobello zrozumiałam, skąd wzięła się kopuła Hagii Sofii w Konstantynopolu, którą wcześniej się zachwyciłam; w Alberobello pojęłam, z jak starożytnego rodu wywodzi się kopuła Michała Anioła. W Alberobello zrozumiałam, jak maleńki embrion „trullo” wyrósł i przekształcił się w mamuta-piramidę. W Alberobello, patrząc na „Trullo Sovrano”, pojęłam, z jakiego macierzyńskiego łona wyszły cudowne zamki nad Loarą.

Ten krajobraz architektoniczny zawiera w sobie pierwotną poezję, nieskazoną żadną ozdobą ani stylizacją. Tu dopuszczalne są jedynie surowe symbole, w których wyrażone zostały wszystkie cywilizacje – od najprostszej po najwyższą. Spójrz na projekt prehistorycznego architekta! Oto schronienie, które zbudował dla swoich żywych i dla swoich zmarłych. Stąd wysnuła się pierwsza nić, prowadząca ku Krecie, Mykenom i Grecji.

Żegnając Alberobello, jeszcze raz z punktu widokowego chcę pozdrowić tę osobliwą wizję – i moja wyobraźnia widzi ją nagle całą przykrytą śniegiem.

To kaprysy poety, nieszkodzące nikomu.

Powróćmy tu po wielkiej śnieżycy i z pewnością zobaczymy krajobraz z innej planety.

A kiedy ogromne słońce zajdzie, panorama „trulli” rozbudzi w Tobie niebezpieczną nostalgię. Etykieta kultury XX wieku, wytłoczona w twoim umyśle, odpadnie – i może poczujesz zazdrość wobec tych ludzi pierwotnych, dla których jedynym kompasem i jedynym zegarem były gwiazdy na niebie, jedynym radiem – wiatr, a jedynym schronieniem – „trullo”. Czyż ci ludzie, którzy nie znali druku ani elektryczności, maszyn ani telewizji, gilotyny, iperytu i bomb, nie byli może szczęśliwsi od nas? Byłyby to myśli niebezpieczne czy raczej na-
zbyt słodkie!?

Wracając z Alberobello, ołowiane chmury rysują na niebie kształt nowoczesnego drapacza chmur – tego, któremu nie udało się jeszcze dać człowiekowi ani bezpieczeństwa, ani szczęścia.

I przychodzi mi na myśl: czyż „trullo”, pierwsze schronienie człowieka, nie było budowlą zapewniającą więcej pogody i spokoju?

KILKA DNI W EPOCE PEŁNEGO BAROKU

Miasta są jak ludzie.

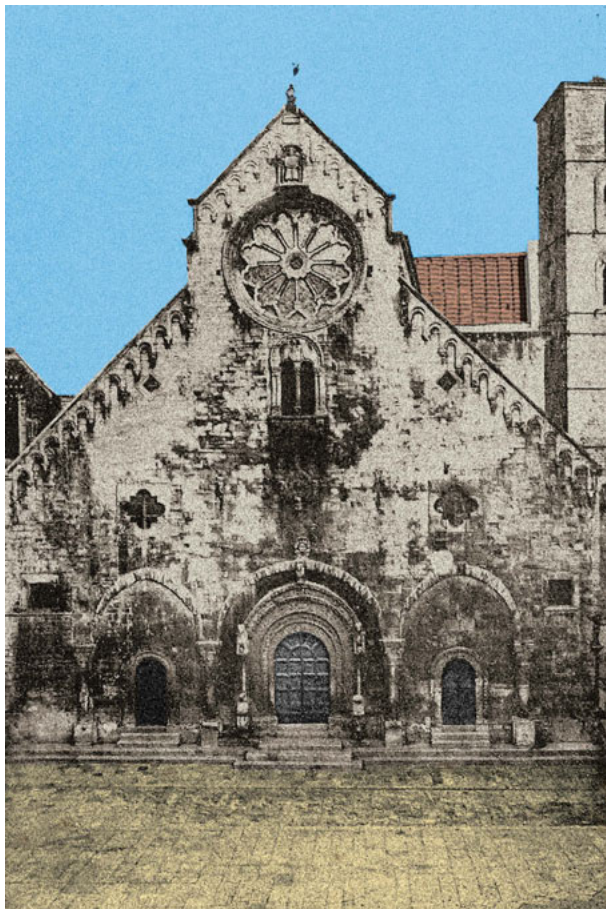
Jest wielu ludzi bogatych, którzy żyją w dostatku, a jednak nigdy żaden powiew estetyki nie dotknął ich istnienia. Są banalni i nudni. To samo dzieje się z miastami. Niektóre z nich przeżyły okresy dobrobytu, miały okazję się rozwinąć, znajdowały się na szlakach kultury – a mimo to nigdy anioł sztuki nie przeszedł ich ulicami, nie otulił ich murów skrzydłami wyobraźni. Dziś mają windy, elektryczność, gaz, doskonałe kanalizacje i akwedukty, lecz ich teatry są pretensjonalne, pałace pozbawione smaku, a budynki publiczne – banalne. W Europie i poza nią istnieje wiele takich miast.

Natomiast miasta włoskie, nawet te najmniejsze, wszystkie roztaczają szczególny urok. Zawdzięczają go ogromnej liczbie artystów, którzy od wieków rodzą się na tej ziemi – liczni jak winne grona – oraz wrodzonemu poczuciu smaku ich mieszkańców, którzy nigdy nie szczędzili sił ani środków, gdy chodziło o upiększenie i ozdobienie swego miasta. Zawdzięczają go też jeszcze jednemu zjawisku: każdy Włoch cierpi na „chorobę kamienia” – każdy w pewnym stopniu jest urodzonym budowniczym. Potrzeba tworzenia, budowania istniała na tej ziemi od zawsze. Kataklizmy, wojny, najazdy barbarzyńców zniszczyły architektoniczne pomniki, lecz na ich miejscu powstawały nowe miasta i nowe style, pełne wyobraźni, zdumiewającego poczucia równowagi i doskonałej techniki. Ziemia ta zawsze hojnie obdarzała pierwszorzędnej jakości materiałami w postaci kamieni i marmurów.

Kiedy De Amicis w swym wzruszającym *Sercu* woła: „O Italio, ziemio stu miast!”⁵¹, z pewnością nie myśli o liczbie, lecz jest dumny z ich piękna.

Istnieją małe miasteczka, położone z dala od słynnych szlaków turystycznych, w regionach rzadko odwiedzanych przez zastępy cudzoziemców. Miasteczka, które – gdybyśmy mogli je wyciąć i przenieść do którejkolwiek stolicy Europy – stałyby się natychmiast jej najcenniejszą ozdobą.

51 To swobodna, „prywatna” parafraza Alberti – przyp. tłumaczek.



Katedra w Ruvo – „mała lecz wielka”

•
•
•
•
•



Grób Boemunda, słynnego wodza i bohatera pierwszej krucjaty

•
•
•
•
•
•

Niektóre z nich są jak torty, złożone z wielu warstw kulturowych, które po przekrojeniu oferują naszemu artystycznemu podniebieniu ten wyjątkowo wspaniały smak, za którym zawsze potem się tęskni. Inne zaś są jak monolit – wykute w jednym stylu, bez domieszek, typowe przedstawicielki swej epoki. Tych jest bardzo niewiele i właśnie dlatego ich widok jest tak niezwykle cenny. Do tego rodzaju miast należy Lecce – położone w wiecznej Wielkiej Grecji, w krainie, po której błędziły sny mitycznego Eneasza i gdzie Herkules trzema palcami podnosił menhiry. Tędy przechodzili greccy filozofowie i architekci, rzymscy poeci i żołnierze, święci i apostołowie, książęta i hrabiowie, tyrani i barbarzyńcy.

Nie tylko ludzie, ale i miasta rodzą się pod jakąś gwiazdą – dobrą lub złą. Lecce, założone przez Idomeneusza, króla Krety, wnuka Minosa, narodziło się pod znakiem Saturna, w starożytnej Messapii zaś nosiło imię Lupae, a jego symbolem była wilczyca. Tyrani i barbarzyńcy, dynastie królów i książąt, następowali po sobie przez wieki, lecz Wilczyca nigdy nie wypuściła władzy ze swych silnych łap i do dziś żyje jak bohaterka – na frontonach kościołów i arkadach. Z biegiem wieków zaprosiła do udziału w patronacie świętych – świętego Oronzo i świętą Irenę; tak powstał oryginalny triumwirat, który strzeże miasta. A choć historia uczy nas, że triumwiraty zazwyczaj nie mają szczęścia, trzeba przyznać, że ten okazał się pomyślny i zawsze wiernie spełniał swą powinność⁵².

Były epoki, w których Lecce rozkwitało. W starożytności Messapia stanowiła jeden z głównych ośrodków kulturalnych, w czasach rzymskich – jednym z miejsc, gdzie formowano legiony. Później stało się jednym z pierwszych miast we Włoszech, które przyjęło chrześcijaństwo. Za panowania Normanów rozwinęło się jeszcze bardziej, a pełnię swego blasku osiągnęło w XVII wieku. Wtedy typografia baroku odcisnęła na nim swoje ostatnie wydanie, które możemy dziś czytać w kamieniach miasta.

52 Lecce rozwijało swoją tożsamość religijną wokół dwóch patronów: św. Oronza, pierwszego chrześcijańskiego biskupa miasta, oraz św. Ireny, czczonej jako dawna patronka aż do XVII wieku. Tradycja, oparta na wczesnych przekazach hagiograficznych, utrzymuje, że św. Oronzo ochrzcił Lecce i przypieczętował jego wiarę męczeństwem. Jego kult nabrał szczególnego znaczenia po epidemii dżumy w 1656 roku, kiedy to rada miejska uznała go za głównego patrona. Święta Irena z Tesaloniki, czczona w Lecce od średniowiecza, reprezentowała symbol ciągłości między bizantyńskim dziedzictwem miasta a jego łacińską odnową. Jej monumentalny kościół, ukończony przez Teatynów w 1639 roku, pozostaje jednym z kluczowych przykładów baroku leccese. W przestrzeni miejskiej oboje patronowie stanowią dopełniający się duet pamięci historycznej: Oronzo – symbol miejskości, opieki i odrodzenia, Irena – strażniczka tradycji i duchowego dziedzictwa Lecce. Por. G. Arditì: *Corografia fisica e storica della Provincia di terra d'Otranto*. Arnaldo Forni, Bologna 1979, s. 467.

Charakterystyczną i wyjątkową cechą Lecce jest to, że współczesne życie tętni w samym sercu starego miasta. Podczas gdy w większości innych miast zabytki spoczywają w spokojnych dzielnicach, odwiedzanych jedynie przez turystów, a codzienność pulsuje w nowych rejonach, Lecce modli się, handluje, negocjuje, kształci swoich duchownych i żołnierzy, pracuje w biurach i warsztatach, spaceruje i chodzi do kina pośród starych murów, o dwa kroki od rzymskiego amfiteatru i od kolumny kończącej Via Appia, która w XVII wieku została tu przeniesiona, odnowiona i dziś dźwiga posąg świętego Oronzo, patrona miasta. Dlatego widzimy tu wszędzie kościoły, pałace, ulice, balkony, tarasy, dziedzińce – wszystko żyje tak, jak żyło w epoce baroku. Nie są to sędziwe pomniki przeznaczone do zwiedzania, lecz bohaterowie codziennego życia, którzy dają mieszkańcom nie tylko materialne schronienie, lecz także inspirację duchową i intelektualną. Wędrując bez celu krętymi uliczkami, patrząc na romantyczne balkony, które zdają się czekać na serenadę, i podziwiając niezliczone portale o artystycznych zdobieniach, mamy wrażenie, że stroje ludzi stanowią tu pewien dysonans – tylko one przypominają nam, że odwiedzamy Lecce już po drugiej wojnie światowej.

Moje apulijskie wędrowki często prowadziły mnie do tego miasta. Zatrzymywałam się tu zawsze z przyjemnością i za każdym razem odkrywałam inną jego dzielnicę.

Kiedy po raz pierwszy ujrzałam barok z Lecce, byłam naprawdę zaskoczona. Okazał się zupełnie inny od tego, jaki znałam dotychczas. Przyzwyczajona do potęgi tego stylu, do jego monumentalnych form, początkowo nie potrafiłam się z nim oswoić. Wydawał mi się zbyt lekki, niemal żartobliwy, kokietyrny, choć efektowny. Nie dostrzegałam w nim ani głębi wrażenia, ani powagi charakteru. Słynna teatralność baroku, choć odpowiednia dla pałaców (nieco mniej dla kościołów), tutaj zdawała się wylewać poza swoje własne granice. Nadmiar ornamentów stawał się chłodny, a rzeźby traciły spontaniczność życia, ustępując miejsca pozom zbyt wystudiowanym.

Jednak z każdą kolejną wizytą oczy coraz bardziej przyzwyczajały się do tej oryginalności (jak do wszystkiego, co wyjątkowe w życiu) i odkrywały wartości *sui generis*. Przede wszystkim to, co w ornamentyce wydawało się przesadne, zaczęło jawić się jako niepohamowany wybuch fantazji – może nieco upojnej, lecz pełnej odwagi i mistrzostwa.

Tysiące aniołów ożywiają styl w pełni charakteryzujący barok z Lecce – *barocco leccese*. Najwyraźniej wyborne tutejsze wino (dla mnie jedno z najlepszych, jakie piłam – o barwie ani czerwonej, ani złotej, lecz lekko różowej) obdarzyło cały ten uskrzydłony lud radością i werwą. Z jakąż energią pracują ci prawnukowie dawnych kupidynów!



...ikonografia odsłania swoje tajemnice w półmroku katakumb lub bizantyjskiej krypty



Wyglądają jak para, która właśnie wyszła z hiszpańskiego płótna

Jeden niesie kwiaty, drugi plecie girlandy, kuzynek gra na instrumencie, starszy otwiera księgę, inny czyta; ten większy i silniejszy dźwiga na głowie kolumnę, a ten najbardziej poetycki – śpiewa i pisze. Setki drobnych czynności rywalizują ze sobą na fasadach kościołów i pałaców. Wszystko bogate w formie, pełne żywego ruchu. Same posągi również się zmieniły. Cała ich teatralność przemieniła się w fascynującą wymowę gestów.

Wszystkie zabytki Lecce zbudowane są z tzw. *pietra leccese* – kamienia bardzo miękkiego w obróbce, ale niezwykle wrażliwego na działanie pogody. Z tego powodu architektura miasta, choć w gruncie rzeczy jeszcze młoda, nosi już patynę wielu stuleci. Mnie osobiście barwa tego kamienia bardzo się podoba: ciepły odcień „rachel”, który nawet pod zachmurzonym niebem lub w półmroku błyszczą słonecznymi refleksami.

Lecce ma tyle kościołów, że nie sposób wymienić ich wszystkich. Do najcenniejszych należą: Santa Croce, Santi Nicola e Cataldo, katedra, il Carmine, Sant'Angelo, Santa Irene i San Matteo.

Bazylika Santa Croce jest dziełem architektonicznym, które – mimo licznych widocznych śladów romanizmu na fasadzie i gotyckich struktur wnętrza – jawi się jako budowla o... „czystym rodowodzie”, pozbawiona mieszanin. Odnosimy wrażenie, że odwiedzamy kościół barokowy. To osobliwe wrażenie pochodzi z dekoracji, która we wnętrzu osiągnęła doskonałą harmonię z fasadą.

Bazylika Santa Croce jest najbardziej szlachetnym przykładem *barocco leccese*, a wszystkie inne kościoły pozostają wobec niej na dalszym planie. Świątynia, po dwóch stuleciach średniowiecznego życia, przeszła renowację w stylu barokowym i musiała czekać jeszcze sto pięćdziesiąt lat na ukończenie.

Bogactwo dekoracji frontonu Santa Croce jest naprawdę zdumiewające: kolumny z kapitelami, balkony oplecione girlandami, fryzy i anioły, kariatydy i zwierzęta, postacie ludzkie i naczynia z wylewającymi się z nich kwiatami. Jakże to wszystko musiało się podobać każdemu Francuzowi z epoki rokoka! I chociaż dziś nasz gust stał się znacznie prostszy, bardziej syntetyczny i „zdemokratyzowany”, nie ulega wątpliwości, że mamy tu do czynienia z mistrzami wyjątkowej klasy, którzy potrafili idealnie zsynchronizować wnętrze z zewnętrzem.

Tuż obok Santa Croce rozkwita wspaniała fasada dawnego Klasztoru Celestynów, dziś siedziby prefektury. Jest równie elastyczna, elegancka i lekka, tak że obie budowle nie konkurują ze sobą – przeciwnie, druga zdaje się naturalnym przedłużeniem pierwszej.

Plac Katedralny to kolejny z typowych zakątków Lecce: dzwonnica, katedra, pałac biskupi i seminarium. Działał tu jeden z najsłynniejszych architektów i rzeźbiarzy Lecce, którego możemy nazwać twórcą całego tego stylu: Giuseppe

Zimbalo⁵³. Wydaje się on dziś bardziej Francuzem niż Włochem: w jego ornamentyce widać pewną beztróskę, niemal radość.

Wejście na dzwonnice pozwala objąć wzrokiem całe Lecce, aż po daleką linię morza. Z tej perspektywy miasto jawi się całe złociste, z lekkimi różowymi plamami, a majolikowa kopuła kościoła Carmine w odcieniach zieleni i błękitu stanowi jedyny akcent wyłamujący się z ogólnego tonu. Amfiteatr, już sam w sobie ogromny, wyrasta jak mała wyspa, która – obmywana falami wieków niczym morskimi wodami – przypomina starożytną Lupiae. A majestatyczny św. Oronzo, wznoszący się wysoko na rzymskiej kolumnie, łączy w jednym geście rzymskość z chrześcijaństwem.

Do setek dzwonnicy, na które się wspinałam, by oglądać z góry różne miasta w różnych krajach, dołączyła jeszcze jedna. Żałuję, że nie potrafię powiedzieć, które miejsce zajmuje w kolejności.

Z murów tego miasta emanuje natchnienie. I tak jak święci i aniołowie ucieleśnieni w kamieniu, tak i tutaj tworzyła niezliczona rodzina niezapomnianych poetów, pisarzy, muzyków, ludzi sztuki i nauki. Z tej rodziny Lecce może ułożyć własny almanach, który z pewnością w niczym nie ustępuje zasobom miast tokańskich.

Za każdym razem, gdy wychodzimy jedną z trzech bram na nowoczesne miasto, mamy wrażenie, że budzimy się w innej epoce. Trudno uwierzyć, że naprawdę jesteśmy w XX wieku, bo tutaj wszystko jest spokojem i ciszą.

Raz za razem spędzaliśmy kilka przyjemnych godzin w pełnym baroku. W ten sposób poznaliśmy osobiście Giuseppe Cino, architekta, który najbardziej przyczynił się do tego, że Lecce wygląda dziś właśnie tak, jak je widzimy, oraz Ascania Grandiego, typowego poetę swej epoki, którego strofy z poematu *Il Tancredi*, tak wychwalane przez jemu współczesnych, i nam zabrzmiały w uszach⁵⁴.

53 Giuseppe Zimbalo, zwany *lo Zingarello*, był najwybitniejszym rzeźbiarzem i architektem baroku leccese. Działając w drugiej połowie XVII wieku, ukształtował zasadnicze oblicze artystyczne Lecce, stając się architektem, który nadał miastu jego najbardziej rozpoznawalny styl. Zimbalo odpowiadał m.in. za rekonstrukcję Campanile del Duomo (1651–1682), przebudowę fasady katedry w Lecce, realizację ołtarza z wizerunkiem św. Franciszka z Paoli w Santa Croce oraz projekt kolumny św. Oronza (1666), która stała się jednym z głównych symboli miasta. Jego dzieła łączą precyzyjne opracowanie dekoracji z kontrolowanym monumentalizmem. Twórczość Zimbalo stanowi fundament barokowej tożsamości Lecce i pozostaje głównym punktem odniesienia dla badań nad architekturą Apulii. Por. M. Manieri-Elia: *Barocco leccese*. Electa, Lecce 1989, s. 133.

54 Giuseppe Cino, architekt działający na przełomie XIX i XX wieku, należy do głównych twórców współczesnego oblicza Lecce. Jego projektowa i urbanistyczna działalność wpłynęła na rozwój miejskiej przestrzeni, łącząc historyczne dziedzictwo barokowe z modernizacyjnymi

I za każdym razem dziwiliśmy się, że na naszych szyjach nie odnajdujemy wielkich koronek białych kołnierzy. A potem przypominaliśmy sobie, że jesteśmy obywatelami XX wieku.

Z LAMPĄ OLIWNĄ W DŁONIACH...

Dla Vincenzo Gallo

Autora *La Tebaide d'Italia*⁵⁵

Samochód, wciąż z gorącym wiatrem jońskim pod maską, zatrzymuje się nagle u stóp skalistego i głębokiego wąwozu (*gravina*). Z szarej masy, malowniczo wyrzeźbionej, pełnej naturalnych schodów i wystających tarasów, patrzą na nas setki głębokich oczu – w zagłębieniach dużych i małych, wąskich i szerokich, okrągłych lub ostrołukowych.

Głęboki i stromy wąwóz rozszerza się ku górze, a małe domki, rozsiane kapryśnie po obu stronach jego zboczy, z daleka wydają się raczej gniazdami lub wieżyczkami niż ludzkimi siedzibami.

Geologia zabawiła się tu w sprytnego budowniczego i w tufie stworzyła skalne miasto. Setki jaskiń, dobrze chronionych przed piorunami, wiatrami i burzami.

Wysoko, po obu stronach doliny, narodziła się współczesna Massafra. Kościoły, budynki, elektryczność – na tych bardzo oryginalnych fundamentach.

potrzebami miasta. Cino przyczynił się do zachowania charakterystycznego stylu leccese, jednocześnie wprowadzając nowoczesne rozwiązania funkcjonalne i infrastrukturalne. Jego realizacje obejmują m.in. rewitalizację placów miejskich, modernizację budynków użyteczności publicznej i projektowanie prywatnych rezydencji, które kształtowały tożsamość urbanistyczną Lecce. Ascanio Grandi, poeta włoski działający w XIX i XX wieku, jest autorem utworu *Il Tancredi*, w którym ukazuje bohaterstwo, honor i dramatyzm losów rycerskich w duchu neoklasycyzmu i romantycznym. *Il Tancredi* łączy historyczne odniesienia z literacką wrażliwością, wpisując się w nurt włoskiej epiki XIX wieku, w którym bohater indywidualny konfrontuje się z losem i historią. Twórczość Grandiego, choć mniej znana poza Apulią, stanowi istotny przykład regionalnej literatury heroicznej, podkreślając wartości patriotyczne i lokalną tożsamość kulturową. Por. G. Ferroni: *Storia della letteratura italiana. Dall'Ottocento al Novecento*. Mondadori Università, Roma 2021, s. 198–205.

55 Vincenzo Gallo, poeta włoski działający w XIX wieku, jest autorem eposu *La Tebaide d'Italia*, w którym podejmuje temat heroizmu, patriotyzmu i tragicznych losów jednostki w kontekście dziejów włoskich. *La Tebaide d'Italia* stanowi świadectwo romantycznej fascynacji historią, gdzie bohaterstwo i ofiara indywidualna są zderzane z losem narodu. Twórczość Gallo wpisuje się w nurt epiki neoklasycyzmu i romantycznej, łącząc klasyczne inspiracje z lokalnym patriotyzmem i refleksją nad włoską tożsamością narodową. Por. G. Ferroni: *Storia della letteratura italiana. Dall'Ottocento al Novecento...*, s. 72.

Dwa mosty, z odwagą przerzucone od jednego brzegu do drugiego, nie tylko zapewniają fantastyczny widok na panoramę w dole i w okolice, lecz także umożliwiają mieszkańcom wygodną komunikację.

Nasz wzrok jednakże przyciągają te setki skalnych grot, otulonych skrzydłami figowców, sosen i drzew karobowych⁵⁶. Każdy laik od razu rozumie, że przeznaczeniem tej fantastycznej scenerii było jakieś niezwykle wydarzenie.

Wydaje się, że w wąwozie świętego Marka w Massafrrze natura przeprowadziła niezwykle operację chirurgiczną. Cięcie, szerokie i śmiałe, udało się; ale ciało ziemi nie chciało zabiłnić rany. Wszędzie wystają twarde, szare kości, ułożone w sposób tak oryginalny i romantyczny, że i dziś pozostaje nam tylko podziwiać to dzieło chirurgii estetycznej⁵⁷.

Przeszliśmy dwa mosty, ale potrzebny nam jeszcze trzeci – najdłuższy. Zbudujmy więc szybko tę prowizoryczną przeprawę i powędrujmy nim wstecz, aż do X wieku.

Oto nowy sekret: całe bizantyjskie osiedle, wykute w skale i spowite legendami oraz poezją wieków jak zielonym mchem. Tutaj przybyła emigracja bizantyjska za panowania Leona Izauryjczyka⁵⁸, lecz jeszcze wcześniej jaskinie Massafry

56 Uzupełnijmy jeszcze wcześniejszą notę przypisową. Drzewo karobowe (*Ceratonia siliqua*) znane również jako szarańczyn strąkowy, należy do rodziny bobowatych i jest charakterystyczne dla klimatu śródziemnomorskiego. Osiąga wysokość do 10–12 m, a jego ciemnozielone, błyszczące liście są wiecznie zielone. Owocem jest podłużny strąk zawierający słodką, jadalną miazgę, wykorzystywaną tradycyjnie jako substytut kakao oraz w przemyśle spożywczym jako naturalny zagęstnik i słodzik. Karob od wieków był uprawiany w rejonie basenu Morza Śródziemnego, w tym w Apulii, gdzie stanowił ważny element diety ludowej oraz gospodarki rolniczej. Zob. J.G. Vaughan, C.A. Geissler: *Rośliny jadalne...*, s. 120.

57 Wąwóz św. Marka, znany lokalnie jako *Gravina di San Marco*, to spektakularny kanion krasowy o długości około 7 km i głębokości sięgającej 70–80 m, położony w Massafrrze w Apulii. Powstał w wyniku erozji wapieni kredowych, charakterystycznych dla terenu Murge, i jest przykładem klasycznego krajobrazu krasowego południowych Włoch. Obszar wąwozu od wieków wykorzystywano do celów rolniczych i osadniczych; w jego stromo opadających zboczach znajdują się liczne wykute w skale kaplice, grotty i osady eremickie, w tym trzynastowieczne–piętnastowieczne habitacje mnichów. *Gravina di San Marco* jest świadectwem harmonii pomiędzy geomorfologią a działalnością człowieka, w której historia, religia i przyroda współistnieją w unikalny sposób. Zob. A. Gobetti: *L'Italia in grotta. Guida alle più belle grotte d'Italia*. Gremese Editore, Milano 1991.

58 Leon III Izauryjczyk to bizantyjski cesarz, urodzony ok. 680 roku i panujący od 717 do śmierci w 741 roku. Po pokonaniu Teodozjusza, 25 marca 717 roku Leon został koronowany na cesarza w Konstantynopolu, co zakończyło okres walk wewnętrznych w Bizancjum. Okres jego panowania miał kluczowe znaczenie dla historii południowych Włoch, w tym rejonu Massafra w Apulii, która znajdowała się pod wpływami bizantyjskimi. W 726 roku zapoczątkował ikonoklazm (zniszczenie obrazów sakralnych) i dlatego też ze względu na prześladowania ikonodulów (czcicieli obrazów) w Bizancjum, wielu mnichów bazylikańskich uciekało ze Wschodu i osiedlało się w rejonach takich jak Massafra, co zintensyfikowało rozwój skalnych kościołów i grot w gravinach na tym

stanowiły coś w rodzaju idealnego klasztoru – trudno dostępnego, chronionego przez dłonie i zęby natury. Był to konwent zakazanego kultu chrześcijańskiego, w czasach rzymskich, na długo przed Bizancjum.

Przez długie wieki te kamienie żyły w atmosferze kultu religijnego; wchłoneęły tyle modlitw i pieśni, tyle chóralnych litanii, że gdyby dziś mogły zwrócić nam choć echo tych głosów, z pewnością usłyszeliśmy niezwykle koncert.

Vincenzo Gallo, syn tej ziemi, znawca i namiętny badacz historii swojego miasta, w interesującej książce, której nadał piękny i charakterystyczny tytuł *La Tebaide d'Italia*, dzieli życie religijne Massafry na trzy epoki: pierwszą – łacińską – mniej więcej od IV do VII wieku; drugą – bizantyjsko-grecką – od VIII do X wieku; i wreszcie trzecią – bizantyjsko-italską – do końca XII wieku, a nawet jeszcze w XIV wieku. Rzeczywiście zatem możemy mówić, wraz z Vincenzo Gallo, o włoskiej *Tebaidzie*.

Zdobądź tę interesującą książkę i wraz z nią wybierz się na ten bizantyjski spacer – od jednej groty do drugiej. Zobaczysz, jak znakomitego przewodnika, pełnego wiedzy, podziwu i miłości do tej sztuki, znalazłeś.

Nas najbardziej interesuje okres bizantyjskiej emigracji. Tysiące uciekinierów ze Wschodu, prześladowanych za kult obrazów, przybyło na brzegi Italii. Wielka ich rzesza wylądowała w Tarencie i stamtąd rozproszyła się w różnych kierunkach Apulii. Massafra była blisko, a bogactwo jaskiń, tak licznych i skupionych w jednym miejscu, zapewniło idealny teren do założenia całej osady. Tak powstała bizantyjska wioska.

Była to epoka, w której ludzie odczuwali szczególną potrzebę rygoru i dyscypliny. Emigranci zorganizowali się więc w wielką wspólnotę religijno-administracyjną. Nad wszystkimi górował igumen, który z kolei podlegał katapano. Można by go dziś nazwać gubernatorem, gdyż łączył władzę religijną i świecką. Miał w Massafrze swój pałac w skale, jeszcze bardziej ukryty i chroniony przez naturę niż inne groty. W setkach jaskiń mieszkali członkowie wspólnoty. Intensywne życie religijne skupiało ich w kaplicach i bazylikach. Do dziś można naliczyć około dwudziestu pięciu takich świątyń.

W tym zakątku Włoch, niedaleko brzegów Morza Jońskiego, dzięki bezpiecznemu miejscu, dzięki niemym kamieniom, które nigdy nie zdradzają powierzonej im tajemnicy, żyła niegdyś wspólnota anachoretów, według reguły świętego Bazylego. Mnisi, eremici, asceci – w skale wykuli arkady, kolumny, kapitele, ołtarze, malowali swoje wzruszające freski, uprawiali ziemię i żyli w tym wąwozie

pokolenie za pokoleniem, gdyż ten zakon nie zabraniał małżeństwa. A jeśli kiedykolwiek w przeszłości małżeństwo miało znaczenie idealne, to może właśnie w tej mrocznej epoce, gdy pustelnicy, żyjąc pośród skał, potrafili spleść jedną nić z miłości boskiej i ludzkiej, związać je w jeden węzeł i otoczyć go duchową dyscypliną.

Weź do rąk lampę oliwną, osłoń ją przed wiatrem i chodźmy – śladami bizantyjskiego ascety. Poprowadzi nas, wśród drzew karobowych i opuncji, w miejsca, gdzie modlił się, szukał i podziwiał Boga. Zobaczysz prawdziwy bizantyzm. Być może dotychczas myślałeś, że „bizantyzm” to monumentalna Bazylika św. Marka w Wenecji! Dziś ujrysz inne oblicze tej świątyni – wykute w skale ciepłymi rękami mnichów bazylianów. Trzy nawy, oddzielone kolumnami, ołtarz, prezbiterium dla duchowieństwa, mały chór przeznaczony na tabernakulum, a w przedsionku – baptysterium. Jest coś naprawdę pięknego i poruszającego w tej krypcie – dziele ciepłości i surowej woli człowieka wiary. Fresk przedstawiający świętego Marka, podczas gdy dyktuje swoją Ewangelię, i będący dowodem dogłębnej znajomości techniki malarskiej, został zniszczony przez nieznanego „poszukiwacza skarbów”, który wyobrażał sobie, że pustelnicy, żyjący w wielkiej biedzie, musieli przecież zamurować w skale ogromne bogactwa, a odpowiednie miejsca oznaczyli freskami. „Poszukiwacz skarbów” z Bazyliki św. Marka był rzeczywiście na dobrym tropie, ponieważ szukał precjozów w ustach samego Świętego. Nie zrozumiał jednak, biedaczysko, że te usta naprawdę kryły jedyne prawdziwe bogactwo – braterskie słowa miłości!

„Ławry” bazyliańskie dzielą się na różne grupy. Najbardziej znane są kaplice. Jest ich osiemnaście. Mają kształt kwadratowy lub prostokątny, z przedsionkiem otwartym dla nowicjuszy.

Przykręć nieco swoją lampę oliwną – być może wciąż ujrysz cień jakiegoś katechumena, który tu, boso, czeka na obmycie wodą święconą. Ten obrzęd odbywał się z wielką pompą, przy śpiewie hymnów wewnątrz świątyni. Po tej ceremonii nowy członek stawał się prawdziwym uczestnikiem wspólnoty; mógł wejść do wnętrza, do środkowej nawy, na końcu której znajdowały się ołtarz i prezbiterium, gdzie kapłani i diakoni odprawiali obrzędy religijne. Mała ambona służyła do czytania Ewangelii i do głoszenia kazań. Wszystko to jest wykute w skale – niekiedy z wielką znajomością kanonów architektonicznych, z troską o harmonię i proporcję. Oto typ sanktuarium w Massafrazie.

Jest ich wiele: Świętej Katarzyny i Świętego Szymona, Świętej Trójcy i Świętego Mikołaja, Świętego Wawrzyńca i Świętego Sergiusza... Następnie zaś bazyliki: Świętego Marka i Matki Boskiej Gromnicznej. Wreszcie katakumby i studnie. Z pewnością nie wystarczy ci jedna oliwna lampa!

Zawsze sądziłeś, że „bizantynizm” to Rawenna, Święty Witalis i Święty Apolinary, Święty Jan i grobowiec Galli Placydii, mozaiki o fantastycznych barwach, bogate kapitele, majestatyczne kopuły i wysokie dzwonnice. Oczywiście – to także jest „bizantynizm”! Ale ten urzędowy, bogaty, dworski, należący do stolicy, do sfer rządzących, które miały do dyspozycji setki architektów i artystów. Lecz istnieje również inny styl bizantyjski – ubogi, ukształtowany ręką i wyobraźnią fanatycznych pustelników, rozsiany po całej Apulii, który znalazł swoje najpełniejsze wcielenie we włoskiej *Tebaidzie*: w Massafrze.

Ten pierwszy, stworzony dla rytuałów bogatego dworu, hieratyczny i sztywny w swej wspaniałości, jest chłodny, bo osiągnął już swoją ostateczną formę, w której trudno mu się dalej rozwijać. Ten drugi zaś – bazyliański, pierwotny, zapewne pełen błędów, lecz szczery i duchowy – zawiera w sobie wszystkie ziarna przyszłego rozwoju. Jego malarstwo, ze skalistych zboczy Massafrzy i z innych ścieżek Apulii, popłynie wielkim strumieniem ku takim artystom, jak Cimabue, Giotto, Martini i Lorenzetti.

Fresków w Massafrze są setki, a wśród dzieł pełne charakteru i artystycznych aspiracji: Święta Katarzyna i Mater Domini, Święty Symeon ze świecą, oczekujący przyścia Mesjasza, Święty Leonard i Święta Helena, Święty Marek i święci Kosma i Damian, a nawet przybyła tu znad Wisły, z dalekiego Krakowa, święta królowa Polski – Jadwiga, okryta ciężkim płaszczem swoich czarnych włosów. Wszystkie te freski są pierwowzorami bliższymi boskiemu Fra Angelico niż przedstawienia z Rawenny. I choć w niektórych kryptach malowidła są niezdarnie i naiwne, czerpią ze wspólnego źródła – ze szczerej inspiracji i duchowego zachwyty.

W swojej *Tebaidzie* Vincenzo Gallo przypomina, że u Herodota, w *Historii Egiptu* można przeczytać o uroczystości zwanej „świętem lamp”. „Wszyscy mieszkańcy zapalali małe lampki na otwartym powietrzu wokół swoich domów. Były to czarki pełne oliwy, a pośrodku unosił się knot, płonący przez całą noc”.

Legenda mówi, że to święto palących się lamp, pod nazwą Święta Raju, obchodzono w Massafrze każdego roku z wielkim rozmachem. Dom igumena dawał swój świetlny sygnał – prymitywny bizantyjski „neon” – i nagle setki odpowiedzi zapalały się na skalnych ścianach wąwozu.

Z lampami oliwnymi w dłoniach, niczym dantejskie błądzące duchy szukające światła wiecznego, schodzili w dolinę. W scenerii ciemnej nocy, na tle skał i drzew, musiał to być widok przejmujący. Ten symbol światła, którego człowiek poszukuje od zarania cywilizacji – we wszystkich religiach świata – umieszczony w jaskiniach i ukryty w dłoniach tłumu, który śpieszył do którejś z bazyliańskich ławr, by w pokorze przyjąć błogosławieństwo Świętego Dzieciątka...

Z tą wizją kołyszących się lamp oliwnych opuszczamy Massafre. Dwa mosty pozostają, a ten trzeci, zbudowany przez nas naprędce, zapada się.

Wieczorem wracamy do kamiennego miasta XX wieku. Oliwna lampka pozostała w Massafre. Zapalamy lampę elektryczną, zamykamy oczy – i widzimy inne światła.

Triumfalny „neon” Paryża i Madrytu, Londynu i Sztokholmu, Lizbony i Kairu maluje wspaniałymi barwami swoje uwodzicielskie przesłania. Rozdaje przepisy na zabawę i radość.

„Loteria da ci bogactwo!” – „W »Tamborino« zabawisz się szaleniem!” – „Witamina S wzmocni twój intelekt!” – „Pij Szampana: 10 gwiazdek!” – „Ubieraj się w »Elegancką Młodość«!” – „Przeczytaj książkę: *Życie zaczyna się po sześćdziesiątce!*” – „My, NEONY, nieustanne i codzienne Święto Raju, prowadzimy cię ku światłu!”

Zgaś lampę elektryczną! Usiądź na chwilę w idealnej ciemności. Ten gorzki smak, który czujesz w gardle – czyż nie jest jedyną odpowiedzią, jaką odnajdujesz w sobie na to nieustanne Święto Raju neonowego świata? Czy dziś jesteśmy naprawdę bliżej światła niż ci, którzy w Massafre, z lampą oliwną w dłoni, wychodzili w nocną ciemność na Święto Raju?

Nie mówię o jakimś odległym, mistycznym świetle, lecz o tym najprostszym, które ma rozjaśniać drogę życia: moją, twoją, każdego człowieka!

„MIASTO SILNE” CZY „MIASTO DOBREJ WRÓŻBY”?

Od zarania dziejów człowiek z upodobaniem wznosił wokół siebie bariery, zawsze mając płonne nadzieje, że dzięki nim jego siedziba stanie się bezpieczniejsza, a sen spokojniejszy.

W sercu Afryki otacza on kolczastymi krzewami swój *tukul*, buduje *zeribę* i wierzy, że w ten sposób ochroni swoje stado i samego siebie. Chiński cesarz odgradza cały kontynent Wielkim Murem – długim na tysiące, tysiące kilometrów, tak szerokim, że można przejechać powozem po jego szczycie. Nowoczesne narody Europy aż do ostatniej wojny dokładały wszelkich starań, by wznosić „linie obronne” i „wały”, wierząc, że w ten sposób można podzielić ten i tak już maleńki kontynent na odrębne, hermetycznie zamknięte komory. A dziś, w epoce mody na atom, chwylimy się już „miniaturową” bronią nuklearną – wdzięczną i elegancką – mającą sprawić, że pewne granice będą nieprzekraczalne, skażone pasami radioaktywnej ziemi.

Ale lew, nieustannie bijąc własne rekordy skoku wzwyż, wciąż przeskakuje *zeriby* i rozszarpuje bydło; Chiny wciąż odpierają inwazje z zachodu i północy, jeśli akurat nie z południa czy wschodu; a narody Europy nadal spacerują

jedne po granicach drugich. Z pewnością gdzieś już szyje się specjalne skafandry, w których całe armie będą mogły maszerować w paradzie po strefach najbardziej skażonych radioaktywnością.

Dziś Manduria słynie ze swoich suszonych fig – to one rozstawiają jej imię po całym świecie. Lecz Manduria ma też inną specjalność, może mniej smakowitą, lecz z pewnością bardziej interesującą i pouczającą. Na ziemi włoskiej, a zwłaszcza apulijskiej – tak bogatej w ślady starożytności – to właśnie tu najlepiej zachował się otaczający miasto pierścień pradawnych megalitycznych murów.

Nie po raz pierwszy mam przed oczami takie arcydzieło inżynierii wojskowej. W Tarragonie, z wysokości licznych rzędów cyklopowych bloków, rzymskie mury czuwały nad rozległym pejzażem aż po deltę rzeki Ebro i góry Aragonii. Ich obwód osiągał 68 kilometrów! Jeszcze rozleglejszy widok rozciągały mury Hipponionu, starożytnej Vibo Valentia. Całe wybrzeże tyrreńskie, od Pizzo po Capo Palinuro, stanowiło tło dla jej okrągłych wież wzniesionych na kwadratowych podstawach. W Altamurze nieliczne pozostałości murów wyznaczają charakterystyczny zakątek Murgii.

Tutejsze umocnienia, w Mandurii, nie są aż tak imponujące. Wznoszą się zaledwie kilka metrów ponad rozległą Równinę Salentyńską, rozciągającą się po horyzont z każdej strony. Z pewnością jednak zostały zbudowane przez lud bardziej doświadczony w tej sztuce – choć może mniej zakochany w pięknych widokach – który poświęcił im tyle pracy, że do dziś zachowały się w tak doskonałym stanie. Nie należy sądzić, że historia je oszczędzała! Wręcz przeciwnie! Niewiele miejsc było tak długo obleganych i zdobywanych przez rzesze nieprzyjaciół. Duch zniszczenia z pewnością nie pominął i tej ziemi!

Tylko raz mury te zdołały wypełnić przeznaczenie, dla którego z takim trudem i w pocie zostały wzniesione. Kiedy Tarentyńczycy, wspomagani przez swego sprzymierzeńca, króla Sparty Archidamosa, oblegli Mandurię, Messapiowie wykorzystali swoje położenie i 3 sierpnia 338 r. p.n.e. nie tylko zamordowali spartańskiego króla, lecz także wybili całą jego armię⁵⁹. Później jednak los nie był tak łaskawy. Miasto zdobyli Hannibal i Kwintus Fabiusz Maksimus podczas wojen

59 W 338 r. p.n.e., podczas walk o kontrolę nad południową Italią, Tarentyńczycy, wspierani przez króla Sparty Archidamosa, zaatakowali Mandurię, jeden z głównych ośrodków Messapów. Dzięki doskonałej znajomości terenu i strategicznemu położeniu miasta, Messapiowie przeprowadzili kontratak, w wyniku którego 3 sierpnia 338 r. p.n.e. zabili króla Archidamosa i zniszczyli jego armię. Wydarzenie to miało decydujące znaczenie dla równowagi sił w regionie: pokazało skuteczność lokalnych społeczności w obronie własnej niezależności oraz osłabiło wpływy Tarentu i jego sojuszników spartańskich. Rzeź pod Mandurią stanowi przykład mistrzowskiego wykorzystania topografii i taktyki partyzanckiej w wojnach południowowłoskich. Zob. G. Cherubini: *Le guerre greche in Magna Grecia*. Edizioni del Sole, Roma 2005, s. 112–116.

punickich, Totila, Longobardowie i Saraceni w wiekach średnich. Miasto zostało całkowicie zniszczone do tego stopnia, że w XI wieku, gdy normański wódz Robert kazał je odbudować, zmienił też jego nazwę na skromniejsze Casalnuovo.

A przecież niewiele fortec było tak doskonałych. Do dziś widać imponujące fragmenty. Mury tworzyły w planie niemal doskonałą elipsę, o obwodzie 5,5 kilometra, szerokości od 5 do 7 metrów. Składały się z podwójnego pierścienia. Otaczała je szeroka fosa, głęboka na 5 metrów, którą można było wypełnić wodą. Cztery bramy w razie zagrożenia były zamurowywane. Tu i ówdzie tunele-zasadzki pozwalały na niespodziewane wypadły w najbardziej zaskakujących punktach. Istniała nawet wygodna podziemna galeria, długa na 4 kilometry i szeroka do 16 metrów, przejezdna dla wozów, która łączyła miasto z okolicą i zapewniała dostawy żywności.

I to nie wszystko. W tej krainie tak ubogiej w wodę, Manduria do dziś może poszczycić się obfitością tego żywiołu. Nawet w czasie najcięższych susz zaopatrywała okoliczne wsie w ten cenny płyn.

Woda ta owiana jest legendą i historią. Ze wzruszeniem schodzimy po długich schodach tego podziemnego panteonu. Pośrodku wysokiego sklepienia kwadratowe oko wpuszcza światło. Czyż to nie świątynia, pamiętająca czasy starsze niż Rzym? W centrum bije źródło, któremu Pliniusz w swojej *Historii naturalnej* nadał imię i które odnotował ze względu na szczególnie niezmienny poziom wody.

Być może to właśnie centrum starożytnego miasta; być może ta jaskinia, z cennym źródłem na ziemi tak ubogiej w wodę, była prawdziwą kolebką Mandurii, zalążkiem życia.

W zależności od tego, czy założycielami byli Fenicjanie, Kreteńczycy czy Messapiowie, nazwa miasta – Manduria – może oznaczać „miasto silne” lub „miasto dobrej wróżby”. Niestety, historia tego miejsca pokazała, że te dwa znaczenia nie idą w parze. Być może właśnie od chwili, gdy Manduria przestała być „miastem silnym”, jej los zaczął rozwijać się pod znakiem „dobrej wróżby”.

Niestety jednak, nie jest to przypadek odosobniony!

Kto wie? A gdybyśmy tak spróbowali usunąć wszystkie „miasta silne” z powierzchni ziemi? Może wówczas wszędzie mogłyby rozkwitnąć „miasta dobrej wróżby”?

POCZTÓWKA Z MEGALITYCZNEGO OGRODU

Kiedy przyjeżdżamy do Giurdignano, zaczyna padać lekki, wiosenny deszyk. Gdyby ktoś nam powiedział, że ten pan o godnej postawie, który wysiadł

z nami z pociągu, jest jakimś zagranicznym profesorem o światowej renomie i że zamierza zatrzymać się tu na dłużej – w miejscu, o którym przeciętny turysta odwiedzający Włochy nigdy nie słyszał – nie byłibyśmy zdziwieni.

Są to bowiem okolice, w których – nie wiem, czy z kaprysu, czy z niezbadanej woli losu – zachowały się najstarsze pomniki ludzkości.

Warto przebyć tych kilka kilometrów drogi od stacji do miasteczka, nawet w deszczu.

Jesteśmy na najstarszym akropolu ludzkości, takim, który nie musiał jeszcze wznosić się na pompatycznych wzgórzach. Jesteśmy w „ogrodzie megalitycznym” – jeśli tylko ktoś potrafi sobie wyobrazić to miejsce takim, jakie było kilka tysięcy lat temu.

Wszystkie najpiękniejsze ogrody, jakie widziałam w życiu – pełne pomników, popiersi, rzeźb, alejek i fontann – nie były niczym więcej, jak przyjemnymi przystankami w podróży. Myśli ogarniało tam lenistwo i odpoczywały; lubiły słuchać szmeru wody jak w Generalife w Granadzie albo śpiewu kwiatów jak w Boboli we Florencji; lubiły, zmęczone piaskami pustyni, oddawać się mozaikowym wzorom ogrodu arabskiego w Kairze.

Dzisiaj tutaj, w „ogrodzie megalitycznym”, czujemy się raczej zmuszeni do napięcia umysłu. Na przykład ten menhir, wysoki na trzy metry – nawet dzisiaj wydaje się obdarzony jakąś nadludzką mocą, gdyż kiedy tylko stajemy naprzeciw bóstwa..., deszcz ustaje!

Pewnej poetce spodobało się nadać mu imię inne niż to, którym ochrzcili go uczeni.

Nazwijmy go *Theos*.

Jak zapewnijają językoznawcy i badacze, to prawdopodobnie pierwsze artykułowane słowo, jakie człowiek wypowiedział na ziemi. Potem pozostał jego ślad w słowie *Deus* i w setkach jego derywatów.

Nie odpowiada.

Powtarzamy: *Theos*.

Milczeniem potrafi rozkazać deszczowi przestać padać, ale odpowiedzieć komuś – nawet temu, kto rozbił atom i zważył gwiazdę Betelgeżę⁶⁰ – to najwyraźniej nie leży w jego boskich planach.

60 W pierwszej połowie XX wieku Betelgeza, czerwony nadolbrzym w gwiazdozbiorze Oriona, stała się obiektem intensywnych badań, które ujawniły niezwykle właściwości jej otoczenia. Już w latach 20. astronomowie zaczęli dostrzegać zmienność jasności gwiazdy, klasyfikując ją jako gwiazdę półregularną. W latach 1930–1940 przeprowadzono także pierwsze próby pomiaru rozmiaru kąowego Betelgezy przy użyciu interferometrii optycznej. Fizeau i Michelson zastosowali technikę interferometrii w obserwatoriach Mount Wilson, co umożliwiło oszacowanie jej

TAJEMNICA O TYSIĄCU TWARZY

W herbie Foggii po dziś dzień widzimy trzy języki ognia. Czym są te płomienie, które miasto tak pieczołowicie podtrzymywało przez prawie dziewięć wieków?

Jak zawsze, odpowiedzi dostarcza legenda, która w tym przypadku tak bardzo uszlachetniła człowieka, że pozbawiła go wszelkiej ciekawości, pierwotnego znamienia ludzkiego charakteru.

Człowiek jest w ogólności zwierzęciem niedowierzającym. Nawet najbardziej naiwny, taki, któremu można powiedzieć wszystko, co się chce, stara się osobiście upewnić, zobaczyć, dotknąć, zweryfikować, porównać.

Tam, gdzie dziś znajduje się zaludniona i tętniąca życiem Foggia, kiedyś rozciągał się step, a pasterze prowadzili swoje owce na wypas. W miejscu, gdzie dziś stoi katedra, znajdował się staw, do którego po deszczu spływała woda.

Był rok 1073, a sytuacja Normanów właśnie zaczynała się stabilizować.

Pewni pasterze, zwabieni widokiem trzech języków ognia, podeszli do owego stawu i znaleźli unoszącą się na wodzie tablicę, owiniętą w czarne sukno. Była to słynna *Madonna w siedmiu welonach*, czczona przez wieki.

Mówi się, że pasterze dochowali tajemnicy i nie odchyłili materiału. Na miejscu zbudowano kaplicę. Następnie Normanowie, gotowi na wszystko, co mogłoby im zapewnić uznanie, wzniesli budowlę, która do dziś jest kościołem katedralnym.

Żyjemy w stuleciu „materializmu historycznego”, który odwrócił się od wszystkich legend i starodawnych opowieści. Z pewnością wielu z czytających te słowa nie uwierzy w mistyczny charakter trzech języków ognia i uczenie wyjaśni, że w miejscach podmokłych często tworzą się tak zwane „błędne ogniki”, zjawisko aż nazbyt dobrze znane.

Ponadto nie uwierzy, że prości ludzie, odznaczający się bardzo żywiołowym charakterem, nie zaspokoili swojej wrodzonej ciekawości. Wreszcie, niektórzy nadal będą się zastanawiać: ale skąd wiedzieli, że na obrazie została namalowana Madonna, skoro nie odchyłili materiału?

I zadadzą sobie jeszcze wiele takich pytań.

Z pewnością nie jest zadaniem pisarza, a zwłaszcza poetki, by kłaść ciężar legendy na szali fizyki i zapisywać, ile uncji można z niej ocalić. W takim przypadku musielibyśmy wyrzucić cały bagaż mitologii do śmieci; i byłby to najlepszy sposób na wyciśnięcie wszystkich soków poezji z naszej kultury i zastąpienie ich bardziej nowoczesnymi witaminami rozumu.

Ale nam, którym tak wiele razy w życiu ludzka ciekawość wydawała się nadzwyczaj pospolita, przyjemnie jest pomyśleć, że foggiańska legenda odwróciła

się od ludzkiego szpiegowskiego wścibstwa i stworzyła postaci, które miały siłę, by dochować tajemnicy.

Jeśli początek historii (legendarny) wyda się wielu zbyt naiwny, nie wiem, co zrobić z historią, która ustaliła absolutnie pewny fakt, że od czasu budowy katedry obraz patronki miasta, „zesłany na ziemię” w VIII wieku podczas prześladowań ikonoklastycznych i odnaleziony w 1073 roku, został odsłonięty tylko raz.

Przez wiele stuleci tajemnicze zawiniątko, którego cudowna sława rozprzestrzeniała się coraz bardziej, było obiektem najgłębszej czci. Widoczna była tylko czarna zasłona. Aż w 1567 roku pewien biskup zapragnął dowiedzieć się, co tak naprawdę kryje się za ciemną tkaniną. Co by było, gdyby zamiast Maryi Dziewicy czczona tablica przedstawiała jakąś diabelską postać?

Wyraził więc swoje wątpliwości wobec Watykanu, który uznał je za uzasadnione i zezwolił na jednorazowy, ostrożny rekonesans. Został on przeprowadzony przez czcigodnego księdza, kanonika Fusco, w asyście dwóch innych osób.

Możemy sobie wyobrazić moment, już absolutnie historyczny, a nie legendarny, kiedy uchylono zasłony, nieruszane od ponad czterystu lat.

Komisja poświadczyła rozeznanie w liście, który został otwarty dopiero dwadzieścia trzy lata później, kiedy jej członkowie zmarli. Odnaleziony został rzeczywiście, owinięty w siedem welonów, wizerunek Matki Bożej o wyjątkowym pięknie i wysokiej wartości artystycznej.

Po tym wydarzeniu znów przez wieki nie tknięto welonów!

Pod wysokimi sklepieniami katedry, w obfitości kwiatów i świateł, na ołtarzu stoi obraz, cały pokryty płytą z cennego metalu. Tylko w jednym miejscu, u góry, znajduje się mały otwór, przez który widać płat czarnej materii. Nic więcej!

Widziałam tysiące wizerunków Madonny z najróżniejszych malarskich szkół i historycznych epok. Przemierzyłam setki muzeów, tysiące kościołów.

Madonny Murillo, Belliniego i Botticellego, Correggia i Filippo Lippiego; dziesiątki w bizantyjskich klasztorach Serbii i Bułgarii; także czarne Madonny, namalowane na górze Athos przez greckich mnichów, a wśród tych Madonn z pewnością najoryginalniejsza – nie dlatego, że pisze to Polka – i tak droga każdemu polskiemu sercu, Czarna Madonna Częstochowska, z dwiema tragicznymi bliznami zadany mi szwedzkim mieczem, i Matka Boska Ostrobramska w Wilnie. Jednak ten obraz tutaj, na którym widoczny jest tylko fragment czarnej tkaniny, jest czymś zupełnie innym. Ma ich tysiące! To za mało! Ma miliony twarzy!⁶¹

61 Szczegółowe omówienie kultu ikony, a także historii z nią związanej, symboliki i tajemnicy narosłej wokół przedstawienia Maryi (Madonna dei Sette Veli) oraz szerokiego kontekstu społecznego zainteresowania (od mistyki po dewocję) przynosi obszerna monografia Renza Infante.

Przez wieki każdy umieszczał za tą zasłoną swoje indywidualne wyobrażenie wizerunku, każdy widział Matkę Bożą tak, jak mu się podobało. „Madonna w siedmiu welonach” miała dziesiątki twarzy, pospolitych i wzniosłych, delikatnych i energicznych, melancholijnych i roześmianych. Z pewnością jest to najbardziej ekspresywna Madonna na całym świecie! Każdy, kto tu przybył, malował swój własny wizerunek, tak jak chciał i umiał.

Patrząc na ten nietykalny obraz, ustawiony na granicy między pierwotną ludzką ciekawością a najbardziej dobrowolną wiarą, przypominam sobie pewien epizod.

Gabriele D'Annunzio w swoich relacjach z pierwszej wojny światowej wspomina, jak na jednym z wysuniętych odcinków linii frontu zdarzyło się, że rów komunikacyjny w okopach był zajęty częściowo przez Włochów, a częściowo przez Austriaków. Koc połowy przywiązany do liny dzielił dwie strefy i zgodnie z niepisaną umową stanowił mur separujący dwie wrogie dywizje, bardziej fizyczny niż płot czy głąz. (Aż pewnego razu lekkomyślny żołnierz odważył się rozerwać koc bagnetem. Natychmiast rozgorzała wściekła bitwa).

Nie wiem, czy ten epizod jest autentyczny, czy wymyślony przez niesamowity umysł poety. Ale ja lubię wierzyć, że to się wydarzyło naprawdę.

Zwykły koc stanowił dla wrogów na polu bitwy przeszkodę nie do przezwyciężenia, skuteczniejszą niż jakikolwiek „blockhaus” ze zbrojonego betonu.

Często bowiem rzeczy nie ukazują się nam takimi, jakimi są, lecz takimi, jakimi chcą je widzieć nasze oczy.

W dwóch metrach sfatygowanego materiału o grubości zaledwie kilku milimetrów ci żołnierze widzieli schronienie, za którym mogli spokojnie odpocząć, zakątek wytchnienia, ocalenie przed śmiercią. W tych kilku centymetrach kwadratowych nieprzeniknionej czarnej zasłony, w katedrze w Foggii, kolejne pokolenia, przez tak wiele stuleci, widziały wszelkie arcydzieła, wszelkie cudowne wizje innego świata, znajdowały urzeczywistnienie wszelkich metafizycznych aspiracji.

•
•
•

PAMIĄTKI PO FRYDERYKU II HOHENSTAUFIE W FOGGII

Nie wiem, czy znasz Lin Yutanga!⁶² To współczesny pisarz, Chińczyk z urodzenia i Amerykanin z wyboru. Z mieszanki tysiącletniej chińskiej filozofii z praktycznym amerykańskim duchem narodziły się pomysły, które nie zawsze uważane są za bezsensowne.

Na przykład w swoim dziele *The Importance of Living* autor radzi mężom stanu, aby zachowywali się nieco mniej arogancko; i słusznie zauważa:

„Czy można sobie wyobrazić, że ze spotkania polityków, którzy najpierw obejrzeli wesoły film Walta Disneya, a następnie porozmawiali między jednym kęsem a drugim o dobrze przyrządzonym spaghetti, mogłaby kiedykolwiek wyjść deklaracja wojny?”⁶³

Wiele wieków przed chińsko-amerykańskim filozofem, Fryderyk II, myśliciel typowo europejski, zdecydował się powierzyć poezji zadanie otwarcia przed nim bram zbuntowanego miasta. Ćwiczenie rymu być może również służyło mu jako środek uspokajający. Nawet w najtragiczniejszych okolicznościach umiał szlifować swoją łacinę i metrum jak w akademii Parnasu, a swój gniew ubierał w najpogodniejszą filozofię.

62 Na rodzimym rynku ukazała się ostatnio monografia Magdaleny Filipczuk, poświęcona pisarzowi. Zaczerpnijmy z niej krótką charakterystykę twórcy: „Lin Yutang (1895–1976) uchodzi za jednego z czołowych dwudziestowiecznych chińskich pisarzy i filozofów. Znany jako językoznawca, myśliciel, pisarz i tłumacz, już w latach trzydziestych ubiegłego stulecia opublikował wysoko ocenione *My Country and My People* oraz *The Importance of Living*. Był autorem niezwykle wszechstronnym, erudytą o rozległej wiedzy i wielkiej różnorodności zainteresowań, nadto człowiekiem o ciętym dowcipie i praktycznym podejściu do życia. Wywodzący się z rodziny pastora wykształconego w kulturze zachodniej i zarazem konfucjanisty, Lin otrzymuje stypendium na uniwersytecie Harvarda, wybierając jako przedmiot studiów literaturę porównawczą (jego mistrzami w tym zakresie były tak znane postaci ówczesnej humanistyki, jak nauczyciele Thomasa Stearnsa Eliota: Bliss Perry, Irving Babbitt czy George L. Kittredge). W 1922 roku kończy studia w Harvardzie i wyjeżdża do Europy. Po krótkim pobycie we Francji przenosi się do Lipska, gdzie pozostaje do czasu uzyskania w 1923 roku doktoratu z językoznawstwa (dokładniej – z chińskiej fonetyki) na tamtejszym uniwersytecie. Lipskie studia trwały stosunkowo krótko, gdyż Lin, jeszcze zanim zaczął pisać po angielsku i uważać się za ambasadora kultury chińskiej na Zachodzie, dał się poznać w Chinach jako dobrze zapowiadający się badacz chińskiej leksykografii, obeznany z arkanami pracy naukowej. Wkrótce po uzyskaniu stopnia akademickiego zostaje wykładowcą literatury angielskiej na uniwersytecie w Pekinie. W tym też okresie zaczyna krytykować politykę oraz zjawiska społeczno-kulturowe współczesnych sobie Chin, narażając się tym samym na represje władz i ostatecznie, w 1936 roku, emigruje do Ameryki, aby poświęcić się pisaniu po angielsku. W kraju tym spędza ponad trzydzieści lat. Umiera w 1976 roku jako uznany autor i myśliciel, kilkakrotnie nominowany do Literackiej Nagrody Nobla”. Por. M. Filipczuk: *Lin Yutang – filozof sztuki życia. Studium kluczowych zagadnień*. Wydawnictwo Księgarnia Akademicka, Kraków 2023, s. 10.

63 Por. Y. Lin: *The Importance of Living*. Reynal & Hitchcock Inc. New York 1937. Tłum. własne.



...portal, najbogatszy, jaki rzeźba romańska stworzyła w Apulii



...Klasztor św. Sebastiana ukaże wam swoją spokojną potęgę i różnorodność kapiteli

Był rok 1229 i Fryderyk, niezmiernie wzburzony, powrócił z krucjaty, aby stłumić rebelię, która wybuchła pod jego nieobecność w całym królestwie⁶⁴. Zrównał wroga Barlettę z ziemią, Andrię nagradzając najwdzięczniejszym z określeń – Andria „fidelis”.

Podobnie jak wiele innych apulijskich miast, Foggia, zapomniawszy o tysiącach otrzymanych dobrodziejstwach – nie pierwszy i nie ostatni przykład wdzięczności w historii – zamknęła mu drzwi przed nosem.

Nastał wieczór. Zmęczona armia potrzebowała kwatery. Z pewnością Fryderyk także nie mógł być w najradośniejszym nastroju. Jednak był osobą, której maniery również dziś mogłyby stanowić wzór najdoskonalszej szkoły dyplomacji. Wezwał Foggię do poddania się, ale nocne ultimatum przybrało następującą formę:

Fogiae, cur me fugis? cum te fecit mea manus?

Ut video tibi est rector de capite vanus.

Non bene noscebam tuos, mala vipera, mores,

A longe credebam te mihi pandere fores,

Per facta maiorum capiuntur facta minorum;

Aspiu Barlettam, quae manet vertice tristi.

Doleo si cogor te loedere factio nostra,

Sed si vis loedi, culpa erit et laesio tua.

Nox funditur terris; quid sit actura videbis,

64 W czasie trwania VI krucjaty (na przełomie lat 1228–1229), gdy Fryderyk II toczył rozmowy i negocjacje z sułtanem egipskim Al-Kamilem (dotyczące odzyskania Jerozolimy, Nazaretu i Betlejem) – papież Grzegorz IX podjął kroki na rzecz osłabienia władzy cesarza w Europie: „Mianowany na czas nieobecności cesarza regentem Królestwa Sycylijskiego, książę Rainald ze Spoleto wkrótce po wyjeździe Fryderyka nierozważnie naruszył terytorium Państwa Kościelnego. Krok ten posłużył papieżowi za pretekst do zaatakowania Królestwa Sycylii i przywrócenia nad państwem tym zwierzchnictwa lennego Stolicy Apostolskiej. Wykorzystując nieobecność Fryderyka II na terenie Italii, Grzegorz IX, wspomagany finansowo przez północnowłoskie miasta, dokonał licznych zaciągów. Wystawione z tych ośrodków oddziały najemne, których godłem stał się klucz, symbol Państwa Kościelnego – stąd ich nazwa: *clavesignati*, tj. kluczem znaczeni – dokonały agresji na włoskie posiadłości Cesarstwa. Prowadzone przez skłóconego z Fryderykiem Jana z Brienne oraz kardynała Pelagiusza z Albano siły w służbie papieża z łatwością zajęły obszary położone między rzekami Garigliano i Volturno, zagrażając niebawem samej Sycylii”. Por. J. Hauziński: *Fryderyk II Hohenstauf. Cesarz rzymski*. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2015, s. 144. Udane negocjacje z sułtanem doprowadziły do koronacji Fryderyka w Jerozolimie 18 marca 1229 roku. Gdy 10 czerwca 1229 roku Fryderyk II przyплыł do Brindisi, rozpoczął proces gaszenia rebelii i zaprowadzania porządku w zbuntowanych prowincjach. Por. E.W. Wies: *Cesarz Fryderyk II. Mesjasz czy antychryst?* Przeł. J. Antkowiak. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2002, s. 143–145.

*Ut hodie si cras incoepata lege manebis;
Per caput hoc juro semper sine fine dolebis*⁶⁵.

Nie trzeba dodawać, że o świcie Foggia otworzyła wrota. Kilka wersów przyniosło efekt lepszy niż długotrwałe oblężenie.

Ilu przywódców politycznych wiedziało lub wiedziałoby, jak zachować formę i metrum nawet pod murami wrogiego miasta, jak to uczynił Fryderyk II?

Bo nawet jeśli Foggia była wrogiem tylko przez kilka dni, przez wiele wieków przeszłej i obecnej historii, ileż narodów i jak długo było rządzonych przez *rec-tor de capite vanus*⁶⁶?

I jak to bywa w życiu wielkich postaci, a dokładniej nieprzeciętnych umysłów, czasem się nagradza, a innym razem karze, potem jednak całe zło zostaje zapomniane. A nawet jeśli wielkie umysły nie zapominają całkowicie o otrzymanym złu, wiedzą, jak precyzyjnie oznaczyć jego wagę i porównać z otrzymanym dobrem. Jeśli dobro przewyższa wagę wyrządzonych krzywd nawet o jeden gram, wszelka niesprawiedliwość zostanie odrzucona.

I to właśnie w Foggii serce Fryderyka pozostało na wieczny odpoczynek. W tej samej Foggii, w której bramy, dwadzieścia jeden lat wcześniej, uderzał nabrzmiąły gniewem.

Jednak również Foggia, jak to bywa w życiu wielu miast, zapomniała o oblężeniu i obalonych na skutek kary murach, i położyła na szalę całe otrzymane dobro, a może nawet to dziwne rymowane „ultimatum” (ten... poetycki „nokturn”), i zapewniła spokojny odpoczynek dla tego serca. Pokochała je, gdy było już zimne!

65 „Foggio, czemu przede mną uciekasz? Przecież moja ręka cię stworzyła!
Jak widzę, masz nad sobą władcę o próżnej głowie.
Nie znałem dobrze twego charakteru, zła żmijo,
z daleka sądziłem, że przede mną otworzysz swe bramy.
Czyny przodków pociągają za sobą czyny potomnych;
patrzę na Barlettę, która trwa na smutnym wzgórzu.
Boleję, jeśli nasz obóz zmusza mnie, by cię skrzywdzić,
lecz jeśli chcesz być zraniona, wina i krzywda będą twoje.
Noc zapada nad ziemią; zobaczysz, co uczynię,
jeśli dziś, jak i jutro, pozostaniesz przy tym postanowieniu;
na tę głowę przysięgam: bez końca będziesz żałować”.

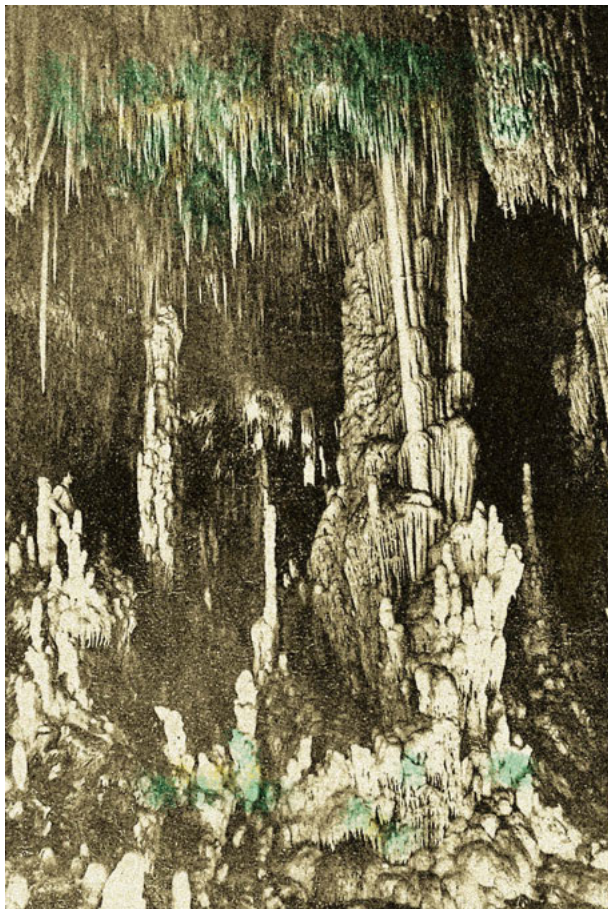
Por. G. De Troia: *Foggia e la Capitanata nel quaternus excadenciarum di Federico II di Svevia*. Sche-na Editore, Fasano 1994. Praca ta stanowi omówienie roli miasta i jego relacji z imperatorem oraz administracyjno-społeczny kontekst epoki.

66 Dosłownie: „Władca pusty w głowie”, określenie sugerujące brak rozumu, próżność lub niekompetencję.



...prosty, pozbawiony wszelkiego przepychu,
rzymski łuk poza murami dawnej Canosy

•
•
•
•
•



...oto kamienne amfiteatry, ściany podziurawione tysiącem grot,
samotne filary, skalne stopnie, dzikie, niemal przerażające scenerie!

•
•
•
•
•
•

Czasami historia pisze... ewangeliczne scenariusze!

Wiele rodów w średniowieczu toczyło między sobą zaciekle walki przez całe stulecia. Rodzice umierali, a nienawiść przechodziła na ich dzieci, wnuki, aż do dziesiątego pokolenia.

Jedną z najbardziej zjadłych wojen pod apulijskim niebem była ta, w której Hohenstaufowie zmierzyli się z Andegawenami. Apulia rozkwitała pod panowaniem jednej i drugiej dynastii. Dzisiaj wydaje nam się, że walka ta trwała aż do czasów współczesnych; łatwo bowiem dostrzec oczywisty fakt, że historycy i krytycy sztuki, którzy wychwalają pod niebiosa zasługi Hohenstaufów, zajmują się umniejszaniem zasług Andegawenów i *vice versa*.

Foggia miała to dziwne szczęście, że była w równym stopniu kochana przez Fryderyka i jego najzacieklejszego wroga, Karola Andegaweńskiego. W jej katedrze spoczywało serce Fryderyka i trzewia Karola. Trzewia, które wcześniej tak często kipiały gniewem na samo wspomnienie szwabskiego imienia.

W ten sposób, w tej dziwnej formie, historia zainscenizowała ewangeliczne przebaczenie po śmierci. Piękny gest z jej strony. Ale natura, sędzia bardziej spontaniczny od historii (która czasami może być refleksyjna), zdecydowała się na inny osąd. Wielkie trzęsienie ziemi w 1731 roku zniszczyło prawie całą Foggię. I tak, doczesne szczątki dwóch niezwykle wielbieli Foggii, pogrzebane pod ruinami, nigdy już nie zostały odnalezione.

Inne wojenne „trzęsienie ziemi”, które tym razem przyszło z powietrza, ponownie zdewastowało miasto w latach 1942–1943. Podczas ostatniej wojny Foggia była ulubionym celem sił powietrznych najróżniejszych narodów. W ten sposób zapłaciła – i to drogo – za przywilej bycia jednym z najważniejszych włoskich węzłów kolejowych i za lokalizację w obszarze szczególnie odpowiednim do budowy lotnisk.

W średniowieczu Foggia posiadała piękny pałac Fryderyka II. Został on zbudowany przez artystę o wielkim znaczeniu, choć nie zawsze godnie odnotowywanego w historii sztuki: Bartolomeo da Foggia. Tę postać o silnej indywidualności do dziś otacza specyficzna aura. O Nicoli Pisano czy Nicolò di Pietro d'Apulia, a nawet Nicoli d'Apulia, wspominałam już przy okazji Castel del Monte. Style obu wielkich artystów są tak ze sobą powiązane i niemal identyczne (i rozpoznawalne, gdyż należą do pierwszych, które zwiastowały Włochom i światu odrodzenie), że nie sposób rozstrzygnąć, czy Nicola Pisano był uczniem Bartolomea, czy odwrotnie. To, jak wielkim artystą był Bartolomeo, wciąż możemy ocenić na podstawie marmurowego popiersia eksponowanego w katedrze w Ravello. Jest to arcydzieło sztuki średniowiecznej i przedstawia kobietę z rodu Rufolo, ze szlachetnym diademem na pięknej klasycznej głowie.

Wszystko, co pozostało z pałacu Fryderyka II po trzęsieniu ziemi w 1731 roku, to pięknie zaprojektowany łuk.

Ale tak jak trzęsienie ziemi z 1731 roku pogrzebało szczątki Fryderyka, tak to z 1943 roku zniszczyło ostatnią pamiątkę po jego architekturze. Serca nie dało się już ocalić. Ale zaraz po wojnie Foggia z miłością odtworzyła jego wspaniały łuk.

Ponownie możemy zobaczyć dwa orły, w jakich Paul Bourget słusznie rozpoznał te, które zdobiły monety Fryderyka, złote „augustiale”⁶⁷. I znów możemy przeczytać: *Sic Caesar fieri iussit opus... Bartholomeus sic construxit...*⁶⁸.

Można spierać się o interpretację tego zdania; czy Fryderyk wydał Bartolomeowi rozkaz budowy pałacu i ów zajął się jego projektem, czy też Bartolomeo po prostu tylko wykonał pracę zgodnie z koncepcją Fryderyka. W każdym razie Lenormant⁶⁹ znajduje tutaj tę samą rękę co w przypadku zamku w Kapui (tam dzieło Fryderyka architekta jest pewne), którą mieliśmy już możliwość rozpoznać w ośmiokątnym diademie Castel del Monte: rękę Fryderyka II.

WIANEK TROJAŃSKI

Ileż zmartwień sprawiało to słowo – Troja! – w szkole. Naszej wiedzy w tej dziedzinie zawsze czegoś brakowało. A każdy profesor był zawsze taki zawzięty! Wymagający! Ale ostatecznie zwykle osiągali swój cel.

Starzy ludzie, ze szlachetną siwizną, którzy pozapominali daty, imiona, wydarzenia historyczne, potrafili obudzić się w nocy i recytować bez zająknięcia te wersy, jakby wkuwali je wczoraj:

*Gniew Achilla, bogini, głoś, obfity w szkody,
Który ściągnął klęsk tyle na greckie narody,*⁷⁰

67 Informacja obszerna o tych monetach pojawiła się już w tomie poprzednim. Por. K. Alberti: *Dusza Kalabrii*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2025, s. 82.

68 „Tak cesarz nakazał wykonać to dzieło... Bartolomeo tak je zbudował”.

69 Alberti przywołuje postać Francoisa Lenormanta (1837–1883), wybitnego francuskiego hellenisty, asyriologa i archeologa. Warto w tym miejscu wymienić dwa jego dzieła istotne w porządku historii „podróży włoskich”: *À travers l'Apulie et la Lucanie. Notes de voyage* (wydany w 1883 roku zbiór zapisków z podróży Lenormanta, obejmujący jego wizyty w Apulii i Lucanii, tropiący pozostałości Wielkiej Grecji i kreślący „tło archeologiczne” miejsca) oraz *La Grande Grèce* (tom opublikowany w roku 1881 – dzieło historyczno-geograficzne, w którym opisuje on tereny starożytnej Wielkiej Grecji, i które stało się inspiracją dla późniejszych podróżników, takich jak George Gissing i Norman Douglas).

70 Homer: *Iliada*. Wybór. Przeł. F.K. Dmochowski. Wybór, wstęp i komentarz J. Trzynadłowski. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1989, ks. I, s. 41 [przyp. tłum.].

Nie wiem, ile pokoleń nauczyło się tych wersów na pamięć. Potem zapomniano Dariusza, Cyrusa i Kambyzesa, faraonów i Aleksandra Wielkiego, ale małeńka Troja, jej Helena oraz jej koń kłusowali i wciąż kłusują przez wieki. Może dlatego jesteśmy zupełnie zaskoczeni, widząc na mapie Apulii nazwę „Troia”!

– I jak to się stało, że ta Troia jest właśnie tutaj?! Czy ona zawsze tak się nazywała?!

Spróbujmy razem upleść wianek z kwiatów, tak jak często nam się zdarzało, gdy w słoneczne wiosenne dni zamiast udać się do szkoły, wychodziliśmy za miasto i na jakimś polu pletliśmy kwietne wiązanki. Jeden kwiatek po drugim... i może także dziś z tej niewinnej zabawy powstanie taki wianek.

Nazwa „Troia” nie spadła z nieba jak meteoryt. Miała w sobie jakąś tajemną przyczynę.

Nasz wianek zaczyna się od kwiatu niemal skandalicznego. Ale pokażcie mi człowieka, który nie ulega fascynacji skandalem.

Można powiedzieć, że Troja zrodziła się... z kobiecej niewierności!

Ta historia nie jest nowa. Wszyscy dobrze ją znacie, choćby z czasów drugiej wojny światowej. Bohater walczył, bił się, a... gdy wrócił, zastał swoją kobietę w ramionach innego. To się powtarzało przez wieki, bez zmian, niczym zjawisko astronomiczne. Skandal, który opisał Homer, rozegrał się w najwyższych sferach społecznych i – z wyjątkiem wiernej Penelopy, która czekała na swojego Odyseusza – greccy bohaterowie po powrocie rozpoznawali w swoich kobietach już inne panie, z odmienionymi imionami.

Nawet Diomedes, po powrocie do domu, spotkał u swojej żony Ajgiale jej niezbyt bohaterskiego kochanka – Kometesa. Ale Diomedes przerósł swoją epokę o trzydzieści jeden wieków. Nie zakończył tego skandalu krwawym epilogiem, jak to było w zwyczaju epoki i w środowisku herosów. Nie zabił ani swojej byłej żony, ani jej nowego... męża. Uznał, że kobiet na świecie nie brakuje – a tym bardziej ziemi!

Zebrał garść przyjaciół – także szczęśliwych, a może także zdradzonych przez własne żony albo jeszcze nieposiadających kandydatek do zdrady – i ruszył z nimi w szeroki świat, w poszukiwaniu swego przeznaczenia. W grupie był także słynny wróżbita Kalchas. Wszyscy na pewno dobrze go pamiętacie z *Iliady*, jak Agamemnon nie mógł go znieść:

*Zawsze ty, widzę, jesteś nieszczęścia prorokiem
I nic nie umiesz dla mnie zwiastować przyjemnie;
Każdy twój czyn i wyraz serce rani we mnie*⁷¹.

71 Ibidem, s. 46 [przyp. tłum.].

Diomedes wraz ze swymi towarzyszami założył wiele miast w Apulii, a w końcu, podczas swych wędrówek, trafił na inne wzgórze, które – dumnie – dominowało nad równiną, a powietrze było tam bardzo zdrowe. Mieszkała w tym miejscu już grupa autochtonów, a wśród nich żyła piękna Ekania. Diomedes, choć nie miał oficjalnego rozvodu, zakochał się w Ekanii i pozostał na urokliwym wzgórzu, zakładając osadę: Ekanę! Z czasem powstało w niej kilka świątyń, a największej z nich patronował „Prorok nieszczęścia”, ciesząc się powszechnym szacunkiem. Mitologiczna kariera Kalchasa po raz kolejny potwierdziła sentencję: *Nemo propheta in patria*.

Zaczęliśmy ten narracyjny splot od dwóch kobiet. Jedna zdradziła, druga – pokochała. Tak rodzi się miasto.

Mit od historii dzieli, zasadniczo, jedynie cienki włos.

Po śmierci Diomedesa Ekana staje się niezależną republiką, liczącą czterdzieści tysięcy mieszkańców – to znacząca liczba jak na tamte czasy.

Miasto leży przy Via Appia, w strategicznym miejscu. Wybór tej lokalizacji podczas zakładania osady nie był dziełem przypadku, lecz efektem świadomego działania. Za czasów rzymskich Ekana stała się jednym z posterunków wojskowych i znajdowała się w centrum najistotniejszych spraw. Diomedes ofiarował temu miastu jedno: tchnienie wojny. I chociaż w żaden sposób Apulia nie może być nazwana „ziemią pokoju”, to Troia, nawet w tym niespokojnym regionie, ustanowiła wojenny rekord. Jedną batalię od drugiej dzieliło tylko cienkie pasmo pokoju, które nigdy nie miało czasu, by wybielić się i wyschnąć, bo natychmiast przesiąkało nową krwią.

Hannibal zdobywa Ekanę, a na pamiątkę tego faktu w historii miasta pojawia się nazwa *Castra Hannibalis* – „Twierdza Hannibala”. Lecz Fabiusz Maksimus odbija miasto.

I tak, po kwiecie miłości, zaczynamy wplatać w nasz wianek purpurowy, wojenny mak, którego autentyczność potwierdza Tytus Liwiusz.

A teraz dołączają się do naszej kompozycji mistyczny kwiat i palma męczeństwa.

Nie kto inny, ale sam św. Piotr mianuje pierwszego biskupa Ekany – w roku 44 n.e.

Ileż to razy, gdy nadchodził zmierzch, opowiadaliśmy sobie dziwne historie, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę się wydarzyły. W tej legendzie, którą teraz snujemy, śledzimy nie tylko duchowe i moralne cuda, lecz także to, jak sama martwa materia, pod wpływem tajemniczych sił, zmieniała swą formę i wewnętrzną wartość.

Święty Eleuteriusz jest synem Anthii, zamożnej rzymskiej matrony, którą ochrzcił sam św. Paweł. Przeniknięty nową wiarą, której poświęca swą błyskotliwą inteligencję, wyrasta na centralną postać w otaczającym środowisku. Z Ekany, za zgodą własnego biskupa, został wysłany do Rzymu, a stamtąd przez papieża – do Słowian z apostolskim przesłaniem.

Wrócił do Rzymu w czasie największych prześladowań. Został aresztowany i wezwany przez prefekta do wyrzeczenia się wiary. Eleuteriusz odmówił. Po wielu torturach został skazany na spalenie na kracie. I wtedy nadchodzi ten dziwny moment, który wierzący nazywa „ochroną sił wyższych”, a fizyk mówi: „nie wiem!”. Materia odmawia posłuszeństwa zbrodni. Buntuje się!

Prefekt i strażnicy, wykonujący rozkaz, osłupieli, zobaczyli bowiem, jak żelazna krata zmienia się w kruche szkło i rozpada, a rozżarzone węgle przemieniają się w świeże purpurowe róże.

Po wiekach i dziś wplatamy je w ten wianek.

Obecni na miejscu, z prefektem na czele, nawracają się na nową wiarę – i zostają aresztowani. Święty Eleuteriusz zostaje skazany na pożarcie przez dzikie zwierzęta na cyrkowej arenie. I wtedy jesteśmy świadkami sceny opisanej nie tylko w legendach czy podaniach, lecz także w źródłach historycznych. Głodne bestie, zamiast rzucić się na człowieka, zaczynają się z nim witać. Widownia domaga się krwi. Tłum wstaje. „To magia! Magia!”.

W tej samej chwili jeden z posługaczy uderzeniem topora odcina głowę świętemu. Publiczność klaszcze zadowolona, ale wśród tłumu jest kobieta, która rzuca się nagle na arenę, podnosi odciętą głowę i zaczyna ją całować.

To Anthia, która u kresu życia syna potwierdza swoją miłość. Ten dzień, 18 kwietnia, to dzień sensacji w cyрку! Skazany nie jest niewolnikiem ani barbarzyńcą, ale jednym z nich, należy do wyższych sfer, a matka to matrona pełna godności – tak, że gdy wbiega na arenę, tłum bezwiednie robi jej miejsce. Sensacja sięga zenitu, gdy Anthia, całując głowę syna, zostaje zabita. W tej samej chwili zegar słoneczny wskazuje dla nich obojga nową erę.

W ten sposób Ekana zyskuje swego wielkiego męczennika, a płaskorzeźba na frontonie katedry – postać pełną mistycyzmu⁷².

72 Dopełnijmy obraz kreślony przez Alberti notą specjalisty, traktującą o „Eleuteriuszu i jego matce Antii, umęczonych za Hadriana”. Oto sygnatura: „Posiadamy późne opowiadania greckie [...] i łacińskie [...] poświęcone ich męczeństwu. Utrzymują zgodnie, że doznali go w Rzymie, ale różnią się, gdy chodzi o pochodzenie męczenników i miejsce, w którym Eleuteriusz miał być biskupem. Zawierają ponadto tyle elementów legendarnych, że historycy nie odnajdują w nich jakiegokolwiek ziarenka wiarygodności. Z drugiej jednak strony, istnieją niepodważane świadectwa kultu: wczesne rękopisy *Martyrologium Hieronimiańskiego*, marmurowy kalendarz z Neapolu, kalendarze

Cuda jednak nie przychodzą pojedynczo, ale zawsze w serii.

Drugi bohater frontonu czeka na swoją kolej.

Święty Sekundyn jest kapłanem w Afryce. Gdy Wandalowie zdobywają północną część kontynentu, wypędzają duchownych. Ale przebiegły Genzeryk nie chce ich zabijać na miejscu. Szuka dla nich innej śmierci. Wsadza dwunastu z nich do rozklekotanej łodzi i mówi: „Wracajcie do Italii, szerokiej drogi!”⁷³.

Licha szalupa odpływa od brzegu, a osłupiały tłum, zgromadzony na molo, widzi, jak nagle za sterem zasiada anielski żeglarz, w niewinnie białej tunice; łódź oddala się szybko i płynie bezpiecznie i szczęśliwie, jakby była pierwszorzędnym okrętem. To musi być jakaś niezwykła podróż!

Tylko Morze Śródziemne – morze najstarszych i najbardziej nieprawdopodobnych legend – nie dziwi się ani tej załodze, ani temu sternikowi, za którym powiewają skrzydła zamiast marynarskiego kołnierza. Morze Śródziemne, od zawsze otwarte na wszelką oryginalność, daruje żeglarzom wszystkie swoje najlepsze wiatry, tak że łódź szczęśliwie dociera do Italii – zgodnie z życzeniem Wandalów. Każdy z dwunastu kapłanów zostaje biskupem – również św. Sekundyn. Jako biskup Ekany zaczyna wznosić kościoły z takim zapałem, że zasługuje na miano *restaurator ecclesiae*⁷⁴.

mozarabskie, dokumenty liturgiczne i bazyliki budowane w różnych miejscowościach Italii. Grecy, którzy Eleuteriusza wspominali w dniu 15 grudnia oraz 20 lub 21 lipca, utrzymywali, że był biskupem w Illyricum. Sądzą niektórzy, że jest identyczny z rzymskim męczennikiem Liberalisem, bo *Liberalis* to tyle co greckie *Eleútheros*. Natomiast inni wysuwają przypuszczenie, że zapis powstał na skutek przeniesienia do Rzymu kultu Eleuteriusza, męczennika z Nikomedii, męczennika z Cezarei Kapadockiej lub męczennika z Tarsu w Bitynii. Jeszcze inni zakładają hipotetycznie, że hagiograf na Wschodzie na swoją korzyść zmodyfikował jakąś *Pasję Liberalisa*, którego męczeństwo przy Via Salaria nie wydaje się podlegać wątpliwościom. Wreszcie, niektórzy uważają naszego świętego za postać na wskroś legendarną. Jak jednakże wytłumaczyć wówczas wczesne oznaki kultu? Badacze nie potrafią odpowiedzieć na to i temu podobne pytania. W *Martyrologium rzymskim* święty widnieje pod dniem 18 kwietnia”. Por. <https://deon.pl/imiona-swietych/eleuteriusz,2564> [dostęp: 15.12.2025].

73 O czynach Genzeryka z roku 439 (gdy zdobył Kartaginę i skonfiskował dobytek senatorów rzymskich oraz duchownych katolickich, a tych ostatnich wypędził do Italii na starych, przeciekających łodziach) dość dobrze informują dokumenty starożytności, filtrowane przez współczesnych badaczy. Por. J. Strzelczyk: *Wandalowie i ich afrykańskie państwo*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1992, s. 131–133.

74 Uzupełnijmy biogram świętego: „Sekundyn, biskup Ecany (dzisiaj Troia, w tzw. Kapitanie, w południowej Italii). Na początku IX w. odnaleziono w Ecanie relikwie Sekundyna, który miał być pierwszym biskupem tego miasta. Na sarkofagu był odpowiedni napis z datą śmierci: 11 lutego. Epitafium pochodziło podobno z V lub VI stulecia. Nie jest rzeczą wykluczoną, że był w grupie biskupów afrykańskich, którzy szukali w południowej Italii schronienia w okresie prześladowania wandaloskiego (za Genzeryka)”. Cyt. za: <https://deon.pl/imiona-swietych/sekundyn,8357> [dostęp: 15.12.2025].

Dziś, na frontonie katedry, jako patron, zdaje się prowadzić miasto przez zdradliwe fale – aż do szczęśliwego portu.

Dwaj przeciwnicy, potężni w swej namiętności, od zarania dziejów walczą ze sobą: miłość i wojna. Wszystko, co buduje miłość, jej przeciwniczka – wojna – niszczy. Ekanę stworzyła legendarna miłość Diomedesa. Zapieklą nienawiść cesarza Konstansa II ją niszczy.

W roku 663 cesarz Bizancjum oblega miasto, które odmawia poddania się – jakby w jego krwi i kościach tliła się jeszcze duma Diomedesa. To jeden z rysów charakteru Troi: walczyć aż do skrajnej rozpacz. Po kilku miesiącach Konstans II ją zdobywa. Równa ją z ziemią, posypuje ruiny solą na znak, że nigdy więcej nikt nie będzie mógł tutaj budować. A potem, na tym dumnym wzgórzu, gdzie niegdyś kwitły róże miłości legendarnej pary Diomedes–Ekana, sieje zboże.

Tak oto doplatamy wianek trojański! A może w istocie nasz wianek – który zawiązał się zakochaną różą, czyż zostanie uwieńczony gałązką cyprysa?!

Solą posypana została Ekana. Na jej miejscu odrodziła się Troia.

METAMORFOZY TROI

Po tym jak Ekana została zniszczona, rozproszone grono ocalałych oddaliło się o kilometr od ruin posypanych solą i zaczęło wznosić nową osadę.

Człowiek jest twardszy od żelaza! Lecz nie było już Ekany, była już tylko Troia!

Dlaczego „Troia”? Może po to, by uczcić mitycznego założyciela Diomedesa, który tam właśnie walczył? Lub też może powód był bardziej prozaiczny. Pokonana i osłabiona grupa ludzi zobaczyła na tym miejscu pasącą się dorodną i tłustą maciorę, której pojawienie się zdawało przepowiadać, po długim okresie wojennego głodu, czasy obfitości. A któż nie lubi jeść tłusto?

Być może zatem właśnie pod tym materialistycznym, animalnym znakiem powstało nowe miasto.

Lub też może połączono tu te dwa symbole – poetycki i materialny. Diomedes przekazał chwałę Troi, a maciora pomnożyła tłuste obietnice bogactwa.

Osada się rozwinęła. Opływała w dostatki, w tłuszcz i w chwałę. Ale wojenny wiatr, niesiony z Troi w fałdach płaszcza bohatera, towarzyszył miastu przez wieki, ponieważ każdy, kto chciał podbić Apulię, podążając z Zachodu, musiał przez nie przejść.

Katepano Boioannes, rozumiejąc zagrożenie normańskie, w drugiej dekadzie XI wieku zbudował na granicach Apulii potężne twierdze. I znów Troia stała się strategicznym punktem, jak za czasów Rzymu.

Oto widzimy ją w nowej odsłonie. Była niegdyś gniazdem miłości mitycznej pary małżeńskiej, później niezależną republiką, jeszcze później obozem wojennym – „Castra Hannibalis” – a w końcu cmentarzyskiem ruin. A gdy księżyc błądził nad tą ziemią 4618 razy – czyli, mówiąc inaczej, przez krótki czas, jeśli mierzyć ten okres miarą historii – znów odnajdujemy Troię w nowym kształcie. Od cmentarza do nowej kolebki dzielił ją zaledwie kilometr. I oto kołyska przekształciła się w twierdzę.

Boioannes ufortyfikował Troię, osadził w niej garnizon liczący dwanaście tysięcy żołnierzy – liczba godna uwagi jak na owe czasy – włączył mieszkańców pierwotnej wioski do twierdzy i pozostawił jej tę samą nazwę. Wojenny wiatr przerzucał tę warownię z rąk do rąk.

Broniła się dzielnie, jak starożytna Troja, przed każdym, kto chciał ją pościć. Przed Grekami, przed Henrykiem II, przed Normanami. Ale jej los spleciony był z gwiazdą Normanów.

I właśnie wtedy Troia jaśnieje własnym światłem – silnym i niezależnym. Z twierdzy, w której panoszą się żołnierze, przemienia się w hrabstwo. To znaczy – przechodzi w swej nowej inkarnacji ku wyższym wcieleniom. To Robert Guiscard zapoczątkowuje szlachetny ród książąt Troi.

I widzimy, że ludzkość – która przez wieki kłóciła się o imię władcy i przelewała krew za króla lub tyrana, cesarza lub trybuna ludowego, dynastę lub uzurpatora, liberalnego prezydenta lub dyktatora – myliła się.

Nie chodzi bowiem o imię ani o etykietę. Chodzi o człowieka zdolnego, który potrafi rządzić. Jeśli zaś jest głupcem, nie uratuje go żaden tytuł – czy to patrycjusz, czy plebejusz, plutokrata czy robotnik.

Historia uczy nas, że nierzadko trybun ludowy miał więcej sprytu i o wiele lepsze pomysły niż dynasta wychowywany od dzieciństwa do roli władcy. I przeciwnie – wiele razy władza cesarska przyniosła lepsze owoce niż wszyscy liberalni przywódcy razem wzięci. Chodzi zatem o to, by wychowywać odpowiedzialnych ludzi do sprawowania władzy, a nie walczyć o tę czy inną postać rządu. Bo to człowiek tworzy formę, a nie forma człowieka.

Niezależni władcy, zwerbowani przez normańskiego najeźdźcę, a których dziś moglibyśmy nazwać autokratami, okazali się dla Troi fortunnymi rządcami. Za czasów Guiscarda (Przebiegłego) – Troia rozkwitła. Odbył się tu słynny sobór, a w tamtych dniach księstwo przemieniło się w wielkie zgromadzenie mędrców, z którego wypływały idee moralne i kulturalne. Na przykład Sobór Urbana II

w roku 1093⁷⁵ ogłosił tutaj „Boży rozejm”. Istniało wtedy sformułowanie, które miało moc rozkazu, szanowanego nawet przez najbardziej żądnych krwi ludzi. W dniu poświęconym „Bożemu rozejmowi” składano broń, a z krwawego pola walki można było w spokoju zabrać ciała poległych i oddać je ziemi na wieczny spoczynek...

A dziś... Pamiętasz, mój drogi Przyjacielu, czy podczas ostatniego cyklonu wojennego było chociaż jedno święto, jedna niedziela, w której mógłbyś spokojnie pójść spać? „Dziś nie będzie syreny alarmowej. Dziś – »Boży rozejm«...!”

Pamiętam, podczas powstania warszawskiego w 1944 roku – tego upokarzającego przykładu, jak człowiek może się wyzbyć, nie mówię już moralności, ale choćby najpospolitszego poczucia przyzwoitości – przez dwa miesiące ciała nie były grzebane. Nigdy nie zobaczycie much tak pięknych i dobrze odżywionych, fioletowych, szafirowych, zielonych, jak te, które widziałam w Warszawie. Miały obfity posiłek. A „Boży rozejm” był bardzo oryginalny! Niemcy transportowali na ogromnych czołgach polskie kobiety, które musiały machać białą flagą i krzyzczeć: „Polacy, nie strzelajcie! To my, Polki! Przyszliśmy zebrać poległych!”

Oczywiście powstańcy nie strzelali do swoich kobiet. I w tej chwili spokoju czołgi podjeżdżały pod same barykady – i to Niemcy strzelali do powstańców. W ten właśnie sposób zdobyto wiele umocnień...

Oto współczesny „Boży rozejm”. Oto jak zbierano poległych podczas drugiej wojny światowej.

Mój drogi Przyjacielu... Z pewnością powiesz, że w książce podróżniczej to temat, którego nie powinno się nawet musnąć – może zbyt drastyczny. I że ten obraz burzy Ci symboliczny pejzaż apulijskich gajów oliwnych.

Jednak każdy pisarz jest z pewnością najbardziej nierozgarniętym stworzeniem, jakie chodzi po ziemi. Przechadza się po tym świecie, patrzy, obserwuje,

75 Idee pokoju i rozejmu Bożego (łac. *Pax et Treuga Dei*) pojawiały się już wcześniej. Koncepcję „pokoju Bożego” przedstawiono po raz pierwszy na synodzie w Charroux w roku 989. „Rozejm Boży”, pomysł katalońskiego benedyktyna Oliby wdrożono w życie w 1027 roku (jako efekt obrad synodu w Toluges). Informacja podana przez Alberti wymaga także korekt w zakresie daty i miejsca. Otóż ideę „pokoju Bożego” proklamowano ponownie i zatwierdzono oficjalnie podczas synodu (a nie soboru!), który odbywał się z inicjatywy papieża Urbana II w Clermont (w roku 1095). To podczas tego uroczystego zebrania duchowieństwa i władz świeckich papież ogłosił potrzebę ustanowienia „świętej wojny” (co zapoczątkowało ciąg przyszłych wypraw krzyżowych), a także konieczność rozejmu w toczonych między chrześcijanami sporach – na czas trwania wyprawy. Wydany przez synod dekret *Treuga Dei* zapewniał także uczestnikom ekspedycji zbrojnych do Jerozolimy otrzymanie odpustu zupełnego. Por. R. Fischer-Wollpert: *Leksykon papieży*. Przeł. B. Białecki. Znak, Kraków 1990, s. 84–85; J.N.D. Kelly: *Encyklopedia papieży*. Przeł. T. Szafrński. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2006, s. 223.

słucha, łączy fakty i zawsze chce się czegoś nauczyć – choć i tak wie, że umrze bardziej nieświadomy, niż się urodził. Przybywa do jakiegoś miasta, poznaje jego historię – i natychmiast zaczyna zachowywać się w tym miejscu jak prymus w szkolnej ławie.

Dziś, w trojańskiej klasie, znalazłam ten piękny pergamin Urbana II. „Boży rozejm”...! I w roku 1949 zazdroszczę tym, którzy żyli w 1093 roku i być może marzyli, że ten pergamin rozwinie się w przyszłości w powszechny edykt pokoju. A my dziś?! Drżymy na samą myśl, w co może się przemienić w przyszłości nasz dzisiejszy „Boży rozejm”!

Dzięki temu pięknemu pergaminowi Troia, już słynna i uczona, wkroczyła w epokę Hohenstaufów. Zdążyła też zdobyć swoje przywileje, nadane Kartą z 1127 roku przez papieża Honoriusza II. I znów, charakteryzuje tę koncesję coś szczególnego: oprócz nowych praw miasto może praktykować wszystkie „dobre zwyczaje”, które miało wcześniej. Ale o „złych zwyczajach” nie powinno nawet pamiętać. Oto zdanie, które świadczy o zaufaniu do honoru mieszkańców. Niestety, ludzka ambicja przez wieki upodobała sobie raczej wspominać „złe zwyczaje”!

Kiedy Fryderyk II wyruszył na krucjatę, cała Apulia się zbuntowała. Oczywiście również Troia, która posiadała nadane wcześniej przywileje. Fryderyk powrócił z wyprawy krzyżowej, wylądował z dwoma okrętami w Brindisi i wysłał odezwy do miast. Niektóre, jak „Andria fidelis”, natychmiast wzniosły łuki triumfalne, ale wiele odmówiło mu posłuszeństwa. Wśród nich była Troia, która przemieniła się wówczas w wyspę oporu, obijaną z każdej strony przez fale cesarskiego gniewu.

I to było jej nowe wcielenie. Troia w swej historii miała upodobanie do mocnych efektów, nieraz wręcz przesadnych.

Kiedy Fryderyk zażądał kluczy do miasta, władcy Troi odpowiedzieli, że nie wierzą, iż cesarz powróci z krucjaty, ponieważ słyszeli, że zginął w Palestynie. Takie rzeczy zawsze przechodziły do historii jako skandale; w tym przypadku zakończyło się to tragedią.

Troia nie pojęła, jak wybitnym dyplomatą i inteligentnym psychologiem był jej przeciwnik. Fryderyk mógł się poszczycić ogromną cierpliwością. W wielu momentach swego życia wykazał wielką zdolność do refleksji i umiał zapanować nad impulsami.

Z rozwągał odpowiedział, że doskonale rozumie wątpliwości mieszkańców, niemniej istnieje sposób, by je rozwiązać. Niech miasto pošle dwóch szlachciców, którzy znali go osobiście, i ci będą mogli potwierdzić tożsamość cesarza. Przypuszcza się dziś, że Fryderyk – jako poeta i filozof – na początku był tą sytuacją raczej rozbawiony, sądząc po jego dowcipnej odpowiedzi. Troia wybrała zatem

dwóch szlachciców, którzy wyruszyli, by zbadać, czy to naprawdę cesarz. Przyglądamy się scenie, która mogłaby aspirować do epizodu z błyskotliwej komedii francuskiego teatru.

Posłańcy powrócili i zdali relację.

Ależ tak! Fryderyk to prawdziwy Fryderyk! I chociaż niedawno chorował, teraz jest zdrowy i w pełni sił.

Jednak opozycyjna frakcja chciała mieć rację. Oto komiczna scena identyfikacji Fryderyka kończy się nagle tragedią posłów. Troia twierdzi, że szlachta została skorumpowana, ponieważ Fryderyk to nie Fryderyk, i zabija wysłanników.

Historyczny skandal się pogłębia. Gdy Fryderyk, jak nakazuje zwyczaj, zażądał aprowizacji dla wojska, Troia odpowiada ironicznym żartem. Znow jesteśmy świadkami sceny z komedii.

Wielkiemu cesarzowi, słynnemu *Stupor Mundi*, przysłano wózek załadowany, między innymi, czosnkiem i octem! Tego Fryderyk, mimo swojego poczucia humoru, nie mógł wybaczyć. Urażony został nie filozof i poeta, ale cesarz – a nie zapominajmy, że jesteśmy w XIII wieku!

Los Troi został zatem przesądzony. Fryderyk rozpoczął oblężenie i zwerbował swoich... Saracenów. Troia zrozumiała, że to już nie przelewki, i że wejście „saraceńskiego konia” mogło skończyć się bardzo źle. Przewidziały to szczególnie wszelkie Kasandry.

Najpierw wyruszyło dwóch posłańców. Potem pojechał ów prowokacyjnie załadowany wózek. Teraz wyruszają kobiety, na czele z dwiema córkami zamordowanych posłów, błagać Fryderyka, by powstrzymał grożące miastu spustoszenie.

Gdyby rolę odegrał wówczas tylko ten miłośnik pięknych kobiet, jakim był Fryderyk – w którego haremie żony z prawa, z lewa i ze środka opowiadały nieprzyzwoite anegdoty – miasto z pewnością zostałoby oszczędzone. Ale delegację przyjął cesarz, gdyż kobieciarz, galant był nieobecny. Mimo wszystko coś z tej galanterii pozostało, ponieważ obiecano, że kobiety zostaną uszanowane.

Obietnicy dotrzymano, ale Troia została zniszczona. I oto widzimy, jak polityczne rozgrywki opozycji zamieniają miasto w ruinę, znow posypaną solą, tak jak wiele wieków wcześniej Ekana.

Była to nowa, bardzo smutna reinkarnacja, w swojej historycznej odświeżeniu.

Troia już nigdy nie podniosła się i nie wróciła do swojego normańskiego blasku, a w kolejnej epoce, po zarazie, liczba mieszkańców spadła do czterech tysięcy.

Wojenny wiatr, zaszczepiony przez Diomedesa, nigdy jej nie oszczędzał.

Wszystkie wcielenia Troi – chwalebne i żałobne, bolesne i świetliste – skupiają się w katedrze, której kamienie i mury pamiętają jeszcze czasy Ekany.

Zaś asymetryczna rozeta na fasadzie, jedyna w swoim stylu w całej Apulii, z każdą przegrodą inną niż pozostałe, zdaje się symbolizować różne i odmienne historyczne wcielenia tego miasta.

„PATETYCZNA”

Widz stoi osłupiały i nie może uwierzyć, że znajduje się w małej Troi. Zaskoczenie jest tak wielkie, że początkowo nie sposób się otrząsnąć. Jako widzowie musimy przemienić się w słuchaczy, ponieważ obcujemy z... symfonią.

Na początku nie wiemy jeszcze, do jakiego gatunku ta symfonia będzie należeć. Ale witamy ją w ciszy, jak każdą wielką rzecz, która wywołuje niezwykle wrażenia.

Losy tej „symfonii” sięgają czasów być może wręcz mitycznych, ponieważ została zbudowana w dużej mierze z kamieni... świętych, naznaczonych smutkiem wielu wcześniejszych pokoleń. Powstała z marmurów, które zachowały odbicie dawnych kultów.

Robert Guiscard był człowiekiem sprytnym i inteligentnym. Mając zamiar zbudować katedrę godną nowego księstwa, od razu pojął, jaki skarb spoczywa w ruinach Ekany. Zobaczył cudownie nienaruszone kolumny, z trzonami zagłębionymi w ziemi, nietknięte przez czas, fragmenty architrawów, kapitele, bloki marmuru. Przejmujące wykopalisko. Trzeba było tylko przebudzić z letargu te powalone kolosy, oczyścić je, tchnąć w nie życie i napełnić nową duszą.

Książe Robert rozkazał przetransportować ten materiał do Troi. I oto ludzka siła, wspomagana przez zwierzęta, zaczęła poruszać bezwładną materię. Pośród ruin tętniły prace pełne entuzjazmu.

W ich trakcie odnaleziono grób św. Sekundyna. Toczyło się wiele dyskusji nad autentycznością znaleziska, lecz oryginalna inskrypcja, która ocalała, rozwiała wszelkie wątpliwości. W ten sposób św. Sekundyn powrócił do swoich wiernych i stał się patronem nowej katedry oraz miasta.

Widzimy wielki tłum i długi orszak, który z radością wydobywa kamienie i transportuje z Ekany do Troi. Ale po dwóch latach od rozpoczęcia prac – w 1098 roku – wielki pożar zniszczył miasto i obiecujący załążek katedry.

Mimo wszystko, porfirowi i blokom żółtego oraz zielonego kamienia los początkowo przeznaczył glorię, potem tragiczne zniszczenie i zapomnienie, a następnie, poprzez letargiczny sen, a także próbę ognia – zmartwychwstanie w nowej chwale.



„Castel del Monte”. Można by go nazwać „pierwszą kolebką renesansu” ...



Tuż obok Santa Croce rozkwita wspaniała fasada dawnego Klasztoru Celestynów,
dziś siedziby prefektury

Biskup Wilhelm II ponownie rozpoczął budowę katedry i kazał odlać słynne brązowe drzwi. Dolna część została ukończona w pierwszej połowie XII wieku, górna – później.

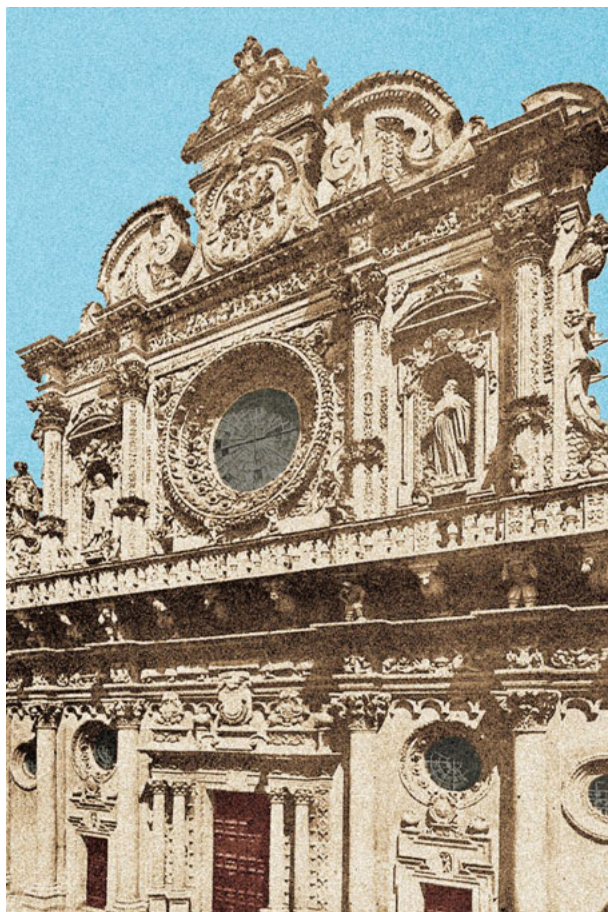
W miarę stopniowego upadku miasta katedra stopniowo popadała w zapomnienie. Mieszkańcy byli biedni i nie przeprowadzili renowacji. W końcu zawalił się dach. Wnętrze zarosło trawą, a dawne kolumny znów pokrył kurz. Woły pasły się pomiędzy nimi.

Wreszcie, w 1676 roku, budowla została całkowicie odrestaurowana. Ale wówczas styl epoki już odcisnął piętno na jej wnętrzu. Na szczęście zewnętrzna część została ocalona.

Fasada jest najistotniejszą częścią tej „symfonii”, którą po bliższym poznaniu można nazwać „Patetyczną”. Oficjalna krytyka jednogłośnie stwierdza, że jest to „najbogatsza fasada w całych południowych Włoszech”. Czasem ta formuła – „najbogatsza” – budzi w nas niepokój. Bo bogactwo bardzo często oznacza przeładowanie i wymuszoną ekspresję. Nadmiar detali męczy. Tymczasem fasada trojańska zachwyca każdym, nawet najmniejszym, szczegółem i stopniowo odkrywamy to, co powinno stanowić wartość charakterystyczną każdej symfonii. Najmniejszy fragment nie tylko powinien być opracowany według miary właściwej dla reprezentatywnego elementu, lecz także powinien pełnić swą funkcję w idealnej harmonii: nie tracąc nic z indywidualności, musi wtopić się w całość z innymi częściami we wzajemnym porozumieniu, z którego spontanicznie zrodzi się jedność strukturalna.

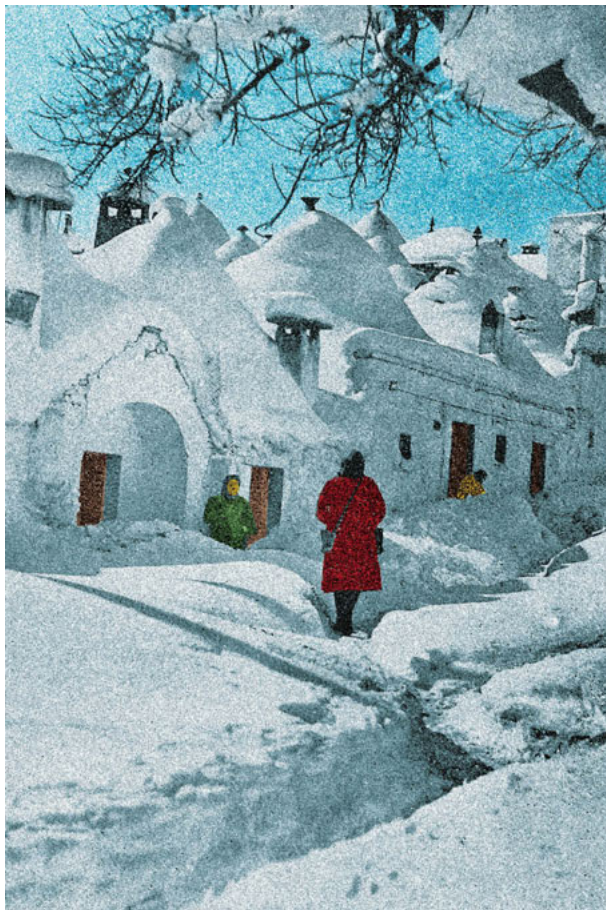
Obserwując fasadę, widzimy, jak każdy element pełni swą indywidualną rolę lekko, bez żadnego wysiłku i bez zwracania uwagi na to, co robi sąsiad – tak, iż nie sposób wychwycić ani jednej fałszywej nuty. Lwy podtrzymują kolumny i naroża budowli, kolumny niosą łuk, rozeta przepuszcza światło, drzwi zamykają całość, wszystko działa niezależnie, a zarazem w takim idealnym porozumieniu i harmonijnym rozplanowaniu zadań, że rodzi się symfonia najwyższej rangi.

Detale podążają swoją własną drogą, nie przeszkadzając sobie nawzajem, a wszystkie spotykają się punktualnie w jednym miejscu przeznaczenia – w punkcie docelowym piękna. I ma się wrażenie, że jakaś magiczna iskra porozumienia przepływa między płaskorzeźbami pod portalem a przedstawicielami świata zwierzęcego poza granicami rozety, między ślepyimi arkadami a drzwiami, między wklęsłymi rombami a rzymskimi łukami – tak jakby wszystkie te elementy zjednoczyły się w jednym celu: by wydobyć ze swojego wnętrza maksimum charakteru i patosu.



Bazylika Santa Croce jest najbardziej szlachetnym przykładem *barocco leccese*...

•
•
•
•
•



Powrócimy tu po wielkiej śnieżycy i z pewnością zobaczymy krajobraz z innej planety

•
•
•
•
•
•

Drzwi trojańskie zostały przez oficjalną krytykę uznane za „najcenniejsze w całych południowych Włoszech po wrotach z katedry w Benewencie”. W czasie wojny żniwo śmierci zamknęło drzwi z Benewentu w swych ramionach. Wówczas to wrota z Troi zajęły – i tak jest do dziś – pierwsze miejsce. Ich twórcą był Oderisius z Benewentu⁷⁶.

Nazwaliśmy drzwi Bazyliki z Monte Sant’Angelo „skrzydlatymi drzwiami”, uniesionymi przez pięćdziesiąt sześć anielskich skrzydeł. Drzwi Barisana w katedrze w Trani nazwaliśmy „drzwiami przynoszącymi szczęście, strażnikami, którzy chronią katedrę przed czasem i złem”. A teraz w Troi mamy coś w rodzaju „patetycznego soboru”, na którym zebrali się – obok wielu innych świętych – również patronowie miasta: św. Sekundyn i św. Eleuteriusz, biskup Wilhelm i twórca tego arcydzieła – Oderisius. Są one podzielone na dwa skrzydła, z których każde zawiera czternaście kwater. Osiem zajmują dzikie głowy lwów i psów, trzymających w zębach pierścienie. Na dwóch innych dominuje groźny smok. Pod strażą tych sił sobór może spokojnie obradować. Każda z postaci przedstawia odmienny typ, różniący się nie tylko wyglądem zewnętrznym, lecz także wyrazem duszy. Technika niella⁷⁷, połączona z reliefem, osiągnęła tu swój najwyższy poziom.

Rozeta jest w tej symfonii elementem najdoskonalszego piękna – mimo swej kapryśnej asymetrii, a może właśnie dzięki niej. Podzielona za sprawą jedenaśtu smukłych kolumnienek na jedenaście płatków, przerodziła się w niesamowitą

76 Oderisio da Benevento (ur. koniec XI w. – zm. ok. 1151) – „włoski rzeźbiarz i odlewnik. Według inskrypcji wykonał drzwi z brązu do kościołów w Troi, Kapui i Benevento. Drzwi katedry w Troi zostały zamówione przez biskupa Wilhelma II. Na drzwiach głównych, ukończonych w roku 1119, znajduje się wizerunek autora, natomiast na drzwiach południowych, ukończonych w 1127 roku, widnieje wygrawerowany jego podpis: „FACTOR PORTARUM FUIT ODERISIUS HARUM BENEVENTANUS”. Zaginione drzwi do świątyni św. Jana w Kapui, wykonane w 1122 roku i pokryte inskrypcją „MAGISTER ODERISIUS FECIT HAS PORTAS”, zostały uwiecznione na siedemnastowiecznym rysunku opublikowanym przez Salazara. Drzwi Kościoła św. Bartłomieja w Benevento, wykonane w 1150 roku, z wyodrębnionym napisem „OPUS ODERISI”, zostały zniszczone (prze-topione) w roku 1693”. Por. <https://www.wga.hu/frames-e.html?bio/o/oderisio/biograph.html> [dostęp: 16.12.2025; tłum. – Redaktorzy].

77 Wedle internetowej *Encyklopedii PWN*: „niello [wł. < łac. *nigellus* „czarniawy”], rzem. artyst. technika zdobienia przedmiotów metalowych, stosowana głównie w złotnictwie”. Procedura polega na tym, że „dekorację rytą w metalu wypełnia się pastą złożoną z siarczków srebra, miedzi i ołowiu, poddaje działaniu wysokiej temperatury, następnie przez polerowanie otrzymuje się rysunek kontrastujący z tłem; niello były znane już w starożytności, w średniowieczu stosowane głównie do zdobienia przedmiotów kultowych, szczególnie popularne we Włoszech w XV–XVI w., w Rosji od XVII wieku”. Por. <https://encyklopedia.pwn.pl/haslo/niello;3947327.html> [dostęp: 16.12.2025].

subtelną koronkę, która pokryła każdy płatek innym wzorem, najstaranniej wyszukany.

I ma się wrażenie, że kamień zamienił się tu w najdelikatniejszy jedwab, haftowany białą, szarą i srebrzystą nicią w technice *à jour*. Kamień osiadł tu u stóp ludzkiej wyobraźni jak posłuszny baranek, z którego można swobodnie strzyc miękką wełnę.

Wielki łuk nad rozetą wsparty jest na dwóch parach kolumn, które z kolei spoczywają na grzbietach lwów. I zdaje się to magicznym ćwiczeniem siły jak w pozycjach gimnastycznych, gdzie każdy centymetr odgrywa określoną rolę, a grawitacja złośliwie czeka na najmniejszy błąd.

Przedstawiciele świata zwierząt tłumnie zaludniają fronton swoimi najbardziej egzotycznymi okazami. Jeże i słonie, małpy i lwy ujarzmione przez ludzi – wszystkie prezentują imponującą muskulaturę, i współcześni rzeźbiarze zwierząt, którzy dążą do upraszczania powierzchni i syntezy form, mogliby tu przyjść po pożyteczną lekcję.

Żółty i zielony kolor kamienia nadaje całości ton szlachetnej patyny starego druku.

Oto fasada – najbardziej perfekcyjna część tej symfonii – w której „patetyczna” rozwinęła swoje najmocniejsze tematy.

Obie boczne ściany tworzą dwie kolejne części. Każda z nich ukazuje serię smukłych ślepych arkad, rozwijających się jedna po drugiej niczym harmonijny „lejtmotyw”. Po nerwowym „tempie” fasady pozwalają one odpocząć w poważnej zadumie. Zarówno jedna, jak i druga ściana boczna dysponują własnymi wejściami do świątyni. Lewe wieńczy portal z pełną wyrazu, dynamiczną płaskorzeźbą, przedstawiającą Chrystusa między dwoma aniołami. Jest to jeden z wyjątkowych elementów, które podnoszą jedność kompozycji do rangi prawdziwego dzieła sztuki.

Po prawej stronie ponownie Oderisius zaprasza nas na swój drugi „sobór” z roku 1127 – osiem lat po pierwszym – który ożywia powierzchnię dwudziestu czterech kwater z postaciami świętych i biskupów, otoczonych inskrypcjami.

Człowiek umiera, lecz nie umiera jego dzieło. Twórcza siła przelana w materię nie zużywa się jak śmiertelna siła ludzka. Raz zrealizowana i urzeczywistniona w owocu może żyć przez wieki. To najcenniejsza nagroda dla artysty, marzenie nawet najskromniejszego z nich. A jeśli dać mu wybór – albo wspaniałe życie materialne i zapomnienie jego sztuki, albo klasyczne ubóstwo i trwałość jego dzieła w czasie – każdy prawdziwy artysta wybierze drugą z możliwości.

Fragmenty tej symfonii, stworzone osiem wieków i trzydzieści lat temu, do dziś odgrywają swoją rolę – niezmienione nawet w najdelikatniejszej nucie.

W absydzie dwa poziomy nadbudowanych kolumn, choć tak bardzo oddalone od fasady, po zupełnie przeciwnej stronie, zdają się z nią połączone w jakiś tajemny sposób, niewidzialnym przewodem, którym płynie wzajemna ambicja, by odnaleźć się w tej samej harmonii. Absyda, wraz ze swoją delikatną, zakrzywioną linią, stanowi kodę symfonii.

Wchodzimy do wnętrza. Symfonia pozostała za nami. Tu znajdujemy już tylko kilka fragmentów, które dorównują jej maestrii. Dwie ogromne kolumny z porfiru, niczym dziwni giganci z czasów ciemności, przywodzą nam na myśl inne religie i inne cywilizacje. Prostokątna ambona, wsparta na czterech kolumnienkach pełnych wdzięku, przeniesiona tu z innego kościoła, jest jedną z najbardziej artystycznych w całej Apulii i należy do najstarszego przykładu rzeźby wykonanej na tej ziemi. Niektóre z trzynastu kolumn, dzielących wnętrze na trzy nawy, z pewnością przeżywają swoją kolejną epokę sakralną, ponieważ raz już, w dawnych czasach, były poświęcone w Ekanie.

Wychodzimy. Gwałtowny wiatr, jak przystało na luty, uderza w miasto. Dźwięczą wszystkie okna, wszystkie okiennice, wszystkie drzwi. A katedra zapłata w tym wietrze swoją „patetyczną symfonię”, silniejszą niż wszystkie huragany, wszystkie pożary i wszystkie wojny.

FOTOMONTAŻ Z LUCERY

Kiedy dziewczynka skacze jak szalona na skakance, na linie rozciągniętej między dwoma budynkami liczącymi czterdzieści pięter, a pewna aktorka, grając dwie role jednocześnie, spotyka się sama ze sobą – możemy być pewni, że mamy do czynienia z jedną ze współczesnych pasji: z fotomontażem.

Operator i reżyser, którzy potrafią stworzyć wesoły, makabryczny lub przerażający kolaż, zarabiają w Ameryce tyle, ile chcą.

A przecież nie chodzi tu o nowoczesną rozrywkę. Historia знаła już ten zabieg od czasów, gdy dopiero zaczynała nieporadnie raczkować po ziemskiej kuli. Tworzyła fotomontaże, które mogłyby wzbudzić zazdrość każdego reżysera i operatora o najśmielszych pomysłach.

Jeden z tych interesujących fotomontaży stworzyła w Lucerze. Na chrześcijańskie kościoły z obojętnością nałożyła minarety, wspaniale wycięła amfiteatr z epoki Augusta i przykleiła go do XX wieku. Dostawiła Madonnę z kłosem do bogini Ceres, towarzyszymi włoskich owiec uczyniła lamparty, słonie i hieny afrykańskie. Przebiegle i złośliwie dodała „haremu” do sypialni Fryderyka, chrześcijańskiego cesarza, a Manfredowi, królowi Sycylii i Jerozolimy,

żartobliwie przyczepiła półoficjalny tytuł Sultana Lucery. Bawiła się fotomontażami – czasem okrutnymi, a innym razem wytwornymi, ale zawsze oryginalnymi.

Poznajmy niektóre z nich.

Oskowie wybrali jako obiekt kultu nie jakiegoś pospolitego boga, ale mądrą Minerwę. Historia wycięła z mozaiki pewien drobny szczegół – jej imponujący hełm z adnotacją „moda kobieca XX wieku” – i umieściła go na ilustracji archeologicznej. Starzy profesorowie byli zachwyceni tą modą, odmłodzieli i długo szeptali sobie coś na ucho. Natomiast bankierzy byli zirytowani, że oryginalna moneta z tym samym hełmem Minerwy i literą „L” została umieszczona w muzealnej gablocie. Twierdzili, że ten historyczny fotomontaż się nie udał.

W jaki sposób, na przykład, trafił do Lucery heroiczny oręż Troi? Wszak to historia się zabawiła i rękami Diomedesa złożyła go u stóp tej samej bogini. Podobny dar był nie do pogardzenia również dla Minerwy.

Córka Diomedesa, Luceria, zabłądziła w „świętym gaju” – po etrusku „Lux-Eri” – i te dwa obrazy połączyły się w jeden, „Lucera”, tak doskonale, że trudno określić, gdzie kończy się jeden, a zaczyna drugi.

Tak oto historia, w swojej najstarszej postaci, gdy była jeszcze mitologią, zbudowała nazwę miasta. Przez wieki wszyscy poeci się nią zachwycali.

Później połączyła tę stolicę Daunii, częściowo grecką, z Rzymem. Do dziś możemy oglądać w muzeum owo numizmatyczne zestawienie – na monetach, gdzie słowo „Roma” i litera „L” łączą się w artystycznej kompozycji.

Ale wkrótce, okrutnymi nożycami, historia przecina tę polityczną idyllę i wstawia trzy sceny wojenne z Samnitami.

Pierwsza z nich przedstawia przebiegłego Gawiusza Poncjusza Telesinusa, wodza Samnitów, który wysłał dziesięciu swoich żołnierzy, przebranych za pasterzy, do obozu rzymskiego z wiadomością, że Lucera jest w niebezpieczeństwie. Obraz godny Delacroix! Rzymianie spieszą z pomocą sprzymierzonemu miastu. Lecz wzgórze wokół Wąwozu Kaudyńskiego⁷⁸ są zajęte przez Samnitów, a jedyne wyjście zablokowane zostało ogromnymi balami drewna – przeszkodami groźnymi, bo trudnymi do odepchnięcia. Dziesiątki migawkowych scen. Rzymianie proszą o pokój. Warunki są upokarzające! Muszą zostawić w dolinie broń i chorągwie, i wydostać się stamtąd „w samej tylko koszuli”. Widzimy to upokarzające wyjście – nie z podniesioną głową, bo każdy musi przejść pod jarzmem,

78 Wąwóz Kaudyński (łac. *Furculae Caudinae*) – miejsce słynnej klęski wojsk rzymskich w 321 r. p.n.e. podczas drugiej wojny samnickiej. Rzymianie zostali tam zaskoczeni przez Samnitów i upokorzeni – zmuszeni do przejścia pod jarzmem. *Furculae Caudinae* dosłownie oznacza „Widły Kaudyńskie”, czyli wąską przełęcz, wąwóz.

tak nisko ustawionym, że trzeba mocno się pochylić. Sześciuset jeźdźców pozostaje w roli zakładników.

Senat jednakże jest oburzony. Takiego pokoju nie można przyjąć! I natychmiast historia, jakby pożałowawszy swoich okrutnych nożyc, montuje drugą scenę. Rzym odbija Lucerę. Teraz te same obrazy przechodzą na stronę samnicką. Fotomontaż wypełnia się, w złowrogim odwróceniu. Teraz to Samnici – w liczbie siedmiu tysięcy – wraz ze swoim wodzem wychodzą z Lucery w koszulach, pochylając się pod jarzmem. Sześciuset zakładników z pierwszej sceny zmienia rolę i – w drugim ujęciu – powraca do Rzymu.

W trzeciej scenie Lucera opowiada się po stronie Samnitów, lecz zostaje podbita. Rzym rozważa: należy ją zniszczyć czy skolonizować? Namysł szczęśliwie zwycięża nad afektem. Rzym wysyła dwa i pół tysiąca swoich obywateli, aby ją skolonizowali.

Podbój kończy się pełnym sukcesem. Rzymianie w tym dostojnym i dobrze położonym mieście doskonale się aklimatyzują. Lucera otrzymuje *ius Quiritium*⁷⁹, a z rodzin kolonistów wywodzi się wielu wielkich ludzi, w tym cesarze Galba i Witeliusz⁸⁰.

Teraz jedna scena po drugiej, szybko: cyrk, termy, amfiteatr, forum, świątynie – powstaje wielki kompleks architektoniczny. Ocalałe fragmenty, widoczne jeszcze dziś, na ekranie XX wieku pokazują, jak imponujący był to zespół.

Lekcja dana Lucerze przy okazji wojny z Samnitami przyniosła owoce, gdyż kiedy Hannibal kręcił w Apulii swoje egzotyczne sceny do „filmu punickiego”, Lucera pozostała wierna Rzymowi.

Potem nadszedł czas, gdy postanowiono zastąpić całą tę starą epokę nową. Jednak żal było w całości zniszczyć dawną scenografię. Wiele jej elementów

79 „Prawo Kwirytów” (albo: „własność kwirytarna”) – własność przysługująca wyłącznie obywatelom rzymskim.

80 Galba (Servius Sulpicius Galba) – cesarz rzymski, panujący od czerwca 68 r. n.e. do 15 stycznia 69 r. n.e. Wywodził się z arystokratycznej rodziny senatorskiej, sprawował różne urzędy – m.in. prokonsula w Afryce, legację w Germanii – a w roku 68 został uznany przez senat cesarzem. Jego panowanie charakteryzowało się próbą przywrócenia dyscypliny oraz oszczędności w finansach państwa, co jednak zraziło pretorianów i doprowadziło do zamachu, w którym zginął. Jego śmierć otworzyła okres tzw. Roku Czterech Cesarzy. Por. M. Gwyn: 69 A.D.: *The Year of Four Emperors*. Oxford University Press, Oxford 2005, s. 27; Witeliusz (Aulus Vitellius Germanicus) – cesarz rzymski w okresie od kwietnia do grudnia 69 r. n.e., wybrany przez legiony rzymskie stacjonujące nad Renem po śmierci Galby. Znany z rozrządnego trybu życia, licznych uczt i ulegania wpływom otoczenia. Jego władza została szybko podważona przez nominację Titusa Flawiusa Vespasianusa (Wespazjana) w Egipcie i Syrii, co doprowadziło do wojny domowej, zdobycia Rzymu i jego zabicia w grudniu 69 r. n.e. Klęska Witeliusza oznaczała zakończenie chaosu Roku Czterech Cesarzy i początek dynastii Flawiuszy. Por. M. Gwyn: 69 A.D.: *The Year of Four Emperors...*, s. 139.

było jeszcze niewykorzystanych i miało niezwykłą siłę przyciągania. Dlatego mistrzowsko przykryto je zasłoną, aby przesączały się przez tę delikatną mgłę i rysowały na tle w perspektywie poetyckimi konturami.

Wizerunek pierwszego biskupa Lucery, św. Bassusa⁸¹, konsekrowanego przez św. Piotra, przysłańca wszystkie rzymskie wspaniałości miasta. Resztki świątyni Ceres, założonej przez Diomedesa, skrywają się nieśmiało za nowym kościołem, poświęconym Madonnie z kłosem.

Potem Lucera trafia w ręce Longobardów, przeciw którym walczy Konstans II – ten sam, który zniszczył Tarent. Zdobywa Lucerę i równa z ziemią także to miasto. Lecz jak niegdyś Rzymianie wzięli odwet na Samnitach, tak teraz scena się powtarza. Longobardowie wracają do Lucery, a Konstans II, pokonany pod Benewentem, wraca do Bizancjum. I tak jak setki lat wcześniej Rzymianie odbudowali Lucerę, tak teraz odrestaurowuje ją Grimoald III. Pozostanie ona jedną z najsilniejszych twierdz longobardzkich⁸².

81 Tradycja głosi, że św. Bassus (między 40 a 50 r.–118 r.) był pierwszym biskupem wspólnoty chrześcijańskiej w Lucerze, ochrzczonym przez samego św. Piotra. O Bassusie z całą pewnością wiadomo jedynie, że był biskupem i męczennikiem, natomiast czas i sposób jego męczeństwa pozostają nieznane. Nie zachowała się żadna hagiografia opisująca jego życie. Domenico Lombardi z Lucery w rękopisie *De Lucerinae Ecclesiae Episcoporum vita* z połowy XVIII wieku przytacza najstarszą wzmiankę z anonimowej kroniki o niepewnej dacie, dotyczącą świętego biskupa: „Sancto Petro passaje per Italie et battezzaje Lucera, et le dette Sancto Basso per primo Episcopo, lo quale pò fò Martyre” („Święty Piotr przeszedł przez Italię i ochrzcił Lucerę, i ustanowił świętego Bassusa pierwszym biskupem, który później został męczennikiem”). Święty Bassus jest również patronem Termoli, gdzie w 1760 roku w katedrze Santa Maria della Purificazione odkryto jego relikwie. Por. *Basso di Lucera*. In: *Santi, beati e testimoni. Enciclopedia dei santi*. santiebeati.it [dostęp: 19.01.2026]; *I vescovi di Lucera. Profili biografici, araldica e genealogia*. Ed. M. Monaco. Schena Editore, Fasano 2023.

82 Po upadku zachodniego cesarstwa rzymskiego i osłabieniu bizantyjskiej kontroli nad południową Italią, Lucera, dawniej ważna kolonia rzymska w Apulii, znalazła się w granicach księstwa Benevento, utworzonego przez Longobardów w drugiej połowie VII wieku. Przejęcie kontroli nad regionem nastąpiło po ekspansji księcia Romualda I, syna Grimoalda I, króla Longobardów, w czasie jego walk z Bizantyjczykami w południowej Italii. Miasto zachowało część wcześniejszych struktur administracyjnych i przywilejów, choć jego znaczenie militarne i polityczne uległo ograniczeniu w stosunku do czasów rzymskich. Niemniej jednak, jak podkreśla Paolo Delogu, Longobardowie nie dokonali całkowitej destrukcji rzymskiej organizacji miejskiej, lecz ją adaptowali do nowych warunków. W roku 663 Lucera została poważnie zniszczona przez cesarza bizantyjskiego Konstantyna II, który najechał południową Italię w celu odzyskania kontroli nad terytoriami utraconymi na rzecz Longobardów. Po tym wydarzeniu rola Lucery została dodatkowo ograniczona, choć pozostała częścią systemu księstwa Benevento aż do przybycia Normanów w XI wieku. Por. P. Delogu: *An Introduction to the Early Middle Ages*. Cambridge University Press, Cambridge 2002, s. 119–120.

Historia dołączyła tu różne „fotografie” Pepina, syna Karola Wielkiego, oraz Ludwika II, który przekształcił miasto w ważny punkt zborny dla chrześcijańskich wojowników wyruszających z Apulii na krucjatę przeciwko Saracenom...

Cesarz Otton, katepano Bazyli Boioannes, hrabiowie normańscy... oto przedstawiciele różnych narodowości, obrzędów religijnych i kultur, których historia ukazała w swoim fotomontażu z Lucery.

Miło jest nam dziś obserwować tę serię dziejowych kompozycji, domyslać się, jak zostały ze sobą połączone, rozpoznawać, gdzie kończy się jeden obraz, a zaczyna drugi.

AFRYKAŃSKIE NOCE W LUCERZE

Czasem lubimy wyobrażać sobie rzeczy nieprawdopodobne.

Gdybyś, na przykład, żył w pierwszej połowie XIII wieku i ktoś zawiązałby Ci oczy chustką, a następnie zakręciłby Cię długo w kółko, po czym nagle zdjąłby ją z oczu – rozejrzawszy się wokół, zawołałbyś z zachwytem: „Naprawdę? Jesteśmy w Afryce?”, podczas gdy w rzeczywistości znajdowałbyś się w Lucerze.

Ta „afrykańska” Lucera wzbudziła wówczas wielkie zaniepokojenie wielu komentatorów politycznych. Lecz sama Lucera bardzo się sobie podobała w tym białym burnusie i puszyła się w nim jak paw przez niemal osiemdziesiąt lat, aż Karol II Andegaweński naprawdę się rozgniewał. „Dość tej afrykańskiej maskarady!” – i zerwał brutalnie materiał. Burnus z Lucery trafił, jako dar na Rok Święty 1300, do Watykanu!

Oto już trzeci raz elegancka Lucera zmienia swój strój. Na początku miała na swym posągowym ciełe grecki peplos, na głowie hełm Pallady, modliła się w świątyni Apollina i mówiła językiem Homera. Potem przywdziała imponującą rzymską tunikę, z zapalem uczęszczała do cyrku i zażywała kąpieli w termach. Teraz nagle owinęła się „burnusem” i pobożnie zdejmowała buty przed wejściem do meczetu.

Wiarygodny historyk odnotował, że Fryderyk II znał się na modzie kobiecej i w niej gustował. Zauważmy, że strój, jaki przeznaczył Lucerze, był dobrany ze smakiem.

W owych czasach Lucera była nazywana „miastem bez krzyży”, a także *Luce-ria Saracenorum*. Dlaczego Fryderyk II zaafrykanizował Lucerę? Znalazł pretekst godny swej inteligencji. Oświadczył politykom, że Saracenów na Sycylii jest zbyt wielu, że są zbyt blisko Afryki, że może to w przyszłości przynieść niepożądane konsekwencje, że należy ich rozproszyć, a w kontakcie z innymi narodami staną

się chrześcijanami i Europejczykami... Wymyślił wiele takich mądrych „że” – jednak prawdziwe „że” było jedno: ukryć na ziemi Apulii, zawsze kapryśnej i politycznie niepewnej, swoich najwierniejszych żołnierzy, oddanych i posłusznych każdemu jego rozkazowi.

Zdania historyków różnią się w kwestii liczb. Jedni mówią, że w Lucerze mieszkało dwadzieścia tysięcy Saracenów, inni – że sześćdziesiąt tysięcy. Być może sprowadził ich dwadzieścia tysięcy, a potem ich liczba wzrosła.

I oto Saraceni zaczęli się europeizować w takim stopniu, że... Lucera się afrykanizuje. Biskup sam zdecydował się wieść skromne życie poza miastem, w którego murach działy się dziwne rzeczy, o jakich szeptała cała Apulia – czasem ironicznie, czasem ze zgorszeniem. Żart Fryderyka, czyli asymilacja Saracenów w Lucerze, należał do najbardziej udanych.

Teraz już nie masz przepaski na oczach. Spójrz, co dzieje się wewnątrz murów miasta. Jak szybko asymilacja przyniosła owoce...

Egipski słoń, z godnością sułtana, przechadza się wśród żołnierzy; oswojone lamparty idą na polowanie; pierwsza w Europie żyrafa, zadowolona ze swojej podróży, czuje się tu jak w domu; małpy, strojące miny, z powodzeniem rywalizują z ludźmi; hieny zajmują miejsce pocziwych psów; dromadery przeżuwiają tu sobie spokojnie, jakby w ich krwi nigdy nie było piasku pustyni, a jedynie kamienie Apulii. Cielęta zamieniły się w lamparty; szkoła tresury smukłych arabskich rumaków może konkurować z podobnymi ośrodkami w Libii i Maroku; „muezzini” swym... radiowym głosem obwieszczają, z wysokości minaretów, na cztery strony Apulii, że „Nie ma Boga nad Allaha i Mahomet jest Jego prorokiem!”. Orientalne tancerki pływają w haremie.

A kiedy noc zapala na wysoko wzniesionej chorągwi nieba swój szafranowy półksiężyc i gwiazdy, kiedy hieny wyją, a lamparty mruczają przez sen; kiedy do ucha docierają chrapliwe nawoływania arabskich wartowników – czy nie wydaje ci się, że Afryka złowiła w swe sieci ten skrawek Apulii?

Fryderyk, w miejscu dawnej *arx* założonej przez Diomedesa, a później zastąpionej przez rzymskie *castrum*, o którym wspomina Lukan w swojej *Farsalii*⁸³,

83 Marek Annaeus Lucanus (39–65 n.e.), znany jako Lukan, był rzymskim poetą okresu ne-
roniańskiego i autorem epickiego poematu *Pharsalia* (*Bellum Civile*), stanowiącego jedno z naj-
ważniejszych świadectw literackich o wojnie domowej między Cezarem a Pompejuszem. Dzieło
powstało około 60–65 r. n.e. i, choć zachowane w 10 księgach, pozostaje nieukończone z powo-
du przedwczesnej śmierci autora. Za: F.M. Ahl: *Lucan: An Introduction*. Cornell University Press,
Ithaca–London 1976, s. 23–25. W odróżnieniu od tradycyjnych eposów rzymskich (np. *Eneidy* Wer-
giliusza), *Farsalia* odrzuca ingerencję bogów i przyjmuje stoicko-sceptyczną postawę wobec hi-
storii, skupiając się na tragizmie wojny domowej i upadku republikańskich wartości. Lukan czyni
z Cezara postać niemal demoniczną, „człowieka o mocy równającej się fatum”, a z Katona – symbol

wznosi teraz jeden ze swych doskonałych zamków. Powierza mu swój skarb, łączy go z miastem podziemnym korytarzem i – jak zawsze – troszczy się o posąg i ozdoby. Aby te nie ucierpiały w drodze z Neapolu, wydaje rozkaz, by transportowano je jak niemowlęta, *super cullum*, niesione w ramionach.

W obrębie murów zamku znajduje się meczet, „harem”, królewski pałac o trzech kondygnacjach, bogaty w dywany i arabskie majoliki, dysponujący mennicą, zoo, stajnią dla arabskich koni. Pełna, kwitnąca asymilacja osiągnęła tak wysoki poziom, że już po śmierci Fryderyka wysłannik sułtana Egiptu, przybywszy tu z wizytą, był oszołomiony i wysłał list pełen podziwu, zawierający szczegółowy opis Lucery.

Następnie Lucera stała się siedzibą Manfreda⁸⁴. Prawdziwą stolicą jego królestwa. Tutaj zawsze może liczyć na wiernych Saracenów, którzy sforsują dla niego bramy miasta, na przekór rozkazowi komendanta fortecy – tak jak się to stało za pierwszym razem, gdy przybył pod jego mury, jak uciekinier, porzucony przez wszystkich.

Trwała afrykańska noc, a bramy twierdzy były zaryglowane. Strażnicy rozpoznali syna Fryderyka i zasugerowali mu z wysokości murów, by mimo wszystko wszedł – przez kanał odpływu wód. Nie był to sposób godny wielkiego dziedzica, niemniej Manfred zsiadł z konia, zdjął hełm z pióropuszem i postanowił szturmować warownię ściekowym kolektorem. Lecz natychmiast Saraceni, nie mogąc pozwolić na tak upokarzający czyn, samowolnie wyłamali

republikańskiej cnoty. Jego język jest wysoce retoryczny, nacechowany patosem i antyklasyczną ekspresją. Za: E. Fantham: *Roman Literary Culture: From Cicero to Apuleius*. Johns Hopkins University Press, Baltimore 1996, s. 88–89.

84 Manfred z Hohenstaufów (ur. ok. 1232–zm. 26 lutego 1266) – król Sycylii w latach 1258–1266, nieślubny syn cesarza Fryderyka II i księżniczki Bianki Lanci. Związany politycznie i ideologicznie z południowymi Włochami, był jedną z najważniejszych postaci ostatniego etapu panowania dynastii Hohenstaufów. W historiografii często określany jako Manfred z Lucery, ze względu na jego wyjątkową relację z tym miastem oraz jego symboliczną i militarną rolę w polityce Manfreda. Lucera, znajdująca się w Apulii, została przez jego ojca, Fryderyka II, przekształcona w specjalną kolonię muzułmańską (*Luceria Saracenorum*), do której przesiedlono tysiące Saracenów z Sycylii. Manfred jako jego spadkobierca utrzymał i umocnił ten eksperyment społeczno-polityczny, wykorzystując Lucerę jako lojalne, silnie ufortyfikowane centrum militarne, kluczowe w obronie domeny Hohenstaufów przed papiestwem i wrogimi siłami Guelfów. Względem osadników muzułmańskich Manfred prowadził politykę tolerancji i protekcji, uznając ich za wiernych sojuszników w konflikcie z papiestwem i jego sojusznikami. Pod jego patronatem Lucera rozkwitła jako ośrodek handlu, rzemiosła oraz centrum wojskowe, słynące z elitarnych jednostek łuczników i jazdy. W pamięci historycznej „Manfred z Lucery” pozostaje symbolem średniowiecznego modelu koegzystencji religijnej i politycznej niezależności południowych Włoch od północnych dynastii i papiestwa. Por. D. Abulafia: *Frederick II: A Medieval Emperor*. Oxford University Press, Oxford 1988, s. 419–421.

bramę twierdzy – i tak Manfred, triumfując, wkroczył do wnętrza, gdzie przechowywano skarby i zapasy wojskowe. Stąd, w kręgu swoich najwierniejszych, mógł wznowić walkę. Historia jednak poskapiła mu przepisów na zwycięstwo. Następcy tragicznie zapłacili za niezwykle szczęście wielkiego Fryderyka.

Lucera na krótko zdjęła swój „burnus” i złożyła go u stóp zaciętego wroga Hohenstaufów – Karola Andegaweńskiego, lecz później zbuntowała się i przeszła na stronę Konradyna⁸⁵. Po długim oblężeniu została zdobyta i skolonizowana przez Prowansalczyków, którzy jednak uciekli. Było im zbyt gorąco z dwóch stron. Z jednej – od słońca Apulii, z drugiej strony – na skutek zagrożenia płynącego ze strony Saracenów.

W końcu, w 1300 roku, Karol II Andegaweński brutalnie zerwał „burnus” Lucery. Dwadzieścia tysięcy Saracenów, po półtorarocznym oblężeniu, w czasie którego zjedli nawet ostatnie rośliny, zostało zabitych, meczety zniszczono, a miasto nazwano „Miastem Świętej Maryi”.

Jednak to nowe imię nie przetrwało. Mitologia i tradycja okazały się silniejsze. Tak skończyły się oryginalne afrykańskie noce w tym zakątku Apulii.

Lecz jeszcze do dziś Lucera, jak każda kobieta, lubi westchnąć przed lustrem przeszłości i wspomina swoją młodość, kiedy udała się na bal historii owinięta czule w saraceński „burnus”, który nadawał jej tyle uroku.

MIASTO W FIOLETOWEJ POŚWIACIE

Kiedy przybyliśmy do Lucery, wczesnym porankiem, pierwszym obrazem, na jaki zwróciliśmy uwagę, był półokrąg gór, który potem – obserwowany z różnych punktów miasta – zamknął się, formując idealny obrys, przerwany wyłącznie w jednym punkcie: od strony równiny.

Ten kształt uformowała natura, z grzbietów Apeninów i z Gargano.

Poranek, zimny, lecz pełen słonecznego blasku, rzucił na ten pierścień niewiarygodną barwę fiołków, tak głęboką, że w szczelinach przechodzi

85 Konradyn, ostatni męski przedstawiciel dynastii Hohenstaufów, korzystał z lojalności Lucery – miasta o silnej autonomii i znaczącym muzułmańskim elemencie, które pozostawało bastionem oporu wobec władzy andegaweńskiej. W trakcie swojej wyprawy do Włoch (1267–1268) liczył na wsparcie Lucery zarówno militarne, jak i polityczne, które jednak nie uchroniło go przed klęską pod Tagliacozzo i egzekucją w Neapolu. Po jego śmierci Lucera, ostatecznie zdobyta przez Andegawenów, została zniszczona, co zakończyło okres istnienia muzułmańskiej kolonii i wpływów Hohenstaufów w regionie. Por. J. Dunbabin: *Charles I of Anjou: Power, Kingship and State-Making in Thirteenth-Century Europe*. Longman, London 1998, s. 110.

w ekscentryczny kolor indygo. Tylko w miejscu, gdzie pierścień przerywa równina, odcienie fioletu nagle się rozjaśniają i nasiakają rustykalnym heliotropem. Ten ciemny krąg, który przełamał monotonię płaskiego horyzontu, nadał miastu wysokie tło i niepowtarzalny charakter.

Nigdy nie czuje się tak bardzo ubóstwa swojego języka, jak wtedy, gdy nagle ujrzy się obfity i oryginalny pejzaż, zanurzony w niezliczonych odcieniach barw. Wydaje nam się, że na każdy dzień mamy w zapasie sporą rezerwę słów i że czasem uda nam się coś wyrazić, nadać temu nazwę. A potem niespodziewanie wita nas – jak dziś w Lucerze – paleta tak niezwykła, że wszystkie nasze słowa, które mogłyby ją opisać, wydają się wyblakłe, bezbarwne, jałowe. To te chwile, kiedy poeta zazdrości malarzowi. Gdyby tak mieć dziś sztalugi i pędzle! Jaką rozkoszą byłaby umiejętność zmieszania fioletu z błękitem, indygo oprószonego lazurem, i uchwycenia tego fantastycznego heliotropu, który zalał równinę, osady i wsie, pola – na przestrzeni wielu kilometrów.

Ten pierścień, który otoczył miasto, jest dość odległy, lecz dziś, w ów jasny poranek pełen gwałtownego wiatru, zdaje się być tuż obok. Najlepiej jednak obserwować go z zamku, położonego wysoko, samotnie, poza miastem.

Dawniej była to największa i najsilniejsza twierdza w Apulii. Obejście jej murów stanowi już całkiem długi spacer, bo mają one prawie kilometr obwodu i nieustannie zmieniają kierunek. W końcu dostrzegamy, że naszymi krokami nakreślił się nieregularny pięciokąt.

Po upadku Hohenstaufów rodzina Andegawenów – jakby nawet po śmierci chciała z nimi rywalizować – choć zaczęła niszczyć wszelkie osiągnięcia kultury szwabskiej, natychmiast w tym samym miejscu wznosiła nowe budowle, jakby chciała dorównać poprzednikom i przewyższyć ich.

Zburzyła meczet znajdujący się w obrębie murów twierdzy, lecz zaraz na jego miejscu rozpoczęła budowę Kościoła św. Franciszka, który niestety nie zachował się do naszych czasów. Pozostało jedynie miejsce, gdzie modliły się dwie różne religie, gdzie egzystowały wrogie rasy, gdzie mieszały się odmienne języki.

Zachowały się jednak inne świadectwa epoki andegawieńskiej: Wieża Lwa i Wieża Lwicy. Tak imponujące, że sam czas nie odważył się ich zniszczyć.

Zamek mógłby dotrwać aż do dziś jako konstrukcja oparta na starożytnym szkielecie, w którym można policzyć żebra greckiej *arx* i rzymskiego *castrum*. Jednakże w XVI i XVII wieku posłużył za kamieniołom podczas konstrukcji wszelkich budowli świeckich i sakralnych, tak że przeciwko najbardziej opornym ostańcom użyto nawet materiałów wybuchowych.

Dziwnym zwierzęciem jest człowiek! Z dziecięcą radością buduje, lecz z dojrzałą rozkoszą niszczy!

Gdybyśmy mogli dziś ujrzeć Lucerę w jej odśłonach starożytnej i średnio-wiecznej – świątynie Pallady i Apolla, ołtarz Diomedesa, cyrk i termy, pałac Fryderyka oraz meczety z ich wysokimi minaretami...; gdyby jedne budowle wzniesiono „obok” drugih, zamiast „na” drugih, z pewnością byłoby rzeczą niezwykle interesującą skosztować tego... architektonicznego tortu, złożonego z tak odmiennych warstw.

Byłaby to prawdziwa rozkosz dla naszego estetycznego podniebienia, a w takim przypadku – w przypadku baśniowym – Lucera byłaby z pewnością najbardziej egzotycznym miastem Apulii.

Spacer od cyrku do meczetu, droga od świątyni Ceres do „haremu”, od term do zamku Fryderyka, od amfiteatru do andegawęńskiego Kościoła św. Franciszka, z pewnością byłby różnorodny i interesujący!

Zamiast tego musimy zadowolić się ruinami. Piękny XIX wiek i początek XX mogą się pochwalić ważną zdobyczą cywilizacyjną: wzięciem pod ochronę ruin. Wiek XIX był wiekiem wykopalisk i renowacji architektonicznych.

Włochy, między pierwszą a drugą wojną światową, bardzo pomyślnie odrestaurowały większość swoich słynnych zabytków. Lucera także znalazła się na tej liście. Ruiny szwabskiej części zamku podniesiono z ziemi, tak że i dziś możemy docenić, z jakim gustem i rozmachem została wykonana ta budowla.

I gdyby nie fakt, że nasze oczy widziały tyle tragicznych ruin, całe miasta zniszczone wojną, zamek w Lucerze byłby dla nas dzisiaj co najmniej romantyczny. Ale ruiny budzą w nas teraz tylko gorycz. Przypominają o zbyt wielu bolesnych wydarzeniach...

Dlatego też z przyjemnością patrzymy na katedrę andegawęńską. Jeśli spojrzeć się na nią z zewnątrz, od strony absydialnej, sprawia wrażenie wspaniałego zamku.

Jej budowę rozpoczęto w tym samym roku, w którym Giovanni Pipino z Barletty, wykonując rozkaz Andegawenów, po zdobyciu Lucery zniszczył wszystkie meczety, czyli w roku 1300. Bardzo się spieszano, by zatrzeć wszelki ślad po Saracenach. Dwa lata później, choć katedra jeszcze nie była ukończona, została konsekrowana.

Wszystkie wielkie katedry romańskie Apulii od wielu lat zapuściły już swoje korzenie głęboko w ziemi, obrastając tradycją, kiedy ta młodsza rywalka wniosła na ten obszar zupełnie nowy akcent. Surowość i powaga zostały zastąpione przez niemalże francuską elegancję, a prostota przez troskę, by w jak najwyższym stopniu uniknąć przestrzegania obowiązujących kanonów i móc się poszczycić absolutnie nową indywidualnością.

Plan w dużej części został zrealizowany. Katedra w Lucerze ma zatem kształt jedyny w swoim rodzaju. Jej styl jest świetlisty i pogodny, jakby swym

optymizmem walczyła, wciąż pośród ruin, przeciwko wszelkiej nostalgii saraceńskiej i wszelkiemu orientalnemu „kismetowi”⁸⁶. Jakby zrealizowała jakiś duchowy, ludzki projekt, w którym wszystko opiera się na dobrej woli i sile wewnętrznej. Jednocześnie nie rezygnuje z siły fizycznej, jakby chciała poświadczyc, że jest jedną z tych twierdz projektu Pierre’a d’Angicourt⁸⁷, których kilka pozostawił po sobie w Apulii. Tylko że tutaj pierwotny zamysł twierdzy wojskowej przemienił się finalnie w fortecę religijną.

I zarówno architekt, jak i styl budowli, z nieomylnym piętnem militarnym, nigdy tak jak w tym miejscu – gdzie jeden naród i religia zastąpiły inny siłą oręża – nie byli tak dobrze dobrani, zyskując niemal symboliczne znaczenie.

Pełne majestatu i solidne przypory wzmacniają tę „religijną cytadelę”; muskularność poligonalnej apsydy budzi podziw, proporcje całości są imponujące, a sama dzwonnica przemieniła się w groźny barbakan. Jeśli chcemy oceniać według tradycyjnej miary, to z pewnością tak potężnej katedrze brakuje strzelistej wieży, dzięki której mogłaby wznieść się ku górze i zyskać lekkość. Natomiast masywna, niska, ośmiokątna dzwonnica nie realizuje tego zamiaru. Niemniej, jeśli ktoś zechce spojrzeć na nią pod kątem oryginalności, ten... kościelny barbakan tylko zyskuje dodatkowe walory.

Fasada ma trzy portale, które już wyraźnie ukazują wpływ francuski. Lecz i tutaj pierwszą rzeczą, jaka raduje nasze oczy, są dwie starożytne kolumny o ciekawych kapitelach, okalające środkowy portal. Jaką drogę przebyły? Czy podtrzymywały lirycznego Apolla lub urodzajną Ceres w epoce klasycznej, a później wojowniczego Allaha w jakimś meczecie? Każda epoka otarła swym pumeksem ten szlachetny zielony marmur!

I widzimy, że starożytna kolumna wraz ze swym kapitelem, niezależnie od stylu, stała się architektonicznym arcydziełem. Na tle jakiegokolwiek późniejszego stylu stoi ona na honorowym miejscu. Wszędzie można ją dostrzec i rozpoznać; odgrywa mistrzowską rolę w stylach bizantyjskim, renesansowym, romańskim i barokowym. Stworzyła własną modę, która nigdy się nie zestarzeje. W Apulii kolumn są setki, gdyż po tej części Włoch antyk przeszedł z impetem i w pełnej glorii.

Natknęliśmy się na nie w Trani, dziwacznie osadzone trzonem w odwrotnym kierunku, w Kościele św. Andrzeja, zaś na jednej z nich wciąż można przeczytać inskrypcję ku czci cesarza Konstansa. W katedrze w Canosie spoczywały na

86 Termin „kismet” pochodzi z języka tureckiego i oznacza przeznaczenie, fatum, los. Jest najczęściej stosowany na określenie niespodziewanych wydarzeń i niewytłumaczalnych zrzędzeń losu. Może być przejawem fatalizmu i oznaczać bezwarunkowe poddanie się woli Boga (Allaha).

87 Por. przypis 91 na s. 177 w niniejszej edycji.

podstawach z białego marmuru, tych samych, które niegdyś zdobiły świątynię Ateny, tak pięknych, że niektóre z nich – te z zielonego marmuru – pewien Burbon chciał uprowadzić do pałacu w Casercie. Lecz mieszkańcy Canosy zdołali udaremnić kradzież swoimi energicznymi protestami.

W katedrze w Tarencie rozpoznaliśmy je od razu, choć były pomieszane z innymi: romańskimi i bizantyjskimi. Te z katedry w Otranto widziały triumfujących Turków wjeżdżających pomiędzy nie konno. Widziały masakrę wszystkich, którzy schronili się w katedrze, i przez długie miesiące – wcześniej będąc dumą świątyni Minerwy – zostały poniżone do rangi filarów w stajni, w którą Turcy zamienili wspinały budynek.

Dziś, po raz kolejny w Lucerze spotykamy te stare znajome. Dwie od strony fasady, dwanaście we wnętrzu.

Katedra w Lucerze, wyróżniająca się trzema kaplicami absydialnymi, freskami z XVI wieku, ogromnym stołem Fryderyka z Castel Fiorentino, przemienionym tutaj w oryginalny ołtarz, z gotyckimi rzeźbami i leżącym pomnikiem Karola II, została odrestaurowana w 1928 roku tak doskonale, że udało się uwydatnić jej niepowtarzalny charakter i wszystkie szczegóły, które odróżniają ją od starszych katedr apulijskich.

Dzwon, o trafnej nazwie „czuwający”, został odlany na rozkaz Karola II Andegawęńskiego z najlepszego metalu znalezionej w szwabskiej twierdzy.

I tak jak nazwaliśmy Bazylikę św. Mikołaja w Bari „Koh-i-noorem diademu romańsko-apulijskiego”, katedrę w Trani – „heroiną wpatrzoną w swoje wspinałe odosobnienie”, katedrę w Bitonto – „jednoskrzydłym orłem”, katedrę w Ruvo – „małą, lecz wielką”, katedrę w Troi – „patetyczną symfonią”, tak dziś do naszej listy dodajemy katedrę w Lucerze – „twierdzę religijną”!

STAROŻYTNA INSKRYPCJA W LUCERZE

Dla Giovanbattisty Gifuniego⁸⁸

Wśród wielu sekretów, które Apulia powierzyła wiekowi XX, tym najpilniej strzeżonym był amfiteatr w Lucerze, przez wiele stuleci spoczywający pod ziemią po ferworze igrzysk, jakie wcześniej go ożywiały.

88 Giambattista Gifuni – prawnik z zawodu, bibliotekarz i działacz kulturalny z miasta Lucera. Zasłynął dzięki swojemu długoletniemu zaangażowaniu w ochronę i promocję dziedzictwa kulturowego miasta oraz regionu. Był autorem licznych publikacji dotyczących dziejów Lucery, obejmujących zarówno historię, jak i sztukę oraz archeologię – przykładowo *Profili e scorci di storia* (Neapol 1942) oraz *L'Arma di Lucera* (Lucera 1973). Zmarł 8 lipca 1977 roku w Lucerze.

W całości pozostał podpis tego, kto go wybudował: Marco Vecilio Campo. Patron kolonii w Lucerze wznosił amfiteatr w swojej własnej posiadłości, *pecunia sua*⁸⁹, i z materiałów w większości wydobytych tu na miejscu.

Amfiteatr był poświęcony Augustowi oraz kolonii i na początku przeznaczono go wyłącznie na użytek młodych sportowców. Były to czasy, kiedy oświecony cesarz mocno podkreślał rolę wychowania fizycznego młodzieży i wznosił ośrodki sportowe we wszystkich rzymskich terytoriach. Później amfiteatr został przebudowany, a także uzupełniony o niezbędne elementy pozwalające na organizowanie walk gladiatorów i występów dzikich zwierząt.

Swoim stylem wskazuje na etap ewolucji między teatrem greckim i amfiteatrem rzymskim, gdyż jest częściowo umieszczony pod poziomem ziemi, z jednym podwyższonym parterem. Wpisując w jego plan dwa okręgi, nie jest on idealnie eliptyczny, co również odróżnia go od tradycyjnego schematu. Był obłożony na zewnątrz blokami trawertynu, wewnątrz płytami marmuru.

Odrestaurowany ze szczególnym poszanowaniem epoki i wielkim smakiem architektonicznym nie został w najmniejszym stopniu zniekształcony, dzięki czemu może zapewnić pełny obraz nie tylko laikowi, ciekawemu starożytności, ale także kompetentnemu krytykowi sztuki.

Pozostawał jednym z największych obiektów swojej epoki. Mógł pomieścić prawie dwadzieścia tysięcy widzów.

Położony na uboczu miasta, wśród pól otoczonych w oddali górami, niezagrożony przez obecność sąsiadujących zabudowań, dostarcza pełnego i autentycznego świadectwa. Jest nienaruszony. Włączony w krajobraz, który przez wieki pozostał niezmieniony, z widokiem na daleki horyzont w tle, stanowi sam w sobie obraz – starożytny w najwyższym stopniu – przenoszący nas nagle w epokę tak bardzo odległą od naszej.

Miasto pozostało za nami.

Długa aleja, niczym most między epoką współczesną a augustowską, prowadzi nas do amfiteatru. Oczywiście nie należy gloryfikować żadnej epoki. Każda była utkana z blasków i cieni. W historii nie było żadnej – i dotyczy to nawet epoki arkadyjskiej czy czasów Peryklesa – złożonej wyłącznie ze światła. Nie było też żadnej – nawet za czasów Czyngis-chana – pogrążonej wyłącznie w mroku.

Złoto i czerń zawsze przeplatały się na drogach historii. Tylko czasami jeden z elementów dominował nad drugim.

89 „Z pieniędzy prywatnych, z własnych środków”.

Miłośnikom antyku epoka augustowska zawsze będzie się jawić jako gęściej przetykana złotymi nićmi, podczas gdy zwolennicy modernizmu nie dostrzegają wielu czarnych i groźnych chmur na niebie XX wieku. Nie należą ani do czcicieli starożytności, ani do gorzkich pesymistów, którzy widzą w XX wieku jedynie iperyt, bomby i więzienia. Lecz jedną dwudziestowieczną chmurą, bardzo niepokojącą, zajęli się już różni astrologowie, rekrutujący się spośród filozofów, pisarzy, poetów, a nawet polityków i socjologów: chodzi o „czas” życia wyznaczony przez mieszkańców współczesnego świata.

Człowiek współczesny zorganizował sobie styl życia, który wypełnia cały jego czas. I w ten sposób zubożał, stracił swój najcenniejszy klejnot: wolną chwilę! Nie ma czasu na nic. Ani na myślenie, ani na odpoczynek, ani na pogłębione studia, ani na rozrywkę. Cały świat spieszy się za bardzo. Pędzą mechanika i dyplomacja, technika i polityka, fizyka i sport, sztuka i codzienne życie. Człowiek utracił spokój oddechu. Oddycha z trudem! I to nawet kiedy ma do pomocy tak cudownego sługę jak samochód!

Pod tym względem człowiek starożytny przewyższa człowieka współczesnego. Miał czas na wszystko. To nie chronos nim rządził, lecz on chronosem. Filozofia i sztuka, architektura i poezja, teatr i polityka – wszystko płynęło w spokojnym rytmie, przy wewnętrznej równowadze, z odpowiedzialną refleksją. Człowiek antyku, który potrafił doskonale prowadzić rydwan na arenie amfiteatru, był równie biegły w zakładaniu wędzidła narowistemu czasowi i, jako świetny jeździec, umiał regulować tempo według własnego uznania. Człowiek współczesny kurczowo chwyta się szyi smoka pośpiechu i galopuje na oślep; i jakże często, zamiast znaleźć się u wrót raju, odkrywa u swych stóp przepaść – już zbyt późno, by jej uniknąć!

Człowiek starożytny miał przede wszystkim czas na myślenie i na zabawę. W termach potrafił filozofować z przyjacielem godzinami, a w amfiteatrze mógł przez całe popołudnie, bez znużenia, podziwiać siłę i zręczność ludzkiego ciała. Termy, w których zmywał z siebie kurz codzienności, i amfiteatr, w którym podziwiał piękno ludzkiej anatomii – oto dwa symbole jego regularnego rytmu, pozbawionego pośpiechu.

Takie myśli wywołuje w nas amfiteatr w Lucerze. Rozrywka była uważana niegdyś za czynnik ożywczy, na równi z pracą. Kształtowała mentalność człowieka, który poświęcał jej znaczną część swojego dnia, zawsze w przekonaniu, że nie jest to czas zmarnowany. A ulubionym miejscem był amfiteatr – esencja powszechnego, demokratycznego ducha. Dziś wydaje nam się starożytną strofą, która opiewa inny system i rytm życia, nie kierowany przez owego pospolitego dyrygenta orkiestry, jakim jest demon czasu!

Po tym innym systemie życia w Lucerze pozostała pewna kobieta! Jest młoda, ma bowiem zaledwie... siedemdziesiąt siedem lat! Stała niegdyś na cokole, w termach, a sportowcy, miłośnicy gimnastyki, zapewne akademicko dyskutowali nad jej proporcjami niczym nad heksametrem. Zrodzona z piany starożytnej wyobraźni, z tęsknoty za idealnym kobiecym pięknem, stanowi jeden z tych zmaterializowanych kształtów, które kanony klasyczne podniosły niemal do rangi matematycznego aksjomatu.

Znamy już kilka najszlachetniejszych realizacji tego ideału. Forma z Milo skupiła w sobie tyle światła, że przestała niemal być marmurem, stając się astralnym objawieniem utkany z promieni.

Ta z Kapui w Neapolu, wznosząca się niegdyś wśród wielu równych jej arcydzieł w jednej z osiemdziesięciu arkad Amfiteatru Kampanii, swym charakterem „zwycięzczyni” zdaje się realną syntezą, noszącą imię „kobiecość”.

Personifikacja Cyreny – najbardziej zmysłowa, nasycona pogodą ducha, greckim optymizmem i radością życia – zdaje się oddychać. Nikt nie byłby zdziwiony, gdyby nagle marmurowy tors zaczął w spokojnym rytmie unosić się i opadać, ani gdyby jej włosy zapłonęły złocistym kolorem miodu. Ideał z Syrakuz uczynił z doskonałości fizycznej wartość tak wielką, że ciało stało się tylko naczyniem koniecznym do pomieszczenia zapalczącej myśli, uczucia i marzenia!

Wenus Kapitolińska, nieco kokieteryjna, a w każdym razie świadoma swego piękna, w aureoli chwały doskonale reprezentuje swój typ, zdaje się nim chęłpić, pewna swej siły i uroku.

Dziś w Lucerze widzę jej nowe wcielenie. Jest ze wszystkich najbardziej elementarne. Dla niej również własne piękno jest czymś codziennym, naturalnym. Jest wzruszająca w swojej skromności i prostocie. Tak jakby nie zdawała sobie sprawy ze swych doskonałych wymiarów. Wenus z Lucery żyje tam, gdzie się narodziła! Oparła się wszystkim modom kobiecej sylwetki: gotykowi, rokoko, „chłopczycy”. Raz ramiona były opadające, raz normalne, innym razem podniesione w górę. Raz kobieta miała talię pod biustem, jak w epoce dyktatoratu, raz na biodrach, jak po pierwszej wojnie światowej. Zmieniał się styl „sylwetki” – raz ogromnie szerokiej, raz horrendalnie wąskiej. Minęły wieki, ale Wenus znalazła w termach płonie, rozgrzana formą wiecznie aktualną, klasycznymi proporcjami, które zachwycają wszystkich i nigdy się nie starzeją.

Dom Wenus Lucereńskiej jest wypełniony po brzegi bardzo ciekawymi rzeczami: wotami, monetami, statuami, fragmentami inskrypcji, mozaikami. Wenus wciąż mieszka w klimacie duchowym, w którym się narodziła.

Dla niej świat się nie zmienił!

P. S. – Dziwna to inskrypcja, którą odczytałam w Muzeum Lucery:

FACILIS DISCENSUS AVERNI

Łatwo jest zejść do piekieł.

Sprawia wrażenie napisu przepełnionego pesymizmem!

Lecz dziś, po tylu wiekach, człowiekowi współczesnemu nie pozostaje nic innego, jak tylko uzupełnić to starożytne zdanie innym, charakteryzującym jego czasy:

JAKŻE TRUDNO JEST WZNIEŚĆ SIĘ DO NIEBA!

METEORYT W CASTEL FIORENTINO

Pośród wielu zjawisk atmosferycznych epoki średniowiecza można wskazać moment, kiedy przez niebo Apulii przemknął niezwykle meteoryt, który – zgodnie z przepowiednią – zgaśł pośród kwiatów.

Chwila jego upadku była niemal symboliczna. Jakby sam los chciał rozsypać na to niezwykle zjawisko, na jego już lodowate serce, kwiaty – w postaci nazwy miejscowości, w której zgaśło.

Niezwykłe długie promienie emanowały z owego meteorytu, gęste, jasne; lecz dziś ciekawi nas tylko jeden z nich, z pewnością najbardziej oryginalny: „polityczny uniwersalizm europejski”. Sceptyk mógłby zastąpić tę nazwę określeniem „imperialistyczny interes osobisty”. Gdyby chodziło tylko o Fryderyka – cesarza! Ale istniał także Fryderyk – filozof i Fryderyk – poeta. I jeśli chcemy znaleźć najgłębszą przyczynę uniwersalizmu politycznego tego człowieka, musimy brać pod uwagę nie tylko Fryderyka – cesarza, lecz przede wszystkim filozofa i poetę.

Co zainicjowało ten promień, tak niezwykle nie tylko dla swej epoki, lecz także dla kolejnych? Kto zapalił pierwszą iskrę? Filozof? Poeta? Może poeta zaczął marzyć? Może filozof zaczął myśleć? Te dwie iskry stopiły się i wydłużyły w świetlisty promień, który zapragnął przeniknąć głęboką i tradycyjną ciemność zalegającą nad Europą. Dalekowzroczny filozof i entuzjastyczny poeta zrozumieli, że genialny gest może odmienić mapę Europy. Taki gest, dokładnie sześć wieków później, powtórzył jego duchowy brat, w skromnej amerykańskiej marynarce – Abraham Lincoln – na innej półkuli.



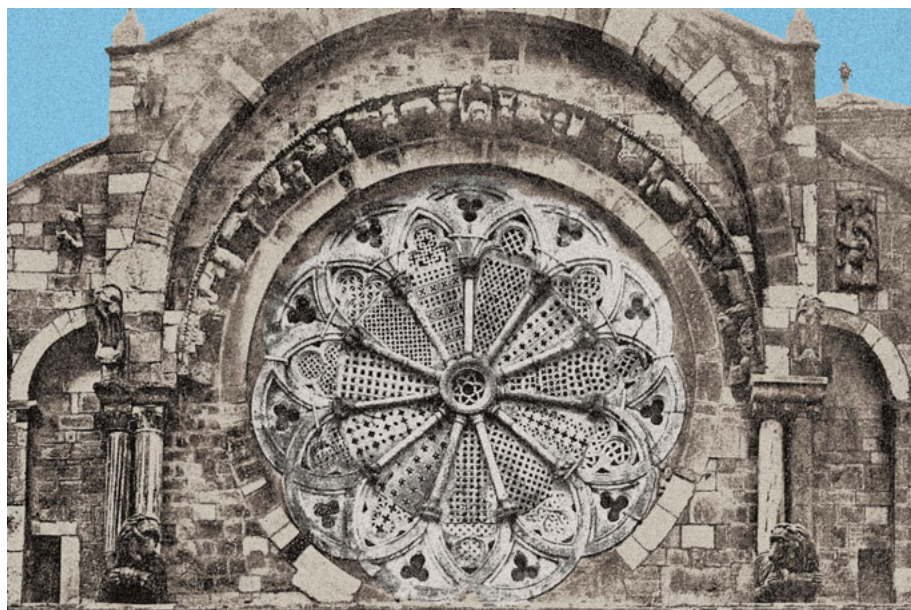
Amfiteatr... – przypomina starożytną Lupiae



Oto typ sanktuarium w Massafrze



... z miłością odtworzyła jego wspinały łuk



Kamień osiadł tu u stóp ludzkiej wyobraźni...

Ale Fryderyk II z pewnością nie marzył tylko o politycznej zmianie mapy Europy. On sam, swoim niezwykłym intelektem, otworzył na oścież świat i wszystkie granice, nawet te najdalsze. Do tego nie potrzebował ani wojny, ani szpiegostwa, ani militarnego zwycięstwa. Istnieje pewna kasta ludzi, dla których świat otwiera się sam, jak za sprawą magicznego zaklęcia, bez krwawych kluczy. Fryderyk chciał podnieść poziom cywilizacji w całej Europie. Był rzeczywiście człowiekiem przeznaczonym do wielkich zadań; miał niezwykle wprawną rękę w podejmowanych próbach zaszczepiania kultury, a każda jego sadzonka rozwijała się wspaniale. Natura zaś obdarzyła go umiejętnością przeczuwania klimatu epoki, która miała nadejść, i jako urodzony wojownik z jednej strony, a poeta i filozof z drugiej, pełen pozytywnych cech, doskonale dostrzegał przyszłą drogę Europy. Miał sokoli wzrok. Ze stoicyzmem i spokojem, a bardzo często z godnym podziwu humorem, przyjmował nieprzychylne opinie.

Rzucał pomysły, które w tamtej epoce wydawały się zupełnie niedorzeczne, i stosował równie szalone środki realizacji. Posługiwał się systemami, które być może zrozumiemy dopiero w przyszłości. Chciał zrealizować swój projekt, ale nie dzięki swojej sile militarnej. Tak, jej także używał, i to z wielką biegłością, jednak tylko wtedy, gdy – jak błyskawica – pojmował, że inne środki nie wystarczą. Piękno projektu Fryderyka polegało nie tylko na oryginalnym celu zjednoczenia Europy, lecz także na narzędziach, z których zamierzał skorzystać, by ten cel osiągnąć. Jako filozof zrozumiał, że przy dobrej woli kilkunastu ludzi pozbawionych egoizmu można taki szalony projekt zrealizować w sposób koncyliacyjny. Tę drogę wskazali myśliciel i uczony; poeta odcisnął na niej pieczęć swego gorącego entuzjazmu, a cesarz od razu dostrzegł rzeczywiste dobro dla całej Europy.

I oto zaczęły krążyć, jak iskry, jak małe światełka, jak jasne plamy, listy i proklamacje Fryderyka II do różnych książąt i władców. Była to z pewnością pierwsza literatura dotycząca zjednoczenia Europy napisana w nowoczesnym stylu. Te światełka, te nikłe błyski zaczęły tworzyć promień o wyjątkowej długości, który przeleciał przez całą Europę z jednego krańca na drugi, przecinając ciemność we wszystkich kierunkach. Ta praca wywoływała jedną burzę po drugiej, pomiędzy które, bohatersko i logicznie, wślizgiwał się promień nowatorskiej myśli. Niemniej powietrze nad Europą pozostawało mroczne, a jeszcze mroczniejsze były umysły tych, którzy w tamtej epoce mogliby wyciągnąć ku Fryderykowi magnetyczne dłonie, na niezwykłym posiedzeniu wokół europejskiego stołu. Postać astralna zjednoczonej Europy napotkała jedynie ciało i kości, podczas gdy dusza była nieobecna. Szósty zmysł milczał. Klasyczna pustka ideału! Zbyt sztywna tradycja. Trzeba ją było powoli podkopywać z różnych stron, aby

nie obalać jej siłą oręża, lecz osłabiać przy pomocy dyskusji filozoficznych. Na tamte czasy projekt był zbyt śmiały. I dlatego wszyscy późniejsi zwolennicy zjednoczenia Europy pokładali wiarę jedynie w sile militarnej, bezceremonialnie odkładając na bok intelekt.

Meteoryt-Fryderyk zgasł w Apulii, na tej ziemi, którą tak czule kochał, że nazywał ją „ziemią obiecaną”. Przemierzając bowiem Palestynę, miał zawołać: „To nie jest ziemia obiecana, ziemią obiecaną jest moja Apulia!”.

Dziś, jako poeci, interesujemy się proroctwem słynnego Michała Szkota, uczonego, który zajmował się także okultyzmem.

Czy wolno jeszcze marzyć? Nam, którzy tak niedawno przeszliśmy przez najczarniejszy huragan historii, i którzy widzieliśmy spadające z nieba na ziemię rakiety nalotów powietrznych. Może wyobraźnia – niećwiczona – zubożała w formie? Może zajęcie marzyciela wydaje nam się dziś czymś śmiesznym?

Jeśli nie – poszukajmy jakiegoś zacisznego kącika i tam zacznijmy na nowo to beczynne rzemiosło. Być może wiele zniszczymy, lecz w końcu coś pozostanie.

Zajmijmy się proroctwem Fryderyka II. Jest styczeń. Na początku roku każdy z nas może rzucić okiem na karty. Wyciągamy damę (Europę), której Fryderyk już wtedy chciał zapewnić dobry los. Wielu królów później walczyło o jej szczęście, a wielu waletów biło się o jej przyszłość. Milczał tylko uparty as kier, zawsze ustępując miejsca swemu odwiecznemu rywalowi – asowi trefl. Tak oto Dama dotarła do połowy XX wieku...

„Umrzesz przy żelaznej kurtynie, w miejscu, które ma w nazwie kwiat” – mówiło proroctwo. Fryderyk II nigdy, jak głosi opowieść, nie chciał jechać do Florencji, lecz los sam rzucił mu kwiat na najpiękniejszą kartę, jaką w życiu wyciągnął – asa kier. Zmarł w Castel Fiorentino, nieopodal Lucery, 13 grudnia 1250 roku. „Żelazna kurtyna” – która rzeczywiście znajdowała się w tamtej komnacie i na którą Fryderyk II spojrzał tuż przed śmiercią, i nagle przypominała mu o proroctwie – opadła na jego fantastyczny projekt.

Proroctwo wypełniło się w przestrzeni kwiecistego łoża, jakby Castel Fiorentino miał być ostatnią sceną dla tak pięknej idei.

Castel Fiorentino, zbudowany w 1019 roku przez katepano Bazylego Boioannes⁹⁰, na malowniczym wzgórzu, był jednym z ulubionych zamków Fryderyka,

90 Bazyli Boioannes, znany też jako Basilius Bugianus, był jednym z najważniejszych bizantyjskich wodzów i administratorów w południowych Włoszech w pierwszej ćwierci XI wieku. Został mianowany przez cesarza Bazylego II Bułgarobójcę na stanowisko *catapano* (gubernatora wojskowego) południowych Włoch w 1017 roku i pełnił tę funkcję do roku 1027. Przybył do Apulii w celu zabezpieczenia terytorium przed najazdami Lombardów, Franków i Normanów oraz utrzymania kontroli nad strategicznymi przeprawami i szlakami komunikacyjnymi. Wraz z garnizonem

gdzie często zapraszał swych baronów na polowania. Niemal całkowicie zniszczony tuż po jego śmierci, porzucony na pastwę czasu, który dokonał reszty zniszczenia, dziś stanowi tylko garść ruin. Można jeszcze odcyfrować zarys jakiegoś muru, jakiegoś łuku, strzelnicy, bramy; pogrzebowe szczątki, suche płatki tego dziś już kamiennego kwiatu.

Nie wstydzmy się, w nowej erze, dziecięcych marzeń. Od 1250 roku, od śmierci Fryderyka, meteoryt jego idei czasem przelatywał nad Europą, lecz nigdy nie zwiastował jej pomyślnego losu. Wojny, krew, śmierć – to one zawsze dominowały w talii kart. As trefl zbierał swoje żniwo.

Ale może Michał Szkot widział dalej niż koniec rządów Fryderyka II? Może w jakiś symboliczny sposób chciał przepowiedzieć realizację inicjatywy cesarza, uwieńczając w końcu meteoryt kwiatami chwały?⁹¹

Może Europa stanie się kiedyś w przyszłości garścią ruin jak Castel Fiorentino? Lub może przeciwnie – ta nazwa uwieńczy ideę Fryderyka, nie cesarza, lecz filozofa i poety?

Zjednoczona Europa? Czy raczej „Castel Fiorentino”?

POŻEGNALNY TOAST W BRINDISI

Nie dziw się, że tutaj, pomiędzy bazyliką romańską a łukiem rzymskim, pomiędzy cudowną postacią świętego a mitologicznym bohaterem, znajdziesz rzecz najprostszą, najpospolitszą, najskromniejszą ze wszystkich: wodę. Nie

i posiłkami przysłanymi z Konstantynopola szybko przywrócił porządek, m.in. pokonał powstańcę wodza lombardzkiego Melo z Bari w bitwie pod Ofantem w 1018 roku przy pomocy elitarniej Gwardii Waregów. Prowadził systematyczną politykę umacniania pozycji Bizancjum w Apulii (Capitanacie) poprzez organizowanie sieci warowni i punktów obronnych, takich jak Troia, Dragonara, Civitate, Montecorvino i właśnie Castel Fiorentino, które współtworzyły sieć obronną wokół granicy regionu i wzmacniały bizantyjską obecność militarną. Por. *Antiche cronache di Terra di Bari*. Ed. G. Cioffari, R. Lupoli Tateo. Centro studi nicolaiani, Bari 1991.

⁹¹ Michał Szkot (ur. ok. 1175– zm. ok. 1235) – szkocki uczony, astrolog i tłumacz działający na dworze Fryderyka II Hohenstaufa. Jako *astrologus regis* zajmował się interpretacją zjawisk niebieskich, przepowiedniami politycznymi oraz prognostykami opartymi na koniunkcjach planetarnych i zaćmieniach. W traktatach takich jak *Liber Introductorius* czy *De Sphera* podejmował temat wpływu ciał niebieskich na los jednostki i świata, wykorzystując symbolikę bliską późniejszym systemom tarota i wróżbiarstwa. Znany z tłumaczeń z arabskiego (m.in. dzieł Al-Farabi’ego i Awicenny) współtworzył zachodnią tradycję ezoteryczną i astrologiczną, która oddziaływała na renesansową filozofię przyrody. Jego postać, łącząca naukę i okultyzm, przetrwała w legendzie jako archetyp uczzonego maga. Zob. P. Zambelli: *The Speculum Astronomiae and Its Enigma*. Kluwer Academic Publishers, Dordrecht 1992, s. 178–182.

przewracaj znudzony kartki i nie myśł, że woda apulijska na pewno nie jest jednym z sekretów tej ziemi, które warto opisywać. Wystarczy posłuchać szumu tysięcy fontann – ozdobnych lub użytkowych – albo, bardziej prozaicznie, odkręcić kran w łazience, by mieć tyle wody, ile zechcesz, nawet do nawodnienia całej Sahary.

A jednak, spośród wielu sekretów, których szukałam w Apulii, ten być może właśnie najbardziej mnie zafascynował, najbardziej mnie zachwyił. To sekret, który w sposób najbardziej optymistyczny pojednał mnie z ludzkością. Pomiędzy „skrawkiem krwi” w Kannach a ruinami Egnazii, pomiędzy zaniedbanymi murami Mandurii a przestrogą napisu w Lucerze, to właśnie szmer fontanny w rogu małego placyku opowiedział mi o życiu, przedsiębiorczości, sile woli i wytrwałości. To on zdradził mi najpiękniejszy sekret – tajemnicę odrodzenia tej ziemi.

Bo jeśli Barion był mitycznym założycielem najdawniejszego Bari, jeśli tylu bohaterów wojny trojańskiej rozsypało po tym regionie całą konstelację miast, jeśli dynastia normańska dała początek Królestwu Apulii, to woda, a wraz z nią ludzie i środki, którymi tak efektywnie ją tu sprowadzono, jest założycielką Apulii – takiej, na jaką dziś patrzysz z podziwem. Co więcej, jest żywym ziarnem, z którego ma się rozwinąć ta ambitna przyszłość, która dojrzewa tu wszędzie wokół Ciebie.

Nie dziw się więc, jeśli to właśnie *siticulosa Apulia* sprawia, że chcę zatrzymać Cię przy temacie wody. Nie ma miejsca bardziej odpowiedniego niż to. Tu – i to słusznie – Tales z Miletu mógłby udowodnić swoje twierdzenie, że woda jest „początkiem życia”. Miej więc cierpliwość i podążaj za mną, nawet jeśli czasem usłyszysz coś już znanego, albo jeśli jakiś wywód wyda Ci się nudny i suchy. Odrobina refleksji o „skrzydle orła” ludzkości może Cię pocieszyć i choć na chwilę sprawić, że zapomnisz o broni atomowej i latającym talerzu, o bombie wodorowej i najnowszym podwodnym „żarciku”, a może również spojrzysz z większym optymizmem na przyszłość tej biednej planety.

Sam już widziałeś obraz Apulii *Po kuracji*. Pozwól, że wydobę z kart zapisanych przez kilku dawnych podróżników obraz tej samej ziemi *Przed kuracją*. Zacznieś się wtedy pasjonować tym sekretem.

„Apulia jest prawdziwą pustynią, niemal bez produkcji i bez mieszkańców”. „Cały obszar rozciągający się między Monopoli, Brindisi i Lecce jest tak nieszczęśliwy, że wydaje się bardziej odpowiedni dla Tatarii niż dla najszlachetniejszej części Włoch”.

To słowa autora, który i dziś zasługuje na uważną lekturę – Giuseppe Marii Galantiego, prawnika, ekonomisty, geografa, Generalnego Wizytatora Królestwa,

który w 1791 roku, z polecenia Ferdynanda IV, odbył w Apulii drobiazgową wizytację, uwieńczoną słynnymi *Relacjami dla króla*⁹².

Wydaje Ci się to zbyt stare? A zatem:

„... stopy, w większości nieuprawne, prawdziwa Sahara...”

„W obecnym stanie rzeczy nie doradzałbym podróży w głąb Apulii czy Basilicaty nikomu, kto nie odbył wcześniej na Dalekim Wschodzie praktyki w zawodzie podróżnika”.

Tak pisał pod koniec XIX wieku François Lenormant, słynny archeolog, członek Akademii Francuskiej⁹³.

„Wielkie stopy, suche i niskie łańcuchy górskie, jedyne drzewo – oliwka”.

To z kolei Niemiec, Paul Schubring⁹⁴, na łamach „Frankfurter Zeitung” w 1900 roku.

A oto głos Włocha, z 1913 roku:

„Okropne widowisko poszukiwania choćby jednej amfory wody, często nadaremno; skupiska ludzi wokół cystern; długie marsze, by dotrzeć do odległego

92 *Relacje dla króla* Giuseppe Galantiego to zbiór raportów i analiz społeczno-gospodarczych sporządzonych w latach 1781–1786 przez neapolitańskiego ekonomistę i reformatora oświeceniowego dla Karola III i Ferdynanda IV Burbońskiego. Galanti, jako inspektor administracyjny i podróżnik królewskiego zlecenia, opracował szczegółowe opisy regionów Królestwa Neapolu, diagnozując przyczyny zacofania ekonomicznego, feudalnych nadużyć i nieefektywności instytucji. *Relacje...* stanowią jedno z najważniejszych źródeł dla historii społecznej i gospodarczej Mezzogiornia, łącząc obserwację empiryczną z językiem oświeceniowej krytyki. Zob. A. Broggio: *Giuseppe Maria Galanti e la questione del Mezzogiorno*. „Rivista Storica Italiana” 1998, vol. 110, s. 345–370.

93 Uzupełnijmy wcześniejszy konterfekt tego francuskiego archeologa, filologa i historyka starożytności – profesora École Pratique des Hautes Études, członka Académie des Inscriptions et Belles-Lettres. Lenormant specjalizował się w kulturach Mezopotamii, starożytnej Grecji i Bliskiego Wschodu, łącząc badania archeologiczne z analizą tekstów klinowych i numizmatyką. Jako jeden z pierwszych badaczy postulował istnienie przedsemickiej cywilizacji w Mezopotamii, którą nazywał „sukadyjską” – później utożsamianą z Sumerami. Brał udział w wykopaliskach m.in. w Kaldei, Syrii i Italii. Reprezentował erudycyjny model uczonego łączącego filologię, historię religii i eksploatację terenową. Por. W. Hallo: *The Ancient Near East: A History*. Harcourt College Publishers, New York 1998, s. 45.

94 Paul Schubring (1869–1935) – niemiecki historyk sztuki, specjalizujący się we włoskim malarstwie i rysunku Quattrocenta. W 1900 roku na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung” opublikował pionierskie artykuły popularyzujące włoską sztukę renesansową, w tym twórczość Filippina Lippiego i szkoły florenckiej, przyczyniając się do jej recepcji w środowiskach niemieckich. Teksty te cechowały się rzetelną analizą formalną oraz próbą ujęcia dzieł w kontekście religijnym i społecznym, co wyróżniało je na tle ówczesnej krytyki artystycznej. Schubring, związany później z uniwersytetem w Lipsku, był autorem licznych monografii, m.in. o Botticellim i Luce Signorellim, uznanych za klasykę ikonografii włoskiej. Jego działalność wpisuje się w rozwój niemieckiej nauki o sztuce jako dyscypliny akademickiej o silnym zapleczu filologicznym i estetycznym. Por. H. Sedlmayr: *Die Revolution der modernen Kunst*. Rowohlt, München 1955, s. 23.

zbiornika lub skromnego źródła... żółtawe wody gruntowe, pełne nie tylko droboustrojów i bakterii, ale też widocznych, poruszających się stworzonek. Wody te jeszcze dziś w wielu miejscach są używane przez ludność zarówno do celów domowych, jak i do gaszenia pragnienia”.

A jednak najbardziej przekonujące ze wszystkiego będzie żywe słowo ludzkie. Zapytaj jakiegoś starszego człowieka. To długowieczny ród, ma dobrą pamięć i lubi opowiadać. Usłyszysz potoczystą historię walki z macochą-ziemią, bogatą tylko w kamień. Opowie o ludzie żyjącym w warunkach dalekich od wesołych, o pladze jaglicy (wspomnienia z Maroka i Andaluzji! I pamięć o pewnym dniu w Almerii, gdy widok ludności niemal w całości dotkniętej chorobą zmusił mnie do pominięcia obiadu i przyspieszenia wyjazdu!), o niespokojnym wpatrywaniu się w wieczny błękit letniego nieba w nadziei na chmurkę, gdy kilka garści mętnej wody na dnie cystern stanowiło całe życiowe zapasy. O odrażającym przejeździe *carrati*, wozów-beczek przewożących zgniłe substancje i wodę, zatruwających powietrze na wiele kilometrów. O rojach owadów, o nędzy, o chorobach... o wszystkich siedmiu plagach Egiptu...

I w ten sposób, nieświadomie, usłyszysz najwspanialszą pochwałę ludu Apulii.

Inny człowiek albo fatalistycznie pogodziłby się z ponurym losem i biernie trwał w swojej nędzy, oczekując z nieba lub z zewnątrz ulgi, albo wyjechałby, pokładając nadzieję w emigracji i w nowych, łaskawszych ziemiach, aż zapomniaby o miejscu, z którego uciekł.

Apulijczyk jednak zdecydował się zostać i walczyć. Miał wiarę w swoją ziemię, ale jeszcze większą wiarę miał w swoje siły. A jeśli wyjechał, nie chciał zapominać o ojczyźnie. Przeciwnie – przelewał w nią to, co zdobył gdzie indziej; oddawał jej swoją wiedzę, doświadczenie, autorytet, pozycję, którą osiągnął. Pokazał, jak wiele może ludzka wola i przywiązanie do swojej ziemi.

Wróg był podwójny: obfitość jednego żywiołu i brak innego. O walce z kamieniem (który, jak wspomniałam gdzie indziej, tu naprawdę awansował do rangi piątego żywiołu) mówiłam już wielokrotnie. Nic dziwnego, że i dziś widzisz tyle *parieti* – grubych murów z suchego kamienia, grodzących drogi i pola. Ty ubolewasz nad zmarnowaną ziemią, a apulijski rolnik ubolewa razem z tobą. Czyż nie wystarczyłyby cienki drut? Ale gdzie i jak przewieźć potem ten cały kamień?!

I stary rolnik opowie Ci, jak ta kamienista ziemia pokrywała niemal całe jego pole, jak niemożliwe było choćby wbicie motyki w grunt. Jak on sam, wraz z całą rodziną, zbierał kamienie jeden po drugim, kosz po koszu, układając je w stosy. O milionach metrów sześciennych kamienia, które każdej jesieni pokrywały drogi, przyczyniając się niemało do osuszenia terenu... I łatwo Ci będzie zrozumieć ten aspekt batalii.

Drugim frontem walki były zmagania z suszą.

Mogłabym zacząć od zacytowania Horacego. Ale zapewne pamiętasz tę małą apulijską osadę, której w swoim słynnym opisie podróży z Rzymu do Brindisi poeta nie uważał nawet za wartą wymienienia, a gdzie

*...venit vilissima rerum
hic, acqua...*⁹⁵

– sprzedawano wodę, najpodlejszą z rzeczy. Ale wszystko to już słyszałeś z ust starszego człowieka. Podążaj raczej za mną do genezy, narodzin i rozwoju jednego z przedsięwzięć (ile ich jest w ogóle?), z których ludzkość może być dumna: Akweduktu Apulijskiego.

Z epoki Horacego musisz przenieść się do czasów zjednoczenia Włoch, by problem śmiertelnego zagrożenia dla miliona mieszkańców (mniej więcej tylu było wtedy), którym w każdym bardziej suchym roku groziła śmierć z pragnienia, znalazł wreszcie praktyczne rozwiązanie. Nadmierny duch regionalizmu sprawił, że stracono trochę czasu, upierając się przy poszukiwaniach czysto lokalnych sposobów rozwiązania problemu. Najpierw zweryfikowano więc wszystkie istniejące lub domniemane źródła wody w Apulii, oczywiście z wynikiem zniechęcającym. Potem sprawdzono najbliższe rzeki – Bradano, Ofanto, Biferno. I wciąż nie przezwyciężono niepewności, kiedy wreszcie w 1896 roku dekret ministra Perazziego położył kamień węgielny pod pomnik, który dziś nazywamy Akweduktem Apulijskim.

Był to krok milowy: powołano komisję. Ale w tamtych czasach może było na świecie więcej powagi i również gremia działały dobrze. Ta komisja, pod przewodnictwem ludzi takich jak Brioschi czy Pavoncelli, potrafiła rozwiązać wewnętrzne spory, dzięki przeprowadzeniu sumiennych wizji lokalnych upewniła się co do faktycznej sytuacji, zdobyła niezbędną szerszą perspektywę problemu i – po krótkim wahaniu między Sele a Calore – opowiedziała się za Sele.

W ten sposób zrobiono pierwszy krok. I, co ważniejsze, w dobrym kierunku. W 1898 roku ustawa zobowiązywała rząd do „przeprowadzenia badań i sporządzenia wstępnego projektu technicznego w celu zaopatrzenia Apulii w wodę pitną” w ciągu roku. Na wszystkie związane z tym wydatki przeznaczono sumę 120 000 lirów.

95 Obecny w oryginale błąd ortograficzny w łacińskim słowie „aqua”, zwłoszczonym jako „acqua”. Zob. Quintus Horatius Flaccus: *Satyry*, I, 5 (*Podróż do Brindisium*). Przeł. P. Popiel. W: Quintus Horatius Flaccus: *Wybór poezji*. Zebrał i oprac. R. Ganszyniec. Nakładem Filomaty, Lwów 1935, s. 65.

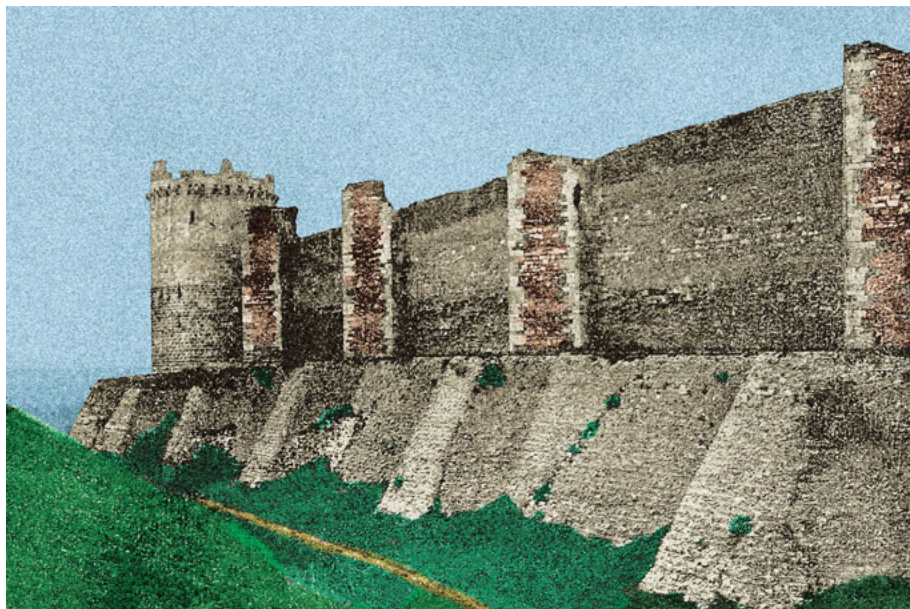
Polecam wielu, by spojrzeli na projekt opracowany przez specjalnie utworzone biuro Inżynierii Cywilnej. Nie mogę ocenić pracy od strony technicznej, ale podoba mi się ona jako piękny przykład uczciwości i pełnej zaangażowania obowiązkowości. Inżynier Bruno, kierownik biura i autor projektu, zasługuje na wspomnienie – zwłaszcza w dzisiejszej atmosferze, powszechnej na całym świecie – choćby tylko ze względu na sposób, w jaki umiał zmieścić się w przyznanej mu kwocie (w istocie wydano 135 000 lirów dzięki pozyskaniu środków z funduszu przeznaczonego na inny cel; a troska, z jaką inżynier Bruno uzasadnia tę dodatkową sumę, jeszcze bardziej podkreśla jego szacunek dla „publicznych pieniędzy”). I mimo że malaria, gorączka i tyfus kilkakrotnie dotknęły nieliczny personel, jakim dysponował, inżynier Bruno był punktualny w swojej pracy, dotrzymując ściśle wyznaczonego terminu.

I tak wreszcie, głównie dzięki działaniom Matteo Renato Imbriani⁹⁶, któremu słusznie każda miejscowość w Apulii poświęciła jedną ze swoich ulic, w czerwcu 1902 roku Izby uchwaliły stosowną ustawę, uzupełnioną i zmodyfikowaną 8 lipca 1904 roku. Utworzono konsorcjum pomiędzy państwem a trzema prowincjami, na które wówczas podzielona była Apulia. Całkowity koszt – 125 milionów lirów – podzielono w ten sposób: 100 milionów wyłożyło państwo, a 25 milionów prowincje apulijskie.

Zrób szybkie, przybliżone przeliczenie na dzisiejszą wartość pieniądza. Zobaczysz, że poważni, wężasi ojcowie narodu, z cylindrami na głowach i brodami, na które dziś patrzymy z pobłażliwym uśmiechem, potrafili wznieść się na orlim skrzydle do dalekowzrocznej wizji i wziąć na siebie wydatek bez wątpienia kolosalny – bez hiperbolicznych stwierdzeń i bez żadnego planu Marshalla czy podobnych zastrzyków finansowych.

Ogłoszono jeden jedyny przetarg międzynarodowy. Ustalono, że ostateczny termin ukończenia prac, w granicach pierwotnego projektu, przypada na 31 grudnia 1920 roku.

96 Matteo Renato Imbriani (1843–1901) – włoski polityk i filolog, znany jako jeden z kluczowych politycznych promotorów projektu *Acquedotto Pugliese* (AQP), monumentalnego systemu zaopatrzenia w wodę regionu Apulii. Dzięki jego działalności parlamentarnej oraz wsparciu administracyjnemu, inicjatywa budowy akweduktu, mającego na celu poprawę warunków życia i rozwoju gospodarczego południowych Włoch, zyskała niezbędne poparcie polityczne i finansowe. Imbriani łączył swoje zaangażowanie irredentystyczne i regionalne z działaniami na rzecz modernizacji infrastruktury, stanowiąc pomost między lokalnymi potrzebami a włoskim rządem centralnym. Jego rola w kampanii na rzecz realizacji AQP była przykładem skutecznego wykorzystania pozycji parlamentarnej do wspierania rozwoju regionalnego. Postać Imbrianiego pozostaje istotna dla historii południowowłoskich reform infrastrukturalnych przełomu XIX i XX wieku. Za: G. De Robertis: *Il ruolo di Matteo Renato Imbriani nel progetto dell'Acquedotto Pugliese*. „Rivista Storica Pugliese” 2010, no 45, s. 123–137.



Zamek w Lucerze usytuowany wysoko, poza miastem...



Wśród wielu sekretów, które Apulia powierzyła... był amfiteatr w Lucerze

Do przetargu stanęło tylko jedno przedsiębiorstwo: firma Ercole Antico i Wspólnicy, która następnie przekształciła się we Włoską Spółkę Akcyjną, Koncesjonariusza Akweduktu Apulijskiego. We wrześniu 1905 roku senator Giovanni Bombrini, szef spółki, podpisał kontrakt, przy kwocie obniżonej o milion lirów.

Nazwisko to jest dobrze znane w środowisku technicznym, ale czy każdy mieszkaniec Apulii, który dziś w kilka sekund odkręca kran, by napełnić wannę, albo długim gumowym węzłem podlewa swój sad pomarańczowy, czy też gasi pragnienie w upalne dni, rzeczywiście wie, kim był Giovanni Bombrini⁹⁷?

Przychodzi mi do głowy dziwna myśl. Ludzkość jest jak okrutne dziecko, które podziwia i nagradza przede wszystkim swoich niszczycieli. Gdyby Bombrini był jakimś generałem z połyskującymi galonami, na którego rozkazy w imię „wysokiej strategii” podpalano by całe miasta, gdyby był jakimś marszałkiem, który potrafiłby w dyplomatyczny sposób zapewnić swoim osobistym przeciwnikom darmowy bilet w jedną stronę na tamten świat – jego pomniki zdobiłyby dziś place największych miast Apulii.

Lecz Giovanni Bombrini nie był ani królem, ani admirałem, ani współczesnym dyktatorem. Dlatego trzy czwarte Apulijczyków nie zna nawet jego imienia.

A jednak był kimś więcej niż wszyscy wyżej wymienieni.

Z uwagą, która przyniosła mi wiele satysfakcji, przestudiowałam jego życie i dzieło. Można go zaliczyć do tej rzadkiej rasy czarodziejów, którzy potrafią, niczym zaklęciem, zahipnotyzować pracę. I którzy, obdarzeni genialnym zmysłem kalkulacji i twórczym intelektem, od pierwszego spojrzenia potrafią określić, od którego punktu należy rozpocząć dzieło i do jakiego ostatecznego celu można je doprowadzić.

To, co dla innych byłoby rzeczą niemożliwą lub szaleńczo ryzykowną, dla tej niezwyklej kategorii ludzi jest proste, zrozumiałe, zupełnie naturalne. Mają bowiem zdolność przewidywania każdej trudności i znajdowania sposobu, by ją przezwyciężyć. Umieją przemienić bezwład w energię, zahipnotyzować swoich

97 Giovanni Bombrini – włoski inżynier i konstruktor, znany przede wszystkim jako projektant i budowniczy jednego z istotnych akweduktów na terenie Włoch. Jego prace inżynierskie przyczyniły się do rozwoju infrastruktury wodociągowej w regionie, co miało duże znaczenie dla urbanizacji i rozwoju gospodarczego lokalnych społeczności. Bombrini wyróżniał się nowatorskim podejściem do systemów transportu wody, łącząc tradycyjne rozwiązania z postępową techniką epoki przemysłowej. Jego akwedukt, realizowany pod jego nadzorem, służył dostarczaniu wody pitnej do obszarów dotkniętych niedoborami wodnymi, co poprawiło warunki sanitarne i jakość życia mieszkańców. Postać Bombriniego pozostaje symbolem dziewiętnastowiecznej włoskiej inżynierii wodnej i modernizacji infrastruktury. Por. L. Moretti: *Storia dell'ingegneria idraulica in Italia*. Franco Angeli, Milano 1987, s. 152–155.

współpracowników i swoją siłą podnieść morale podwładnych. Jednym słowem – mają talent magów.

Oto rasa, którą ludzie cenią wciąż tylko połowicznie. Ponieważ dobrowolnie zrezygnowała z efektownego Bucefała i z pięciu rzędów odznaczeń na piersi, żyje w cieniu.

Dwóch filozofów długo spierało się niegdyś o to, komu należy się palma pierwszeństwa: genialnemu pomysłodawcy czy silnemu i mądrymu realizatorowi. Spór zakończył się remisem, bo każdy z nich przedstawił argumenty o równej wadze. Mnie się wydaje, że palma pierwszeństwa powinna być podzielona na dwie równe części.

A jeśli weźmiemy pod uwagę choćby Michała Anioła i jego „tragedię pomnika” – którą przywołuję tu jako klasyczny symbol wszystkich niezrealizowanych projektów, jakich ludzkość powinna żałować – mam wrażenie, że dla realizatora trzeba by uciąć jeszcze kilka liści z drugiej połowy palmy⁹⁸.

Giovanni Bombrini był Genuńczykiem. Już wcześniej nierozzerwalnie związał swoje nazwisko z narodzinami i rozwojem jednego z największych włoskich kompleksów przemysłowych – Ansaldo. Kontynuował jedną z tych dynastii potentatów przemysłu, z pewnością znacznie bardziej zasługujących na badania i pamięć historyczną niż niezliczeni rycerze-śmiałkowie z jeszcze liczniejszych, nieszkodliwych bitew średniowiecznych. Przyciągnięty wizją przedsięwzięcia wielkiego i trudnego, był jedynym, który odważył się stanąć do przetargu na wykonanie prac, jakich rozmach i trudność odstraszyły nawet wielki przemysł i kapitał międzynarodowy. Warto pamiętać, że zaledwie kilka lat wcześniej inna firma (Zampari) straciła wadium i musiała zrezygnować z kontraktu na budowę akweduktu dla prowincji Bari (który oczywiście nigdy nie został zbudowany) z powodu niemożności zgromadzenia potrzebnego kapitału. (Było to przedsięwzięcie warte 39 milionów lirów, co odpowiada mniej więcej pięćdziesięciu miliardom przy dzisiejszym kursie).

98 Michał Anioł Buonarroti podjął się realizacji pomnika papieża Juliusza II, co stanowiło sedno tzw. tragedii pomnika (*La tragedia del monumento*). Projekt, pierwotnie zakrojony na ogromną skalę, miał upamiętnić papieża jako wielkiego mecenasa życia kościelnego i politycznego, jednak z powodu sporów finansowych, politycznych i artystycznych, prace były wielokrotnie przerywane i znacząco redukowane. Michał Anioł zmagał się z presją oczekiwań oraz zmieniającymi się warunkami, co wpłynęło na ostateczny kształt dzieła – fragmentaryczny i niedokończony pomnik, który mimo to zachował ogromne znaczenie artystyczne i symboliczne. „Tragedia pomnika” odzwierciedlała konflikt między artystyczną wizją a realiami renesansowego mecenatu, będąc przedmiotem licznych analiz dotyczących relacji artysty i patrona. Pomnik Juliusza II pozostaje kluczowym przykładem wyzwań, jakie stawiała realizacja wielkich zamierzeń artystycznych w XVI wieku. Por. <https://www.homolaicus.com/arte/introduzione.htm> [dostęp: 26.11.2025].

Urok Apulii zrobił resztę; Genuńczyk zrozumiał ogromną wartość tej ziemi, przewidział jej przyszłość, stał się Apulijczykiem z wyboru.

Kiedy jego orli wzrok dostrzegł nieuchronne odrodzenie, wzrost liczby ludności i perspektywiczną przyszłość Apulii, Giovanni Bombrini nie wahał się na własne ryzyko i koszt zwiększyć maksymalnej przepustowości przewidzianej dla odcinków kanału. I podniósł do pięciu i pół metra sześciennego na sekundę górną granicę drożności kanału, projektowaną uprzednio na cztery metry sześciennie na sekundę – przewidując już wtedy przyszły, ogromny wzrost populacji i konieczność doprowadzenia do Apulii także wód z innych źródeł. Później, w obliczu narastających potrzeb mieszkańców, chętnie zgodził się skrócić terminy kontraktowe zakończenia prac.

Zostawiam specjalistom ocenę tej kolosalnej, na miarę Rzymian, budowli, wzniesionej przez człowieka podobnej miary. Mnie, poetkę, interesuje przede wszystkim charakter jej twórcy. Wzrusza mnie pewien epizod z jego życia.

Armia robotników pracowała przy tym olbrzymim dziele – w pewnych okresach było ich ponad dwadzieścia tysięcy. Możemy sobie wyobrazić, jak wyglądały wtedy tereny, przez które biegła główna nitka akweduktu. I oto pewnego razu, mimo że – wyprzedzając epokę – pracownikom zapewniono najlepszą możliwą opiekę higieniczno-sanitarną, w tej armii bez broni wybuchła epidemia cholery.

Cholera w tamtych czasach nie była tą samą chorobą co dziś, już oswojoną przez medycynę. Strach przed nią był ogromny. I wówczas Bombrini, mający już siedemdziesiąt lat, wyruszył z Genui do Apulii, na miejsce prac, by być w niebezpieczeństwie razem z tymi, którzy współtworzyli jego dzieło i byli zagrożeni.

Czyż nie miał do dyspozycji całego sztabu pomocników, inżynierów, dyrektorów, lekarzy, którym mógł powierzyć tę misję?

Podczas gdy to piszę, przypominam sobie inny podobny przypadek. Wędrując po świecie, lubię mieć oczy otwarte i obserwować wszystko. Zawsze przychodzi moment, gdy jakiś drobny szczegół, zauważony dziesięć lat temu w wiosce w Egipcie czy w Hercegowinie, okazuje się przydatny!

W hali przyjazdów dworca kolejowego w Neapolu widnieje wielka tablica. Kolejarze neapolitańscy, „pierwsi świadkowie tak wielkiego wydarzenia”, przypominają potomnym wizytę króla Umberta w Neapolu, z okazji słynnej epidemii cholery. Wydarzenie to upamiętnia także charakterystyczny pomnik, znajdujący się również w Neapolu, przy Ponte della Sanità, na którym widnieje słynne zdanie: „W Pordenone się świętuje, a w Neapolu umiera. Jadę do Neapolu”.

Może słusznie, że gest króla, który przeszedł do historii jako „dobry”, został tak dobitnie przekazany potomnym. Bo kiedy król robi coś, kolejne tysiąclecia są zobowiązane o tym wiedzieć.

Nie jestem pewna, czy w którymś punkcie tej ogromnej budowli jakaś tablica upamiętnia gest Giovanniego Bombriniego. Nie był królem; w gruncie rzeczy był „mieszczaninem”, „kapitalistą”, tym, którego Marks i towarzysze już wtedy nazywali „pijawką robotników”. Nie miał koron do pozłacania i przekazywania potomnym.

Ale był wodzem, przywódcą ludzi – choć wcale nie nosił błyszczącego munduru.

I nawet jeśli dotychczas na żadnym placu Apulii, wśród wawrzynów i mirtów, nie stanął choćby skromny jego pomnik, autorka tych skromnych zdań pragnie dziś, żegnając Apulię, wyrzeźbić mu w tej książce mały relief z napisem: „Giovanniemu Bombriniemu – magowi-twórcy – Siticulosa Apulia”.

Prace prowadzono z wielką energią i przy nakładzie ogromnych środków. Kilka liczb może oddać skalę przedsięwzięcia: zatrudniano do 20 000 robotników, zużywano 60 000 kwintali cementu i 240 kwintali dynamitu miesięcznie, ułożono 250 kilometrów wąskich torów typu Decauville do transportu materiałów i pracowników, zamontowano 60 000 metrów rur do wentylacji tuneli, 30 000 metrów rur do odprowadzania wody z nich oraz tyle samo rur do doprowadzania sprężonego powietrza do wiertnic.

Ustawa, którą przyjęła spółka koncesyjna, przewidywała przyspieszenie częściowego otwarcia na 31 grudnia 1914 roku i całkowitego – na 6 sierpnia 1916 roku. Pierwsza wojna światowa spowolniła rozwój prac z jednej strony, niemniej z drugiej strony, z powodów wojskowych, przyspieszyła niektóre roboty. W latach 1919–1920 ustawa powołała do życia Autonomiczne Przedsiębiorstwo Akweduktu Apulijskiego, któremu powierzono zarządzanie i ukończenie budowy.

W ten sposób nadano pracom nowy rytm. Sfera działania nowego przedsiębiorstwa szybko przekroczyła granice Apulii, obejmując sąsiednie (tylko stosunkowo bliskie!) prowincje Avellino, Campobasso, Matera i Potenza. W ten sposób niemal połowa terytorium południowych Włoch mogła korzystać z dobrodziejstw tego dzieła.

Niełatwo określić, w którym roku można było uznać je za ukończone. Jak żywy korzeń stale rozrastały się jego odnogi i, mimo że dawno przekroczyło wszelkie pierwotne założenia, wciąż rozwija się, w każdym znaczeniu. Być może nigdy nie zostanie uznane za zakończone, bo nigdy nie można będzie uznać za wyczerpaną listy zadań, jakie ma realizować, a potrzeby, którym będzie musiało sprostać, będą wciąż rosły. Jedno jest pewne: potrzeby te zawsze będą przewidywane i zaspokajane. Świadczy o tym historia minionych dziesięcioleci i doskonała organizacja, którą udało się osiągnąć.

Ogólnie rzecz biorąc, można powiedzieć, że przed wybuchem drugiej wojny światowej problem „zaopatrzenia Apulii w wodę pitną” został w pełni, i to z dużym zapasem, rozwiązany. Całkowity poniesiony koszt osiągnął niemal miliard lirów. (Pamiętaj, że cały czas chodzi o liry „starego typu”. Jeśli chcesz, pobaw się w niezbyt łatwe przeliczenia i zobacz, ile miliardów przy dzisiejszym kursie stanowi ta suma).

Równocześnie Akwedukt Apulijski pozwolił podjąć i rozwiązać inne problemy o równie dużym, a może i większym znaczeniu dla higieny i zdrowia publicznego. W ciągu tych zaledwie kilku dziesięcioleci zbudowano w większości miejscowości Apulii sieci kanalizacyjne. Może i tu przydałaby się jakaś kwota. Jednak możesz łatwo ją sobie wyobrazić, zwłaszcza jeśli weźmiesz pod uwagę szczególny charakter podglebia w większości Apulii. Z ulic zniknęły smutny widok wozów-cystern przewożących cuchnące, gnijące ścieki. Zniknęły epidemie, gorączki duru brzuszego. Miasta Apulii rozwinęły się, wypiękniały, nabrały kwitnącego wyglądu, który zauważyłeś niemal wszędzie.

Równocześnie zakłady oczyszczania i utylizacji ścieków, wybudowane w wielu miastach, wniosły swój dobroczynny wkład w rozwój rolnictwa regionu.

Jednocześnie, idąc śladem złotej epoki apulijskiej architektury, akwedukt wzbogacił region o fontanny i monumentalne budowle, wznosząc ten wspaniały pałac – być może jeden z najpiękniejszych i najbardziej artystycznych we Włoszech – który jest siedzibą Przedsiębiorstwa Akweduktu Apulijskiego w Bari⁹⁹. Ilekroć przechodziłam obok, zawsze żałowałam, że taki monument nie jest dostępny dla wszystkich, jak muzeum dobrego smaku artystycznego.

Nie jest to odpowiednie miejsce ani ja nie jestem właściwą osobą, by szeroko omawiać techniczne aspekty takiego dzieła. Chcę Ci jednak przytoczyć kilka liczb i szczegółów, choć pewnie w dość nieortodoksyjnych słowach, które może rozbawią jakiegoś inżyniera, tylko po to, byś mógł wyrobić sobie pojęcie o tym,

99 Konstrukcja siedziby Przedsiębiorstwa Akweduktu Apulijskiego (AQP) w Bari to przykład funkcjonalnej architektury przemysłowej z elementami modernizmu, zrealizowany w XX wieku na potrzeby zarządzania jednym z największych systemów wodociągowych we Włoszech. Budynek łączy prostotę formy z użytecznością, eksponując struktury konstrukcyjne i materiały charakterystyczne dla architektury przemysłowej, takie jak beton i stal, co odzwierciedla ducha modernizacji infrastruktury publicznej w południowych Włoszech. Fasada łączy surowość geometrycznych brył z detalami minimalistycznymi, tworząc harmonijną kompozycję wpisującą się w kontekst urbanistyczny historycznego Bari. Wnętrza projektowano z myślą o efektywności pracy administracyjnej i technicznej, z naciskiem na przestrzenie komunikacyjne i dostęp do światła naturalnego. Architektura siedziby AQP symbolizuje industrialny rozwój regionu oraz nowoczesne podejście do zarządzania zasobami wodnymi. Za: F. Calcagnile: *L'infrastruttura per il servizio idrico integrato: il caso dell'Acquedotto Pugliese*. „Analisi Giuridica dell'Economia” 2010, no 1, s. 238.

z jakim rozmachem rozwiązano ten problem. Jeśli dane techniczne wydadzą Ci się skąpe i nie dość precyzyjne, pamiętaj, inżynierze, że te słowa kieruję do ogromnej większości czytelników, którzy raczej nie znaleźliby przyjemności ani pożytku w lekturze uczonego traktatu z hydrauliki.

A zatem.

Natura przeznaczyła Morzu Tyrreńskiemu wody rzeki Sele. Ustawiła pasmo Apeninów w centrum, lub niemal w centrum, włoskiego „buta”, ale – kto wie, czemu – sprawiła, że wody, tak obficie gromadzone w tych doskonale położonych górach, spływały ku zachodowi, zamiast na wschód.

Jestem daleka od chęci zasypywania Cię tu słowami takimi jak „freatyczne”, „synklinalne”, „eoceńskie”... Dość powiedzieć, że tak było i jest.

Ludzie jednak postanowili inaczej. I tak, liczne źródła wypływające ze zboczy góry o dziwnej nazwie Paflagone, które przedtem służyły jedynie do chłodzenia wina w licznych piwnicach i napędzania jakichś marnych młynów wodnych, rozpoczęły swoją chwalebną historię.

Nosiły nazwę obiecującą i pomyślną: *Sanità* („Zdrowie”). I być może nigdy nazwa taka nie była bardziej zasłużona. Człowiek przekonał te wody, które – kuszone możliwością ujrzenia światła dziennego – spadały w malowniczych, lecz bezużytecznych kaskadach, by odwróciły bieg, poddały się karnie jego woli i wróciły pod ziemię. Wielka galeria apenińska, mimo swojej monumentalności, jest tylko jedną z dziewięćdziesięciu dziewięciu galerii, o łącznej długości 109 019 kilometrów, które wyznaczają przebieg głównego kanału – od źródeł Caposele do Montefellone, nieopodal Villi Castelli w prowincji Brindisi, gdzie się kończy. Dziewięćdziesiąt jeden potężnych mostów, o łącznej długości 6790 kilometrów, pozwala wodzie przekraczać rzeki i obniżenia terenu. Pozostałe 120 898 kilometrów przebiega w wykopie albo na nasypie.

Te liczby odnoszą się jedynie do kanału głównego, aorty całego systemu. Do niego dołączają się niezliczone odgałęzienia, z jakich niektóre – jak to w kierunku Foggii – zasilają całe prowincje, a następnie rozdzielają się na kapilarne rozgałęzienia docierające do centrów miast, dużych i małych. To ponad 2700 kilometrów kanałów – te rozgałęzienia właśnie sprawiły, że akwedukt apulijski zasłużył na miano największego na świecie i konstrukcji wszech czasów w tej dziedzinie.

Zastanów się chwilę nad znaczeniem liczb, które Ci przed chwilą podałam. I nie pozwól, by wyobraźnia widziała od razu tylko rury i zasuwę śluz. Czy potrafisz choć na moment wyobrazić sobie masę wody: 5000 litrów na sekundę?

Pomyśl tylko, że główny kanał, który naturalnie zwięża się w miarę, jak odchodzą od niego różne odgałęzienia, w swojej najszerszej sekcji mierzy – mniej

więcej – 4 na 3 metry. Może to rozmiar pokoju, w którym teraz czytasz. Podczas prac w jego odcinkach tunelowych biegła mała kolejka, wygodnie przewożąca robotników i materiały. Mógłbyś z łatwością (ma się rozumieć: w teorii, bo przekrój nie zawsze jest prostokątny) przejechać nim swoim fiattem 500, i może nawet minąć inne samochody tego typu. A w mniejszych odcinkach mógłbyś śmiało pojeździć Vespą.

Nie myśl, że kanał ciągnie się samotnie przez dziesiątki i setki kilometrów; wzdłuż całej jego trasy biegnie droga zbudowana specjalnie po to, by mu towarzyszyć. Pilnuje go linia telefoniczna. Od czasu do czasu mijasz domy dróżników, w których mieszkają skromni, nieznani ludzie czuwający nad tobą – bardziej niż nad wodą, jak ci później wyjaśnię.

Woda płynie otwartym korytem, ze zmiennym spadkiem. Po drodze także pracuje – specjalne progi motoryczne wykorzystuje się do napędzania elektrowni, które dostarczają energii dla tysięcy urządzeń samego akweduktu. Woda wspina się też posłusznie ku górze (a podziwu godna jest choćby konstrukcja podnosząca na Monte Sant’Angelo, dzięki której woda wznosi się na wysokość 900 metrów i zasila górskie gminy w prowincji Foggia) i spoczywa w setkach ogromnych zbiorników, często o artystycznych liniach architektonicznych, które zapewniają każdemu miastu konieczny zapas.

Ze zboczy Cervialto tryska świeża woda. Ma zaledwie dziewięć stopni. I nie wolno jej się ogrzać podczas długiej drogi – zadbano o to dzięki niezliczonym rozwiązaniom technicznym. Wiesz, na przykład, że na wielu odcinkach specjalne zadrzewienie chroni kanał, po to, abyś mógł latem, otwierając kran, nalać sobie szklankę zimnej wody? Z wysokości ośmiokątnych wież Castel del Monte właśnie po tej zielonej wstędze drzew możesz rozpoznać długi odcinek kanału, który zasila niemal całą prowincję Bari.

Jak już wiesz, źródło w Caposele nazywa się „Sanità”. Daje jedną z najlepszych znanych wód, o stałych właściwościach. Ale czy wiesz, ile i jak poważnych niebezpieczeństw czyha na Twoje zdrowie podczas setek kilometrów, które pokonuje woda w szklance, jaką dzierzysz w dłoniach?

Zastanowiłeś się kiedykolwiek, jakich przygód doświadcza woda, zanim trafi do Twojego kranu?

Dla Ciebie Autonomiczne Przedsiębiorstwo Akweduktu Apulijskiego to instytucja, która co jakiś czas wysyła Ci rachunek do zapłacenia – i na którą masz ochotę kłąć, gdy z jakiejś przyczyny kran odmawia posłuszeństwa. Wobec niej uważasz się jedynie za „użytkownika”. I jako taki dziwisz się i narzekasz – jak Horacy – że musisz płacić za *vilissima rerum*, którą Bóg sam daje ludziom.



Tylko że tutaj pierwotny zamysł twierdzy wojskowej
przemienił się finalnie w fortecę religijną

•
•
•
•
•
•

•
•
•
•
•
•



Dzisiaj Apulia żegna się z nami monumentalnym łukiem swego akweduktu,
syna rzymskiego ojca

•
•
•
•
•
•
•

Widzisz i chwalisz policjanta, który strzeże Twojego mienia, czy żołnierza, który pilnuje granic. Ale nie dostrzegasz – i to jest znak dzisiejszej cywilizacji, w której przywykliśmy, że wszystko działa niemal automatycznie, więc nawet nie zastanawiamy się, jak i komu zawdzięczamy taką precyzję – robotnika w sfatygowanym kombinezonie albo sanitariusza w białym fartuchu, którzy czuwają nad Twoim życiem i zdrowiem, z uwagą i bez aspiracji do chwały czy wdzięczności. Pomyśl o epidemii, jaką zanieczyszczenie mogłoby roznieść w jeden dzień w całym regionie, pomyśl, co by znaczyło dla tej pozbawionej wody ziemi, jaką jest Apulia, jakiegokolwiek zdarzenie, które zatrzymałoby na pewien czas dopływ ujarzmionej rzeki w głównym kanale. Dreszcz przechodzi Ci po plecach? Nie obawiaj się. Armia żołnierzy bez munduru i generałów bez złotych epoletów, którzy w ciszy, skromnie, czuwają nad Twoim życiem, wszystko przewidziała i strzeże Cię dniem i nocą. Trzęsienia ziemi są jedynym czynnikiem, wobec którego projektanci uznali, że nie da się zagwarantować trwałości dzieła. Ale i te nadeszły – wielokrotnie – nie czyniąc szkód budowlom.

Ileż pracy, ileż czujności wymaga ten „wolny dar Boga”, zanim trafi do Twojego kranu. Pomyśl tylko o utrzymaniu takiej masy urządzeń. To jest maszyna – doskonała, jak chcesz – ale i ona wymaga ciągłego rozkładania, czyszczenia, składania na nowo. I to tak, by nie przerywać jej pracy. Czy wiesz, ile większych i mniejszych robót jest stale potrzebnych w samym tylko głównym kanale? (Nie chcę już nawet mówić o urządzeniach mechanicznych i o sieciach miejskich). A co oznaczają za każdym razem takie roboty? Osuszenie odcinka – przy jednoczesnym spuszczeniu z licznych kanałów odpływowych, rozmieszczonych w najdogodniejszych punktach, prawdziwych rzek – naprawa, wyczyszczenie, upewnienie się, że woda może wznowić swój obieg bez ryzyka skażenia. A wszystko to wykonywane zawsze bez przerwania stałego dopływu, by Tobie, „użytkownik”, nigdy nie zabrakło wody. To trochę przypomina pracę na kolei. Z tą różnicą, że ruch pociągów jest widoczny, podczas gdy obieg wody – ktoś go dostrzega?

A ja mogę Ci tylko jeszcze wspomnieć o sekretach dystrybucji. Bo to nie jest tak, że woda dociera wprost z Sele do Twojej szklanki. Część jest w ruchu, część stoi... Jeśli znasz się na układzie zbiorników wodnych na statku, być może masz jakieś pojęcie, czym jest „dystrybucja”.

Wiesz, na przykład, że zaledwie około jedna czwarta wody doprowadzonej w ciągu roku rzeczywiście zostaje zużyta odpłatnie, podczas gdy pozostałe trzy czwarte przeznacza się na użytek publiczny lub potrzeby samego wodociągu? I że przedsiębiorstwo, we własnych kompleksach przemysłowych, przygotowuje i produkuje liczne i różnorodne materiały oraz maszyny, które nieustannie wykorzystuje w swoich instalacjach?

Tak właśnie Autonomiczne Przedsiębiorstwo Akweduktu realizuje swoje zadanie. Liczba 1 839 915 mieszkańców, przewidziana w projekcie jako populacja, którą należało obsłużyć do roku 1911, w ciągu kilku lat wzrosła do ponad 3 500 000. Liczba dwustu osiemnastu początkowo uwzględnionych miejscowości podniosła się do trzystu siedemdziesięciu. W tej samej proporcji rozmnożyły się konieczne instalacje i ilość potrzebnej wody. Wodociąg, w ciszy, dostosował się do nowych potrzeb i potrafił im sprostać. Dziś, w obliczu zawrotnego przyrostu ludności, w obliczu przemian i wzbogacenia się gospodarki Apulii, nie jest odległy moment – przewidziany już od początku robót przez dalekowzrocznych analityków – gdy nie wystarczy już wody ze źródeł w Caposele. I oto wodociąg apulijski przewiduje olbrzymie zagrożenie wiszące nad regionem i już przygotowuje się do ujęcia i doprowadzenia wód Calore, ze źródeł w Cassano Irpino, szykując się, by wzbogacić Apulię o nowe możliwości i zapewnić jej dziesięciolecia bezpieczeństwa.

Stał się tym samym prawdziwą instytucją, związaną z przyszłością i rozwojem tak wielkiej części południa Włoch. Przejął też zarządzanie wodociągami i kanalizacją Lukanii; i być może jest to pierwszy krok oraz najlepsza gwarancja rozwoju również tego regionu.

Wojna także odcisnęła swoje piętno na cudownej, pokojowej maszynie wodociągu. W kilka lat jednak ślady te zniknęły. Co więcej, pomimo ogromnych trudności, bez rozgłosu, udało się kontynuować rozwój dzieła. Do tysięcy zbudowanych kilometrów dołączyły kolejne 34 kilometry nowych kanałów.

W pobliżu Foggii, w ramach swej różnorodnej działalności, przedsiębiorstwo uruchomiło jedną z najnowocześniejszych i najdoskonalszych Stacji Doświadczalnych Wód Ściekowych. Był to ośrodek, którego badania miały zastosowanie daleko poza granicami Włoch. Wojna zniszczyła go niemal całkowicie. Wiara i wola kierownictwa przedsiębiorstwa spowodowały, że odrodził się.

Jak już wspominałam, spektakularny rozwój demograficzny i gospodarczy, jakiego w tych kilku dziesięcioleciach doznała Apulia, oraz większe potrzeby obecnej epoki, nie sprawiły, żeby wodociąg stał się przestarzały. Wręcz przeciwnie – najcięższe próby potwierdziły jego doskonałość, jeśli w ogóle na tym świecie wolno używać takiego słowa. Jako że stanowi jedyne źródło życia tak rozległego regionu, ciąży na nim ogromna odpowiedzialność. I armia anonimowych ludzi, którzy nad nim czuwają – przy stołach kreślarskich czy wzdłuż jego arterii – bada, oblicza, przewiduje, by nie dać się zaskoczyć żadnemu wydarzeniu, by coraz bardziej wzmacniać dzieło, by coraz obficiej zasilać rozwój Apulii. Wiele, jeśli nie wszystkie, z tych nieznanych osób zasługiwałyby na to, by ich nazwiska zostały tu wspomniane. Szkoda tylko, że – z oczywistych

względów – postanowiłam w tej serii nie wymieniać ludzi jeszcze żyjących. Tylko dzięki ufności pokładanej we własnych – tak wspaniałych – synach Apulia może spoglądać spokojnie w swoją przyszłość.

Oto ostatni z „sekretoń Apulii”. Być może najciekawszy, z pewnością jeden z najbardziej poruszających i żywotnych. Sekret odrodzenia, sekret życia, sekret przyszłości, sekret twórczej pracy człowieka...

• • • • •

Dziś, po dwóch latach pobytu, wyjeżdżam z Apulii. Zostawiam tę ziemię, która – po polskich wojennych zimach – jako pierwsza rozgrzała mnie swoim słońcem, uczciła mnie swoimi kwitnącymi migdałowcami i – po głodzie wojny – nasyciła mnie swoimi tłustymi oliwkami.

Kiedy żegnaliśmy się z pierwszym regionem „Włoch słynnych a nieznanym”, Kalabria otworzyła przed nami babciny kuferek. Dzisiaj Apulia żegna się z nami monumentalnym łukiem swego akweduktu, syna rzymskiego ojca.

Usiądź ze mną w jego cieniu albo, jeśli wolisz, przy jednej z prostych fontann, która szemrze świeżym bogactwem. Teraz wiesz – po tym jak powierzyłam Ci kilka sekretów tego akweduktu – ile pracy, troski, mądrości, rachuby, przewidywania, liczb to bogactwo kosztowało, i wciąż nieustannie kosztuje.

Pamiętasz?

Piliśmy razem, wędrując po tej ziemi, najlepsze wina, po których trudno już smakować inne. Tarent nas zaprosił i otworzył dla nas butelkę najmocniejszego ze swych trunków. Po raz drugi zostaliśmy ochrzczeni w Baptysterium św. Jana w Canosie. Otrzepliśmy kurz z ław w różnych piwnicach licznych miasteczek – od najbardziej eleganckich, jak „Disfida” w Barletcie, po najuboższą w Nardò... Poznaliśmy słoneczny smak tego wina. A jednak dziś, gdy nasze drogi się rozchodzą, nie napijemy się wina!

Chcę Cię zaprosić na wodę z Akweduktu Apulijskiego. To tą wodą właśnie wzniesmy toast pożegnalny. Weź w dłonie ten kielich *vilissima rerum*, tutaj, w cieniu, przy tej fontannie.

Powiem Ci, że nie odjadę smutna z Apulii, choć nieraz gorycz ścisła mi gardło i dziwne niepokoje budziły się na polach pod Kannami czy w ruinach Egnazii, pod łukiem w Canosie czy w Castel Fiorentino. Teraz, kiedy zdradziłam Ci już kilka sekretów tego akweduktu, ostatnich w niniejszej książce, musisz uwierzyć razem ze mną, że rodzaj ludzki zdolny jest nie tylko niszczyć, ale i budować, przemieniać kamień w oazę, a pustynię w ogród.

Gigantyczny akwedukt (jedyne bank, który rozdziela swoje bogactwo na tysiące małych porcji i z którego każdy może czerpać, ile chce i kiedy chce) ożywia

we mnie wiarę w mądrość, zdrowy rozsądek i praktyczny talent człowieka. Cień tego akweduktu zwycięża dziś jeden z tych procesów, które tak często wytaczam ludzkości. Cieszę się, że dziś przegrałam!

Wypij ze mną ten kielich wody – na chwałę rozumu i wytrwałości, ofiary i energii człowieka!

Jeszcze napełnię butelkę tą wodą, która orzeźwi mnie podczas podróży. To będzie jedyne bogactwo, które po dwóch latach pobytu zabiorę ze sobą z tej ziemi.

A ponieważ każde bogactwo, jakie widziałam na tym świecie, kryło zawsze w swoim wnętrzu zarazki i krople trucizny – choćby niewidzialne i jeszcze przez nikogo niesmakowane – przynajmniej dziś mam pewność, że to moje, skromne, dzisiejsze bogactwo jest czyste.

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

INDEKS NAZW GEOGRAFICZNYCH*

A

Achaja 40
Adria 38, 111, 115, 171
Adrianopol 132
Afryka 139, 294, 309, 311
Agrigento 157, 208, 259
Akragas 200
Albania 12, 142, 143, 151
Albano 285
Albarosa 37
Alberobello 39, 41, 186, 189–190, 251,
259–262
Alfejos (rzeka) 123
Alhambra 257
Altamira (jaskinia) 155
Altamura 134, 237–241, 276
Altilia 238
Amalfi 83, 116
Amsterdam 39
Anatolia 154
Andaluzja 330
Andria 77, 209–213, 215–216, 218–219,
285, 298
Anglia 131
Ankona 171

Antiochia 123, 137
Apeniny 314, 339
Aragonia 276
Archidamos 172
Argentyna 153
Argolida 40
Arkadia 40, 123
Aso (rzeka) 247
Asyż 60
Ateny 123, 186, 206, 218
Atri 247
Attyka 40
Austria 12, 188
Avellino 337
Azja 139–140, 143, 171, 172, 260
Azja Mniejsza 123, 140, 222

B

Baalbek 222
Babilon 222
Bagdad 185
Bagnacavallo 187
Balsignano 199–201, 250
Baltimore 71, 313
Balzi Rossi (kompleks skalny) 155

* Z powodu dużej częstotliwości występowania indeks nie zawiera odesłań do nazw niektórych krajów, państw, regionów, kontynentów, takich jak: Apulia, Włochy, Italia, Europa.

- Bałkany 260
- Bari (dawn. Barium) 18–20, 28, 30–31, 33–35, 37–38, 41–42, 60, 62, 76, 78, 92, 95, 99–100, 103–104, 106–116, 118–122, 131, 133, 136, 164–166, 186–187, 190–192, 202, 205, 208, 222, 227, 233, 234, 241, 244–245, 272, 318, 327–328, 335, 338
- Barletta 41–42, 62, 64, 73, 75–79, 210–212, 285–286, 345
- Bawaria 38, 60
- Bazylikata (wł. Basilicata) 329
- Beatus Höhlen (jaskinie) 256
- Belgia 256
- Belgrad 135, 186
- Belmonte 244
- Benevento (także: Benewent, dawn. Beneventum) 64, 231, 234–235, 305, 310
- Beocja 40, 123, 140
- Berkeley 238
- Berlin 128
- Betlejem 285
- Biała Krakowska 16, 30
- Białystok 220
- Biferno (rzeka) 331
- Binetto 237
- Bitetto 201, 237
- Bitonto (łac. Butuntum) 35, 41, 111, 196, 201–203, 205, 241, 253, 318
- Bisceglie 37–38, 41–42, 50, 84, 89–99, 158, 196
- Bitynia 294
- Bizancjum 73, 116, 143, 258–260, 271–272, 295, 310, 327
- Bliski Wschód 12, 227, 329
- Bolonia (Bologna) 202, 265
- Bosfor 260
- Bośnia 12
- Bradano (rzeka) 331
- Bratysława 12
- Brescia 64
- Bretania 37
- Brienne 211, 285
- Brindisi (łac. Brundisium, także: Brindisium, stgr. Βρεντέσιον, mesapijskie Brention albo Brentesion) 34, 41–42, 49, 53, 65, 82, 103–104, 106, 133–134, 136–140, 142, 169–170, 188, 210, 285, 327–329, 331, 333, 335, 337, 339, 341, 343
- Bruksela 186
- Budapeszt 20
- Bułgaria 240, 257, 281
- Buenos Aires 240
- C**
- Cagnano 73
- Calabro 245
- Calore (rzeka) 331, 344
- Cambridge 180, 310
- Campobasso 337
- Candelaro 73
- Canosa (właśc. Canosa di Puglia, łac. Canusium, Canusium) 59, 60–61, 136, 222–235, 287, 317–318, 345
- Cantina della Disfida 67, 77
- Caposele 339–340, 344
- Capo Palinuro 276
- Carnac 196
- Carrara 62
- Cartagine 222, 230
- Casalnuovo 277
- Caserta 247, 318
- Cassano Irpino 344

Cassino (także: Monte Cassino) 41, 135
 Castel del Monte 35, 41, 54, 217–220, 253,
 290, 301, 340
 Castel Fiorentino 318, 322–323, 326–327,
 345
 Castellana 42, 186, 254–257
 Castel Pagano 72
 Castel Sant'Elmo 252
 Castro 152
 Cervialto (góra) 340
 Cezarea (zwana: Nadmorską lub Palestyń-
 ską) 133
 Cezarea Kapadocka 294
 Charroux 297
 Chianca 37, 89
 Chiny 154, 258, 275, 283
 Chorwacja 103
 Cieśnina Otranto 25, 38
 Civitate 327
 Clairvaux 38
 Clermont 297
 Conversano 186, 246–248, 251, 254–255
 Corato 77, 90
 Cosenza 109
 Cypr 140
 Cyrena 123
 Czechosłowacja 188
 Czechy 12

D

Dafni 192
 Daleki Wschód 329
 Dalmacja 12, 103, 120, 257
 Dania 20, 99
 Delfy 168
 Dobszyna 256
 Dolina Itrii (wł. Valle d'Itria) 189–190

Dolomity (góry) 84
 Dordrecht 327
 Dragonara 327
 Durazzo 72–73
 Dyrrachium (obecnie: Durrës w Albanii)
 12, 133

E

Ebro (rzeka) 276
 Edessa 60
 Edfu 192
 Egipt 12, 23, 46, 69, 85, 137–138, 142–143,
 192, 216, 232, 258, 274, 309, 313, 330,
 336
 Egipt (Karnak) 208
 Egnazja (łac. Egnatia) 132, 133, 134, 135,
 328, 345
 Elba 251
 Elida 40, 122
 Etna 37
 Eubea (wyspa) 158
 Eufrat 194
 Europa 131, 139, 154–155, 161, 168, 176
 Europa Środkowa 114
 Europa Wschodnia 139

F

Farsalos 137
 Fasano 41, 180, 286, 310
 Ferrara 75
 File 192
 Flandria 131
 Florencja (Firenze) 76, 83, 89, 202, 240,
 259, 278, 326
 Foggia 34, 55, 60, 74, 106, 210, 212, 280,
 282–283, 285–287, 289–290, 339–340,
 344

Fokida 40
 Foligno 97
 Francavilla Fontana 42, 50, 186
 Francja 45, 76, 109, 157, 194, 257–258,
 283
 Fryburg 258

G

Gagliano del Capo 186
 Galatina 89
 Gallia 41
 Gallipoli 41, 134, 158–164, 170, 186, 191,
 202
 Ganges 194
 Gargano (półwysep) 16–17, 38, 53–59,
 61–63, 70, 72, 74, 80, 175–176, 179, 181,
 233, 314
 Garigliano (rzeka) 285
 Gaza 188
 Gdańsk 290
 Gebze 143
 Genua 56, 64, 104, 202, 336
 Gerace 150
 Gibraltar 260
 Ginosa 60
 Gioia del Colle 40–41, 50
 Giurdignano 277, 279
 Gotha 93–94
 Góra Athos 281
 Granada 278
 Gravina (właśc. Gravina in Puglia) 242–
 245
 Grecja 12, 40, 97, 122–123, 124, 127–128,
 131–132, 139, 165, 172, 192, 207, 221–
 222, 225, 260–261, 329
 Grodzisk Mazowiecki 189
 Grotta del Principe (jaskinia) 155
 Grotta Romanelli (jaskinia) 152, 155

Grottaglie 168, 202, 212
 Grotte dei Fanciulli (jaskinia) 155
 Grotte di Castellana (kompleks jaskiń)
 256
 Grumentum (obecnie: Grumento Nova)
 172
 Grumo 237

H

Halikarnas 140
 Hamburg 135
 Han-sur-Lesse (dzielnica Rochefort, umiej-
 scowienie jaskini) 256
 Harvard 230, 283
 Hellada 40
 Hercegowina 336
 Hiszpania 76, 97, 109, 155, 161, 165, 194,
 202, 248, 251, 255, 257
 Holandia 99
 Hradczany 203
 Hydra (także: Hydrus, rzeka) 141
 Hyria 187

I

Iliria 132, 140
 Ilyricum 294
 Indie 258
 Ischia (wyspa) 151

J

Jardin des Glaciers 153
 Jaskinie Demianowskie 256
 Japigia 40, 70
 Játiva 160
 Jerozolima 285, 307
 Jezioro Lesina (Lago di Lesina) 152
 Jezioro Varano (Lago di Varano) 152
 Jonia 157

K

Kair 89, 168, 278
 Kalabria 27, 35, 60, 157, 345
 Kaldea 329
 Kalifornia 84
 Kampania 27, 36, 43, 238
 Kanał Sueski 142
 Kandersteg 192
 Kanny (łac. Cannae, obecnie Canne della Battaglia) 39, 48, 54, 233–236, 328, 345
 Kapitanat (wł. Capitanata) 294, 327
 Kapsztad 84
 Kapua 290, 305, 321
 Karnak 208
 Kartagina 222, 230, 294
 Karyntia 60
 Katowice 11, 42, 290
 Kazachstan 154
 Kielce 60, 188
 Kladeos (rzeka) 124
 Knidos 124
 Kolonia 38, 135
 Koloseum 145
 Konstantynopol 56, 61, 78, 133, 143, 194, 261, 271, 327
 Kordoba 148
 Korynt 40, 123, 200
 Kraków 15, 20–22, 24, 76, 104, 187–189, 274, 283, 290, 297
 Krati (także: Crati, rzeka) 173
 Kreta 140, 156, 261, 265
 Kroton (także: Crotone) 173

L

Lacinio (Promunturium Lacinium) 173
 Lacjum 260
 Laconia 40

Lanuvio 76
 Lanzano 73
 Lascaux (jaskinia) 155
 Lecce (dawn. Lupiae) 34, 37–42, 95, 106, 139, 161, 186–191, 265–266, 268–269, 323, 328
 Lesina (Lago di Lesina) 73, 152, 175
 Levante 35, 110
 Lewant 111
 Liban 12
 Libia 46, 312
 Liguria 27, 64
 Lipsk 283
 Liwadia 80
 Lizbona 26
 Loara 257, 261
 Locmariaquer 196
 Locorotondo 41, 187, 189, 190
 Locri (Lokry Epizefryjskie) 150
 Londyn (London) 92, 122, 131, 176, 236, 239, 247, 275, 312, 314
 Los Angeles 155
 Lotaryngia 60
 Lötschbergbahn 191
 Lucera 54, 134, 210, 307–316, 318–322, 326, 328, 333
 Lucerna 153
 Lukania (Lucania) 240, 245, 290, 344
 Luni 64
 Lupatia 237
 Lwów 257, 331

Ł

Łódź 290

M

Macedonia 133, 137
 Madryt 251, 275

Maglie 191
 Malta 56, 109
 Manduria 171, 186, 248, 251, 276–277, 328
 Manfredonia 54–57, 76, 78, 134, 175, 248
 Mar Piccolo 164, 165
 Margherita di Savoia 176
 Maroko 46, 194, 312, 330
 Marsylia 165
 Martina Franca 39, 41–42, 186–187, 189, 191, 202
 Massafra 270–275, 323
 Matera 25, 60, 244, 337
 Mediolan (Milano) 76, 202, 256, 271, 334
 Megara 40
 Melfi 210
 Menton (Mentona) 155
 Mesenia 40
 Messapia 70, 143, 187, 265
 Metapont (Metaponto) 172, 200
 Mezopotamia 329
 Milet 106, 328
 Milos (Milo) 321
 Milano Nord 191
 Modena 75, 157
 Modugno 38, 192, 195, 196, 199–201, 237
 Mola (Mola di Bari) 42, 177, 179, 181
 Molfetta 38, 42, 176, 177, 196
 Monachium (München) 329
 Monastyr 133
 Monopoli 179, 180, 328
 Monreale 83
 Mont-Saint-Michel 58
 Monte Cassino 41
 Montecorvino 327
 Montefellone 339
 Monte Sant'Angelo 17, 57, 59, 61–64, 70–75, 150, 305, 340

Monte San Savino 62
 Montevergine 60
 Montepulciano 147
 Monti (dzielnica) 260
 Monza 64, 153
 Morze Adriatyckie (Adriatyk) 38, 43, 46, 53, 59, 75, 82, 110–111, 113, 115, 119, 121–122, 133, 136–142, 157, 171, 190, 237
 Morze Egejskie 123
 Morze Jońskie 38, 46, 53, 140, 152, 162, 165, 168, 171, 190, 272
 Morze Liguryjskie 53, 155
 Morze Śródziemne 53, 97, 99, 110, 122, 135, 140, 180, 271, 294
 Morze Tyrreńskie 53, 339
 Mount Wilson 208, 278
 Murgia (Murge) 37–38, 236, 241–242, 244, 271, 276
 Muro Leccese 38, 42
 Mykeny 156, 222, 261
 Myra (także: Mira, obecnie Demre) 115

N

Nagasaki 135
 Nankin 194
 Nantes 195
 Nardò 186, 191, 202, 247–248, 345
 Nazaret 285
 Neapol (Napoli) 18, 33, 59, 73, 79, 83, 95, 97, 104, 109, 132, 161, 202, 206, 208, 225, 235, 247, 293, 313–314, 321, 329, 336
 Nicea 113
 Niderlandy 109
 Niemcy 99
 Nikomedia 294
 Nil 194, 227
 Niniwa 222

Nisz 186
 Normandia 58
 Nowy Jork (New York) 73, 85, 279, 283,
 329
 Novoli 191

O

Oberland Berneński 46
 Ocean Atlantycki 195
 Oderzo 64
 Ofanto (rzeka) 222–235, 327, 331
 Olimp 122–124, 127, 194
 Olimpia 122, 123, 131
 Olsztyn 94
 Oman 187
 Oria 41, 187, 188, 202, 231
 Orient 141, 142
 Orvieto 259
 Ostuni 180
 Otranto (łac. Hydruntum) 25, 38, 140–
 154, 158, 170, 186, 193, 248, 318
 Ottawa 84
 Oxford 238, 309, 313

P

Paestum 157, 259
 Paflagone (góra) 339
 Paladino 37
 Palazzese (grota)
 Palermo 103, 172, 254
 Palestyna 188, 246, 257, 298, 326
 Palo del Colle 42, 201
 Paryż (Paris) 45, 64, 68, 203, 230, 237, 275
 Patù 157, 158
 Pekin 283
 Peloponez 122, 123, 140
 Pescara (miasto) 247
 Pescara (rzeka) 247

Peschici 73
 Petilia 237, 240
 Peucezja (Peucetia) 121, 206
 Pireneje 103
 Piza 220
 Pizzo 276
 Piombino (twierdza) 251
 Polignano 178
 Polska 12, 19, 23, 112, 114, 154, 188, 189,
 274
 Południowa Afryka 153
 Pompeje 259
 Ponte della Lama 222
 Pordenone 336
 Potenza 245, 337
 Poznań 285
 Półwysep Apeniński 18, 33, 53, 89, 103,
 140
 Półwysep Iberyjski 73, 154, 155
 Półwysep Salentyński 40, 156
 Praga 12, 46, 203, 258
 Przylądek Północny 260
 Pulo di Molfetta (jaskinia) 38
 Pulo di Molfetta (miejscowość) 177
 Pulsano 60, 73
 Putignano 42

R

Ratybbona 38
 Ravello 83, 289
 Rawenna 202, 259, 274
 Regium (Rhegium, Reggio di Calabria)
 169
 Ren 309
 Ritum (obecnie Rodi Garganico) 73
 Rocca Sant'Agata 72
 Rodi (Rodi Garganico) 73, 175
 Romanelli (grota) 38

Romanelli (miejscowość) 38
 Roncevaux 239
 Rosja 305
 Rossano 42
 Rotterdam 135
 Równina Salentyńska (Nizina Lecce, Tavoliere leccese) 34, 37–42, 95, 106, 187, 276
 Rudiae 40
 Rumunia 254
 Rutigliano 257
 Ruvo di Puglia (Ruvo) 205–208, 214, 215, 263
 Rzym (Roma) 18, 31, 41, 53, 59, 65, 76–77, 92, 97, 103, 109, 122, 127, 133, 136–137, 139, 141, 143, 171–174, 186, 191, 196, 202, 223–224, 230, 234, 236, 240, 243, 247, 254, 256, 258–259, 270, 272, 276–277, 293, 296, 308–309, 331

S

Sabrata 222
 Sahara 328
 Saint-Denis 203
 Saint-Germain-en-Laye 203
 Saint Louis 128
 Saksonia 60
 Salento 38–41, 53, 156, 163, 187, 195
 Salerno 64, 97, 116, 231, 235
 Saloniki (także: Tesaloniki) 133, 186, 231, 265
 Salpi (jezioro) 175
 San Demetrio Corone 150
 San Flaviano 247
 San Giorgio Maggiore (wyspa) 103
 San Giovanni Rotondo 17, 73
 San Pietro w Balsignano 199–201

Santa Cesarea 152
 Santa Croce (grota) 38, 89–90, 92
 Santa Maria ad Cryptam 176
 Santa Maria de Finibus Terrae 152, 181
 Santa Maria di Leuca (Leuca) 37, 53, 181, 191
 Segesta 158
 Sekwana 92
 Sele (rzeka) 331, 339, 343
 Selinunt 158
 Serbia 281
 Sewilla 257
 Sfilzi 73
 Siena 259
 Sila 172
 Siponto (łac. Sipontum) 55, 58, 64, 73, 134
 Silvium (Petromagna) 243
 Skierniewice 188
 Skopje 186
 Słowacja 46, 256–257
 Soleto 42, 202
 Sorrento 179
 Sovereto 196
 Sparta 123, 171, 276
 Spinazzola 244
 Split 231
 Spoleto 60, 97
 Stalingrad 135
 Stany Zjednoczone (USA) 73, 226
 Sybaris (Sibari, Sibaris) 170
 Sycylia 37, 43, 60, 97, 103, 139, 157, 285, 307, 311, 313
 Sykion 40
 Syrakuzy 20, 156, 170, 259
 Syria 309, 329
 Sztokholm 275
 Szwajcaria 12, 130, 131, 188, 256

T

Tagliacozzo 314
 Tamiza 92
 Taormina 259
 Taras 164, 168, 170, 174
 Tarent (wł. Taranto, łac. Tarentum) 34,
 41–42, 54, 60, 103, 106, 164–174, 186,
 190, 191, 212, 272, 276, 310, 318
 Tarragona 276
 Tars 294
 Tataria 328
 Taverna 109
 Tazos 207
 Teby 123, 222
 Teramo (region) 247
 Termoli 310
 Terra di Bari 195
 Terra d'Otranto 38, 163
 Tesalia 123, 138, 140
 Thurio 170, 172–173
 Titicaca 194
 Tokio 84
 Toluges 297
 Toritto 237
 Toskania 37, 43, 60
 Tracja 140, 260
 Trani (Tauverum) 25, 38, 41, 61, 64,
 79–83, 87, 95, 103, 202, 203, 205, 305,
 317–318
 Troia (Ekana, Ecana, także: Castra Hanni-
 balis) 38, 61, 148, 202, 291–300, 305,
 307–308, 318, 327
 Troja (także: Ilion, łac. Ilium) 140, 290–
 291, 296
 Trypolis 111, 231
 Tunezja 216
 Turcja 142

Turyn (Torino) 188, 202, 233

Tyber (rzeka) 92, 194

Tygrys 194

U

Ugento 38

Umbria 37, 43

Uria 187

V

Valetta 109

Varano (Lago di Varano) 175

Ventimiglia 155

Versentino 73

Via Appia 133, 136, 139, 266, 292

Via Traiana 133, 136, 206

Vibo Valentia (Hipponion) 276

Vico Equense 41

Vieste 73, 175

Villa Castelli 339

Volterra 147

W

Walencja 60

Warszawa 11, 13, 17, 19, 21, 24, 26–27, 30,
 39, 46, 64, 97, 132, 135, 137, 185–189,
 195, 201, 207, 285, 290, 294, 297

Wasilków 220

Watykan 127, 192, 281, 311

Wąwóz Kaudyński (łac. Furculae Caudinae)
 308

Wąwóz św. Marka (Gravina di San Marco)
 103, 116, 271

Wenecja 56, 78, 103–104, 116, 202, 251,
 273

Werona 259

Węgry 188

Wezuwiusz 191

Wiedeń 46, 203

Wielka Brytania 94, 247

Wielka Grecja (Magna Graecia) 39, 54, Y
84, 96, 123, 143, 167–168, 237, 259, 265,
290

Wilno 281

Wimbledon (dzielnica Londynu) 45

Wisła 192, 274

Wołowiec 17, 28

Wrocław 40, 62, 290

Wyspy Brytyjskie 141

Wyspy Kanaryjskie 12

Y

Yolturno (rzeka) 285

Z

Zakopane 189, 241

Zatoka Manfredonii 54–56, 60, 76, 78

Ziemia Święta 38, 60, 239

Zurych 123

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

INDEKS OSOBOWY

A

- Abel 58
Abraham, patriarcha 69
Abulafia David 313
Acquaviva Adriano 247
Acquaviva Andrea Matteo 247
Acquaviva Belisario 247
Acquaviva Giangirolamo II 247–248, 251
Acquaviva Giovanni Antonio 247, 255
Acquaviva Giulio III 251–252
Acyliusz Maniusz 136
Adamska Małgorzata 94
Adamski Wojciech 104
Al-Farabi 327
Agamemnon 291
Agnieszka z Durazzo 72–73
Ahl Frederick Michael 312
Ahmed Pasza Gedik 147
Ajgiale 291
Anaksymander z Miletu 89
Anthia (Antia) 293
Alberti Kazimiera 11–30, 33–34, 37–39,
42, 45, 59, 61, 77, 85, 95, 104, 110, 114,
120, 236, 279, 290, 293, 297
Alberti Leon Battista 259
Aleksander I Molossos 171, 172
Aleksander II, car 240
Aleksander III Wielki 171–172, 291
Aleksander VI, papież 97
Alfons Aragoński 59, 96–97
Alfonso z Neapolu 79
Al-Kamil Muhammad ibn al-Adil, sułtan
284
Allah 40
Amsterdamski Piotr 39
Anaksymenes 124
Andreotti Andrea 166
Andronika Komnena 73
Andronikou Anthi 180
Andrzej, apostoł 116, 317
Angelos Izaak II 139
Annibale Carracci 109
Anseram z Trani 95
Antioch III Wielki 136
Antioch z Syrakuz 156
Antkowiak Jacek 285
Antoni, święty 120
Antonio z Monte San Savino 62
Antoniusz Marek 53, 137
Apolinary, święty 274
Apollo 40, 317
Archidamos 276
Archytas z Tarentu 170–171
Arditi Giacomo 265
Armino Pino Ippolito 256–257, 259
Arystoteles 170–171
Atenułf 235
August (Gaio Ottavio) zob. Oktawian August

Augustyn z Hippony, święty 19

Aureliusz Marek 137

Awicenna 327

B

Babbitt Irving 283

Babinger Franz 142, 147

Bajazyd II 147

Bakchylides 123

Baldwin I 59–60

Barile Elena Nicoletta 181

Barillari Diana 240

Barion 131, 328

Barisano da Trani 81, 83, 88, 305

Barnes Jonathan 170

Barsanufiusz, święty 188

Bartuś Tomasz 152, 153

Baruch Bernard 226

Bassus, święty 310

Bastianini Giuseppe 189

Bazyli, święty 272

Bazyli II Bułgorobójca, cesarz 326

Beard Mary 230

Beccarini Giacoma (Giacometta) 56

Bellini Giovanni 110, 281

Bellonci Maria 97

Benedykt z Nursji, święty 41, 60, 252,
254–255

Bereszyński Andrzej 154

Bergson Henri 89

Bernard z Clairvaux, święty 38, 60

Bernich Ettore 64

Bernini Gian Lorenzo 166, 259

Bertaux Émile 64

Berto Luigi Andrea 236

Białecki Bernard 297

Białostocki Jan 178

Bianca Lancia 313

Bianco Rossana 181

Billung Magnus 38

Bizet Georges 177

Bliss Perry 283

Błażej, święty 42, 49

Boardman John 131

Bober Andrzej 188

Boemund I de Hauteville 61, 227, 264

Bogacki Jan 62

Boioannes Basileios (także: Basilius

Bugianus), katepano 236, 296,
311, 326

Boldini Giovanni 110

Bombrini Giovanni 190, 259, 334–337

Bonawentura, święty 60

Bonito Giuseppe 109

Bordone Paris 109

Borges Jorge Luis 24

Borgia Lukrecja 96–97

Bortone Antonio 147

Boskovits Miklós 75

Botticelli Sandro 45, 281, 329

Bourdelle Antoine 258

Bourget Paul 290

Bovio Giovanni 83

Bricchi Vittoria 160–161

Brioschi Francesco 331

Broggio Antonio 329

Brunelleschi Filippo 166, 259

Bruno, inżynier 332

Bryaksis 128

Brygida, święta 60

Budda (właśc. Siddhartha Gautama) 89,
194

Bunsch Adam 30

Buxton Richard 122

C

Cafaro Pasquale 216
 Calcagnile Fiorenzo 338
 Cambio di Arnolfo 259
 Campanella Tommaso 16
 Campo Marco Vecilio 319
 Camus Albert 11
 Capuano Pietro 116
 Caracciolo Giovanni Battista 109, 162
 Caracciolo Sergi 109
 Carafa Giovanni 252
 Caravaggio Michelangelo Merisi 109
 Carbonara Stefano 179
 Carletti Claudio 221
 Carmignano Colantonio 76
 Carracci Annibale 109
 Carrino Rachele 82
 Cassano Sabino 89
 Cassano Selene 89
 Castiglione Giovanni Benedetto 109
 Castleden Rodney 195
 Castriota Skanderbeg Angela 244
 Cavaglieri Marcello 56
 Cazzato Vincenzo 244
 Cazzolla Gatti Roberto 243
 Ceraudo Giuseppe 78
 Ceres 307, 310, 316–317
 Cezar Gajusz Juliusz 53, 137, 312
 Ciani Emilio 240
 Ciani Enrichetta 240
 Cid (Rodrigo Díaz de Vivar, El Cid) 139
 Cimabue (właśc. Cenni di Pepo) 274
 Cino Giuseppe 269–270
 Cioffari Gerardo 327
 Cherubini G. 276
 Chodzyńska Zofia 24
 Clottes Jean 155

Cocola Alfonso (Alfo) 12–14, 18, 21, 30,
 33–34, 114
 Cocola Domenico 12
 Colaleo Rosaria 247
 Colonna Prospero 76
 Coniglio Giuseppe 83, 272
 Conti Roberto 164
 Contucci Andrea (zwany Sansovino) 62
 Coppola Giovanni 162, 163
 Coppola Nicola 166
 Cornell Tim 235
 Corot Jean Baptiste Camille 109
 Corrado di Baviera (Konrad z Bawarii) 38,
 200
 Corrado Giaquinto 109–110
 Corregio Antonio (właśc. Antonio Allegri)
 281
 Coubertin Pierre de 128
 Crispi Francesco 240
 Cyceron 137
 Cyrus 291
 Czaja Dariusz 17
 Czyngis-chan 319

D

Damascelli Giuseppe 36, 233
 Damiano Poso Cosimo 248, 251
 Dariusz 291
 Dąbrowski Kazimierz 27
 D'Angicourt Pietro (Pierre) 72, 177,
 317
 D'Annunzio Gabriele 282
 D'Azeglia Massimo 77
 D'Orso Antonio, biskup 62
 Da Corfu Giovanni 178
 Da Foggia Bartolomeo 289–290
 Da Korčula Giovanni 178

Da Vinci Leonardo 216
 De Amicis Edmondo 262
 De Bayard Pierre Terrail 76
 De Biase Giuseppe 81
 De Marco Ladislao 148
 De Mura Francesco 163
 De Nittis Giuseppe 42, 110
 De Palma Luigi 176
 De Robertis Giuseppe 332
 De Santis Paola 221
 De Sebenico Francesco 178
 De Simone Raffaele 41
 De Simone Roberto 41
 De Troia Giovanni 286
 Delacroix Eugène 308
 Della Quercia Jacopo 90, 166
 Delle Donne Fulvio 76
 Delogu Paolo 310
 Des Baux Jacques (Jakub de Baux) 73
 Di Apulia Nicolò 289
 Di Pietro d'Apulia 289
 Di Pea Stefano 254
 Di Sabato Mariantonietta 56
 Di Sabato Michele 56
 Di Savoia Margherita 175
 Diakon Paweł 64
 Diomedes 82, 227, 291–292, 295, 299, 308, 310, 312, 316
 Dionizjusz z Halikarnasu 40
 Dionizos 142, 206, 226
 Disney Walt 283
 Dmochowski Franciszek Ksawery 290
 Doroteusz z Gazy 188
 Douglas Norman 290
 Dozyteusz Palestyński 188
 Drago Ciro 164, 170
 Dunbabin Jean 314

E

Edward VIII, król 247
 Ekania 292
 Eleuteriusz, święty 293–294, 305
 Eliasz, opat 116
 Eliasz z Enny, święty (także: Eliasz Sycylijski lub Eliasz Młodszy, właśc. Giovanni Rachete) 17
 Eliot Thomas Stearns 283
 Elliott John Huxtable 73
 Elvira di Cordova 72–73
 Elwira, córka Alfonsa VI 103
 Enneas 265
 Ennius (właśc. Quintus Ennius) 40
 Ernstowa Zofia 17
 Erchempert 235–236
 Esposito Tommaso 114
 Eutychiusz (właśc. Flawiusz Eutychian) 41

F

Fabiusz Maksimus 173, 292
 Facitolo z Bari (Facitolo Pietro) 95
 Fagiolo Marcello 244
 Falcone Basilio 95
 Falcone Mauro 95
 Falcone Riccardo 95, 101
 Falkenhausen Vera von 235
 Fanfulla da Lodi 77
 Fanizzi Michele 179
 Fantham Elaine 313
 Ferdynand I Aragoński (Ferrante), król 73, 75, 137, 247
 Ferdynand II Aragoński (Katolicki), król 59, 75
 Ferdynand I Bułgarski, car 240
 Ferdynand IV Burboński, król 329

Fernández de Córdoba Gonzalo 73
 Ferngren Gary B. 71
 Ferrari Iacopo Antonio 40–41
 Ferreriusz Wincenty, święty 60
 Ferroni Giulio 270
 Fidiasz 127, 155, 194, 197, 207
 Fieramosca Ettore 77
 Fik Ignacy 30
 Filangieri di Candida Gonzaga Riccardo 64
 Filarska Barbara 40
 Filip V 136
 Filip z Antiochii 73
 Filipczuk Magdalena 283
 Filoktet 237–238
 Fine John V.A. 73
 Finoglia Paolo Domenico (Finoglio) 247, 251
 Fischer-Wollpert Rudolf 297
 Fisković Cvito 178
 Fizeau Armand 278
 Fortunat, święty 41
 Fra Angelico (właśc. Guido di Pietro da Mugello) 274
 Franciszek Józef, cesarz 240
 Franciszek z Asyżu, święty 60, 201
 Franciszek z Paoli, święty 17, 269
 Fryderyk I, arcybiskup Kolonii 38
 Fryderyk I Barbarossa, cesarz 104
 Fryderyk II Hohenstauf, cesarz 43, 45, 55, 59, 75, 137, 187, 209–211, 215–219, 239–241, 244, 283–284, 286, 289–290, 298–299, 307, 311–314, 316, 322, 325–327, 329
 Fryderyk IV, król 97
 Fulvio Luigi 64
 Fusco, kanonik 281

G

Gadaleta Nicola 181
 Galanti Giuseppe Maria 328–329
 Galba (właśc. Servius Sulpicius Galba) 309
 Gallia Placydia 274
 Gallo Vincenzo 270, 272, 274
 Ganszyniec Ryszard 331
 Garibaldi Giuseppe 240
 Gelao Clara 244–245
 Geminian, święty 157
 Genovese Anna 240
 Genovino Vespasiano 162
 Genzeryk 243, 294
 Geissler Catherine Alison 187, 271
 Ghiberti Lorenzo 83
 Ghisalberti Alberto Maria 77
 Giaquinto Corrado 110, 163
 Gifuni Giambattista 318
 Giordano Luca 163
 Giotto (właśc. Angiolo di Bondone) 274
 Gissing George 290
 Gisulfo I 116
 Giuliani Francesco 199
 Gobetti Andrea 256, 271
 Gotfryd z Bouillon 60
 Gotfryd z Conversano 246
 Gotfryd IV z Lotaryngii 60
 Goldsworthy Adrian 234
 Gorlowski Tomasz 60
 Grabowiecka Maria 13, 19, 26
 Grandi Ascanio 269–270
 Greco Anna 54
 Greco Emanuele 54
 Gregorius VII
 Gregorovius Ferdinand 17
 Grillo Paolo 36, 256

Grimoald I 310
 Grimoald III 310
 Grundas Stanisław 187
 Grzegorz VII, papież 60
 Grzegorz IX, papież 284
 Guercino (właśc. Barbieri Giovanni Francesco) 109
 Guicciardini Francesco 76
 Guiscard Robert 78, 296, 300
 Gundeperga (córka Teodolindy, królowa Longobardów) 64
 Guze Joanna 11
 Gwyn Morgan 309

H

Habsburg Klemencja 72
 Habsburg Rudolf 73
 Hadrian (właśc. Publiusz Eliusz Hadrian), cesarz 68, 293
 Hadrian IV, papież 104
 Hagioryta Nikodem 188
 Hallo William 329
 Hammurabi 194
 Hannibal 173, 232–233, 234–236, 238, 276, 292, 309
 Hatun Zafira 56
 Hauziński Jerzy 285
 Heather Peter 238
 Heiliger Klaus 114
 Helena, święta 274
 Henryk II, święty 59–60, 73, 296
 Henryk III 59–60, 211
 Henryk IX Czarny 38
 Herakles (Herkules) 122, 237, 265
 Heraklit z Efezu 89
 Herakliusz 78–79
 Herodot 40, 127, 274
 Hezjod 160

Homer 123, 127, 187, 290–291, 311
 Honoriusz II, papież 298
 Horacy (właśc. Quintus Horatius Flaccus) 40, 132, 133, 165, 167, 170, 233, 331, 340
 Horodecka Magdalena 23
 Husserl Edmund 246, 252, 255
 Huxley Thomas Henry 92

I

Idomeneusz, król 265
 Ifitos 131
 Il Cronaca (właśc. Simone del Pollaiuolo) 259
 Imbriani Matteo Renato 332
 Indelli Dorotea 160
 Indelli Giuseppe 179
 Infante Renzo 281
 Irena z Lecce, święta 265
 Irena z Tesaloniki, święta 165
 Irolli Vincenzo 109
 Iwaszkiewicz Jarosław 30
 Izaak 69, 85
 Izaak II Angelos 139
 Izabela Jerozolimska 210

J

Jadwiga, święta 274
 Jahwe 194, 196
 Jan, święty 274, 345
 Jan z Brienne 285
 Jan z Gazy, święty 188
 Jan z Matery, święty 60
 Janas Janina 12
 Jazurek-Gutek Barbara 187
 Jepson Tim 39
 Jezus Chrystus 69, 238, 306
 Joanna Plantagenet 73

Juliusz II, papież 335

Justus, święty 41

Justynian 188

K

Kaczmarek Andrzej 154

Kafka Franz 28

Kain 58, 85

Kalchas, wróżbita 291–292

Kalwas Piotr Ibrahim 23

Kambyzes 291

Kant Immanuel 89

Kanas Nick 279

Karol Boromeusz 203

Karol Wielki 104, 239, 311

Karol z Durazzo 72–73

Karol I Andegaweński 59, 220, 289,
314

Karol II Andegaweński 311, 314, 318

Karol II Łysy (także: Charles II Łysy) 157

Karol III Hiszpański, król 329

Karol V 239

Karol VI 203

Kasprowicz Maria 30

Katald, święty 165, 170

Katarzyna, święta 273–274

Katarzyna ze Sieny, święta 60

Katon Młodszy 312

Kaur Satwinder 115

Kay Sarah 239

Keller Heinrich 123

Kelly John Norman Davidson 297

Kępiński Piotr 28

Kittredge George L. 283

Klawe Janina Zofia 26

Klemens XI, papież 103

Kleonimos 172

Klimczak Wojciech 189

Kolumb Krzysztof 240

Kometes 291

Komnena Andronica 72

Konfucjusz 194

Koniński Karol Ludwik 30

Konrad z Antiochii 73

Konrad z Piacenzy, święty 176

Konrad IV Hohenstauf 210, 227

Konradyn Hohenstauf 314

Konstans II (także: Konstantyn II),
cesarz 295, 310, 317

Koskoniusz (właśc. Gaius Cosconius),
pretor 235

Kosma i Damian, święci 274

Kowalska Faustyna 17

Krassus Marek Licyniusz 137

Krescencjusz (właśc. Crescenzo Nomen-
tano) 59

Krókowski Jerzy 132

Kumaniecki Kazimierz 207

Kwintus Fabiusz Maksimus 276

L

Läpple Alfred 17

Laskowski Jerzy 187

Lenglen Suzanne 45

Lenormant François Charles 68, 237,
290, 329

Leon III Izauryjczyk, cesarz 271

Leonard, święty 274

Lewandowski Ignacy 64

Liberalis, męczennik 293

Lin Youtang 283

Lincoln Abraham 322

Lippi Filippo 281, 329

Lippmann Walter 226

Lippolis Mariarosaria 247

Liwiusz Tytus 292

Lizyp (właśc. Lizyp z Sykionu, także:

Lisippos) 127, 174, 258

Lombardi Domenico 310

London Jack 175

Loroux Nicole 159

Lorenzetti Ambrogio 274

Lotar III 59–60

Luceria 308

Lucjusz Emiliusz Paulus 136

Ludwik I Węgierski 137

Ludwik II 311

Lukan (właśc. Marek Annaeus Lucanus)
312

Lukullus (łac. Lucius Licinius Lucullus)
93

Ł

Łukasiewicz Małgorzata 20

Łukasz Ewangelista, święty 179

M

Mahomet 40, 89, 312

Maiano da Benedetto 259

Majellaro Francesco Saverio 90

Makarewicz Irena 21

Malinconico Nicolò 162

Malipiero Felicyta 103

Mandolii Rocco 240

Manfred Hohenstauf (także: Manfred
z Lucery), król 55, 307, 313–314

Mangialardi Vito 199–200

Manieri-Elia Mario 269

Manuel I Komnen, cesarz bizantyjski 104

Marai Sandor 21

Marchiandi Daniela 171

Marcin, święty 243

Marconi Guglielmo 89

Marek, święty 116, 273–274

Marks Karol (właśc. Karl Marx) 337

Marra Pietro 186

Marshall George 332

Marsjasz 206

Martini Paolo 163

Martini Simone 274

Martino Aurora 247

Masaniello Tommaso Aniello 248

Mata Hari (właśc. Margaretha Gertruda
MacLeod) 12

Matisse Henri 246

Mateusz Ewangelista, święty 116

Matylda z Canosy (Toskańska) 59–60

Maur, święty 41, 94

Mehmed II 142, 147

Melo da Bari 236

Menander 173

Menio, trybun 103

Mercadante Saverio 240

Mestrovic Ivan (właśc. Meštrović Ivan)
258

Metella Cecylia 68

Michał Anioł (właśc. Michelangelo di Lo-
dovico Buonarroti Simoni) 17, 38,
56–63, 70, 106, 155, 194, 258, 261,
335

Michał III Dukejan 235

Michał Szkot (łac. Michael Scotus)
326–327

Michelozzo di Bartolommeo 259

Michelson Albert Abraham 278

Mikołaj Pielgrzym, święty 41, 80–83

Mikołaj, święty 35, 62, 80–83, 104,
112–118, 176, 204, 273, 318

Mikon 207

Miller John 124

Milon 173

Miłosz Czesław 17

Minerwa 308, 318
 Minos, król 265
 Mola Pier Francesco 109
 Monaco Massimiliano 310
 Montanari Enzo 110
 Morandi Giorgio 110
 Morelli Domenico 110
 Moretti Luca 334
 Mozart Wolfgang Amadeusz 258
 Murad II 142
 Murat Joachim (właśc. Joachim-Napoleon Murat) 104, 255
 Murger Henri 159
 Murillo Bartolomé Esteban Pérez 281
 Myron 127

N

Nałkowska Zofia 30
 Napoleon I Bonaparte 68, 77
 Napoletano Gaetano 36
 Napolillo Vincenzo 109
 Netti Francesco 110
 Niemirska-Pliszczyńska Janina 40
 Nietzsche Fryderyk 216
 Noto Alfonso 130
 Noyé Gérard 157
 Nunzio Maddalena 221
 Nuzzo Donatella 222
 Nycz Ryszard 24

O

Oderisius z Benewentu 305–306
 Odyseusz 291
 Ojciec Pio, święty 17
 Oktawian August 53, 68, 137, 319
 Olkuśnik Marek 104
 Oldoni Massimo 236
 Oliba 297

Oroncusz (Oronzo z Lecce), święty

40–41, 265–266, 269

Orseolo Piotr I 103

Orseolo Piotr II 103

Orwell George 226

Ottomano Domenico 56

Otton II, cesarz rzymski 311

Otton III, cesarz rzymski 59

P

Pagano z Siponto (właśc. Pagano z Parmy) 64

Paleolog Demeta 254–255

Paleolog Michał 254

Palma Młodszy (właśc. Iacopo Nigreti) 109

Palumbo Pier Fausto 73, 74

Panico Luigi 39

Pantaleon, święty 94

Pantaleone z Otranto 148–150

Pappaloni Luigi 89

Parandowski Jan 137

Paris Gaston 239

Pasolini Pier Paolo 28

Patini Teofil 110

Patou Jean 45

Pauzaniusz 40, 131

Paweł z Tarsu, święty 40, 293

Pavoncelli Giuseppe 331

Pelagiusz z Albano 285

Penelopa 291

Perazzi Giuseppe 331

Perykles 319

Pessoa Fernando 26

Petrucchi Alfredo 64

Picasso Pablo 246

Piemontese Giuseppe 74

Pindar 123, 127

Piotr I 210
 Piotr, święty 40, 74, 94
 Piovene Guido 17
 Pipino Giovanni 316
 Pisano Giovanni 220
 Pisano Niccolò 220, 227, 289
 Pitagoras 167, 170, 171
 Platon 171
 Pliniusz Starszy 130, 277
 Płaszczewska Olga 15
 Podbielkowski Zbigniew 187
 Podbielski Henryk 40
 Podgórska Hanna 39
 Pokojka Agnieszka 21
 Pompejusz Wielki 137, 312
 Popiel Paweł 331
 Poussin Nicolas 109
 Praksyteles 127, 258
 Preti Gregorio 109
 Preti Mattia 109
 Prokopiusz z Cezarei 133
 Propert Matt 39
 Ptolemeusz XIII 137
 Puccini Giacomo 159
 Pyrrus 173

Q

Quercia della Jacopo 258

R

Radina Francesca 92
 Rafael (właśc. Raffaello Sanzio, Rafael Urbino) 155
 Rainald ze Spoleto 284
 Ravegnani Giorgio 272
 Regio Paolo 41
 Rendina Claudio 104
 Resta Mario 181

Rhodes Peter John 131
 Ribera Jusepe de 160, 161
 Ricasoli Bettino 240
 Riccio Liborio 163
 Riley-Smith Jonathan 239
 Rilke Rainer Maria 17
 Rinaldi Maria Rosaria 70
 Ritchardson Ruth 22
 Rivera Magos Victor 76
 Robert II Krótkoudy (Normandzki) 247, 277
 Rodelgrim 64
 Rodin August 258
 Rodowska Krystyna 24
 Roger II 103
 Roger z Laurii 137
 Roger Sycylijski 139
 Roland, paladyn 239
 Romel Karol 189
 Romuald I 310
 Rosset André 135
 Rossi Marco 168, 170
 Rotar (właśc. Rothari, także jako Chrotharius) 63–64, 70, 74
 Roth Joseph 20
 Rubens Peter Paul 109, 163
 Ruffo 240
 Rufus Lucjusz Amnusz 223
 Ryszard I 210
 Ryszard Lwie Serce 78

S

Sacchi Andrea 109
 Sadkiewicz Jan 187
 Safi Sycylijszyk (Kaid Safi) 104
 Safona 124
 Salazaro Demetrio 95
 Salzman Michele Renee 133

Sangallo de Giuliano (właśc. Giuliano Giamberti) 259
 Sanseverino Margherita 72
 Sansovino Andrea 90, 166
 Sarnelli Pompeo 56
 Schubring Paul 329
 Scypion Korneliusz 136, 234
 Sebastian, święty 244, 284
 Sedlmayr Hans 329
 Sekundyn 294, 300, 305
 Sellitto Carlo 109
 Serafini Paolo z Modeny 75–76
 Serafino de Serafini z Modeny 75–76
 Seridos, święty 188
 Sergi Giuseppe 158
 Sergiusz, święty (Sergiusz z Radoneża) 94, 273
 Sękowski Jan 132
 Sforza Bona 76, 180
 Sieroszewska Barbara 97
 Signorelli Luca 329
 Simpson Wallis 247
 Skanderbeg (Gjergj Kastrioti „Skënder-beu”) 72–73
 Smith Zadie 21
 Sokrates 89
 Solecki Bogdan 195
 Solimena Francesco 163
 Spinoso Anna 162
 Spinoso Nicola 161
 Spinoza Baruch 89
 Stawarczyk Tadeusz 154
 Strabon 40, 130, 156
 Strzelczyk Jerzy 294
 Svatý Mikuláš 114
 Sybilla z Conversano 246
 Sylen 206
 Symeon, car 240

Symeon, święty 274
 Symonides 123
 Szafrński Tadeusz 297
 Szolginia Władysław 201
 Szymon, święty 273

T

Tagliacozzo Antonio 154
 Talenti Francesco 259
 Tales z Miletu 106, 328
 Tancredi Giovanni 74
 Tankred Sycylijski, król Sycylii 41, 139
 Tankred z Conversano 246
 Tarricone Monika 120
 Tartarella Cosimo 179
 Tasso Torquato 139, 251
 Telesinus Poncjusz 308
 Teodozjusz II 78–79, 127
 Teodozjusz III 271
 Teokryt 261
 Terencjusz 136
 Teresa z Lisieux, święta 17
 Testa Pietro 109
 Theotokopoulos Dominikos (El Greco) 109
 Tintoretto (pseud. Jacopo Robusti) 110
 Tomasz z Akwinu, święty 60
 Tomjałojć Ludwik 154
 Totila 133, 134
 Trajan 135
 Trebacjusz 235
 Trzynadlowski Jan 290
 Tycjan 162

U

Uggeri Antonio 81
 Umberto I (także: Humbert I), król 336
 Urban II, papież 81–82, 116, 179, 296–298

Ursone, arcybiskup Bari 116

Urszula, święta 60

V

Van der Leeuw Gerardus 17

Vaughan Graham 187

Vaughan John Griffith 271

Veronese Paolo 109, 163, 177

Visconti Luchino 21

Vivarini Antonio 109

W

Walas Teresa 24

Walentynian III 78–79

Warron Gajusz Terencjusz 225, 230, 234

Wawrzyniec, święty 62, 273

Welles Orson 28

Wells Herbert George 39, 92

Wenus 321

Wergiliusz (właśc. Publio Virgilio Marone)
40, 137, 165, 167, 261, 312

Wespazjan (właśc. Titus Flavius Vespasianus) 309

Wieczorkiewicz Anna 22

Wielowiejski Jerzy 135

Wies Ernst W. 285

Wilhelm I Zdobywca, król 247

Wilhelm I Zły 103

Wilhelm II Dobry 73

Wilhelm II, biskup 302, 305

Wilhelm z Montevergine 60

Wilkinson Richard H. 85

Williamson Philip 247

Wissing Paula 159

Witalis, święty 274

Witelliano Marek Antoniusz 224

Witeliusz (właśc. Aulus Vitellius Germanicus) 309

Witkiewicz Stanisław Ignacy 30

Włodarczyk Zbigniew 187

Wolfram Herwig 238

Worth Charles Frederick 45

Wulfhilda (saska) 38

Wyszyński Stefan, kardynał 19

Z

Zaccaria Claudio 122

Zambelli Paola 327

Zaratustra 194

Ziegler Philip 247

Zimbalo Giuseppe 268–269

Zocchi Arnaldo 240

Zocchi Emilio 240

Zofia, święta 244

Zurbarán de Francisco 251

Ż

Żemła-Siesicka Anna 37

KAZIMIERA ALBERTI

SECRETS OF APULIA

S u m m a r y

This monograph is part of a scholarly edition of a literary text translated into Polish – a travel reportage by Kazimiera Alberti. *Secrets of Apulia* is part of an extensive body of work, originally consisting of four separate Italian-language publications, which make up Alberti's reportage tetralogy. The original parts are *L'anima della Calabria*. Naples 1950; *Segreti di Puglia*. Naples 1951; *Magia Ligure*. Naples 1952; *Campania, gran teatro*. Naples 1953. The set of travelogues mentioned above can be given (in line with the author's intention) the working title *Italy: Famous and Unknown* (*Italia celebre e sconosciuta*).

The study was carried out as part of a task implemented in accordance with the schedule of the 'Uniwersalia 2.2' project, which is part of the grant pool of the National Programme for the Development of Humanities. The programme provides funding, as stated on the website of the sponsoring institution, of 'original research projects carried out in Poland, including critical scientific editions (translations into Polish with scientific editorial work, including philological, bibliographical, historical, interpretative, etc.) of the most important works belonging to world culture in order to include them in the circulation of Polish scientific humanities.'

Kazimiera Alberti's book *Secrets of Apulia* is, above all, an impressive literary reportage that goes beyond a simple travel diary. The individual chapters are based on a series of escapades undertaken with her husband, Alf Cocola, around the region in the post-war years (the account covers events that took place in the late 1940s). Alberti presents the region not so much in the style of a tourist guide, but as a multicultural and socially colourful, ambiguous space: rich in landscapes, extraordinary people and unique customs. The book presents intriguing impressions, original reflections and eccentric observations from Apulian travels, combining descriptions of places and people with the author's personal insights. It is not a dry guide to 'Italian geography,' but a full-blooded literary travel essay that captures the unique climate and atmosphere of the region. Alberti does not limit herself to a dry description of landscapes or a mere catalogue of monuments. She draws attention to local traditions, everyday life and the peculiar character of the inhabitants of Apulia, emphasising that it is people who create the identity of a place. However, the constant "background," the existential spectre of the presented scenery of the South, remains the memory of the difficult experiences of the past: war, exile, and poignant loneliness. This makes Alberti's text an ambiguous and flickering account.

•
•
•
•
•
•
•
•
•
•

KAZIMIERA ALBERTI

SEGRETI DI PUGLIA

Riassunto

La presente monografia costituisce un elemento di un'edizione scientifica del testo letterario tradotto in lingua polacca – un reportage di viaggio – di cui è autrice Kazimiera Alberti. *Segreti di Puglia* fa parte di un ampio corpus testuale, originariamente composto da quattro pubblicazioni autonome in lingua italiana, che insieme formano la tetralogia di reportage di Alberti. Le opere originali che ne fanno parte sono: *L'anima della Calabria*. Napoli 1950; *Segreti di Puglia*. Napoli 1951; *Magia Ligure*. Napoli 1952; *Campania, gran teatro*. Napoli 1953. L'insieme di questi travelogues può essere indicato – in accordo con l'intenzione dell'autrice – con il titolo provvisorio *Italia celebre e sconosciuta*.

Il lavoro è stato realizzato nell'ambito di un progetto svolto secondo il cronoprogramma dell'iniziativa "Universal 2.2", rientrante nel programma di finanziamento del Programma Nazionale per lo Sviluppo delle Scienze Umanistiche (*Narodowy Program Rozwoju Humanistyki*). Come si legge nella documentazione dell'ente finanziatore, il programma sostiene "progetti di ricerca originali realizzati in Polonia, comprendenti edizioni critiche scientifiche (traduzioni in lingua polacca corredate da apparati editoriali di carattere scientifico, inclusi contributi filologici, bibliografici, storici e interpretativi) delle opere più significative appartenenti al patrimonio culturale mondiale, al fine di inserirle nel circuito della ricerca umanistica polacca".

Per quanto riguarda *Segreti di Puglia* di Kazimiera Alberti, si può affermare innanzitutto che si tratta di un reportage letterario di grande efficacia, che va ben oltre la forma di un semplice diario di viaggio. I singoli capitoli sono il risultato di una serie di escursioni compiute dall'autrice insieme al marito, Alfo Cocola, nella regione pugliese nel periodo postbellico (il racconto si colloca prevalentemente alla fine degli anni Quaranta del XX secolo). Alberti presenta la regione non tanto secondo la convenzione della guida turistica, quanto piuttosto come uno spazio multiculturale e socialmente variegato, complesso e non univoco: ricco di paesaggi, di figure umane fuori dall'ordinario e di tradizioni singolari.

Il volume offre impressioni suggestive, riflessioni originali e osservazioni eccentriche maturate nel corso dei viaggi in Puglia, intrecciando la descrizione di luoghi e persone con le considerazioni personali dell'autrice. Non si tratta di una guida arida "alla geografia italiana", bensì di un vero e proprio saggio letterario di viaggio, capace di restituire l'atmosfera unica e il clima peculiare della regione. Alberti non si limita a una descrizione oggettiva dei paesaggi né a una presentazione enumerativa dei monumenti, ma rivolge la propria attenzione alle tradizioni locali, alla vita quotidiana e al carattere distintivo degli abitanti della Puglia, sottolineando come siano proprio le persone a costituire l'identità di un luogo.

Sullo "sfondo" costante – come un'ombra esistenziale che attraversa la scenografia del Mezzogiorno – permane tuttavia la memoria delle esperienze traumatiche del passato: la guerra, l'esilio, una profonda solitudine. Ciò imprime alla scrittura di Alberti un carattere ambiguo e cangiante.

Redaktor KATARZYNA WIĘCKOWSKA

Projekt okładki i obwoluty ANNA KRASNODEBSKA

Fotografia Kazimierzy Alberti wykorzystana na okładce książki pochodzi z prywatnego albumu pisarki. Zdjęcie publikujemy dzięki uprzejmości Pana Domenico Cocoli – spadkobiercy spuścizny po Kazimierze Alberti, który scedował prawa do wykorzystania materiałów po pisarce na rzecz prof. Janiny Janas – współredaktorki niniejszego tomu

Projekt układu typograficznego oraz łamanie PAULINA DUBIEL

Retusz i koloryzacja zdjęć TOMASZ TOMCZUK

Korekta MARZENA MARCZYK

Redaktor inicjujący PRZEMYSŁAW PIENIAŻEK

Copyright © 2026 by Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego

Wszelkie prawa zastrzeżone



Publikacja dostępna na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe (CC BY-SA 4.0)

Sandra Strugała <https://orcid.org/0000-0003-3994-6728>

Małgorzata Ślarzyńska <https://orcid.org/0000-0001-5948-698X>

 Marcin Wyrembelski <https://orcid.org/0000-0002-6117-3840>

Mariusz Jochemczyk <https://orcid.org/0000-0002-0671-6355>

Miłosz Piotrowiak <https://orcid.org/0000-0003-3787-752X>

Janina Janas <https://orcid.org/0000-0003-4488-6061>

Alberti, Kazimiera

<https://doi.org/10.31261/PN.4336>

Sekrety Apulii / Kazimiera Alberti ; przekład

ISBN 978-83-226-4657-1

Sandra Strugała, Małgorzata Ślarzyńska ;

(wersja drukowana)

tłumaczenie przejrzał Marcin Wyrembelski ;

ISBN 978-83-226-4658-8

wstęp, przypisy, indeksy osobowe oraz indeksy

(wersja elektroniczna)

nazw geograficznych Janina Janas, Mariusz

Jochemczyk, Miłosz Piotrowiak. – Wydanie I.

– Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu

Śląskiego, 2026

Wydawca

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO

ul. Jordana 18, 40-043 Katowice

<https://wydawnictwo.us.edu.pl>

e-mail: wydawnictwo@us.edu.pl

Wydanie I. Liczba arkuszy drukarskich: 23,25. Liczba arkuszy wydawniczych: 25,0. PN 4336. Egzemplarz bezpłatny. Publikację wydrukowano na Munken Polar 100 g, vol. 1.3. Do składu użyto krojów pisma Karmina, Karmina Sans (autorstwa Veroniki Burian & José Scaglione / Type-Together). Druk i oprawę wykonano w drukarni volumina.pl Sp. z o.o. (ul. Księcia Witolda 7–9, 71-063 Szczecin)



Egzemplarz bezpłatny

ISBN 978-83-226-4658-8



9 788322 646588

Więcej informacji

